

RICHARD
SCHWARTZ



RADA
KORONNA

TAJEMNICA ASKIRU – TOM 7

RICHARD
SCHWARTZ

RADA KORONINA

TAJEMNICA ASKIRU - TOM 7

Tłumaczenie z języka niemieckiego
Agnieszka Hofmann



© 2014 Piper Verlag GmbH, München/Berlin
Tytuł oryginału: Der Kronrat, Das Geheimnis von Askir 7
Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka niemieckiego: AGNIESZKA HOFMANN
Redakcja i korekta: KATARZYNA KUSOJC

Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS
Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografie użyte na okładce:

SHUTTERSTOCK

WYDANIE I
KRAKÓW 2023
ISBN 978-83-67545-59-4



Wydawnictwo INITIUM
www.initium.pl
e-mail: initium@initium.pl
facebook.com/wydawnictwo.initium

SPIS TREŚCI

W poprzednich tomach

1. Przybycie
2. Orikes
3. Przyjacielska przysługa
4. Komendant
5. Sowa
6. Dziedzictwo Róży
7. Królowa
8. O Piórach
9. Obca kobieta
10. Portal w piwnicy
11. Pierścień generała
12. Trzeci Legion
13. Anioł Soltara
14. Starzy przyjaciele
15. Sowa Erinstor
16. Przeczolągany
17. Jabłkowy tytoń
18. Ragnar
19. Północna dyplomacja
20. Nowe zadanie
21. Ciernie
22. Cesarski ogród
23. O koronach i siostrach
24. Rada Handlowa
25. Most Cesarski

26. Ciernie róży
 27. Serce wroga
 28. O Sowach i deszczu
 29. Sztokfisz
 30. Bal
 31. Polityka handlowa
 32. Helgs
 33. Słowo cesarza
 34. Cena władzy
 35. Więzy rodzinne
 36. Balthasar
 37. Rada wojenna
 38. Łaska Astarte
 39. O sędziach bogów
 40. Plan bitwy
 41. Owce i wilki
 42. Przysmaki
 43. Gwardia księcia
 44. Pióro
 45. Dzień na śmierć
 46. Duma Aldaru
 47. Ucieczka z Aldaru
 48. Ragnarskrag
 49. Egzekucja
 50. Moc Sów
 51. Pan nad królestwami
 52. Rada Koronna
 53. Córka Smoka
 54. Ostatnia droga
- Polecamy

W POPRZEDNICH TOMACH

Cesarz nekromanta Kolaron zagraża Askirowi, rozbitemu królestwu Askannona, i Nowym Królestwom, ojczyźnie Havalda i jego druhów. Konieczny jest sojusz przeciwko wrogowi. Podczas wyprawy do Askiru los rzuca Havalda na Wyspy Ogniste. Tam wraz z przyjaciółmi przekonuje się, że imperium Thalaku przygotowuje inwazję o niespotykanej skali.

Czarne Legiony są prawie gotowe do natarcia. Wróg zaatakował już Askir przy użyciu magii, lecz atak udało się odeprzeć w ostatniej chwili. Tajemniczy wybuch wulkanu na Wyspach Ognistych udaremnia wielką ofensywę Kolarona. Okoliczności te nie sprzyjają Havaldowi w zyskaniu posłuchu na Radzie Koronnej, gdyż lud w królestwach nie ma pojęcia o wrogu, zaś winę za katastrofę przypisuje Havaldowi i jego towarzyszom.

1

PRZYBYCIE

Na tle nocnego nieba płonęły dwa ognie sygnałowe. Jaśniały tak wysoko w górze, że trudno było uwierzyć, aby czarne wieże na murze okalającym port zostały wzniesione ludzką ręką.

Staliśmy na tylnym pokładzie „Tancerza Burzy”, cesarskiego okrętu mieczowego, który kilka dni temu uratował nas od śmierci. Kiedy ciemne cienie potężnych murów przysunęły się bliżej, nie mogłem uwierzyć, że ta długa podróż wreszcie dobiega końca.

Dopiero gdy powoli przepłynęliśmy przez gigantyczną portową bramę, uświadomiłem sobie ogrom budowli. Mury wyglądały na grubsze, niż wynosiła cała długość kadłuba „Tancerza”. Przed nami rozciągał się port starego cesarskiego miasta. Czuję się jak mały chłopiec, w niemym podziwieniu gapiący się na coś niepojętego. Zawsze myślałem, że port w Aldarze jest wielki, ten na Wyspach Ognistych jeszcze większy, ale to wszystko było nic w porównaniu z widokiem, który ukazał się moim oczom: ten port był większy niż cały Kelar, moje rodzinne miasto!

W oddali ujrzałem potężne mury, a za nimi, na tle bezchmurnego nocnego nieba wznosiła się jasno oświetlona okrągła budowla.

– Co... – zacząłem, lecz nie mogłem znaleźć słów.

– To jest Askir – powiedziała cicho Serafine. – To, co widać, to tylko najmniejsza część miasta: port. Tam z tyłu, za murem, leży cytadela, siedziba władzy Starego Królestwa.

Patrzyłem oniemiały i szukałem jakichś oznak, że to potężne miasto zostało zaatakowane, ale ich nie znalazłem. Za to w naszą stronę mknęło pół tuzina szybkich myśliwskich łodzi, ciągnąc za sobą spieniony ślad. Zadrzałem; wiał silny i chłodny wiatr.

Leandra przywarła do mnie od tyłu, chowając się przed bryzą.

– Wreszcie przybyliśmy – szepnęła.

– Jeśli ktoś mnie pyta o zdanie – dorzuciła Zokora – to chyba najwyższy czas.

Bez wątplenia miała rację. Byliśmy w drodze już od tak dawna, że ledwie rozróżniałem dni i tygodnie. Czy naprawdę minęło zaledwie półtora miesiąca? Tyle się wydarzyło, że tygodnie zdawały się latami.

Poczułem na karku ciepły oddech Leandry i owinąłem się ciasniej peleryną. Po Besarajnie tutejszy klimat był zdecydowanie za chłodny.

Szczupła postać wspięła się po schodkach na kasztel i dołączyła do nas. Badawczo świdrowała wzrokiem noc.

– Wreszcie w domu – stwierdziła ochryple i westchnęła. Major miecza Elgata była dowódczynią na „Śnieżnym Ptaku”. Dumny okręt zatonął zaledwie kilka dni temu, choć wcześniej obronił się przed sztormami, wiwerami, nekromantami i największą morską falą, jaka kiedykolwiek spiętrzyła się na oceanie. Elgata straciła nie tylko statek, ale i większą część załogi, w tym dobrych przyjaciół: pierwszego oficera podporucznika Mendlla i kaprała Amosa, który najpierw rozłupał mi czaszkę, a potem uratował życie.

Mendell miał rodzinę, jednak tym razem nikt tu na niego nie czekał. Jego bliscy już wiedzieli, że zginął na morzu.

I nie tylko on.

Tuż po tym, jak dzięki elfom, które ostatnio zawarły sojusz z Besarajnem, uciekliśmy z Wysp Ognistych, nastąpiła wielka erupcja wulkanu, któremu wyspy zawdzięczały swą nazwę. „Tancerz Burzy” przyjął nas na pokład, skąd przy użyciu semaforów sygnałowych nieustannie wymieniano wiadomości z Askirem, dzięki czemu dowiedzieliśmy się o skali katastrofy.

My wyszliśmy z niej bez uszczerbku, lecz Stare Królestwo dotknął straszliwy kataklizm. Najbardziej ucierpiał Janas, nadmorskie miasto Wieży, oddalone od wulkanu o zaledwie kilka mil morskich. Metropolia została zmieciona wysoką na pięć domów, porywającą wszystko falą. W odróżnieniu od mego kraju Besarajn był gęsto zaludniony i w powodzi zginęło mnóstwo ludzi.

Fala niosła śmierć i zniszczenie wzdłuż całego wybrzeża Starego Królestwa; ofiary zanotowano nawet w oddalonym o wiele mil Aldarze, stolicy królestwa Aldane. Ogromna część floty królewskiej stojącej w portach została zatopiona albo poważnie uszkodzona. Z morza okręty już nie wróciły.

Wiatr przyniósł popiół z odległej wyspy aż tutaj. Jego ślady widać było też na „Tancerzu”, choć marynarze nieustannie szorowali ukochaną krypę. Drobnny, szary pył pokrywał deski pokładu, wciskał się w fałdy ubrania, zgrzytał w zębach, był wszechobecny, a gdzieś tam nawet barwił na szaro morze.

Tej jednej nocy do Soltara odeszła niezliczona liczba dusz. Ostatnie szacunki mówiły o stu tysiącach zabitych lub zaginionych, wielokrotnie więcej straciło dach nad głową i dobytek. Liczba, która wydawała mi się niewyobrażalna.

Elgata przesłała do Askiru raport o wydarzeniach na wyspie piratów, po którym ton wiadomości się zmienił, a ich sednem było pytanie, czy cokolwiek z tego, co

zrobiliśmy, mogło doprowadzić do wybuchu wulkanu.

Owszem, byliśmy tam: Leandra, ja, pewien elf imieniem Artin i Krwawy Marcus, będący przez pewien czas królem piratów. Właśnie tam, w kraterze, zostaliśmy poddani próbie, poparzeni ogniem i żarem, i własnymi zmysłami odczuliśmy magię, która tak długo trzymała żywioł w swojej mocy.

Nas też nurtowało to pytanie. Wciąż na nowo odtwarzaliśmy z pamięci nasze kroki: otworzyliśmy troje drzwi, próbowaliśmy otworzyć czwarte i tyle. Ale byliśmy tam, a wulkan wybuchł zaledwie kilka godzin później.

Katastrofa, choć straszliwa, jednak nas uratowała. W uchodzącym za nie do zdobycia porcie na Wyspach Ognistych nasz zacięty wróg, cesarz nekromanta Kolaron Malorbian, władca potężnego cesarstwa na dalekim południu, zgromadził flotę tak wielką, że zdolną wyrzucić na brzeg Aldane dwa pełne legiony. Niemożliwe, aby choć jeden okręt, choć jeden żołnierz tej ogromnej armii przeżył erupcję.

Gdyby ta armada dobiła do naszego wybrzeża, Stare Królestwo już by się nie podniosło.

– Hm – mruknęła major, wrywając mnie z zamyślenia. – Najwyraźniej nie o wszystkim nas informowano.

Leandra poruszyła się w moich ramionach i spojrzała pytająco na Elgatę.

– Co macie na myśli? – zapytała i przejechała dłonią po krótkich, białych włosach, przypominających puszysty hełm.

Przyglądaliśmy się major z wyczekiwaniem, tylko Zokora wyglądała na zaprzątniętą czymś innym; wodziła wzrokiem po nabrzeżnych zabudowaniach, do których powoli dopływaliśmy. Podążyłem za jej wzrokiem: na kei, nieco z boku stała kobieta o długich, czarnych włosach, wytwornie ubrana, wyprostowana i dumna jak królowa. Była zbyt daleko, by ją rozpoznać w mroku, mimo to wyczułem, że oderwała wzrok od mrocznej elfki i przeniosła go na mnie. Straciłem na moment dech, jakby ktoś trafił mnie obuchem. *Znałem* tę kobietę, była znajoma jak rozchodzony but, a jednak... obca. Skąd się mógł tu wziąć ktoś znajomy?

– Po drugiej stronie jest basen stoczni – wyjaśniła Elgata. Ten krótki moment wystarczył: kobieta, która stała tam jeszcze przed chwilą, zniknęła, jakby nigdy nie istniała. – Spójrzcie, tam wykańczają okręty. Jeszcze nie wzeszło słońce, a praca już wre. Nigdy wcześniej nie widziałam tu takiego ruchu. A tam... te trzy jednostki są nowe. I ogromne. Nie wiedziałam, że mamy takie okręty.

Jasne drewno statków świeciło nowością. Miały tak niewielkie zanurzenie, że widoczne były nawet miedziane obicia, chroniące kadłub przed świdrakiem okrętowym. Jeden z okrętów wyposażono w aż cztery maszty; był niewiele mniejszy od czarnych gigantów wroga, które siały taki popłoch.

– Spójrzcie na tę sylwetkę – zauważyła niemal nabożnie Elgata. – Można sobie wyobrazić, jak będą pruły wodę! Zliczyłam platformy na balisty, z każdej strony po trzy duże i jeszcze cztery mniejsze. Wyobrażacie sobie te okręty w walce?

– Owszem – odparłem z goryczą. Pamiętałem aż za dobrze, jak „Śnieżny Ptak” stoczył walkę z podobnym olbrzymem. Tylko dzięki szczęściu i niewiarygodnemu kunsztowi w strzelaniu z balisty wyszliśmy z niej zwycięsko, ale ponieśliśmy ogromne straty.

– Takie jednostki nie powstają w ciągu jednej nocy. Kiedy wychodziliśmy w morze, wiedziałam, że mają być budowane nowe okręty, ale nie sądziłam, że to będą takie kolosy. – Odwróciła się do mnie podekscytowana. – Budowa trwa miesiące, czasami lata. Mimo najszczerszych chęci nie potrafię odgadnąć, jak nasi stoczniowcy zdołali tego dokonać. Komendant Keralos musiał wiedzieć o zagrożeniu i traktować je poważnie. To nie wszystko. Wszędzie w porcie widzę mocne sieci porozpinane na długich tyczkach, jakby spodziewali się zagrożenia z wody. A te okręty, widzicie? Wiele jest uszkodzonych, ale na wszystkich trwają prace. – Powiodła dalej wzrokiem, a potem wskazała dwa spore statki kupieckie, pękate jak wieloryby, które rozładowywano w świetle latarni. Miały inną budowę niż te, które znałem: wydłużony kil zwieńczony rzeźbionymi głowami jakichś nieznanymi bestii. – To zbożowce z Varlandu. – Zwróciła się do mnie: – Kupujemy zboże z Besarajnu i Aldane, nie z Varlandu, bo mają go za mało, by je tanio sprzedawać.

Serafine chrząknęła. Przeniosłem na nią wzrok. Mogłem się tylko domyślać, co czuła, oglądając miasto po siedmiuset latach.

– Chyba wiem, dlaczego tak jest – odezwała się miękko. – Janas jest zniszczony, a wraz z nim największy port w Besarajnie. Flota Aldane została w dużej mierze uszkodzona, zresztą teraz, po katastrofie, raczej nie będą chcieli pozbywać się zapasów zboża. Zostaje tylko Varland, tylko oni mogą zapewnić dostawy. A i to po wysokiej cenie. Zboże, Havaldzie. Zboże i jego cena! To podstawa spokoju w każdym społeczeństwie. Kiedy nędzarz z pustym brzuchem patrzy, jak bogacz obrasta w tłuszcz, podczas gdy nad nim samym wisi widmo głodu... wtedy robi się groźnie. To, że skupują drogie zboże, to zły znak.

– Myślałem, że miasto ma własne uprawy – zauważyłem.

Podeszła do latarni rufowej i przejechała palcem po niedokładnie oczyszczonym ornamencie. Pokazała mi szary wulkaniczny pył, który przywarł do opuszka.

– To – powiedziała – wszystko zmienia.

– Macie rację – zgodziła się Elgata. – Upłynie trochę czasu, zanim statki znowu zaczną dostarczać zboże.

– Nie o tym mówię – odparła Serafine. – A przynajmniej nie tylko. Niebo nadal jest zasnuwane popiołem. Za parę lat ten popiół użyźni glebę, lecz to, co nie zostało jeszcze zebrane z pól w Besarajnie, jest zmarnowane. Sami czytaliście wiadomości. W niektórych rejonach opady popiołu są tak gęste, że całkowicie przykryły ziemię. Większość upraw znajduje się na terenach nadmorskich, nawiedzanych przez wilgotne wiatry. Jeśli większa część zbiorów ulegnie zniszczeniu, zapanuje głód. – Zacisnęła pięści. – Mój ojciec rozmyślał o tym przez niezliczone bezsenne noce. To było w czasach, gdy istniało jeszcze Stare Królestwo, mające znacznie większe rezerwy niż dzisiaj. – Ojciec Serafine był gubernatorem Gasalabadu. Tam, gdzie dziś jest pustynia, wtedy rozciągały się jeszcze żyzne pola zasiewane pszenicą.

– Może jednak nie będzie tak źle – rzuciłem. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Kiedy zeszliśmy na ląd, czekało na nas pięciu żołnierzy Byków. Jeden z nich, o randze porucznika, wystąpił naprzód, zasalutował i przełknął ślinę.

– Porucznik sztabowy Neder, piąte Byki, Czwarta Lanca. Ser. – Wziął głęboki oddech. – Muszę prosić was i niejaką serę maistrę Leandrę di Girancourt o udanie się ze mną. – Sięgnął za mankiet rękawicy i wydobyl wąsko złożony pergamin, który rozłożył wyćwiczonym ruchem.

– W imieniu Rady Handlowej – odczytał – rozporządza się wziąć w przyjazny areszt grafa Roderica von Thurgau i serę Leandrę di Girancourt celem doprowadzenia na przesłuchanie przez Radę Handlową cesarskiego miasta Askir, tak aby mogli wypowiedzieć się odnośnie do stawianych im zarzutów. Podpisano: Antonis, mistrz gildii kupców zbożowych.

Złożył pergamin jedną ręką, co było prawdziwą sztuką, a potem z powrotem schował go w lewym mankiecie i stanął na baczność.

– Wobec waszych pozostałych towarzyszy nie wysuwa się żadnych zarzutów, mogą odejść. Witamy w Askirze. Sera, generale, zechcecie udać się ze mną?

Ani drgnąłem.

– Spocznij – rozkazałem, na co porucznik rozstawił stopy na szerokość kciuka i przełożył ręce za plecy. Miałem wątpliwości, czy w tej pozycji stało mu się wygodniej niż na baczność. – Co to znaczy „przyjazny areszt”?

Przełknął ślinę.

– Osoby poddane przyjaznemu aresztowi należy traktować z należyтым szacunkiem, ponadto zachowują one prawo do nienaruszalności swej osoby oraz uzbrojenia. Księga służbowa legionów, tom dwunasty, strona czterysta jeden, paragraf czternasty, „Regulacje odnośnie do traktowania osób będących szanowanymi osobistościami w razie ich aresztowania”, ustęp czwarty. Ser!

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem – uśmiechnął się pod nosem Varosch. – Wyuczycie się na pamięć wszystkich ksiąg służbowych, poruczniku?

Moją uwagę przykuł ruch za plecami żołnierza. Nadchodził bardzo wysoki i mocno zbudowany mężczyzna. Kiedy dwóch Węży Morskich zniosło z pokładu rannego marynarza, ustąpił na bok, a nawet pochylił się nad nim na chwilę, by z szerokim uśmiechem przybić mu piątkę, i zaraz się wyprostował, by niespiesznym krokiem podejść do nas. Jeden z czterech Byków jęknął głośno, wywołując tym pełen satysfakcji uśmieszek na twarzy przybysza, który miał na sobie długi, ciężki, granatowy płaszcz, opończę z kapturem, a u boku wąski miecz.

– Witaj, Neder – odezwał się drągał, na co porucznik aż się wzdrygnął. Przybysz nie tylko przewyższał mnie wzrostem, był również sporo szerszy; jeśli jego bary były prawdziwe, nie wypchane, musiał ważyć ze dwa razy tyle, co ja. – Zgubiliście drogę?

Porucznik sztabowy jęknął cicho i rzucił mi nieodgadnione spojrzenie, po czym się odwrócił.

– Santer... przychodzicie nie w porę. I bez was to nie jest łatwa sytuacja!

– Ależ skąd – odparł mężczyzna zwany Santerem i obrzucił wzrokiem naszą niewielką drużynę. – Pomogę wam ją uprościć.

Leandra wciągnęła ostro powietrze. Musiała zauważyć emblemat na piersi mężczyzny. Srebrny symbol sowy. Teraz dopiero widać było, że płaszcz nie był utkany ze zwykłego sukna, a z drobniutkich ogniw, połyskujących ciemnym granatowym odcieniem.

Sowa? Sądziłem, że już dawno ich nie ma!

Elgata parsknęła głośno śmiechem, wprawiając mnie w zdziwienie, i oparła się wygodnie o leżącą na kei belę sukna.

– Czego tu chcesz, Neder? – zapytał Santer, który zupełnie nie pasował do mojego wyobrażenia o legendarnych magach bojowych. Mężczyzna wyglądał, jakby wolał używać pięści, a nie magii, i czerpał z tego znacznie więcej radości.

– Santer, mistrz Antonis polecił mi doprowadzić serę Leandrę di Girancourt i generała przed oblicze Rady Handlowej. To z całą pewnością nie był mój pomysł!

– Mam taką nadzieję, Neder. – Santer uśmiechnął się groźnie, ukazując białe zęby. – Przekażcie mistrzowi Antonisowi, żeby zwrócił się z tym do inkwizytora. Ten rozpatrzy wniosek i poinformuje go o swojej decyzji.

– A więc porucznik przekracza swoje kompetencje? – zapytałam ogromnego mężczyzny.

– On nie, ale Rada owszem – wyjaśnił uprzejmie Santer. – Neder wolałby być teraz gdzieś zupełnie indziej, prawda?

– Ale... – zaczął bezradnie porucznik.

Wodziliśmy wzrokiem między nim a Santerem. Serafine dołączyła do Elgaty i oparła się obok niej o zwał sukna, krzyżując ręce na piersi i szykując się na interesujący spektakl.

– Neder. Ja wiem, że jesteście Bykiem i myślicie wyłącznie jajami. Ale mam dziś dobry humor, dlatego wam pomogę. Widzicie ten miecz u boku generała? To jest Ostrze Spójni. A ten miecz na plecach białowłosej sery? Ma rękojeść w kształcie głowy smoka, który patrzy na was, jakby chciał was pożreć, widzicie? To również jest Ostrze Spójni. Ponadto ona jest maestra. Miecze Spójni – cierpliwie klarował mu Santer tonem, jakim przemawia się do dzieci albo ludzi słabych na umyśle – to miecze, w których tkwi magia. Maestra jest uczoną w magii. Magia z kolei to sprawa Sów, a nie Rady Handlowej. Wyświadczyć mi przysługę, Neder: opuśćcie to miejsce, weźcie swoich czterech byczków i poinformujcie mistrza gildii, żeby wsadził sobie swoje rozkazy tam, gdzie nie chcą zaglądać nawet bogowie. Nie musicie wyrażać się dyplomatycznie, Neder. A teraz znikajcie.

– Santer. Ja...

Drągał uniósł brew.

– Wydawało mi się, że wyraziłem się dostatecznie jasno, by nawet Byk zrozumiał. Chcecie, żebym wyraził się jeszcze jaśniej?

– Nie, ser! – zapewnił pospiesznie porucznik, odwrócił się w naszą stronę i ponownie mi zasalutował. – Ser! Wybaczcie, że przeszkodziłem. Miałem rozkaz, generale!

Skinąłem głową wspaniałomyślnie i odsalutowałem w odpowiedzi. Śledziliśmy oddalającą się prędko piątkę Byków, odprowadzaną drwiącymi spojrzeniami.

Jeszcze nie zniknęli z pola widzenia, kiedy Elgata parsknęła śmiechem. Śmiała się tak serdecznie, że omal się nie popłakała.

– Santer! – zawołała i z całej siły walnęła mężczyznę w bark. – Ty stary sukinsynu! Cieszę się, że jeszcze żyjesz. Słyszałam, że twój statek zatonął, i modliłam się za ciebie!

– Nie było mnie na jego pokładzie – odpowiedział z uśmiechem Santer. – Dostałem awans na niańkę Sowy i nie mogę się już bawić z Wężami.

– To ty naprawdę jesteś Sową? – zapytała z niedowierzaniem Elgata. – Ledwie człowiek zniknie na kilka tygodni, a tu takie nowiny! Na wszystkie piekła, co ty masz wspólnego z Sowami?

– Później, Elgato – zbył ją Santer. – Jeśli chcesz usłyszeć tę historię, musisz najpierw postawić mi piwo. Nie jestem tu przypadkowo.

Uklonił się nam i zerknął na obserwującą go spokojnie z boku Zokorę.

– Rzeczywiście jesteście Sową? – spytała Leandra. Wyczuwałem jej podekscytowanie. – Myślałam, że Sów już nie ma... Cieszę się, że jest inaczej!

Santer uśmiechnął się.

– Tak, mamy znów w wieży maistrę. Ja jestem jedynie jej adiutantem. Maestra di Girancourt, prawda?

– Owszem, to ja.

– Mam wam przekazać, że prima Sów chciałaby was poznać. – Rzucił mi rozbawione spojrzenie. – Słyszałem o was, generale, a także o waszych druhach, i widzę, że nie ma w tym ani krzty przesady. – Omiótł nas wzrokiem. – Macie znakomity gust, jeśli chodzi o dobór towarzyszy! – Mrugnął do kobiet. – Czeka was jeszcze trochę korowodów, bowiem Desina, prima Sów, nie jest jedyną osobą, która chce z wami porozmawiać. Również komendant życzy sobie spotkać się z wami i zaplanował audiencję na jutrzejsze popołudnie. Najpierw jednak zaprowadzę was do pułkownika Orikesa, który chciałby zapoznać was z tym, co was czeka. Jest głównodowodzącym oficerem Piór i najbliższym doradcą komendanta. Następnie pokażemy wam wasze kwatery. Tam będziecie mogli wypocząć do jutra. I jeszcze jedno. – Ukłonił się z zaskakującą gracją. – Zwykle witamy naszych bohaterów i sojuszników przyjaźniej. Witajcie w Askirze, Wiecznym Mieście! A teraz, jeśli pozwolicie, chodźmy stąd. W cytadeli jest cieplej, a Orikes zwykł dobrze podejmować swoich gości.

– Jeden z naszych druhów jest ranny... – zacząłem, ale Santer przerwał mi skinieniem głowy.

– Zajęliśmy się tym. – Wskazał na duży czterokonny zaprzęg, który nadjechał wzdłuż kei. Na polakierowanych czarno drzwiach widniał złoty herb z kołem, kowadłem i młotem.

– Sowa poprosiła swojego dziadka, aby udostępnił wam swój powóz. Jest na tyle duży, że zmieści się w niej nawet Norman.

– Ach – odezwał się Angus, opadając na miękkie poduchy w powozie. – Tak lubię. U każdego boku piękna kobieta... Nie mogę narzekać, nawet jeśli żadna z was nie chciała ulec moim wdziękom!

– Bogom niech będą dzięki – rzuciła z żarem siedząca obok mnie Sieglinde. W niczym nie przypominała tamtej córki karczmarza, którą krok po kroku zacząłem tak bardzo cenić. Mógłbym przysiąc, że jest urodzoną bardką, ale przeznaczenie wybrało ją na nosicielkę Ostrza Spójni, Lodowego Pogromcy, miecza, w którym przez stulecia przetrwała dusza Serafine. Płowółosa wojowniczką przez pewien czas gościła w swoim ciele ducha Serafine. Kobiety połączyła bliska więź, a przez ostatnie dni na morzu niemal się nie rozstawały. Teraz, kiedy Angus z przesadą przewrócił oczami, wymieniły rozbawione spojrzenia.

– Nie wiecie, co tracicie – stwierdził Varlandczyk i nieskromnie pogładził brodę, splecioną w trzy porządne warkoczyki. Gdy przymknąć oczy na tatuaże na gładko wygolonej czaszce, można by go uznać za w miarę cywilizowanego.

Jak większość z nas miał na sobie skórzaną zbroję Węża Morskiego, choć jego napierśnik nie dopinał się po bokach. Między nogami trzymał topór, zaś w lewej ręce dzierżył niewielki antałek z piwem. Strzegł go zazdrośnie przez całą podróż z Gasalabadu do Askiru.

– Dlaczego nikt mnie nie obudził, kiedy przyszły te Byki? – poskarżył się i poprawił usztywnioną łupkami nogę. Miałem wrażenie, że zupełnie nie przejmował się swoimi obrażeniami, zdumiewająco dobrze radził też sobie z łupkami. – Nie możecie pozwalać mi na spanie, kiedy ktoś was aresztuje!

– Jak widzicie, możemy – odcięła się Sieglinde. – Wolałam już chrapanie, przynajmniej nie musiałam znosić wåtpliwych komplementów. – Pogłaskała dłonią rękojęść Lodowego Pogromcy. – Nawet się zastanawiałam, jak was zmusić do zamilknięcia. – Popatrzyła na Serafine. – Jak ty go zносиłaś?!

– Ma parę zalet – odparła Serafine, kiedy zaprzęg ruszył.

– Chętnie ci to udowodnię, jeśli poprosisz – dorzucił Angus i mrugnął do Sieglinde, która tylko przewróciła oczami.

– Varosch – zagadnęła Zokora – jesteś pewien, że byłoby niesprawiedliwie odciąć mu język?

– Tak – odparł z cieniem uśmiechu Varosch. – Zgrywanie zdobywcy damskich serc nie jest karalne.

– Szkoda – mruknęła Zokora i posłała Normanowi długie spojrzenie swych ciemnych oczu. Ponieważ nigdy nie było wiadomo, żartuje czy nie, Angus przełknął to, co miał na końcu języka.

Kołysanie powozu, przywodzące na myśl statek na wzburzonych falach, nie podobało się mojemu żołądkowi. Otworzyłem okno, chłonąc chłodne powietrze. Choroba morska dała mi mocno w kość i byłem rad, czując pod nogami twardy grunt. Teraz kołysało powozem.

Leandra oparła głowę o moje ramię, cicha i zamyślona. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Turkot żelaznych kół na bruku i stukot kopyt, parskanie koni i poskrzypywanie miękkiego zawieszenia zaprzęgu działały usypiająco. Moje ciało domagało się snu, ale nie umysł. Było na co patrzeć za oknem.

Pojazd toczył się powoli, woźnica musiał raz po raz wstrzymywać konie, bo nawet w nocy panował duży ruch. Wszędzie paliły się latarnie i pochodnie, a keja była oświetlona jak w dzień. Tylko wojskowa część portu była wielkości całego portu w Kelarze; okręt cumował przy okręcie, wszędzie coś naprawiano albo doposażano,

panowały gwar i rejwach, budzące wspomnienia o czarnym legionie na Wyspach Ognistych.

Ostatnio sporo rozmyślałem, bo poza czekaniem, aż „Tancerz Burzy” dopłynie do Askiru, i odpoczywaniem po znojach nie mieliśmy nic do roboty.

Żywioł może i pokrzyżował plany naszego wroga, ale nie łudziłem się, że to koniec wojny. Niezależnie od tego, jak wielkie straty poniósł przeciwnik, oznaczały, że tylko zyskaliśmy trochę na czasie.

Thalak nieśmiertelnego cesarza nekromanty okazał się o wiele większy i potężniejszy, niż obawialiśmy się w najczarniejszych wizjach. Podczas gdy w Starym Królestwie magia była tępiona i budziła lęk, a ktoś, kto wykazywał talent magiczny, prędzej kończył na stosie, niż otrzymywał odpowiednie wykształcenie, w Thalaku było inaczej.

Ich cesarz znalazł sposób, by przekazywać dar nekromancji, i umyślnie podsuwał łowcom dusz ofiary obdarzone talentem, przez co nowi nekromanci od razu dysponowali potężnymi zdolnościami.

Najgorsze jednak, że dalekie cesarstwo zbudowane zostało na wzór Starego Królestwa. Podczas gdy w naszej ojczyźnie siła armii opierała się na wcielanych przymusem chłopach i niewolnikach, żołnierze wroga na Wyspach Ognistych byli dobrze wyszkoleni i świetnie wyposażeni i w niczym nie ustępowali armii Starego Królestwa. Fanatyczna lojalność popleczników i żołnierzy cesarza nekromanty była zatrwajająca, tym bardziej że, jak się wydawało, byli gotowi bez wahania poświęcić się dla swego władcy, a każda śmierć w jego imieniu przybliżała go do celu: Kolaron chciał być bogiem.

Zokora wspomniała kiedyś o efekcie mrocznego lustra: wróg korzystał ze wszystkiego, co przyczyniło się do wielkości Starego Królestwa i Askiru, tyle że robił to przeciwko nam.

Dumałem tak i oglądając przez okno Askir, czułem na szyi ciepły oddech Leandry. W końcu zmęczenie zwyciężyło i zapadłem w drzemkę. Jak przez mgłę słyszałem jeszcze śmiech Sieglinde z czegoś, co powiedziała Serafine... i zasnąłem.

Leandra potrząsnęła mną, zamrugałem i zobaczyłem, jak przejeżdżamy przez przypominającą tunel bramę, strzeżoną przez legionistów. Turkot kół odbijał się od sklepienia. Wyjechaliśmy na wielki okrągły dziedziniec, okolony potężnymi murami, do których stóp tuliły się niższe budynki.

Po lewej stronie zauważyłem wieżę bez okien, której sensu nie rozumiałem, lecz kiedy zaprzęg zatoczył koło i ujrzałem cytadelę, aż mnie zatkało. Była to monumentalna warowna bryła, rotunda z białego kamienia, licząca co najmniej siedem wysokich pięter, o niezliczonych wąskich oknach zamykanych obronnymi

okiennicami. W większości już – a może jeszcze – paliły się światła, choć w oddali różowiła jutrzeńka. Przejazd trwał dłużej, niż się spodziewałem.

Żołnierz Piór, formacji wojskowej, która zajmowała się logistyką i zadaniami piśmienniczymi, otworzył drzwi, salutując.

Uderzyło mnie, że nikt szczególnie nie interesował się Zokorą. Wprawdzie ciemny kolor skóry nie był w Starym Królestwie niczym wyjątkowym, mimo to myślałem, że mroczna elfka będzie budziła ciekawość. Oboje z Varoschem postanowili, że udadzą się na spoczynek. Angus miał w głowie tylko szukanie najbliższej karczmy i rozczarował się, usłyszawszy, że w pobliżu nie ma żadnego otwartego wyszynku. Nagle złamana noga w ogóle mu nie przeszkadzała. Sieglinde grzecznie podziękowała, i tak za żołnierzem Piór podążyliśmy tylko Leandra, Serafine i ja.

Cytadela okazała się nie tak potężna, jak wyglądała na pierwszy rzut oka. Kiedy przeprowadzono nas przez bramę, przekonaliśmy się, że większą część terenu stanowi ogród. W bramie, zdolnej pomieścić obok siebie trzy zaprzęgi, żołnierz skierował się na lewo, ku żelaznym drzwiom. Minął czterech stojących tam Byków, taksujących mnie nieufnie wzrokiem. Nikt nie zasalutował. W sumie nie powinno mnie to dziwić, bo w takim miejscu musieliby nieustannie prężyć się przed oficerami. Wchodząc po szerokich schodach, minęliśmy dwóch kolejnych, którzy skinęli głowami, wyraźnie zastanawiając się, kim jestem.

Wspięliśmy się na samą górę, gdzie schody otwierały się na okazały podest. Tu stało na straży kolejnych czterech Byków. Przy stoliku siedział żołnierz Piór. Na nasz widok zerwał się i otworzył drzwi prowadzące na szeroki, oświetlony magicznymi kulami korytarz.

Kolejne strzeżone drzwi i dotarliśmy wreszcie do celu.

2

ORIKES

Znaleźliśmy się w ciągu pomieszczeń, które ani trochę nie odpowiadały moim wyobrażeniom o kwaterze wysokiego rangą oficera. Stanęliśmy w wyłożonym kobiercami salonie. Dwa duże okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec i miały niewiele wspólnego z okienkami strzelniczymi, jakie znaleźliśmy z innych imperialnych budowli. Między oknami na pulpicie stał mały ołtarzyk z symbolem Borona, zaś resztę wyposażenia stanowił niski stolik i wygodne, obite skórą fotele. Ściany zakrywały regały, zawierające więcej książek i tomów, niż widziałem w życiu.

Przez chwilę byliśmy sami, ale zaraz po lewej stronie otworzyły się drzwi i do środka wszedł oficer, nieznacznie ukłonił się kobietom i zmierzył nas zaciekawionym spojrzeniem.

Mężczyzna nie był zbyt wysoki, za to krępy, miał krótko obcięte włosy o odcieniu lodowej szarości. Pod krzaczastymi brwiami błyszcząły szaroniebieskie oczy, a uśmiech był przyjazny.

Pomijając krótkie włosy i mięśnie, zdradzające, że nawykł do noszenia ciężkiej zbroi płytowej, przypominał bardziej kapłana niż wojownika. Nie zasalutował, ale przywitał mnie zaskakująco mocnym uściskiem dłoni. Kobietom grzecznie się ukłonił. Wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt lat, ale trzymał się prosto i poruszał z lekkością młodzieńca.

– Pułkownik sztabowy Orikes – przedstawił się i wskazał ręką na fotele ustawione wokół stolika. Na błyszczącym blacie stała misa ze świeżymi owocami, a na srebrnej tacy dwa duże parujące dzbanki z wypalanej gliny i kilka kubków, a nawet czarka z cukrem trzcinowym.

– Zdaję sobie sprawę, jak bardzo musicie być zmęczeni, dlatego pozwoliłem sobie podać świeże kafe i trochę owoców. Częstujcie się, jeśli macie ochotę.

Stał, zacierając dłonie, a kiedy się rozlokowaliśmy, usiadł tak, by móc ogarnąć wzrokiem całą naszą trójkę. Rozpruwacz Dusz i Kamienne Serce stały obok nas, lecz on zaszczycił miecze jedynie przelotnym spojrzeniem i pochylił się do przodu, żeby przyjrzeć się nam uważnie.

– Spływają do mnie wszystkie raporty przychodzące do królestwa. Wybaczcie, że pominię protokół, lecz mam wrażenie, jakbym znał was od dawna. Mamy tu generała zaginionego legionu, potężną maistrę, która włada piorunami jak nikt inny, by nie zapomnieć o cudem odrodzonej Serafine, córce Wody, zarządczyni arsenału Drugiego

Legionu, legendarnej postaci, po której spodziewano się, że pewnego dnia zasiądzie na tronie, a nie umrze w zimnej jaskini, by po ponownych narodzinach znaleźć się tutaj. – Odchylił się do tyłu i rozpromienił. – Wiem, kto pisze raporty, wiem również, że mogę wam ufać, choć muszę przyznać, że to i owo wydaje mi się niewiarygodne. – Wskazał ręką na misę i dzbanki. – Kafe albo owoców? Częstujcie się, to nie jest przesłuchanie, a przyjacielska narada.

– Ehm... – zacząłem i spojrzałem bezradnie na Leandrę, która wyglądała na równie przytłoczoną tym powitaniem, co ja. Tylko Serafine zdawała się przyjmować wszystko z naturalną swobodą.

– Za dużo naraz? – zapytał Orikes, kiedy Leandra również się zawahała. – Po prostu zbyt długo musiałem na was czekać – wyjaśnił i zaśmiał się cicho. – Dobrze więc, w takim razie może będę zadawał pytania?

– Jeśli i wy wyjaśnicie nam parę kwestii – zgodziła się Leandra. Sięgnąłem po dzbanek i pytająco popatrzyłem na damy. Obydwie skinęły głowami, rozlałem więc parujący napój do czterech kubków.

– Zaczniemy od jednego – powiedziałem, podsuwając kubek pułkownikowi. – Czy dziesięć dni temu miał miejsce magiczny atak na miasto?

Zamrugał oczami i natychmiast spoważniał.

– Tak. Wróg próbował otworzyć w mieście portal prowadzący na drugi koniec świata. Udało się udaremnić atak, niszcząc część wrogich oddziałów. – Ujął w dłonie gorący kubek i obrócił go w palcach. – Skąd o tym wiecie, generale?

– Od księcia Celana. Jak udało się odeprzeć atak?

– Łatwo nie było – odparł wymijająco pułkownik. – Potrzeba było szczęścia i ofiar, gdyż atak planowano od dawna. W krytycznym momencie sytuacja wydawała nam się beznadziejna.

– Udało się pojmać agentów cesarza nekromanty? – zapytała Leandra. – A może należy przyjąć, że są liczni i nadal aktywni? Ustaliliście, kto wspierał wroga, i czy możecie powiedzieć...

Orikes zakasłał dyskretnie i uniósł dłoń, by jej przerwać.

– Wybaczcie, maestro, ale czy pozwolicie, abym to ja najpierw zapytał o kilka spraw? – zapytał uprzejmie.

– Pytajcie – zgodziła się Leandra.

Okazało się, że Orikes miał całkiem sporo pytań. Zaczął od tego, co się stało w gospodzie Pod Głowomłotem, a następnie przeszedł do wydarzeń w Gasalabadzie. Nie wiem, jak to osiągnął, ale już po pół świecy poczułem się, jakbyśmy opowiadali o naszych przygodach staremu przyjacielowi. Nawet Leandra śmiała się i żartowała,

jak gdyby znała go od niepamiętnych czasów. Ani na chwilę nie tracił wątku, zaś jego precyzyjne pytania świadczyły, że wnikliwie studiował każdy raport.

Czas mijał, jakiś żołnierz przyniósł świeżą kawę po raz drugi i trzeci, i dopiero gdy już naprawdę nie byłem w stanie powstrzymać ziewania, Orikes przestał nas wypytywać.

– Widzę – przyznał ze skruchą, kiedy opowiedzieliśmy o uwolnieniu księżniczki Marinae i ponownych narodzinach Serafine – że to potrwa dłużej, niż sądziłem. – Rzucił spojrzenie za okno, gdzie już dawno było jasno. – Nie chcę was dłużej świdrować pytaniami, komendant oczekuje was za kilka świec, a jestem pewien, że chcecie chwilę odpocząć i zażyć spokoju. – Odchylił się do tyłu i pomasaował skronie; on również był zmęczony. – Komendant jest człowiekiem surowym, ale sprawiedliwym, o umyśle tak bystrym, że nie należy go lekceważyć. Ja też będę obecny na tym spotkaniu, lecz już teraz dam wam jedną radę: on potrafi wyczuć, kiedy próbuje się coś przed nim ukryć, za to prawdę i otwartość docenia w niemal brutalny sposób. Na pewno zapyta o to, do czego ja jeszcze nie dotarłem, a mianowicie jak doszło do tego wybuchu wulkanu. Odpowiedzcie mu jak najszczerzej. – Powędrował wzrokiem ku Leandrze, która nagle się ożywiła. – Rozumie działanie magii, nie obawiajcie się zatem przedstawić mu rzecz także od tej strony. Skonfrontowanie się z tym zarzutem jest ważne, gdyż jeśli zostaniecie obciążeni odpowiedzialnością za tę katastrofę, podważy wszystko, o co walczyacie i za co tyle wycierpieliście. Tutaj niewielu jeszcze zdaje sobie sprawę ze skali zagrożenia ze strony Thalaku, za to wszyscy szukają winnego katastrofy.

– Pułkowniku... – zaczęła Leandra, ale on znowu uniósł rękę.

– Obiecuję, że otrzymacie odpowiedzi na wasze pytania. Goni nas czas, więc odpowiem wam na razie na te pytania, które już zadałyście. – Wziął głęboki wdech. – Zdemaskowano i rozbito część siatki agentów wroga. Lecz w tej chwili musimy przyjąć, że w mieście jest przynajmniej jeden lub więcej nekromantów, a także innych agentów pracujących dla wroga. Zarzut, że to wy odpowiadacie za wybuch wulkanu, nie wziął się znikąd. Możliwe, że ktoś się wygadał, ale tylko niewielu wie, jaką rolę w tym odegraliście. Jednak to was wskazywano palcami, jeszcze zanim „Tancerz Burzy” wziął was na pokład. Te głosy zyskują w Radzie Handlowej coraz większy posłuch. A to właśnie Rada rządzi miastem i nawet komendant ma trudności, by się jej sprzeciwić. I jeszcze jedno: życie pokazało w brutalny sposób, że nie ma nikogo, komu można w pełni ufać. Wróg ma sposoby, by skusić, zmanipulować lub zaślepić najbardziej oddanych ludzi. Zaledwie dwa dni temu miał miejsce zamach na Sowę dokonany przez jednego z naszych żołnierzy. Był wierny cesarzowi i w jego głowie nawet nie powstała myśl o zabójstwie. Co gorsza, nawet nie pamiętał tego, co zrobił.

Muszę was uczulić: nie możecie być pewni, że jesteście tutaj bezpieczni. Wróg jest bez wątpienia zainteresowany usunięciem was.

– Zachęcające słowa – stwierdziła cierpko Leandra. Pułkownik skinął głową, nieskory do uśmicheu.

– Lepszych nie mam – powiedział i wstał.

Dziwna audiencja dobiegła końca.

PRZYJACIELSKA PRZYSŁUGA

Na siódmym piętrze cytadeli znajdowały się prywatne pokoje komendanta i innych ważnych oficerów. W całym królestwie nie było bezpieczniejszego miejsca. Właśnie dlatego zastanawiało mnie, dlaczego naszej trójce przydzielono kwatery właśnie tutaj. Miało to jedną dobrą stronę: Leandra z łatwością dała się przekonać, by dzielić ze mną pokój.

– Zauważyłeś coś? – zapytała, powstrzymując ziewanie. Niedbale postawiła Kamienne Serce, zrzuciła z siebie ubranie i usiadła na szerokim łożu.

– Zauważyłem, że komnaty przypominają rozkładem kwaterę pułkownika. Ale są skromniejsze. Dobra wiadomość jest taka, że mają tu te wspaniałe łazienki, które tak lubisz.

– Dobrze wiedzieć – ucieszyła się i rozciągnęła na łożku. – Ale nie to miałam na myśli. Pułkownik wypytywał mnie i Serafine, która wyraźnie go fascynuje. A tobie zadawał niewiele pytań.

– Może na mnie przyjdzie kolej później – wysnułem przypuszczenie i położyłem się obok niej. – My...

Ciche chrapanie sprawiło, że urwałem, i wywołało uśmiech na mej twarzy. Do audiencji zostało tylko pięć świec, ale pułkownik obiecał, że każe obudzić nas w porę. Podłożyłem poduszkę pod głowę, przykryłem nas i zasnąłem.

Obudziła mnie Serafine. Leandra mruknęła coś i wtuliła się w pościel. Złapałem się czegoś, by nie wypaść z hamaka, jak często zdarzało mi się na pokładzie „Śnieżnego Ptaka”. Z ulgą jednak stwierdziłem, że łożko się nie kołysze.

– Co się dzieje? – zapytałem i otrząsnąłem się jak mokry pies, przeganiając strzępy czarnego snu. – Już pora?

– Nie – odparła cicho Serafine. – Daj jej spać. Chodzi o Angusa.

Stłumiłem jęk. W Gasalabadzie Angus okazał się więcej niż przydatny, a w porcie przemytników, kiedy zatłukł bojową bestię z Thalaku, prawdopodobnie uratował życie mnie i Serafine, ale miał skłonności do popadania w kłopoty.

– Wybrali się z Sieglinde na poszukiwania dobrego piwa i znaleźli tawernę, do której zagląдают Varlandczycy. Doszło do sprzeczki i przyszli żołnierze, żeby go zaaresztować. Jest w celi w komendanturze portu.

– Z powodu bójk? – dopytywałem znużony, sięgając po koszulę. Spuściłem głowę i pomasaowałem sobie kark. Miałem ochotę przekląć i wysłać Angusa do piekieł Soltara, a potem spać dalej.

– Nie całkiem – zaprzeczyła Serafine. – Nie z powodu bójk. Jeden z Varlandczyków rzekomo go rozpoznał i zarzucił mu zdradę i tchórzostwo. Węże Morskie aresztowały Angusa, ale wezwanie przyszło z ambasady Varlandu w Askirze. Tym razem nie chodzi o miłosne przygody, on jest w poważnych tarapatach. Sieglinde przyszła mi o tym powiedzieć. Twierdzi, że nic nie da się zrobić.

Zaczęło mnie łupać w czaszce. Z butem w ręku podniosłem wzrok.

– Obawiam się, że ma rację. Nie możemy nic zrobić – powiedziałem cicho, nie chcąc zbudzić Leandry. Za późno. Podniosła głowę i usiadła.

– Istotnie, to byłby błąd – odezwała się. Wyglądała na zasną, ale jej głos był klarowny i zdecydowany. – Będziemy potrzebować wsparcia Varlandu w tej wojnie, więc lepiej ich nie drażnić. Angus sam jest sobie winien. Cokolwiek zrobił, to nie jest nasze zmartwienie.

Popatrzyłem na nią zaskoczony.

– Był gotów umrzeć za ciebie, Leandro – przypomniałem.

Błyskawicznie odwróciła głowę w moją stronę i zgromiła mnie spojrzeniem żarzących się czerwienią oczu.

– Ale ja nie jestem gotowa narażać dla niego mojej misji, Havaldzie! Tu chodzi o coś większego. Stał się dla nas ciężarem, jak te wszy, które dostaliśmy od niego aż w nadmiarze! Od samego początku siał niezgodę, niezadowolenie i przysparzał kłopotów! Jeśli Varlandczycy go powieszą, to sam temu zawinił. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie!

Jej wybuch wprowadził mnie w zdumienie.

– Nie wiedziałem, że masz o nim tak złe mniemanie.

– To twój przyjaciel, Havaldzie, nie mój. Tolerowałam go, ale kosztowało mnie to sporo wysiłku. Gdyby nie ty, nie zniosłabym go dłużej w swoim pobliżu. Nie cierpię go i musisz to zaakceptować, Havaldzie, czy ci się to podoba, czy nie!

– On nie jest moim przyjacielem – zaprzeczyłem łagodnie, choć z trudem nad sobą panowałem. To prawda, w Angusie było coś, co wydawało się fałszywe, nie mogłem mu w pełni zaufać.

– Dobrze. W takim razie nie widzę problemu. Komendant spodziewa się nas wkrótce, to jest ważniejsze. Nie życzę Angusowi źle, ale sam sobie nawarzył tego piwa.

– On nie wahał się ani chwili, żeby się za tobą wstawić, Leandro – wtrąciła się Serafine, przyglądając jej się ze zdumieniem.

– To była jego decyzja. Nie prosiłam go o to. – Popatrzyła na mnie pałającym wzrokiem. – Opuść go sobie, Havaldzie, mamy wystarczająco dużo innych problemów!

Ociągałem się przez dłuższą chwilę, w końcu wstałem i sięgnąłem po Porywacza Dusz.

– Nie mogę – oświadczyłem. – Jest naszym druhem.

– Jest *twoim* druhem, Havaldzie – odarła i rzuciła się z powrotem na łóżko. – Rób, co chcesz. Ale postaraj się, żeby nie zagroził naszej misji!

– Leandro – zacząłem, ale ucięła mi w pół słowa.

– Chcę być wypoczęta, kiedy pójdziemy na audiencję. Najważniejszym krokiem do pokonania Thalaku jest przekonanie komendanta. Nie dam się nikomu zatrzymać. – Zamknęła oczy. – Idźcie – dorzuciła. – I dajcie mi spać.

– Nie znałam jej takiej – zauważyła Serafine, zamykając drzwi. – Co się z nią stało?

Zaczekałem z odpowiedzią, by nie mogli nas usłyszeć strażnicy.

– Myślę – odparłem – że to ma coś wspólnego z Kamiennym Sercem. Przysięgła na miecz, że wypełni tę misję, a wiesz przecież, jakie jest Kamienne Serce.

Skinęła głową.

– Kiedy Leandra była w niewoli, nosiłam ten miecz, bo nikt inny nie był do tego zdolny. Ja... to czułam. Miałam wrażenie, że ktoś ciągle zagląda mi przez ramię i potępia wszystko, co robię i myślę.

Potrafiłem to sobie doskonale wyobrazić. Ciemne rubinowe ślepia od samego początku lustrowały mnie pogardliwie.

– Wyciągnęłaś go z pochwy? – zapytałem.

– Przypuszczam, że byłabym do tego zdolna – odpowiedziała po krótkim namyśle, kiedy zbiegaliśmy po schodach. – Ale nie chciałam. Znam Lodowego Pogromcę i widziałam, co potrafi zrobić Rozpruwacz Dusz, ale Kamienne Serce jest inne. Ono dotyka serca. Ty nawet z Rozpruwaczem Dusz potrafisz okazać łaskę, Leandra nie. Poza tym obawiam się, że Kamienne Serce nie tylko traktuje tę przysięgę jak swoją własną misję, ale każdą decyzję rozumie jako swoje zadanie. – Zatrzymała się na stopniu. – Nie pozostawia swemu nosicielowi zbyt wielkiej swobody ruchów, to mam na myśli.

Pokiwałem powoli głową. Rozpruwacz Dusz pod wieloma względami był straszliwą bronią, on również wpływał na moje postępowanie, ale nie aż tak. Każdy z tych mieczy był w moich oczach przekleństwem, nie błogosławieństwem.

– Jak to jest z Lodowym Pogromcą? – zapytałem. – On też jest taki zły?

– Ona – powiedziała Serafine. – To Pogromczyni. I nie. Ona... nie jest tak tępo zmierzająca do celu, za to o wiele bardziej zdolna się przystosować. Jest raczej

przyjazną istotą.

– To dziwne mówić tak o mieczu – zauważyłem, kiedy przekraczaliśmy dziedziniec. – Myślisz, że on... ona żyje?

– Nie wiem, ale na pewno jest przepełniona życiem – odpowiedziała Serafine. – Przechowywała nas w sobie. To było jak długi, chłodny sen. Nie pozwoliła, aby nasze dusze zamarły. Trudno to opisać i nie chciałabym przeżyć tego jeszcze raz, ale ona jest dobra. Zależy jej bardziej na chronieniu niż zabijaniu.

Gdy pomyślałem, jak pożądliwie Rozpruwacz Dusz odbierał życia, musiałem przyznać, że to rzeczywiście dziwne, jak Serafine mówiła o swoim Ostrzu Spójni. Przez chwilę żałowałem, że włożono mi wtedy w ręce Rozpruwacza, a nie Lodowego Pogromcę.

– Lodowy Pogromca bardzo dobrze pasował do Erbila – powiedziała cicho Serafine, jakby czytała w moich myślach. – To był jego miecz. To, że ty nosisz inny, z pewnością ma jakąś przyczynę.

Maszerowaliśmy dziarskim krokiem, toteż droga do garnizonu portowego trwała znacznie krócej niż jazda powozem. Z niepokojem patrzyłem na wschodzące słońce. Jeszcze mieliśmy czas, ale niezbyt dużo. Straże garnizonowe nie były zachwycone moim widokiem; żołnierze odpowiedzieli na salut, ale podejrzliwie obrzucili wzrokiem mój mundur i posłali po oficera dyżurnego.

Drobna kobieta o uważnym spojrzeniu przedstawiła się jako major miecza Rikin. Wysłuchała nas i oszczędnym gestem nakazała pójść za nią.

– Elgata wychwala was pod niebiosa – stwierdziła, prowadząc nas schodami w dół, a potem długim korytarzem. – Sama wasza ranga to za mało, by dopuścić was do więzienia. Przesądziło wstawiennictwo Elgaty. – Nie zwalnając kroku, machnęła ręką kapralowi, który otworzył ciężkie stalowe drzwi. Za nimi, w ascetycznej celi bez okien siedział na pryczy przygnębiony Angus, z głową podpartą rękoma. Usłyszawszy szcęk zamka, podniósł wzrok i wybałuszył oczy z niedowierzaniem.

– Macie kwartę świecy, nie więcej – rzuciła major i zamknęła za nami drzwi celi.

– Havalld – zawołał zdumiony Norman, podchodząc bliżej. – Nie sądziłem, że jeszcze znajdziesz dla mnie czas! – Nie zaszedł daleko; zatrzymał go brzęczący łańcuch obejmujący jego lewą kostkę.

– Usiądź – poleciłem. – Naprawdę nie mamy zbyt wiele czasu. Przyszedłem wysłuchać, co masz do powiedzenia. Nie trać czasu i oszczędzaj słowa! Czy dopuściłeś się tego, co ci zarzucają? Tak czy nie?

Usiadł i popatrzył na mnie z miną cierpiętnika.

– Obawiam się, że tak.

Westchnąłem. Spodziewałem się tego, choć miałem nadzieję, że jest inaczej.

– Co się stało?

– Dawno temu w mojej ojczyźnie byłem poważanym wojownikiem Klanu Wilka – zaczął. – Książę mego ludu, najmłodszy z pięciu braci, zamierzał wyprawić się w świat i szukał dziesięciu najlepszych wojowników w całym kraju, którzy mieli stworzyć jego gwardię przyboczną. Walka o ten zaszczyt była twarda, ale szczęście mi sprzyjało i zostałem wybrany jako ostatni z dziesięciu śmiałków, gotowych oddać życie za księcia. Jako odznakę dostałem bransoletę i odprowadzany zazdrośnie wieloma spojrzzeniami, z dumą wstąpiłem na pokład. Ach, Havaldzie – westchnął – to był chlubny dzień, najwspanialszy w moim życiu! Ale prędko okazało się, że wyprawa stoi pod nieszczęśliwą gwiazdą. Pierwszy etap podróży przebiegł zgodnie z planem, lecz tuż przed Aldarem zaczęły się nieszczęścia. Złamał się nam maszt i musieliśmy czekać w Aldarze na nowy. W końcu wypłynęliśmy cztery tygodnie po czasie, lecz zaczął się już okres sztormów. Burza dosięgła nas tuż przed Janasem, a kiedy chmury się rozeszły, okazało się, że bogowie muszą z nas drwić, gdyż nasz nowy maszt też się złamał, a sam okręt był tak rozbity, że ledwie unosił się na wodzie, na horyzoncie zaś ujrzeliśmy piracki żagiel. W innych okolicznościach śmialibyśmy się z tego, ale na widok pokiereszowanego statku morskie hieny nagle nabrały odwagi. – Spuścił wzrok, zacisnął pięści i poluźnił je z trudem, po czym ciągnął chrapliwym głosem: – Nie wszystko było stracone. Piraci mieli tylko dwa statki i postanowiliśmy je zaatakować, wyprzedzając ich atak. Po dziesięciu naszych zaczęło się w wodzie, a kiedy piraci podpłynęli bliżej, wspięliśmy się po wiosłach i wtargnęliśmy na pokłady. Dziesięciu przeciwko setce albo więcej... Nigdy później nie widziałem takiej walki! Przeżył tylko książę, ciężko ranny, oprócz niego ja oraz dwóch kamratów. Zwyciężyliśmy, nawet gdyby tamci dwaj nie przeżyli. Drugi z okrętów stał w płomieniach i już mieliśmy wiwatować, kiedy pojawił się trzeci. Zyskaliśmy trochę czasu, ścinając maszt. Książę kazał spuścić wiosła i dał rozkaz do ataku. Zobaczyłem jeszcze, jak wskazuje na wroga, i wtedy spotkało mnie nieszczęście. Pękła nadwyrężona lina i dostałem spadającą reją, która o mało nie posłała mnie prosto w ramiona Soltara. Kiedy się ocknąłem, moi druhowie nie żyli, a ja byłem sam na statku pełnym trupów. Po druhach i księciu nie było śladu. Nie wiem, jak dopłynąłem do brzegu, ale jakoś mi się udało. Błąkałem się przez wiele tygodni, aż dotarłem do Gasalabadu, miasta tak obcego jak żadne inne. Tam spotkałem ziomka z mego kraju, a on opowiedział mi, że księcia spotkała śmierć. Szczątki jego statku znaleziono roztrzaskane na wybrzeżu. – W oczach zakreśliły mu się łzy, wargi drżały. Sięgnął po moją rękę i ścisnął tak mocno, że zacząłem obawiać się o swoje kości, ale nie chciałem jej zabierać. Z trudem, łamiącym się głosem, kontynuował: – Przynależę wszystkim bogom, że umrę przed księciem. To hańba, że stało się inaczej, hańba tak straszliwa, że nie ma sobie

równych. Żaden Norman nie może z nią dalej żyć, postanowiłem zatem zakończyć swój żywot. I okryłem się kolejną hańbą, bo nie potrafiłem tego zrobić. To, co uczyniłem, przyjacielu Havaldzie, jest najgorszą ze zbrodni: wystraszyłem się śmierci i pozwoliłem księciu umrzeć przede mną. – Pomału pokręcił głową i popatrzył na mnie wiernymi oczami psa. – Jestem winien, Havaldzie, i nawet ty nie możesz nic zrobić. Jestem rad, że umrę. Odrazą napawa mnie mój brak odwagi, by samemu wykonać wyrok.

– To dlatego tak bardzo chciałeś zginąć w walce – powiedziała cicho Serafine.

Próbowałem zrozumieć jego słowa.

– Tak – odpowiedział ledwie słyszalnie. – To tu leży źródło moich przechwałek, tak samo jak pogoni za miłośkami. Cięży mi hańba i przeraża mnie śmierć, a jednak to jest jak uzależnienie. Tylko między nogami kobiety czuję, że żyję i mogę oddać się zapomnieniu, na jedną chwalebłą chwilę! Tylko tam znajduję wyzwolenie, na krótki czas, póki nie wróci rozpacz! – Westchnął długo i głęboko. – To prawda, Havaldzie – przyznał. – Jestem rad, że się to wreszcie skończy. – Wstał i popatrzył na mnie z oddaniem. – Wybaczysz mi, że cię zwodziłem? – zapytał cicho.

– Nie mam co wybaczać – odrzekłem. – Wobec nas dotrzymałeś wszystkich przysiąg, przyjacielu.

– Naprawdę nim jestem? – zapytał z ociąganiem. – Twoim przyjacielem?

– Tak, jesteś – potwierdziłem i były to szczerze słowa. Już dawno wiedziałem, że coś przed nami skrywał, odgrywał jakąś dziecinną i przesadną rolę. Serafine też to już dawno dostrzegła. Teraz, gdy wiedziałem, na czym polegała jego „zbrodnia”, rozumiałem go aż za dobrze. Miałem świadomość, jak gorzko smakują rozpacz i zwątpienie, gdy trzeba żyć dalej, chociaż inni, którzy powinni żyć, przed tobą odeszli do Soltara.

Przełknął ślinę, podszedł do mnie i objął. Trzymałem go płaczącego.

Major Rikin w milczeniu otworzyła drzwi celi, a sądząc po jej spojrzeniu, wszystko słyszała. Nic nie powiedziała, a mnie nie przyszło do głowy, co mógłbym więcej rzec. W drzwiach przystanąłem, odwróciłem się i zobaczyłem, jak Serafine obejmuje Angusa. Pokiwał głową i uśmiechnął się z wysiłkiem, kiedy coś mu szeptała do ucha.

Odsunęła się od niego i podeszła do mnie. Angus spojrzał na Rikin.

– Zabraliście mi antałek, który nie jest mój – powiedział z błagalną nutą w głosie. – To prezent dla tego człowieka, Havalda. Sera major, czy spełnicie moje życzenie i przekażecie go jemu?

– Tak zrobię, Normanie – obiecała mu, a on skinął głową z wdzięcznością. Spojrzał na mnie.

– Nie ma lepszego piwa na świecie, przyjacielu! Przyjmij mój dar, otwórz beczułkę jeszcze dziś, wypij za mnie i bądź pewien, że nikt inny nie zasługuje na to piwo bardziej od ciebie. Przekazuję ci w spadku zawartość tego antałka, to jedyna wartościowa rzecz, jaką jeszcze posiadam. A jeśli Soltar zechce, będę ci służył w następnym życiu.

Co miałem powiedzieć?

– Wypiję za ciebie – obiecałem. – Niech cię bogowie prowadzą, przyjacielu.

Rikin dała znak kapralowi. Zamknął drzwi. Odchodząc powolnym krokiem, słyszeliśmy płacz Angusa.

– Tego się nie spodziewałem – powiedziałem chrapliwie, kiedy z beczułką Angusa pod pachą zamrugałem na słońcu.

Wszystko to nie trwało długo, a ja miałem wrażenie, że upłynęła cała wieczność. Mogliśmy jeszcze wrócić do cytadeli, może nawet zdążyłbym wziąć kąpiel i się ogolić.

– Niemal się wstydzę, że mu nie ufałem.

Serafine zrównała ze mną krok i dotknęła lekko mej ręki, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Nie możesz dźwigać wszystkiego, Havaldzie. Niektóre rzeczy są, jakie są. Sam słyszałeś, co powiedział. On ma nadzieję, że w końcu zazna spokoju.

– Wydaje mi się to niesprawiedliwe – stwierdziłem. – Nie uczynił niczego, co wymagałoby kary. Tylko Normanowie tak uważają, i on sam. Nie mogę nazywać zbrodnią tego, że ktoś dalej żyje, choć inni umarli, inaczej sam musiałbym siebie potępić.

– A nie potępiasz? – zapytała z wahaniem.

– Kiedyś tak było. Teraz już nie. Mam nadzieję, że u kresu mej podróży bóg pokaże mi sens tego wszystkiego, jednak już teraz czuję, że ten sens istnieje.

Zatrzymała się i popatrzyła na mnie zaskoczona.

– Mówisz poważnie, Havaldzie?

– Tak – odparłem. – Mówiłem ci przecież, że zawarłem pokój z Soltarem.

– I słusznie, bo nie jest dobrze mieć na pieńku ze swoim bogiem. – Popukała w antałek. – Zaprosisz mnie, kiedy go otworzysz?

Beczłka była chyba nie całkiem pełna, bo wydała głuchy odgłos, ale sądząc po ciężarze, zawierała więcej niż jeden kufel.

– Nie musisz pytać.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach.

– Co z Angusem? – zapytała Leandra, kiedy zamknąłem za sobą drzwi do sypialni. Siedziała na łóżku i przymierzała nową perukę. – To nie jest tak – ciągnęła, kiedy nie

odpowiedziałem – że gardzę wszystkim, co reprezentuje ten mężczyzna, ale w końcu trzeba powiedzieć dosyć, a on już nam sprawił wystarczająco problemów.

– Już nie będzie cię dłużej nękał – oświadczyłem, postawiłem antałek na stoliku koło drzwi i poszedłem do łazienki.

– Havaldzie, ja... – zaczęła, ale zamknąłem drzwi.

Wystarczyło jeszcze czasu na golenie. Wycierałem twarz, kiedy do drzwi zapukał żołnierz Piór, by poinformować, że komendant będzie miał zaraz dla nas czas, sugerując grzecznie, że byłoby lepiej, abyśmy byli gotowi.

Leandra przebrała się w swoją starą zbroję z symbolem gryfa. Reszta jej stroju, w tym długa do ziemi opończa, wykonana była z nowej, miękkiej i białej jak śnieg skóry. Nigdy wcześniej nie widziałem u niej tych rzeczy. Z peruki zrezygnowała; leżała rzucona niedbale pod ścianą. Zauważyłem obok na podłodze trzy spinki do włosów. Na Wyspach Ognistych oboje doznaliśmy dotkliwych oparzeń, ale dzięki talentom Zokory wyzdrowieliśmy niemal całkowicie. Nowy naskórek wyglądał jaśniej od starego; ja byłem w plamy, ale Leandra znalazła sposób, by nadać nowej skórze smagły odcień. Kontrast z białymi włosami był fascynujący.

Leandra zamknęła drzwi za żołnierzem i oparła się o nie, by zmierzyć mnie przenikliwym spojrzeniem. Miałem na sobie mundur generała legionów, wypucowane kozaki, zaprałem nawet nową plamę; nie mogła mi mieć nic do zarzucenia.

– Co z Angusem? – powtórzyła tonem zdradzającym, jak wiele wysiłku kosztowało ją zachowanie spokoju. Nie do końca jej się to udało. Po ciele przebiegły jej iskierki, których chyba nawet nie zauważyła.

– Jest winien, czeka go egzekucja i nie stanowi już żadnego zagrożenia dla twojej misji – poinformowałem ją. – Twoje obawy były nieuzasadnione.

– Mogłoby się okazać dla nas niekorzystne, gdyby...

– Nie – przerwałem. – To nie ma nic wspólnego z nami i z tobą, to coś z jego przeszłości. Coś, co Varlandczycy lubią załatwiać między sobą.

– Dlaczego jesteś na mnie wściekły? – zapytała. O to samo mogłem zapytać i ją, choć byłby to daremny trud.

– Nie jestem wściekły – odparłem, zaciskając zęby. – Nie na ciebie. Idziemy? – Rubinowe ślepie Kamienego Serca popatrzyły na mnie szyderczo znad jej ramienia. Nie możesz wygrać, mówiły, byłeś na straconej pozycji, zanim w ogóle ją ujrzałeś, bo ona jest *moja*.

– Owszem, jesteś. Wyjaśnij mi dlaczego. Wiesz, jak ważna jest moja misja. – *Jej* misja, już nie nasza.

– Są w życiu rzeczy, które pozostają ważne nawet wtedy, gdy ma się do spełnienia misję. – Nie chciałem się w to wdawać, choć z trudem się powstrzymałem. –

Czasami żałuję, że cię nie poznałem, zanim złożyłaś przysięgę na ten miecz. Kamienne Serce cię zmienia, Leandro.

– Mylisz się – odpowiedziała wyniośle. – Gdyby nie ta misja, w ogóle byśmy się nie poznali. A to, że trwasz w konflikcie ze swoim mieczem i złorzeczysz na swój los, nie oznacza jeszcze, że ze mną jest tak samo. Kamienne Serce i ja jesteśmy jednym, i tak powinno być, bo do tego zostały stworzone te ostrza.

To nie miało sensu. Równie dobrze mógłbym gadać do ściany.

– Powinniśmy już iść – przypomniałem jej. – Byłoby ze szkodą dla misji, gdybyśmy zrobili złe wrażenie, spóźniając się.

– Masz rację – przyznała. – Nie możemy do tego dopuścić.

Tak.

4

KOMENDANT

Przybyliśmy na czas. Ledwie żołnierz Piór wprowadził nas do przedsionka, gdzie czekał już na nas pułkownik Orikes, z drugiej strony otworzyły się drzwi i adiutant zaprosił nas do środka.

Są ludzie, których wygląd zdradza, kim są. Główny komendant Keralos, zarządzający Askirem, dowódca legionów, być może najpotężniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek będzie mi dane znać, był żołnierzem. Szczupły i wysoki, o szarych niczym lód włosach, szarych oczach i spojrzeniu orła, był ubrany w zwykłe, szare ubranie, bez jakichkolwiek insygniów władzy. I wcale ich nie potrzebował, bo wyprostowana postura, sposób, w jaki błyskawicznie i wnikliwie nas otaksował – wszystko to charakteryzowało go lepiej niż ciężka zbroja Byków, wisząca na stojaku w rogu gabinetu.

Orikes zasalutował. Poszedłem w jego ślady. Leandra zgięła się w dygnięciu – chyba po raz pierwszy, od kiedy ją poznałem.

Kiedy otworzono drzwi, komendant stał na środku pokoju, teraz odpowiedział na salut, odwrócił się i zrobił trzy kroki w kierunku dużego pustego biurka. Oparł się o nie i ponownie zmierzył nas wzrokiem.

– Wyprostujcie się – zwrócił się do Leandry. – Nie jestem arystokratą, wystarczy mi zwyczajna grzeczność. – Jego słowa nie zawierały przygany, mimo to Leandra zaczerwieniła się i pospiesznie stanęła prosto.

Nie uznał za stosowne się przedstawić i od razu przeszedł do rzeczy.

– Z zainteresowaniem śledziłem waszą podróż – oświadczył. Orikes zajął miejsce z boku. Gabinet nie był zbyt obszerny, mierzył może z sześć kroków szerokości, miał po trzech stronach duże okna, z których rozpościerał się widok na miasto. Na ścianie po prawej wisiała mapa miasta, a na wysokim regale spoczywały mapy, zwoje i księgi. Oprócz stojaka ze zbroją, biurka i krzesła nie było tu nic więcej. Nawet biurko było puste, z wyjątkiem kałamarzy, piór, piasku i niewielkiego nożyka do piór.

Żadnych krzeseł dla gości.

– Dobrze, że dobiegła końca – ciągnął.

Na chwilę straciłem wątek... Podróż. Miał na myśli podróż.

– Wkrótce po katastrofie podniosły się głosy, że należy obciążyć was winą za zagładę Wysp Ognistych i fali powodziowej. Zrelacjonujcie mi, co się tam wydarzyło,

bez żadnych upiększeń. Musimy obalić te zarzuty.

Chrząknąłem, ale Leandra mnie ubiegła. Znałem ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że sposób bycia komendanta wytrącił ją z równowagi, ale prędko wzięła się w garść. Zaczęła od chwili, gdy otworzyła drzwi do wnętrza wulkanu, na krótko zanim do niej dołączyłem, a potem nieopatrznie zabiłem kapłana, który znajdował się pod kontrolą Zokory. Co chwilę przerywała, czekając na pytania, ale żadne nie padło. Tylko raz komendant niecierpliwym gestem ponaglił ją, by mówiła dalej.

Raz jednak jej przerwał, kiedy wspomniała o tym, jak zastaliśmy drzwi do komnaty wrót zablokowane. Dopytał o to. Z zażenowaniem zdała relację, jak w wieży starej stacji posłała w nieznane ptasie guano i zwęglone belki.

– Znaleźliście guano w tamtejszej komnacie wrót? – zapytał, a ona potwierdziła. Z namysłem zabębnił palcami lewej ręki po blacie, po czym skinął głową. – Dziękuję. Kontynuujcie. – Słuchał w skupieniu, gdy opowiadała o fali, która załała „Śnieżnego Ptaka”.

– Dobrze – orzekł w końcu. – Wiemy najistotniejsze. Są inne sprawy wymagające mojej uwagi. Zwróćcie się do pułkownika Orikesa, gdybyście mieli jakieś pytania lub potrzebowali wsparcia. Kiedy tylko podejmę decyzję, co dalej, spotkamy się na naradzie. Bogowie z wami.

Leandra nie była jedyna, która chciała coś jeszcze dorzucić. Chrząknąłem. Tym razem zwrócił się prosto do mnie.

– Macie jeszcze do dodania coś istotnego, generale?

Jego wzrok sprawił, że omal nie zacząłem się jękać.

– Komendancie, chodzi o mój pierścień.

– Co z nim? – zapytał, spojrzawszy niedbale na mój palec.

– Nie należy mi się.

– Gdyby wam się nie należał, nie nosilibyście go. Drugi Legion nie jest jeszcze gotowy do walki, ponadto rozkazem cesarza nie wolno posyłać legionu do boju na terytorium Starego Królestwa. Poprzestańmy na tym, że każę was wezwać, gdy znajdę dla was odpowiednie zadanie. A póki co przestrzegajcie cesarskich praw i pamiętajcie, że generał legionu, zwłaszcza Drugiego, w szczególny sposób reprezentuje cesarza i królestwo i nie może przynieść im hańby.

Uklonił się lekko Leandrze i zasalutował.

Razem z Orikesem odwzajemniliśmy salut, obróciliśmy się na pięcie i całą trójką skierowaliśmy do drzwi, które otworzył przed nami adiutant.

W przedsionku Orikes dał mi znak, byśmy poszli za nim; do jego kwatery było zaledwie kilka kroków. Tam zamknął drzwi od środka, a jego neutralną minę zastąpił uśmiech.

– Poszło o wiele lepiej, niż się spodziewałem – stwierdził i odetchnął z ulgą.

Zastanawiałem się, czy był na tym samym spotkaniu, co ja. Czułem się jak rekrut żółtodziób. Niewiele brakowało, a pod spojrzeniem komendanta zaczęłyby mi się trząść kolana.

– Mówicie, że dobrze poszło? – powtórzyła z niedowierzaniem Leandra. – Na litość bogów, co się dzieje z tymi, którzy nie spotkają się z równie „przyjacielskim” traktowaniem?

– Cóż – odparł rozbawiony Orikes. – Reakcje są różne, tak jak różni są ludzie, ale bywało, że ze wstydem oglądaliśmy nieszczęśników, którzy go rozgniewali. – Wskazał ręką na stolik, przy którym niedawno siedzieliśmy. Dzbanki i kubki zastąpiono szklaną karafką z wodą i czterema czystymi kubkami. Nalałem wszystkim wody i podałem kubek Leandrze.

– Odnieśliście wrażenie, że był nieuprzejmy? – zapytał całkiem poważnie Orikes.

Zauważyłem, że Leandra stłumiła westchnienie.

– Może nie nieuprzejmy. Słusznie nas ostrzeżliście, był bardzo... bezpośredni. Dlaczego uważacie, że poszło dobrze? Tylko krótko mu zdałam relację.

– Był zadowolony z raportu i uspokojony, że zarzut, iż to wy wywołaliście falę powodziową, jest nieuzasadniony.

– A jest? – zapytałem zdumiony. Leandra zgromiła mnie wzrokiem.

Orikes wyglądał na rozbawionego.

– Tak uznał. W przeciwnym razie kazałby zakuć was w kajdany i krótko się z wami rozprawił. Teraz jednak przypomni Radzie Handlowej, że nadal mamy śmiertelnego wroga.

– Dobrze to słyszeć – stwierdziła Leandra. Też była zaniepokojona. – Wiecie, na jakiej podstawie uznał, że nie ponosimy winy za katastrofę?

Orikes pokręcił głową.

– Nie pamiętam, aby się wypowiedział na ten temat, ale możecie mi wierzyć: jest przekonany o waszej niewinności. – Wziął łyk wody. – Mam do was jedno pytanie, generale. Skąd pomyśł, że pierścień się wam nie należy?

Przez chwilę zwlekałem z odpowiedzią, ale ta kwestia rzeczywiście go ciekawiła. Może to była okazja, żeby w końcu ten temat uporządkować. W krótkich słowach streściłem, jak znalazłem pierścień wraz z proporcem Drugiego Legionu, jak bezmyślnie włożyłem go sobie na palec i pożałowałem tego w chwili, gdy stanąłem naprzeciw major Kasale w starym zajeździe Fahrda.

– Hm – mruknął i uważnie obrzucił mnie wzrokiem. – Sądzicie, że nadużyliście pierścienia i swej rangi?

– Mam nadzieję, że nie – odparłem z wahaniem. – Miały miejsce jedna czy dwie sytuacje, w których uznałem za konieczne pokazać pierścień, ale pilnowałem się, żeby z tym nie przesadzać.

– Pomijając oczywiście fakt, że to za waszą sprawą Drugi Legion powstał z martwych – orzekł Orikes.

– Pomijając to – zgodziłem się zakłopotany.

– Macie się za niewłaściwą osobę na tym stanowisku? – zaciekał się pułkownik.

Postanowiłem być całkiem szczerzy. Nie było powodu, który przemawiałby przeciwko temu; ta kwestia była zbyt ważna.

– Tak. Brakuje mi talentu do strategicznego myślenia. Nie potrafię nawet czytać mapy. Poza tym jestem zbyt niezdecydowany jak na generała. Miałbym opory posyłać żołnierzy na śmierć, poświęcać ich tylko dlatego, że wymaga tego sytuacja.

– Sądziacie, że będą takie sytuacje?

– Bez wątpienia, ser. Nie da się inaczej wygrać wojny. Dowódca armii nie może się wahać, gdy konieczne jest działanie. Musi traktować wojsko jak narzędzie, nie jak żywych ludzi z krwi i kości. Nie nadają się do tego.

– I to jest wasze uzasadnienie, dlaczego jesteście niewłaściwą osobą na tym stanowisku? – upewnił się Orikes.

– Tak, ser. W ogólnym zarysie.

Nie miałem pewności, ale wydało mi się, że stłumił uśmiech.

– W porządku, generale, przekażę wasze obiekcje komendantowi.

Postawił kubek na gzymsie i zwrócił się do Leandry:

– Będziemy kontynuować naszą rozmowę jutro rano o drugim dzwonie. Maestra, prima Sów, prosiła, abym przekazał wam, że oczekuje was dziś wieczorem o siódmym dzwonie. Znajdziecie ją w wieży Sów, tej, którą widać po lewej stronie od wejścia do cytadeli. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Jeśli drzwi do wieży będą otwarte, nie musicie pukać, po prostu wejdźcie do środka.

– Będę tam – odparła uprzejmie Leandra, lecz błysk w jej oku zdradzał, jak bardzo paliła się do rozmowy z maestrą, wykształconą w arkanach magii Starego Królestwa.

– W tej chwili – mówił dalej Orikes – powinniśmy porównać stan naszej wiedzy, abyśmy mogli opracować plan, pozwalający nam stawić czoła cesarzowi nekromancie. Na dalsze kroki jest jeszcze za wcześnie. Jeśli zechcę porozmawiać z którymś z waszych towarzyszy, powiadomię was we właściwym czasie. Dopóki to nie nastąpi, bądźcie gośćmi Askiru i nie wahajcie się, przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności, wyrobić sobie opinii o naszym pięknym mieście. Do Rady Koronnej zostało jeszcze trochę czasu i wiem, że zależy wam na tym, aby zabrać na niej głos. Proszę was jednak o cierpliwość, maestro, to jeszcze trochę potrwa, zanim zatwierdzimy was jako

ambasadorkę waszej ojczyzny. – Skinął przyjaźnie głową i otworzył drzwi. – Widzimy się jutro rano. Teraz czekają mnie inne obowiązki. Niech bogowie obdarzą was szczęściem.

Delikatnie zamknąłem za nami drzwi naszej kwatery i popatrzyłem na Leandrę, która wyglądała przez okno na wewnętrzny ogród cytadeli. Oboje na moment zapomnieliśmy o naszej sprzeczce o Angusa.

– Czy też masz wrażenie, że ci cesarscy funkcjonariusze mają szczególny sposób kończenia audiencji? – zapytałem. – Są uprzejmi, to oczywiste, ale wszystko przebiega tak szybko, że ani się człowiek obejrzy, jak stoi za drzwiami.

– Rzeczywiście – potwierdziła. – Czuję się jak odprawiona z kwitkiem.

– Niewiele powiedział. To mnie odprawił z kwitkiem, ciebie przez większość czasu słuchał.

– Mam inne zdanie. – Odwróciła się do mnie. – Havaldzie, na wszystkich bogów! Jak mogłeś powiedzieć, że nie chcesz dowodzić legionem? To przecież nasza jedyna nadzieja!

– I właśnie dlatego powinien nim dowodzić ktoś, kto się zna na wojennym rzemiośle.

– Nie znam nikogo, kto znałby się lepiej od ciebie.

– Nie zgadzam się. Czy zdajesz sobie sprawę, że nie mam wojskowego wykształcenia? Podejrzewam, że ciebie szkolono w strategii, mnie brakuje tej wiedzy. – Patrzyłem na nią z namysłem. – Może to ty powinnaś nim dowodzić, Leandro. Ty jesteś paladynem królowej. – A nawet kimś więcej, jeśli potwierdzą się moje obawy.

Podeszła do mnie, popatrzyła mi z powagą w oczy i przykryła dłonią moją rękę.

– Może. Ale jeśli wszystko potoczy się inaczej, niż sobie życzysz, i zachowasz stanowisko dowódcy, czy dasz z siebie wszystko, aby poprowadzić legion do boju?

– Oczywiście, że tak. Jednak wolałbym...

Przerwała mi twardym pocałunkiem w usta.

– Pst – szepnęła z uśmiechem. – To wszystko, co chciałam usłyszeć. – Przywarła do mnie. – Nie lubię się z tobą kłócić, Havaldzie. – Popatrzyła na łóżko i na jej obliczu pojawił się uśmiech, który tak kochałem. – Przepraszam za to z Angusem, nie powinnam tak reagować. Wybaczysz mi?

Skinąłem głową. Później, gdy zasnęła i poczułem na swym ramieniu jej oddech, pomyślałem, że nie chodziło o to, bym jej wybaczył. Obok łóżka stało Kamienne Serce i patrzyło na mnie swoim zwykłym, szyderym spojrzeniem. Przypomniało mi o czymś, co przeżyłem we śnie. Po raz kolejny zadałem sobie pytanie, czy powinienem opowiedzieć Leandrze, że w rękojeści miecza schowany jest dokument zgodnie z wolą

Eleonory określający następcę tronu Illianu. To nie ja nim byłem – zdradziła mi przynajmniej tyle, ku mej uldze.

Był jeszcze jeden powód, dla którego się ociągałem i miałem nadzieję, że to był tylko sen. Bo jeśli byłoby inaczej, to sytuacja mojego kraju byłaby fatalna, a Eleonora zgubiona.

Byłem wycieńczony, mimo to nie spałem długo. Tym razem nikt mnie nie obudził, nawiedził mnie tylko jeden z owych koszmarów, które mnie ostatnio nękały. Ostrożnie odsunąłem się od Leandry i wstałem. Jeszcze nie dochodził szósty dzwon, Leandrze zostały trzy świece do spotkania z primą Sów. Postanowiłem dać jej pospać i kazać jednemu z żołnierzy, aby zapukał do drzwi, kiedy nadejdzie pora.

5

SOWA

Podszedłem do następnych drzwi i zapukałem, ale nikt nie otworzył. U Serafine miałem więcej szczęścia; czytała książkę.

– Gdzie są pozostali, Helis? – zapytałem, kiedy wpuściła mnie do środka.

– Zokora i Varosch poszli do świątyni Borona. Sieglinde powiedziała, że chce się rozejrzeć po targu. A ja... cóż... – Uniosła książkę. – Minęło trochę czasu, odkąd to czytałam.

– Co to jest? – zaciekałem się.

– Zbiór starych klechd i legend. Orikes mi go pożyczył. Chciałam coś sprawdzić. – Odłożyła tom na bok. – Gdzie Leandra?

– Śpi. O siódmym dzwonie ma spotkanie z primą z wieży. – Opowiedziałem jej o audiencji u komendanta i jego reakcji na moje pytanie o pierścień, co skwitowała cichym śmiechem.

– Nie chciałabym być na jego miejscu. Nic dziwnego, że był taki oszczędny w słowach. Pamiętaj, ile na nim ciąży. Onieśmielił cię, Havaldzie?

– Może – przyznałem po krótkim wahaniu. – Nie wiem, jak mu się to udało, bo mnie nie jest łatwo przestraszyć. – Przyszło mi do głowy coś, co sprawiło, że się roześmiałem. – Wyobraziłem sobie jego spotkanie z Zokorą...

– Lepiej nie – rzuciła. – Wygląda na to, że poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby tutaj dotrzeć, a teraz nie mamy nic do roboty.

Zaśmiałem się.

– Jak to w wojsku: albo pośpiech, albo czekanie! Pułkownik mówi, że zanim zdecydujemy, co robić, należy podsumować wszystko, co wiemy. Wtedy się do nas odezwą.

– Zrozumiałe, choć irytujące. Co zamierzasz, Havaldzie?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Angus poprosił mnie, żebym wypił za niego, i chyba poszukam jakiejś dobrej tawerny. Albo obejrzę Askir. Orikes zachęcał do tego.

– Mogę ci towarzyszyć? Na razie mam dosyć czytania.

– Znasz miasto, mogłabyś mi pokazać zabytki – zaproponowałem.

Pokręciła głową.

– Jestem tu jeszcze bardziej obca od ciebie. Wiele się zmieniło. Niektóre stare gmachy rozpoznaję, ale widzę wiele rzeczy nowych i nieznanych. – Zerwała się z krzesła i popukała mnie w pierś. – Najpierw załatwimy ci inną górę od munduru. Inaczej, kiedy ludzie zobaczą generała Drugiego Legionu, zrobi się zbiegowisko.

– Dobrze – zgodziłem się. – To ma sens. Tylko skąd ją wziąć?

– To akurat łatwo rozwiązać. – Wyszła na korytarz i zwróciła się do jednego z żołnierzy: – Generał potrzebuje munduru bez insygniów legionu i rangi, żeby nie zwracać uwagi. Możecie nam pomóc?

– Czyli kurtkę rekruta? – upewnił się z powątpiewaniem żołnierz. Serafine skinęła głową. – To się da załatwić – odparł. – Zajmiemy się tym.

– Widzisz – rzuciła ze śmiechem i zamknęła za sobą drzwi. – Trzeba tylko spytać. A tak w ogóle to już wiem, od czego zaczniemy. Posłuchamy, co ludzie gadają przy piwie. Kiedyś niedaleko głównej bramy była tawerna, możemy zobaczyć, czy jeszcze tam jest. Wypijemy za Angusa, a przy okazji posłuchamy, co mówi lud. – Uśmiechnęła się szeroko. – Nie zaszkodzi poznać najnowsze plotki.

Nowa kurtka od munduru była nieco przyciasna, ale Serafine zaśmiała się i orzekła, że to tylko potęguje wrażenie... Pierwszy mundur, wyjaśniła, często zupełnie nie pasuje rozmiarem. W ten sposób nie będę przyciągał spojrzeń.

– Przynajmniej nie bardziej niż zwykle – dorzuciła z wesołym uśmiechem.

Miała zaskakująco dobry humor, ale kiedy wspomniała o Angusie, jej spojrzenie przyćmił cień. Mój przyjaciel Ragnar, też Norman, który z żoną i dziećmi wiódł życie kowala w Coldenstatt, młodym mieście w Nowych Królestwach, powiedział kiedyś, że Varlandczycy mają własne wyobrażenia o sprawiedliwości. Życie w krainie na północy było surowe, a stare tradycje i prawa to odzwierciedlały.

– Lód i śnieg nie wybaczą błędów – tłumaczył Ragnar. – Ludzie muszą trzymać ze sobą, a każdy wnosi swój wkład. Jeśli ktoś się ociąga albo zostawia innych w potrzebie, to jest to niewybaczalne złamanie reguł. Jeden człowiek może narazić na niebezpieczeństwo wielu innych.

Mimo wszystko, nawet jeśli Angus czuł się winny, w moich oczach nie był.

Do tawerny nie było daleko, tuż za bramą poszliśmy w dół do portu i zaraz zobaczyliśmy ją po prawej stronie. Serafine miała rację: karczma nadal istniała, choć budynek niewiele przypominał ten z jej opisu.

Moją uwagę przyciągnęły głośnie śmiechy. Tu, w pobliżu cytadeli, nie brakowało spragnionych żołnierskich gardeł. Teraz, przed końcem służby, w tawernie panował spory ruch.

W Askirze wszystko było większe, także karczmy. Pomieszczenie mierzyło dobre trzydzieści kroków szerokości i pięćdziesiąt długości i miało nie jeden, a dwa

kontuary. Wszystkie okna były otwarte, tyle że te po bokach wychodziły na ściany sąsiednich domów, tak wąskie uliczki okalały budynek z obu stron.

To wystarczyło, żeby wpuścić do środka trochę chłodnego powietrza. Wszędzie siedzieli żołnierze, niemal wyłącznie Byki; niektórzy mieli jeszcze zbroje płytowe.

Mężczyźni i kobiety grali w karty, kości albo w grę, którą też znałem, a polegającą na tym, aby pstrykając z odległości pięciu kroków, trafiać małymi drewnianymi kulkami w otwory w skrzyni na ścianie. Było gwarno, ale panowała dobra atmosfera, nie zauważyłem nikogo kompletnie pijanego. Klientów obsługiwał więcej niż tuzin dziewcząt; nosiły ciężkie tace z kufkami albo półmiski pełne jedzenia. Na widok soczystej pieczeni zaburczało mi głośno w brzuchu.

Dotknąłem lekko Rozpruwacza Dusz i na krótką chwilę na widziany przeze mnie obraz nałożył się inny. To nie było tak, że Rozpruwacz malował innymi kolorami niż moje oczy, on po prostu postrzegał świat inaczej i uzupełniał widzenie. Dzięki temu mogłem rozpoznać, że żołnierz, który siedział przy stole, milcząc, miał ciężką ranę boku, która nie chciała się goić, a kobieta po drugiej stronie, choć się śmiała, była przepełniona smutkiem... i wiele innych szczegółów, których większości nie potrafiłem zinterpretować.

W widzeniu Rozpruwacza niektórzy byli wyraźniejsi od innych. Wśród nich była Serafine i trzech rozproszonych po sali żołnierzy, ale najwyraźniejsza wydawała się para z tyłu, w kącie obok okna.

– Patrz, kto tu jest – odezwała się Serafine, ciągnąc mnie lekko za rękaw, po czym ruszyła prosto ku wspomnianej dwójce. Ignorowała lepkie spojrzenia żołnierzy i pojedyncze gwizdy.

Parą był Santer – tym razem bez zbroi – i młoda kobieta o bujnych, rudych włosach, ubrana w prosty strój. Ona zauważyła nas pierwsza i szturchnęła towarzysza w bok, by zwrócić na nas uwagę. Skinął nam głową, powiedział coś do niej, na co ona uśmiechnęła się i uniosła dłoń, żeby nas przywołać.

Santer podniósł się i przedstawił nas sobie.

– Generał Roderic von Thurgau. Helis z domu Orła w Gasalabadzie. Desina, prima z wieży.

Zamarłem w zdumieniu, a młoda kobieta roześmiała się cicho.

– Psst! – syknęła, wskazując ręką na wolne miejsce. – Nie ma nas tutaj. Przynajmniej nie oficjalnie. Pozwoliliśmy sobie na króciutką przerwę. – Obrzuciła spojrzeniem moją nową kurtkę od munduru bez żadnych insygniów. – Widzę, generale, że podobnie jak my wolicie anonimowość.

Usiedliśmy i podziękowaliśmy za zaproszenie. Santer przywołał gestem dziewczkę, która podbiegła do nas natychmiast.

– Mam nadzieję, że w Askirze mają dobre wino – powiedziałem, poklepując się po kieszeniach w poszukiwaniu fajki. Serafine z przebiegłym uśmiechem sięgnęła pod opończę i położyła na stole fajkę i puzderko z tytoniem. Pamiętała, żeby przełożyć je do nowej kurtki.

– Polecam arendsteinera – rzucił Santer.

– Wezmę go – zwróciłem się do dziewczki, która ochoczo pokiwała głową.

– Powiedzcie mi, podajecie jeszcze elfie krople? – zapytała ją Serafine z błyskiem w oku, a kiedy dziewczka potwierdziła, ta rozpromieniła się. – W takim razie dla mnie „krople”!

Santer gwizdnął cicho przez zęby.

– Macie wyrafinowany gust – stwierdził. – Butelka tego wina kosztuje tyle, co mój miesięczny żołd.

– Trudno. Nie macie pojęcia, ile czasu minęło, odkąd piłam je po raz ostatni.

– Mogę zgadnąć? – wtrąciła szelmowsko Desina. – Jakieś siedemset lat?

– Coś koło tego.

– Możecie sobie wyobrazić, że komendant ukrywał przede mną wiadomości o was i wyłuszczył wszystko dopiero trzy dni temu? – zacierzawiła się w udawanym gniewie Sowa. – Poskarżyłam się oczywiście, ale tylko się roześmiał i powiedział, że nie muszę o wszystkim wiedzieć. A ja myślałam, że właśnie to należy do moich zadań.

– To on się potrafi śmiać? – wyrwało mi się.

Santer uśmiechnął się ze zdziwieniem, również Desina wyglądała na rozbawioną.

– Trudno w to uwierzyć, prawda? – stwierdziła. – Zapewniam was, że potrafi. Pod twardą skorupą kryje się przemiły człowiek.

Nie mogłem w to uwierzyć.

– Desina trafiła do wieży jako dziecko – wyjaśnił Santer. – Orikes i komendant są niejako jej przyszywanymi ojcami.

Desina westchnęła.

– Ojca mam jednego. Trzech to jednak za dużo. Aż się wzdrygam na myśl, co będzie, jeśli kiedykolwiek postanowię poszukać sobie męża. Już teraz mi go szkoda biedaczyska.

Maestra miała ujmująco otwarty sposób bycia, który od razu mi się spodobał. Śmiała się często i chętnie, z Santerem była za pan brat. Przed chwilą, mówiąc o szukaniu męża, posłała mu długie spojrzenie. Odchyliłem się do tyłu, wziąłem od dziewczki butelkę oraz kubek i zadałem sobie w duchu pytanie, czy Santer wie, że to on jest wspomnianym biedaczyskiem.

– Jakie było wasze pierwsze spotkanie z naszym staruszkiem? – zapytał Santer. – Z komendantem.

– Krótkie. Wysłuchał raportu maestry, a potem wyrzucił... a potem audyencja dobiegła końca. – Zębami odkorkowałem butelkę i nalałem sobie wina. Obok mnie Serafine przyłożyła kubek do ust, wzięła małeńki łyk i wydała dźwięk przypominający zadowolonego kota, który znalazł miseczkę ze śmietaną.

– Bogowie – jęknęła z rozkoszą. – Jak to możliwe, by wino smakowało tak wybornie?

– Dar bogów, bez wątpienia. – Santer uśmiechał się lekko.

– Jeśli istnieje bóg wina, to jestem pewna, że to musi jego najlepsze – dorzuciła i wzięła jeszcze łyk, który trzymała długo w ustach z wyrazem czystej ekstazy na twarzy. Przełknąłem i odwróciłem wzrok; patrzenie na nią wydało mi się nieprzyzwoite.

– Jeśli chodzi o komendanta – ciągnąłem, zwracając się do Santera – to zdaje się przekonany, że nie mamy nic wspólnego z wybuchem wulkanu. Co za ulga.

– Dobrze to słyszeć – powiedziała poważnym tonem Desina. – Zniszczenie Wysp Ognistych było największą katastrofą od stuleci i przyniosło śmierć i rujnację. Nawet tu do portu dotarła fala, wysoka na dobre sześć kroków!

Przyjrzałem się jej dokładniej. Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że będzie podobna do Leandry, ale nie była. Magia Leandry zawsze była w jakiś sposób obecna; ostatnio zdarzało się nawet, że wędrowały po niej niewielkie błyskawice, z czego nie zdawała sobie sprawy. Kiedy spała, sypialnię rozświetlały czasem błękitne iskry. Gdy dotykałem jej, zapominając o ostrożności, ogniki biegały i po mnie. Nic mi nie robiły, ale wywoływały silny ból głowy, przez co miałem trudności ze snem. Z kolei Desina na pierwszy rzut oka wyglądała na wesołą dwudziestolatkę o uważnym spojrzeniu, które biegało po izbie, wracało do nas i widziało wszystko i każdego.

– Jesteście rozczarowani tym, co widzicie? – spytała z uśmiechem. Musiała zauważyć, że lustruję ją z namysłem, albo potrafiła czytać w myślach, a może jedno i drugie. U Sowy nie dało się tego wykluczyć.

– Nie – odparłem szczerze. – Nie wiem, czego się spodziewałem.

– Żeby zrobić na nim wrażenie, musiałybyście sporo urosnąć i otoczyć się ogniem oraz błyskawicami – zażartowała Serafine i zaraz pokręciła głową. – To niepojęte, jak mogły narodzić się te wszystkie legendy. Wszystkie Sowy, jakie do tej pory poznałam, zachowywały się powściągliwie. Wystarczy, że wyróżniają się ubiorem. Czy to dlatego nie nosicie swej szaty?

– Owszem, między innymi – przyznała Desina, poważniejąc nagle. – Drugi powód jest taki, że mogę ją nosić, ale nie mogę jej już używać.

Santer przykrył dłonią jej rękę i potrząsnął lekko głową. Nie chciał, żeby o tym mówiła.

– Ach, daj spokój – uspokoiła go. – Ludzie i tak już gadają, a skoro mamy razem pokonać wroga, to powinni wiedzieć, że nie ma co pokładać we mnie zbyt wielkich nadziei.

– Co macie na myśli? – zapytała zbита z tropu Serafine.

Desina rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje, a potem wyjaśniła ściszym głosem:

– Kiedy nas zaatakował wróg, doszło do magicznego pojedynku między mną a nekromantą o imieniu Rolkar. Próbował otworzyć portal, przez który wrogie wojska miały dostać się do samego serca naszego miasta. Przegrał. Doszło do potężnego wyładowania, które zabiło go... i wypaliło mój magiczny talent. – Skrzywiła się ze smutkiem. – A dopiero zdążyłam się przyzwyczaić, że przy użyciu magii wychodzi mi to i owo. Trudno mi to zaakceptować. Taka jest prawda, dlatego cieszę się, że wasza przyjaciółka Leandra jest maestrą. Będziemy potrzebować jej zdolności.

– To nie koniec – dorzucił cicho Santer. – W mieście jest jeszcze jedna nekromantka. To agentka wroga o wielkiej mocy, która zdołała się wymknąć. Nazywa się Asela i jest mistrzynią kamuflażu, zimną żmiją, której jad mocno daje nam się we znaki. Ona... co z wami, sera?

Serafine zachłysnęła się winem i z niedowierzaniem wpatrywała się w Santera.

– Jak, mówicie, brzmi imię tej kobiety? – zapytała na bezdechu.

– Asela. Zimna, blada piękność o kruczoczarnych włosach i sercu jak gniazdo gadów – wyjaśniła Desina z zaciętą miną. – Jest nie tylko nekromantką, włada też magią w stopniu, który mnie przeraża. – Zadrżała. – Jej moc jest nie do opisanie. Miałam szczęście, że przeżyłam nasze spotkanie.

– Bogowie – szepnęła pobladła nagle Serafine. – Czy u jej boku był inny mężczyzna? Ktoś, kto również władał mocą Sów?

– Tak. Ale zniszczyłam go bez trudu – odparła Desina.

– Ten, którego mam na myśli, nie dałby się tak łatwo zniszczyć – zapewniła Serafine. – Jest wysoki, ma czarne włosy i nie da się go pomylić z nikim innym: jego oczy mają różną barwę – jedno jest niebieskie, drugie czarne.

– Owszem – rzucił Santer ponuro. – To mistrz Rolkar. Jest nekromantą, Desina pokonała go w pojedynku.

– Jego prawdziwe imię brzmi Feltor – powiedziała Serafine i popatrzyła z szacunkiem na Desinę. – Wybaczcie, primo, ale jeśli jest tym, kogo mam na myśli, to z trudem przychodzi mi uwierzyć, że go pokonałyście.

– Miałam wsparcie – wyjaśniła skromnie. – Jak to możliwe, że wiecie o tych bezbożnych?

– Znałam ich – objaśniła Serafine z przygnębieniem. – Byli moimi dobrymi przyjaciółmi, myślałam, że zaginęli. – Zwróciła się do mnie: – Byli Sowami, związanymi potężną przysięgą z królestwem i cesarzem. Nie mogę uwierzyć, że mogliby ją złamać.

Prima z wieży przytaknęła.

– Ta przysięga wiąże w sposób, który czyni zdradę niemożliwą. Przynajmniej tak się mówi. – Popatrzyła na Santera, po czym podjęła: – Podejrzywałam, że mogą być Sowami, a przynajmniej maestrami, wykształconymi na sposób, w jaki kształci się Sowy. Co jeszcze o nich wiecie, sera Helis?

– Jeśli to rzeczywiście oni, to bardzo dobrze ich znam. Asela, Balthasar i Feltor byli nierozłączni. Dwa lata przed moją śmiercią cesarz wysłał całą trójkę na misję przeciwko pewnemu nekromancie. Pokonali go, lecz zapłacili za to wysoką cenę. Adela i Feltor zginęli, a Balthasar wrócił odmieniony i zgorzkniały. – Nagle drgnęła i zacisnęła boleśnie rękę na moim ramieniu. – Jeśli... Havaldzie! Oni... oni musieli przegrać tamtą walkę! Bogowie! – wyszeptała, otwierając szeroko oczy. – To by wszystko wyjaśniało! Balthasar inaczej nigdy by nas nie zdradził!

– Balthasar? – wtrąciła Desina i chrząknęła. – Macie na myśli ostatniego primusa Sów? *Tego* Balthasara?

– Tak – potwierdziła Serafine. – Udał się z nami i Drugim Legionem do Illianu i Nowych Królestw, żeby pomóc nam ochronić rzekę światów i potęgę Askiru, a jednocześnie stawić czoła szamanom barbarzyńców. Ale dopuścił się straszliwej zdrady i zniknął. Kilka tygodni temu Havald natknął się na niego w starej świątyni i pokonał w walce. – Pokręciła głową. – Byłam świadkiem tej walki dzięki Sieglinde. To był bez wątpienia ten sam mężczyzna, ale tak zmieniony, że ledwie mogłam w to uwierzyć.

– Słyszałam o tym – przyznała Desina. – Ale raport wspominał jedynie o łowcy dusz, bez podawania imienia. I właśnie w tym sęk: Sowa nie ma talentu ujeżdżania dusz. Wieża sprawdza to magią, więc to niemożliwe.

– Jest coś, czego nie wiecie – wtrąciłem i opowiedziałem o rytuale, w którym na Leandrę o mały włos nie przeniesiono bezbożnego talentu. Wciąż jeszcze wzdrygałem się na myśl, że mogliśmy ją tak łatwo utracić. Jeśli ktoś raz został przeklęty przez bogów, nie miał możliwości powrotu.

– Och – jęknęła Desina wstrząśnięta. – To okropne! A więc to jednak możliwe. – Popatrzyła w bok, na Santera, który przysłuchiwał się uważnie. – Jak myślicie, Santer, czy to przypadek, że w raporcie nie wymieniono go z imienia?

– Orikes wie, jak bardzo go wielbisz – odpowiedział. – Nie zdziwiłbym się, gdyby to on kazał usunąć imię z raportu, żeby oszczędzić wam rozczarowania. To wyjaśnia

także, dlaczego duch Balthasara nie może zaznać spokoju.

– W takim razie będę musiała mu wytłumaczyć, że w ten sposób raczej mi szkodzi, niż pomaga – oburzyła się Desina.

– Zaraz, powoli, za dużo tego wszystkiego naraz! – zawołałem i podniosłem rękę. – Dlaczego mówicie o duchu?

– Duch Balthasara straszy w wieży Sów – wyjaśnił Santer. – Raz przez niego o mało nie umarłem ze strachu. Ale poza tym wydaje się niegroźny i raczej skory do pomocy.

– Może rzeczywiście jest – przyznałem, nie mogąc uwierzyć we własne słowa. Balthasar był dla mnie zawsze uosobieniem wszelkiego zła. Mimo to miałem już swoje doświadczenia z wrogiem. – Leandra jest maestrą podobną do Sowy, ma silną wolę. Z pewnością nie jest łatwo nagiąć jej ducha, a jednak właśnie to ją spotkało. Kolaron zna sposób, aby nawet najbardziej zaciekły wróg uwierzył, że w rzeczywistości służy nekromancie. To wszystko powinno być wam znane, maestro, gdyż Orikes ostrzegł nas i wspominał, że na was też przygotowano zamach.

– To prawda – mruknął Santer. – Dwa dni temu. Wróciliśmy do cytadeli, jeden ze strażników przy bramie zasalutował, a potem, kiedy poszliśmy dalej, za naszymi plecami wystrzelił do Desiny z kuszy.

Prima podniosła dłoń i odgarnęła włosy z twarzy, żeby pokazać nam ledwie zagojoną szramę.

– Widzicie, jak niewiele brakowało? Znam sierżanta Eldreda od dziecka, zawsze zagadał, powiedział coś miłego. Nigdy nie życzył mi źle, a kiedy pojawił się, co zrobił, ledwie powstrzymaliśmy go przed tym, by z rozpaczony odebrał sobie życie. Nic nie pamięta, tylko tyle, że leżałam jak martwa na ziemi. Dobrze, że w porę oprzytomniałam, inaczej zostałaby zabity przez własnych kolegów.

– Co się z nim stało? – zapytałem.

– Został zawieszony, Orikes poddaje go badaniom. Ma na imię Eldred i służy w Piątym Legionie od prawie dwudziestu lat. Jego życie legło w gruzach, nie wie, jak dalej żyć – tłumaczyła z przygnębieniem Desina. – Trudno będzie trzymać go dalej w legionie. Sam nie może sobie tego wybaczyć, koledzy go unikają. A jednak wszystko wskazuje, że niczym nie zawinił. Sądzicie zatem – zmieniła temat – że cesarz nekromanta ma talent, który pozwala mu całkowicie zawładnąć drugim człowiekiem? Nawet Sową?

– Tak. W różnym stopniu. Również moja przyjaciółka padła ofiarą cesarza nekromanty i znajdowała się w jego władzy. Zokora zdjęła z niej urok, ale zanim to nastąpiło, była naszym wrogiem. Później oddała za mnie życie. Istnieje też inny rodzaj magii, bardziej widoczny. Wróg ma specjalne obręcze na szyje, które sprawiają, że ten, kto taką nosi, wierzy w najgorszą nawet bzdurę, jaką mu się wpoi. Leandra i ja

sami byliśmy ofiarami tej magii, nawet elfy nie są na nią odporne. Ale obręcz trudno ukryć. Jeśli więc zobaczycie srebrną obręcz z czarnym jak sadza kamieniem, miejcie się na baczności, bo ten, kto ją ma na szyi, nie jest sobą.

– Dobrze wiedzieć – zauważył Santer. – Jeszcze nigdy takiej nie widziałem, ale będziemy uważać.

– Ten drugi rodzaj uroku, bez obręczy, wydaje mi się groźniejszy – stwierdziła z namysłem Desina. – Sera Zokora jest kapłanką Solante, mroczną elfką, nieprawdaż? Skinąłem głową.

– I zna sposób na zdjęcie uroku?

– Tak. Ale... to tak jak zwalczanie ognia ogniem i raczej nie powinno być stosowane zbyt pochopnie. Ofiara zostaje poddana rytuałowi, podczas którego zostaje poświęcona śmierci. Tłumi on wolę i każdą myśl, czyni z ofiary marionetkę. Zastępuje urok nekromanty innym, jeszcze silniejszym, ponieważ naznaczonym mocą boską. Zokora, zdejmując go, znosi także urok nekromanty. – Przypomniałem sobie czarną rozpacz w oczach Natalyii, kiedy była jeszcze Poppet. – Nie jest to procedura, którą powinno się stosować lekkomyślnie, i z pewnością nie jest czymś łatwym dla Zokory, ale jest... możliwa. – Przypomniało mi się coś jeszcze. – Jest jeszcze jedna metoda zawładnięcia kimś, ale polega ona tym, że nekromanta kontroluje nie umysł, lecz ciało, które staje się marionetką w jego rękach. Ma tę wadę, że nekromanta przez cały czas przebywa w ciele swojej ofiary, podczas gdy ta sądzi, że śpi. Zokora ustaliła, że w tym wypadku ofiara nosi przy sobie przedmiot, który został zaczarowany... albo coś w tym rodzaju. Wiem tylko, że kiedy usunie się ten przedmiot, ofiara jest wolna i wychodzi z tego bez żadnego uszczerbku, ale i bez pamięci o tym, co zaszło.

– Czy Orikes wie to wszystko? – zapytała Desina.

– Częściowo tak. Wie o obręczach i o tym, że Zokora zdołała zdjąć urok, który więził Natalię. Jutro zamierzam podjąć tę kwestię.

– Dobrze – skwitowała Desina. I krzywiąc się lekko, dodała: – Możecie sobie wyobrazić, że chętnie bym dalej zgłębiała ten temat, ale muszę jeszcze zrobić to i owo, a zaraz mam spotkanie z waszą maistrą. Muszę was przeprosić. Santer zostanie jeszcze, może dowiedzie się więcej od niego.

– Zostanę? – zapytał Santer.

– Tak, zostaniesz – potwierdziła z uśmiechem, dygnęła lekko i powiewając spódnicą, oddaliła się od stołu tak prędko, jakby ją ktoś gonił.

Odprowadziliśmy ją wzrokiem.

– W Askirze nie przywiązuje się wagi do pożegnań – zauważyłem.

Santer machnął ręką ze śmiechem.

– Ona taka jest. Nie bierzcie jej tego złe. Myślni jest już w innym miejscu i spieszy się, żeby tam dotrzeć.

– Podejrzewam, że nauczyła się tego od swoich przybranych ojców – zażartowała Serafine, ale zaraz spoważniała. – Zdaje się, że dzielnie zniosła utratę swojego talentu. To musiał być dla niej cios.

– Nie utraciła go – usłyszałem swój własny głos i sam się zdziwiłem. – Nie pytajcie, skąd to wiem, ale to prawda. – Nie chciałem zdradzać nowych zdolności Rozpruwacza Dusz, ale nie sądziłem, abym się mylił.

– Jesteście pewni? – spytał Santer, a ja skinąłem głową.

– To ją natchnie nadzieją.

– Skoro już tu jesteśmy i macie chwilę, powinniśmy kontynuować naszą rozmowę – powiedziałem i podniosłem rękę, przywołując dziewczkę. – Poza tym jestem głodny jak wilk i zamierzam zaspokoić głód. Czy dotrzymacie nam towarzysztwa?

– Mam nawet rozkaz to zrobić – odparł ze śmiechem Santer. – Słyszeliście, co powiedziała.

Jedząc, rozmawialiśmy dalej. Nic dziwnego, że komendant i Orikes chcieli najpierw ustalić i wyrównać stan naszej wiedzy: fascynujące było odkrywać, kto co wiedział, a czego nie. Magiczne portale, które w ogóle umożliwiły nam podróż, stanowiły dobry przykład. Santer opowiedział, że Desina całkiem niedawno odkryła jedno z wrót, ale portal był położony w wieży Sów i tym samym dostępny wyłącznie dla maistrów. Santer wyraził swój sceptycyzm, jeśli chodzi o wrota.

– Desina tłumaczy, że to tak, jakby wpakować cię do worka i wywrócić go na lewą stronę w innym miejscu. Nie podoba mi się to, człowieka może zemdląć od wywracania na drugą stronę!

– Nie widziałem żadnego worka – wyznałem. – W rzeczywistości człowiek niczego nie czuje. Nagle jest się w innym miejscu. Trzeba tylko uważać, żeby nie wystawać poza złoty rant na posadzce, bo wystająca część ciała zostanie odcięta jak toporem.

– Mówicie więc, że to niegroźne? – upewnił się, nerwowo obracając kubek.

– Wrota są używane od stuleci – wyjaśniła Serafine. – Biorąc pod uwagę znoje podróży, to chyba nie ma bezpieczniejszego sposobu na przemieszczanie się.

– Trzeba wam wiedzieć, że ta cała magia wydaje mi się podejrzana – wyznał Santer. – Po prostu nie potrafię jej ocenić. Dajcie mi miecz, a będę wiedział, do czego się nadaje. Z magią jest inaczej. Wydaje się przydatna, nie zna żadnych granic, a jednak Desina mówi o regułach, które, jeśli się je złamie, mogą kosztować cię życie.

Przypomniałem sobie, jak zaczynała boleć mnie głowa, ilekroć Leandra próbowała mi wyjaśnić magię, i pokiwałem głową ze zrozumieniem.

W którymś momencie rozmowa zeszła na temat pewnego statku pod banderą Illianu, który złamał reguły pokoju.

– Owszem, był taki okręt pod tą banderą. Ale wtedy nikt jeszcze nie wiedział, co to za kraj – powiedział Santer. – Komendant powinien ją znać, ale być może go nie poinformowano.

– A o co chodzi z tym okrętem? – zapytała w moim imieniu Serafine. – Wpłynął do portu i zaczął strzelać?

– O nie! Wykorzystano go, aby ukradkiem przerzucić do miasta kilka setek myślących jaszczurów. Wykonywały niewolniczą pracę dla nekromantów, a ponadto miały wesprzeć atak, siejąc w mieście strach i panikę. – Santer podrapał się w zamyśleniu po głowie. – Desina zgładziła nekromantę, który władał jaszczurami, a one przeszły na naszą stronę. Rzeczywiście chyba jest tak, że nekromanci wiedzą, jak kontrolować innych.

– Jaszczury? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

– Tak. Nie chcę mówić na nie bestie, bo potrafią myśleć i wierzą w bogów, ale wyglądają trochę strasznie. Mają dobre dziewięć stóp wzrostu, ogon, którego używają jak broni, i pazury zdolne rozplątać człowieka. Nie mówiąc o zębiskach. Ale jest tutaj dla nich za zimno i narzekają, że nie mogą się przez to poruszać, co się zgadza: są bardzo powolne. – Santer pokręcił głową. – Teraz zostały u nas i zaklinają się, że są po naszej stronie. Nawet komendant nie bardzo wie, co z nimi począć. Siedzą i marzną w podziemiach miasta.

– I przybyły na pokładzie okrętu? – zapytałem. – Wiecie skąd?

– Nie. One same nie wiedzą. Tylko tyle, że znalazły się bardzo daleko od ojczystych stron.

– Nie pochodzą z naszego kraju – zawyrokowałem bez cienia wątpliwości. – Okręt musiał podróżować pod fałszywą banderą. Nic mnie już nie zdziwi. Komendant powinien wiedzieć z naszych raportów, że coś musi być nie tak z tym okrętem.

– Może nic mu o nim nie powiedziano. Keralos ma na głowie wystarczająco spraw, ma jeszcze czytać wszystkie raporty z portu?

– Nikt nie zauważył w tym okręcie niczego podejrzanego? – zapytała Serafine.

– Nie – odparł Santer. – Aż do chwili, gdy zatonał w kanale stoczni, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Gdyby nie pewien dzielny agent Aldane, który w konsekwencji przypłacił to życiem, nekromanci zdołaliby zrealizować swój plan; dopiero on zwrócił nań naszą uwagę. Teraz oczywiście sprawia nam zupełnie inne problemy.

– Ten okręt? – spytała Serafine. – Dlaczego? Mówiliście, że zatonał.

– W tym sęk. Zatonał, ale w pechowym miejscu. Blokuję wylot z basenu stoczni. A w nim stoją nowe statki, które nie mogą przepłynąć do doków, gdzie się je

wyposaża. W tym cały problem. Wieki temu była tam śluza, która zamykała kanał, to znaczy ona nadal istnieje, ale nie korzystano z niej przez bardzo długi czas, a kiedy chcieliśmy to zrobić, okazało się, że jej wrota zbutwiały, wypaczyły się od wody i są niezdatne do użytku. Okręt zaś pod wodą rozpadł się na kawałki, był załadowany kamieniami i nie możemy go stamtąd ruszyć. Nawet nasi nurkowie niewiele mogą zdziałać, dopóki woda jest tak zimna. Robimy, co możemy, ale straciliśmy już we wraku dwóch nurków.

– Niczego nie obiecuję – odezwała się ostrożnie Serafine. – Ale może będę mogła pomóc. Mój ojciec był nie tylko gubernatorem Gasalabadu, ale i świetnym inżynierem.

To prawda, ale Serafine nie dlatego zaoferowała swą pomoc. Miała dar panowania nad wodą, ale wolała nie mówić o tym otwarcie, nawet tutaj, w Askirze. Sowy by to na pewno zrozumiały, ale nawet tu ludzie mieli rozmaite przesady, a wiedza o jej darze mogłaby znaleźć się w jakimś raporcie, który ktoś potem przeczyta.

– Wiedzy i inżynierów u nas nie brakuje – odparł Santer. – Dziadek Desiny, mistrz gildii kowalskiej, jest bardzo utalentowany w tym kierunku. On również pracuje nad jakimś rozwiązaniem, ale trzeba na nie jeszcze poczekać.

– Mimo wszystko czy moglibyście mnie tam zaprowadzić? – nalegała Serafine. – Chętnie obejrzałabym wrak.

– To nie powinno stanowić problemu, obawiam się tylko, że trudno mi będzie znaleźć na to czas. Kiedy byłem jeszcze w Wężach, wydawało mi się, że służba wypełnia mi całe życie, teraz wiem, że wcale tak nie było. Odkąd poznałem Desinę, wiem, co to naprawdę nie mieć czasu. Mielście szczęście, że nas tutaj spotkaliście. To nasza pierwsza chwila wytchnienia, odkąd Rolkar, czyli Feltor, próbował otworzyć portal. Nie zaprzatajcie sobie głowy okrętem, prędzej czy później Desina znajdzie jakieś rozwiązanie.

– Sądziłam, że prima nie jest już zdolna do stosowania magii?

Santer pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

– Popelniacie ten sam błąd, co ja. Ona jest Sową, więc łatwo sprowadzić ją wyłącznie do tego. A to dalekie od prawdy. Jest uczoną. Władanie magią to tylko niewielka część jej istoty, największą zaś jest misja strzeżenia i zgłębiania wiedzy. Niewiele jest takich rzeczy, których Desina nie wie.

Przypomniałem sobie o strażniku wiedzy. Wiedza zawsze jest potęgą. Ale strażnik wiedzy był starym człowiekiem.

– Czy ona jest starsza, niż wygląda? – zapytałem.

– Nie – odparł ze śmiechem Santer. – Ma dwa, trzy lata ponad dwudziestkę, nie więcej! Czasami daje się to odczuć, ale dzięki bystrości umysłu Desina uczy się szybciej niż ktokolwiek inny, kogo znam. Może wam wytłumaczyć, dlaczego na niebie

są gwiazdy i dlaczego ryba nie tonie w wodzie. Zna arkana sztuki kowalskiej, zapomniane nawet przez gildię, a gdy rozwiąże jakąś zagadkę, cieszy się tak bardzo, że skacze, tańczy, śpiewa i śmieje się ze szczęścia... a pół świecy później bierze się do kolejnej zagadki. Jest rozbrykana, a jednocześnie poważna, ale najbardziej podoba mi się w niej, że dźwiga z uśmiechem swoje brzemię.

A wy, przyjacielu, pomyślałem, usiłując ukryć uśmiech, całkowicie straciliście dla niej głowę.

– A więc – odezwała się Serafine, również uśmiechając się ukradkiem – nie macie czasu, żeby oprowadzić nas po mieście. To zrozumiałe. Ale może znacie kogoś, kto by go miał? Najlepiej kogoś, kto dobrze zna Askir?

Santer pokręcił głową.

– Nikt taki nie przychodzi mi w tej chwili do głowy, najlepiej poproście pułkownika Orikesa, aby przydzielił generałowi adiutanta, tak byłoby... Zaraz! Jest ktoś taki. – Santer uśmiechnął się szeroko. – Ma skłonność do wtykania nosa w nie swoje sprawy i wie o wielu sprawach, które chcielibyśmy zachować w tajemnicy.

– Wydaje się, że ktoś taki byłby idealny – zaśmiałem się. – Gdzie go znajdziemy?

– Udajcie się do portu. W północnej części znajduje się, jak wiecie, strażnica. Mamy dwie: drugą, południową, położoną jest, jak się domyślacie, na południu. Jest własnością człowieka o imieniu Istvan. To pierwszy przybrany ojciec Desiny. Wychowywał ją, zanim trafiła do wieży. Prowadzi tam gospodę Pod Złamanym Ostrzem. Zapytajcie tam o Łasicę. To brat Desiny, w takim sensie, w jakim Istvan jest jej ojcem. Jest tylko jeden problem.

– Jaki? – spytała Serafine.

– Łasica jest złodziejem. Najlepszym złodziejem wszech czasów. Wszyscy o tym wiedzą, ale nikomu nie udało się tego dowieść. – Santer popatrzył na mnie. – Ten człowiek jest bardziej wszechstronny, niż można sobie wyobrazić, być może jest również szpiegiem komendanta. Albo i nie. Wiem jedno: Desina ufa mu bezgranicznie... a to coś, na co trzeba sobie zasłużyć. Kiedy pojawia się Łasica, strażę popadają w nerwowość. To jego minus. Myślę... o nie! – Zobaczył coś za moimi plecami i jęknął cicho.

Odwróciłem się i dotknąłem Rozpruwacza Dusz. W pierwszej chwili nie zauważyłem niczego szczególnego, potem dostrzegłem jasną zieleń munduru Węzy, a potem szeroki uśmiech malujący się na obliczu krępego mężczyzny. Że to on wywołał jęk Santera, okazało się, kiedy zawołał z daleka:

– Hej, Santer!

– Wybaczcie – rzucił pośpiesznie Santer i wstał. – To Fefre! Może da się uniknąć nieszczęścia!

Co miał na myśli, zaraz się okazało. Jeden z Byków zaszedł drogę Wężowi.

– Hej, zagradzacie mi drogę – zwrócił mu uwagę z wesołym uśmiechem kapral Węży.

– Jesteś Wężem – parsknął Byk i pokazał palcem na ziemię. – Więc pełzaj.

Santer sunął w jego stronę, torując sobie drogę. Wstaliśmy z Serafine, wymieniliśmy spojrzenia. Wzruszyła ramionami i ruszyliśmy za naszym roslym przyjacielem.

– Wiesz co? – zagadnął przyjaźnie Fefre. – Jest też inny sposób. Może to ty mi ustąpisz?

– Ciekawe jak?

– Z byka zrobię wołu. To wzmacnia procesy myślowe! – rzucił z uśmiechem Fefre i rąbnął kolanem tam, gdzie odnosiło to najlepszy skutek. Byk z jękiem zgiął się wpół. Jeden z jego kompanów chwycił stołek. Karczmarz wyskoczył zza kontuaru i załamując ręce, błagał o rozsądek. Stołek przeleciał obok kaprala i trafił w plecy innego Byka, na co ten odwrócił się i ruszył na Fefre'a. Wąż nie był tak głupi, by stać w miejscu; uchylił się od jednego ciosu i drugiego i wtedy trzeci Byk złapał go wpół, podniósł do góry i cisnął na stół. Fefre ślizgiem przejechał po blacie, kosząc półmiski, kufle i butelki, zrzucając je na siedzących przy stole. Jeden z nich chwycił srebrny półmisek z połową indyka, który wylądował mu na kolanach, i z dzwicznym, blaszanym brzękiem rozbił go Fefre'owi o czerep. Wąż osunął się na podłogę.

Santer dopadł do nich, odsunął na bok jednego Byka, potem drugiego i podciągnął za kołnierz oszołomionego Fefre'a, stawiając go na nogi.

– Chłopaki! – krzyknął i uniósł uspokajająco rękę. – Nie ma powodu... – Ktoś zdzielił go krzesłem w plecy. Santer westchnął i podtrzymując jedną ręką oszołomionego Węża, odwrócił się powoli.

– Nie chcesz mieć ze mną na pieńku – oznajmił uprzejmie.

– A czemu nie? – odparł zaczepnie tamten i zamachnął się, po czym zdziwił się, że złapał go za pięść.

– Bądź rozsądny, chłopie – odezwał się. – Nie zdewastowaliście jeszcze zbyt wiele i...

– Hej, zdrajco Byków! – krzyknął tamten, plunął mi w twarz i już chciał mnie kopnąć w krocze... ale nie zdołał. Nie wcelował, zapewne za sprawą Serafine, która rozbiła mu na łbie butelkę.

– Finna – zawołałem. – Daj spokój!

– Dobrze – odparła i odsunęła się, dzięki czemu Byk miał gdzie upaść. Założyła ręce na piersi. – Jak chcesz – dorzuciła z szerokim uśmiechem, kierując wzrok na coś za moimi plecami. Tym razem w czaszkę mocno trafiła mnie noga od krzesła.

Otrząsnąłem się jak mokry pies, uchyliłem przed Bykiem, którego Santer szerokim łukiem rzucił nade mną, chwyciłem typa z nogą od krzesła i usłyszałem perlisty śmiech Serafine. Typ kopnął.

– A teraz? – spytała i zrobiła unik przed kubkiem, który poleciał w jej stronę. Obok roztrzaskał się na kawałki stół, kiedy z kwikiem wylądował na nim jakiś Byk. Gość, którego trzymałem, znowu próbował mnie uderzyć. Sądząc po szerokim uśmiechu na jego gębie, wciąż mu się podobało. Zza pleców dobiegało błaganie karczmarza, a potem trafiła mnie w głowę butelka.

– Ach, w dupie tam – zawołałem do Serafine, czując, jak za kołnierz spływa mi wino. Podniosłem gościa i rzuciłem go na dwóch innych Byków, żeby całą trójką wymieść kolejny stół. – Czasami... człowiek... musi!

Zabawa trwała z pół dziesiątej części świecy, gdy drzwi izby otworzyły się i do środka wpadł tenet Byków z pałkami. Zdumiewające, jak można było dokonać takich spustoszeń w tak krótkim czasie.

Zaledwie chwilę później Santer, Serafine, Fefre i ja staliśmy w szeregu z pozostałymi Bykami, wysłuchując, jak porucznik straży w okrągłych zdaniach tłumaczył nam, co sądzi o tym, co się stało. W zaskakujący sposób łączył przy tym kwestię pochodzenia obecnych z honorem imperium i legionów. W najłagodniejszym z epitetów porównał nas do karaluchów. To było istne objawienie, nigdy jeszcze nie miałem okazji słuchać tak soczystej i barwnej reprymendy. Na sam koniec zwrócił się do mnie.

– A ty co się jarzysz, rekrucie? – warknął. – Dobrze się bawisz? Zaraz ci pomogę!

– Przykro mi... – odezwałem się i mówiłem całkiem szczerze. – Tylko... – Usiłowałem się opanować, ale na próżno. Parsknąłem śmiechem. Porucznikowi ani trochę się to nie spodobało. Postąpił naprzód i zdzielił mnie pałką w głowę. Ostatnio często mnie to spotykało, mimo to jakoś nie potrafiłem do tego przywyknąć.

Kiedy człowiek wdaje się w przyjacielską nawalankę, nie powinien nosić ze sobą Ostrza Spójni; miecz stanowi niejaką trudność, kiedy trzeba wyjaśnić, dlaczego nie chce się go oddać podczas aresztowania. W tym wypadku problem dał się łatwo rozwiązać. Oficer dyżurny rozpoznał Santera, a kiedy ten wytłumaczył, co się wydarzyło, puszczono nas wolno... za późno, bo w tym momencie drzwi otworzyły się i do środka weszła Desina.

– Twój udział w zniszczeniach, Santer, wynosi cztery złote i trzy srebrniki! – poinformowała go z godnością Desina. – Myślałam, że tego rodzaju figle... o bogowie! – wykrzyknęła, kiedy jej spojrzenie padło na Fefre'a. – Powinnam się była domyślić!

Kapral schował głowę w ramionach.

– To nie było moim zamiarem, sera – odezwał się prędko. – Chciałem tylko zapytać Santera, czy chce się czegoś napić... ale jakoś do tego nie doszło.

– Mogę tylko powiedzieć – dodał Santer – że to naprawdę nie my zaczęliśmy. Nawet generał odczekał trzy ciosy, zanim rąbnął pierwszym przez izbę.

– Jaki generał? – zapytał oficer i poblądł, kiedy Santer wskazał na mnie kciukiem.

– Myślę – odezwałem się uprzejmie – że lepiej będzie, jak sobie pójdziemy.

– To chyba dobry pomysł – orzekła chłodno Desina. – Szukałam was. – Przeszyła mnie ostrym spojrzeniem. – Wasza przyjaciółka otrzymała wiadomości z kraju. Złe wiadomości, obawiam się. Wygląda na to, że wasza ojczyzna upadła. Maestra was oczekuje.

DZIEDZICTWO RÓŻY

Później nic nie pamiętałem z drogi do cytadeli, oprócz tego, jak wpadłem do naszej kwatery, gdzie już czekała na mnie Leandra, krążąc niespokojnie po pokoju. Varosch spoczywał, na wpół leżąc na moim łóżku, zaś Sieglinde siedziała na krześle i patrzyła z przygnębieniem.

Wziąłem Leandrę w ramiona. Serafine cicho zamknęła za nami drzwi.

– Gdzie byłeś, Havaldzie? – zapytała Leandra z oczami pełnymi łez. Nie czekając na odpowiedź, wypaliła: – Eleonora nie żyje! – Przywarła do mnie mocniej, drżąc. – Sieglinde właśnie się dowiedziała... wiadomość od Janosa... On żyje, wiesz?

– Przynajmniej jedna dobra wieść – powiedziałem z westchnieniem i przytuliłem ją mocniej, szukając wzrokiem Sieglinde. – Cieszę się w twoim imieniu, Sieglinde.

Była córka karczmarza ledwie podniosła wzrok.

– To nie wszystko – powiedziała Leandra, wzięła głęboki wdech i pociągnęła nosem.

Przypomniałem sobie ostatni sen z moją dumną królową. A więc naprawdę umarła. Poczułem ukłucie w sercu i odetchnąłem głęboko.

– Jak upadł Illian? – zapytałem.

– Tego nie wiem – odpowiedziała. – Tam. – Wskazała na tabliczkę obciążoną skórą, leżącą na łóżku, gdzie obok Varoscha ułożyła się teraz wygodnie Zokora. – Sam przeczytaj.

Wyciągnąłem rękę po tabliczkę, ale Sieglinde mnie uprzedziła. Popatrzyłem na nią zaskoczony.

– To jest wiadomość dla mnie – rzekła, odchyliła okładkę i zmierzyła mnie spojrzeniem swych zielonych oczu. – To, co mi pisze Janos, nie jest przeznaczone dla was, Havaldzie. – Wzięła głęboki wdech i zaczęła czytać. – Do obozu dotarł właśnie posłaniec z wiadomością, że wróg wszędzie rozgłasza, jakoby królowa poległa, a Illian znajduje się pod władzą Thalaku. Wysłałem zwiadowców, by dowiedzieć się więcej. Tymczasem wycofujemy się z Twierdzy Gromów. – Zamknęła okładkę. – Nie wiemy nic więcej.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego – stwierdziła podejrzliwie Leandra.

– Nie jest tak źle, jak brzmi – powiedziałem, po raz kolejny dowodząc, jaki byłem nieporadny, jeśli chodzi o słowa.

– Nie jest źle? – oburzyła się Leandra. Już zapomniała o łzach. Po jej ciele biegały iskry, a oczy żarzyły się czerwienią. – Mówisz, nie jest źle? Nasza ojczyzna upadła, a ja utraciłam jedyną bratnią duszę, jaką kiedykolwiek miałam!

Wiadomość o śmierci mojej królowej sprawiła mi ból, ale ukłucie, które poczułem teraz, zabolalo w zupełnie inny sposób. Ból omal nie pozbawił mnie tchu. Nie to miała na myśli, tłumaczyłem sobie, choć sam w to nie wierzyłem.

– Miałem przecucie. A właściwie sen, jeśli wolisz.

Pozostali gapili się na nas, jakby byli świadkami przedstawienia, ale Leandra nie przejmowała się ich obecnością.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Bo to był sen. Nie mogłem wiedzieć, czy jest prawdziwy.

Chciała coś odpowiedzieć, ale uniosłem rękę.

– Zaczekaj. Opowiem ci, co mi się przyśniło.

– Mów – rozkazała.

Nadal czułem jej gniew. Sam z trudem zachowywałem spokój, ale jej reakcja była zrozumiała. Przyciągnąłem sobie krzesło i zacząłem opowiadać o śnie, który nawiedził mnie w Aldarze, zanim „Lanca” zawinęła do portu, a ja dowiedziałem się, że Leandra została uwięziona.

– W tym śnie Eleonora powiedziała mi, że jej ciało zdradziło ją i że żyła tylko dzięki modlitwom kapłanów. Wymyśliła ostatni plan, żeby postawić się wrogowi i dać ludziom nadzieję. Przeciwnik obiecał wycofać się, jeśli ona się podda. Nie wierzyła w tę obietnicę, ale jej plan był większy.

Opowiedziałem, jak królowa się poddała, stawiała czoła ciemnej magii, zawstydziła wroga i spłonęła w ogniu Borona, nie pozostawiając po sobie nawet pyłku.

– Nikt nie widział, jak umiera – zakończyłem cicho. – Taki był jej plan. Weszła w światło i obwieściła, że będzie czuwać nad Illianem. Jednocześnie zawstydziła wroga i dowiodła, że nie można wierzyć w jego przyrzeczenia. Ale stolica w tym śnie jeszcze nie upadła. – Zawahałem się. – Jest jeden sposób na sprawdzenie, czy mój sen był prawdziwy. Musisz dać mi Kamienne Serce, Leandro.

Popatrzyła na mnie ze łzami w oczach, potem skinęła głową i wręczyła mi miecz.

Jak tylko mogłem, unikałem dotykania Kamionego Serca, ale kiedy teraz ująłem miecz w dłonie, wiedziałem, że mam rację. Żelazo było zimne jak lód. Miecz uderzył we mnie zaskakującym, niezrozumiałym gniewem. Zawsze wiedziałem, że Kamienne Serce mnie nie cierpi, mimo to zdumiała mnie bezwarunkowość tej niechęci.

Zignorowałem lód pod palcami i żar w ślepiach smoka i wcisnąłem rubiny tak, jak pokazała mi we śnie Eleonora. Rozległo się kliknięcie, rękojeść puściła. Odkręciłem głowicę. W środku, tak jak we śnie, owinięty był wokół ciernia cienki pergamin.

Pieczenie nadłamały się w ciasnej skrytce, ale dokument wyglądał na nienaruszony. Odwinąłem go i podałem Leandrze.

– Proszę – rzekłem.

Popatrzyła na mnie pytająco.

– Wiesz, co to jest?

– Testament Róży z Illianu. Postanawia w nim, kto ma przejąć po niej królewską godność.

Głośny metaliczny trzask sprawił, że drgnęliśmy; leżące na mych kolanach Kamienne Serce samoistnie złożyło się na powrót i błysnęło czerwonymi ślepiami. Chwilę potem miecz spadł mi z kolan i ślizgiem poleciał ku Leandrze, by jak wiedziony magiczną ręką stanąć obok niej.

Leandra nie zwracała nań uwagi, przywarła wzrokiem do dokumentu, który jej podawałem.

– Kto? – wyszeptała.

– Nie wiem. Mogę tylko przypuszczać.

– Ty jesteś jej paladynem, twoim zadaniem jest odczytać testament – powiedziała.

– To było kiedyś – odparłem. – Teraz ty nim jesteś. Wiadomość przeznaczona jest dla ciebie.

Wciąż trzymałem pergamin w dłoni.

– Jak to możliwe? – szepnęła. – Odkąd noszę Kamienne Serce, nie byłam w stolicy.

– Była mądrą kobietą. Wiedziała, co nastąpi. I bez okupanta jej dni były policzone.

Skinęła głową i powoli wyciągnęła rękę po dokument. Złamała pieczęć do końca i rozwinęła pergamin. Przeczytała, otwierając szeroko oczy, a jej usta utworzyły literę O. Wstrząśnięta spojrzała najpierw na mnie, a potem na pozostałych.

Wstałem, wziąłem do ręki Kamienne Serce i sparzyłem sobie palce od lodu. Tym razem było mi to obojętne, zacisnąłem rękę mocniej i ku mojemu zdumieniu poczułem, jak ostrze ulega.

– Uklęknij, Leandro – poprosiłem chrapliwie.

– Bogowie – wyszeptał Varosch, który pierwszy pojął, co się dzieje. Leandra podniosła na mnie wzrok, a potem ześliznęła się z łóżka na kolana. Chyba po raz pierwszy jej ruchy nie były pełne wdzięku. Gniotąc w dłoni dokument, podniosła na mnie szeroko rozwarte oczy, z których płynęły łzy.

Ująłem rękojęść Kamiennego Serca. Ostrze znowu chciało mi się oprzeć, lecz tym razem miałem dosyć. Miałem po uszy jego gierek. Złapałem mocniej, sięgnąłem ręką *do jego wnętrza* i przysiągłem, że pożałuje oporu. Wyczułem w nim coś zbliżonego do lęku. Ostrze oblało się oślepiającym światłem, jasnym jak rozżarzona do białości stal. Uniosłem miecz, ująłem go oburącz i opuściłem łagodnie.

– Na miłość Astarte – wyszeptałem i dotknąłem czubkiem ostrza czoła Leandry – na sprawiedliwość Borona – dotknąłem lewego ramienia – i na życie, które otrzymujemy w darze od Soltara – prawe ramię – Leandro di Girancourt, waszym przeznaczeniem jest korona Illianu. Mając za świadków bogów i tu obecnych, odpowiedzcie, czy jesteście gotowa nieść brzemień korony, wziąć je na siebie dla kraju i ludu Illianu, służyć Illianowi i wszystkim, którzy w nim żyją, chronić ich i szanować do czasu, gdy Soltar weźmie waszą duszę, aby rozliczyć was z panowania?

Leandra spojrzała na mnie. Po twarzy nadal spływały jej łzy, wargi lekko dygotały.

– Tak... – zaczęła i przełknęła ślinę. – Tak – wyszeptała. – Przysięgam!

Ostrze Kamiennego Serca zabłysło i przelało światło na Leandrę, które otuliło ją i przeniknęło, aż sama rozjarzyła się nim jak jaśniejący posąg bogini. Poświata zgasła powoli.

– Co zaświadczam przed Soltarem – oświadczyłem głosem pełnym czci.

Spojrzełem znacząco na Varoscha, który uśmiechnął się delikatnie.

– Zaświadczam to przed Boronem – powiedział cicho.

Przeniosłem wzrok na Zokorę, która wszystko śledziła z uwagą.

– Zaświadczam przed Solante, która jest także Astarte – powiedziała i przez jej oblicze przemknął uśmiech. – Czy właśnie to chciałeś usłyszeć, Havaldzie?

– Tak – odparłem. – Dokładnie to.

Chwyciłem pochwę Kamiennego Serca i wsunąłem do niej miecz. Ostrze wzbraniało się, ale nie widziałem powodu, by jeszcze dawać mu swą krew, i dobitnie dałem mu to do zrozumienia. Z cichym trzaskiem zniknęło w pochwie. Postawiłem miecz obok Leandry.

– Wstań – szepnąłem.

Podniosła się powoli, a kiedy stanęła, upadłem przed nią na kolana; Varosch i Sieglinde poszli w moje ślady.

– Niech błogosławieństwo bogów będzie z wami, Leandro, królowo Illianu, strażniczko królestwa, serce i miłości Illianu – wypowiedziałem chrapliwym głosem.

– Raz już byłem świadkiem koronacji człowieka – odezwała się Zokora, moszcząc się wygodnie na poduszkach naszego łóżka. – Trwała dziewięć świec, było mnóstwo przysięg i dobre trzy tuziny kapłanów, śpiewających pieśni pochwalne. Trzy dni później nowy król zmarł. Muszę powiedzieć, że twój sposób bardziej mi się podoba, Havaldzie.

– Dziękuję – rzuciła uszczypliwie moja królowa do Zokory. – Dokładnie to chciałam usłyszeć.

– Tamtym razem nie było Kamiennego Serca, które zaświeciło – powiedziała mroczna elfka. – To przemawia na twoją korzyść.

Leandra zwróciła się do mnie.

– Czy ten akt będzie ważny? – zapytała. – I dlaczego zrobiłeś to w ten sposób? Nie lepiej byłoby udać się do świątyni? Czy ty w ogóle masz prawo mnie koronować?

– Tak wydało mi się właściwie. Bogowie byli świadkami, a Kamienne Serce potwierdziło. To nie *ja* ciebie ukoronowałem. To bogowie i Kamienne Serce. To ono jest królewskim mieczem Illianu. Jeśli cię to uspokoi, to Eleonora złożyła dokładnie tę samą przysięgę.

– Jak to? – zdumiała się. – Myślałam, że została ukoronowana w świątyni.

– Tak. Ale odkąd Vladir Podstępny podczas swojej koronacji został przez pomyłkę pozbawiony głowy przez Kamienne Serce, podczas ceremonii używano już tylko kopii miecza. Gdy Eleonora się o tym dowiedziała, kazała kapłanom przynieść Kamienne Serce. Wynieśliśmy ją na noszach do ogrodu, który tak kochała. Tam poprosiła mnie, abym zrobił dokładnie to, co teraz. Powiedziała, że musi wiedzieć, czy ma prawo nosić koronę. Dla niej również Kamienne Serce zaświeciło. – Uśmiechnąłem się. – Jeśli dla niej to było wystarczające, to jest i dla ciebie, moja królowo.

A gdyby Kamienne Serce spróbowało się oprzeć, kazałbym je przetopić. Byłem pewien, że ten cholerny miecz doskonale o tym wiedział.

– Moja królowo – powtórzyła. – Jestem nią dla ciebie?

– Tak – odparłem cicho i przełknąłem ślinę. – Nie możesz być nikim więcej. To mało?

Rozwarła swe fioletowe oczy, kiedy pojęła, co chciałem jej powiedzieć.

– Musi wystarczyć, prawda? – wyszeptwała.

– Tak.

– W takim razie wstańcie, hrabio Rodericu von Thurgau. I wy również. – Powiodła po nas twardym wzrokiem. – Nikogo z was nigdy więcej nie chcę widzieć przed sobą na kolanach. – Roześmiała się i otarła łzy. – Właśnie popełniłam swój pierwszy błąd... Sieglinde, chodź tutaj i uklęknij. Po raz ostatni. – Leandra pokręciła głową z uśmiechem. – Muszę się nauczyć bardziej zważać na słowa.

Ujęła Kamienne Serce, podczas gdy Sieglinde schyliła przed nią głowę.

Ostrze dotknęło lekko czoła dziewczyny, a potem jej ramion.

– W imieniu Illianu podnieście się, Sieglinde von Eberherz, rycerko Zakonu Róży.

Sieglinde podniosła na nią zdumione spojrzenie, a Leandra roześmiała się.

– To, co najważniejsze, zostało powiedziane – orzekła. – Havald jest w tym dobry, ja tylko go naśladowuję. – Zerknęła na mnie krótko. – Dawniej istniał Zakon Róży. Jego rycerzy nazywano Czterdziestoma Wiernymi. Myślę, że znasz tę historię, Sieglinde. Ty odnowisz ten zakon. A teraz wstań.

Sieglinde podniosła się powoli, oszołomiona.

– Eberherz? – powtórzyła.

– Nie przyszło mi do głowy nic lepszego. To tylko inna forma imienia Eberhard. Twój ojciec będzie rad, gdyż ziemia wokół Przełęczu Gromów i gospody Pod Głowomłotem będzie teraz należeć do niego. O ile zdołamy ją obronić.

Leandra złożyła Kamiennemu Sercu ofiarę z krwi, gdy ostrze spiło ją chciwie, schowała miecz do pochwy.

– To zmienia wszystko – stwierdziła, posyłając mi długie spojrzenie. – Sieglinde, ty, gdy tylko znajdziemy jakiś portal, wrócisz do kraju i będziesz tam moim głosem. Rozkazy, jakie otrzymasz, będziemy musieli jeszcze omówić, ale będę bronić Illianu tak długo, jak długo krew płynie w moich żyłach, co przysięgam na wszystkich bogów! – Wzięła głęboki wdech. – Teraz jednak proszę o chwilę spokoju. Nie, Havaldzie – poleciła cicho. – Ty zostajesz.

7

KRÓLOWA

Leandra zaczekała, aż Varosch zamknie za sobą drzwi, a potem podeszła do okna i popatrzyła w dół, na ciemny dziedziniec cytadeli, oświetlony tylko kilkoma latarniami. Stanąłem obok niej, nasze spojrzenia spotkały się na ciemnej szybie. Leandra dotknęła czołem chłodnego szkła.

– Od jak dawna wiedziałeś, Havaldzie?

– Nie wiedziałem, domyślałem się tylko. Od bardzo dawna.

Oparła się o mnie, czułem jej ciepły zapach.

– Skąd?

– Byłem paladynem Eleonory, a przedtem jej ojca. Znałem ją od niemowlęcia, a ona wpadła na pomysł, że powinniśmy zostać przyjaciółmi. – Uśmiechnąłem się w mrok. – Miała własne wyobrażenia, co powinien robić paladyn. A wśród nich i to, że nosiłem ją na barana i opowiadałem różne historie. Była żywym, ciekawym dzieckiem, a kiedy jeszcze mogła chodzić, ciągle była w ruchu. I była mądra. Wiedziała, że nigdy więcej nie stanie na nogach, wiedziała też, że jej dni są policzone. Cierpiała, wiesz?

Skinęła głową.

– Medycy dali jej proszek, ale on czynił ją ospałą i niemrawą na umyśle. Zażyła go tylko raz.

– Havaldzie, ja ją znałam przez długi czas. Wiem o tym. Cierpiała, bo potrzebowała jasnego umysłu, by uczynić to, co musiała.

– Tak. – Wziąłem głęboki wdech. – Nawet jako dziecko często mówiła o swojej śmierci. Umieranie nie stanowiło dla niej problemu, tylko to, co miało nastąpić potem. Nie miała spadkobierców, a nawet gdyby podjęła próbę, nie było pewności, że dziecko przeżyje. Ona jednak na pewno umarłaby przy porodzie. Mówiła, kto byłby zdolny do noszenia korony. Osoba ta musiałaby mieć niezłomną wolę i serce zdolne znieść rozpacz, kiedy posyła się na śmierć tych, których się kocha.

– Kamienne Serce – szepnęła. – Dlatego mi je dała.

– Tak. – Milczałem przez chwilę. – Długo tego nie rozumiałem. Właściwie aż do teraz. Kiedy ci je podarowała, wiedziała, że to będzie rozpaczliwa walka. Wojna zabija ludzi, których się kocha, ale królowa musi umieć to znieść. I jeszcze jedno: wiesz, dlaczego elfka przywiozła cię na dwór Eleonory?

– Nie. Nie mam pojęcia, dlaczego moja matka to zrobiła.

– Może zdołam ci odpowiedzieć. Jest coś, o czym wiele osób nie wie: elfy i ludzie są do siebie bardzo podobni. Nie do końca wiadomo, co się stanie, kiedy elf i człowiek połączą się ze sobą. Dziecko może być człowiekiem albo elfem, albo tym, co mówią o tobie: półelfem, który łączy w sobie obie rasy. – Przytuliłem ją mocniej. – Ród królewski Illianu wywodzi się jeszcze ze Starego Królestwa. Może należeli do niego przodkowie, którzy pochodzili od elfów, gdyż ponad dwieście lat temu wydarzyło się coś bardzo, bardzo rzadkiego: ze związku dwojga ludzi narodziło się elfie dziecko. Nie było mnie jeszcze wtedy na dworze, ale słyszałem plotki. I raz zobaczyłem to dziecko, kiedy w otoczeniu gwardii przybocznej wybrało się na przejażdżkę konną. Chłopiec miał fioletowe oczy i białe włosy. I twój uśmiech. Nie było wątpliwości, że był prawowitym następcą tronu. Miał rysy ojca i matki, a mimo to matka musiała stanąć przed Boronem, aby dowieść, że nie zdradziła króla. Dziecko jednak pozostało problemem. Elf, który rządzi ludzkim królestwem? A potem dowiedziałem się, że dziecko zmarło. To był wypadek na polowaniu. Mówiono, że rozszarpał je niedźwiedź. Wiele lat później usłyszałem od pewnego starego leśnika, który był na tamtym polowaniu, że naraił spotkanie między królewską parą a wysłannikiem elfów. Przyznał, że następcą tronu nie zginął, tylko inne dziecko, zmarłe na koklusz, podrzucono niedźwiedziowi na pożarcie, z błogosławieństwem Soltara. Królewskiego potomka zapłakani rodzice oddali elfom.

– Myślisz, że...? – wyszeptała.

– Nie wiem. To tylko historia opowiedziana przez pewnego starego człowieka, który za dużo pił i czasami nie wiedział nawet, jak się nazywa. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, w gospodzie Pod Głowomłotem, uderzyło mnie, że jesteś bardzo podobna do tamtego elfiego dziecka, ale zaraz porzuciłem tę myśl. Później, kiedy usłyszałem, że zostałeś przyprawiona na dwór przez elfkę... Nie sądzę, żebyś była bękartem – powiedziałem cicho. – Sądzę raczej, że dla twoich rodziców byłaś niespodzianką, że wydarzyło się coś dziwnego i ze związku dwojga elfów powstałaś ty. Żyję wystarczająco długo, by wiedzieć, że niektórzy ludzie powracają. Czasami widzę kogoś podobnego jak dwie krople wody do kogoś, kogo znałem w młodości, a potem dowiaduję się, że to jego daleki krewny. Wszyscy, którzy żyli przed nami, nadal w nas są, Leandro, i niekiedy powracają. Elfy żyją dłużej od nas i trwa w nich dziedzictwo tych, którzy istnieli przed nimi i są nazywani Starszymi. Może u elfów jest podobnie i czasami powraca coś, o czym sądzi się, że zaginęło dawno temu.

– Myślisz, że pochodzę od tamtego księcia, oddanego elfom? – zapytała.

– To możliwe. Wiem, że Eleonora była zafascynowana historią o zaginionym królewskim dziecku. Nie zdziwiłbym się, gdyby nawiązała kontakt z elfami, dowiedziała się o tobie i wszystko urządziła tak, aby przywieźli cię do niej. Dziecko za

dziecko. Dla elfów to ważne, zgodne z cyklem, za jaki uważają życie. Nie wiem, czy to prawda, ale sądzę, że to możliwe.

– Dlatego dała mi wykształcenie i zawsze trzymała moją stronę – powiedziała. – Przydzieliła mi najlepszych nauczycieli i sama często uczestniczyła w lekcjach. Ona to wszystko zaplanowała. Uformowała mnie taką, jaka dziś jestem.

– Albo to przypadek, nic więcej.

Wątpiłem, by tak było. Ciało Eleonory może i było kruche, ale umysł nie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto dokonał zamachu. Dręczyło ją, że zamach ostatecznie się powiódł, gdyż nie mogła wydać na świat potomka, jej życie zaś znacznie się skróciło. To by było do niej podobne, że na swój sposób pokrzyżowała plany zamachowcom.

– Ile tajemnic jeszcze ukrywasz? – zapytała.

– Zbyt wiele – odpowiedziałem szczerze. – Mam za sobą długie lata życia, wiele widziałem, a wiele z tego zostało zapomniane. Zwykle sam o tym nie pamiętam do chwili, gdy czyjś uśmiech i fioletowe oczy nie przypomną mi o tym.

Pokiwała głową w zadumie.

– Myślę, że i ja zaczynam cię powoli rozumieć. Teraz kiedy jest za późno.

Nie powiedziałem nic, tylko przyciągnąłem ją mocniej do siebie. Westchnęła.

– Jest coś, co muszę ci wyznać, Havaldzie. Tajemnicę.

– Nie musisz.

– Ale chcę. – Poruszyła się w moich ramionach i poczułem, że się uśmiecha, wyczuwając moją reakcję. – Posłuchaj mnie. Byłam dziś niesprawiedliwa wobec ciebie. Nie jest całkiem tak, jak myślisz, ale Kamienne Serce... Kamienne Serce od samego początku było przeciwko tobie.

– Wiem.

– A wiesz dlaczego? – Obróciła się w moich ramionach, by złożyć głowę w zagłębieniu mej szyi.

– Nie. Kiedy koronowałem Eleonorę, miecz zdawał mi się przychylny, ale wtedy nosiłem już Rozpruwacza.

– To proste – powiedziała Leandra tak cicho, że ledwie ją słyszałem. – Złożyłam przysięgę na Kamienne Serce i nie ma nic, co może mnie odwieść z mojej drogi.

Skinąłem głową. Byłem tego świadom.

– Nic poza jedną rzeczą – ciągnęła szeptem. – Przedtem nigdy nikogo naprawdę nie kochałam. Havaldzie, przyszedłam do ciebie niewinna.

Natalyia też tak mówiła. Przełknąłem ślinę, bo spodziewałem się, że to, co teraz nastąpi, będzie bolesne.

– Kocham cię... a Kamienne Serce o tym wie i widzi w tobie największe zagrożenie dla złożonej przysięgi. I ma rację. – Otarła łzy i podniosła na mnie wzrok. – Teraz jest

uspokojone, bo coś wie, i ja też to wiem. Ale muszę to potwierdzić. Havaldzie... czy będziesz dzielił ze mną koronę?

O bogowie, jak wielka to była pokusa.

– Nie, Leandro – powiedziałem łagodnie. – Jest mi przeznaczone coś innego. Kiedyś On wezwie mnie do siebie, a ja będę musiał odejść.

– Ale jestem twoją królową. – Uśmiechnęła się przez łzy.

– Jesteś – potwierdziłem.

– Musisz robić, co ci rozkażę.

– Nie do końca.

Wyzwoliła się z moich ramion, podeszła do Kamiennego Serca i wcisnęła mi je do ręki. Miecz był tak samo zaskoczony jak ja.

– Idź do Serafine i daj jej Kamienne Serce, niech ona go strzeże tej nocy. Zaczekaj kwartę świecy i wróć do mnie. I umyj się, śmierdzisz winem.

– Ale... – zacząłem, ale ona położyła mi palec na wargach.

– Chcecie odmówić wykonania rozkazu królowej, grafie Rodericu? – zapytała chłodno, ale z uśmiechem na ustach.

Ukloniłem się i zrobiłem, czego żądała.

Kiedy wróciłem po kwarcie świecy, czekała na mnie. Miała na sobie szaty z Gasalabadu, które potrafią doprowadzić mężczyznę do szaleństwa, pachniała wonnościami, a na jej twarzy widniał uśmiech, jakiego przedtem nie widziałem. Były w nim pełne radości oczekiwanie i tajemnica.

– Tym razem – powiedziała cicho, przyciągając mnie do siebie – Kamienne Serce nam nie przeszkodzi.

8 O PIÓRACH

Rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, Serafine znalazła mnie w ogrodzie cytadeli. Była tam niewielka sadzawka, w której pływał karp. Nie myślałem o niczym, tylko przyglądałem się rybie, która całkowicie mnie ignorowała.

Rozpruwacz Dusz wyczuł jej nadejście. Położyła mi łagodnie rękę na ramieniu.

– Chcesz być sam, Havaldzie? – spytała.

Zastanowiłem się.

– Nie – odparłem.

Skinęła głową, usiadła obok mnie i razem przyglądaliśmy się karpowi.

Pułkownik Orikes wygładził królewski pergamin z rękojęści Kamiennego Serca i zmierzył wszystkich pełnym wyrzutu spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć, że nie wolno się tak obchodzić z ważnymi dokumentami.

– Nie mam wątpliwości co do autentyczności tego pisma – orzekł, nalewając nam kafe. – Nie wiem tylko, jakie będą tego konsekwencje.

Był drugi dzwon, a w przeciwieństwie do mnie Orikes wyglądał na wypoczętego. Leandra sprawiała wrażenie smutnej i zadowolonej jednocześnie, ale była jakaś inna niż zwykle.

Orikes spojrział na dokument, westchnął i zwrócił się do mnie:

– Dokonaliście koronacji, generale von Thurgau. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyło się, aby generał cesarza koronował króla, i czy to jest zgodne z pryncypiami.

– Jest zgodne z prawem – poinformowałem go i opowiedziałem o drugiej koronacji Eleonory w ogrodzie.

Orikes wysłuchał, w końcu westchnął.

– Wasza wysokość – odezwał się oficjalnie. – Czy gotowa jesteście stanąć przed kapłanem Borona, aby ten uznał wasze aspiracje do korony waszego kraju?

– Varosch... – zacząłem, ale pułkownik pokręcił głową.

– Nie mam nic przeciwko waszemu druhowi, generale, ale zgodnie z jego własnymi słowami jest tylko adeptem i nie nosi godności kapłańskich.

– To żaden problem, pułkowniku – odezwała się spokojnie Leandra. – Jeśli tak sobie życzyacie, jeszcze dziś udam się do świątyni Borona i oddam się sprawiedliwości boga.

– Dobrze – orzekł Orikes, masując sobie skronie. – Ostateczną decyzję podejmie komendant, ale zakładam, że będziemy dalej postępować tak, jakby ta koronacja była zgodna z prawem.

– Jest zgodna – oświadczyła spokojnie Leandra, a w jej tonie zabrzmiała pewność, która sprawiła, że Orikes zamrugał. – Poza tym to znacznie upraszcza sprawę. Illian był pierwszym z Nowych Królestw, wszystkie inne wywodzą się z niego. Letasan i Jasfar już zostały przejęte przez wroga, z czego można wywieść prawo do reprezentowania tych krajów przez Illian. Illian został założony przez Askannona, był częścią Starego Królestwa i nadal jest.

– Tak – zgodził się Orikes. – W ten sposób można zbudować argumentację. Możliwe, że znajdą się na to jakieś dokumenty. Każę niezwłocznie wszcząć poszukiwania. – Opuścił ponownie wzrok na papyrę i wygładził ją po raz drugi i trzeci. – Tak możecie stanąć przed Radą i próbować ją przekonać.

– I osiągnę to – orzekła zdecydowanie Leandra.

– Może – odparł Orikes. – Choć wcale nie jestem tego taki pewien. Nie uwierzą wam. Powiedzą, że jesteście uzurpatorką, która kazała się ukoronować przez swego kochanka. Powiedzą, że wróg został pokonany, i będą twierdzić, że zagrożenie wcale nie jest takie wielkie, jak mówicie. Ponadto jedna z koronowanych głów zwróci uwagę, że może potrwać lata, a może nawet dziesięciolecia, zanim Thalak przeprowadzi swój legion przez kraje leżące między nami, i nadmieni, że aby wtargnąć do Starego Królestwa, cesarz nekromanta będzie musiał przejść przez Besarajn. Znajdzie się też taki, który przypomni, że Besarajn już teraz ma największą armię i byłoby niewskazane naruszać równowagę sił w regionie. – Pułkownik wzruszył bezsilnie ramionami. – I tak wszystko zostanie po staremu. – Powiódł po nas wzrokiem. – To będzie setne posiedzenie Rady. Na każdym z nich było tak samo. Żadne z królestw nigdy nie było gotowe uwzględnić cokolwiek innego niż własny interes. Pozwolili na to, by niszczały twierdze, wieże semaforowe, stocznie i trakty, nawet armia jest w opłakanym stanie. Tylko Wschodnie Rubieże utrzymują jeszcze godne uwagi wojska, ale te są zaangażowane w walkę z barbarzyńcami, którzy ostatnio wyjątkowo mocno naciskają na nasze wschodnie granice. – Popatrzył na mnie. – Traktat askirski przez długie stulecia gwarantował pokój, lecz teraz stanowi przeszkodę, gdyż sojusz potrzebuje jednomyślności, jeśli chodzi o wypowiedzenie wojny innemu królestwu.

– Nie wierzę, że do tego dojdzie – zdenerwowała się Leandra. Po jej włosach przebiegły iskierki. – Kto mówi o wypowiedzeniu wojny? Zagrożenie już tu jest, Stare Królestwo już jest w stanie wojny!

– To wy tak twierdzicie, wasza wysokość. Komendant również tak to widzi. Ale jest taki ptak, który w obliczu zagrożenia chowa głowę w piasek. U nas ten gatunek nosi

koronę, a kto nie chce widzieć, nie zobaczy.

– Ale Askir stanie po naszej stronie? – spytała z napięciem Leandra.

– O ile to będzie zgodne z traktatem, owszem. Wskrzeszenie Drugiego Legionu było znaczącym posunięciem i jedynym, jakie nam pozostało. – Orikes złożył dłonie. – Traktat Drugiego Legionu nie dotyczy, ponieważ uchodził on wówczas za zaginiony. Dzięki temu możemy wykorzystać lukę w prawie. – Poszukał mnie wzrokiem. – Są instrukcje i reguły mówiące, jak wyposażyć legion na wojnę. Drugi Legion zostanie utworzony w pełnej sile dziesięciu tysięcy żołnierzy, do tego czterech tysięcy ludzi na zapleczu. Otrzymacie najlepszy ekwipunek i materiały, jakie można znaleźć w naszych arsenałach. Już teraz widać, że wielu ochotników będzie chciało zaciągnąć się do Drugich Byków. Obawiam się jednak, że będzie tego niewiele więcej.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– Z tego, co wiemy, wróg ma pod bronią dziesięciokrotność tego i może dorzucić jeszcze dwudziestokrotność. A szacunki te nie uwzględniają oddziałów, jakie widzieliśmy na Wyspach Ognistych. Jeden legion nie zdoła ich powstrzymać.

– Będzie musiał, generale – powiedział Orikes. – Do waszej wiadomości: przedstawiłem komendantowi wasze powody, dla których dowodzenie legionem należy powierzyć komuś innemu. Odmówił.

– A podał swoje powody?

– Nie zmienił stanowiska. Gdybyście nie byli odpowiednią osobą, nie nosilibyście pierścienia.

– Havaldzie – wtrąciła Leandra, przykrywając moją rękę dłonią. – To wystarczy. Ja wiem, jak przeciągnąć Radę Koronną na naszą stronę.

– Macie jakiś plan? – zapytał uprzejmie Orikes.

Leandra uśmiechnęła się, ukazując zęby.

– Kiedy przyjdzie czas, będę go mieć.

– Dobrze. Musimy powiadomić komendanta – powiedział Orikes i wstał. – Wasza wysokość, jeśli zechcecie mi towarzyszyć?

– A co ze mną? – spytałem.

– Wasza obecność nie będzie konieczną, generale. – Z namysłem zmierzył mnie spojrzeniem. – Może powinniście udać się do świątyni Soltara. Jeden z jego kapłanów był tutaj dzisiaj i pytał o was.

– Co chciał?

– Porozmawiać z wami. Nie poinformowano mnie, o co chodzi.

Z trudem stłumiłem westchnienie. Może i pogodziłem się z myślą, że muszę służyć Soltarowi, ale nie paliło mi się przekraczać ponownie progu świątyni. Ani jego, ani żadnej innej. Za każdym razem źle na tym wychodziłem.

– Jeśli pozwoli na to czas – skłamałem.

Orikes spojrział na mnie zaskoczony.

– To wasza decyzja. Ja tylko przekazuję wiadomość.

Wstałem od stołu i popatrzyłem na Leandrę.

– Zobaczymy się później – rzuciła z niepewnym uśmiechem.

– Tak – odparłem.

W drzwiach obejrzała się za siebie. Rzadko widywałem ją tak zagubioną. Nasze spojrzenia zetknęły się, lecz nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć, więc tylko uśmiechnąłem się z trudem i zamknąłem drzwi. Przez chwilę stałem tam i zastanawiałem się, jak długo to będzie bolało, w końcu podniosłem głowę i wyprostowałem ramiona. Niewiele tu było miejsc, gdzie nikt cię nie obserwuje, a chociaż straż udawały, że patrzą przed siebie, nie było powodu, by dalej robić im przedstawienie.

Wróciłem do naszych komnat i zapukałem do drzwi. Sieglinde otworzyła mi z uśmiechem, którego ostatnio tak mi brakowało. Może i byli złączeni z Janosem magiczną więzią, ale kiedy miała go jeszcze za zmarłego, była tak smutna, że nie wątpiłem w jej prawdziwą miłość.

Ten uśmiech czynił ją łagodniejszą i sprawiał, że przypominała córkę karczmarza, którą była, kiedy ją poznałem. Hardość, którą okazywała w późniejszym czasie, do niej nie pasowała.

Jak wszędzie w tutejszych kwaterach drzwi wychodziły na niewielki salonik, w którym stały stoły, krzesła i kredens. Ku memu zdumieniu zastałem tam Sowę Desinę. Rozmawiała z Serafine i na mój widok spontanicznie zwróciła się do mnie.

– Po prostu brakuje czasu na porządną rozmowę – zauważyła – ale nawet sobie nie wyobrażacie, jakie to pomocne móc porozmawiać z kimś, kto osobiście znał Stare Królestwo. – Spojrzała na Serafine. – Musimy kiedyś dokończyć naszą rozmowę, Helis!

– Chyba nigdy nie będziecie miały dość – stwierdziła ze śmiechem Serafine. – Na każdą odpowiedź macie trzy kolejne pytania.

– Tylko ten, kto pyta, czegoś się dowiaduje – skwitowała prima. Wyglądała w tej chwili dużo młodziej. – Chcecie mi ją uprowadzić, generale?

– Nie bez uprzedniego zapytania ją o to. Inaczej będzie się bronić. – Przyciągnąłem sobie krzesło. Sieglinde z uśmiechem naląła mi kafe; dawniej robiła to chętnie, ostatnio coraz rzadziej. Nie miałem z nią zbyt wiele do czynienia, ale musiałem przyznać, że brakowało mi jej. Janos mógł się uznać za szczęściarza, pomyślałem z ukłuciem w sercu.

– Leandra i Orikes są na audiencji u komendanta. Ja jestem w tej chwili bezużyteczny – poinformowałem kobiety. – Helis, moglibyśmy obejrzeć miasto.

Serafine chętnie się zgodziła.

– Dobrze – rzuciła Desina. – Inaczej dalej bym was nękała. – Podniosła się z wdziękiem młodego żrebaka. – Niech błogosławieństwo bogów będzie z wami wszystkimi. – I już jej nie było.

– Zastanawiam się, czy ona zawsze taka jest – odezwała się Serafine z uśmiechem, kiedy wychodziliśmy z cytadeli.

– Kto? Sowa? – spytałem.

– Tak, ona.

– Nie, nie sędzę. Słyszałem, że lubi całymi dniami przesiadywać nad starymi zwojami, a do tego potrzeba żelaznej dyscypliny. Rzadko ma okazję do takich rozmów.

– Havaldzie, ona jest niewiele starsza od Helis.

– Łatwo o tym zapomnieć – przyznałem. – Tobie została zwrócona młodość, nie musisz niczego żałować ani mieć wyrzutów sumienia. Tylko ja ciągle o tym zapominam, bo nie sprawiasz wrażenia młodej.

– Dzięki – odrzekła uszczypliwie, ale po jej ustach przemknął uśmiech.

– Wiesz, co mam na myśli. Powiedz, czemu właściwie tu z nami przybyłaś? Armin i Faihlyd z wielką chęcią zatrzymaliby się w Gasalabadzie i obsypali honorami.

– Armin może tak, z Faihlyd nie byłabym taka pewna. Ona się mnie boi. Ale i mój brat dziwnie na mnie patrzy, kiedy spostrzeża, że jestem inna niż przedtem. – Westchnęła. – Myślę, że jest w tym sens, że nie pamiętamy naszych poprzednich żyć. Nie zrozum mnie źle, jestem Helis i chcę nią być, ale dla mnie to tak, jakby lata Helis i lata Serafine się ze sobą przenikały. Dwa różne życia, a mimo to jedno. Helis też nie miała łatwo, występowała w familijnym cyrku. To, co jej zrobił potem Ordun... – Objęła się ramionami, jakby marzła. – Nie mogę prowadzić dalej takiego życia, kiedy świat stoi na krawędzi przepaści. Otrzymałam łaskę i czuję, że moje życie ma więcej sensu, jeśli wspieram cię z całych sił.

– Mnie? – zdumiałem się. – Chyba masz na myśli Leandrę.

– Ciebie. Leandra jest tak zaprzątnięta swoją misją, że nie ma wokół siebie miejsca na nic innego. Sam to powiedziałeś. – Minęła mnie wzrokiem i zmrużyła oczy. – Co tam się dzieje? – spytała. – Czy to nie Zokora? Bogowie, wdała się w jakiś spór?

Podążyłem za jej spojrzeniem i zobaczyłem Zokorę, uwikłaną w przepychankę z czwórką żołnierzy Piór, którzy napierali na nią uzbrojeni w bojowe pałki. W pierwszej chwili zdjął mnie strach, zaraz jednak przekonałem się, że Varosch stoi z boku i rozmawia z pozostałymi Piórami. A więc to tylko ćwiczenia, nic więcej. Uszliśmy ledwie parę kroków w ich stronę, kiedy pierwszy żołnierz poleciał w górę i rąbnął twardo o glebę, drugi zgubił pałkę, trzeci zrobił unik, przetaczając się na bok,

a czwarty legł jak długi, podczas gdy Zokora przechwyciła jego pałkę, zakręciła nią młynka i uniosła w górę niczym lancę na paradzie.

Podczas gdy czterej żołnierze dźwigali się na nogi, pojękując, ich towarzysze z niedowierzaniem mrugali oczami, a Varosch przyglądał im się z pełnym satysfakcji uśmiechem. Zokora zauważyła nas i pełnym godności gestem przywołała do siebie, jakbyśmy nie zamierzali do niej podejść.

– Pamiętasz Kennarda? – rzuciła zamiast powitania. – Pióra stosują ten sam styl walki. Ci czterej są mistrzami, ale mi nie dorównują.

Pióra wyglądały na mniej zachwycone surowym wyrokiem Zokory. Ona zaś ciągnęła dalej.

– To nie technika ani styl walki zaważyły na tym, że z nim przegrałam, tylko on sam. Zapytałam, czy go tutaj znają, wszak twierdził, że pochodzi stąd. Ale nikt go tu nie zna, Havaldzie. – Popatrzyła na mnie swymi ciemnymi oczami, w których żarzył się czerwony blask. – Chcę wiedzieć, kim jest ten Kennard!

– Za to my chętnie dowiedzielibyśmy się, kim wy właściwie jesteście, sera – odezwał się jeden z żołnierzy, który mozolnie dźwignął się na nogi i stanął na wprost niej, przyciskając rękę do boku.

Zokora uniosła dumnie głowę.

– Jestem Zokora z Ysenloh. Moją matką jest Ysbeta, córka Lohese, córka Jehali. Jestem z plemienia Cierni, moim omenem jest kot, a moje słowo jest słowem wyświęconej wojowniczkii Solante, siostry Astarte, którą czcicie wy, ludzie.

– A zatem z ludu mrocznych elfów – stwierdził żołnierz. – To był dla nas zaszczyt, *'serva'sol'ante* – dodał z uśmiechem i pokłonił się nisko. – „Tako rzecze Astarte” – zaintonował głębokim tonem – „że i w głębinach światów musi być światło, które świeci, opromienia i prowadzi tych, którzy pragną wierzyć, i chroni tam, gdzie ciemność chce zasiać zwątpienie. Tym, którzy w najczarniejszej głębinie chcą zaciągnąć się do walki z ciemnością, chcę być tarczą, przewodem i ochroną, mieczem i pochodnią zarazem, aby rozbić to, co żyć może tylko w cieniu. Chcę być dla was Sol'ante, dla was, którzy podążają za mną, światłem w ciemności i osłoną przed cieniem”.

– Bogini – wyszeptała Zokora i po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, wydawała się niemal poruszona. – Skąd...?

– Jesteśmy Piórami – odparł kapral z uśmiechem. – Jesteśmy skrybami i uczonymi. Wiedza należy do naszych zadań.

– Dobrze – powiedziała Zokora. – Szukam wiedzy o siostrze, Jaranie okt Talisan z domu Rumaków Nocy.

Żołnierz zamrugął.

- Dlaczego sądzą, że moglibyśmy wam pomóc?
- Mówisz, że do waszych zadań należy wiedza.
- Ale tylko o historii imperium i jego sojuszników.
- Jarana okt Talisan należała do gwardii przybocznej cesarza. To pomoże?

Pióra popatrzyły po sobie. W końcu kapral skinął głową.

- Owszem, to powinno pomóc.
- Wybaczcie, kapralu – odezwałem się do niego, zanim zdążył się oddalić. – Mam pytanie.

Zmierzył wzrokiem mnie, potem Serafine. Nie miałem na sobie munduru, nie wiedział, kogo ma przed sobą.

- Pytajcie.
- Ona jest mroczną elfką.
- Tak.
- Nie boicie się jej ludu? – spytałem.
- Dlaczego mielibyśmy się go bać? – odpowiedział pytaniem. – Byli naszymi sojusznikami.

– Ja też mogłam ci to powiedzieć – wtrąciła z rozbawieniem Serafine.

– Więc czemu nie powiedziałaś?

– Nie pytałeś.

Jasne. Skąd miałem wiedzieć... Tak. Serafine i martwa mroczna elfka, którą znaleźliśmy w lodowych jaskiniach, żyły w tych samych czasach.

– Powiedz, znałaś tamtą mroczną elfkę z Gromogór? – zapytałem ją.

Skinęła głową.

– Tak jak zna się kogoś, kogo widuje się od czasu do czasu. Trzymała się razem ze swoimi drapieżnymi kotkami na uboczu. Nie należała do Drugiego Legionu ani do garnizonu Twierdzy Gromów. Była agentką cesarza. Tyle wiem.

– Ignorowanie kogoś z mego ludu może okazać się śmiertelnym błędem – stwierdziła Zokora.

– To raczej ona ignorowała mnie.

– Miała prawo – wyjaśniła Zokora.

Serafine otworzyła usta i zamknęła je, poprzestając na uśmiechu.

Zokora spojrzała na mnie.

– Chcesz coś ode mnie, Havaldzie?

– Nie – odparłem. – Chcieliśmy udać się na miasto i...

– Brama główna jest tam – poinformowała mnie uczynnie i zwróciła się do kaprala Piór: – Gdzie zaczynamy poszukiwania?

– W archiwum. Tam są odpowiedzi na wszystkie pytania – odpowiedział Pióro. Żołnierz przysłuchiwał się naszej rozmowie z tak żywym zainteresowaniem, że aż było widać, jak rosną mu uszy. – Jednakże najpierw musimy uzyskać zgodę...

– Czyją?

– Archiwariusza albo pułkownika Orikesa. Ale to potrwa, bo...

– Zaraz pójdę do niego i poinformuję go, że ma udzielić zgody – oznajmiła Zokora i popatrzyła na Varoscha. – Idziesz?

Varosch rzucił mi nieodgadnione spojrzenie i pospieszył za nią.

– Ale żeby spotkać się z pułkownikiem, musicie się wpięć – zawołał za nią żołnierz, ale chyba go nie usłyszała.

– Co w tym takiego zabawnego, Helis? – mruknąłem, kiedy przechodziliśmy przez bramę. Już od jakiegoś czasu miała trudności z zachowaniem powagi.

– Ach, nic – zbyła mnie i zaśmiała się cicho. Chciałem drążyć dalej, kiedy zagroził nam drogę żołnierz Byków i zsalutował.

– Generał lancy von Thurgau? – zapytał.

– To ja.

Miał na sobie mundur, ale nie zbroję, nie zauważyłem też u niego żadnej broni. Sądząc po skruszonym spojrzeniu, raczej nie stanowił dla nas zagrożenia.

– Sierżant miecza Eldred – przedstawił się. – Sowa uznała, że powinienem zapytać was, czy możecie mi pomóc.

Przez moment zastanawiałem się, skąd znam to nazwisko, ale Serafine była szybsza:

– To wy dokonaliście zamachu na Sowę, nieprawdaż?

Mężczyzna z zakłopotaniem skinął głową.

– Tak, ku mej hańbie, i nawet nie wiem dlaczego! Desina, znaczy prima z wieży, powiedziała, że może wy będziecie wiedzieć, co się stało. – Spuścił wzrok na swoje dłonie. – Jestem... jestem lojalny wobec cesarza i wobec primy, nigdy bym czegoś takiego nie uczynił, a jednak uczyniłem!

Obejrzałem się do tyłu na cytadelę; Zokory już nie było widać. Otworzyłem usta, ale Serafine znowu mnie ubiegła:

– Poszukajcie Zokory z Ysenloh i poproście ją, aby wam pomogła.

– Gdzie ją znajdę?

– Widzicie tego kaprała Piór? Idźcie do niego i zaczekajcie, myślę, że ona zaraz do niego dołączy – powiedziała z uśmiechem.

Eldred popatrzył na nią zdumiony, ale skinął głową i zsalutował, po czym odszedł.

Serafine spojrzała na mnie.

– Mógłbyś choć raz coś powiedzieć, Havaldzie – pożaliła się.

– Chętnie – odparłem uszczypliwie. – Tylko rzadko dochodzę do słowa.

OBCA KOBIETA

Major miecza Rikin była nieobecna, Elgaty również nie było w pobliżu, mimo to dowiedzieliśmy się, że Angus nie jest już przetrzymywany w strażnicy portowej; dziś rano, jeszcze przed wschodem słońca, przyszło po niego sześciu gwardzistów z ambasady Varlandu.

– Ci się nie patyczkują – oznajmił mężczyzna przy bramie. – Wasz przyjaciel zapewne już jest martwy.

Mimo to nie chciał nas wpuścić do części wojskowej, przekonał go dopiero mój pierścień. Sporządził w książce dyżurów długą notatkę i obrzuciwszy mnie powątpiewającym spojrzeniem, przepuścił nas.

Kiedy ruszyliśmy dalej, popatrzyłem na słońce nad murem oddzielającym morze od basenu portu. Jaki piękny dzień, pomyślałem. Przed chwilą jeszcze sobie żartowaliśmy, a teraz nastrój przyćmił los Angusa. Miałem tylko nadzieję, że Boron wybaczył mu więcej niż on sobie sam.

Przez drugą bramę dostaliśmy się do stoczni, i znowu tylko dzięki memu pierścieniowi. Od razu znaleźliśmy kanał stoczniowy, ciągnął się przed nami niczym szczerba wycięta nożem w twardym kamieniu. Łatwo też było znaleźć miejsce, gdzie leżał wrak. Skupiały się tam łodzie, a na obu brzegach stały ciężkie dźwigi. Robotnicy budowali właśnie coś w rodzaju baraku, obok znajdował się spory namiot, przed którym ustawiono cztery duże koksowniki, w których żarzył się ogień. Powietrze drgało nad nimi z gorąca.

Siedzieli przy nich wycieńczeni mężczyźni. Nie robili nic, tylko owinięci w grube koce ponuro spoglądali na kanał.

Jeden stał z boku i patrzył na wodę. Podeszliśmy bliżej i dowiedzieliśmy się, że jest mistrzem stoczni.

– Po co nam największa stocznia na świecie, skoro nie możemy wydostać z niej okrętów – jął lamentować, kiedy się przedstawiliśmy. – To hańba!

Trudno było temu zaprzeczyć. Spoglądałem na mętną wodę, gdzie niczym martwy wieloryb spoczywał okręt. W dole dwóch nurków próbowało mozolnie przełożyć przez reling ciężką linę.

Udało im się w końcu i wypłynęli na powierzchnię, gdzie prędko zostali wciągnięci do łodzi i opatuleni kocami. Widać było, jak bardzo doskwiera im zimno.

Dźwigowy na brzegu rzucił komendę, na co jeden z żołnierzy pogonił batem cztery byki chodzące w kieracie na okrągłej platformie, napinając przy tym ciężką linę. Kiedy wydawało się już, że powróż zaraz pęknie, z głębin z ogromnym impetem wystrzeliła belka, po czym uderzyła w wodę nieopodal.

– I tak cały czas – rzucił do nas mistrz. – Musimy rozbierać wrak belka za belką... Przez ten ziąb każde zanurzenie to tortura dla naszych nurków.

Zapatrzyłem się w szarą wodę i próbowałem wyobrazić sobie, jak to jest zanurzać się w niej raz po raz. Wzdrygnąłem się. A potem popatrzyłem wzdłuż kanału w stronę stoczni, gdzie w suchych dokach powstawały kadłuby nowych okrętów.

– Mistrzu, jak wam się udaje tak szybko budować nowe okręty? Może znacie major miecza Elgatę? Mówiła mi, że kiedy wypływała w morze jakieś cztery tygodnie temu, okręty nie były jeszcze gotowe.

– Oczywiście, że znam Elgatę – rozpromienił się mężczyzna. – Akurat teraz jestem na nią trochę zły, bo zatopiła jeden z moich najnowszych okrętów. Jednak w takich okolicznościach, że można jej to wybaczyć. W rzeczy samej będzie jedną z pierwszych, która przejmie dowództwo nad jednym z najnowszych okrętów wojennych.

– Ucieszy się – rzuciłem. – Jak się je buduje w takim tempie?

– Widzicie tam – wskazał w stronę stoczni – za dokami te duże hale?

Przytaknąłem.

– Od stuleci składa się tam drewniane elementy. Stępki, maszty, wręgi i deski pokładowe. Pieczołowicie ułożone, tak żeby drewno zachowało kształt. Nie zawsze jest dla nas robota, w okresach przestoju budujemy okręty na przyszłość. Nasza tajemnica to dobrzy fachowcy, dobre planowanie i ambicja budowania najlepszych okrętów na świecie. – Splunął w wodę. – A ta krypa leży tutaj i niweczy wszystkie nasze plany!

Pokiwałem głową z żalem i zwróciłem się do Serafine.

– Możesz coś zrobić, Helis? – spytałem cicho.

– Nie – odpowiedziała szeptem. – Wyczuwam wodę i okręt, ale jest zbyt wielki i ciężki, abym go mogła unieść. Gdyby był choć trochę mniejszy... – Pokręciła głową. – Obawiam się, że brak mi do tego siły. – Odgarnęła włosy z twarzy. – Jak ten okręt się tu w ogóle znalazł? – zapytała mistrza.

– Te cholerne jaszczury go tu wepchnęły – zaciętrzewił się mistrz. – Szkoda tylko, że go potem nie usunęły!

– Pewnie i dla nich jest za zimno – zauważyłem nieobecny tonem, rozmyślając, co moglibyśmy zrobić.

– Nie, słyszałem, że zimno tylko spowalnia te bestie, ale im nie szkodzi. – Skrzywił się. – Podobno przeszły teraz na naszą stronę. Nawet nie zobaczę, jak się wykrwawiają na naszych włócznieach!

– Cóż – rzuciłem, rozważając, czy ośmielić się przepłynąć przez port łodzią, czy lepiej nadłożyć drogi dookoła. – Dlaczego ich po prostu nie zapytacie, czy nie mogłyby wypchnąć łajby z powrotem?

Mistrza zatkało. Popatrzył na mnie bez słowa, a potem parsknął śmiechem, poklepując mnie po ramieniu tak mocno, że o mało nie wpadłem do kanału.

– Wiecie co, dobry człowieku? – zaśmiał się. – Dokładnie tak zrobię!

– O czym myślisz, Havaldzie? – spytała Serafine w drodze powrotnej. – Jesteś taki milczący.

Minęliśmy bramę portu i weszliśmy do Górnego Miasta.

– Myślę, że zbyt wiele obiecywałem sobie po Askirze – oznajmiłem ostrożnie. – Leandra nic nie wskóra przed tą Radą.

Przystanąłem i rozejrzałem się po ulicy. To była dzielnica kupiecka, pierwszy krąg wokół cytadeli. Tutaj mieli swoje domy bogacze i możni. Wszędzie były niewielkie skwery, a mury budynków były ozdobione reliefami, mozaikami i miłymi dla oka malowidłami ściennymi. Na kwiaty było jeszcze za wcześnie, ale latem musiało tu być pięknie i kolorowo.

– Rozejrzyj się wokół – rzuciłem. – Spokojnie tu, porządnie. To miasto pod wieloma względami jest bogate. Również pod tym, że dba o bezpieczeństwo swoich mieszkańców. – Nie widać było zbyt wielu przechodniów, tylko jakaś sera w luźnej szacie i naciągniętym na twarz kapturze podążała za nami od jakiegoś czasu.

– Bogatemu wszędzie się dobrze żyje – zauważyła Serafine.

– To prawda – westchnąłem i wskazałem na kolorowe kamienice. – Powiedz mi, czy tak wygląda miasto w stanie wojny? Nie – odpowiedziałem sobie sam i pokręciłem głową. – Śpią, robią, co im każe Orikes, chowają głowy w piasek i nie chcą wiedzieć, co się wokół dzieje.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała cicho.

– Tak. Jest tak, jak mówi Orikes. Dostaniemy Drugi Legion i na tym pomoc siedmiu królestw się skończy, obojętne, co Leandra powie lub zrobi na Radzie Koronnej!

– Może to wystarczy? – rzuciła z nadzieją w głosie.

– Nie sądzę – odparłem z goryczą. Nie wobec takiej potęgi.

Ruszyliśmy dalej i bardziej z przyzwyczajenia niż konieczności dotknąłem rękoiści Rozpruwacza. W uliczkach nie czaiły się żadne ciemne cienie, ale kobieta, która zbliżała się do nas od tyłu, rysowała się już tak wyraźnie, jakby stworzona była wyłącznie ze światła. Uniosła ręce. Zawirowałem na pięcie z Rozpruwaczem w dłoni.

Lecz ona tylko zdjęła kaptur z głowy. Przyglądała nam się ciemnymi, spokojnymi oczami. Coś mnie w tej kobiecie irytowało. Jej cera miała ten sam złotawy odcień opalenizny, co Serafine, zaś włosy i brwi były czarne jak pióra kruka, oczy natomiast miały taką czarną głębię, jaką widziałem tylko u Zokory. Sprawiała niepozorne wrażenie, ale nie była zwyczajna. Coś było w niej... nie, było w niej dużo dziwnego, choć nie potrafiłem nazwać żadnej z tych rzeczy.

– Zawsze jesteście tak strachliwi, generale? – zapytała przydymionym głosem, który i w Serafine coś poruszył, aż zamrugła. Kobieta popatrzyła na blade ostrze Rozpruwacza i uniosła brew. – Zamierzacie użyć tego miecza czy tylko lubicie go dobywać?

– Kim jesteście? – spytałem, chowając Rozpruwacza do pochwy i omiatając spojrzeniem okolicę. Nikt się nami nie interesował, to nie wyglądało na zasadzkę.

– Mam na imię Sara – przedstawiła się. – Sara La'bat.

– Ładne imię – rzuciłem. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Wiem – odparła z uśmiechem. – Sama je wybrałam. Jest tak samo prawdziwe jak wiele innych. Przyszłam pokazać wam drogę, generale.

– Czyżby? – rzekła z powątpiewaniem Serafine. Ona też rozejrzała się ukradkiem, ale żaden napastnik nie zamierzał rzucić się na nas z mieczem. – Jaką drogę?

Kobieta uniosła lewą rękę i pokazała na uliczkę odchodzącą w bok.

– Widzicie ten dom? – Wskazała wypalony szkielet domu widoczny na końcu zaułka.

– Owszem. Czemu?

– Tam rozpoczniecie wasze poszukiwania. – Skinęła nam głową. – Bogowie niech będą z wami – rzuciła, naciągnęła kaptur na głowę i odeszła niespiesznie.

Odprowadziliśmy ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za rogiem.

– To było dziwne – oznajmiłem.

– Trudno zaprzeczyć. Miałam wrażenie, że powinnam ją znać, ale tak nie jest.

– Za to ja przypomniałem sobie, gdzie zobaczyłem ją po raz pierwszy. Stała na nabrzeżu i obserwowała, jak wpływamy do portu. Pomijając to, ja również mam wrażenie, że powiniennem ją znać. – Rozejrzałem się znowu, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. – Co robimy?

– Drogi są po to, żeby nimi chodzić, nieprawdaż? – rzuciła, po czym upewniła się, że ma noże we właściwych miejscach.

Budynek wyglądał jak typowy tutejszy dom. Miał grube zewnętrzne mury, dopiero na piętrze przerywane wąskimi okienkami przypominającymi otwory strzelnicze. Przez bramę przechodziło się na wewnętrzne podwórze, zaś z przejścia na prawo i lewo prowadziły drzwi. Po obu stronach widniały ambrazury. Na podwórze

wychodziły wpuszczające dużo światła wysokie okna, balkony oraz galeryjki, widywane w bogatych pałacach, od strony ulicy jednak budynek przypominał twierdzę. Przy tak mocnych murach chroniących Askir ten sposób budowania domów wydawał mi się przesadą.

– Można tak sądzić – odparła Serafine, gdy ją o to zagadnąłem – ale są jeszcze inne zagrożenia niż wrogie armie. Choćby zamieszki uliczne, bandy rabusiów czy zwykli złodzieje. Ten dom należał do bogatego kupca, pewnie składowano tu drogie towary.

Wejście nie było zaryglowane. Drzwi były nadwęglone, ale zardzewiałe żelazne obejmy wciąż mocno trzymały poczerńiałe deski. Przecisnęliśmy się do środka przez szczelinę. Mocne, zbudowane z cesarskich kamiennych bloków ściany nadal stały. Jednak poza tym dom był pustą, wypaloną skorupą, zwęglone belki, więźby dachowe i kamienie zwały się na podwórze, tworząc bezładną stertę gruzu.

Ogień wybuchł na najwyższym piętrze, po lewej stronie od wejścia, i musiał płonąć silnym płomieniem. Przez łukowate sklepienie bramy ciągnęły się rysy, a chociaż od pożaru minęło wiele lat, nadal czuć było swąd sadzy i dymu.

Jedne z bocznych drzwi były uchylone, drugie zamknięte. Pociągnąłem za te pierwsze, zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały tak przenikliwie, że aż przeszedł mnie dreszcz. Znaleźliśmy się w przestronnym holu z widocznymi jeszcze oznakami dawnego bogactwa, ale i śladami nocowania zwierząt i ludzi. Przemierzyliśmy hol i weszliśmy w korytarz, obiegający całe piętro. Na parterze zniszczenia nie były tak duże, choć wszędzie czerniały pozostałości sadzy. Nie wszystko zostało zdewastowane, tu i ówdzie stał jeszcze jakiś mebel, który dałoby się uratować, ale to, co dało się wynieść, zostało dawno rozkradzione.

Choć budynek zbudowano na planie prostokąta, przypominał mi nasze domostwo w Gasalabadzie, za którym nagle zatęskniłem.

Ostrożnie posuwaliśmy się dalej, płosząc raz po raz jakieś zwierzątka, a kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie zawalił się sufit, Serafine wskazała w górę. Tam, wysoko, wisiały głowami w dół trzy tuziny śpiących nietoperzy.

– Nie lubię tych stworzeń – stwierdziła. Byłem rad, że to nie pająki.

Udało nam się przebić korytarzem do końca i znaleźć w punkcie wyjścia. Tutaj ślady plądrowania nie były tak wyraźne, trzeba było pokonać gruz i belki, żeby się dostać od tej strony, a kiedy pociągnąłem za ostatnie drzwi, zobaczyłem elegancki salon, który w dużej mierze oparł się żywiołowi ognia i złodziejom. Tylko lekka warstwa sadzy pokrywała wszystko dokoła.

Przy jednej ze ścian stał szpinet, wysokie regały pełne były poczerńiałych od sadzy i napęczniałych od wilgoci książek – na ten widok zakłuło mnie w sercu. W pierwszej

chwili niczego nie zauważyłem, dopiero gdy miałem opuszczać ten pokój, coś mnie tknęło i zamarłem.

– Helis? – zawołałem cicho, podszedłem do kominka i spojrzałem w górę na wiszące nad nim malowidło.

– Czyżby to była Desina? – spytała Serafine, podchodząc bliżej.

– Na to wygląda, prawda? – Rozejrzałem się wokół. Z boku stał ciężki fotel, który wydał mi się dość solidny. Przyciągnąłem go i wspiałem się nań ostrożnie, by oczyścić z sadzy twarz na obrazie. Przedstawiał młodą, strojnie odzianą kobietę, która ze śmiechem podawała jabłko ogierowi. Była to sielankowa scenka, na drugim planie ciągnęły się łąki, lasy i pola, na pierwszym leżał na trawie koc, na nim kosz i naczynia, wino, chleb i ser. Na kamieniu stały dwa kielichy, wskazujące na czyjąś zażyłą intymność.

Podobieństwo do Desiny było uderzające; oczy, usta i podbródek mogły należeć do niej.

– Co tu robicie? – dobiegł od wejścia czyjś ostry głos. Byłem tak pochłonięty obrazem, że nie słyszałem nadejścia. O mało nie spadłem z fotela.

Jakoś nie zdziwił mnie widok stojącej w drzwiach Sowy z gniewną miną, rozpuszczonymi włosami i wąskim mieczem w dłoni.

– Och – wyrwało jej się, kiedy nas rozpoznała. Opuściła miecz, ale nie wyglądała na zachwyconą naszą obecnością.

– Przed chwilą na ulicy podeszła do nas jakaś kobieta i powiedziała, że tu prowadzi nasza droga – wyjaśniłem. – Byliśmy tylko ciekawi. Czy to był wasz dom, primo? Poza fotelem niczego nie dotykaliśmy.

Nie słuchała. Jak urzeczona wpatrywała się w obraz. Podniosła rękę, uczyniła pewien gest i wypowiedziała cicho słowo. Coś się poruszyło...

Westchnęła.

– Do diaska! Nie cierpię, jak o tym zapominam.

Musiała mieć na myśli magię, ale smutek w jej głosie miał z tym chyba niewiele wspólnego. Powoli podeszła do obrazu. Serafine odsunęła się na bok.

– To był mój dom, choć przez niezbyt długi czas. Nie pamiętam tego – powiedziała zduszonym głosem. – Moja rodzina została zamordowana przez mistrza Rolgara, mnie próbował utopić w basenie portowym, kiedy miałam niespełna trzy lata. – Nie odrywała wzroku od malowidła. – Widziałam wizerunki przedstawiające moją matkę, ale żaden nie dorównywał temu. – Podeszła jeszcze bliżej i przejechała palcem, ścierając sadzę i ukazując soczyste barwy.

– W tym obrazie jest coś... – odezwała się. – Możliwe, że... – Puknęła w grubą ramię. Posypały się płatki sadzy, pył zawirował w powietrzu, wchodząc w oczy i nos. Kaszłąc

i kichając, zeskoczyłem z fotela i zamrugałem.

Serafine podała mi bukłak z wodą, żebym obmył oczy, a kiedy przejrzałem, zauważyłem, że tym jednym puknięciem Desina uwolniła od nalotu niemal cały obraz.

– Jest kompletnie nienaruszony – zauważyła ze zdumieniem Desina. – Ktoś go ochronił magią, wyraźnie to czuję!

– Szczęśliwy zbieg okoliczności – stwierdziłem. – Dzięki temu zyskałyście rodzinną pamiątkę.

Pokiwała w zadumie głową.

– Przez długi czas nie wiedziałam, że mam rodzinę – wyznała. W końcu oderwała wzrok od obrazu i popatrzyła na nas badawczo. – Pozostaje pytanie, czego tu szukacie. To nieszczęśliwe miejsce. Całkiem niedawno zamordowano tu kogoś. Co was skłoniło, żeby tutaj wtargnąć? Strachliwy sąsiad z naprzeciwka zauważył was i powiadomił strażę, a one mnie. Co to za kobieta i jakaś „droga”?

– Nie wiemy – przyznałem i opowiedziałem o dziwnym spotkaniu.

– Imię i opis nic mi nie mówią – stwierdziła, marszcząc czoło. – Możecie powiedzieć mi coś jeszcze?

Zawahałem się.

– Co takiego, generale? – naciskała.

– Mój miecz... Pozwala mi inaczej postrzegać ludzi i rzeczy, ale dopiero od niedawna. Nie mam całkowitej pewności, ale miecz sprawia, że inaczej widzę ludzi o silnym talencie, są bardziej wyraziści, promienni. Wy, prima, promieniejecie jasnym światłem. Myślę, że posiadacie potężny magiczny talent, jak Leandra. I jak tamta kobieta o imieniu Sara.

– Mój talent się wypalił – odparła. – Ale być może wasze Ostrze Spójni nie dostrzega różnicy. A więc mówicie, że tamta kobieta była maistrą.

– Przynajmniej ma talent, jak sądzę. Trudno mi opisać postrzeganie Rozpruwacza Dusz, ale wydaje mi się, że on w ten sposób pokazuje mi czyjąś zdolność. – Zawahałem się chwilę. Spojrzała pytająco, a ja ciągnąłem dalej: – Leandra ma silny talent, ale tamta kobieta może nawet silniejszy. Żadna z nich nie dorównuje jednak wam, primo. Nie sądzę, żeby wasz talent wygasł. Przed chwilą... co chcieliście osiągnąć owym gestem?

– Co macie na myśli?

– Wasz gest i słowo, które wypowiedziałyście. Użyłyście magii, prawda?

– Tak – przyznała ostrożnie. – Ale nie zadziałała.

– Mój talent jest znikomy – powiedziałem – ale wyczuwam działającą magię. I przed chwilą ją wyczułem.

– Naprawdę? – Zmierzyła mnie sceptycznym spojrzeniem. – Jakim znikomym talentem dysponujecie?

– Potrafię zapalić fajkę, nic poza tym.

– Jak postrzegacie siebie przez wasz miecz?

– Wcale. Ja jestem ośrodkiem postrzegania i sam siebie nie widzę.

– Hm – mruknęła i zwróciła się z powrotem ku obrazowi. Zamknęła oczy, podniosła ręce w trudnym do powtórzenia geście i wciągnęła powietrze. Zamarła.

Wymieniliśmy z Serafine spojrzenia; zamrowił mnie kark i zaczął się wzmagać ucisk na skronie. Sadza i pył u stóp Desiny poruszały się lekkimi falami. Dotknąłem ramienia Serafine i ostrożnie odsunęliśmy się od primy.

– Ona próbuje magii, prawda? – zapytała cicho Serafine. Przytaknąłem.

– Czemu się odsunęliśmy?

– Bo ona to robi inaczej niż Leandra. – Przyłożyłem dłonie do skroni. Ucisk stawał się nie do zniesienia. – Prawie to widzę, ona szuka czegoś, maca...

Rozżarzone włócznie wbiły mi się w skronie, przeszył mnie nagły ból, oślepiła jasność. Nie zdążyłem nawet krzyknąć, bo gorąca fala białego światła zwała mnie z nóg na czarną od sadzy podłogę...

Kiedy się ocknąłem, łupało mnie w czaszce jak młotem. Nade mną pochylały się zatroskane twarze Serafine i Desiny. Kichnąłem, co tylko pogłębiło ból. Miałem wrażenie, że moja biedna głowa zaraz mi pęknie.

– Jak się czujecie, generale? – spytała cicho Sowa. Trzymała dłonie przy moich skroniach, ale ich nie dotykała.

– Jakby przejechał po mnie zaprzęg – odparłem i przełknąłem ślinę; miałem sucho w gardle. Zamrugąłem i popatrzyłem wokół. Okien nie było, jakby wymiół je huragan, jednocześnie pomieszczenie było całkowicie wolne od sadzy. Obraz nad kominkiem jaśniał, jakby nigdy nie był przysypany sadzą. – Co to było?

– Burza sadzy i kurzu – orzekła Serafine, rzucając zaniepokojone spojrzenie na Desinę. – A ty z jękiem padłeś na ziemię. To trwało ledwie mgnienie oka, ale minęło trochę czasu, zanim się ocknąłeś. – Zwróciła się do Desiny: – Co tu nastąpiło?

– Mam pewne przypuszczenie – odpowiedziała i zamknęła oczy. Poczułem, jak ból w mych skroniach słabnie.

– Cokolwiek uczyniłyście, dziękuję – powiedziałem, podnosząc się ostrożnie. Ucisk i łupanie zniknęły, głowa przestała boleć. Przynajmniej dziś moja czaszka nie eksploduje.

– Nie dziękujcie mi – rzekła cicho. Nadal klęczała przy mnie na podłodze. – O mało was nie zabiłam.

– To nie takie łatwe – stwierdziła Serafine i pomogła mi wstać. – I bardzo mnie to cieszy, muszę przyznać.

– A więc co zrobiliście? – zapytałem Desinę i wsłuchałem się w siebie. Ból głowy rzadko opuszczał mnie całkowicie i czułem się nieswojo, nie czując zupełnie nic.

– Powiedzcie mi jedną rzecz, generale, ta świątynia wilka, gdzie stoczyliście walkę z Balthasarem. Czy zetknęliście się wówczas z rzeką światów?

Zmarszczyłem czoło.

– Chyba tak. Kiedy zamknąłem kule na kryształach. – Opowiedziałem jej o tamtej walce i o tym, jak zginął Balthasar.

– Jest pewna możliwość, choć nie tłumaczy wszystkiego. Mogę wam powiedzieć, co z wami jest. Nosicie w sobie magiczną moc, która jest dla mnie niepojęta. Nie mówię o talencie, tylko o tym, że macie w sobie magię, tak jak spichlerz ma w sobie zboże. Kiedy maestro stosuje magię, z otoczenia czerpie to, czego potrzebuje. Z rzeki światów, jeśli chcecie to nazwać w ten sposób. Lecz kiedy wy jesteście w pobliżu, stanowicie łatwiejszy cel i maestro czerpie z was.

Popatrzyłem na nią, nic nie rozumiejąc. Westchnęła.

– Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć, to dla mnie też jest nowe i jeszcze nic na ten temat nie czytałam. Popatrzcie na siebie jak na zbiornik, w którym przechowywana jest magia. Zbiornik ma rysy, przez które magia z was wycieka, kiedy sięgnie po nią maestro. To, co przed chwilą zrobiłam, można przyrównać do zaklejenia tych rys. Wygląda na to, że to coś dało.

Pokręciłem głową.

– Ale jak to możliwe? – spytałem. – Ja...

Serafine przerwała mi i położyła rękę na ramieniu.

– Rozpruwacz Dusz – powiedziała cicho. – Bierze życie od innych i daje je tobie. Życie to nic innego jak rodzaj magii, a wszystko, co kiedykolwiek przyjąłeś, nadal w sobie nosisz.

To w jakiś przewrotny sposób miało sens.

– Te rysy w moim... zbiorniku. Czy są już zaklejstrowane?

– Tak – potwierdziła Sowa. – To nie było trudne. Sami trzymaliście się w zamknięciu, ale powłoka... Cóż, można rzec, że był w niej pewien nieporządek.

– Jak źle spleciony koszy z wikliny?

Zaśmiała się.

– Tak. Można tak powiedzieć. Ja tylko splotłam na nowo parę miejsc. Co to dla was oznacza w konsekwencji, tego nie wiem i nie rozumiem, ale już się nie zdarzy, by ktoś z was czerpał bez pytania.

– Czyli wszystko w porządku, a ja jestem wam winien podziękowania – powiedziałem i naprawdę byłem jej wdzięczny. W obecności Leandry było to często nie do zniesienia. Jeśli teraz byłby z tym koniec, nie posiadałbym się ze szczęścia. – A co z wami? – spytałem i powiodłem wzrokiem po oczyszczonym z sadzy pomieszczeniu. – Wygląda na to, że wasz czar jednak zadziałał.

– Mieliście rację. To było, jakby mój umysł był odrętwiały, tak jak czasem zdrętwieje człowiekowi noga. Trzeba ją tylko rozruszać, żeby powróciło czucie. – Spojrzała na mnie promiennie. – Wmawiałam sobie, że utrata magii to nic wielkiego, ale wierzcie mi, czuję wielką ulgę.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego to miało tak silne działanie na niego – wtrąciła Serafine. – Leandra często stosowała magię w jego obecności, ale jakoś nie padał przy tym na ziemię.

Desina wzruszyła ramionami.

– Nie zdążyłam z nią porozmawiać dłużej. Teraz, jak słyszę, jest królową, co stawia komendanta przed pewnym problemem. Wiem jedno: w waszym kraju rzeka światów jeszcze płynęła, podczas gdy tutaj wyschła. Nauczyłam się oszczędnie obchodzić z magią. To, co wasza przyjaciółka czerpała z rzeki światów, ja musiałam ściągać ze wszystkiego innego. Nie potrafię tego lepiej opisać. Myślę, że czerpię więcej z innych źródeł niż ona.

– Hm – mruknąłem. Nie miałem ochoty zajmować się dłużej magią. Zawsze stanowiła dla mnie bolesne doświadczenie. Wszystko to pozostawiało kilka otwartych pytań, choć skłaniałem się ku temu, by przyznać rację Serafine: większość z tego, co mnie spotkało i co wydawało mi się dziwne, miała swoje źródło w Rozpruwaczu. Czemu więc i nie to?

– Naprawdę dobrze się czujesz? – spytała Serafine.

– Dawno nie czułem się tak dobrze – uspokoiłem ją.

– Ciesz się mnie to. Mimo to nadal nie ustaliliśmy, czego chciała od nas kobieta o imieniu Sara – wypowiedziała na głos to, co i mnie nurtowało.

– I kim jest – dorzuciła z namysłem Desina. – Talent magiczny jest bardzo rzadki. Wiem tylko o jednej maistrze, która jeszcze jest w Askirze. Potrafi zmieniać swój wygląd i...

– Asela – wyszeptała Serafine, zaciskając rękę na moim ramieniu. – Myślicie, że to mogła być Asela?

– Może.

Serafine potrząsnęła głową tak mocno, że jej włosy zawirowały w powietrzu.

– Gdyby to była ona, już bylibyśmy martwi!

– Więc albo to nie była ona, albo nie stoi po stronie wroga. Ewentualnie gra z nami w jakąś grę, której nie rozumiemy – stwierdziłem. – Więcej możliwości nie ma. – Potoczyłem wzrokiem dokoła i dotknąłem Rozpruwacza. W pobliżu było tylko kilka szczurów. – To nie jest zasadzka. – Ledwie to powiedziałem, wyczułem czyjąś zbliżającą się obecność.

– Co zatem chciała nam pokazać, kimkolwiek jest? – spytała Serafine.

– Dowiedzmy się tego – zaproponowała Desina.

– Ale nie sami – rzucił od drzwi Santer i rozejrzał się ciekawie wokół. – Straże doniosły mi, że udałaś się tutaj, aby przepędzić szabrowników. Domyślam się, że przyłapałaś niegodziwców na gorącym uczynku. Wyglądają groźnie. Czy mam wezwać strażę, żeby ich aresztować?

– Straże i tak tylko zasalutują, kiedy on pokaże im swój pierścień – odparła ze śmiechem Desina. – Jakaś maestra dała im wskazówkę, że tutaj rzekomo można znaleźć jakąś „drogę”. Jak na razie niczego nie znaleźliśmy. Pomożesz nam szukać?

– Chętnie – zgodził się Santer. – Orikes nalega, abym nie pozwalał ci się samej szwendać.

– Niech w końcu przestanie się mną przejmować. Popatrz. – Podekscytowana pociągnęła go za rękę. – Znaleźliśmy to. Czyż nie jest wspaniały? To moja matka, Santer!

– To my już pójdziemy szukać dalej – oznajmiła Serafine i wzrokiem dała mi do zrozumienia, że bym za nią poszedł. Nie trzeba było zgadywać dlaczego, wystarczyło spojrzeć na Sowę i ogromnego porucznika.

10

PORTAL W PIWNICY

– Aż boli na nich patrzeć – zauważyła Serafine. Przesuwałem zwęglone belki w dawnej kuchni, żebyśmy mogli dostać się do drzwi od piwnicy. – Są zakochani w sobie do szaleństwa, ale nie chcą się do tego przyznać.

– Na pewno mają swoje powody – odparłem i pociągnąłem za drzwi. Zawiasy zaprotestowały tak przeraźliwie, że aż się skrzywiliśmy.

– Pewnie tak – zgodziła się. – Na przykład to, że jest jego przełożoną. Związki miłosne są zabronione w takich przypadkach.

– A ty i Erbil, wy przecież też byliście parą – rzuciłem zaskoczony i chwyciłem za Rozpruwacza, żeby coś widzieć w mroku na schodach.

– Ale nie było to mile widziane. No i żadne z nas nie było przełożonym drugiego. W każdym razie nie bezpośrednio. Właśnie dlatego zrezygnowaliśmy ze służby oficerskiej. U podoficerów jeszcze przymykano na to oko... Potrzebujemy latarni – stwierdziła i rozejrzała się po kuchni, ale niczego takiego tu nie było.

– Jeśli jest jakaś w piwnicy, to ją znajdę. A na pewno jakąś świecę.

Ostrożnie zszedłem do piwnicy. Serafine poszła za mną, trzymając się mego barku.

Widzenie Rozpruwacza było pomocne, miecz nie potrzebował światła, żeby widzieć. I faktycznie, zaraz znalazła się świeca, w jej świetle mogliśmy się rozejrzeć. Serafine odetchnęła z ulgą i zdjęła rękę z mego ramienia.

Piwnica wyglądała na nietkniętą, nawet sadza tu nie dotarła. W spiżarni jeszcze leżały zapasy. Raczej nikt nie nasyci się kośćmi i kurzem, za to wino było jeszcze w porządku. Zdziwiło mnie to, bo belka zagradzająca drogę w kuchni nie powinna stanowić prawdziwej przeszkody dla złodziei.

Piwnica miała liczne pomieszczenia, z których każde chronione było solidnymi drzwiami. Żadne nie były zamknięte. Składowano tu skrzynie, pudła, beczki i inne różne rzeczy; pajęczyny świadczyły o tym, że byliśmy tu pierwsi od dawna. Po chwili zza mych pleców nadpłynęło jasne światło i powędrowało pod sufit. Dołączyli do nas Desina i Santer.

– Czy ten dom należy teraz do ciebie? – spytał porucznik.

– Do mego dziadka – odpowiedziała Desina. – A może do mnie, skoro teraz wiadomo, że jestem jego wnuczką. Czego tu nie ma... Popatrz – zawołała z przejęciem i rozpromieniła się. – Pudło z harfą!

Przeszliśmy do ostatniego pomieszczenia, ale i tu nie było nic ciekawego. Stare szafy, sprzęty i wielki fotel, który mógłby mi się spodobać, gdyby nie to, że załęgły się w nim szczury.

– Żadnej pułapki, żadnej zasadzki i żadnej „drogi” – stwierdziłem i obróciłem się, wodząc spojrzeniem dokoła. – Nie rozumiem. Musiała mieć jakiś powód, by nas tutaj pokierować.

– Więc źle szukaliśmy – zawyrokowała Serafine. – Może są tu jakieś fałszywe ściany?

Spróbowałem wyobrazić sobie piwnice. Wprawdzie nie potrafiłbym narysować ich rzutu, ale miałem dobre wyczucie przestrzeni.

– Jeśli już, to tylko w tym miejscu – powiedziałem i wróciłem do schodów. Nie były to schody wiszące, spoczywały na solidnym fundamencie. Rozpruwacza nie interesował nieożywiony kamień, nie widział go. Lecz gdy jego postrzeganiem szukałem jakichś znaków, znalazłem za ścianą mysz, a więc musiała być tam pusta przestrzeń.

– Szkoda, że nie ma tu Łasicy – odezwała się Desina za moimi plecami. Razem oglądaliśmy podpierającą schody ścianę. – On ma talent do znajdowania ukrytych rzeczy.

– Odwiedziliście go już? – chciał wiedzieć Santer.

– Nie, nie było jeszcze okazji. – Popukałem ręką w ścianę. W jednym miejscu dźwięk zabrzmiał głucho.

– Moglibyśmy rozbić tę ścianę – zaproponował Santer i popatrzył pytająco na Sowę, która wzruszyła ramionami.

– Nie dostrzegam tu żadnego mechanizmu – powiedziała. – A jedna dziura w ścianie naprawdę nie robi różnicy.

Chciałem rozbić ścianę Rozpruwaczem.

– Stąd dochodzi głuchy odgłos... – zacząłem, ale Santer bez ceregieli podszedł do ściany i walnął w nią pięścią. Rozległo się głucho uderzenie i w murze powstała dziura. Mur okazał się zaślepką z fałszywych cegieł, położonych na zbutwiałych deskach. Wystarczyły dwa kolejne uderzenia oraz trzy kopniaki i przejście było wolne.

Światło Desiny pofrunęło do pustej przestrzeni za ścianą. Santer wetknął głowę do środka.

– Nie było żadnego mechanizmu – poinformował. – Po prostu to zamurowali. Tu są drzwi. Czekać, zrobię trochę miejsca.

Przecisnął się i kopnął w ściankę od środka. Posypały się deski i cegły. Chwilę później ścianki nie było, a gruz został odsunięty na bok. Właściwa ściana została wymurowana z masywnych kamieni i miała ciężkie drzwi ze stali, z zasuwami po

naszej stronie. Kiedy zobaczyłem wpasowane w nie szklane okienko, uświadomiłem sobie, co znaleźliśmy.

– Komnata wrót! – wykrzyknęła z przejęciem Desina, zanim zdążyłem powiedzieć to samo. – Pozwólcie mi zobaczyć!

Zasuwy odskoczyły, wzbijając chmurę kurzu i rdzy. Drzwi, nietknięte niczyją dłonią, otworzyły się z piskiem i zgrzytem. Światełko Sowy wleciało do pomieszczenia, podekscytowane niemal tak samo jak jego pani.

– Ehm, tak, w rzeczy samej – zgodziłem się, kiedy stłoczyliśmy się w wejściu. Gruba warstwa kurzu świadczyła, że minęło sporo czasu, odkąd ktoś tutaj był, ale nadal dało się rozpoznać złoty ośmiokąt. Ku mej radości w zagłębieniach wciąż leżały kamienie wrót.

Poprosiłem Desinę, żeby posłała światełko wyżej, i poszukałem na suficie znaków, pozwalających odgadnąć kombinację kamieni. W każdej komnacie była inna, może po to, aby zmylić tych, którzy chcieliby użyć portalu bez uprawnień.

Desina wiedziała o wrotach, znalazła je w wieży Sów, mimo to słuchała z napięciem, kiedy tłumaczyłem jej, o co chodzi z symbolami i znakowaniami.

– Sowie wrota są inne – wyznała. – Mają trzy okręgi i różnią się jeszcze paroma innymi rzeczami. Najistotniejsze jest jednak to, że możemy z nich korzystać tylko Santer i ja, gdyż nikt inny nie ma dostępu do wieży.

– A co z Leandrą? Jest przecież maistrą.

– Wieża jej nie wpuściła – oznajmiła Desina nieobecny tonem. – Jej przysięgi nie są związane z Askirem ani cesarzem. – Popatrzyła na mnie. – Możecie powiedzieć z pamięci, jaką kombinację należy wyłożyć, żeby dostać się do Gasalabadu?

– Nie! – zaprotestował Santer. – Nie chcę tam wejść!

– To bezpieczne. Mówiłam ci przecież! Serafine i generał robili to już często!

Santer łypał z powątpiewaniem.

– Najpierw musimy oszacować, jak powinny leżeć kamienie, żebyśmy mogli tu wrócić – rzekłem. – Należy też zanotować punkt docelowy, który został tu wyłożony. Kto wie, dokąd prowadzi ta kombinacja.

– Może w nicość! – burknął mało zachwycony Santer. Ostrożnie wszedł do okręgu i powiódł dokoła wzrokiem. – Jak to się robi? – spytał.

– Wykłada się kamienie kolorem i kolejnością tak, aby odpowiadały miejscu, dokąd chce się udać – wyjaśniłem. – A potem...

– Bogowie! – przerwał mi Santer i schylił się po kamień leżący pośrodku. – To są klejnoty wielkości mojego kciuka! – Podniósł ciemny rubin. – Muszą mieć niewyobrażalną wartość!

– Santer – odezwała się Desina spokojnie. – Posłuchaj mnie uważnie. Te kamienie są magiczne i... *nie!*

Gdy usłyszał, że kamień jest magiczny, puścił go, jakby się sparzył. Klejnot upadł na ziemię, podskoczył raz i zatrzymał się na krawędzi zagłębienia w środku kręgu.

– Uff! – odetchnął z ulgą Santer. – Już myślałem, że pęknie.

– Nie... – zacząłem, ale było za późno. Kiedy Santer schylił się po kamień, rubin wpadł w zagłębienie. Wzbiła się chmura kurzu i Santer zniknął. – ...dotykać – dokończyłem i pokręciłem głową, osłupiały.

Sowa pobladła.

– Mam nadzieję, że nie miał racji i wrota nie prowadzą w pułapkę – powiedziała wstrząśnięta. – Co robimy?

– To – rzuciłem i podniosłem kamień na krawędzi, by zaraz go upuścić. Znów się zakurzyło i Santer, zanosząc się kaszlem, stanął przed nami. Jak na mój gust trochę za blisko krawędzi.

Popatrzył na nas oszołomiony i prędko wyszedł z ośmiokąta.

– Leandra mi wyjaśniła, że to, co się znajduje tutaj i w portalu przeciwnym, wymienia się ze sobą miejscami – wytłumaczyłem cicho. – Pospieszyłem się, żebyście nie wyszli za krawędź.

– A gdybym stał na krawędzi? – spytał Santer i pobladł. Najwyraźniej domyślał się odpowiedzi. I tak mu jej udzieliłem.

– Wtedy wróciłby tylko kawałek was. – Przełknąłem ślinę. – Spójrzcie na czubek waszego buta.

Spuścił wzrok. Czubek lewego trzewika był odcięty jak gilotyną, z dziury wзираła skarpetka.

– Dobrze, że nie miałem na sobie zbroi – stwierdził i pobladł jeszcze bardziej. – Nie tak łatwo znaleźć pancerne trzewiki w moim rozmiarze. – Popatrzył na nas z powątpiewaniem. – I to ma być „bezpieczne”?

– Gdy się uważa na pewne rzeczy, to owszem – wtrąciła Serafine. – Następnym razem, kiedy wam się to przydarzy, stańcie w miejscu!

– Najważniejsze, że nic ci się nie stało – orzekła Desina z ulgą. – Tylko to się liczy. Co było po drugiej stronie?

– Nic – odpowiedział. – A przynajmniej nic nie widziałem. Było całkowicie ciemno. Już miałem zacząć szukać po omacku jakichś drzwi, ale sprowadziliście mnie z powrotem! – Uniósł dłonie. – Patrzcie! – poskarżył się. – Nadal się trzęsę!

– Ale nic się nie stało! – uśmiechnęła się Sowa.

– Ale mało brakowało – burknął Santer.

– Nadal chcę do Gasalabadu – oświadczyła zdecydowanie Desina. – Jeszcze nigdy nie wyściubiłam nosa z miasta, chciałabym tylko rzucić okiem! Proszę – dorzuciła niemal błagalnie. – Wyłóżcie kombinację!

– Skoro nalegasz... – westchnął Santer. Sowa rozpromieniła się.

– Mnie też tak łatwo przekabacić? – zapytał Serafinę, wykładając nową kombinację.

– Łatwiej – odparła z uśmiechem.

Asala, nasza gospodyni w Gasalabadzie, nieźle się przestraszyła, kiedy wyszliśmy z piwnicy i otworzyliśmy drzwi do kuchni. Obróciła się gwałtownie i w jej ręku pojawił się sztylet. Dopiero kiedy poznała Serafine, opuściła nóż.

– Łaska bogów niech będzie z wami, Asalo – przywitałem ją z uśmiechem.

Oniemiała gospodyni wpatrywała się w Sowę i Santera, którzy rozejrzeli się ciekawie, a potem ruszyli do drzwi. I wtedy mnie poznała.

– Bej Haval! – wykrzyknęła w zdumieniu. – Nie poznałam was, bez brody wyglądacie jak eunuch! Och, nie to miałam na myśli! – dorzuciła prędko, zasłaniając usta ręką.

– Już dobrze. Powiedzcie... co oznacza wasze imię?

– Moje imię? – powtórzyła skonsternowana. – Córka bogów, przodków albo światła.

– A Asela?

– To jest to samo imię, tylko w imperialu – powiedziała. – Dlaczego?

– Ach, nic takiego – zbyłem pytanie i pokiwałem głową. – Zaraz wracamy – uprzedziłem ją. – Wyjdziemy tylko na krótko przed dom.

Znalazłem ich na zewnątrz. Spoglądali nad placem Zbożowym na Gazar, po którym płynęło więcej statków niż kiedyś. Tyle zajęło nam dotarcie stąd do Askiru, został już tylko jeden mały krok. Potrzęsnałem głową, bo dopiero teraz dotarło do mnie, jakie korzyści dawały portale.

– Jak tu cudownie ciepło! – dziwiła się radośnie Sowa. – Nawet powietrze smakuje całkiem inaczej, i te kolory, a ziemia...! – Obróciła się. – Zazdroszczę wam, że mogliście odbyć tak daleką podróż!

– Nie zazdrościlibyście aż tak bardzo, gdybyście odbyły ją z nami – odpowiedziała z powagą Serafine. – Przez większość czasu baliśmy się o własne życie.

– Ale na pewno dużo widzieliście i zrozumieliście – skwitowała prima. – Nie wszystko to była walka.

– Macie rację – przyznała Serafine. – Jednak piękno nie zachwyca, kiedy towarzyszy mu śmierć.

– Dobry argument – zgodziła się Sowa. – Mimo wszystko radość z nowego nie może być niczym złym.

– Bez wątpienia – potwierdziła Serafine.

– Na przykład takie wrota to cud – zauważył Santer, choć nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. Raz po raz spoglądał na swój but. – Jeden krok i człowiek przenosi się daleko stąd... ile mil jest właściwie stąd do Askiru?

– Cztery tygodnie na rączych wierzchowcach, o ile rzadko się staje na popas – odrzekłem. – Ile to mil, nie potrafię wam powiedzieć. Podróż statkiem zajmuje trzy tygodnie, jednak płynie się dłuższą trasą.

– Nieważne, ile to mil. Daleko i tyle – stwierdził Santer. Rozglądał się dokoła, patrzył na plac Zbożowy, kolorowe stragany i tłoczących się przy nich ludzi. Westchnął. – Doprawdy, kusi mnie, żeby zwiedzić miasto, ale to chyba byłoby nie na miejscu.

– Niestety – przyznałem mu rację. – Zwłaszcza gdyby się wydało, że tu jesteśmy. Tubylcy pomyśleliby, że jestem aniołem śmierci przysłanym przez Soltara, aby rozpętać wojnę bogów i zapowiedzieć koniec świata.

– To błąd w tłumaczeniu – poinformowała mnie Desina nieobecny tonem, chłonąc wszystko dokoła. – Nie chodzi o koniec świata, tylko koniec starego porządku. Świat nie skończy się tak łatwo.

– Od razu jestem spokojniejszy – rzuciłem z uśmiechem. – Musimy wracać.

– Dajcie nam jeszcze chwilę – poprosiła z błagalnym spojrzeniem. – Macie wspaniały ogród, nie moglibyśmy tam trochę posiedzieć? Nikt nas nie zobaczy. I świeci słońce!

– No dobrze – zgodziłem się i zaprowadziłem wszystkich z powrotem do ogrodu.

– Widzisz? – szepnęła Serafine. – Mężczyznę łatwo przekabacić. Wystarczy jeden uśmiech i jedno błagalne spojrzenie!

Postanowiłem wykazać się mądrością i nie zaprzeczać.

Usiedliśmy w ogrodzie i kazaliśmy Asali przynieść kafe, przyszedł też przywitać się Taruk. Przyjrzał się ciekawie Sowie i Santerowi, po czym pokrótce zdał relację. Kiedy dowiedział się, kim są nasi goście, ukłonił się nisko z szacunkiem, zerkając na miejsce, gdzie ciągle widać było ślady po błyskawicy Leandry.

Fala powodziowa, jak się od niego dowiedziałem, była zaledwie następstwem katastrofy. Poprzedziło ją trzęsienie ziemi, które ciężko dotknęło Janas. Dawne rodzinne miasto Armina na wybrzeżu zostało niemal doszczętnie zniszczone. Było niemal pewne, że Faihlyd zostanie kalifą, choć nie aż tak pewne, jak miała nadzieję. To, że nikt nie chciał już stawać jej na drodze, wynikało z ogólnego przekonania, że ma za sojusznika anioła śmierci i że to on zniszczył miasto na jej zlecenie.

– Ale słyszałam, że miasto się poddało jeszcze przed trzęsieniem ziemi i powodzią? – wtrąciła przerażona Serafine. – Dlaczego ludzie mieliby wierzyć w coś tak głupiego?

– Boski sąd. Aby pokazać, co będzie, jeśli ktoś sprzeciwi się Faihlyd – objaśnił Taruk. – W każdym razie inne rody pospieszyły z zapewnieniem, że dochowają emirze wiecznej wierności.

Nie podobało mi się, w jaki sposób Taruk na mnie zerka.

– Nie jestem aniołem śmierci – oświadczyłem. – I nie zniszczyłem Janasu!

– Skoro tak twierdziecie, głosicielu prawdy, to na pewno tak jest! – odparł w odpowiedzi, na co Desina o mało nie zakrztusiła się kafe i wlepiła w niego pełne niedowierzania spojrzenie. Najwyraźniej nie była obeznana z tutejszym kwiecistym stylem. Mimo że Taruk dostał instrukcje, żeby oszczędnie używać podobnych fraz. – Lecz właśnie w to wierzą inni emirowie i dlatego zginają kolana i pochylają głowy przed naszą emirą. Ona zaś próbuje pomagać i wysyła do Janasu wojsko, robotników i zboże, żeby jak najszybciej odbudować miasto. Rządzi nim teraz jako namiestniczka stara Lwica, essera Falah, tylko jej zawdzięczamy, że w Janasie nie wybuchł chaos. Essera każe kapłanom głosić słowo boże i upomina, żeby każdy robił, co do niego należy. – Uśmiechnął się. – Jeśli powódź była karą zesłaną przez bogów, to essera jest ich darem. Jest wszędzie, dla każdego ma słowo nadziei. Przysięga, że miasto wkrótce zostanie odbudowane, piękniejsze i wspanialsze niż kiedykolwiek. Co wcale nie przeszkadza jej nabijać na włócznie czaszki tych, co jej się sprzeciwiają. Zaraz pierwszego dnia kazała ściąć prawie dwustu szabrowników... to chyba pomogło.

Tym razem to ja o mało nie zachłysnąłem się kafe.

– Nie wątpię – skwitowałem, pokaszując. W moim kraju Eleonora rządziła wraz z Radą, w Besarajnie takowej nie było, władcy nie byli niczym związani, obowiązywało ich widzimisię. Falah nie potrzebowała sądu, by wydać wyrok, wystarczyło, że sama tak zdecydowała. Jej władza była absolutna.

– Coś jeszcze? – spytałem, widząc, że Taruk chciał coś dodać, ale zmienił zdanie.

– Nic, esseri – odparł, ale mu nie uwierzyłem. Ponagliłem go wzrokiem.

– No, mów, dobry człowieku – odezwał się Santer z uśmiechem. – Bo on ci nie da spokoju.

– To tylko pogłoski – uległ Taruk i zacisnął dłonie. – Podobno w Janasie są już przypadki dżumy. – Uniósł ręce w uspokajającym geście. – Nie patrzcie tak, esseri, to tylko pogłoski.

– Nie dla ciebie. Wy coś wiecie – naciskałem. Taruk służył nie tylko mnie, ale i Arminowi. Był jednym z jego szpiegów.

– Były pojedyncze przypadki – przyznał cicho. – Stara Lwica postanowiła zamknąć miasto. Uzasadnia to szabrownictwem, ale szykuje się na najgorsze. Zakazała kalifie wstępu do miasta. – Popatrzył przygnębiony. – Jeśli to dżuma... – Wzruszył bezradnie ramionami. – Tylko bogowie wiedzą, co nas wtedy czeka.

Sowa i Santer słuchali poruszeni.

– Niech sprawdzą, czy są doniesienia o pomorze wśród szczurów.

– Na pewno to przekażę, o pani mądrości – odparł Taruk i pokłonił się nisko. – Lecz po cóż to robić?

– Bo to szczury są przyczyną zarazy – wyjaśniła z powagą. – Dlaczego tak jest, nie wiem, może dlatego, że są poświęcone Bezimiennemu. Szczury bezczeszczą ciała tych, którzy odeszli do Soltara, zanoszą przekleństwo śmierci do domów żyjących i same odeń konają. Trzeba trzymać się z dala od szczurów, nie podchodzić do chorych bliżej niż na dwa kroki i myć się często i dokładnie, wtedy jest nadzieja, że choroba się nie rozprzestrzeni. – Przełknęła ślinę. – Dla tych, którzy zostali dotknięci przekleństwem śmierci, nie ma już nadziei. Należy ich unikać i zostawić Soltarowi.

– Martwe szczury są znakiem zarazy? – upewniłem się. Kiedyś widziałem szczury w domu zadżumionych. Może było w tym ziarno prawdy.

– Tak – potwierdziła zdecydowanie Desina. – Jeśli znajdzie się w domu martwe szczury albo zdechłe koty lub psy, jest prawdopodobne, że jego mieszkańcy już zostali dotknięci przekleństwem śmierci i zachorują w ciągu najbliższych sześciu do piętnastu dni. Trzeba zaryglować domy i pozostawić ludzi w zamknięciu, nie można zrobić nic więcej. Reszta w ręku Soltara.

Taruk przytaknął zgnębiony.

– Przekażę, co mi powiedziałyście, o pani mądrości. Wiemy z ksiąg bogów, że rytuały czystości są pomocne, ale wiele studni jest zatrutych, wszędzie leżą trupy, które puchną na słońcu. Prawie nie ma wody zdatnej do picia. Niektórzy są tak zdesperowani i spragnieni, że niepomni ostrzeżeń piją tam, gdzie nie jest bezpiecznie. Grozi nie tylko dżuma, ale i inne zarazy, które w ten sposób przechodzą na człowieka.

– Co jeszcze się robi? – wypytywałem wstrząśnięty.

– Kalifa próbuje sprowadzić do miasta pomoc, żywność i wodę. Może widzieliście statki, które załadowywane są u nas w porcie. Ale barki potrzebują tygodni na dotarcie na miejsce, a powódź i trzęsienie ziemi sprawiły, że Gazar u ujścia stał się w dużej części niezeglowny. Poza tym stare nabrzeża portowe są w tej chwili niezdatne do użytku. Kalifa robi, co może, ale to są problemy, które wydają mi się nie do rozwiązania.

– A Armin? Co przedsięwziął?

Taruk schylił głowę.

– Woli pozostawać niewidoczny w swych działaniach, lecz myślę, że robi, co się da. Jest dobrym doradcą emiry... a ona jego doradczynią. To on zaproponował, aby stara Lwica została namiestniczką w Janasie, uznał, że lepiej zażegnać dawne konflikty, dopóki sytuacja się nie poprawi.

Mądrze z jego strony. Gdyby nie dzuma... Miałem nadzieję, że to naprawdę tylko pogłoski.

– Czy wyruszyli już do Askiru? – zapytałem Taruka.

Zaprzeczył.

– O ile wiem, niebawem chcą to zrobić, ale trzymają ich tu jeszcze powódź i skutki trzęsienia ziemi.

Kazałem mu przynieść papyrę, atrament i pióro i sporządziłem krótką wiadomość, którą przypieczętowałem pierścieniem.

– Przekażcie Arminowi tę wiadomość, kiedy go spotkacie – nakazałem mu.

Wziął wiadomość i ukłonił się nisko.

Odstawiłem pusty kubek, popatrzyłem raz jeszcze na błękitne, promienne niebo, a potem spojrzałem pytająco na pozostałych. W Askirze niebo rzadko było inne niż ponure i szare, wciąż odczuwało się chłód zimy, a do tego był jeszcze popiół.

– Pora na nas – oznajmiłem, a oni pokiwali głowami.

Jakiś czas później stanęliśmy z powrotem na ulicy w Askirze i drżąc z zimna, owinęliśmy się ciasniej opończami.

– I w ten sposób znaleźliśmy drogę, o której mówiła tamta sera – oznajmiła z namysłem Serafine. – To dla nas bardzo korzystne. Teraz w zasięgu ręki jest nie tylko Gasalabad, ale i Twierdza Gromów. Sieglinde się ucieszy, bo nawet jazda na grzbiecie gryfa trochę jednak trwa. Bardzo jej pilno spotkać się z Janosem.

– Wrota prowadzą też w inne miejsca – przypomniała Desina. – Kombinacja kamieni w starym domu nie wiodła donikąd, pozostaje dowiedzieć się, gdzie jest owo ciemne miejsce, które zbadał dla nas Santer.

– Zbadał – mruknął Santer. – Miło powiedziane.

– Miała rację, mimo wszystko – stwierdziłem i rozejrzałem się wokół, w nadziei, że gdzieś czekała na nas ciemno odziana kobieta, aby wyjaśnić, dlaczego nam pomogła. Ale nigdzie jej nie było.

Teraz, kiedy znaleźliśmy portal, którego w odróżnieniu od tego w wieży Sów mogliśmy używać, kolejnym krokiem było znalezienie Leandry i odesłanie Sieglinde z powrotem do kraju. Desina i Santer pożegnali się. Młoda Sowa była wyraźnie przygnębiona wiadomością, że dzuma mogła podnieść swój łeb, i obiecała, że skonsultuje się z komendantem.

– I z kapłanami – dorzuciła po chwili i przełknęła. – Jeśli to dzuma, to może się szybko rozprzestrzenić. – Owinęła się ciasniej płaszczem. – W tej chwili chłód jest naszym sprzymierzeńcem – powiedziała cicho. – Przekleństwo śmierci go unika. Tylko lepiej zbyt mocno na tym nie polegać.

To było dla mnie coś nowego, ale pewnie miała rację. Nigdy nie słyszałem o wybuchu dżumy zimą.

Sowy pożegnały się markotnie i zostawiły mnie z Serafine.

– Nie możemy nic zrobić – stwierdziła cicho.

– Wiem – westchnąłem, usiłując odegnać myśli o dżumie. – Żałuję, że nie jest inaczej.

– Zastanawiam się, czy nie powinienem udać się do kraju razem z Sieglinde – powiedziałem, kiedy wolnym krokiem zmierzaliśmy szeroką ulicą ku bramie, łączącej cytadelę z dzielnicą rzemieślników. – Tutaj jestem bezużyteczny, w domu mógłbym zdziałać coś sensownego.

– Nie jesteś tu bezużyteczny – zaprzeczyła. – Tak ci się tylko wydaje, bo musisz czekać na stworzenie legionu. Na pewno jest coś, co mógłbyś tutaj zrobić.

– Nie wiem co. Leandra jest zajęta, nawiązuje nowe kontakty dyplomatyczne. Podobno posuwa się naprzód, w ambasadach zapowiadają bal za balem. Wyobrażasz mi sobie na balu? Odzianego w aksamit i jedwabie, spoglądającego dystyngowanie i zmuszonego do dyplomatycznych wygibasów i gładzenia o wszystkim, tylko o nie o rzeczach ważnych? Chybabym oszalał i na pewno nie byłbym dla królowej pożyteczny.

Serafine popatrzyła na mnie niezgłębionym spojrzeniem.

– No co? – rzuciłem, trochę zły. Już sama perspektywa bezczynnego siedzenia psuła mi humor. Miałem nadzieję, że Serafine wiedziała, że to nie ona była za to odpowiedzialna.

– Nie, nic.

Zatrzymałem się i popatrzyłem na nią bez słowa.

– Havaldzie – westchnęła. – Nie chcesz wiedzieć, co myślę.

– Chcę.

– Dobrze – ustąpiła. – Pomyślałam, że wyglądasz uroczo, kiedy się tak denerwujesz. – Rozbroiła mnie uśmiechem. – Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Uroczo? Spojrzałem w górę, szukając pomocy na firmamencie, gdzie podobno mieszkają bogowie.

– Może pójdziemy dalej? – zaproponowała i szturchnęła mnie po przyjacielsku w bok. – Przyznaj się, chce ci się śmiać.

– Nie, nie chce mi się!

– Za późno.

Miała rację, parsknąłem śmiechem.

11

PIERŚCIENŃ GENERAŁA

Kiedy dotarliśmy do bramy, jeden ze strażników wystąpił naprzód i zasalutował.

– Generał graf von Thurgau? – spytał.

Zatrzymałem się, odwzajemniłem salut i popatrzyłem pytająco.

– Tak, sierżancie. O co chodzi?

– Komendant chce się z wami widzieć, generale. Jak najszybciej, ser.

Czyli natychmiast.

– Dziękuję, sierżancie – odpowiedziałem i wymieniłem spojrzenia z Serafine.

Wzruszyła ramionami.

– Pójdę poszukać Leandry – oznajmiła. – A ty lepiej dowiedz się, czego chce od ciebie komendant.

– Przejdźcie dalej – powiedział adiutant i zerwał się, żeby otworzyć mi drzwi do gabinetu Keralosa. – Oczekuje was.

Ponieważ uprzedzono nas, że komendantowi nie wolno kazać na siebie czekać, wziąłem to za zły znak. Przekroczyłem drzwi gabinetu i zastałem go przy oknie; stał z rękoma założonymi na plecach i spoglądał w dół na miasto. Adiutant cicho zamknął drzwi, a ja dostrzegłem coś nowego: krzesło ustawione dokładnie pośrodku pomieszczenia, dwa metry od biurka.

– Usiądźcie – nakazał komendant Keralos, nie odwracając się.

Zająłem miejsce i zadałem sobie pytanie, o co chodzi z tym krzesłem.

Namiestnik i tym razem nie tracił czasu.

– Jak widzę, nie macie dziś na sobie munduru – zaczął. Prawdopodobnie zobaczył moje odbicie w szybie. – Mądre posunięcie. Słyszałem, że byliście napić się Pod Srebrnym Wężem.

– Owszem – odparłem krótko.

– Nie świeciliście przykładem – stwierdził. – Na biurku stoi czarka. Wasz udział w wyrządzonych szkodach łącznie z zapłatą za napitek wynosi czternaście sztuk złota i cztery srebra, jeśli zamierzanie pokryć również udział sery w szkodach.

Przełknąłem ślinę. To był majątek! Za taką sumę w niektórych miejscach można było kupić konia!

Wyjąłem mieszek i odliczyłem monety. Wpadły z brzękiem do czarki. Dopiero teraz komendant odwrócił się do mnie. Jego szare oczy mierzyły mnie badawczo, lecz ku memu zdumieniu w kącikach ust dostrzegłem błąkający się uśmiech.

– Dlaczego tego nie zatrzymaliście? – spytał w końcu. – A może lubicie ten rodzaj rozrywki?

– Nie, ser – odparłem sztywno. – W rzeczy samej Santer i ja próbowaliśmy zdusić awanturę w zarodku.

– Tak? A jak straży udało się zakończyć tę burdę?

– Weszli do środka, jeden oficer ryknął „uwaga” i było po sprawie. Pomogły też pałki.

Niby jak inaczej? Nie rozumiałem, do czego zmierzał. Ale on zaraz mi to wyjaśnił.

– Jak myślicie, von Thurgau, co by się stało, gdyby generał legendarnego Drugiego Legionu wstał i tylko znacząco chrząknął? Jak myślicie, doszłoby wtedy do bójki?

Nie czekał na moją odpowiedź. Obaj ją znaliśmy.

– Jesteście graf von Thurgau, generał najśłynniejszego legionu w historii świata – ciągnął. – Tym samym dźwigacie na sobie niesłychaną odpowiedzialność. Jesteście generałem Byków, ale odnoszę wrażenie, że nie wiecie, co to oznacza. Prima z wieży prosiła mnie, bym wyjaśnił wam parę spraw. A więc słuchajcie.

Jak do tej pory robiłem niewiele więcej poza słuchaniem.

– Macie, jak się zdaje, błędne przekonanie, że pierścień i ranga generała wam się nie należą. Znaleźliście pierścień i włożyliście go sobie na palec, i czujecie się jak oszust. Zgadza się?

Skinąłem głową.

Czekał.

– Tak, ser!

Tym razem byłem pewien, że to uśmiech zakradał się na jego oblicze. Jemu to sprawiało przyjemność!

– Nosicie Ostrze Spójni. Wiadomo to i owo o tych mieczach. Na przykład że same wybierają właściciela. Że miecz wraca, kiedy się go zgubi. Doświadczyliście już czegoś podobnego?

– Tak, ser!

– Dobrze. – Otwarcie rozjaśnił się w uśmiechu, opierając się wygodnie o biurko. – Miecze i pierścienie są dziełem Askannona. W jedno i drugie cesarz tchnął potężną magię, która miała zapewnić jedno: wykluczyć ich nadużycie. Pierścienie i miecze w osobliwy sposób same szukają swego nosiciela. Nie chodzi o to, by to był ktokolwiek, lecz ktoś szczególny, kto posiada właśnie te przymioty, które miecz albo pierścień tudzież ich twórca chcą w nim znaleźć. Nie są nieomyślne, ale trudno je

oszukać. – Popatrzyl na mnie, a ja skinalem glowa. – Krótka mówiac, kazdy, kto ma niezbedne zdolności i wolę ich użycia, może wlozyc pierścien. Moge jednak isc o zaklad, ze to wy jesteście tym jednym, kto ma te zdolności, inaczej pierścien wyszukałby sobie innego nosiciela.

To miało sens.

– Pierścien potrzebowal nosiciela. Wybral was, a dokladniej rzecz biorac, zrobila to magia, a tym samym decyzje podjal sam Askannon. Sam juz dwukrotnie doswiadczyłem podobnej sytuacji, gdy chcialem kogos awansowac, a nowy pierścien odmowil. – Nachytil sie. – To oznacza, ze posiadacie niezbedne zdolności i wolę, by dowodzic Drugim Legionem. – Wyciagnal reke. – Dajcie mi go.

– Nie da sie go zdjac.

Popatrzyl na mnie tylko i dalej trzymal reke wyciagnieta.

Pociagnalem za pierścien. Zszedl z palca. W milczeniu polozylem go na dloni komendanta. W odpowiedzi on zdjal swoj.

– Przymierzcie ten.

Zawahalem sie, w koncu wzialem pierścien. Nie mial otworu na palec, wygladal jak solidny kawalek metalu. Nie dalo sie go zalozyc.

– Widzicie – rzucil, wziawszy pierścien z powrotem i wsunawszy go na palec. – Taka jest prawda. – Siegnal po moj pierścien i uniosl go w gore.

– Moglbym chodzic z nim w reku i probowac znalezc kogos, kogo on zaakceptuje. – Wychytil sie lekko do przodu, jakby chcial mnie przeszyc spojrzeniem. – Potrzebujemy dowodcy Drugiego, von Thurgau. Jest jedynym legionem, który może bezpośrednio stawic czola wrogowi. – Wyrzucil w powietrze i zlapanal pierścien. – Uwazam za malo prawdopodobne, abym znalazl kogos, kto spelnilby wymagania pierścienia. Ale nie zamierzam miec na sluzbie generała, który tego nie chce. Pierścieniowi może to wystarcza, mnie nie! A wiec, von Thurgau, chcecie tego dowodztwa? Chcecie poprowadzic Drugi Legion do serca wroga i go zniszczyc? Jesli tak, powiedzcie mi to. Jesli nie, możecie odejsc i na pozegnanie nie musicie nawet salutowac!

Popatrzylem na pierścien i pomyslam, jakie to bedzie miało konsekwencje. Wprawdzie legion uchodzil za niepokonany, jednak beda straty, może nawet wielkie. Żołnierze byli bronia, a broń zuzywa sie w walce. Potrafilem to?... Chcialem tego?... Tysiące mężczyzn i kobiet. A ich zezycie zalezalo od moich decyzji. Zatrważajaca myśl. Lecz na dluzsza mete legion byl jedynym, co mieliśmy. Z wyjatkiem Wschodnich Rubiezy zadne z siedmiu krolestw nie miało armii mogacych zmierzyc sie z wrogiem, a Rubieze potrzebowaly swoich wojsk, zeby odeprzec ataki barbarzyńców.

Wyciagnalem reke i ze zdumieniem zdalem sobie sprawe, ze drze.

– Tak, komendancie. Chcę dowodztwa nad Drugim Legionem.

Bez słowa upuścił pierścień na moją dłoń i przyglądał się, jak go wkładam na palec.

– Witajcie z powrotem, generale. – Uśmiechnął się blado. – Teraz pozostaje tylko jedno. Zgłóście się do dowódczyni Trzeciego Legionu, Rellin. Znajdziecie ją na parterze cytadeli, na pewno nie przeoczycie jej kancelarii. Niech Rellin pokaże wam, co to znaczy być Bykiem.

– Udam się do niej natychmiast, ser.

– Dobrze. Jeszcze tylko dwie rzeczy. Czy jest ktoś, kto mógłby przechować Ostrze Spójni na czas waszego szkolenia? Wygląda jak normalny miecz, ale myślę, że mógłby was zdradzić.

Pomyślałem chwilę.

– Wydaje mi się, że sera Helis byłaby do tego zdolna. Nawet Kamienne Serce pozwoliło, by je nosiła.

– Dobrze. W takim razie dajcie jej miecz na przechowanie. I jeszcze jedno. Miałem przed chwilą przyjemność poznać serę Zokorę. Orikes właśnie zdawał mi raport na temat sytuacji na Wschodnich Rubieżach, kiedy tu wpadła. Poinformowała mnie, że jeśli życzę sobie sojuszu z jej ludem, to mam otworzyć przed nią archiwa. Rozkazała Orikesowi, aby się z nią udał. – Pokręcił głową, na poły rozbawiony, na poły zdesperowany. – Jak się z nią obchodzić? Nie można przecież uginać się przed jej wolą. Czy powinienem kazać odprowadzić ją strażom? – Uśmiechał się przy tym pod nosem, ale nie byłem pewien, czy nie mówił poważnie.

– Po prostu podsunąć jej dobre argumenty.

– Wydaje się uparta i nieprzejednana!

Podniosłem zdziwiony wzrok.

– Uparta nie jest. Tylko nie ma cierpliwości dla głupców i miernot.

– Akurat to rozumiem. Dobrze, wezmę sobie do serca waszą radę. A wy weźcie sobie do serca moją: Rellin jest najlepszym szkoleniowcem, jakiego mamy w legionach. Tylko wasza sierżant generalna Kasale jest w stanie jej dorównać. Słuchajcie Rellin, to będzie z korzyścią dla was. – Spojrzał mi w oczy. – Nie obawiajcie się, generale, nie zmarnujemy waszych talentów, ale postawienie się w sytuacji tych, którymi będziecie dowodzić, na pewno wam nie zaszkodzi.

Skinąłem głową. Miał rację.

– Czy wolno mi spytać, jak się posuwa tworzenie legionu?

– Oczywiście. Polecę Orikesowi, żeby zdał wam odpowiedni raport. Kasale łowiła, gdzie mogła, zdołała nawet zwerbować zasłużonych weteranów. W tej chwili mamy niecałe dwa tysiące żołnierzy zdolnych do walki, ale rekrutacja szybko postępuje. Tylko w Askirze zgłosiło się bez mała sześć tysięcy ochotników. Najlepszych wkrótce wyślemy do Gasalabadu, a więc wszystko przebiega sprawnie. Zwykle utworzenie

i wyposażenie legionu trwa rok, ale Kasale jest zdeterminowana skrócić ten czas o połowę. Wyświadczcie mi jedną przysługę: gdy ją spotkacie, przekazcie jej, że jej podkradanie z innych legionów najlepszych oficerów jest dla mnie mało budujące.

Mógłbym jej to powiedzieć, podejrzewałem jednak, że nie zrobiłbym tego z odpowiednim naciskiem. Dobrzy oficerowie mieli wartość swojej wagi w złocie, a im więcej uda jej się ich zwerbować, tym lepiej dla mnie.

Wyciągnął do mnie rękę. Ująłem ją. Miał mocny uścisk.

– Jeśli będziecie mieli więcej pytań, zwróćcie się do Orikesa. Generale, myślę, że nadeszła dla was pora, aby zostać Bykiem!

Serafine czekała w korytarzu.

– Czego chciał? – zapytała ciekawie, kiedy wyszedłem.

– Tylko poskładał mnie do kupy. Aż miło popatrzeć – wyjaśniłem, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Oto mężczyzna, od którego niejednego się można nauczyć! Przekonał mnie, abym przyjął pierścień generała, a jednocześnie skazał mnie na to, bym stał się Bykiem.

Pokiwała powoli głową.

– Coś mi się zdaje, że już wkrótce nie będziesz miał czasu na bezczynność.

Podzielałem te obawy.

– Czy możesz wziąć Rozpruwacza na przechowanie? – poprosiłem. – Osoba, która ma mnie szkolić, nie wie, kim jestem, a komendant życzy sobie, aby tak zostało, nie mogę więc nosić przy sobie tego miecza.

Popatrzyła z powątpiewaniem na Rozpruwacza.

– Nie widzę sensu w noszeniu broni, której nie będę mogła użyć.

Podąłem jej miecz.

– Spróbuj.

Rzuciła spojrzenie na strażę pod drzwiami komendanta.

– Chodźmy do twojej kwatery – zaproponowała. – Tu mają ściśle instrukcje na wypadek, gdyby ktoś dobył miecza.

12

TRZECI LEGION

W kwaterze zauważyłem, że nie ma rzeczy Leandry. Zapytałem o to Serafine.

– Dostała własną kwaterę trzy drzwi dalej – wyjaśniła. – Jest tu pod dostatkiem pustych pokoi, przeznaczonych dla ważnych gości albo dowódców innych legionów.

Przynajmniej nie zakwaterowali jej daleko stąd. Pod pewnymi względami panował między nami dystans, który mi się nie podobał, choć to była moja decyzja. Serafine mówiła dalej, przerywając moje niewesołe rozmyślenia:

– W tej chwili poszukuje odpowiedniego budynku na ambasadę. Wygląda na to, że sama będzie musiała wydać kilka przyjęć. – Podniosła na mnie wzrok. – Dla niej to też żadna radość. Jest co najmniej tak samo niecierpliwa jak ty, ale musi trzymać się tradycji i reguł. Większość roboty, jak sam mówiłeś, odwała się na wstępie. Nawiasem mówiąc, zapytała mnie, czy chcę być ambasadorką.

– Ty? – zdumiałem się. – Nie czujesz się związana z Besarajnem?

– Raczej z cesarstwem. Zapytała mnie, bo mi ufa. Ale to nie dlatego odmówiłam.

– Odmówiłaś? Dlaczego?

– Mam inne plany. Zaakceptowała to, choć niechętnie. Wzięłaby też chętnie Varoscha, ale on też nie jest wolny. Orikes wyznaczy kogoś do jej dyspozycji i przysięga, że to będzie ktoś godny zaufania. Sieglinde będzie musiała rozejrzeć się w kraju za osobami, które Leandra chciałaby mieć tutaj. Sporządziła listę, ale obawia się, że większość tych osób nie żyje, rozproszyła się po świecie albo tkwi uwięziona za murami Illianu.

– Hm. Miejmy nadzieję, że Sieglinde dopisze szczęście – powiedziałem. – Gdzie ona teraz jest?

– Sieglinde czy Leandra?

– Leandra.

– W domu Borona, chce oficjalnie przypieczętować swoją koronację i czyni odpowiednie przygotowania. Chce, abyśmy przy tym byli. Termin wypada za dziesięć dni, dwa dni później zbiera się Rada Koronna.

– Myślę, że niewiele jest takich rzeczy, które mogłyby mnie powstrzymać przed byciem tam.

Rozmawiając z nią, odpiąłem Rozpruwacza Dusz i podałem jej go wraz z uprzężą. Zawahała się, ale przyjęła go i zważyła w dłoni.

– Kamienne Serce jest inne – orzekła. – Czuje się to. Rozpruwacz jest bardziej powściągliwy. – Zdecydowanie pociągnęła za rękojeść. Rozpruwacz wysunął się z pochwy tak lekko, że zacięłaby mnie jego czubkiem, gdybym w porę nie odskoczył.

– O przepraszam – powiedziała pospiesznie. – Nie sądziłam, że jest taki szybki.

– I taki ostry, że można się nim golić. – Doprawdy, niewiele brakowało. Wolałem nie wiedzieć, jakie to uczucie zakończyć życie na tym ostrzu. – Jesteś pewna, że potrafisz obchodzić się z mieczem? – zapytałem z powątpiewaniem. Serafine zwykła używać sztyletów. Tak jak Natalyia.

– Lepiej od ciebie. – Zaśmiała się i z podziwem oglądała precyzyjnie wykonane ostrze. – Jest wspaniały – stwierdziła. – Askannon naprawdę był mistrzowskim kowalem. Tylko nie wyczuwam tego postrzegania, o którym mi opowiadałeś. Dla mnie to jest po prostu dobry miecz. – Podniosła na mnie spojrzenie. – Muszę dać mu krwi, zanim go schowam do pochwy?

– Nie – odparłem. – Odkąd wypił krew Natalyii, nie jest już taki spragniony.

Już odczuwałem dziwną pustkę u boku, ale u Serafine ostrze było w dobrych rękach. Pieczołowicie wsunęła je do pochwy i zawiesiła na pasie.

– Wiesz, kiedy Sieglinde chce przejść przez portal? – spytałem. – Chciałbym się z nią pożegnać.

– Dopiero w nocy, więc nie ma pośpiechu.

Zawahałem się chwilę, ale miałem jeszcze czas.

– Muszę iść do tej sierżant generalnej – oświadczyłem. – Podejrzewam, że zobaczymy się dopiero wieczorem.

– Znajdziemy się – rzekła z uśmiechem.

Najniższy poziom cytadeli był w dużej mierze zajęty przez Pióra. Tutaj wszyscy biegali szerokimi korytarzami zaabsorbowani swoimi sprawami, wchodzili i wychodzili. Zamiast mieczy nosili płaskie skórzane teczki, na których, jak się zdaje, opierała się potęga Starego Królestwa. Wiedza często była potężniejsza od miecza.

W białym kamieniu korytarza wyryte były symbole, a dla tych, którzy posiadli umiejętność czytania, powieszono również tabliczki z napisami. Na jednej dojrzałem symbol pióra, pod nim nazwisko i rangę Orikesa, dwoje drzwi dalej znalazłem znak Pierwszego Legionu, potem Drugiego, i tam się zatrzymałem. „Amaranis Kasale, sierżant generalna, Drugi Legion” – przeczytałem. Pod spodem widniały dwa nazwiska sierżantów sztabowych. Przez zamknięte drzwi docierały ciche głosy. Ociągałem się chwilę i w końcu pchnąłem drzwi.

Znalazłem się w dużym pomieszczeniu pełnym ławek, skąd wychodziło dwoje kolejnych drzwi. Przy nich stało biurko, za którym zasiadał żołnierz w mundurze

Byków ze znakiem Drugiego Legionu na rękawie. Obok niego siedział żołnierz Piór, zagłębiony w stercie akt.

Na ławkach siedziały ze dwa tuziny mężczyzn i kobiet, niektórzy podnieśli wzrok, inni zdawali się drzemać.

Żołnierz za biurkiem rzucił mi krótkie spojrzenie.

– Macie swoje akta? – spytał. Każdy z czekających miał podkładkę ze skórzaną okładką.

– Nie, ser – odparłem uprzejmie.

– To źle trafiliście – poinformował mnie lekko poirytowanym tonem. – Jeśli chcecie wstąpić do legionu, musicie udać się na plac Świątynny, tam znajdziecie punkt werbunkowy. Tam też wydadzą wam akta. Z nimi przyjdźcie tutaj.

Zamykając drzwi, usłyszałem, jak skryba zwraca się do sierżanta:

– Dlaczego każdy idiota najpierw leci do cytadeli, jakby miał go przyjąć komendant osobiście?

Odpowiedzi już nie usłyszałem, ale potrafiłem ją sobie dośpiewać.

Stałem po drzwiach i czułem się dziwnie. Początkowo to był tylko pomysł, nic więcej: wskrzesić Drugi Legion i rzucić go do walki z wrogiem. A teraz ten pomysł przerodził się w coś więcej. Ci mężczyźni i kobiety w pomieszczeniu za moimi plecami niedługo znajdą się pod moim dowództwem i staną naprzeciwko wroga sprzymierzonego z mrocznymi siłami, wroga najbardziej bezlitosnego ze wszystkich.

– Wchodzicie czy wychodzicie? – spytał młody chłopak, który wyglądał, jakby przyjechał tu prosto ze wsi; na nogach miał chodaki, na ciele strój z grubego sukna, brakowało tylko słomy we włosach, by jednoznacznie zidentyfikować go jako syna wieśniaka. Nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat i niemal rozsadzała go niecierpliwość.

– Wybaczcie – rzuciłem grzecznie i ustąpiłem na bok.

W kancelarii Trzeciego Legionu niewiele się działo. Na ławkach siedziały tylko trzy osoby z aktami w ręku. Skryby nie było, tylko sierżant oderwał od pracy znudzony wzrok.

– Tak? – spytał obojętnie.

– Nazywam się von Thurgau. Sierżant generalna mnie oczekuje.

– Tędy – rzucił i wskazał kciukiem na prawe z dwojga drzwi. – Zapukaj, inaczej urwie ci łeb.

Minąłem go, zapukałem, usłyszałem „wejść”, wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Omiotłem spojrzeniem pokój i kobietę za biurkiem, która wstała i zmarszczyła brwi.

Gabinet był tak samo oszczędnie wyposażony jak siedziba komendanta. W rogu na stojaku stała ciężka zbroja, oprócz tego były tu szafa, stojak na mapy, regał na zwoje i książki, niska komoda, o którą niedbale oparto ciężki topór. Za biurkiem znajdowało się okno, przez które dobrze było widać plac ćwiczeń. Ponieważ wychodziło na zewnętrzną stronę budynku, nie było zbyt duże i dało się zasłonić ciężkimi, żelaznymi okiennicami ze szczeliną dla kusznika.

– Jesteście owym generałem, który nie wie, co to znaczy być Bykiem – stwierdziła, a długie spojrzenie, jakim mnie zmierzyła, nie pozostawiało złudzeń, że zawiodę jej wszelkie oczekiwania wobec mnie. Tyle w temacie, że nie wie, kim jestem. – Dopóki się tego nie dowiecie, jesteście dla mnie zwykłym rekrutem, nikiem więcej, a więc darujmy sobie uprzejmości. Zrozumiano?

– Tak.

– Jak myślisz, kim ty jesteś? To znaczy „tak jest, ser!”.

– Tak jest, ser!

Było jasne, w jakim to zmierza kierunku.

Jak wielu Byków, również i sierżant generalna Rellin była raczej krępej budowy, ale nie za sprawą statury, a wyraźnych mięśni, wyrobionych dzięki długoletniemu noszeniu ciężkiej zbroi płytowej.

Wyszła z za biurka i stanęła na wprost mnie. Jej oczy miały jasnozielony odcień, nos zdradzał co najmniej dwukrotne złamanie, a przez szeroki podbródek ciągnęła się niewielka blizna, nosząca ślady topornego szycia. Może nie była piękną, lecz jej spojrzenie wyraźnie mówiło, że nie miało dla niej znaczenia, czy podobała się jako kobieta, czy nie.

– Najprostszym sposobem, żeby ci pokazać, jest dać ci to odczuć – obwieściła, a bruzdy na jej czole się pogłębiły. – Mam nadzieję, że czas, jaki ci poświęcę, nie okaże się czasem zmarnowanym.

Ściągnąłem łopatki, wyprostowałem się na baczność i skierowałem wzrok na wprost. Przejdę przez to.

– Tak jest, ser!

– Służyłeś już? – zapytała, mierząc mnie wzrokiem.

– Nie w legionie.

– A więc najemnik – stwierdziła bez zachwyty. Chętnie bym temu zaprzeczył, ale w pewnym sensie była to prawda.

– Zbrojmistrza znajdziesz w piwnicach. Niech cię wyposaży i dopasuje zbroję, potem zgłosisz się tu do mnie.

– Tak jest, ser!

– Odmaszerować!

Byki stanowiły ciężką piechotę Starego Królestwa. Były to opancerzone oddziały, przemieszczające się i prowadzące walkę pieszo. O ile wiedziałem, tylko Askir mógł rzucać do boju ten rodzaj formacji. Powody były oczywiste. Wiele lat temu nabyłem w swoim kraju zbroję na turniej; kosztowała dobre dwieście złociszy, a płatnerz potrzebował roku na jej sporządzenie. Tylko szlachta i bogaci możnowładcy mogli sobie pozwolić na coś takiego.

Na polu walki taka zbroja była trudna do przewyciężenia, w walce na krótki dystans przebić ją mógł tylko nadziak zwany „kruczym dziobem”, rodzaj broni obuchowej z kolcem, albo kopia rycerska. Ciężka kusza również była do tego zdolna, ale nie była zbyt popularna. Podobnie arkbalista, ale do obsługiwania tej maszyny potrzeba było dwóch żołnierzy.

Jeśli ustawiono się tak opancerzonych żołnierzy w szeregach, wyposażono w miecze, tarcze albo piki, to niewiele ich mogło zatrzymać. „Gdzie stoimy, tam się nie cofamy” – brzmiała dewiza Byków. Co łatwo było zrozumieć. Z takim ciężarem na barkach o wycofaniu się czy wręcz ucieczce nie dało się nawet pomyśleć.

Jeśli o mnie chodzi, to wystarczyło mi jedno: gdy zbrojmistrz nasadził mi na głowę ciężki szyszak i go obrócił, aż zaskoczył, łącząc się z nakarczkiem.

Wiedziałem, że w takich pancerzach można chodzić, a nawet biegać. Sam to widziałem, nawet Kasale nosiła zbroję tak, jakby w niczym jej nie przeszkadzała. Ja jednak bałem się zrobić w niej choćby krok.

Zbrojmistrza znalazłem w podziemiach cytadeli. Dowiedziałem się, że sięgają one daleko w głąb ziemi i liczą co najmniej siedem pięter. Do zbrojowni można było dostać się przez rampę, po której mogły podjechać wozy bojowe: ciężkie, stabilne zaprzęgi, ciągnięte przez cztery woły.

W magazynie zbrojowni panował duży ruch. Wyposażenie wydawano przez okienka; było ich w sumie osiem, a każde obsadzone. Tylko dwóch zbrojmistrzów było akurat wolnych, jednym z nich był młodzieniec, któremu ledwie sypał się wąs, drugim siwy weteran, któremu brakowało dwóch palców lewej dłoni i ucha. Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem, które miało mnie ostrzec przed tak niedorzecznym pomysłem jak zakłócanie jego spokoju.

Wybór był prosty.

– Przyszyła cię Rellin, hę? – zagadnął weteran, kiedy wziął ode mnie akta i rzucił na nie okiem. Najwyraźniej nie spodobało mu się, co przeczytał, bo zmarszczył brwi. Potem dokładnie zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i westchnął.

– Chodź ze mną – powiedział i otworzył kratę. – Przy twoim rozmiarze trzeba będzie trochę pokopać.

W tych magazynach strzeżono tajemnicy wyposażenia Byków, nad wszystkim zaś czuwało sprawne oko zbrojmistrza. Większa część mego ekwipunku leżała już przygotowana w ciężkim worku ze wzmocnianej skóry lnu; zbrojmistrz rzucił go niedbale na niewielki wózek, który ciągnął za sobą. Worek zawierał, jak się później przekonałem, takie rzeczy jak brzytwa, bukłak, przybory do szycia, luźne lniane koszule i tym podobne. Mężczyzna kazał mi wyciągnąć ramię, obejrzał je, mruknął coś i zaprowadził głębiej między regały, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Na frontach regałów wisiały lampki olejowe, ale w większości nie były potrzebne, bo w żelaznych koszach u sufitu świeciły magiczne kule, dając blade światło.

Wielu z kul brakowało, były popękane albo nie świeciły, jednak nadal było ich wystarczająco dużo, by dobrze rozjaśnić magazyn.

Na regałach piętrzyły się setki, może nawet tysiące ciężkich napierśników, starannie ułożonych jedne na drugich i opatrzonych numerami oraz symbolami.

Zbrojmistrz taśmą zdjął ze mnie miarę, pokręcił głową i pomaszerował jeszcze głębiej, kazając mi ciągnąć wózek. Na półce, przed którą w końcu przystanął, było tylko kilka napierśników, niespełna tuzin, nie więcej.

– Rzadko widzimy tu twój rozmiar – stwierdził, zdejmując z półki pancerz. – Wyciągnąć ręce! – rozkazał obcesowo. Posłuchałem, a on przyłożył mi płytę do piersi, skinął z zadowoleniem głową i z brzękiem rzucił napierśnik na wózek, który miałem ciągnąć dalej.

I tak to szło dalej, aż skompletowałem całą zbroję. Tylko dwa razy przy pierwszej przymiarce coś nie pasowało. Najtrudniejsze okazało się dobranie trzewików i naramienników, zwłaszcza tych ostatnich, gdyż, jak mi wyjaśnił, chodziło o to, by zachować swobodę ruchów.

Moja dawna zbroja rzeczywiście krępowała mi ruchy, nie dało się w niej robić nic innego poza siedzeniem w siodle, ta jednak powinna umożliwiać długi marsz i wszelki rodzaj ruchów.

Ponad świecę zajęło dobranie wszystkich części zbroi, sprawdzenie i nastawienie każdej sprzączki oraz dopasowanie wszystkiego tak, aby zbrojmistrz był zadowolony.

Młodszy zbrojmistrz, który przyciągnął moją uwagę wcześniej, zdążył w tym czasie obsłużyć trzech rekrutów.

Tak jak stworzyli mnie bogowie, ważyłem coś ponad dwieście czterdzieści funtów, a więc niemal równo sześć kamieni. Na koniec zbrojmistrz rzucił na wagę pancerz: ważył pięćdziesiąt trzy funty i tym samym był lżejszy od mojej starej zbroi turniejowej. A potem kazał mi w niej wykonywać rozmaite wygibasy, przysiady i pompki.

– Masz mięśnie, mój chłopcze – obwieścił przychylnie, kiedy zasapany wyprostowałem się do pionu. – Jedyne, czego ci brak, to przyzwyczajenie.

Może i miał rację, ja jednak dobrze wiedziałem, dlaczego nie lubiłem ciężkich zbroi. Chroniły, bez wątpienia, ale czyniły też człowieka powolnym, a w moim sposobie walki za pomocą miecza, a szczególnie Rozpruwacza, liczyła się szybkość.

Do kompletu należały dwa hełmy: jeden zamknięty z wizurą, drugi otwarty, w rodzaju hełmu zadedykowanego dla jazdy, ze stalową zasłoną na twarz. Ten ciężki przeznaczony był do walki w polu, lżejszy do patroli.

Dowiedziałem się, że pancerze wykonywano tutaj, w cesarskim mieście, w kuźni przy placu Arsenалу i podobno miały w sobie jakiś rodzaj magii, ale nawet zbrojmistrz nie potrafił mi powiedzieć, jak działała. Zapewne częścią niej było to, że na napierśnikach ukazywały mi się nazwiska żołnierzy.

– Może chodzi też po prostu o to, aby szybko przyzwycząić się do ciężaru – wysunął przypuszczenie weteran i klepnął mnie na koniec w opancerzone ramię. Rozległ się głuchy gruchot. – Szczęście bogów z tobą, żołnierzu.

Zarzuciłem na ramię ciężki worek, odetchnąłem głęboko i poczłapałem, pobrękując żelazem. Serafine przez długie lata nosiła taką zbroję. Jeśli ona mogła, to ja też. Co mi przypomniało, jak często ćwiczyła i niejednokrotnie wytykała mi lenistwo, kiedy nie szedłem w jej ślady.

– W normalnym przypadku przydzieliłabym ci kwaterę w barakach, ale coś mi mówi, że to nie będzie konieczne, generale Rodericu von Thurgau – przywitała mnie Rellin, spoglądając na worek, który z ulgą zrzuciłem na podłogę jej gabinetu. Ona również miała na sobie zbroję, tylko bez hełmu. Z niejakim trudem wypiąłem szyszak z nakarczków. Zapięcia były potrzebne, aby hełm wytrzymał mocne uderzenie z boku. Stanąłem na baczność, z hełmem pod lewą pachą, tak jak to zaobserwowałem u Byków.

– Traktujecie mnie ulgowo? – zapytałem ją zaskoczony.

– Dla mnie jesteś rekrutem – poinformowała chłodno Rellin. – Przez następne dni należysz do mnie. Tylko sobie nie myśl, że będę cię oszczędzać, wolałabym przeczołgać cię tak, abys zapamiętał tę lekcję do końca życia. Zdaję sobie jednak sprawę, że muszę podejść do rzeczy inaczej. Nie ma czasu na praktyczne doświadczenie, ale musisz nauczyć się rozumieć, co to znaczy być Bykiem. Chodź za mną!

Pomaszerowała przodem, ja powlokłem się za nią.

Wyszliśmy przez wschodnią bramę. Łatwo było odgadnąć nasz cel; po prawej widniał obóz legionu, podobny do tego w Gasalabadzie, wystarczająco duży, by pomieścić niewielkie miasto.

– To jest obóz Pierwszego Legionu – powiedziała Rellin, żwawym krokiem podążając naprzód. Ja już zaczynałem sapać, poza tym pod zbroją powoli robiło mi się gorąco, choć powietrze nadal było chłodne. – Obecnie mieści oprócz tego Pierwszy, Trzeci oraz Piąty.

W odróżnieniu od na wpół zrujnowanego obozu na piaskach pustyni Besarajnu, ten był wykorzystywany w pełni. Gdzie spojrzałem, widziałem Byki w ciężkich pancerzach.

Sierżant generalna prowadziła mnie wzdłuż głównych budynków i dalej na szerokie pole, gdzie ustawiono różne przeszkody i wykopano coś w rodzaju basenu, szerokiego na dobre dwadzieścia kroków i długiego na sześćdziesiąt. Po jednej stronie na wodzie unosiło się spore czółno, wyposażone w coś w rodzaju żurawia i zwijarkę.

– Legion nie wyrusza na wojnę sam – pouczyła mnie, kiedy dotarliśmy na nieduży pagórek, z którego dobrze widać było cały teren. – Jest też podążający za nim konwój pomocniczy. Na czterech żołnierzy walczących przypada jeden, który ma za zadanie troszczyć się o zaopatrzenie. Jednak w razie konieczności legion musi maszerować sam, a każdy żołnierz unieść to, czego będzie potrzebował w polu przez tydzień. Sam bagaż marszowy waży dobre sześćdziesiąt funtów! Tego właśnie wymagamy od legionistów: aby byli zdolni do marszu w zbrojach i z ekwipunkiem codziennie przez dziesięć świec. – Rzuciła mi pełne litości spojrzenie. – Ty padłbyś po dwóch świecech, rekrucie. Nie daję ci dłużej. – Wskazała lewą ręką na basen z wodą, gdzie na brzegu ustawiły się właśnie dwa tenety.

– Nie wszędzie, gdzie maszerujemy, są mosty. Oszczędzę ci tego ćwiczenia, zabiłoby cię. Basen jest głęboki na trzech chłopa. Na dnie znajduje się gruba warstwa mułu. To jest ukoronowanie szkolenia... te dwa tenety muszą teraz pokonać ten basen. Ci, którzy przejdą, będą mogli mianować się Bykami Trzeciego Legionu. – Podniosła na mnie wzrok. – Szkolenie trwa rok. Jest ciężkie, ale jego zwieńczeniem jest zdolność to rzeczy niewyobrażalnych. Jeśli któryś z tych rekrutów umrze, a to się od czasu do czasu zdarza, to znaczy, że to my zawiedliśmy. A teraz, rekrucie, pomodlimy się za naszych żołnierzy.

Zajęła pozycję, ja obok niej.

Przy zbiorniku sześcioro mężczyzn i kobiet, nie zważając na zimno, rozebrało do bielizny i z poważnymi minami wsiadło do czółna. Długimi tyczkami odepchnęli je od brzegu. Rellin nie odzywała się, ale potrafiłem sobie wyobrazić, do czego potrzebny był żuraw z hakiem. Wątpiłem jednak, czy dało się kogoś szybko uratować w ten sposób.

Oficerowie, obaj w randze poruczników miecza, zwrócili się ostatni raz do żołnierzy, kilkakrotnie wskazując na spory stół z krzesłami. Czekał przy nim skryba Piór. Rekruci

skinęli głowami, choć niektórzy z wyraźnym ociąganiem.

Nawet z daleka widać było, że ta próba rzeczywiście podważała odwagę i determinację niektórych z nich.

Na komendę żołnierze włożyli hełmy i chwycili mocniej broń, ustawiając się w dwuszeregu. Nad wodą rozpięta była lina. Oficerowie sprawdzili, czy trzyma. Kolejna komenda i żołnierze położyli prawe ręce na ramieniu poprzednika. Pierwsi dwaj umieścili ręce na opancerzonym barku oficera.

– Naprzód marsz! – zakrzyknęli chórem porucznicy, na tyle głośno, że usłyszeliśmy ich na pagórku. I zdecydowanie zrobili pierwszy krok po nachyleniu.

Razem z Rellin w milczeniu patrzyliśmy, jak dwa tenety Byków wstępują w mętną głębię basenu. I znikają nam z oczu.

– To nie jest przejrzysta woda – rzuciła Rellin niemal z szacunkiem. – Nie może być, gdy stopy wzbijają muł. Jest tam ciemno, nic nie widać, a każdy ruch kosztuje tyle wysiłku, jakby trzymały cię tysiące rąk. Nie wystarczy oddechu, nigdy nie starcza, wiadomo tylko, że nie wolno się poddać, bo jeśli upadniesz, zginiesz, a wtedy upadną i zginą wszyscy, którzy idą za tobą. Słyszysz tylko szum własnego serca, czujesz ucisk na uszach, a jedyne, co daje ci oparcie i nadzieję, to ramię, które cię prowadzi. Tam w dole, rekrucie, spotykasz swego boga. W taki lub inny sposób...

Nigdy nie nauczyłem się pływać. Choćby dlatego woda wywoływała we mnie nieokreślony lęk. Wizja, że miałbym maszerować w tej mokrej ciemności, przepełniała mnie strachem. Trudno mi było uwierzyć, że można oczekiwać czegoś takiego od człowieka, a jednak dwadzieścioro jeden Byków maszerowało przed siebie w wodzie.

Po długim, zbyt długim czasie coś się poruszyło przy przeciwległym brzegu i z wody zaczęły wynurzać się pierwsze głowy. Jednocześnie stało się jasne, że coś musiało pójść nie tak, do brzegu dotarł tylko jeden tenet. Gdzie, na łaskę bogów, podziewał się drugi?

Rellin jęknęła cicho, śledząc rozgrywający się na naszych oczach dramat. Dwóch Byków jednocześnie zeskoczyło z czołna do wody... Rellin puściła się biegiem, ja za nią, zapominając o ciężkiej zbroi. Wszystko to nie trwało tak długo, jak mi się wydawało, zanim dotarliśmy na miejsce, z wody zaczęły wynurzać się kolejne hełmy.

To był drugi tenet, również kompletny, tyle że pierwsze dwa Byki niosły porucznika!

Przecięto ostrymi nożami sprzączki zbroi. Zanim dobiegliśmy do nich, pierś porucznika już była obnażona, a ponury żołnierz miarowo uciskał klatkę piersiową mężczyzny, wyciskając chlust ciemnej wody. Ratownik wiedział, co robi, jednak jego posępna mina nie zwiastowała niczego dobrego.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, żeby zbiec na dół, nakazać ratownikowi się odsunąć i chwycić porucznika, który pomimo wszelkich wysiłków nadal leżał jak martwy,

podnieść go, obrócić, wziąć w uchwyt jego klatkę piersiową i wycisnąć z niego wodę. W oczach innych pewnie byłem szaleńcem, który wpadł między nich jak burza i być może przyczyni się do tego, że próba ratunku się nie powiedzie. Nie kierowałem się przekonaniem, że potrafię to zrobić lepiej niż człowiek, który usiłował go ożywić i teraz wpatrywał się we mnie oniemiały.

Widziałem coś innego: duszę porucznika, który stał przede mną, patrzył na mnie z niedowierzaniem, zmierzył mnie od stóp do głów, potem nieruchome ciało, któremu wypompowywałem wodę z płuc. Popatrzył też na Rellin, a mnie wydało się, że wyczytał z jej oczu ból. Rellin była blada, poruszała ustami, modliła się, niemal słyszałem jej słowa. Chciała tylko jednego, tylko to jedno było całą jej nadzieją: uratować tego człowieka... czułem, że najchętniej wyrwałaby mi go z rąk.

Czy to ja? – zdawał się pytać ze zdziwieniem.

Tak często widziałem w życiu uchodzące z ciała dusze, że może dlatego wiedziałem, że ten człowiek miał jeszcze wybór.

Wracaj, powiedziałem do żołnierza. Jeszcze możesz. Wróc i oddychaj, a będziesz żył! Decyduj... to życie albo łaska Soltara!

Mężczyzna zdawał się z namysłem taksować mnie wzrokiem, potem skinął głową, podszedł do mnie, a potem wstąpił w siebie... i zaczął kasłać, wymiotując ostatnią fontannę wody.

Ciszę przerwały wiwaty żołnierzy. Ostrożnie opuściłem kaszlącego i dławiącego się porucznika na ziemię.

Czyjaś ręka pociągnęła mnie za ramię: to była Rellin. Wyprostowałem się i ustąpiłem na bok. Wszyscy gapili się na mnie wielkimi oczami.

– Każdy z was – oświadczyła Rellin cicho, ale dobitnie, wskazując głową na drugi tenet, który wyniósł z wody swojego porucznika – otrzyma nagrodę za męstwo i odwagę. To właśnie czyni was Bykami – zawołała. – Dobra robota! Za bogów, cesarza i Trzeci Legion, hurra!

– Hurra! – zagrzmiało z szeregów rekrutów. Rellin wielkodusznie skinęła głową oddychającemu ciężko porucznikowi, któremu wciąż brakowało sił, aby wstać. – Wy udacie się do medyka, niech orzeknie, czy wszystko w porządku. Ale najpierw jedno: możecie mi powiedzieć, co się stało?

Mężczyzna zakasłał po raz ostatni.

– Nie wiem... chyba... chyba się zachłysnąłem... – wyrzucił, słowa przerywane napadami kaszlu. Podniósł na mnie wzrok, a w jego klarownych, zielonych oczach pojawiło się coś, co graniczyło z nabożną czcią. – Czy ja was widziałem przed chwilą? – spytał drżącym głosem. Zbyt głośno, Rellin wyostrzyła spojrzenie.

– Nic dziwnego, stałem tu przecież – odpowiedziałem. – Ale myślę, że dokonaliście dobrego wyboru.

– Zaskoczyliście mnie – powiedziała Rellin, kiedy poprowadziła mnie z powrotem na pagórek. Stamtąd obserwowaliśmy, jak oba tenety stworzyły na nowo formację i przygotowywały się do powrotu. Porucznika nadal podpierano. Zauważyłem, że Rellin zrezygnowała z bezpośredniego „ty”.

– Co macie na myśli? – spytałem niewinnie.

– Niektórzy ludzie – odparła z namysłem, taksując mnie uważnie wzrokiem – mają talent do przywództwa. Żaden z tych żołnierzy was nie znał, a jednak posłuchali waszego rozkazu, nawet kapral, który chciał ratować przyjaciela, ustąpił miejsca obcemu. – Zawahała się. – Przyprawiacie mnie o ciarki, Rodericu von Thurgau. – Nie zważając na pancerz, objęła się ramionami, jakby zdjął ją chłód. – Jestem żołnierzem już tak długo, że rzadko zawodzi mnie intuicja. A ona podpowiada mi, że wy możecie być moją śmiercią. Dlaczego, von Thurgau, tak bardzo się was lękam?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Mogę was jedynie zapewnić, że nie mam wobec was złych zamiarów, jestem tu, by się uczyć. – Skinąłem głową w kierunku basenu. – To była niezapomniana lekcja. Ja bym tego nie potrafił. Jeszcze nie teraz, może nigdy. Wicie, boję się wody i myślę, że być może ona przyniesie mi śmierć. Może takie przeczucie nie jest złe, gdyż dopóki czuję respekt przed wodą i jestem świadom zagrożenia, jakim jest, zapewne nie przyniesie mi szkody.

– A zatem moja intuicja mówi mi, że nie chcę mieć was za wroga, czy o to chodzi? A może o to, że jesteście aniołem Soltara i zniszczycie świat, a więc i mnie?

Bogowie, zakląłem w duchu. Jeśli było coś, co była mi winna essera Falah, to przeprosiny za to, że wypuściła tę plotkę w świat.

– To przesąd, nic więcej! – rzuciłem. Może powinienem dodać, co mówiła Sowa, że w tej legendzie nie chodziło o zniszczenie świata, lecz jego nowy porządek, ale miałem wrażenie, że i tak już powiedziałem zbyt wiele.

– Nie zamierzałyście mnie przeczłagać? – przypomniałem jej.

Pokręciła głową i spojrzała na słońce.

– Dziś już nie. W swoim worku znajdziecie pierwsze trzy tomy ksiąg służbowych legionu. Przeróbcie je. Jutro rano o drugim dzwonie stawicie się u mnie. Wtedy zobaczymy, co w was doszlifujemy, o ile pozwoli nam czas.

Wyciągnęła do mnie rękę.

– Dziękuję wam, generale.

– Za co? – spytałem, ujmując jej dłoń... ależ miała uścisk.

– Uratowaliście życie człowiekowi. Czy to nie wystarczający powód? A teraz zejździe mi z oczu, rekrucie, i weźcie się do studiowania, legion żyje i oddycha tymi

księgami. Odmaszerować!

Zasalutowałem, a ona odwzajemniła salut i odeszła, zostawiając mnie na pagórku, skąd roztaczał się dobry widok na basen, gdzie dziś omal nie umarł człowiek, który miał jej oczy, jej nos i usta... i te same piegi. Jej brat? A może nawet syn?

Czego potrzeba, żeby przejść przez tę wodę?

Miałem nadzieję, że zastanę Leandrę w naszej kwaterze, ale musieliśmy się rozminąć o włos. Jak się dowiedziałem, była w drodze na bal. Zostawiła wiadomość, że może wrócić późno.

I tak zbroję pomogła mi zdjąć Serafine. Towarzyszyła jej Sieglinde; córka karczmarza rozparła się wygodnie w fotelu i studiowała opatrzone pieczęciami pisma: instrukcje Leandry, których uczyła się na pamięć.

– Leandra chce, żebyśmy dołączyli do niej na balu – obwieściła Serafine.

– Jakim balu? – spytałem, niezbyt zachwycony.

– Aldańska ambasada jest teraz miejscem, gdzie powinno się bywać – poinformowała mnie Serafine, pociągając za opierającą się sprzączkę. Zapięcie puściło. – To ma trochę wspólnego z atakiem na Askir, Aldańczycy mieli swój udział w obronie. Leandra dostała osobiste zaproszenie od specjalnego wysłannika Aldane, niejakiego baroneta Tarkana von Freise. Desina mówi, że Aldańczycy doskonale zdają sobie sprawę z zagrożenia, jakim jest Thalak. Będą naszymi największymi sprzymierzeńcami. O ile książe Tamin zachowa głowę i tron.

– A co z Zokorą i Varoschem? – zapytałem. – W ogóle ich ostatnio nie widać.

– Cały czas spędzają w archiwum w podziemiach – odpowiedziała Sieglinde. – Varosch zajrzał raz na górę, żeby spytać, czy słyszałam coś o mieczu zwanym Poskramiaczem Lęku.

– A słyszałyście?

Zanim dostała Lodowego Pogromcę, mógłbym przysiąc, że jest jej przeznaczone zostać bardką, a jako córka karczmarza też zasłyszała to i owo. Było więc nie całkiem od rzeczy zapytać o to właśnie ją. Miałem wrażenie, że gdzieś już słyszałem o takim mieczu.

– Nie – odparła i pokręciła głową. – Nigdy. I to był koniec rozmowy, zaraz potem Varosch wrócił do archiwum.

– Hm. Czy to jest jakieś Ostrze Spójni, jak myślicie? – spytałem, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Zmieniłem temat. – Kiedy wyruszacie?

– Wkrótce – odpowiedziała i rzuciła spojrzenie na świecę godzinową, która płonęła na gzymsie kominka. – Sądzę, że o północy. Przy odrobinie szczęścia Janos będzie już w Twierdzy Gromów. – Uśmiechnęła się. – Cieszę się, że żyje. – W jej oczach pojawił się blask. – Nie lubię Askiru. Za dużo tutaj ludzi, jest zbyt wielki, trudno zaznać

spokoju. Jestem szczęśliwa, że mogę wrócić i zrobić coś, co ma sens. Tutaj czuję się bezużyteczna.

Skinąłem głową, bo miałem te same odczucia.

– Byliście już w świątyni? – zapytała.

– Nie. Czemu?

– Był tutaj ten kapłan Soltara i znowu o was pytał.

– Może powinieneś pójść – zasugerowała Serafine i pociągnęła za ostatni bigwant, który z brzękiem opadł na podłogę. – Skoro ciągle o ciebie wypytuje, to może być ważne. – Popatrzyła na mnie pytająco. – Mówiłeś, że pogodziłeś się ze swoim bogiem?

– Kiedy byłem ostatni raz w jego świątyni, złożyłem mu u stóp Natalię. I to wcale niedawno. Zanim wyruszyliśmy na tę wyprawę, nie byłem w jego domu przez stulecia. Jakoś mu to nie przeszkadzało.

Serafine roześmiała się.

– Nie wątpię. Jeśli bóg coś od ciebie chce, to cię znajdzie. Ale tu chodzi o jednego z jego kapłanów. Czy grzeczność nie wymaga, by spytać, jaką ma sprawę?

– Mógł zostawić wiadomość – opierałem się, ale Serafine patrzyła na mnie, jakbym powiedział coś zabawnego. – Dobrze – ustąpiłem. – Pójdę do niego.

– Teraz?

Skrzywiłem się z niechęcią. W końcu westchnąłem.

– Niech będzie teraz – obwieściłem. – Ale najpierw kąpiel. Pójdiesz ze mną?

– A już myślałam, że o to nie poprosisz – odparła ze śmiechem. Nawet Sieglinde się uśmiechnęła. – I zabierz swojego Rozpruwacza!

Skończyłem kąpiel, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Owinąłem się w pasie ręcznikiem i otworzyłem. Ku memu zaskoczeniu to była Sieglinde.

Zaprosiłem ją do środka, zaczekała, aż drzwi będą zamknięte, wahała się przez chwilę, w końcu wzięła głęboki wdech.

– W tych wojennych czasach nie wiadomo, czy się jeszcze zobaczymy, Havaldzie – rzekła cicho. – A więc powinnam powiedzieć, co chcę, aby zostało powiedziane. Z jednej strony wiem, że martwicie się o mnie. Niepotrzebnie, ja już wybrałam swoją drogę i krocę nią z dumą. Wiele się od was nauczyłam. Z drugiej... Proszę, wybaczcie mi, że mam czelność wypowiedzieć to na głos, ale od Janosa też czegoś się nauczyłam, o życiu i o miłości. Leandra nigdy nie była dla was tą wam przeznaczoną, ser Rodericu. Jest naszą królową, to jest jej los. Ale tylko jedna kobieta potrafi sprawić, że się uśmiechacie, tylko jedna potrafi wywołać u was śmiech, i to nie jest Leandra. Nie wzbraniajcie się przed swoim sercem, coś o tym wiem. To wam tylko wyjdzie na złe.

– Sieglinde... – zacząłem, ale nie zdążyłem powiedzieć nic więcej, bo podeszła do mnie i objęła mnie mocno.

– Niech ochrona i łaska bogów będą z wami, Havaldzie – wyszeptała i przełknęła. I uciekła, zanim zdołałem się odezwać.

– Zostałeś porządnie przeczołgany? – spytała Serafine, kiedy szykowaliśmy się do wyjścia. Sieglinde już poszła, była u maestry wieży, która miała otworzyć jej portal do Twierdzy Gromów. Santer miał odprowadzić je obie, choć nadal nie zmienił zdania na temat wrót. Sowa nie mogła usiedzieć w miejscu, rozmawiała przedtem z Serafine. Nieustannie miała coś do zrobienia. Jeśli w przerwie między rozlicznymi obowiązkami chciała popatrzeć na starą, skutą lodem twierdzę, to nie żałowałem jej tego.

Rozmowa zesłała na sierżant generalną Rellin i jej Trzecich Byków. Opowiedziałem Serafine, co przeżyłem. Księgi służbowe były jeszcze grubsze, niż się obawiałem, a ich studiowanie miałem jeszcze przed sobą.

– Ty też musiałaś przejść przez ten zbiornik z wodą? – spytałem ją, opowiedziawszy jej najpierw o wypadku. Nie przemilczałem, że widziałem duszę porucznika, ale ona tylko skinęła głową i wzięła to za dobrą monetę.

– Tak – przyznała. – Przeszłam przez taki basen cztery razy. To nie było dla mnie takie straszne, woda jest moim przyjacielem i gdybym zechciała, mogłabym przejść przez nią suchą nogą. Ale to jest naprawdę ciężka próba, Havaldzie. Żaden wróg nie jest tak bezlitosny jak ta wodna przeszkoda, człowiek uczy się polegać na sobie i na kamracie u swego boku.

– Nie tylko to – zgodziłem się i poruszyłem barkami, które już zaczynały się trochę spinać. – Ta zbroja jest wykańczająca.

– Długo trwa, zanim człowiek się przyzwyczai – przyznała. – Jako rekrut nosisz ją codziennie przez dwanaście świec, i tak cały rok. Na początku trudno uwierzyć, że kiedyś w ogóle przestanie się ją odczuwać! Ale tak rzeczywiście jest. Nie myśli się o niej. Jesteś za nią wdzięczny najpóźniej wtedy, gdy pierwsze uderzenie mieczem odbija się od ciebie albo kiedy bełt nie przebija twojego napierśnika. Na koniec robisz w zbroi wszystko... poza pływaniem!

– Nie mam przed sobą roku, ale będę rad, kiedy nie będę już musiał jej nosić.

– Masz jeszcze inną. W niej będziesz mógł chodzić na parady.

Moja sierżant generalna, Kasale, już w Gasalabadzie zestawiała dla mnie generalską zbroję. Jakimś cudem pancierz przetrwał długą podróż do Askiru i leżał, dobrze zapakowany, w mojej kwaterze. Jeśli o mnie chodzi, to mógł tam zostać.

13

ANIOŁ SOLTARA

Zmierzchało już, ale jak na Askir wieczór był dość ciepły. Plac Świątynny, przy którym stały domy bogów, znajdował się na wschód od cytadeli, w Tylnym Mieście, dzielnicy zamieszkiwanej przez wielu artystów i uczonych. Tam właśnie, jak się dowiedziałem od Serafine, kiedy przemierzaliśmy dzielnicę kupiecką, mieściły się trzy akademie. Jedna z nich miała za zadanie kształcić przyszłych uczonych w matematyce i muzyce. Zdziwiło mnie to, ale Serafine i na to miała wyjaśnienie.

– W muzyce występują regularności, żeby brzmiała przyjemnie i harmonijnie – tłumaczyła, kiedy szliśmy szerokimi ulicami, które teraz już bardziej odpowiadały moim wyobrażeniom o cesarskim mieście. Tutaj, w obrębie czterech ochronnych wałów, miasto zaplanowano z rozmachem, przestronnymi ulicami i wystawnymi gmachami, które nie przypominały już twierdz. – A więc samo się nasuwa, by uczyć obu fachów jednocześnie. Mój ojciec pobierał tam nauki i dowiedział się, jak budować ulice i mosty. Poza tym grał na szpincie. Tak poznał moją matkę.

Myślami Serafine zdawała się być gdzieś daleko. Dałem jej czas i snułem rozważania, jak to jest, kiedy czuje się smutek po śmierci kogoś, kto nie żyje od siedmiuset lat, a jednak ta strata boli jak całkiem świeża. Wspominała już, że straszne dla niej było umrzeć przed ojcem. Chyba nie ma dla ojca gorszego losu, niż przeżyć własne dziecko.

Był spokojny wieczór, na ulicach niewiele się działo. Trochę dalej jakiś kupiec ładował ciężkie skrzynie na wóz, poza tym panował pokój i cisza.

Zauważyłem kota, który wyskoczył z jakiejś dziury i przebiegł przez ulicę tuż przed koniem, koń spłoszył się i zarżał... *Jeśli usłyszysz rzenie konia, schyl się!* Rzuciłem się na ziemię, przykrywając sobą Serafine. Dwa bełty wypuszczone z kuszy przeleciały z sykiem tam, gdzie przed chwilą staliśmy.

Zamachowcy byli nie tylko na dachu. Z kamienicy wypadło czterech mężczyzn z mieczami, z dachu poleciały dwa kolejne bełty; jeden został odbity przez Rozpruwacza, drugi zadrapał mi ramię.

Jakbyśmy ćwiczyli to tysiąc razy, wymieniliśmy z Serafine tylko jedno spojrzenie, przetoczyliśmy się na bok i ruszyliśmy ku napastnikom, ona ze sztyletami w rękach i zaciętą miną, ja z Rozpruwaczem, który odzyskał trochę swojej dawnej żądzы krwi. Jednym cięciem odrąbał pierwszemu, który się do nas zbliżył, lewą dłoń wraz

z mieczem. Tamten wciąż jeszcze krzyczał, kiedy nóż Serafine ugodził jego kompana w szyję, a ona sama podniosła konającego i wykorzystała go jako tarczę, by osłonić się przed dwoma kolejnymi bełtami. Puściła go, chwyciła jego miecz i schowała się ze mną w bramie kamienicy.

Z zaciętą miną skinęła głową w stronę drugiego domu, prawdziwe zagrożenie było tam, gdzie z dachu strzelali kusznicy, za dobrze i czysto jak na mój gust. Z oddali dobiegł głośny gwizd, ludzie w panice pierzchali z krzykiem na boki, puściliśmy się pędem ulicą, ścigani gradem bełtów, trafiających tam, gdzie przed chwilą się chowaliśmy. Rozpruwacz Dusz szarpnął do przodu i w górę i wybebeszył flaki ostatniemu z zabójców, cisnąłem jego ciało na bok i już byliśmy w budynku.

Otwarte drzwi po prawej ukazały pokój mieszkalny, gdzie na podłodze leżała zakrwawiona kobieta, obok małe dziecko zamordowane w kołysce, roztrzaskanej i pełnej krwi. Z łatwością znaleźliśmy schody. Powitał nas bełt, trafiając mnie w lewe ramię. Miałem wprawę w ignorowaniu bólu, odłamałem bełt, kiedy schyleni wbiegaliśmy schodami na górę.

Drogę zagroził nam mężczyzna, upuścił kuszę i dobył miecza, za późno dla niego. Przeskoczyłem go i pchnąłem drzwi na dach... stając oko w oko z mieniącą się cudownymi barwami kreaturą, która na mój widok szeroko rozwarła paszczę i z przeraźliwym wrzaskiem wypluła w moim kierunku płomienie ognia!

Jeszcze prędzej, niż wbiegłem na górę, pomknąłem w dół, na podeście pociągając za sobą Serafine, podczas gdy gryzący płomień smagał schody. Ogień buchał, dusząc dymem i zasłaniając widok jęzorami.

– Mieliśmy szczęście – wydusiłem z siebie zdyszany i oparłem się o ścianę. – Niewiele brakowało. – Czego tu szukała wiwerna? Jeśli Zokora miała rację, to tutejszy zimny klimat musiał im się dawać we znaki. Najwyraźniej jednak nie za bardzo!

Coś grzmotnęło o ziemię i obok nas znieruchomiała niewielka beczułka wybijana żelaznymi nitami. Zaczęła syczeć i sypać iskrami.

– Co... – zacząłem, ale nie zdołałem powiedzieć nic więcej.

– Bogowie! – krzyknęła Serafine i tym razem to ona pociągnęła mnie gwałtownie do tyłu. Oboje zaczęliśmy spadać ze schodów... i zanim pojąłem, co się dzieje, świat zniknął w morzu ognia i huku, który doszczętnie ogłuszył moje zmysły.

– Dobra. Żyjemy – stwierdziłem, bez tchu i wciąż oszołomiony. Policzyłem kończyny. Wszystko było na swoim miejscu, ale czułem się tak, jakby na mych barkach spoczywał cały dom. I na Serafine, bo niemal całkowicie pogrzebałem ją pod sobą. Poruszyła się, a więc i ona żyła, ale wątpiłem, czy ma pod dostatkiem powietrza. Tuż przede mną, przygnieciona ciężką cegłą, leżała szmaciana lalka, wydziergana pieczołowicie szydełkiem i skąpana we krwi, obok spod kamieni wystawał kawałek

kołyski. W nosie załaskotał mnie pył. Kichnąłem, wywołując protesty Serafine. Byłem obolały, tu i ówdzie ranny, ale moje kości były całe.

– Nie tak szybko! – wydyszała Serafine, próbując wyczołgać się spode mnie, podczas gdy ja naparłem na ciężki dźwigar, leżący ukosem na moich barkach. – To jeszcze nie koniec!

– Wszystko w porządku? – wyszeptałem z troską. Zwróciła ku mnie pokrytą szarym pyłem twarz i popatrzyła niezgłębionym spojrzeniem.

– Na tobie leżą gruzy domu – wysapała. – A ty leżysz na mnie. Jak mam się czuć? Jestem płaska jak flądra i nie mam jak oddychać! – Była rozdrażniona jak grzechotnik. – Wpadliśmy w pułapkę jak jacyś nowicjusze! – Spojrzała na mnie podejrzliwie. – Czemu się uśmiechasz?

Pomyślałem tylko, że skoro nie brakowało jej tchu, by narzekać, to musiało być w porządku!

– Przestać się tak szczerzyć! – fuknęła. – Zrób coś, tylko szybko, zanim tu do nas dotrą!

Budynek częściowo się zawalił, wszędzie buchały płomienie, ale Serafine miała rację, wróg jeszcze z nami nie skończył. Gdzieś nad nami rozległ się hurgot i zgrzytanie, posypał się gruz i pył. Zamachowiec szukał drogi do nas. Samą siłą nic nie mogłem zdziałać, dźwigar był za ciężki... Rozpruwacz Dusz leżał obok przysypany gruzem, a tylko z nim istniała szansa, że się stąd wydostaniemy. Przywołałem go, ale i on był zakleszczony pod gruzami, poruszył się trochę i utknął.

– No proszę – zabrzmiał nad nami szyderczy głos. – A więc to ty jesteś Havald. Niepokonany bohater Starego Królestwa. To nie było takie trudne... wystarczył dobry plan i proszę, oto leżysz bezradny u mych stóp.

Przez na wpół zrujnowane wejście dojrzałem coś, czego mój szczęśliwy pogromca nie widział: parę pancernych trzewików, bardzo podobnych do tych, jakie sam całkiem niedawno z ulgą zdjąłem ze stóp.

– Zakończmy to – powiedział tamten, podczas gdy ja podjąłem ostatnią próbę podźwignięcia belki. – Mój pan sowicie mnie wyna...

Głuchy odgłos wystrzału z ciężkiej kuszy uciął w pół słowa to, co chciał powiedzieć. Padł na kolana, potem przechylił się do przodu i uderzył o ziemię przed nami jak popsuta marionetka, z twarzą tuż obok mojej. Bełt z kuszy trafił go w usta, upierzona lotka uciskała mnie w szyję. Obok leżał pęknięty szklany sztylet, z którego na kamień przy moim boku wyciekała żółtawa ciecz. I choć ledwie mogłem się ruszyć, próbowałem odsunąć się od tego paskudztwa.

– Dzięki – wydyszałem. Kolejne pancerne trzewiki minęły nas, a inne stanęły obok. – Bogowie was zsyłają, ale potrzebowalibyśmy pomocy z tym dźwigarem!

– Nienawidzę, jak wygłaszają długie przemowy – oświadczył nasz wybawiciel. Ciężkie buciory podeszły bliżej. – Ale czasami są całkiem przydatne. Jeszcze żyjecie, jak widzę – stwierdził mężczyzna i trącił mnie lekko butem. – Inaczej miałyby niewielki sens zabijać was na nowo.

Belka nade mną poruszyła się.

– Na dachu jest wiwerna, potworny zwierz! – próbowałem ich ostrzec.

– Widzieliśmy – odparł wesoło Byk. – Właśnie odleciała... cwana bestia! – Młoda twarz z wesoło błyskającymi spod szyszaka oczami pochyliła się nade mną. – Na sprzączkę Borona, was jest dwoje!

– Mądre spostrzeżenie – odezwała się uszczypliwie Serafine. Żołnierz parsknął śmiechem.

– Jestem z tego znany. Niech łaska bogów będzie z wami, sera, bo szczęście to już żeście miały!

I on się skarżył na długie przemowy!

– Belka – przypomniałem. Biorąc pod uwagę nasze położenie, gość był trochę za wesoły, co trochę miałem mu za złe.

– Zaraz, cierpliwości, nie chcemy przecież, żeby zwała się na was reszta domu. Wygodnie wam? Na schadzkę to ciut nieodpowiednie miejsce!

Serafine pode mną drgnęła. Podparłem się ostrożnie i obróciłem do niej.

– Co jest? – spytałem z troską.

Uśmiechnęła się pod całą tą warstwą szarego pyłu.

– Pomyślałam tylko – wyszeptała bez tchu – że ma trochę racji.

– Doprawdy, musieliście chyba wydzierzawić szczęście od bogów – zauważył sierżant z patrolu i otrzepał mi kurz z ramion. – Tylko parę draśnięć... ten dźwigar, który was pogrzebał, jednocześnie przyjął na siebie największy ciężar.

Zadrapania pochodziły od dobrych dwóch tuzinów drewnianych zadr, które tkwiły w moich plecach. Serafine zarobiła tylko jedną, ale za to długą i ostrą. Przez chwilę myślałem, że wbiła się głęboko, ale utkwiała tylko w jej naskórku.

– Mam odmienne odczucia... auć! – Posłałem Serafine pełne wyrzutu spojrzenie, kiedy wyciągnęła mi z pleców drzazgę.

– Nie użalaj się tak nad sobą – rzuciła i rozcięła materiał wokół kolejnej drzazgi, polała skórę odrobiną rumu, który dostaliśmy od żołnierza, i nacisnęła mocno ranę, żeby wycisnąć krew, a wraz z nią duchy wywołujące wrzody.

– Nie użalam się. To boli!

– Bądź mężczyzną – powiedziała, dalej uśmiechając się szeroko. – Zaraz kończę!

Sierżant z uśmiezkiem przeniósł wzrok na budynek i na widok żołnierzy wynoszących zwłoki jego wesołość ulotniła się natychmiast.

– Nie żyją od niedawna – oznajmił, podchodząc do nas, żołnierz i obrzucił nas podejrzliwie wzrokiem. – Nie widzę żadnych oznak, żeby zginęli wcześniej od reszty!

– Chciałbym uzyskać od was kilka odpowiedzi – zwrócił się do nas sierżant. – Myślę, sera, ser, że pora zapytać, kim jesteście i dlaczego jest tu więcej trupów niż na polu walki! – Dobry humor wyraźnie go opuścił.

– To była zasadzka – zaczęła tłumaczyć Serafine. – Zaplanowali to naprędce, musieli wtargnąć do domu tuż przed naszym przyjściem.

– A kimże jesteście, że zastawia się na was takie zasadzki? To były dobre trzy funty dymnego prochu z Xiang, to kosztuje majątek!

Nie wiedziałem, o czym mówił, i zapytałem o to.

– Eksplozja – wyjaśnił. W niczym mi to nie pomogło.

– Beczka z gwoźdźmi – klarowała Serafine. – W Xiang potrafią mieszać proch, który wybuch... właśnie tego o mało nie przypłaciliśmy życiem. Ta beczka była nafaszerowana gwoźdźmi, rozszarpałyby nas na strzępy. – Przyjrzała mi się uważnie. – Skąd wiedziałeś, że nas zaatakują? Ja nic nie zauważyłam!

– Koń zarżał – odparłem. Popatrzyła pytająco. – Ktoś zawołał, żebym się schylił.

– Ja nic nie słyszałam – stwierdziła z powątpiewaniem.

– Wszystko pięknie – wtrącił się sierżant. – Jesteśmy radzi, że żyjecie, a konie rżą. Jeszcze raz: kim jesteście?

– To jest generał lancy von Thurgau z Drugiego Legionu, a ja jestem jego adiutantką – oświeciła go od niechcienia Serafine. – To nie jest pierwszy zamach na nasze życie i z pewnością nie ostatni.

A więc była moją adiutantką? Musiałem przyznać, że to był ciekawy pomysł. Postanowiłem do tego wrócić.

– Sierżant miecza Ilgar, ser! Piąty Legion, Ósma Lanca, Drugi Tenet, na patrolu w Tylnym Mieście, ser! – wyrecytował wyprężony. – Baczność, żołnierze!

Niewiele brakowało, a dwaj żołnierze, który właśnie wynosili z budynku nieżywą kobietę, upuściliby ciało.

Westchnąłem.

– Spocznij, róbcie dalej swoje – poleciłem, próbując poruszyć lewym barkiem. – Zignorujcie moją rangę i wróćcie do pracy.

Sierżant spojrział na mnie z powątpiewaniem, podniósł rękę jak do salutu i znów ją opuścił.

– Jak sobie życzyacie. – Zwrócił się do swoich ludzi: – Wynieście pozostałych. Chcę wiedzieć, ile jest ofiar!

Budynek miał dwie kondygnacje, licząc z parterem, a jego frontowa część w dużym stopniu uległa zawaleniu. Wokół zebrał się tłumek, który wszystko ciekawie

obserwował z bezpiecznej odległości; ponieważ robiło się ciemno, ktoś zapalił dwie pochodnie, które nurzały scenerię w migotliwym świetle. Tymczasem na miejsce dotarł Drugi Tenet, a wraz z nim jeździec na koniu: pierwszy Byk w siodle, jakiego widziałem. Nie wiedziałem, co zrobiło na mnie większe wrażenie, rozmiary konia czy lekkość, z jaką mężczyzna pomimo zbroi zsiadł z wierzchowca.

Sierżant Ilgar zsalutował porucznikowi Byków, który podszedł do nas długim krokiem. Kiedy sierżant zdawał mu raport, mierzył mnie i Serafine badawczym spojrzeniem.

– Generał lancy i jego adiutantka nie życzą sobie specjalnego traktowania – poinformował na koniec.

– Porucznik sztabowy Remlin – przedstawił się oficer i skinął nam głową, po czym natychmiast przestał się nami zajmować i zwrócił się ponownie do swojego sierżanta: – Czyściciel zwłok już tu jedzie?

– Tak jest, ser. Posłałem też meldunek do Piór. – Mężczyźni obejrżeli się na dom, skąd właśnie wynoszono kolejne zwłoki.

– Nie użyto magii – stwierdził porucznik. – To oznacza, że sprawą zajmie się Pertok. – I zwrócił się jednak do nas: – Inkwizytor Pertok to drobiazgowy człowiek... obawiam się, że będziemy musieli poczekać na jego przybycie.

Popatrzyłem pytająco na Serafine, ale tylko wzruszyła ramionami. Usunęła ostatnią drzazgę, a ja zacząłem poprawiać to, co zostało z mojego ubrania.

– Kto to taki ten inkwizytor?

Jeśli porucznik zdziwił się moją niewiedzą, to tego nie okazał.

– Jest najwyższym śledczym królestwa, wyposażonym w podobne kompetencje jak Sowa. Jednocześnie jest najwyższym sędzią, oskarżycielem... a jeśli trzeba, to i katem. – Na ustach porucznika wykwitł nikły uśmiech. – W niektórych kręgach boją się go bardziej niż samego Borona, którego adeptem również jest. Ma nad sobą tylko komendanta i samego Borona, a jeśli chodzi o wyjaśnianie przestępstw, to Pertok ma prawo wydawać rozkazy każdemu... także wam.

– I zajmuje się wszystkimi przestępstwami? – zdumiałem się. W mieście tej wielkości musiał mieć ręce pełne roboty.

– Nie. Tylko tymi, które go interesują. – Porucznik rzucił spojrzenie na miejsce przed domem, gdzie znajdowało się teraz pięć przykrytych prześcieradłami ciał, jedno z nich tak małe, że łatwo je było przeoczyć. Zwłoki zamachowców leżały odkryte w drugim rzędzie. Ich liczba wzrosła już do siedmiu: czwórka na ulicy i trójka tych, których wyniesiono z budynku. – To jest dzielnica kupiecka, tu się nie zdarzają takie rzeczy – ciągnął ponuro porucznik. – Będzie chciał wiedzieć, co tu się rozegrało.

– Tu jest jeszcze dwóch! – zawołał z dachu jeden z żołnierzy. W międzyczasie umocowano tam solidne liny, żeby zabezpieczyć ludzi wchodzących w ruiny. Na jednej spuszczano kolejne zwłoki.

Kiedy złożono ciało mężczyzny na bruku, podszedłem bliżej. W pierwszej chwili nie rozumiałem, skąd się wziął, nie pamiętałem, abym miał go przed swoim ostrzem, ale potem dostrzegłem u niego pianę na ustach i niebieskie wargi.

– Osądził się sam – stwierdził ze zdziwieniem porucznik. Zdjął hełm i podrapał się po potylicy. Popatrzył na mnie z namysłem. – Teraz jestem pewien, że Pertok zajmie się tą sprawą!

Dom przeszukano, na ile to było możliwe. Może pod gruzami leżał ktoś jeszcze, ale w tej chwili nie dało się zrobić nic więcej. Cała mieszkająca tu rodzina zginęła, wszystkim, począwszy od dziecka po babcię, poderżnięto głęboko gardła. Siedem ciał leżało pod prześcieradłami, jeden z żołnierzy wyniósł też szmacianą lalkę i położył ją przy najmniejszych zwłokach, czym poruszył mnie do głębi. Niektórzy z żołnierzy mieli tak posępne miny, że wyraźnie widać było, iż żałują, że zamachowcy nie przeżyli.

Na bruku leżało ośmiu zamachowców, dwóch z nich zmarło od zażytej trucizny, a przywódca od celnego strzału z kuszy sierżanta. Trzech padło ofiarą Rozpruwacza, dwóch zginęło od sztyletów Serafine. Od chwili rozpoczęcia ataku do oddania ostatniego strzału nie minęło więcej niż jedna dziesiąta świecy.

Miejsce, gdzie trafił mnie bełt, swędziało już, jak zawsze, kiedy Rozpruwacz uleczył mi rany. Kim byli ci mężczyźni, nietrudno było zgadnąć, już sama wiwerna była dostatecznym dowodem.

– Wszyscy są silni i w dobrej kondycji – stwierdziła cicho Serafine. – Żołnierze, jak sądzę.

– Ale nie ma wśród nich łowcy dusz – zauważyłem i przyjrzałem się bliżej mężczyźnie z bełtem w twarzy. Dobyłem Rozpruwacza i położyłem ostrze na bladym obliczu, z którego wysączyła się na pył ulicy cienka strużka krwi. Nic. Żadne dusze nie uszły z tego ciała, to nie był przeklęty. Nieufne spojrzenia żołnierzy upomniały mnie, żebym jak najprędzej schował Rozpruwacza do pochwy.

Jeden podszedł do nas i podał nam dwa kubki rozwodnionego wina. Przyjęliśmy je z wdzięcznością i spłukaliśmy kurz i suchość w ustach.

Na miejsce dotarł już wózek czyściciela zwłok zaprzężony w osła. Na koźle siedział mężczyzna w kapeluszu z obwisłym rondem i palił fajkę... wyglądał, jakby w ogóle mu się nie spieszyło.

– Co teraz? – spytałem porucznika.

– Drugi Tenet zostanie tutaj, dopóki nie zjawi się Pertok albo jakiś inny inkwizytor, a Trzeci Tenet będzie kontynuował patrol – wyjaśnił tamten i ciekawie zmierzył mnie wzrokiem. W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie, dlaczego, tego nie wiedziałem. Prawdopodobnie to właśnie zawierały książki służbowe!

– Co z nami? – zapytałem. – Zmierzaliśmy do świątyni Soltara.

– Będziecie mogli odejść, gdy tylko pozwoli wam na to wysoki inkwizytor. – Omiótł nas wzrokiem, brudnych, zakrwawionych i pokrytych kurzem. – Mieliście sporo szczęścia – stwierdził. – To wystarczający powód, żeby pójść się pomodlić. Inkwizytor nie zatrzyma was długo. Tak myślę.

Czekaliśmy.

– Wszystko musiało odbyć się bardzo szybko – stwierdziła Serafine cicho, wycierając twarz z kurzu i otrzepując ubranie, które mocno ucierpiało. Mniej niż moje, to pewne. Gdybym miał na sobie swoją nową zbroję, zapewne wyszedłbym z tego bez jednego zadrapania. Może ta kupa żelastwa miała jednak swoje dobre strony. A może tylko zamieniłbym się w żółwia. – Musieli wiedzieć, jak wychodzimy z bramy cytadeli. Kiedy się upewnili, którą ulicą pójdziemy, włamali się do budynku, wymordowali mieszkańców i przygotowali zasadzkę. Dużo czasu nie mieli, a jednak świetnie to przeprowadzili. Ci kusznicy byli zbyt dobrzy, pierwsze dwa strzały powinny nas być wykończyć. – Spojrzała na mnie z namysłem. – Havaldzie, ja nie słyszałam żadnego ostrzeżenia.

Skinąłem głową.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. Kiedy zarżał koń, przypomniałem sobie, jak ktoś mnie ostrzegł, żebym się schylił, kiedy zarży koń. Tylko... nie pamiętam, kto to powiedział ani kiedy i gdzie. Tylko tyle, że to musiało być już dawno temu. Zastanawiam się, skąd on mógł to wiedzieć.

– Ten, którego nie pamiętasz? – spytała cicho.

Przytaknąłem.

– Najwyraźniej jest jeszcze wiele rzeczy, których nie wiem... albo które zapomniałem – stwierdziłem z goryczą. Rozejrzałem się, powiodłem wzrokiem po czystej, szerokiej ulicy z porządnymi kamienicami po obu stronach, zniszczonym budynku, który do niedawna był domem i schronieniem całej rodziny, i ludziach, którzy nadal się gapili albo byli przepytywani przez żołnierzy. Spokojna ulica chłodnym wiosennym wieczorem. Prawdopodobnie rodzina spożyła kolację, nie przeczuwając, że wkrótce stanie w halach Soltara.

– Nasłali już na nas nocne jastrzębie – powiedziałem ponuro. – Walczyliśmy też z przeklętymi łowcami dusz... ale w jednym miał rację! To wcale nie jest trudne. –

Westchnąłem. – Doprawdy, nie potrzeba magii ani ciemnych mocy, żeby nas zabić. Prawdopodobnie wystarczy jeden bełt w głowę!

W gruncie rzeczy ten zamach mną wstrząsnął. Zasadzka udała się idealnie, a ja wciąż widziałem bełt, który minął głowę Serafine, dosłownie muskając jej włosy. Na samo wspomnienie kurczył mi się żołądek.

– Przeżyłbyś? – spytała cicho.

– Nie wiem. Przypuszczam, że Rozpruwacz Dusz ma swoje ograniczenia. Taki strzał albo odrąbanie głowy... nie sądzę, żebym to przeżył. To nie jest tak, że ja *nie mogę* umrzeć. Kiedy wpadłem do Gazaru, to był koniec, wtedy *wiedziałem*, że umieram. Gdyby nie Natalya... – Dotknąłem Rozpruwacza, który zdawał się bardziej zadowolony niż zwykle. – On mnie uzdrawia, kiedy odbieram życie po zadanej mi ranie. Ale tylko wtedy.

– A jednak. Na „Śnieżnym Ptaku” też uleczyłeś się bez niego.

– Tak. Nie rozumiem tego, choć jestem za to wdzięczny. – Przejechałem dłonią po szczecinie na głowie. Pokładowy medyk zgolił mi włosy, żeby nastawić mi pękniętą czaszkę, a te jeszcze nie odrosły. – Tyle że to też nie było szybkie uzdrowienie. Rozpruwacz Dusz leczy czasem szybciej, niż powstają rany... na statku było inaczej.

Podniosła na mnie wzrok i spoważniała.

– Jest w tobie wiele dziwnych rzeczy, Havaldzie – stwierdziła. – Czasami aż przechodzą mnie ciarki, ogarnia prawdziwy lęk. A mimo to na całym świecie nie ma człowieka, któremu ufałabym bardziej niż tobie. – Uśmiechnęła się trochę krzywo. – Martwię się o ciebie, Havaldzie.

Popatrzyłem na nią. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nikt się o mnie nie martwił. Już od dawna. Ostatnią osobą, która się o mnie troskała, była moja młodsza siostra... i Natalya.

– Lepiej tego nie rób – odparłem chłodno. – Martwienie się o mnie prowadzi do przedwczesnej śmierci.

Tym razem obdarzyła mnie pełnym uśmiechem.

– Jestem starsza od ciebie, Havaldzie, i znam cię lepiej niż ty sam. Z tysiąca różnych powodów musisz wiedzieć, że na nic się zdaje mówienie mi, co powinnam robić, a czego nie. Sama podejmuję własne decyzje. – Zaśmiała się cicho. – Swoją decyzję podjęłam dawno temu, a bogowie są jej świadkami. Mam prawo się o ciebie martwić. – Wyciągnęła rękę i przejechała mi dłonią po zarosniętym policzku. Od Gasalabadu mój zarost potrzebował więcej niż jednego golenia na dzień. – To chyba jedyna rzecz, której nie możesz mi zabronić.

Porucznik podszedł do nas i chrząknął.

– Przybył inkwizytor i życzy sobie z wami rozmawiać. – Wskazał wzrokiem na rosłego mężczyznę, który właśnie pochylał się nad jednym z zamachowców.

Inkwizytor Pertok był szczupłym mężczyzną, wysokim, niewiele niższym ode mnie. Miał na sobie ciemną szatę o podobnym kroju jak szata Sowy, tyle że ta była czarna, zdobiona srebrem. U pasa nosił wąski mieczyk, taki jak Desina. Zapadła już noc i w cieniu jego kaptura widziałem zaledwie jego ciemne oczy, w których odbijał się blask pochodni. Zadziwił mnie podeszły wiek inkwizytora; choć wydawał się jeszcze rzutki, to dawałem mu więcej niż osiemdziesiąt lat. Iście błogosławiony wiek, jeśli nie trzymał się młodo za sprawą przeklętego miecza.

– Generał von Thurgau – oznajmił. – Helis z domu Orła. Słyszałem o was. Jestem inkwizytor Pertok, najwyższy oskarżyciel i sędzia Askiru. – Zmierzył nas starannie wzrokiem. – Poznalibyśmy się i tak, na moim biurku leży oskarżenie Rady Handlowej, w którym obciąża się was winą za upadek Wysp Ognistych, trzęsienie ziemi i powódź. I tuzin innych występków, które z tego wynikają. – Głos mężczyzny wyrażał to, kim był. Brzmiała w nim absolutna pewność siebie. Znał swoją wartość, wagę swych zdolności i swoją władzę, a to jedno zdanie przekazało nam to wszystko. Jego postura, ton, bezpośrednie spojrzenie... to domagało się respektu.

– To nie byliśmy my. Komendant również jest tego pewien – zaprotestowałem.

– Mimo to dojdzie do rozprawy – poinformował mnie inkwizytor. – Wstawiennictwo komendanta pomogło mi jedynie uzasadnić, dlaczego nie kazałem was aresztować od razu. Prawo cesarskie dopuszcza łaskę, ale nie dopuszcza wyjątków. – Ostrzeżenie było dobitne, tego mężczyzny nie interesowało, czy nosiłem na palcu cesarski pierścień. – Opowiedzcie własnymi słowami, co tu się stało i co myślicie. Nie pomijajcie niczego, najmniejszy drobiazg może mieć znaczenie.

Drobiazgowo zdaliśmy relację z tego, co się wydarzyło.

Słuchał w milczeniu i dopiero na koniec zadał jedno pytanie:

– Nikt nie wiedział, że chcieliście dziś udać się do świątyni Soltara?

– Nie – odparłem. – To była nagła decyzja.

– I jesteście pewni, że nikt was nie zdradził?

– Tak.

– A zatem obserwowano, jak opuszczacie cytadelę, i doraźnie przygotowano tę zasadzkę – stwierdził. – Kim byli ci mężczyźni?

– Przypuszczamy, że to żołnierze Thalaku. Jeden z nich dosiadał wiwerny, bestii, która została oswojona przez Thalak, jak gryfy przez elfy.

– Słyszałem o tym. Ale nie mają mundurów – zauważył. – Ani zbroi. A więc są szpiegami.

– Thalak wie, jak działać z ukrycia – poinformowałem inkwizytora, na co on uśmiechnął się nieznacznie.

– Czyli dobrze się składa, że wiem, jak odkrywać to, co ukryte, nieprawdaż?

Nie zatrzymywał nas dłużej, poinformował jedynie, że wie, gdzie nas znaleźć. To zabrzmiało jak ostrzeżenie.

– Sędzia, oskarżyciel i kat – powiedziała cicho Serafine, kiedy ruszyliśmy. Przez moment rozważałem, czy nie zawrócić, ale ona zdecydowanym krokiem skierowała się na plac Świątynny, a ja się dostosowałem. Po tym, co się przed chwilą stało, w świątyni nie mogło nas spotkać już nic gorszego. Wolałem tylko nie stawać przed moim bogiem tak obszarpany i pokrwawiony... ale on wiedział, jak do tego doszło.

– To sporo władzy i odpowiedzialności jak na jednego człowieka – myślała na głos. – Trzeba być silnym, żeby nie dać się im uwieść. Mój ojciec powtarzał, że władza prowadzi do nadużyć i nigdy nie powinna spoczywać na jednych barkach, musi być dzielona, żeby rozsądek zawsze mógł się sprzeciwić przynajmniej jednym głosem.

– A co z Askannonem? – spytałem. Choć już było ciemno, na ulicach nadal panował ruch, tu i tam łowiłem ciekawskie spojrzenia, gdy omiatało nas światło latarni, ukazując nasz stan.

– Askannon sam przyznawał, że dał się ponieść temu szaleństwu... – Uśmiechnęła się pod nosem. – Mówił o sobie, że jest opanowany manią wielkości i że istnieje jedna sztuczka, aby nie paść całkowicie jej ofiarą.

– A mówił może, jaka to sztuczka? – Podobno piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, ale ja miałem co do tego wątpliwości. Jeśli zastawili zasadzkę raz, to mogli i drugi, trzymałem więc dłoń na rękojeści Rozpruwacza i zachowywałem czujność. Nic się nie objawiło.

– Tak. – Uśmiechnęła się w ciemności. – Mówił, że wie dzie kilka żyć. Jako świątynny skryba tutaj na placu, jako uczyony w akademii i jako szewc, który zarabia na życie niewielkim straganem na targu. Tylko tak można zrozumieć, co porusza ludzi, co ich dotyka, czyni szczęśliwymi lub niezadowolonymi. Władza, powtarzał, jest zobowiązana do pokoju i nigdy nie może służyć niczemu innemu. – Zaśmiała się cicho. – Jako dziecko podsłuchałam kiedyś rozmowę między nim i moim ojcem, w której cesarz skarżył się, że jest niewolnikiem samego siebie. Że prawdziwy tyran i despota miałby łatwiej, a on jest skażony przekleństwem sumienia, które uciska go mocniej, niż mógłby czynić ktokolwiek inny.

To przemawiało na jego korzyść. Wróciłem myślami do mojej ojczyzny. Eleonora była wspaniałą królową, ale nie każda koronowana głowa zachowywała się tak jak ona. Jej pradziadek był porywczym sukinsynem, który rządził twardą ręką, a nie rozumem. O ile dobrze pamiętałem, w samą porę spadł ze schodów i złamał sobie

kark. Szemrania ulicy były już słyszalne na tyle, że należało obawiać się powstania. Jak często w takich przypadkach nie byłem pewien, czy to rzeczywiście był wypadek. Jego ojciec, który panował przed nim, nie był lepszy, ale inny; ulegał wszystkim naciskom, jakim go poddawano, i doprowadził kraj na skraj ruiny. Był też taki władca, który zwariował, nosił kobiece szaty, a nocami snuł się po zamku i recytował wiersze, inny z kolei całkowicie poświęcił się książkom, i jeszcze jeden, który chciał tylko rozbudowywać i poźlacać swoje zamki oraz pałace. Od czasu do czasu zdarzali się i tacy, którzy byli dość rozsądni, by utrzymać i odnowić królestwo.

Cokolwiek złego uczyniła ta dynastia, wydała też Eleonorę, która niewątpliwie przejdzie do historii jako największa z władczyń.

Teraz koronę Illianu miała nosić Leandra. Jeśli zdołalibyśmy uratować nasz kraj, okaże się, czy będzie dobrą królową. Ja w każdym razie byłem o tym przekonany. Zaproponowała mi koronę u swego boku. Wolałem męczyć się ze wszystkimi mocami ciemności, niż wziąć na siebie to brzemień.

– Czy twój ojciec dobrze go znał? – spytałem. – Cesarza, znaczy się.

Skinęła głową.

– Byli przyjaciółmi. Cesarz interesował się mną, wypytywał, co u mnie, i przynosił prezenty...

– A więc to tak – przerwałem. – Po prostu owinęłaś go sobie wokół palca.

– To prawda! – zachichotała. – Podstępny talent, który mała dziewczynka dostała w darze od bogów i potrafiła sprytnie wykorzystać.

– Nie wątpię. Jakie prezenty przynosi dziecku cesarz?

– Słodkości z targu, kucyka, zwój jedwabiu z Xiang, sztylet, który sam dla mnie wykuł, i perły z okazji naszego ślubu. I opowieści. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Opowiadał mi o dalekich krajach, o bogach i bohaterach, którzy zawsze pojawiali się, gdy to było konieczne. Mówił, że to małe bohaterskie czyny zmieniają bieg historii, a te wielkie potrzebne są tylko wtedy, gdy zabraknie małych. Nieprawość zaczyna się od drobnych rzeczy, opowiadał, które łatwo zwalczyć. Trzeba ją wyplenić od małego, zanim się rozrośnie niczym chwast. – Zatrzymała się. – Myślę, że tamten człowiek miał swoje wady, ale jako dziecko go ubóstwiałam. Jedno wiem na pewno: że ustanawiał prawa i sam się ich ściśle trzymał, bez żadnych wyjątków, to czyniło go wielkim człowiekiem, a nie magia. Nie jego potęga, lecz jego sprawiedliwość. – Położyła mi rękę na ramieniu. – Havaldzie, nie mogę uwierzyć, że przebywa u Soltara, i wiem, że uczestniczył w tym konflikcie. Niczym nie brzydził się tak bardzo jak łowcami dusz, i nie mieści mi się w głowie, że wyruszamy do walki z cesarzem nekromantą bez Askannona u naszego boku.

– Pobożne życzenia – odparłem. – Można by sądzić, że było już wystarczająco dużo sposobności, by mógł wkroczyć.

– Coś się stało, co obaliło jego plany – wysunęła przypuszczenie. – I myślę, że to ma coś wspólnego z tym, że Balthasar, Asela i Feltor dostali się we władanie cesarza nekromanty. Jestem pewna, że tak było, bo tylko to tłumaczy, co się stało. Desina mówi, że chce poszukać wskazówek w archiwach wieży, ale żeby to uczynić, musi osiągnąć następny stopień mistrzostwa. A wątpi, by zdołała to zrobić. To jest, zdaje się, jakiś rodzaj próby, którą musi zdać, tylko nie wie jak.

– Mówiła, o co chodzi? – spytałem.

Plac był, jak w Besarajnie, wielki, obszerny, ze świątyniami trzech bogów na rogach. Stała tu i czwarta świątynia, ciemna i opuszczona, i o ile widziałem z daleka, zamurowana, z wyjątkiem sporej bramy. Była skromniejsza i mniejsza od wystawnych domów innych bogów i wydała mi się starsza.

– Nie.

– Zapytaj przy okazji. Dobrze znałaś Balthasara i inne Sowy, więc może wiesz coś, co mogłoby jej pomóc zdać próbę.

– Raczej nie będę umiała pomóc Sowie – skwitowała.

– Kto wie? – Wskazałem ręką na ciemną świątynię. – Wiesz, kogo tutaj czczono?

Podążyła wzrokiem za moim gestem i zmarszczyła czoło.

– Chyba samego boga ojca. Nie jestem pewna, bo świątynia już za moich czasów była zamurowana. Zdaje się, że polecił swoim kapłanom wspierać innych bogów i im służyć. Powiedział, że nadeszła era jego dzieci, jego czas minął i że powróci, kiedy nadejdzie pora.

– Domyślam się, że nie określił, kiedy to będzie?

– Zgadza się – odparła ze śmiechem. – Spodziewałeś się czegoś innego?

W końcu dotarliśmy do świątyni Soltara. Był to wystawny budynek z wysokimi kolumnami, szerokimi schodami i aż trzema wielkimi bramami z bogato zdobionego brązu, które stały otworem. Za nimi dostrzegłem dużą, słabo oświetloną nocnymi lampami halę. Dobiegł nas miarowy śpiew dobywający się z wielu gardeł. Za niesionym na katafalku zmarłym szedł żałobny kondukt. Na schodach świętych stało aż trzech pogrążonych w rozmowie kapłanów i jeden adept, jakiś akolita zamiatał schody, inny rozdawał biednym wodę i chleb oraz błogosławieństwo. Chleb i woda to nie był obfity posiłek, ale wystarczał do przeżycia. Były czasy, gdy za świeży bochenek chleba gotów byłbym zamordować.

Soltar był bogiem światła, który zawładnął i nocą. Jego obietnicą daną ludzkości było to, że po najgłębszej ciemności zawsze nastanie jasny dzień, a po najgorszym zwątpieniu nadzieja.

Ile było prawdy w tych opowieściach o bogach?

Kiedyś naprawdę istniał bóg ciemności, Omagor, wiedziałem to od Zokory. Zanim jeszcze nastali ludzie, został pokonany przez bogów światła. Astarte, dająca ludziom przebaczenie, miłość i harmonię, uczestniczyła w tej walce i ofiarowała w nagrodę mrocznym elfom, które za nią podążyły, część siebie, która sprawiała na mnie wrażenie twardej i okrutnej, a jednak bardziej sprawiedliwej niż poprzedzająca ją ciemność.

W Besarajnie Serafine pokazała mi kiedyś miejsce, gdzie czczono boga światła, kiedy władał jeszcze wyłącznie dniem. Zanim bóg przyniósł ludziom ogień i światło, noc była czasem strachu i grozy, kiedy to obawiano się, że jeśli dusza umrze w ciemności, ulegnie zatraceniu.

Stałem przed schodami i myślałem o tym, co bóg ojciec sam podarował ludziom – nadzieję, najsilniejszą moc, która może pokonać wszystko.

Dlaczego właściwie Soltar był czczony jako bóg śmierci? Czy nie powinien nadal być bogiem nadziei i światła? Może powinienem o to zapytać.

– Nie chcesz zrobić następnego kroku? – odezwała się Serafine z rozbawieniem. – Podnieś stopę i już będziesz na schodach, a reszta pójdzie sama.

– Właśnie to zamierzam zrobić – oświadczyłem i wykonałem pierwszy krok.

Nie trafił mnie grom, nie rozdzwoniły się świątynne dzwony, tylko świątynny uczeń pospieszył do nas z miotłą, żeby zatrzymać nas na schodach.

– Łaska bogów i błogosławieństwo Soltara niech będą z wami – wyrecytował bez tchu, zagradzając nam drogę i dzierżąc w ręku miotłę, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. Był tak drobny, że mógłbym go wynieść jedną ręką, ale sposób, w jaki się przede mną ustawił, mówił mi, że nie dałbym rady go nawet ruszyć. – To na razie wszystko, co otrzymacie – obwieścił i zmierzył, szczególnie mnie, gniewnym spojrzeniem. – Moglibyście okazać naszemu bogu trochę więcej szacunku, nie godzi się stawać przed jego obliczem ze świeżo przelaną krwią na brudnym ubraniu.

– Zostaliśmy napadnięci, akolito Soltara – oświeciła go uprzejmie Serafine. – Naprawdę sądzicie, że bóg nie chce, abyśmy tak przed nim stanęli? Czyż nie widzi nas w każdym położeniu?

– Owszem, sera – skinął głową młodzieniec. – Ale ta świątynia jest jego domem na ziemi i należy ten dom szanować.

– Możemy sobie pójść – zaproponowałem, za co Serafine zgromiła mnie wzrokiem.

– Nie tak to należy rozumieć – zmitygował się młody kapłan. – Nie zamierzałem odcinać wam drogi do naszego pana, nie chciałem tylko, żebyście wkroczyli na nią *tak!* – Wskazał miotłą w bok, gdzie wysoki mur okalał świątynne ogrody. – Chodźcie za mną, bardzo proszę!

Zaprowadził nas przez furtkę w murze do ogrodu, a potem do niskiego budynku, gdzie znajdowała się pompa i zlew.

– Tutaj możecie się umyć – poinformował. Potem zmierzył mnie taksująco wzrokiem. – Mogę też załatwić wam szatę, która nie byłaby tak zakrwawiona... – Oddalił się pospiesznie.

– Hm – mruknęła Serafine, odprowadzając go spojrzeniem. – Uczynny człowiek. – Zwróciła się do mnie i uśmiechnęła nieznacznie: – Oboje wyglądamy na trochę poturbowanych, ale rozumiem go, po tobie widać, że masz za sobą walkę.

– Mogliśmy przebrać się w cytadeli – przypomniałem jej i zdjęłem koszulę, żeby umyć tułów. Oboje mieli rację, byłem naprawdę brudny i powalany krwią.

– Tylko że wtedy nie zdołałabym cię już nakłonić do pójścia do świątyni – powiedziała i zaczęła się myć. Miała szczęście, krew na niej była moja i niezbyt widoczna.

Młody kapłan wrócił z luźną, ciemną, pozbawioną wszelkich ozdób tuniką, prostą, ale czystą. Skinął z zadowoleniem głową, wkładając ją na mnie.

– Tylko pamiętajcie, żeby oddać broń, i już będziecie mile widziani – uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. – Wybaczcie – dorzucił i podniósł miotłę. – Mam coś do zrobienia.

Kiedy tym razem wchodziliśmy po stopniach świątyni, młody kapłan tylko podniósł na nas wzrok i skinął przyjaźnie głową, za to na górze, tuż przed wejściem do głównej hali, stało dwóch mężczyzn, wyraźnie szukających czegoś w tłumie. Wkraczając do środka, usłyszałem, jak jeden mówił do drugiego:

– ...jest duży i nosi ubranie ze swojego kraju, podobno zakrwawione i brudne. Kobieta ma czarne włosy, piękność z Besarajnu. Powinno być ich łatwo rozpoznać... pamiętajcie, nie możemy stracić ich z oczu.

Powodzenia, przyjacielu, pomyślałem ponuro. Popatrzyłem na Serafine, która miała na sobie szatę uszytą zgodnie z tutejszą modą, włosy związane w węzeł, była piękna, a jej złocista, oliwkowa cera wyraźnie zdradzała pochodzenie, lecz w świetle pochodni i w mroku nie rzucała się zbyt w oczy.

– Coś nie tak? – spytała. Pokręciłem głową.

– Później – odparłem szeptem, w chwili, gdy podszedł do nas inny kapłan.

– Nie możecie iść dalej z bronią – rzucił opryskliwie. – Dajcie mi ją, otrzymacie wasze mordercze narzędzia z powrotem przy wyjściu.

Rzuciłem spojrzenie za siebie, odległość była wystarczająca, by mężczyźni przy bramie nie mogli nas słyszeć.

– W takim razie zaczekamy tutaj – oznajmiłem. – Ktoś z tej świątyni chciał ze mną rozmawiać. Przyszedłem zapytać, co to za sprawa.

– Powiedzcie mi, kim jesteście – zażądał kapłan gburowato. – Zapytam, czy wasze słowa są zgodne z prawdą.

– Roderic von Thurgau.

– Zaczekajcie tutaj – rzucił. – Nie wchodźcie do hali z bronią.

– Widzisz – powiedziałem do Serafine. – Inni ludzie mogą sobie wchodzić do świątyni i nic się nie dzieje, podczas gdy ze mną zawsze coś jest... choćby to, że przy wejściu czekają na nas dwaj mężczyźni.

Obejrzała się za siebie, ale nie było ich widać. Za to Rozpruwacz wyraźnie ich dostrzegął. Streściłem jej krótko zasłyszana rozmowę, a ona pokiwała powoli głową.

– Nie muszą szukać akurat nas – powiedziała mało przekonująco.

– Jasne. Chodzą tu tuziny dużych mężczyzn w zakrwawionym ubraniu. Nie musi też nic oznaczać, że czekają przed bramą, a nie tu. Albo że Rozpruwacz ukazuje mi ich schowanych w cieniu.

Jej spojrzenie potwierdziło, że ma takie same wątpliwości.

– W takim razie powinniśmy sobie z nimi porozmawiać – zaproponowała i obnażyła zęby.

– Później – odpowiedziałem uśmiechem. – Dopiero co zmyłem z siebie krew tamtych, nie potrzebuję nowych plam na ubraniu!

Poza tym bolały mnie rany i nie miałem ochoty zarobić nowych.

Kapłan wrócił. Wyglądał na mało zachwyconego.

– Najwyższy kapłan oczekuje was, zaprowadzę was do niego. Możecie zatrzymać miecz. Kobieta zostaje tutaj.

Zrobił krok i kolejny i zorientował się, że nie idę za nim.

– Powiedziałem, że najwyższy kapłan czeka na was.

– Słyszałem.

– A więc?

– Czekam, aż moja towarzyszka również dostanie zaproszenie.

– O tym kapłan nie mówił.

– To zapytajcie – podsunąłem. Mężczyzna popatrzył na mnie, jakby miał na końcu języka jakieś ostre słowo, a potem obrócił się na pięcie i odszedł.

– Havaldzie – powiedziała cicho Serafine. – Mogę tu poczekać, nie widzę problemu.

– Ale ja widzę – odparłem i rozejrzałem się po bogatym wnętrzu. Przez otwarte drzwi do hali widziałem w oddali posąg mego boga. Wydało mi się, że spogląda na nas spod swego naciągniętego na twarz kaptura. Po raz pierwszy rzuciło mi się w oczy, że nosił swoją szatę tak samo jak Sowa.

Poza najwyższymi kapłanami, którzy ceremonialnie raz do roku zmieniali bogu szatę, kiedy była już zbyt zniszczona, nikt nie wiedział, jak wygląda Soltar. Może stał

tu z zamkniętymi oczami.

Kapłan wrócił.

– Najwyższy kapłan prosi was do siebie wraz z waszą towarzyszką. Jeśli się zgodzicie i nie macie żadnych innych obiekcji.

Wydało mi się, że zgrzytał zębami. Może i był sługą mojego boga, ale i tak go nie cierpialem.

Poprowadził nas obok posągu boga i dalej w głąb świątyni, by otworzyć dobrze ukryte w ścianie drzwi. Za nimi ciągnął się długi korytarz, zakończony kolejnymi drzwiami, które rozwarł i zamknął, kiedy przeszliśmy.

Odziany w bogato wyszywaną szatę mężczyzna, który wstał zza okazałego biurka, był stary, niewysoki i drobny. Miał błyszczące chytrze, uważne oczy.

– Nazywam się Jon – przedstawił się. – Usiądźcie. – Wskazał na obite miękko krzesła, stojące przed biurkiem.

Pokój dorównywał przepychem cesarskim komnatom. Gdzie nie spojrzałem, widziałem złoto, klejnoty, czarny heban i ciemny jedwab. Krzesło, które zaskrzypiało pod moim ciężarem, było udekorowane aż do przesady, pokryte, gdzie się dało, złotem i złotymi intarsjami. Błyszczało niczym tron władcy – a służyło tylko jako krzesło dla gości. Prawdziwy tron stał za biurkiem, wystarczająco wielkim, by ustawić na nim figurki do rozgrywania całych bitew.

– Posłaliście po mnie? – odezwałem się.

Uśmiechnął się w sposób, którego nie mogłem wziąć na poważnie, i złożył ręce.

– Nie całkiem – odparł. – Jeden z naszych adeptów był nadgorliwy i postąpił nieco na wyrost w stosunku do swej pozycji i rozsądku. Mimo to dobrze, że jesteście.

– A więc nie życzycie sobie ze mną rozmawiać? – upewniłem się.

Jego uśmiech był zbyt rutynowy. Nie podobało mi się też, że ignorował Serafine.

– Tego nie powiedziałem. Tylko to, że to nie ja was tu zaprosiłem. Ale skoro już jesteście... Nositcie przy sobie coś, co należy do świątyni.

– Jest poświęcony Soltarowi, to prawda. Ale został mi przekazany przez kapłana boga.

– Nie miał do tego prawa. Ten miecz zgodnie z naszą wiarą został utracony wieki temu. Tak samo długo szukaliśmy tej broni. Jest zbyt potężna dla śmiertelnika, a najbezpieczniejsze miejsce dla tego ostrza jest u nas, gdzie długo go strzeżliśmy, zanim zaginęła. Wydajcie mi tę broń. Wówczas będziecie mogli odejść ze świadomością, że wyrównaliście pradawną niesprawiedliwość. I dostaniecie błogosławieństwo.

Zamrugalem.

– Nie chcecie rozmowy ze mną, tylko tego miecza? – powtórzyłem z niedowierzaniem, żeby upewnić się, że dobrze go zrozumiałem.

– Tak właśnie jest, mój synu – odparł uprzejmie. – Nie jest przeznaczony dla was. Zagraża waszej duszy. Mam nadzieję, że nie jest zbyt długo w waszym posiadaniu.

Jeszcze niedawno bez wahania wcisnąłbym mu Rozpruwacza do ręki, ale teraz widziałem to inaczej. Każde włókno mego ciała wzbraniało się przed tym.

– Został mi powierzony.

– To jest główna świątynia naszej wiary, wszystkie inne jej podlegają – poinformował kapłan i tym razem zrezygnował z uprzejmego tonu. Ten człowiek nie nawykł do sprzeciwu. – Ktokolwiek to zrobił, nie miał prawa przekazywać broni bez naszej zgody. Zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

W to wątpiłem. Ojciec Urios od wieków spoczywał u Soltara.

– To jest relikwia naszej wiary i nie należy się wam – powtórzył, wstał i wyciągnął rękę. – Jestem pod tym niebem najwyższym kapłanem naszego boga, chcecie odmówić mi tego, co stanowi jego własność?

Rzuciłem spojrzenie na Serafine, lecz z jej strony nie mogłem oczekiwać pomocy. Wyglądała na tak samo zaskoczoną jak ja. Rozpruwacz był poświęcony Soltarowi, jego pochwa nosiła symbol boga i został mi przekazany przez jednego z jego kapłanów. Czułem, że to niewłaściwe, a jednak nie mogłem odmówić oddania najwyższemu przedstawicielowi boga na dysku świata tego, co do niego należało.

W milczeniu chwyciłem za pas, odpiąłem Rozpruwacza i położyłem go przed mężczyzną na stole.

– Dziękuję – powiedział tamten i sięgnął po miecz. – Możecie odejść.

Wstałem i już miałem się odwrócić, gdy kapłan chciał podnieść broń – i nie udało mu się to.

W Gasalabadzie inny kapłan mego wyznania mógł wziąć go do ręki i nic się nie stało, lecz przed tym człowiekiem miecz się wzbraniał.

– Co zrobiliście? – oburzył się Jon. – Cóż to za czary? Ostrze jest ciężkie jak tysiąc kamieni!

Podszedłem do biurka, wziąłem Rozpruwacza i wyminąłem kapłana, kiedy wyciągnął do mnie rękę po miecz.

– Co robicie?

– Zabieram go z powrotem – rzekłem. – Najwyraźniej nie jest przeznaczony dla was.

– Więc tym bardziej nie dla was! Ten miecz jest przekazywany wyłącznie przez samego Soltara! – grzmiał. – Nie opuście świątyni z tym mieczem, prędzej będziecie musieli mnie zabić!

Położyłem dłoń na rękojeści. Serafine nieznacznie pokręciła głową. Ale tym razem nie chciałem być rozsądny.

– Was i każdego innego, jeśli to będzie konieczne – obwieściłem. – Jeśli go strzeżliście, to wiecie, co to za miecz. Nie zmuszajcie mnie do tego.

– Grozicie mi? – zdumiał się skonsternowany Jon. – Ten miecz może należeć tylko do jednego i przyjmowany jest z ręki samego boga. Nikt inny nie może go nosić! Spójrzcie na siebie! Mówicie, że jesteście gotowi zabić kapłana waszego boga. I co, wasza dusza nie jest zagrożona?

Nachyliłem się, aż znalazłem się twarzą bardzo blisko niego. Nie cofnął się, tylko gromił mnie wzrokiem, pełen butnego oburzenia.

– A co, jeśli wam powiem, że dostałem miecz z ręki boga? I to nie raz, a trzykrotnie? Nie zdołacie go ruszyć, on znajdzie drogę do mnie po raz czwarty.

– Odpowiem, że to jest niemożliwe!

– A dlaczego? – spytałem niebezpiecznie cicho. Czułem, jak pękają we mnie tamy. Wszystko, co skrywałem w sobie z takim trudem, wydostało się na zewnątrz, rozpalając gniew tak silny jak rzadko wcześniej. To był zły moment, żeby oczekiwać ode mnie cierpliwego i pobożnego rozsądku. Ufałem Rozpruwaczowi bardziej niż temu człowiekowi, nieważne, jakie nosił szaty.

– Bo istnieje tylko jeden, którego przeznaczeniem jest walczyć tym mieczem! To nikt inny jak Anioł Soltara, który zostanie wysłany, by zakończyć niezgodę między bogami! – wykrzyknął rozjuszony kapłan i wycelował we mnie drżący palec. – Wy raczej nie jesteście tym, który ściągnie na nas powódź, zarazę i trzęsienie ziemi, zniszczy porządek świata i zechce zabić boga! Czarna zaraza Bezimiennego jest wystarczająco przeklęta, lecz nikt nie jest tak przeklęty jak ten, którego ześle Soltar, gdyż jego anioł będzie nosił imię, które samo w sobie jest przekleństwem!

– O bogowie – wyszeptała ledwie słyszalnie Serafine, wypowiadając to, co sam pomyślałem.

– Chcecie tego? – zapienił się kapłan, dźgając mnie kościstym palcem w pierś. – Chcecie być tym, kto stanie ostatni w morzu krwi i podniesie to żelazo na wroga, który nie może być pokonany? Chcecie rzucić legion martwych na ostatni bój? Zjednoczyć pod swym sztandarem zagubionych i postawić się ciemności i samemu bogu? Chcecie być tym aniołem?

Przez chwilę stałem jak ogłuszony z jedną dziwną myślą w głowie: że powinienem poprosić esserę Falah o przebaczenie. Wyglądało na to, że miała rację. Nie chodziło o to, że z nieba zstąpi po złotej drabinie anioł, wystarczyło, że ktoś służył Soltarowi i był na tyle głupi, by nosić pewien szczególny miecz.

– A zastanawialiście się już, bracie Jonie, czy ten, kto ma otrzymać ten miecz, ma jakiś wybór? – zapytałem, czując, jak ogarnia mnie dziwny spokój, który był tym bardziej zaskakujący po fali gniewu.

– Soltar zawsze zostawia nam wybór – powiedział Jon. On też się trochę uspokoił i patrzył na mnie badawczo. Tak, mogłem wybrać, ale mogłem wybrać tylko jedno.

– Domyślam się, że chodzi o jakieś proroctwo – ciągnąłem. – O czym ono mówi?

– O bitwie między bogami. O bogu, który ma zostać zabity, a jednak pozostaje niepokonany. O bitwie, która przykryje śmiercią cały nasz świat, o walce samych bogów. I o tym, że na koniec ten, który ma zadać bogu ostateczny cios, zawiedzie i sam skończy na tym ostrzu.

Nie to chciałem usłyszeć.

– Co się stanie, jeśli ten anioł boga się nie objawi?

– Świat będzie zgubiony.

– Będzie zgubiony i wtedy, gdy anioł nadejdzie. Sami mówiliście.

– Nie całkiem. Bo kiedy anioł umrze, pozostanie nadzieja. – Kapłan mówił coraz ciszej i opadł na swoje krzesło, skąd śledził mnie zmęczonym i nieufnym wzrokiem. – Byłby zgubiony, gdyby nie doszło do ostatecznej bitwy.

– Którą anioł przegra.

– Tak – potwierdził Jon, pocierając skronie. – To jest zagadka. Próbuje ją zgłębić, odkąd po raz pierwszy usłyszeliśmy słowo boga. Ta ostatnia bitwa jest konieczna, żeby przetrwała nadzieja. Bez tej bitwy nie będzie już nadziei. To nie ma sensu. Bo anioł nie zdoła zabić boga, tylko jedna osoba będzie zdolna to zrobić, Córka Smoka.

Wiedziałem, że jest ktoś, kto bardzo się bał Córki Smoka.

Kapłan przyglądał się mieczowi, który nadal trzymałem w ręku.

– Czy... czy już go używaliście? – spytał cicho.

– Tak.

– Często?

– Zbyt często.

Wziął głęboki wdech.

– Czy zabiliście nim kogoś, kto na to nie zasłużył?

Zawahałem się.

– Nie mam pewności. W walce... kto zasługuje na śmierć, a kto nie?

Pokręcił głową.

– Nie to mam na myśli. To musi być szczególna śmierć, która jest wstępem do ostatniej bitwy. Sądzicie, że zauważylibyście, gdybyście zabili kogoś niewinnego? Może dziecko?

– Nie – zaprotestowałem z przerażeniem. – Wiele w życiu zrobiłem, ale nigdy nie zabiłem dziecka!

– Więc nie jest za późno – orzekł Jon i westchnął z ulgą. – Potrzeba czystej duszy, niewinnej w oczach bogów, i musi to być największy ze wszystkich haniebnych czynów, gdyż musielibyście zabić tym ostrzem kogoś, kto was kocha. Chyba nie może to być nic innego jak zabójstwo dziecka. I jesteście pewni...

– Tak – przerwałem obcesowo. – Jestem pewien, że nigdy nie zabiłem niewinnego dziecka. W całym swoim życiu nigdy nie skrzywdziłem dziecka i nigdy tego nie zrobię!

– W takim razie dajcie mi miecz. Wezmę go na przechowanie, podobnie jak wszyscy, którzy przyjdą po mnie. I módlmy się, żeby anioł jeszcze się nie narodził i by upłynęło jeszcze dużo czasu, zanim zażąda tej broni.

Zważyłem w dłoni Rozpruwacza.

– Jak jednoznaczne są słowa boga? Proroctwa nie zawsze są łatwe do odczytania, jak już się niestety przekonałem.

Kapłan długo wpatrywał się we mnie badawczo, w końcu wstał.

– Chodźcie za mną.

Serafine i ja wymieniliśmy spojrzenia. Była tak blada jak pewnie i ja. Poszliśmy za Jonem. Powiódł nas z powrotem przez halę, obok posągu boga, ku dużemu ołtarzowi, ozdobionemu złożonymi ofiarami. W świątyni byli inni kapłani i wierni. Początkowo tylko popatrywali ciekawie, lecz kiedy kapłan gestem nakazał nam pójść za nim za ołtarz, usłyszałem pomruk kapłanów, którzy biegiem ruszyli w naszą stronę. Wśród nich był kapłan, który nas powitał. Zagroził nam drogę.

– Nie możecie! – zaprotestował, ale najwyższy kapłan uniósł rękę.

– O tym decyduję ja. Odejdź. Jeszcze nie pora, żebyś to ty podejmował decyzje!

Mężczyzna wycofał się z wyraźną niechęcią i stanął sztywno, kiedy podążyliśmy za najwyższym kapłanem ku schodom, schodzącym za ołtarzem w dół.

Weszliśmy w długi korytarz, prowadzący do okrągłego pomieszczenia. Pośrodku znajdował się okrągły podest, na którym w złotym relikwiarzu połyskiwała świetlna kula, zdająca lekko się poruszać. Była tak jasna, że oślepiła. Zasłoniłem dłonią oczy i spojrzałem w górę. Powyżej, nad bogato zdobionym sklepieniem musiał stać wizerunek boga. Znaleźliśmy się w najświętszym miejscu świątyni.

– To – wyszeptał najwyższy kapłan nabożnie – jest księga naszego boga. We wszystkich innych świątyniach znajdują się tylko kopie, tutaj są jego prawdziwe słowa.

– Nie wygląda jak księga – zauważyła Serafine, ale bez powątpiewania w głosie; ona też wobec tej unoszącej się w powietrzu ognistej kuli była przepełniona pobożną atencją.

To było więcej niż widok, to było uczucie zdziwienia, boskiej bliskości, jakby się wyczuwało bicie jakiegoś odległego serca, a niewielkie pomieszczenie miało rozmiary, które w niewidoczny sposób odbijały się na zmysłach, jakby tuż obok, a tej świetlnej kuli otwierał się świat, który nie był naszym światem. To naprawdę musiała być brama do hal Soltara.

Nie panowała tu cisza, powietrze wypełniał pomruk tysiąca głosów i można było niemal odnieść wrażenie, że rozumie się, co mówią. Wszystko to zmusiło mnie, abym padł na kolana i z szacunkiem pochylił głowę.

– To nie księża, moje dziecko – wyszeptał kapłan. – To wola naszego boga, która zyskała formę. Kogo ten ogień nie sparzy, ten może sięgnąć do serca światła, a wtedy zostanie mu objawione przesłanie boga.

– Służę Astarte – powiedziała Serafine bez tchu – lecz czuję się zaszczycona. – Ona również uklękła i pochyliła głowę. Podniosłem wzrok na Jona, który przyglądał mi się z namysłem. Jasne światło jakby zupełnie go nie oślepiało.

– Sięgnijcie do środka kuli – nakazał. – To próba. Jeśli jej nie zdacie, wasza dłoń zamieni się w popiół. Jeśli przetrwacie próbę, objawi się wam dzieło boga.

Nie chciałem sięgać w te płomienie, których gorąco piekło mnie w policzki, choć klęczałem dobry krok od nich. Jednak chciałem mieć pewność, chciałem wiedzieć, czy miałem powody do obaw. Wyciągnąłem rękę.

Płomienie były ciepłe, ale nie parzyły. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, może tego, że zobaczę samego boga. Ale tak się nie stało. Usłyszałem tylko głos. Był cichy i wydał mi się znajomy, jakbym już go kiedyś słyszał. Lecz każde słowo miało ciężar tysiąca światów i sprawiło, że w środku zadrzałem.

– ...na koniec nadejdzie ten, którego wybrałem na mego anioła, aby niósł miecz światła w zbrojne szeregi wroga. Pójdzie za nim legion zmarłych, a u jego bogu bogowie i nadzieja. Rozpoznają go po przekleństwie, które nosi jako imię, i po tym, że umarł po tysiackroć, a jego znakiem jest noc, którą można znaleźć w jego oczach. Śmierć jest jego towarzyszką, a kiedy nadejdzie, zadrży ziemia, fale pochłoną ludzi, a za jego krokami podąży zaraza. Pod swym sztandarem zbierze tych, którzy za niego umarli, na ostatnią bitwę. Tylko on jeden przetrwa przed bogiem, lecz nie zdoła go zabić. On sam dokona żywota na mym ostrzu i tak poniesie w świat nadzieję. Znakiem jego nadejścia jest czysta dusza, która będzie go kochać i zginie na mym ostrzu. Jego tarczą jest nadzieja, nie więcej, ale i nie mniej. Będzie ona przyświecać tym, których kocha, i każdemu, kto poszedł za nim na śmierć.

Głos zdawał się odbijać echem nieskończenie długo. Drżałem, kiedy wyjąłem dłoń z płonącej kuli.

– Śmiem twierdzić, Rodericu von Thurgau, że jego słowa są jednoznaczne – wyszeptał kapłan. – Wystarczająco jasne, nawet jeśli są w nich pasaże, których nie rozumiemy. – W odblasku boskiego światła jego oczy zdawały się płonąć ogniem. – Czy jesteście tym, o którym On mówi?

Przełknąłem ślinę i chrząknąłem.

– Tak – powiedziałem chrapliwie. – Na to wygląda.

Serafine wydała z siebie zduszony okrzyk. Po jej twarzy spływały łzy, połyskujące w świetle niczym ślady gwiazd.

Kapłan w milczeniu poprowadził nas z powrotem do swojego gabinetu i zamknął drzwi, po czym oparł się o nie i patrzył na nas z wyrazem zmartwienia i rozpacz na twarzy.

– Mam prawie pięćdziesiąt lat – wyszeptał. – Nie zostało mi już wiele życia. Modliłem się o to, by nie dożyć tej chwili.

– Spytajcie o to mnie – odezwałem się z goryczą. – Kiedy go przyjąłem, nie wiedziałem, co będzie moim przeznaczeniem. Próbowałem go unikać, ale się nie da.

– O, owszem – zaprzeczył kapłan i zmęczonym krokiem podszedł do małej szafki po lewej stronie. Otworzył ją i wyjął trzy bogato zdobione kubki oraz butelkę. – Dałoby się, gdybyście umarli, zanim będziecie mogli stanąć do walki z tym mrocznym bogiem. Jeśli bowiem nim jesteście, prawdziwie jesteście tym, który walczy jego mieczem, to wcale nie znaczy, że jesteście nieśmiertelni albo niepokonani. Miecz może wam pomóc, ale on sam nie wystarczy. Sami nie przetrwacie, potrzebujecie u swego boku innych. Wszyscy oni zginą, aż zostanieie tylko wy. Potrzeba tej ofiary, żeby nadzieja mogła żyć dalej.

– To niesprawiedliwe – wyszeptała Serafine. – To nie jest ani trochę sprawiedliwe. – Spojrzała na mnie. Wciąż miała wilgotne oczy i po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, z trudem nad sobą panowała. – Obiecałeś mi, że wszystko będzie dobrze! Obiecałeś, Jerbil!

– Są rzeczy, których człowiek nie może obiecać, moje dziecko – powiedział Jon i podał nam kubki.

– Nie rozumiecie – wzburzyła się Serafine. – On zdołał wezwać mnie z powrotem po mojej śmierci. On pokonał śmierć! Jeśli coś obieca, to tego dotrzymuje, i nawet sami bogowie nie mogą mu w tym przeszkodzić!

– Tylko Soltar jest panem życia i śmierci – upomniał ją kapłan. – Nie wiem, o czym mówicie, ale nawet jeśli on jest tym aniołem, to jest tylko sługą, nie panem.

– Obiecałeś! – powtórzyła, zwracając się teraz do mnie i wyciągając do mnie rękę. – Obiecałeś, kiedy ogień umarł i nadeszło zimno. A ty zawsze dotrzymujesz słowa!

Ująłem jej dłonie. Drżała. Przyciągnąłem ją do siebie.

Jedno wiedziałem na pewno: Jerbil Konai każde dane słowo traktował poważnie. Jak daleko sięgała wola człowieka? Czy była silna na tyle, by sprzeciwić się samym bogom? Przynajmniej nie dało się powiedzieć, że Jerbil nie próbował. Przypuszczalnie był tak samo uparty jak ja.

– Jeśli to możliwe – odezwałem się cicho – to dotrzymam jego obietnicy.

Popatrzyłem nad jej ramieniem na kapłana, który oparty o biurko wychylił łyżek. Widać było po nim przygnębienie i ciężar wieku.

– Jeśli to ja, co wtedy? Są jakieś dalsze proroctwa, jakaś droga, którą możecie mi wskazać?

– Chciałbym, aby tak było. Ale nie. Konieczne jest rozegranie tej bitwy, żeby nadzieja przeżyła. Jak, co musi nastąpić, jakie pojedyncze kroki są niezbędne, to możecie wiedzieć tylko wy w chwili, gdy będziecie je wykonywać. Mogę wam tylko powiedzieć, że chociaż to proroctwo zwiastuje zwycięstwo boga, którego macie zwalczyć, to jednak on się was obawia. – Wzruszył lekko ramionami. – Może wie więcej od nas albo lepiej rozumie słowa boga. Nie wiemy nawet, który to bóg musi zostać zabity. Długo czas myślałem, że to sam Bezimienny, ale nie pasuje tu zbyt wiele elementów.

– To mogę wam powiedzieć – odparłem. – Nazywa się Kolaron Malorbian i zabiega o płaszcz Omagora, boga ciemności.

– Omagor? To jesteśmy zgubieni. – Upił łyk i zaśmiał się gorzko. – Jesteśmy zgubieni, tak czy inaczej, ale w jednym wypadku zostaje nadzieja. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Pamiętajcie, jeśli to naprawdę wy, to nie wolno wam upaść aż do tej ostatniej chwili. Tylko wówczas pozostanie nadzieja.

– Anioł samotnie stoi przed bogiem, którego może zabić tylko Córka Smoka, zgadza się? – zapytałem.

– Tak powiada bóg. Przeczy sobie, ale musi być jakieś rozwiązanie.

– Jest – wtrąciła Serafine, oderwała mokrą od łez twarz od mojego ramienia i pociągnęła nosem. – Pozostanie nadzieja. A więc istnieje jakieś potem. Bóg nie mówi o tym, że Kolaron w płaszczu Omagora odniesie zwycięstwo. Tylko o tym, że będziemy zgubieni, jeśli ta bitwa się nie rozegra. A więc jest nadzieja na jakieś potem.

– Nie wspomnieliście przed chwilą o Córce Smoka? W tym fragmencie bóg nic o niej nie mówi – przypomniałem sobie.

– Tak – potwierdził kapłan. – Ale mówi o niej w innym miejscu. Kiedy płaszcz mroku zostanie skradziony, bogowie pójdą na wojnę z tym, kto będzie go nosił, ale to Córka Smoka pokona fałszywego boga.

– I nic więcej? – dopytywałem rozczarowany.

– Nie, nic więcej. Ale wiemy teraz, co oznacza płaszcz ciemności. Omagor.

– To wystarczy – orzekła zdecydowanie Serafine. – Ona go zabije. Anioł i ostatnia bitwa są konieczne, żeby mogła go zabić. On *zostanie* pokonany. To jest ta nadzieja.

– Wydaje mi się, że ja już mam tego nie dożyć – dorzuciłem i sam wzięłem głęboki łyk.

– My, słudzy naszego boga, będziemy wspierać was ze wszystkich sił – zadeklarował cicho kapłan. – Powiedzcie tylko, co należy zrobić.

– Kiedy tylko będę wiedział – odparłem i odstawiłem pusty kubek.

– Dobrze – powiedział. – Dziękuję bogom, że jest jeszcze czas, bo nie zabiliście jeszcze tej czystej duszy.

A przynajmniej nie dziecka, pomyślałem z goryczą. Bogowie, nienawidziłem tych prorocत्व. Mamiły obrazem przyszłości, ale zrozumieć dało się je dopiero po fakcie. Na co więc one komu?

Z tego wszystkiego zapomniałem o dwóch typach przed świątynią, ale kiedy nagle z oddali dobiegły nas przerażone krzyki, pamięć wróciła. Poderwaliśmy się i pospieszyliśmy do hali, gdzie ukazał nam się straszny i osobliwy widok. Przed bogiem, prawie u jego stóp, na niedokończonych schodach prowadzących do jego wyspy, leżeli dwaj mężczyźni, którzy czekali wcześniej przed świątynią. Krzyczeli i wili się z bólu, ale nie tylko to wywołało popłoch, gdyż na naszych oczach całe ich ciała pokryły się pęcherzami, jakby ich żywcem gotowano.

Nikt nie wiedział, co robić; nie było ognia, który można by ugasić. To, co przypiekało tych dwóch, było niewidoczne dla naszych oczu, nie mogliśmy nic uczynić, poza przyglądaniem się ich mękom. Cierpieli długo, drgawki ustały dopiero, gdy mięso jak ugotowane zaczęło odchodzić od kości. I wtedy ujrzałem, jak z jednego z nich uchodzą dwie, a z drugiego aż cztery dusze. A potem niespodziewanie obaj stanęli w oślepiających płomieniach, które zgasły niemal tak szybko, jak się pojawiły, pozostawiając na kamiennych płytach tylko trochę białego popiołu.

– Bogowie – westchnął najwyższy kapłan. Przeżegnał się znakiem boga. – Widzieliście to? – Tym razem nie tylko ja widziałem uwolnione dusze, ludzie spoglądali w górę, gdzie połyskliwe twory uchodziły przez otwartą kopułę.

– To byli nekromanci – stwierdziła Serafine.

Kapłan przytaknął z wahaniem.

– Na to wygląda.

Nie mógł być już wiele bledszy niż przedtem, lecz teraz jego skóra przypominała biały pergamin. Przywołał gestem jednego ze sług Soltara.

– Powiedzcie mi, co się stało.

– Nie wiem – padła odpowiedź. – Ci dwaj stali od jakiegoś czasu pod świątynią, kiedy po schodach weszła jakaś sera. Kiedy się zbliżyła, zaatakowali ją, ale ona

wrzuciła ich do wnętrza świątyni. Ledwie dotknęli stopami posadzki, zaczęli krzyżeć... Resztę widzieliście.

– Jak to ich wrzuciła? – spytałem. Od schodów do wejścia było dobre dwadzieścia kroków.

– Nie widziałem tego, to się stało tak szybko... polecili wysokim łukiem. Wybaczcie, ale nie umiem nic więcej powiedzieć.

Ja nie zdołałbym cisnąć ich tak daleko... rozejrzałem się wokół, ale nie dostrzegłem żadnej podejrzanej kobiety.

– To była sera? – spytała Serafine. – Śniada cera, kruczoczarne włosy, obdarzona przez Astarte urodą?

– Tak. Znacie ją? – zdziwił się kapłan.

– Może... – odparła z uśmiechem. Spojrzała na mnie. – Czy coś nas tu jeszcze trzyma?

Obejrzałem się na boga, potem na najwyższego kapłana i pokręciłem głową.

– W tej chwili nic – odpowiedziałem.

– Może... jednak coś – zaprzeczył kapłan, nadal popatrując w oszołomieniu na kupki popiołu. – Na zewnątrz na schodach znajdziecie ucznia imieniem Gerlon. On... jest bardzo dociekliwy. Natknął się na coś, co nie daje mu spokoju. Myli się w swych przypuszczeniach, ale może lepiej, jeśli z nim porozmawiacie. Idźcie do niego, bo to on pytał o was w cytadeli.

– Żądam odpowiedzi, co tu się dzieje – wtrącił się kapłan, który nas przyjął i chciał powstrzymać przed wejściem do najświętszej części świątyni. – Jak to jest, że przekłęci już ośmielają się przestąpić progi naszej świątyni?

– To jest brat Mircha – przedstawił go najwyższy kapłan. – Będzie moim następcą. Wkrótce. – Upomniał go wzrokiem. – Ale dopóki nie nosi jeszcze mojej szaty, musi być posłuszny. To ja jeszcze wykładam słowa naszego boga. – Zwrócił się bezpośrednio do Mirchy: – A na razie niczego nie żądasz, tylko się uczysz, dopóki to tobie będzie wolno żądać i nauczać. Zważ, że to jest Jego świątynia, a nie nasza. To on ukarał przeklętych i miał ku temu swoje powody. – Wskazał na pozostałości po nekromantach. – Każ to usunąć i zatroszcz się, by w Jego domu znowu zapanował pokój.

– Jak sobie życzycie – powiedział kapłan i złożył niski pokłon przed bratem Jonem, choć łatwo było zauważyć, z jakim trudem mu to przyszło.

Serafine i ja wymieniliśmy spojrzenia i ukłoniliśmy się pospiesznie na pożegnanie. Mircha tymczasem stał z zaciśniętymi pięściami i patrzył na mnie wzrokiem, którym oskarżał mnie o to upokorzenie.

Tym razem nikt nas nie zatrzymał, kiedy zebraliśmy się do odejścia. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na mojego boga. Stał nieruchomo. Czułem na sobie jego brzemień.

– Przysięgam – zadeklarowałem, kiedy przekraczaliśmy wrota świątyni – że już nigdy nie będę narzekał na zbyt dużo wolnego czasu! – Powiodłem wzrokiem wokół siebie, ale nikt na nas nie czyhał. Tylko uczeń, który dał mi szatę, stał nieopodal z miotłą i udawał, że nie zwraca na nas uwagi, ale w kółko zamiatał jedno miejsce. Chciałem podejść do niego, ale Serafine chwyciła mnie za rękaw i odciągnęła na bok.

– Havaldzie – zaczęła cicho, ale dobitnie, jednocześnie wbijając oczy w cień, gdzie zaczęli się tamci dwaj. – Nie rozumiem, jak możesz być taki spokojny! Przecież właśnie się dowiedzieliśmy, że wszyscy umrzemy!

– Może. – Uśmiechnąłem się. – Jest nadzieja, sama to powiedziałaś.

– Havaldzie! – wykrzyknęła oburzona. Niewiele brakowało, a tupnęłaby nogą. – Ja mówię poważnie! Wyjaśnij mi, jak możesz być tak spokojny!

– Nie jestem. Ale po początkowym przerażeniu uświadomiłem sobie, że nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Wiedzieliśmy, że Kolaron Malorbian chce się stać bogiem i zabiega o płaszcz Omagora. Wiedzieliśmy, że wyruszymy na wojnę przeciwko niemu i że prawdopodobieństwo zwycięstwa jest znikome. Zważ, co wiemy o naszym wrogu, o jego sile, potędze i zdolnościach. Naprawdę muszę ci wyjaśniać, że mamy niewielkie szanse na zwycięstwo? W istocie rzeczy słowa boga dały mi nadzieję. Cesarz nekromanta *upadnie*. Córka Smoka go *zabije*. – Wzruszyłem ramionami. – Ja skończę na ostrzu Rozpruwacza, co mnie wcale nie dziwi. Ale wróg zostanie pokonany.

– Lecz wszyscy u twego boku polegą – powiedziała cicho. – A potem ty.

– Stanę naprzeciw boga sam. To są słowa Soltara. Nie mówił, że wszyscy umrą. Nie mogę wiedzieć, gdzie i kiedy jego słowa się wypełnią. Ale jeśli sam stanę przed tym fałszywym bogiem, nikt inny nie zginie. Potem Leandra go zabije, a świat uporządkuje się na nowo. Słowa Soltara można rozumieć i tak.

– Szukasz nadziei – powiedziała przez łzy.

– A co innego mam robić? – spytałem. – Po to ona jest.

– Uważasz, że Leandra jest Córką Smoka?

– A któż by inny? O jej ojcu niemal nic nie wiadomo, ale spójrz na jej przerażający magiczny talent, zagadkowe rzeczy, które ją otaczają. Smok... jest symbolem Askannona. Może to on jest jej ojcem, tego nie wiemy. Może jest nim ktoś inny. Ale ona wydaje mi się najbardziej pasującą osobą, no i nosi Kamienne Serce. Jeśli jest jakiś miecz zdolny zabić boga, to tylko ten.

– Ale ty umrzesz.

– Tak. – Wzruszyłem ramionami. – Nie mogę powiedzieć, żeby ta myśl mi się podobała, ale wiesz, jak długo już żyję. Życie w nieskończoność wydawało mi się przekleństwem, bo to kara, gdy musisz patrzeć, jak odchodzą ci, których kochasz. Jak się starzeją i gasną, podczas gdy ty jesteś młody młodością skradzionych lat życia! Nie, Serafine, dla mnie słowa boga są jak oswobodzenie, bo teraz nie różnię się już od innych. Koniec nastąpi, i jak wszyscy nie wiem kiedy i gdzie. Tylko jedno różni mnie od innych: mam świadomość, że moja śmierć będzie miała sens. – Przyciągnąłem ją do siebie i przytrzymałem; wydało mi się to naturalne i właściwie w sposób, którego dopiero miałem się nauczyć. – Jeśli już muszę umrzeć, to spytaj mnie, czy chciałbym, aby to miało sens. Niektórzy potykają się na schodach i łamią sobie kark. Jaki sens ma taka śmierć? Bóg mówi mi, że moja śmierć przywróci dyskowi świata nadzieję. Czego mogę chcieć więcej?

– Być szczęśliwym. Żyć. Kochać – odpowiedziała zduszonym głosem. – Nigdy nie chciałam niczego innego. To skromne życzenia, jak myślę. Nigdy nie chciałam być bohaterką, nosić ciężaru światów na swoich barkach. Co jest takiego złego w tym, by nie pragnąć niczego poza szczęściem w miłości i spokojnym życiem, aż nadejdzie ostatni dzień? Poza spokojną śmiercią we własnym łóżku, w otoczeniu tych, których się kocha, dzieci i wnuków. Co w tym niewłaściwego? – Odsunęła się ode mnie. – Powiedz mi, co w tym złego?

– Nic – odpowiedziałem cicho. – Ale nie każdemu to dane.

– Jerbil mi to obiecał – wydusiła z siebie. – On zawsze dotrzymywał słowa. Zawsze, słyszysz?

– Cóż – powiedziałem i spojrzałem jej w oczy. – Kto by uznał za możliwe, że będziesz tu stała, że będziesz Serafine i Helis? On cię uratował z lodowatego grobu, nieważne jak. Musiał twardo negocjować z Soltarem, ale oto stoisz tutaj i żyjesz! Bóg obiecał nam, że dusze narodzą się na nowo, ale ty jesteś więcej niż duszą, ty wróciłaś naprawdę. To niemożliwe, a jednak się stało. A więc... – Uśmiechnąłem się. – Kto wie? Może twój Jerbil załatwił to tak, że cała struktura dysku świata i nawet wola bogów musiały się przed nim ugiąć. Leandra tłumaczyła mi, że podstawą wszelkiej magii i mocy jest jedno: wola, że coś wydarzy się zgodnie z twoim życzeniem. Może jego wola była wystarczająco silna.

– Ty jesteś Jerbilem – wyszeptała. – Powiedz mi, że tak jest.

– Nie jestem nim – zaprzeczyłem. – Ale możliwe, że on jest częścią mnie. Nie powrócił, pogódź się z tym, Serafine. Może to była cena, jaką musiał zapłacić.

Uśmiechnęła się i otarła łzy.

– Ale rozumiesz, Havaldzie, że nie chcę w to wierzyć? Rozumiesz, że nie chcę być rozsądna, nie chcę tego zaakceptować?

- O tak - odparłem żarliwie. - Rozumiem to aż za dobrze.

STARZY PRZYJACIELE

– Wybaczcie – odezwał się za naszymi plecami uprzejmy młody kapłan z miotłą. – Nie chciałbym przeszkadzać, czy mam wrócić później?

– Tak – odezwała się kobieta, która niespodziewanie wyszła z cienia tuż obok nas. Wyglądała na poirytowaną. – Proszę o to. I bez tego trudno zastać ich samych, a to, co mam im do powiedzenia, nie znosi zwłoki. – Posłała mi gniewne spojrzenie. – Jeśli jeszcze raz wymierzycie to żelazo w mój nos, zabiorę je wam i wsadzę tam, gdzie nie dochodzi nawet światło Soltara! – Wycelowwała we mnie szczupły palec i odsunęła nim ostrze Rozpruwacza.

– Inni też już próbowali – poinformowałem ją łagodnie, chowając miecz do pochwy.

– Z tą różnicą, że ja mogę to zrobić – oznajmiła kobieta, która przypuszczalnie była Aselą, maestrą, Sową i szpieginią Kolarona, tą, która o mało nie przyczyniła się do śmierci Desiny, uczestniczyła w ataku na Askir i była naszym największym wrogiem po cesarzu nekromancie. Nie przychodził mi do głowy żaden powód, dlaczego nie miałbym jej zabić na miejscu, poza jednym: ciekawością.

– Miecz będzie musiał pogodzić się z tym, że mnie nie dostanie – powiedziała.

– Może jednak tak – rzuciłem, na co prychnęła.

– Pytaliście, czy macie odejść – zwróciła się do kapłana. – No to sio!

– Widzicie, sera – odezwał się grzecznie Gerlon. – To nie jest tak, że moja sprawa może długo czekać. Poza tym miałem na względzie moment czułości, a nie was, czyhającą w cieniu!

Wymieniłem z Serafine spojrzenia.

– Może ustalicie to między sobą? – spytała uprzejmie Serafine. – Czy ktoś nam wytłumaczy, o co chodzi?

– O nekromantę – odpowiedzieli unisono i spojrzeli na siebie w zdumieniu.

– Dobrze – rzuciła Asela i obrzuciła kapłana roziskrzonym z wściekłości wzrokiem. – Przeklęty, którego chciałabym widzieć martwym, zniszczy Radę Koronną, jeśli nie zostanie powstrzymany. – Skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na niego wyzywająco. – Chyba nie może być nic ważniejszego!

– Ten, którego mam na myśli, zniszczy wiarę mego pana i pociągnie na manowce dusze zmarłych – odparł młodzieniec, naśladując jej postawę. – Musicie przyznać, że to większe zagrożenie.

Chrząknąłem.

– Jesteście Asela, prawda? – spytałem grzecznie.

– A jeśli tak, to co? – odpowiedziała chłodno. – Czemu was to interesuje?

– Chcę wiedzieć, z kim rozmawiam.

Sera przekrzywiła lekko głowę.

– Dawniej nią byłem. Ale teraz już nie jestem. Kolaron wypaczył i wydał na śmierć to, co było jej istotą. Ja jestem tym, co po niej pozostało.

Nie byłem mądrzejszy niż przedtem.

– A zdradzicie mi powód, dla którego nie miałbym zabić was na miejscu?

– Pomijając to, że nie zdołalibyście tego zrobić? – odpowiedziała z twardym uśmiechem.

– Jestem skłonny spróbować. Warto byłoby podsunąć mi jakiś inny powód.

– Udało mi się wydostać spod panowania Kolarona i stoję po waszej stronie. Jestem najzagorzalszym wrogiem cesarza nekromanty, jakiego możecie sobie wyobrazić.

– Dlaczego miałbym wam wierzyć? – spytałem nieufnie.

– Dobrze pytanie.

– Dlatego je zadaję.

– Kiedy skończymy tę rozmowę, przestąpię progi świątyni Soltara. Istnieje ryzyko, że mnie ukarze, lecz jeśli nie, czy to was przekona?

– Wejdźcie tam teraz – zaproponowałem. Serafine wciągnęła powietrze i posłała mi ostrzegawcze spojrzenie. Na próżno, moja cierpliwość już wystarczająco została wystawiona na próbę tego dnia. Najchętniej zostawiłbym maistrę i kapłana na tych schodach i wrócił do kwatery, żeby w spokoju wszystko przemyśleć. Albo spróbował szczęścia i ją zabił. W odróżnieniu od niej nie miałem wątpliwości, że blade ostrze Rozpruwacza jest dostatecznie ostre, żeby ściąć jej głowę.

– W takim razie przynajmniej zróbcie nam ten zaszczyt i pokażcie się taką, jaka jesteście – zażądała Serafine.

– Dlaczego? – spytała maestra.

– Bo chcę to zobaczyć – upierała się Serafine.

– Skoro nalegacie.

Nie wiem, jak to zrobiła. Można było odnieść wrażenie, że zmiana dokonała się w mgnieniu oka, a jednak był to stopniowy proces. Przede mną stanęła kobieta o alabastrowej cerze księżniczki, czarnych włosach kruka, obliczu, za które niektórzy gotowi byliby toczyć wojny, i oczach, które powinny być pełne emocji, a błyszczały twardo jak diamenty. Widziałem w życiu wiele pięknych kobiet, lecz ona miała w sobie coś, co było więcej niż urodą. Jakby w jej osobie bogowie spotkali się, żeby wynieść piękno na nowe wyżyny.

A jednak pozostałem na nią dziwnie obojętny, jakbym oglądał posąg, dzieło sztuki pozbawione duszy.

– Jesteś dokładnie taka, jaką cię pamiętam – odezwała się Serafine zduszonym głosem. – Co się z tobą stało, na wszystkich bogów? Jak to możliwe, że łowiłaś dusze, że zdradziłaś wszystko, co było ci święte, ukochane i drogie? Co się z tobą stało?

– Nic się ze mną nie stało. I to nie jest wasza sprawa – odparła czarnowłosa piękność z ostrym chłodem w głosie, wracając do poprzedniej postaci. Serafine przysunęła się do mnie, jakby szukała ochrony.

– Oczywiście, że to moja sprawa, jeśli moja przyjaciółka łowi dusze, nie uważasz? – spytała z goryczą Serafine. – Po prostu nie mogę tego zrozumieć.

– Być może byłby to jakiś powód, gdybyście byli dla Aseli przyjaciółką, ale żadne z jej przyjaciół nie żyje od dawna – odpowiedziała opryskliwie sera i prychnęła. – Przypominacie mi kogoś, to prawda. Ale nie oczekujcie, bym uwierzyła, że jesteście tą, którą mi przypominacie. Balthasar ponosi winę za jej śmierć, nikt go od niej nie uwolni.

– To prawda – zgodziła się Serafine. – Ale za sprawą cudu Soltara narodziłam się na nowo. I pamiętam ciebie, Feltora i Balthasara.

– Nie jestem łatwowierna, już od dawna – stwierdziła sera z goryczą. – Ale dobrze: jeśli rzekomo jesteście Serafine, to na pewno wiecie, co Balthasar skradł jej na jej weselu.

– A więc wiesz, kim jestem – zauważyła Serafine.

– Wiem, do kogo jesteście podobna. Ale nie możecie nią być. Odpowiedzcie na moje pytanie albo przestańcie mnie nękać głupimi fantazjami!

– Jeśli nie masz na myśli pocałunku, to była to wiśnia – odpowiedziała Serafine.

Sera pobladła i zatoczyła się w tył jak uderzona.

– To jest niemożliwe!

– Nie, nie jest. To cud Soltara – powiedziała Serafine, podeszła do Aseli i położyła jej dłoń na ramieniu. – Co się z tobą stało, Asela?

– Wszystko – odpowiedziała gorzko dawna Sowa. – Wszystko, czego człowiek nie jest w stanie znieść i się nie załamać. Niczego nie oszczędził, żadne upokorzenie nie było dla niego zbyt błahe, żaden haniebny czyn zbyt straszny. Zabrał jej wszystko, co można zabrać człowiekowi, nawet obrócił uczucie miłości w jej obrzydliwe, zwierciadlane przeciwieństwo. Kiedy pękł czar, który ją niewolił, płakała i nie chciała już dłużej żyć.

– Mówisz o niej, jakbyś była kimś innym – stwierdziła poruszona Serafine.

– Bo tak jest. – Łzy spływały po twarzy maistry, ale ona zdawała się tego nie dostrzegać.

– Co jeszcze z ciebie zostało, Asela?

– Nic z niej. Tylko cała wiedza i każde wspomnienie, choćby nie wiem jak odrażające. Ciężko je powstrzymać – westchnęła.

– Możesz mi powiedzieć, jak do tego doszło, że teraz łowisz dusze? – spytała Serafine.

– To już przeszłość. Asela zapłaciła za to, jak my wszyscy.

– To prawda. Ona nie jest nekromantką – wtrącił się kapłan.

Asela uniosła brew.

– Naprawdę? – zapytała.

Kapłan skinął głową.

– Nie nosicie w sobie tego, ale jest w was jakieś inne zło.

Uśmiechnęła się bez cienia radości.

– Dobrze to rozpoznaliście. Powiedzcie, uczniu, potraficie już odróżnić prawdę od kłamstwa?

– Przeważnie tak – odparł skromnie Gerlon. – Brat Jon mówi, że mam do tego talent.

– Mówię prawdę, kiedy twierdzę, że jestem wrogiem Kolarona?

– Tak. Ale kierujecie się własnym interesem i chcecie tylko zemsty.

Asela skinęła głową.

– Sporo widzicie jak na kogoś tak młodego – rzekła z uznaniem i zwróciła się do nas: – Jest, jak mówi. Chcę zemsty. Mam dość powodów, by się mścić. Za siebie i za dwójkę innych. I jeszcze wielu innych. Słyszeliście, co powiedział kapłan. Możemy się wzajemnie wesprzeć, żeby osiągnąć nasze cele, nawet jeśli nie całkiem się pokrywają.

– Nadal posiadacie magiczne moce? – spytałem, jakby już tego nie dowiodła.

– W skali, która by was przeraziła. Dlaczego?

– Więc czemu sama nie zniszczycie tego nekromanty? Mając waszą moc, to nie powinno być trudne.

– Tak myślicie? – rzuciła. – A pamiętacie Orduna? Podobno to wy go zabiliście.

Nigdy tego nie zapomnę. To był pierwszy nekromanta, którego spotkałem, a jego moc była potężna. Był starszy, inaczej niż pozostali łowcy dusz, których zabiłem po nim. Tylko Arminowi i Zokorze zawdzięczałem, że tu jeszcze stałem. Wszyscy łowcy dusz byli przerażający, ale Ordun poruszył we mnie coś, co sprawiało, że na samą myśl o tym wszystko kurczyło się we mnie i chciało kwilić.

– Tak – odpowiedziałem sztywno. – Pamiętam go.

– Ordun był uczniem mężczyzny, którego musimy zabić. To powinno pomóc wam w zrozumieniu, jak wielkie to zadanie. – Wsunęła podbródek. – Ale owszem, mogę

zabić go sama, bez wątpienia, lecz wówczas zdradziłabym swoje karty w tej grze, czego nie chcę zrobić, dopóki nie nadejdzie czas.

– Czyli mamy wykonać za was robotę?

– Nie – odparła i zmiażdżyła mnie wzrokiem. – Macie zrobić swoją robotę, ja tylko pokażę wam gdzie. To wy nosicie magiczny miecz. A może widzicie u mego boku jakieś Ostrze Spójni, które pozwoliłoby mi zabić za was łowcę dusz? Jeśli nie chcecie mojej pomocy, powiedzcie mi to, a nie będę was dłużej kłopotać. Mam wystarczająco dużo innych rzeczy do zrobienia!

– Chcemy twojej pomocy – powiedziała cicho Serafine. – Musisz go zrozumieć, Aselo. Czuję w tobie coś, co nawiązuje do naszych dawnych więzi, a mimo to wydaje się fałszywe i opaczne. Havald nie jest ślepy, on też to czuje. Ma powody do nieufności.

– Masz rację – przyznała posępnie Asela i otarła łzy. – Fałszywe i opaczne. Dokładnie tak jest, Finna. Wszystko jest fałszywe i opaczne i nigdy nie miało prawa się wydarzyć. – Ściągnęła łopatki. – Ale to nie miejsce i czas, żeby mówić o przeszłości. Znaleźliście wrota?

– Tak.

– Dobrze. Będziecie ich potrzebować. – Spojrzała na adepta. – Wątpię, żebyście rozumieli wiele z tego, o czym mowa, ale zapewniam was, jeśli się wygadacie, znajdę was!

– Groźby są niepotrzebne, sera – odparł chłodno brat Gerlon i zadarł podbródek. – Jestem na tyle mądry, by wiedzieć, czego wymaga dyskrecja. Nawet jeśli – zerknął w bok na Serafine – zżera mnie ciekawość.

– Gdzie znajdziemy tego łowcę dusz, Aselo? – spytała Serafine.

– W świecie Varlandczyków. Przybędzie tu z waz królem na Radę Koronną. Jeden atak na Askir został odparty, on przygotowuje następny. – Zaśmiała się. – Kolaron nigdy nie planuje jednego posunięcia, on zarzuca podwójne i potrójne sieci. Nieudany atak kosztował go dwie ostatnie Sowy, którymi dysponował, to wysoka cena. Ale Władca Światów, jak lubi siebie nazywać, wie, że nie jest nieomylny. A więc uwzględnia w swoich planach niepowodzenia, nawet jeśli jest co do nich przekonany.

– Kto to jest? – dopytałem.

– W tym problem. Nie znam jego nazwiska ani twarzy. Wiem tylko, że przybędzie do miasta z delegacją z Varlandu i że to nastąpi wkrótce. Trzeba go znaleźć i zniszczyć.

– A wy, bracie Gerlonie? – zapytałem. – Kim jest ten bezbożny, którego chcielibyście widzieć martwym?

– Wrzodem, którego ślad zaciera się w czasie – oświadczył z patosem. – Łowcą dusz tak potężnym, że sam Askannon zdołał go tylko związać, ale nie zabić. Całkiem niedawno natknąłem się na referencję do tego potwora, ale jestem pewien, że jego kłątwa spoczywa na tej świątyni już od bardzo dawna.

Asela pokręciła głową.

– Musicie się mylić, adeptie. Gdyby tak było, wiedziałabym o tym.

– Nie możecie wiedzieć wszystkiego.

Nikły uśmiech przemknął po jej ustach.

– Zdziwilibyście się, gdybyście wiedzieli, czego się można nauczyć.

– Także skromności? – odciął się adept.

Asela znieruchomiała na moment i roześmiała się z goryczą.

– Również i jej. Bardziej niż wy kiedykolwiek będziecie zdolni się nauczyć.

Uznałem, że pora wkroczyć.

– Jesteście pewny, że ten łowca dusz istnieje? – spytałem Gerlona.

– Istnieje – odpowiedział młodzieniec z przekonaniem, zerkając na maistrę. – Widzę go każdej nocy w swoich snach.

– To wszystko wyjaśnia – mruknęła Sowa.

– Aselo – upomniała ją cicho Serafine.

– Bogowie – westchnęła tamta. – No dobrze, ja też się myliłam. Możliwe, że coś mi umknęło. Ale nie uważam tego za prawdopodobne.

– Gdzie znajdziemy tego nieświętego? – zapytałem adepta, surowo spoglądając przy tym na Asele, czego zdawała się nie dostrzegać.

– W krypcie pod świątynią. Jest ukryty, chroniony pułapkami, magicznymi i nie tylko, strzeżony przez kapłanów, którzy oddali życie, i spętany złotymi łańcuchami najpotężniejszej magii. Powinien był umrzeć, ale jestem pewien, że jeszcze żyje i że trzeba zgotować mu koniec!

– Wspomnieliście o jakiejś referencji – przypomniała Serafine.

– Można ją znaleźć w świątynnych archiwach, ale brat Jon uważa, że się mylę. Ja jednak jestem tego pewien. – Wskazał ręką na Rozpruwacza Dusz. – Potrzeba miecza takiego jak wasz, aby zniszczyć go doszczętnie. Stulecia musiały go osłabić, a teraz jest ku temu okazja, zanim zdoła się uwolnić ze swoich więzów.

– Liczycie, że jest osłabiony? I związany? Na czym więc polega niebezpieczeństwo? – pytałem.

– Mam nadzieję, że jest słabszy, ale wiem, że już niedługo jego więzy puszcza. Bo świątynia zapomniała odprawiać rytuały, które mają je odnawiać. Minęło zbyt wiele czasu, by o nim pamiętano.

– Jak wiele? – zainteresowała się Asela.

– Świątynia została zbudowana właśnie po to, by go tu uwięzić. A więc ponad tysiąc lat. Od chwili założenia miasta.

– To by wyjaśniało, dlaczego nic o nim nie wiedziałam – przyznała maestra. – Ale tysiąc lat? I twierdzicie, że sprawa nie cierpi zwłoki? – zapytała z lekkim rozbawieniem. – Po tylu latach jeden dzień miałby mieć znaczenie?

– Właśnie tak – potwierdził z powagą kapłan. – Ledwie wczoraj stwierdziłem, że jedna z trzymających go pieczęci została złamana. Wiąże go już tylko jedna, a jeśli pęknie i ona, obawiam się najgorszego.

– Czy ja dobrze rozumiem? – spytałem. – Łowca dusz miałby leżeć od tysiąca lat pod świątynią i nadal żyć? Z czego to wnioskujecie? Może właśnie dlatego zaprzestano rytuałów, że już nie są konieczne, a przeklęty już dawno przebywa u swojego mrocznego boga?

Młody kapłan popatrzył mi prosto w oczy.

– Bo on już wpływa na kapłanów. Trudno zauważyć zmianę, ale on już obłożył swoim czarem niemal każdego z nich.

– Pod okiem boga? – spytałem. – I mam w to uwierzyć?

Gerlon odrobinę zapadł się w siebie.

– Brat Jon w to nie wierzy. Dlaczego mielibyście uwierzyć wy... nie wiem. Ale już zabijaliście łowców dusz, znacie ich lepiej niż ktokolwiek inny.

– Sądzicie, że jesteście odporni na moc tego łowcy dusz i tylko od was zależy, czy przeklętego spotka to, co mu przeznaczone? – Asela zaśmiała się. – Jesteście uczniem, czy nie powinniście ufać tym, którzy was nauczają?

– Chciałbym im ufać – przyznał prawie z desperacją Gerlon. – Ale uwierzcie mi, czytałem dawne pisma i się nie mylę! Przeklęty leży skuty poświęconymi łańcuchami i naszym zadaniem jest go pilnować. Ale nikt już tego nie robi! Nie wymyśliłem tego sobie, to stoi zapisane złotymi literami w jednej z najświętszych ksiąg naszego zakonu, tej, która ustala zadania kapłanów. Proszę, uwierzcie mi!

– Co na to najwyższy kapłan, Gerlonie? – zapytała spokojnie Serafine.

– Uważa, że się mylę i że dowiem się więcej, kiedy osiągnę wyższe stopnie wtajemniczenia – odpowiedział z udręką w głosie. – Ale ostatnia pieczęć pęka *teraz!* Jak mam czekać? Poza tym nękają mnie sny, w których to zło bez przeszkód rośnie i dojrzewa. Te sny doprowadzają mnie do rozpacz, nie rozumiecie? Muszę coś zrobić, ale mi nie wolno! Wy wiecie wystarczająco dużo o przeklętych, moglibyście mi pomóc... jeśli pozwoli najwyższy kapłan.

– Przysłał nas do was – oznajmiłem. – A więc jednak mu na czymś zależy. Zobaczmy, jak możemy pomóc. Ale muszę przyznać, że skłaniam się raczej ku temu,

by wierzyć najwyższemu kapłanowi, niż sądzić, że przeklęty może przetrwać tak blisko naszego boga.

– Ser Roderic nie wie o łowcach dusz tyle, ile ja wiem – obwieściła maestra. Spoglądała z namysłem. – Uważam to za mało prawdopodobne, ale nie da się tego wykluczyć. W czasach, o których mówicie, nie było jeszcze Ostrzy Spójni. Bez takiego miecza jest bardzo, bardzo trudno zniszczyć łowcę dusz. Wiem, że Askannon stworzył miecze właśnie w tym celu. Ale dopiero wtedy, gdy ta świątynia już dawno stała. A więc dobrze, uznajmy, że to byłoby teoretycznie możliwe. – Przeniosła wzrok na mnie, potem na Serafine i na adepta. – Nekromanta może skraść najrozmaitsze talenty. Istnieją takie, które chronią przed zdemaskowaniem, ogniem albo określoną bronią. Niewykluczone, że ten nieświęty, o którym mówi adept, posiada taki talent, który chroni go nawet przed wolą Soltara. To możliwe, choć niezbyt prawdopodobne. Nikt nie oprze się woli boga na wieki. Bez Ostrza Spójni świątynia boga jest najlepszym sposobem, aby zniszczyć nekromantę. Można sobie wyobrazić, że Askannon uwięził jednego z nich w świątyni. Ale trudno mi uwierzyć, że miałby jeszcze żyć.

– Pisma nie są jednoznaczne, ale istnieją wskazówki, że do katakumb można dotrzeć przez archiwum – powiedział z żarem Gerlon. – Trzy lata temu brat Mircha zszedł do archiwum i wrócił odmieniony. Przedtem był dobrotliwym człowiekiem, który w oddaniu bogu odnajdował oświecenie i pokój. – Spojrzał na mnie i Serafine nagląco. – Czy sprawia na was wrażenie osoby dobrotliwej i pełnej poświęcenia? Nawet brat Jon przyznaje, że Mircha się zmienił, ale dopatruje się w tym innych powodów. A wkrótce to brat Mircha będzie tłumaczyć dla nas słowa boga i rządzić losami świątyni, a tym samym wszystkich innych świątyń Soltara! Co, jeśli brat Mircha znajduje się pod urokiem przeklętego? Chcecie do tego dopuścić? A może jednak lepiej byłoby się upewnić? – Wskazał na Rozpruwacza. – Dzięki temu mieczowi powinniście być zdolni do zlikwidowania nieświętego. A jeśli znajdziemy go martwego, co takiego stracimy? Nic, poza odrobiną czasu.

– Czy to musi być teraz? – spytałem z westchnieniem. – Jeszcze dzisiaj? – Nie miałem pojęcia, która była godzina, ale musiała dochodzić północ i...

Kapłan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie usłyszałem ani słowa, bo nad nami zabił świątynny dzwon, swym głębokim dźwiękiem wprawiając w wibracje potężny gmach i ziemię pod naszymi stopami. W odpowiedzi zadzwoniły dzwony dwóch innych świątyń. Uderzyły osiem razy, a więc naprawdę była północ. Godzina Soltara. Kiedy oderwałem palce od uszu, z wnętrza domu boga dobiegł śpiew wiernych, którzy zgromadzili się na północne nabożeństwo.

– Nie wydaje mi się, by brat Jon udał się już na spoczynek – orzekłem, poddając się. – A więc nawiedzimy go jeszcze raz. – Spojrzałem na Asełę. – Pójdziecie z nami?

– Nie ufacie nawet kapłanowi waszego boga, co? – skwitowała z krzywym uśmiechem.

– Cóż, zważywszy, kim jesteście... – przypomniałem jej.

– Dobrze – zgodziła się, unosząc głowę. – Nie jestem za tym, aby zdawać się na czyjąś łaskę i niełaskę, choćby to był bóg. Jeśli to bogowie decydują o losach ludzi, to przecież właśnie oni dopuścili, aby narodził się Kolaron. Lecz jeśli Soltar pozwoli mi żyć, złożę mu u stóp swoją spowiedź. Doprawdy, mam z czego się spowiadać. – Skrzywiła się i zaśmiała z goryczą. – Wtedy przynajmniej dowiem się, co jest jego niedopatrzaniem.

Z uniesioną dumnie głową ruszyła pierwsza, stawiając krótkie, żołnierskie kroki, jakby szła na ścieście. Podążyliśmy za nią w milczeniu. Kiedy przestąpiła próg wewnętrznej hali i miała dotknąć świętej ziemi, zawahała się ledwie dostrzegalnie i postawiła stopę. Powiew wiatru rozwał jej długie włosy i szarpnął szatą. U stóp boga klęczeli w półokręgu wierni, pogrążeni w śpiewie i modłach. Jedno i drugie urwało się gwałtownie, kiedy Asela wstąpiła między nich. Wiatr wzmógł się i łopotał jej szatą, choć na głowach wiernych, którzy z osłupieniem i przestachem podnosili na nią wzrok, nie poruszył się nawet jeden włos.

Mimowolnie wstrzymałem oddech.

Asela stanęła przed schodkami prowadzącymi ku posagowi, tam, gdzie bóg dopiero co ukarał dwóch innych ludzi. Uniosła dumnie głowę. Nie znała pokory.

– Jestem tutaj – zakrzyknęła. – Osądź mnie albo mi przebacz!

– Soltar musi być bogiem o największej cierpliwości – szepnęła obok mnie Serafine. – Zdaje się gromadzić pod swoim dachem takich wiernych, którzy bardziej żądają, niż proszą! – Spojrzała na mnie znacząco. – Znam jeszcze kogoś takiego.

– Psst – syknąłem. – Chcę widzieć, co się stanie!

Nagle Asełę przeszyła błyskawica, poderwała ją w górę i z powrotem, wygięła jej plecy, jakby chciała ją złamać. Wiatr zamienił się w orkan, uniósł ją wysoko, kiedy ona odrzuciła głowę na kark i otworzyła usta w niesłyszalnym krzyku... Z jej ust buchnęła czarna strugą ciemność i nienawiść, wściekłość i rozpacz, strach i trwoga, popłynęły ku gwiazdom nad otwartą kopułą. Czułem ich smak i dotyk. I nie tylko ja, wszyscy obecni, Serafine i młody adept, i wierni, wszyscy jęknęli głośno, gdy zdjęła nas rozpacz. A kiedy nawałnica osłabła i Asela padła u stóp boga, płakaliśmy.

– Bogowie – wyszeptała ledwie słyszalnie Serafine, leżąc obok mnie na ziemi. Poszukała mojej dłoni, podczas gdy ja mozolnie próbowałem dźwignąć się na nogi. – O bogowie – powtórzyła, wycierając łzy. – Jak człowiek może znieść tyle rozpacz?

– Nie może – wydusił przez łyzy Gerlon. Z trudem odzyskiwał fason. Ja również próbowałem wziąć się w garść i użyłem rękawa, żeby wytrzeć nos. – Nikt nie jest w stanie...

Pomału zbliżyliśmy się do Aseli, otoczonej wianuszkami szlochających wiernych. Przybył też najwyższy kapłan i uklęknął obok kobiety, która leżała na stopniach przed naszym bogiem, blada i piękna.

– Żyje jeszcze? – spytałem z wysiłkiem.

Brat Jon sięgnął ręką ku jej szyi i spojrzał na mnie w górę. On też miał wilgotne oczy.

– Tak. Lecz, na Soltara, kim jest ta umęczona dusza?

– Właśnie tym, bracie, umęczoną duszą – odezwała się Serafine obok mnie i wydmuchała nos w wyjętą skądś chustkę. – Ze wszystkim tym, czego człowiek nie może wytrzymać, nie załamując się przy tym. – Popatrzyła na swoją dawną przyjaciółką, uklęknęła obok niej i czule pogładziła po włosach. – Tak powiedziała. – Podniosła na mnie wilgotne oczy. – Jakby słowa mogły opisać to, co przed chwilą czuliśmy.

– To dzień pełen niespodzianek – stwierdził najwyższy kapłan drżącym głosem i wyprostował się z trudem. Podałem mu rękę, ale odmówił, kręcąc głową. – Modlę się na kolanach, a jeśli nie będę mógł wstać, to na nich zostanę – powiedział. – Ale to jeszcze nie ten czas. – Dał znak dwóm zbliżającym się pospiesznie kapłanom. – Pozwolimy jej spać i zaniesiemy do jednej z naszych modlitewnych cel. Zajmiemy się nią.

Przyglądaliśmy się, jak kapłani ostrożnie podnoszą Asele i zanoszą do pomieszczeń na tyłach świątyni. Trudno powiedzieć, ile miała lat, ale w tym momencie wyglądała na młodszą, niż to było możliwe.

Brat Jon gestem nakazał nam pójść za sobą, podczas gdy jeden z kapłanów wystąpił naprzód, żeby uspokoić wiernych, mówiąc o cudzie, którego byli świadkami.

– ...nigdy nie czułem takiej rozpaczki – mówił. – Lecz to dowodzi łaski naszego boga, że może zdjąć z nas nawet taki ciężar...

Patrząc na wstrząśniętych wiernych, powątpiewałem, czy upatrywali cudu w tym, że podczas zwyczajnej modlitwy o północy zostali zmiażdżeni tak mrocznym doświadczeniem. Sam wystarczająco często skarżyłem się na to, co złożył na mych barkach bóg, ale teraz moje brzemię wydało mi się prawie śmieszne.

Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie, kapłan westchnął i powiódł po nas wzrokiem.

– Macie jeszcze coś, żeby mną wstrząsnąć? – spytał zmęczonym głosem. – Czy wystarczy już na dziś?

– Mam sprawę, bracie Jonie – odezwał się Gerlon.

– Mów!

– Mówiłem wam o tym już wystarczająco często. W pismach wspomina się o bezbożnym, którego święte więzy grożą zerwaniem, a jego klątwa już zaczęła działać w świątyni. Nawet w waszej niechęci, by zająć się tą sprawę, może przejawiać się działanie klątwy.

Starzec długo mu się przyglądał, w końcu westchnął głęboko.

– Obawiam się, że jesteś opętany tą myślą.

– Pieczęcie pękają. Sami wiecie, że została już tylko jedna!

– Tak. Pękają, bo już nie są potrzebne – wyjaśnił cierpliwie starzec. – Nie możesz mi po prostu zaufać, Gerlonie? Myślisz, że w tym domu jest jakieś misterium, o którym nie wiem?

– Dlaczego zatem nie uwolnicie mnie od moich obaw, bracie Jonie? – spytał żarliwie młody adept. – Musicie wiedzieć, jak bardzo mnie to dręczy, że nie znajduję odpowiedzi!

– Jesteś adeptem drugiego stopnia, Gerlonie, a pytasz i zgłębiasz sprawy, które powinny być jeszcze dla ciebie niedostępne. Musisz nauczyć się ufać... kapłanom, mnie i naszemu bogu. On jest światłem, które odeprze ciemność. Naprawdę myślisz, że on prowadzi nas na manowce?

– Ale ja o tym czytałem!

– W księdze, której nie powinieneś czytać. Księdze, która jest zamknięta, żeby tacy jak ty nie łamali sobie tym głowy.

– Bracie Jonie – przerwałem mu ostrożnie. – A zatem wiecie, o czym mówi brat Gerlon. Twierdzicie, że nie ma powodu, by nie ufać Soltarowi, i że nie ma zagrożenia, nawet gdyby te pieczęcie pękły. Dlaczego więc wysłaliście mnie do brata Gerlona?

– Bo wy możecie dać mu pokój, którego szuka. Ale inaczej, niż on myśli.

– Przyjmę każdy rodzaj pokoju, który uwolni mnie od koszmarów! – oświadczył żarliwie młodzieniec. I westchnął. – Choć teraz będą nawiedzać mnie nowe, po tym, co się właśnie rozegrało przed obliczem naszego boga...

Zapewne miał rację.

– Co to wszystko ma wspólnego z ser Roderikiem? – Serafine zadała pytanie, które sam miałem na końcu języka.

– Mniej z nim, a bardziej z mieczem u jego boku – westchnął brat Jon. – On może zaświadczyć bratu Gerlonowi, że przeklęty został zniszczony. – Wstał z krzesła. – Miejmy to za sobą. – Spojrzał na adepta. – Jeśli liczysz na to, że twoje wątpliwości znikną, to będziesz rozczarowany. Będziesz wątpić, póki żyjesz, ale twoja wiara musi być silniejsza niż wątpliwości, tylko tak możesz służyć naszemu bogu. Ale może to pomoże ci odnaleźć spokój.

Podszedł do szafy, tej samej, z której przedtem wyjął wino i kubki, i otworzył szufladę. Wydobył z niej wielki klucz ze złota, srebra i obsydianu, wystarczająco wielki, by zatłuc nim wołu. Na głowicy wygrawerowany był symbol, który wydał mi się znajomy.

– Twoja pierwsza pomyłka, Gerlonie – zaczął łagodnie kapłan – polega na tym, że myślisz, iż nieświęty został uwięziony tutaj. Pod tą świątynią nie ma krypty, ani ukrytej, ani otwartej. Żadnych tajemnych pomieszczeń, nic. To, co ty określasz mianem pieczęci, to tylko znaki, które symbolizują stan prawdziwych pieczęci, ale ich tutaj nie ma. Idź, Gerlonie, poszukaj brata Mirchy, on wkrótce zostanie moim następcą. Nawet jeśli nie masz prawa wiedzieć tego, co zamierzam ci pokazać, Mircha musi to wiedzieć, ze względu na swój urząd.

– Neron – odezwała się nagle Serafine. – To jest znak boga ojca na tym kluczu, prawda?

– Tak – potwierdził najwyższy kapłan, podczas gdy Gerlon oddalił się z pochyloną głową. – Dobrze uważałyście w świątynnej szkółce.

– Czwarta świątynia, ta, która jest zamknięta – odgadłem, a kapłan skinął głową.

– Dokładnie ta – odpowiedział spokojnie. – Może to ważne, żebyście zobaczyli to, co chcę wam pokazać. To jest powód, dlaczego ustępuję przed naciskami Gerlona... to i jego desperacja.

Rozległo się pukanie do drzwi, brat Jon zawołał „wejść” i w drzwiach stanął jakiś kapłan. Był cały rozdygotany.

– Jej się nie da powstrzymać – poskarżył się. – Przeżyła wstrząs, potrzebuje spokoju i snu, ale nie chce słuchać!

Nie musieliśmy pytać, kogo miał na myśli. Asela wparowała do środka, odsuwając kapłana na bok.

– Spać będę mogła, kiedy znajdę się w halach Soltara – oznajmiła z uśmiechem. Ślady próby, którą przeszła, były doskonale widoczne; miała oczy czerwone od płaczu, a z każdej zmarszczki wзираło zmęczenie. Mimo że przed chwilą wydawała mi się młoda, teraz wyraźnie się postarzała. – Teraz już nie zwątpię tak szybko w łaskę bogów – ciągnęła. – On zdjął ze mnie rozpacz, lęk, nienawiść i najgorsze wspomnienia. I jeszcze więcej: wybaczył mi moje czyny. – Wymierzyła pałający wzrok w Serafine. – Od bardzo dawna nie było mi tak dobrze. I jeśli rzeczywiście musicie zniszczyć przekłętą, który jest tak stary i potężny, to będziecie potrzebować mojej pomocy.

– Kim jesteście, moje dziecko? – spytał brat Jon i dał znak kapłanowi, na co tamten zamknął drzwi za Aselą.

– Sługą Starego Królestwa, która powróciła z długiej podróży. Więcej nie mogę zdradzić. I doceniam łaskę, którą właśnie okazał mi bóg. Ale mam zbyt wiele do zrobienia, by pozwolić sobie na odpoczynek.

– Cóż, wasza pomoc nie będzie potrzebna, gdyż przekłętą już dawno nie ma. Ale jeśli sobie życzycie, możecie nam towarzyszyć. To już zaczyna przypominać wycieczkę. – Podniósł wzrok, bo drzwi znowu się otworzyły. – Dobrze, Mircha, ty też już jesteś. W takim razie chodźmy.

– Na wycieczkę? – rzucił opryskliwie brat Mircha. – Wolę pójść wesprzeć wstrząśniętych wiernych.

Najwyższy kapłan westchnął.

– To konieczne, Mircha. – Spojrzał na Gerlona, który mierzył Mirchę wzrokiem pełnym zwątpienia. – Wydaje mi się, że jeśli chodzi o was dwóch, poniosłem porażkę. Może to będzie okazja do naprawienia tego. Chodźcie za mną. Proszę.

Po raz pierwszy poczułem, dlaczego ten człowiek był najwyższym kapłanem mojego boga. W tym jego ostatnim słowie leżało całe życie pełne wiary i wiedzy i niezbite przekonanie, że postępuje właściwie.

15

SOWA ERINSTOR

Była to dziwna procesja, krocząca nocą przez plac Świątynny ku ciemnej świątyni. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym bardziej przypominała mi stylem inną, tę ukrytą głęboko pod Gromogórami. W świątyni wilka kamienie też były tak zespolone ze sobą. Gmach był tak stary, że kolumny i portyk nosiły wyraźne ślady zwietrzenia. Ciężkie drzwi pokrywała patyna wieków, a właściwie tysiącleci. Z wyjątkiem głównej bramy wszystkie inne wejścia i okna zostały zamurowane. Wiatr wcisnął pył i piasek w każdą fugę, gdzieś rosnęły kępki wytrzymałej trawy, a tu i tam kwitły już drobne kwiatki, budzące nadzieję na nadchodzące lato. Kładący się na tym miejscu spokój i ciężar wieków zrobiły na mnie wrażenie.

– Wiecie, ile lat ma ta świątynia? – zapytałem najwyższego kapłana, kiedy ten odsłonił dziurkę od klucza w zamku wrót.

– Więcej niż wszystko inne – rzekł w odpowiedzi brat Jon i obiema rękoma wprowadził klucz do zamka. – Pisma w archiwach wzmiankują czasy elfów, a nawet dawniejsze. Kiedy ujrzycie boga, zrozumiecie.

Spróbował obrócić oburącz klucz, ale on ledwie drgnął. Coś zgrzytnęło i zamek się zaciął.

– Zapomniałem – rzucił brat Jon i pokręcił głową. – Naprawdę się starzeję. Ostatnim razem te wrota otworzono pięćdziesiąt lat temu, a wtedy też odsłanianie trwało kilka dni. Każę zrobić to jutro. – Zwrócił się do Mirchy i Gerlona: – Obiecuję, że pokażę wam, co musicie zobaczyć, lecz nie nastąpi to dzisiaj.

– Czy pozwolicie mi pomóc? – spytała uprzejmie Asela.

– Jak?

– Mogę otworzyć wrota, ale nie chcę tego robić bez pozwolenia. To dom boga. – Uśmiechnęła się lekko. – Można powiedzieć, że odzyskałam respekt przed bogami.

– Jeśli sądzicie, że potraficie, zróbcie to – zgodził się kapłan.

– Odsuńcie się wszyscy – poleciła Asela. Posłuchaliśmy jej i stanęliśmy w odległości dziesięciu kroków.

– Wystarczy? – spytał Mircha. – Czy mamy poprosić o konie?

– Powinno wystarczyć – odpowiedziała Asela, miażdżąc gburowatego duchownego twardym spojrzeniem. – Mam dla was dobrą radę, bracie Mircho: nieważne, czy jesteście kapłanem, czy nie, nie działajcie mi na nerwy!

Kapłan już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Asela nagłym ruchem uniosła dłonie. Coś podobnego wydarzyło się, kiedy Desina uwolniła obraz matki od kurzu, ale tu działo się coś więcej. Powietrze przez chwilę falowało jak nad gorącym piachem pustyni, a potem strzelił piorun, który strząsnął z wrót świątyni brud, piasek, kurz, trawę i kwiatki, a nas omal nie zmiotł z nóg, odłupał nawet część zielonkawej patyny, jakby w święty portal uderzył potężny młot. Podczas gdy my jeszcze mrugaliśmy z dzwoniącymi uszami, ciężki klucz obrócił się w zamku jak za sprawą niewidzialnej ręki i odrzwia puściły, uderzając z głuchym hukiem o kolumny okalające bramę.

Za drzwiami nie czekało nic prócz cieni i najczarniejszego mroku.

– Jeśli chcecie pozostawać w ukryciu – odezwałem się, poprawiając pożyczoną szatę, którą podmuch wiatru o mało nie zerwał mi z ciała – to czynicie to w niezwykcyjny sposób, maestro.

– Macie rację – przyznała z uśmiechem. – Ale nie mogłam się oprzeć. – Rzuciła spojrzenie na brata Mirchę, który stał z rozdziawionymi ustami i gapił się na nią. – Uwieracie mnie w jakiś osobliwy sposób, kapłanie – poinformowała go.

Serafine z namysłem mierzyła wzrokiem dawną Sowę.

Najwyższy kapłan całkowicie zignorował tę wymianę zdań. Było już późno, dobrze po północy, a na placu kręciło się niewielu przechodniów, lecz ci nieliczni przystawali zaciekawieni, przyciągnięci piorunem Aseli, podobnie jak tenet Byków, którzy wydali mi się znajomi... I rzeczywiście, sierżant Ilgar kontynuował swój patrol. Podszedł bliżej, skinął głową mnie i Serafine, obrzucił ciekawie wzrokiem Aselę i przyjacielsko klepnął w plecy młodego adepta. Gerlon przewrócił oczami.

– O tej porze jeszcze na nogach, braciszku? – zagadnął sierżant, a Gerlon westchnął, kiedy wszyscy wlepili w niego zdziwione spojrzenia.

– Mój starszy brat Ilgar – przedstawił go młody kapłan.

– My już mieliśmy przyjemność – odezwała się z uśmiechem Serafine.

– Kto tu ściągnął piorun? – zapytał grzecznie sierżant, spoglądając w usiane gwiazdami niebo. – Ludzie się boją, kiedy się błyska bez burzy.

– Kazałem otworzyć wrota świątyni – wyjaśnił najwyższy kapłan, prostując plecy. – Jednak nie po to, żeby ucinać tu sobie pogawędkę, sierżancie. Ale skoro już tu jesteście, możecie się na coś przydać. Uspokójcie ludzi i zadbajcie o to, żeby nikt oprócz nas nie wchodził do świątyni.

– Tak jest, ser! – Sierżant uklonił się nisko przed kapłanem i rzucił swemu bratu pytające spojrzenie.

– Później – odpowiedział Gerlon.

Weszliśmy za bratem Jonem do środka.

Na progu buchnęło w nas stęchłe, zimne powietrze, zmieszane z zapachem starego kadzidła. Dotknąłem rękojeści Rozpruwacza i rozpoznałem niewyraźne zarysy hali, lecz w tym samym momencie kapłan wykonał ręką gest i wokół nas rozjarzyło się rozproszone światło, miękkie i pozbawione cieni, ale wystarczająco jasne, żeby coś widzieć.

Wnętrze świątyni było o wiele skromniejsze niż dom Soltara. Potężne mury otaczały halę i zwieńczały ją centralną, zamkniętą kopułą. Potężne bloki kwarcu, połyskujące w niewyraźnym świetle, wisiały nad naszymi głowami, tworząc wykute w kamieniu kratownice.

Podobnie jak u jego boskich dzieci, tu również posąg wszechmogącego ojca stał na wysepce otoczonej rowem, który niegdyś musiał być wypełniony święconą wodą. I tutaj były schody pozbawione ostatniego stopnia, a przed nimi kamień ołtarza z różowego kwarcu. Z tyłu, na odległej ścianie dało się rozpoznać ciężkie, zdobione złotem drzwi.

Lecz to posąg boga przykuł moją uwagę.

Istniały religie, które przedstawiały swych bogów większymi, niż rzeczywiście byli, ale to nie odpowiadało naszym zwyczajom. Astarte, Soltar i Boron nie mieli wykutych w kamieniu posągów nadnaturalnej wielkości, w końcu byli bogami ludzi. Bóg ojciec najwyraźniej nie. Wątpliwe, czy ten posąg w ogóle był dziełem kamieniarza...

Sylwetką bóg przypominał nas, ludzi – albo my przypominaliśmy jego. Stał prosto na dwóch nogach, a jego szlachetne oblicze spoglądało nad naszymi głowami przez wysoką bramę na plac. Stał tak w swobodnej pozie, wysoki na dobre osiem kroków, z ręką na ciężkim kosturze z ciemnego drewna i zdawał się lekko uśmiechać. Jego złociste oczy były wypełnione światłem. Lecz były to obce oczy i miały pionowe szpary zamiast źrenic.

Rysy twarzy przypominały w swej klarowności elfy: wysokie kości policzkowe, wąskie usta, za którymi dało się rozpoznać ostre zęby, a nasada szyi i lekkie pochylenie głowy – podobne do pozy, którą przybierała Zokora, kiedy spoglądała na kogoś pytająco... Mieliśmy przed sobą początki elfów, ale nie elfa.

Bóg był nagi, jego przyrodzenie równie wyraźne jak cała reszta, ale podczas gdy my, ludzie, mamy gładką skórę, bóg pokryty był łuskami, nakrapianymi granatem, turkusem i złotem i mieniącymi się w sposób, który robił wrażenie ruchu.

Nie wyglądał jak statua, lecz jakby bóg rzeczywiście tu był. W postrzeganiu Rozpruwacza otaczało go delikatne światło, które miało swoje źródło w samej podobiznie boga, ale jednocześnie promieniało na wszystko dokoła.

Dłonie miały po sześć palców, stopy również, paznokcie przypominały jaszczurze pazury, tyle że dały się chować jak u kota i błyszczały jak ciemna stal. Był

jednocześnie obcy i znajomy, co napełniało mnie lękiem i nabożną atencją.

– Bogowie – wyrwało mi się. – Kim... czym on jest?

– Bogiem pierwszych istot, które były na tym świecie – wyszeptał najwyższy kapłan. Jego głos niósł się po starych murach, słyszalny dla każdego. – Starszym od tytanów, którzy pierwsi zaludniali świat. Wiele wzmianek w starych pismach wskazuje na to, że należał do rodu smoków.

– Smok? – spytała cicho Serafine. – Myślałam...

– Istniały zapewne różne gatunki – wyjaśnił kapłan. – Inteligentne oraz takie, które przypominały bardziej inne zwierzęta, ale wszystkie były przepełnione magią, a o niektórych mówi się, że potrafiły zmieniać postać. Może objawia się nam w swojej ludzkiej postaci.

Podszedłem do posągu, a im byłem bliżej, tym wyraźniej Rozpruwacz ukazywał mi majestat tej istoty.

– Bogowie – szepnąłem, ponieważ kiedy podniosłem wzrok, bóg mrugnął, i to dwukrotnie, raz powieką, która błysnęła na boki, a drugi – powieką wyglądającą na ludzką.

– To... on... – Nie panowałem nad słowami.

– Tak – powiedział kapłan. – Ale nie zakłócajmy dłużej jego spokoju. To jeszcze nie czas, by zbudził się na nowo... Chodźcie.

Opancerzona, nadnaturalnie wielka, z pazurami, które mogły rozerwać człowieka na strzępy – ta istota powinna przepełniać mnie trwogą, ale ja czułem tylko dobrotliwą cierpliwość, którą ona emanowała. On czekał...

Odważyłem się jeszcze na ostatnie spojrzenie, a potem pospiesznie odwróciłem wzrok i poszedłem za kapłanem, który powiódł nas do drzwi za ołtarzem. Podskórnie spodziewałem się chyba, że odprowadzi nas spojrzeniem, ale tak się nie stało. Spał z otwartymi oczami i zauważył każdego z nas.

– Córka Smoka – szepnęła Serafine. – Co, jeśli należy to rozumieć dosłownie? – Zerknęła ukradkiem na boga. – Wówczas to nie mogłaby być Leandra...

– To musiałyby być Astarte – wyszeptałem w odpowiedzi. – To ona jest jego córką...

W mrocznej ojczyźnie Zokory Solante była boginią wojowniczek, ale dla nas, ludzi, symbolizowała wzniosłe ideały ludzkości. Podczas gdy jej bracia zadawali rany, ona była za przebaczeniem i złagodzeniem wszelkiego cierpienia. Była najbardziej pokojowa ze wszystkich bogów, a jednak jej aspektem była mroczna Solante. Czy to ona miała zabić cesarza nekromantę? Ale wtedy Kolaron nie miałby potrzeby ujarzmić wszystkich kobiet, które się do niego zbliżyły.

Ten sam ciężki klucz, który otworzył wrota do starej świątyni, pasował także do drzwi za ołtarzem.

Asela ucichła, kiedy ujrzała stojącego tu boga, i doskonale potrafiłem się w nią wczuć. To był bóg we własnej osobie, bóg ojciec. Ktoś, kto ośmieliłby się wejść po schodach, mógłby go dotknąć. Nie żadnej świetlistej postaci, zadomowionej gdzieś na firmamencie, ale istoty, która istniała *tutaj*, w którą nie trzeba wierzyć. Wystarczyło ją zobaczyć. A co z jego dziećmi? Były jedynie idea, wierzeniem czy istniały naprawdę? Można je było zobaczyć, dotknąć ich? Skoro on tam stał i rzeczywiście był bogiem, to oznaczało, że i Soltar istniał w takiej postaci. Czy kapłkańscy kamieniarze, którzy w transie nadawali naszym bogom zawsze te same rysy, mieli przed sobą bogów w ich własnej osobie, kiedy przykładali dłuto? A może bogowie wręcz chadzali wśród nas, nierozpoznani przez nikogo, jak mówiły niektóre pisma? Może Soltar siedział w jakiejś tawernie i obserwował, co się dzieje wokół niego, widział troski i zgryzoty, cierpienie i radości życia, którego był panem? Czy naprawdę dawno temu do plemienia ludzi przybył mężczyzna z płonącym konarem w dłoni i słowami, które odebrały im lęk przed nocą i ciemnością?

W milczeniu weszliśmy za kapłanem w ciemny korytarz, prowadzący do czegoś budzącego zgrozę. Pod stęchlizną i starym dymem z kadzidła wyczułem coś, co zbyt często wahałem, by się mylić: starą śmierć.

Możliwe, że świątynia Soltara nie miała tajemnych podziemi czy katakumb, ale tu było inaczej. Świątynia Nertona przypominała lisią norę z długimi korytarzami, komorami, pomieszczeniami i halami, wykutymi w litej skale, na której zbudowano miasto. W niektórych z tych komór stały rozpadające się łóżka i meble. Tutaj dawniej żyli kapłani boga, ale niektóre z łóżek były za duże dla człowieka, inne z kolei zbyt małe i o dziwnym kształcie.

W skalnych ścianach wykuto reliefy, przedstawiające sceny z życia, które minęło, zanim na świecie pojawiły się elfy. Widniały na nich olbrzymy i tytani, istoty przypominające jaszczury i inne, a w jednym miejscu ujrzałem pojedynczą postać, podobną do człowieka i elfa zarazem. Może to był jeden ze Starszych, o których mówiły elfy. A może nie.

Coraz bardziej zagłębialiśmy się w katakumby, aż znaleźliśmy się w długim, głębokim korytarzu, zakończonym dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Widniał na nich wizerunek człowieka ze złota, ze wszystkimi precyzyjnymi szczegółami. Stał przed nami z pochyloną głową, lekko zgiętymi rękoma, otwartymi dłońmi, w prostej szacie, przytrzymywanej w pasie sznurem. Wokół niego błyszczały gwiazdy ze złota i diamentów, osadzonych w ciemnym bazalcie.

– Soltar – szepnął najwyższy kapłan i przyłożył delikatnie dłoń do drzwi, które otworzyły się bezgłośnie.

Przed nami rozciągało się obszerne pomieszczenie, z wysokim na dobre cztery kroki sklepieniem, ale przez to, że mierzyło po przekątnej ze trzydzieści kroków, sprawiało wrażenie niskiego.

Tutaj miał swoje źródło odór śmierci. Na dużym bloku najczarniejszego bazaltu, zdającego się zasysać światło, leżał owinięty zbutwiałą szatą wypalony szkielet, zgięty w agonii, z głową odrzuconą do tyłu i ustami rozwartymi w krzyku. Kości związane były złotymi pętami, połyskującymi tajemniczymi runami. Cztery włócznie ze stali, srebra i obsydianu przybijały nadgarstki i pęciny do bazaltu, piąta przewiercała szyję. Jakby tego było mało, z piersi trupa sterczał miecz o bladym ostrzu, wbity głęboko w kamień.

W okręgu wokół bloku grozy klęczało trzynaście postaci, po części w zbrojach albo złotych szatach, każda z nich wsparta o miecz, topór, włócznie albo kij. Rozpoznałem ozdobny napierśnik wojownika elfów, ciężką zbroję Byka, utkaną z drobnych oczek kolczugę z wizerunkiem gryfa, jaką nosiła także Leandra, a obok niewielkiego mężczyznę o szerokich barach i w topornej kolczudze, który opierał wysuszone ręce na potężnym bojowym młocie.

– Ten nekromanta był tak potężny – odezwał się szeptem kapłan – że trzeba było wiecznej straży złożonej z kapłanów wszystkich ras i krain, by go utrzymać w więzach.

W milczeniu podeszliśmy bliżej, ostrożnie szukając luk między strażnikami o pustych oczodołach, którymi nadal z determinacją zdawali się pilnować wroga.

– Podobno zawłaszczył sobie tyle żyć i dusz, że nie mógł umrzeć. Ofiarowywał zrabowane życia w rytmie swego zepsutego serca i nawet przebity włóczniami, odnawiał się wciąż na nowo. Kogoś bez silnej wiary, kto przekraczał próg tego pomieszczenia, ogarniało szaleństwo, zmuszające do mordowania albo do odrywania sobie od kości własnego ciała.

Drżącą, poznaczoną starczymi plamami dłonią wskazał na niemych strażników.

– Nikt nie mógł długo przeżyć na takiej służbie. Przez długi czas strażników zmieniano niemal codziennie...

– Znaczą umierali tu każdego dnia? – spytałem przerażony.

– Nie – zaprzeczył cicho. – Kiedy nekromanta został związany, najpierw byli tu żywi strażnicy. Ciężka służba, bez wątplenia, ale niewymagająca ofiar. Umarli później, kiedy ostatecznie zniszczyli nieświętego. Poświęcili siły, wiarę i życie, by oddać tę ostatnią posługę.

– Jak? – spytał brat Gerlon chrapliwym głosem. – Jak udało się wykończyć przeklętego?

– Właśnie tak, jak sądziłeś – powiedział cicho brat Jon. – Askannon związał nekromantę, ale nie mógł go pokonać, dopóki przeklęty miał władzę nad

zrabowanymi przez siebie duszami. Nieświętego można było tylko spętać... – Kapłan zwrócił się do nas i długo mierzył nas wzrokiem, zanim podjął niespiesznie: – Czasami zdarzało się, że bogowie błogosławili jakąś szczególną broń, która przez to błogosławieństwo i wiarę, jak również odwagę i niezwykły czyn otrzymywała wyjątkową moc. Tak jak miecz, który nosicie u swego bogu, ser Rodericu. Mówi się, że został wykonany elfią ręką i walczył z bogiem ciemności. Wasze ostrze nosi imię Ar'in'faed, Strażnik Światła albo Cienia w Ciemności. – Spojrzał mi prosto w oczy. – My mamy inną nazwę dla Strażnika Światła i Cieni: Rozkuwacz Dusz. To najświętsza broń naszego wyznania. Podobno sam Soltar walczył nim przeciwko Omagorowi.

Stałem jak rażony gromem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. To było takie oczywiste... Rozpruwacz Dusz... Jak mogłem myśleć, że mój miecz panował nad życiem i śmiercią, wrywał innym życie, uwalniał dusze i oddawał mi utracone życie, jeśli nie było to życzeniem i wolą boga? Ale kapłan mówił dalej:

– Tak jak my uważamy Rozpruwacza Dusz za święty miecz, tak samo inne świątynie i religie czczą inną broń, napełnioną wiarą przez ich bogów. Kiedy Wieczny Władca pojął, jakie zagrożenie stanowią przeklęci, zaczął szukać broni, którą mógłby zabrać im to, co czyniło ich tak silnymi: zrabowane dusze. W pokorze, po prośbie przyszedł do naszych świątyn i pytał o świętą broń, która byłaby napełniona wolą bogów, tych bogów, których prawa łamali przeklęci, bo zabierali im dusze, które im się należały. – Milczał przez chwilę i zbierał myśli. Ja stałem tylko, czułem w swoim ręku Rozpruwacza i gapiłem się na zwęglone szczątki nekromanty. Byłem rad, że w tym szkielecie nie było już życia, nie było duszy.

– Te świątynne rodzaje broni były wypełnione wiarą i mocą bogów, ale to tylko jedna z form mocy, w dodatku dość rzadka. Askannon wyprosił je i przysięgł, że wykuje je na nowo i natchnie nową mocą, nie odbierając im tego, co stanowiło ich istotę: boskiego błogosławieństwa. Obiecał, że wykuje z nich broń zdolną wrywać przeklętym to, co zrabowali: dusze. A następnie oddawać je temu, komu poświęcony był miecz. Jego pierwszym i największym dziełem było to ostrze, które nosicie u boku, ser Rodericu. Dał mu nowe imię, odpowiadające znaczeniem staremu: Rozkuwacz Dusz. Podówczas dowodził oddziałem żołnierzy wyszkolonych w szermierce przez najlepszych wojowników i kapłanów, zwinnych i sprawnych, obdarzonych wyjątkowymi zdolnościami, silną wolą i wiarą, i rekrutowanych spośród sprzymierzonych mrocznych elfów, które posiadały własną formę władzy, wiary i magii. Była to zaprzysiężona grupa, która nazywała siebie jastrzębiami nocy; ich jedynym zadaniem było polowanie na przeklętych. To ich przywódca, elfowi Talisanowi, przekazał to blade ostrze, poświęcone przez Soltara, jemu zaprzysiężone i obdarzone wszystkim, co tylko mógł tchnąć w nie cesarz. Pierwsze Ostrze Spójni,

a jednocześnie to, które jest najpotężniejsze ze wszystkich i zdolne panować nad życiem i śmiercią bogów. Wykuł też dwanaście innych mieczy, a każdy wyposażył w inny rodzaj zdolności i mocy, ale w jednym wszystkie były podobne: uwalniały uwiecznione dusze spod uroku łowcy dusz, którego dotknęły stałą. Zwracały dusze bogom, którym zostały zaprzysiężone, a jednocześnie wyrwały mrocznemu łowcy źródło jego mocy. – Urwał i pozwolił wybrzmieć swym słowom. Czułem się, jakbym nie był zdolny do myślenia, jakby to, co usłyszałem, było zbyt wielkie, by pojąć to w całości.

Najwyższy kapłan odchrząknął i uśmiechnął się.

– Czy ktoś ma coś do picia? – spytał uprzejmie. – Trochę zaschło mi w starym gardle.

– Proszę – odezwała się Asela i podała mu srebrną flaszkę. – To rozcieńczone wino, dobry rocznik. – Ja miałem podobną, nosiła symbol Byka. Butelka Aseli była ozdobiona znakiem Sowy i błyszczała, jakby dopiero wyszła z manufaktury.

Kapłan skinął głową w podzięcie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy naprawdę można było aż tak ufać Aseli, ale Soltar ją przecież oszczędził. Musiał wiedzieć, co robi.

Kapłan wypił z wdzięcznością łyk, oddał butelkę i chrząknął ponownie.

– Askannon pracował nad tymi mieczami przez długie lata. Były po wielokroć błogosławione i sprawdzane przez kapłanów, czy przypadkiem nie została uszkodzona drzemiąca w nich świętość. Splecenie ze sobą boskiej i świeckiej magii to sztuka, której nie opanował nikt inny, a i dla Askannona nie była łatwa do wypełnienia. Przez wszystkie lata, kiedy tkał swą magię i wykuwał na nowo miecze, pełnili tu swą służbę strażnicy. A potem, jakieś osiemset lat temu, do naszej świątyni przybyła Sowa, młody mężczyzna o imieniu Erinstor. Powiedział, że jest uczniem Sowy Balthasara, który wtedy był jednym z największych uczonych, jakich widziało królestwo. Mówił, że zajmuje się badaniem łowców dusz i że na podstawie prac swego mentora, owego Balthasara właśnie, ustalił, jak działa przekleństwo Bezimiennego. Twierdził, że wie, w jaki sposób ostatecznie przełamać moc przeklętych.

Skupiałem się na słowach kapłana, mimo to dostrzegłem, jak Asela zaskoczona, niemal przestraszona, podnosi wzrok i wlepia go w Jona. Była zaprzyjaźniona z Balthasarem i musiała wiedzieć o tym uczniu, ale to, co tu słyszeliśmy, musiało być dla niej nowe.

– Poprosił o Rozpruwacza Dusz i zaofiarował się, że tym właśnie mieczem odeśle przeklętego na potępienie. Nie wiedział, że ostrze Soltara należy do Talisana, i był tym zdumiony, ale Rozkuwacz Dusz nie był jedynym Ostrzem Spójni, które Askannon zdążył już uformować. Istniało też inne, miecz o imieniu Poskromiciel Strachu, który

stanowił tarczę przeciwko lękowi i rozpacz. To również był potężny miecz, choć inny niż miecz Soltara. A Poskromiciela Strachu mogliśmy mu dać, gdyż ostatni jego nosiciel poległ tuż przedtem, zaś nowy nie został jeszcze wybrany. Sowa dokładnie opisał, co należy zrobić, aby zgładzić przeklętego, mówił też, jakie będą tego koszty, gdyż w chwili, gdy on zada cios mieczem, strażnicy będą musieli wesprzeć działanie magii wszystkim, czym dysponowali. Zażądał ofiary, którą tu widzicie. Za to, by po nich nikt nie musiał już tu pełnić wachty.

Zamilkł i zapadła absolutna cisza. Słysząc było tylko oddechy i szmer krążącej w żyłach krwi.

– Po długich przygotowaniach i modłach z Sową Erinstorem przybyła do tego mrocznego miejsca ostatnia straż. Odczyniono rytuał. I powiódł się, jak widzicie. Poskromiciel Strachu wyzwolił dusze spod uroku przeklętego, a wraz z mocą miecza, wolą, wiarą i ofiarą tych strażników, mocą i wiedzą tamtego Sowy, udało się to, czego nie dokonał nawet Askannon. Największy ze wszystkich przeklętych, istota tak potężna i silna, że w swej mocy równająca się niemal bogu, została skazana na potępienie! Sowa omal nie zginął podczas tej próby, z trudem udało mu się ujść ze świątyni. Znaleźliśmy go i pielęgnowaliśmy, za to inni zstąpili w podziemia i znaleźli to, co tu widzimy. – Długo patrzył na martwych strażników, na przeklętego i na bazaltowy blok ze złotymi łańcuchami i włócznieami.

– Zostawiliśmy wszystko nietknięte, to już tylko grobowiec, a nie więzienie. Dzięki ofercie tej trzynastki klątwa zamieniła się w coś świętego, a każdy najwyższy kapłan naszych bogów przyprowadza tu swojego następcę, aby pokazać mu, jakiej ofiary i jakiej wiary niekiedy wymaga się od nas, i by pokazać, dlaczego nigdy nie wolno się wahać. Ta trzynastka od tamtej pory jest naszym wzorem i przypomnieniem obowiązku, przed którym w służbie naszemu panu nie wolno się nam cofać. – Zwrócił się do młodego adepta: – Ty widzisz i czujesz to miejsce, Gerlonie, widzisz, kto tu umarł. To jest grobowiec, miejsce ostatniego spoczynku potwora i trzynastu mężnych dusz. To nie jest miejsce, gdzie przyprowadza się tłumy, które wystawia się na pokaz, lecz miejsce spokoju i zadumy. Mam nadzieję, że rozumiesz teraz, dlaczego nie byłem chętny otwierać tych drzwi i dlaczego życzyłem sobie, abyś uwierzył mi na słowo, nie widząc. Mircha, wiem, że musiałeś cierpieć, że bardzo dotknęło cię to, co przytrafiło się twojej rodzinie, że masz zastrzeżenia co do łaski naszego boga, ale tu masz przykład twojej powinności. Jeśli chcesz nosić moją szatę, musisz być do tego gotów, bez wahania, bez wątpliwości. Gdyż nie tylko bóg jest dla nas, ludzi, tarczą przed ciemnością, potrzeba też sług, którzy nieustraszenie będą nieść tę tarczę, wraz z jego światłem, w mrok.

– Tak, panie – wyszeptał brat Mircha i padł na kolana. – Nie rozumiałem tylko...

Brat Gerlon przełknął ślinę i otarł łyzy.

Serafine i ja byliśmy nie mniej poruszeni i oboje z trudem panowaliśmy nad emocjami. Wodziłem wzrokiem po nieruchomych sylwetkach, które oddały swe życie, by wysłać przeklętego na potępienie.

Lecz jedna wśród nas pozostawała nieporuszona. Asela chłodnym, ostrym głosem zburzyła ten podniosły moment.

– Mówicie zatem, bracie Jonie, że ten Sowa Erinstor za pomocą miecza o imieniu Poskromiciel Strachu uwolnił dusze spod jarzma nekromanty? Tego samego miecza, który tkwi tam w zwęglonych kościach?

– Tak, to pewne – odpowiedział zaskoczony kapłan. – Nikt go nie tknął od tamtej pory.

– Może lepiej byłoby właśnie to zrobić. Erinstor nie był Sową, ale był uczniem Balthasara. Miał niemałe magiczne zdolności i mógłby być Sową. Lecz jego charakter pozostawiał wiele do życzenia. – Asela przeszła Gerlona twardym spojrzeniem. – Podobnie jak ten adept, Erinstor był żądny zakazanej dla niego wiedzy, choć brat Gerlon wiedziony był niewinną ciekawością. Z Erinstorem było inaczej, on dążył do władzy, aby się wzbogacić. Oprócz talentu magicznego posiadał jeszcze inny, aż w nadmiarze: zdolność przekonywania i mamienia. Ten jednak nie zdał mu się na wiele. Balthasar i Feltor dowiedzieli się, że wykorzystał pewną młodą Sowę i przy użyciu magii pozbawił ją woli, żeby dopuścić się na niej czynów nierządnych. Miał szczęście, że adeptka miała zbyt dobre serce, by go oskarżyć. To mogło kosztować go głowę, ale my obłożyliśmy go inną karą, a potem puściliśmy wolno. Erinstor nigdy nie był Sową, ale mógł zdobyć lub zagrabić wystarczająco dużo mocy i wiedzy, żeby dokonać tego, co opisaliście. – Słowa Aseli padały w ciszy niczym lodowe odłamki. Wpatrywaliśmy się w nią oszołomieni.

– Jak... jak możecie twierdzić coś takiego? – oburzył się brat Jon. – Sama widzicie, że nieświętego już nie ma! Jak śmiecie kłaść brudem tę świętą ofiarę?

– Wiem, bo przy tym byłam – odparła Asela, zgrzytając zębami i zaciskając pięści. – Erinstor wykorzystał tę, która tu przed wami stoi! Nikt nie wiedział, że poszedł do waszej świątyni i zażądał miecza. I przysięgam, że Balthasar do dziś przeklina ten moment, w którym zmiękczyła jego serce, prosząc, by ocalił życie jej hańbicielowi. Była zbyt dobroduszna, to była jej jedyna wada.

– Ale... ten człowiek dokonał tego, co obiecywał! – zaprotestował najwyższy kapłan.

– Nie mógł tego zrobić – odparła twardo Asela. – Nawet jeśli dzięki wstawiennictwu Aseli opuścił cytadelę z głową na swoim miejscu, to zrobił to bez odrobiny magicznej mocy, bowiem Balthasar poprosił Askannona, aby ten zadbał o to, żeby Erinstor nigdy

więcej nie mógł złamać woli kobiety za pomocą magii, a Wieczny Władca osobiście złotą igłą i własną mocą odebrał hańbicielowi jego magiczny talent. Kiedy Erinstor został wyprowadzony przez strażę z cytadeli, poprzysiął zemstę, ale Balthasar wyśmiał go i powiedział, że wyrwano żmii jadowite zęby i nigdy już nie pohańbi kobiety magią. Erinstor odpowiedział, że zemsta będzie należeć do niego i że zniszczy wszystko, czego mu odmówiliśmy. Balthasar nigdy więcej go nie widział.

– Jeśli to prawda – odezwał się z powątpiewaniem w głosie najwyższy kapłan – jak to możliwe, że dokonał tego tutaj?

– Odpowiedź brzmi – odparła Asela głosem przypominającym pękające szkło – że nie mógł i tego nie dokonał. Macie tutaj świadków jego czynu, nie tylko świadków, ale i ofiary... Gdyby mogli przemówić, opowiedzieliby, co tu zaszło, ale oni milczą. Ich ofiara nie będzie mniejsza przez to, co wam pokażę, za to tym większa hańba!

– Nadal nie rozumiem – rzekł łamiącym się głosem najwyższy kapłan. – Co chcecie nam pokazać?

Jednym długim krokiem podeszła do czarnego bloku i nie zważając na wysiłki kapłana, który chciał ją powstrzymać, wyszarpnęła Poskromiciela Strachu z kamienia.

– Nie możecie tego robić! – wykrzyknął kapłan, zaś Mircha zdecydowanie podszedł do dawnej Sowy, nieuzbrojony, ale gotowy zrobić wszystko, by nie dopuścić do świętokradztwa. Asela podała miecz najwyższemu kapłanowi.

– Pokażę wam, zresztą sami możecie się łatwo o tym przekonać, że ten miecz nie nosi w sobie ani krztyny magii ani boskiej mocy! Może i opatrzony jest znakiem Soltara, ale to nie jest Poskromiciel Strachu! To nic więcej jak kawałek żelaza, bez cienia duszy i bez nadziei. Nie musicie mi wierzyć na słowo... zobaczcie sami! – Wcisnęła miecz w stare ręce brata Jona, które przyjęły go z drżeniem. Spojrzał ze zgrozą na Asele, otworzył usta, a jego oczy otwierały się coraz szerzej i w końcu osunął się na podłogę... Miecz z brzękiem wypadł z jego rąk pod moje stopy. Mircha i Gerlon dopadli do starca, żeby się nim zająć, z wyrzutem patrząc na Asele.

– Nie miejcie do mnie pretensji – powiedziała cicho. – Popatrzcie na niego jak na ostatnią ofiarę tego czynu.

– Ona ma rację – wyszeptał starzec. – Ale nie, bóg nie wzywa mnie jeszcze... Przerażenie było zbyt wielkie dla mych starych kości.

– Pomóc wam wstać, bracie Jonie? – spytał cicho Mircha, ale stary kapłan pokręcił głową.

– Przynieście mi miecz – poprosił ledwie słyszalnie. Schyliłem się i podałem mu miecz, a ten dotyk wystarczył, by potwierdzić słowa Aseli. To nie było Ostrze Spójni, tylko zimna stal.

Stare dłonie zacisnęły się na gołym metalu... Kapłan spojrział na nas, a potem na trzynastkę klęczących w milczeniu.

– Soltarze! – wyszeptał. – Co za zbrodnia... – Jego głos drżał. – Jeśli to nie jest Poskromiciel Strachu... a nie jest, też to teraz czuję, to kto leży zwęglony na tym bloku?

– Przypuszczam... Nie. – Asela podeszła do kamienia i przyjrzała się opatrzonym runami łańcuchom, które wciąż trzymały kości. – Nie – powtórzyła. – Do dziś moc tych runów jest tak wielka, że nawet ja miałabym trudności z ich rozwiązaniem. Erinstor nie byłby zdolny do uwolnienia przeklętego. – Spoglądała nierozumiejącym wzrokiem. – To muszą być szczątki przeklętego... ale to nie ma najmniejszego sensu! Erinstor nie miałby mocy, żeby tego dokonać, a to był i nadal jest fałszywy miecz!

– Mogę wam powiedzieć, co się stało – odezwał się zduszonym głosem brat Gerlon. – Widzę odpowiedź w moich koszmarach, widzę go, jak leży tu na tym kamieniu... Podnosi się, ściąga więzy, sięga ku przypominającej cień postaci i zakłada ją na siebie niczym płaszcz, a potem odchodzi z uśmiechem, który sprawia, że wciąż na nowo budzę się złany potem! To się tu stało... przekłety wziął sobie tego szalonego hańbiciela, włożył go na siebie jak nową sukienkę i z tą żywą maską na obliczu uszedł z więzienia, które miało go tu trzymać!

Soltarze, pomyślałem z desperacją, to w osobliwy sposób miało sens!

– Bogowie – wyrwało się Serafine. – Nic dziwnego, że ledwie udało mu się żywemu ujść ze świątyni – powiedziała z goryczą. – Musiał przejść obok boga... a on z pewnością nie pozwolił mu odejść bez kary.

– Tak, tak musiało być – zgodziłem się. Omiotłem wzrokiem czarne szczątki. – Przekłety wykorzystał szaleństwo i wściekłość wykluczonego ucznia Sów... A ten Erinstor musiał doprawdy być szalony, co innego mogło nakłonić go, by pomógł uwolnić przeklętego?

– Władza – powiedziała cicho Asela. – On zawsze chciał władzy. Może myślał, że w ten sposób ją zdobędzie. – Urwała na chwilę. – Może... co było właściwością Poskromiciela Strachu, bracie Jonie? Czym się odznaczała ta broń?

– Chroniła przed lękiem, trwogą i przed władzą nekromanty. Nie dotykały one tego, kto nosił Poskromiciela Strachu – odpowiedział zmęczonym i łamiącym się głosem kapłan. – Tak przynajmniej stoi w pismach.

– Co jeszcze? – naciskała Asela, przyklęknięwszy przy starcu. – Pomyślcie. Czy wiadomo o tym mieczu coś jeszcze?

W pierwszej chwili staruszek pokręcił głową, ale potem znieruchomiał.

– Może... Podobno potrafi użyć mocy wroga przeciwko niemu samemu, a mroczny czar, który rzuca się na nosiciela, staje się dla Poskromiciela bronią skierowaną na

przeklętego. To dziedzictwo boga, od którego pochodzi ta broń.

– Jak to? – zdumiałem się. – To nie miecz Soltara?

– Poskromiciel Strachu? – Staruszek pokręcił głową. – Nie. Miecz został poświęcony Soltarowi później, żeby złamać klątwę, która na nim spoczywała.

– Jaką klątwę? – zapytała Asela.

– Tego nie wiem – odparł kapłan. – Broń została oczyszczona, a klątwa zdjęta, a w czasie, gdy Askannon przekuwał miecz, jego ostrze nieustannie sprawdzano, czy nadal jest święte świętością naszej wiary.

– Jakiemu bogu była pierwotnie poświęcona, jeśli nie Soltarowi? – chciałem wiedzieć.

– Tego nikt nie wie, znaleziono ją na starym polu bitwy, gdzie dawno temu potykały się ze sobą elfy. Ale, jak mówiłem, Poskromiciela Strachu oczyszczono i poświęcono Soltarowi.

Asela, nadal klęcząc przy starym kapłanie, rozpaczliwie pokręciła głową.

– Może to jednak ma coś wspólnego z Poskromicielem Strachu. Jak Erinstor mógł o tym wiedzieć? Prosił wszak o Rozpruwacza Dusz.

– Tak było – potwierdził kapłan. – Stare pisma są w tej kwestii dość jednoznaczne. Był rozczarowany, że miecz należał już do kogoś innego.

– No, ale jak to wszystko mogło się stać i Sowy się o tym nie dowiedziały? – pytała wstrząśnięta. Trawiłem w duchu słowa kapłana.

– To była kwestia wiary, nie nauki – odpowiedział brat Jon. – Akt wiary, pokory i oddania... czegoś takiego nie wystawia się na świeckiej scenie, to cicha posługa, która nie szuka poklasku. Co się dokonało, to się dokonało, nie trzeba się tym było chwalić. – Dał pozostałym kapłanom znak, by pomogli mu wstać.

– Ci mężczyźni i te kobiety oddali całą swą istotę, żeby położyć kres przeklętemu – podjął cicho. – Macie rację, moje dziecko, to nie pomniejsza ich ofiary, lecz czyni zbrodnię jeszcze większą. Zbrodnię popełnioną na wszystkich tych, którzy myśleli, że oddają życie w służbie bogom.

– Kiedy to się wydarzyło? – zapytałem cicho. – To było jeszcze przed abdykacją Wiecznego Władcy, prawda? Powiedźcie, bracie Jonie, czy Askannon kiedykolwiek przyszedł tutaj, żeby zobaczyć swojego dawnego wroga, czy o nim zapomniał?

– Nie przyszedł – odparł kapłan. – Nie on. Oprócz was to miejsce tylko jeden raz nawiedził ktoś, kto nie był związany wiarą z jednym z naszych bogów. To był jakiś uczonec, o ile wiem.

Choć to nie mógł być on, pomyślałem o uczonym, którego spotkałem, który wiele wiedział i wydawał mi się zagadkowy i który zrobił wrażenie nawet na Zokorze.

– Wiecie, kiedy to było? – spytałem łagodnie.

– To musiało być w czasach zamieszek, kiedy wyschła rzeka światów. Uczony usłyszał o przeklętym i chciał się przekonać, czy na pewno jest uwięziony, zamierzał wykluczyć, że to miało coś z nim wspólnego. To było tuż przed abdykacją Wiecznego Władcy, tak jest zapisane.

– I? – spytałem. – Co stwierdził ów uczony?

Kapłan zmarszczył brwi.

– Wybaczcie, ser Rodericu, dużo czytałem, a moja pamięć nie jest już najlepsza... nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że był tutaj i odszedł bez słowa... ale mogę się mylić.

– Pamiętacie może jego imię?

– Wymagacie zbyt wiele. Mimo najlepszych chęci nie mogę...

– Czy nazywał się może Kennard? – przerwałem mu. Brat Jon spojrzał na mnie zdumiony.

– Racja! Tak się nazywał. Kennard! Był skrybą na placu Świątynnym... i raz nawet sporządził kopię słów Soltara dla świątyni! To dlatego wspomniano o nim w pismach! Skąd znacie jego imię?

– Skryba – powtórzyłem z namysłem. Coś mnie gryzło w myślach. Spojrzałem na Asełę, która zamyślona oglądała zwęglone szczątki. – Mówi wam coś to imię? To musi być ktoś, kto też posiada magiczny dar, gdyż spotkałem tego człowieka jakiś czas temu na Przełęczy Gromów w Nowych Królestwach. Czy też był Sową? Sporo wiedział o Starym Królestwie, ale jeśli to był ten sam uczony, to musiał przeżyć wieki. Tylko Sowy i nekromanci żyją tak długo, pomijając elfy.

– Nie – odparła Asela i zdecydowanie pokręciła głową. – Gdyby był Sową, wiedziałabym o nim. Sowy są uczonymi, owszem, ale człowiek o takim imieniu nigdy nie studiował w wieży. A po nas nie było żadnych nowych Sów, aż wieża otworzyła się dla Desiny, nowej primy. Istnieją jednak maestrowie, którzy nie są Sowami, najlepszym przykładem jest wasza królowa, która podąża za magiczną tradycją, o której chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej. Może będę mogła z nią porozmawiać.

Słyszając nadzieję w głosie Aseli, stłumiłem uśmiech. Może i była Sową, może przeżyła gorsze rzeczy, niż człowiek mógł sobie wyobrazić, ale nie dało się nie zauważyć, że ze swej istoty była na wskroś uczoną! Tacy ludzie zapominali w swej ciekawości o wszystkim innym poza tym, co ich akurat nurtowało.

Coś zgrzytnęło za nami i obróciliśmy się gwałtownie. Rozpruwacz wskoczył mi do ręki, a Asela wyrwała kapłanowi fałszywy miecz, żeby starym żelazem obronić się przed tym, co mogło nam zagrażać. Wolną rękę uniosła jak do rzutu, kumulując w niej oślepiające światło i iskry.

Lecz ani żelazu, ani magii nie objawił się żaden cel. W pierwszej chwili nic nie było widać, tylko w ścianach coś łomotało i zgrzytało. Serafine wytrząsnęła z rękawów sztylety i wtedy część ściany cofnęła się... ukazując drobną postać, za którą kroczył mężczyzna w szacie Borona.

Mroczna elfka zamrugła w świetle.

– Bogowie – wyrwało mi się. Nie mogłem uwierzyć temu, co widziałem. – Skąd wy się tutaj wzięliście?

– Wnioskuje – odezwała się sucho Asela, opuszczając miecz i pozwalając spłynąć magii z palców – że się znacie?

– Na Solante, Havaldzie – odezwała się swym miękkim głosem Zokora. – Jeśli nie przestaniesz, to kiedyś w końcu zmusisz mnie do przyznania, że człowiek jest w stanie mnie zaskoczyć!

– Mogę spytać, kim jesteście i jakim prawem ośmielacie się nieproszeni wejść do domu Nertona? – spytał zbolalym tonem najwyższy kapłan. Varosch uśmiechnął się z zakłopotaniem, a potem zobaczył to, co tu się znajdowało, i wybałuszył oczy, w oszołomieniu opuszczając latarnię.

– Nazywam się Zokora i służę Solante – przedstawiła się zaskakująco krótko i podeszła do starca. Mircha chciał zagrozić jej drogę, ale Varosch go powstrzymał. Zokora ciągnęła dalej: – Chcesz umrzeć, słuگو Soltara? Jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia, a ty masz siłę na dalsze lata. Jednak nie wtedy, gdy będziesz tu dalej stał, bo z każdym uderzeniem twoje serce słabnie. Jeśli chcesz żyć, połóż się, a ja wzmocnię twoje serce. Jeśli chcesz udać się do swego boga, to stój dalej i zadawaj niepotrzebne pytania!

– Nie czuję lęku przed Soltarem – zaprotestował kapłan.

– Nie byłbyś dobrym słuگą, starcze, gdybyś się go bał! Żyj lub umieraj, ale decyduj teraz albo za kilka uderzeń twoje serce podejmie decyzję za ciebie!

– Kim jesteście, że ośmielacie się tak mówić do najwyższego kapłana? – wtrącił się Mircha. – Nie zbliżajcie się do niego!

Zignorowała go i patrzyła wyczekująco na kapłana.

– Z tej perspektywy odpowiedź jest jasna – odpowiedział szeptem. Ostrożnie osunął się i wyciągnął u naszych stóp na zakurzonej podłodze.

– Co wy wyczyniacie? – oburzył się Mircha, wrywając się z rąk Varoscha.

– Jesteście *'serva'sol'ante*, nieprawdaż? – zapytał cicho brat Jon i nakazał Mirsze się uciszyć. Tamten posłuchał niechętnie. – A więc to prawda, że wasz aspekt dał moc uzdrawiania także mrocznemu ludowi elfów?

– Nie – odpowiedziała Zokora, klękając obok niego. Wyjęła z mieszka tutki z nasączonego olejkim papieru, zawierające różne proszki, które zmieszała w innym

papierku. – Bogini dała nam aspekt uzdrawiania, na długo zanim nastali ludzie. To my pokazałyśmy sługom Astarte, jak się tego nauczyć. Tyle że ludzie są najwyraźniej za głupi, aby coś zapamiętać na trwałe. Havaldzie – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Ty zawsze masz przy sobie flaszkę, daj mi ją.

Tym razem się pomyliła, ale Asela podsunęła jej swoją.

– Dobrze – skwitowała Zokora i podniosła na mnie wzrok. – Teraz zabierz stąd tego głupiego kapłana, zanim sama go usunę! Varosch nie może podnieść na niego ręki, ale ty masz moje pozwolenie, żeby go walnąć, jeśli będzie się opierał.

– Dziękuję – odparłem sucho i odciągnąłem protestującego Mirchę na bok.

– Grozicie, że mnie uderzycie? – zapytał oszołomiony.

Stłumiłem westchnienie i pokręciłem głową.

– Nie ja wam grożę, tylko ona! A teraz posłuchajcie: czy zagroziłibyście drogę kapłance Astarte, która chciałaby uzdrowić waszego najwyższego kapłana?

Mircha wpatrywał się we mnie zbaraniały.

– Ostatecznie to właśnie to przed chwilą uczyniliście – objaśniłem mu spokojnie.

Zokora skrzywiła się, kiedy zobaczyła, jak mało płynu jest w butelce, po czym wzruszyła ramionami i wysypała zmieszany proszek do srebrnej flaszki. Wstrząsnęła nią i podała kapłanowi. Gerlon zaś, i nie tylko on, przyglądał się temu zafascynowany.

– Wypij to! – rozkazała starcowi. – I przygotuj się na ból, który nastąpi, dwadzieścia uderzeń serca po pierwszym łyku. Przetrwaj ból, a będziesz uzdrowiony.

Kapłan skinął głową, wypił, a Zokora złożyła ręce na piersi, poruszając ustami i odliczając. Nagle kapłan z jękiem wygiął się w łuk. Zokora z całej siły docisnęła go do ziemi. Z jej ust spłynęło jedno słowo, odbiło się echem po ciemnym pomieszczeniu i blada poświata wypełniła najpierw jej dłonie, następnie starego kapłana, który drżał w konwulsjach... a potem znieruchomiał i tylko leżał, dysząc ciężko.

– Och – mruknęła z namysłem Zokora, opadła na kolana, złożyła ręce na podołku i potoczyła wzrokiem dokoła, a potem skierowała go ku sklepieniu. – Teraz *jestem* zaskoczona! – stwierdziła szeptem i omdlała przewróciła się na bok.

Puściłem Mirchę i rzuciłem się w jej kierunku, ale Varosch był szybszy, klęknął obok niej i położył sobie jej głowę na kolanach.

– Co z nią? – spytałem zaniepokojony.

Przytknął palce do nasady jej szyi. Było niemal absurdalne, jak krucho i wiotko wyglądała w tym momencie Zokora. Jeszcze przed chwilą panowała w tym ciemnym miejscu, teraz wydawała się nie więcej niż dzieckiem.

– Zaraz do siebie dojdzie – uspokoił Varosch i uśmiechnął się z ulgą.

– Już doszła – odezwała się Zokora, nie otwierając oczu, i poprawiła się nieco, by spojrzeć na kapłana, który siedział obok niej, podpierany przez Mirchę. Brat Jon

przyciskał rękę do piersi i spoglądał na mroczną elfkę w sposób, który tak często widziałem u innych: z konsternacją, ale i pewnym zafascynowaniem.

– Dom Nertona, co? – odezwała się. – Zauważyłam.

– Co się stało? – zapytałem z troską, a ona pozwoliła sobie na nikły uśmiech.

– Po prostu więcej, niż myślałam. Możliwe, że sługa Soltara jeszcze umrze, ale z pewnością nie na serce, z nim trochę przesadziłam.

– Dziękuję wam za to uzdrowienie – powiedział brat Jon ze słabym uśmiechem. – Nawet jeśli było... zaskakujące!

– Dla mnie również – przyznała Zokora i spojrzała na Mirchę. – Jeśli się nie mylę co do barw twojej szaty, to chciałeś zostać jego następcą. Cóż, poczekasz trochę dłużej, niż sądziłeś.

– Nie szkodzi – odparł z powagą Mircha. – Nauczyłem się dzisiaj, że jeszcze długo nie będę gotów do noszenia jego szaty.

– Nie musisz dziękować – odpowiedziała niewzruszenie Zokora. – Chętnie udzielam lekcji.

Mircha zamrugał, nie rozumiejąc, za to brat Gerlon zachichotał.

Zokora otrząsnęła się jak mokry pies.

– Ten dom jest przepełniony obecnością starego boga, doprawdy, na wskroś święte miejsce. – Wstała, oczywiście ignorując przy tym wyciągnięte ręce Varoscha i moją, po czym rzuciła długie spojrzenie na bazaltowy blok ze szkieletem, a potem na trzynastu strażników. – Coś tu nie ma sensu!

– Tam, nad nami stoi on sam – oświeciłem ją cichym głosem i wskazałem na sufit. – Nie jego posąg. ON sam.

– To byłoby wyjaśnienie – odparła. – Tylko dlaczego to robi?

– Ma pewnie swoje powody – zgadywałem. – Co was tu sprowadza? – zadałem pytanie, które chyba i inni mieli na końcu języka.

– Nie mam ochoty na wyjaśnienia – odparła Zokora. – Niech Varosch to zrobi, a ja sobie obejrzę tego boga. – Pokazała białe zęby w uśmiechu. – Jeszcze nigdy nie widziałam boga we własnej osobie... bez obawy – dodała, kiedy Mircha chciał coś powiedzieć. – Znajdę drogę.

– Ale ja nie to... – zaczął kapłan, lecz ona już nie zwracała na niego uwagi.

– Mroczna elfka i wy należycie do jego drużyny? – zapytała Asela Varoscha, kiedy odprowadzaliśmy Zokorę wzrokiem.

– Tak – odpowiedział. – Tak się złożyło.

Dawna Sowa wskazała na mnie kciukiem.

– Czy często się zdarza, że ludzie go nie doceniają?

– Czasami – odparł z uśmiechem Varosch. – To zwykle działa na jego korzyść.

– Możecie pogadać sobie o mnie później – przerwałem im nieco obcesowo. – Jak to się stało, że się tu spotykamy, Varosch?

– To łatwo wytłumaczyć. Pamiętacie mroczną elfkę, którą znaleźliśmy w lodzie pod Przełęczą Gromów? Jaraną okt Talisan?

– Tak. Co z nią?

– Zokora chciała wiedzieć, kim ona była, i zaczęła szukać w archiwach. Dowiedzieliśmy się, że Jarana była nocnym jastrzębiem, w tamtych czasach byli oni wiernymi sługami królestwa, a nie gildią morderców. Ścigali nekromantów i pojmowali to jako swoją świętą misję. Jarana ani nie była przydzielona do Drugiego Legionu, ani nie należała do garnizonu w Twierdzy Gromów, jak początkowo zakładaliśmy. Pomagała tam, od czasu do czasu przejmowała jakieś obowiązki, ale jej zadanie było inne: miała znaleźć Ostrze Spójni, noszące imię Poskromiciel Strachu. Wiemy, że nie udało jej się wypełnić tej misji, mimo to Zokora chciała wiedzieć coś więcej o tym mieczu. Trop urywa się w Nowych Królestwach, ale bierze swój początek tutaj.

– Zgadza się, najwyższy kapłan opowiedział nam o tym.

Varosch uklonił się nieznacznie duchownemu Soltara.

– Poskromiciel Strachu był jednym z mniej lubianych mieczy, było w nim coś, co nie ułatwiało życia jego nosicielowi. Podczas gdy inne miecze działały na korzyść nosiciela, Poskromiciel Strachu zdawał się przyciągać pecha. Może po prostu nie było wskazane być zupełnie pozbawionym lęku. Ostrze znalazło niewielkie zastosowanie i w końcu, po śmierci jego ostatniego nosiciela, zostało przekazane świątyni Soltara na przechowanie.

Skinąłem głową, o tym też już słyszeliśmy.

– Skoro jednak miecz spoczywał w świątyni Soltara, dlaczego Jarana miałyby szukać go w Nowych Królestwach? Zokora szukała dalej i znalazła wzmiankę, że broń została skradziona. Trop ten prowadził do niezwyklej opowieści o pewnym nieświętym, który rzekomo leżał uwięziony w jakimś sekretnym miejscu. Ustaliliśmy, że w spętaniu przeklętego wzięli udział kapłani Borona. Spytałiśmy w domu naszego pana, czy coś im wiadomo o tym przeklętym. Dowiedzieliśmy się, że do posłania przeklętego na wieczne potępienie użyto Poskromiciela Strachu. To jednak nadal nie tłumaczyło, dlaczego Jarana udała się za tym mieczem do Nowych Królestw. Drażyliśmy więc dalej. – Posłał uśmiech bratu Jonowi. – Wygląda na to, że klucz do tej świątyni znajduje się w waszych rękach, ale słudzy Borona znali inną drogę: tunel prowadzący tutaj ze świątyni mego pana. Ponieważ Zokora jest pierwszą sługą Solante i miała również moje wstawiennictwo, pozwolono nam skorzystać z tego tunelu, a on zaprowadził nas do tej ściany. – Pokręcił z rozbawieniem głową. – Nadal nie mogę

uwierzyć, że znalazłem was w tym miejscu. – Wzruszył ramionami. – To w skrócie wszystko. Ale Zokora nie wierzy, że Poskromiciel Strachu jest tutaj. – Spojrzał na Asele i na miecz, który trzymała. – Myli się?

– Nie – odpowiedział w imieniu Aseli najwyższy kapłan. – Właśnie się o tym przekonałem. Miecz został skradziony i użyty do haniebnego czynu, niemającego sobie równych. – Starzec ze smutkiem powiódł dokoła wzrokiem. – Zobaczyliśmy więcej, niż chciałem wam pokazać. Muszę omówić to z innymi najwyższymi kapłanami. Zostali oszukani, podobnie jak ja. Powinniśmy zastanowić się, jak postąpić. – Westchnął cicho. – Proponuję, abyśmy opuścili to miejsce i zapieczętowali świątynię, zanim *'serva'sol'ante* zbudzi boga ze snu.

Znaleźliśmy Zokorę w głównej hali. Klęczała z pochyloną głową i wilgotnymi od łez oczami. Nie zareagowała, kiedy odezwaliśmy się cicho, dopiero kiedy Varosch podszedł do niej i jej dotknął, ocknęła się z modlitwy.

Podniosła się powoli, rzuciła ostatnie, pełne nabożnej czci spojrzenie na starego boga i w milczeniu wyszła na zewnątrz. Wspólnymi siłami zamknęliśmy wrota.

Razem przemierzaliśmy plac, kierując się ku świątyni mego pana. Zokora wyglądała na pogrążoną w myślach, kiedy ją zagadnąłem.

– Nie chciałam uwierzyć, że to On we własnej osobie – wyjaśniła. – Dlaczego miałyby to robić? Zapytałam go o to, ale nie odpowiedział. – Popatrzyła na mnie z rozbawieniem. – Nie spodziewałam się odpowiedzi. Ale, na Solante, jest piękny. Nigdy przedtem nie doświadczyłam takiego majestatu. Widzieliście słoje na rogach, delikatną strukturę i migotliwość błon skrzydłowych? Runy na pazurach?

Uniosłem brwi i obejrzałem się na zamknięte wrota świątyni.

– Helis – spytałem Serafine. – Co widziałaś?

– Boga – odpowiedziała.

– Nie to mam na myśli. Jak on wyglądał twoim zdaniem?

– Starzec o przyjaznym obliczu w szacie o turkusowej barwie.

– Varosch?

– Mężczyzna w sile wieku w ciężkiej zbroi, z młotem i tarczą.

– Mężczyzna w szacie, o osobowości uczonego – dorzuciła cicho Asela, niepytana. –

A wy? – zapytała mnie.

– Mężczyzna, jednocześnie elf i bestia, o łuskowatej skórze, dwukrotnie wyższy od człowieka, dobrotliwy i mądry.

– Smok o turkusowych łuskach, które zdawały się przechodzić w inne kolory – oznajmiła Zokora i spojrzała pytająco na kapłanów.

– Ja zawsze widziałem go takim, jak opisał to ser Roderic – odpowiedział najwyższy kapłan. – Gerlon i Mircha widzieli mężczyznę odzianego w szatę.

– Czyli każdy widzi go inaczej – stwierdziła Zokora. – Myślę, że każdy wizerunek jest tak samo prawdziwy. On jest tym wszystkim... a nawet czymś więcej dla tego, kto dostąpi zaszczytu ujrzenia go. Dlaczego wrota są zamknięte? Dlaczego nie ma posługi ku jego czci?

– On sam tak zadysponował – wyjaśnił brat Jon. – Może dlatego, że nie potrzebuje już kultu albo odwracałoby to uwagę od naszych bogów; wszak chciał, żeby to oni zostali jego następcami.

– Dlaczego można go znaleźć tutaj?

– On jest nie tylko tutaj. Na świecie rozproszonych jest więcej świątyń. Stoi w każdej z nich – odparł starzec. – Każdą z tych świątyń kazał osobiście zamknąć. Ale wątpię, by był w nich uwięziony.

Kiedy dotarliśmy do świątyni mojego pana, kapłani się pożegnali.

– Mnie wystarczy – orzekł brat Jon. Wziął od Aseli miecz i zważył go w dłoni. – Myślę, że się jeszcze zobaczymy.

Życzyliśmy mu dobrej nocy.

– W to wątpię – skwitował i po jego ustach przemknął uśmiech. Uniósł rękę. – Bądźcie błogosławieni w imię mego pana.

Podziękowaliśmy i odprowadziliśmy go wzrokiem, kiedy wspinał się po schodach. Po bokach towarzyszyli mu adepci, gotowi wesprzeć go, gdyby się potknął, ale to nie nastąpiło.

Zokora i Varosch również się pożegnali, mieli jeszcze coś do omówienia w świątyni Borona. Zostaliśmy tylko Serafine, Asela i ja.

Poszukałem za pazuchą fajki i tytoniu. Fajkę znalazłem, ale woreczek z tytoniem znowu był pusty. Schowałem go z westchnieniem.

– Chcecie pójść z nami do cytadeli? – zapytałem Aselę, ale zaprzeczyła.

– To był dzień dający do myślenia – powiedziała. – Spotkamy się ponownie, tego jestem pewna. Pamiętajcie, że w mieście jest jeszcze jeden przeklęty, szukajcie go i osądźcie. Rozpruwaczowi Dusz można ufać. Błogosławieństwo bogów...

Chciała się odwrócić do odejścia, ale Serafine powstrzymała ją lekkim dotknięciem.

– Aselo, masz wiedzę i sztukę Sów. Może pomogłabyś Desinie i nauczyła tego, co powinna wiedzieć? Zawsze byłaś dobra w nauczaniu.

– Nasuwa się samo, nieprawdaż? Ale nie mogę, zbyt wiele rzeczy stoi mi na drodze. Nie mogę stanąć na wprost niej, jeszcze nie teraz. Ale poszukam innych sposobów, żeby jej pomóc. – Zawahała się. – Nie wiem, czy wolno mi tego żądać, ale objawiłam się wam wcześniej, niż chciałam. Mogę was tylko prosić, abyście nie mówili o mnie primie.

– Ona nadal ma was za wroga – przypomniałem.

– Wy przecież też. Stałam przed waszym bogiem i poddałam się jego osądowi, lecz wy nadal nie potraficie mi zaufać. Z pewnością macie rację. Nie służę już cesarzowi nekromantów, ale to jeszcze nie czyni ze mnie przyjaciela. – Serafine przełknęła i skinęła głową. – Tobie, Finna, jestem dłużna znacznie więcej, niż mogę przyznać. Znajdziesz odpowiedź na swoje pytania, ale jeszcze nie pora na to.

– Ja... – zaczęła Serafine i zakłęła cicho, kiedy Asela rozplynęła się w powietrzu jak dym. – Bogowie – zawołała gniewnie. – Zapomniałam, jak mnie to denerwuje, kiedy znikają w pół zdania. Balthasar był w tym mistrzem i doprowadzał mnie tym do białej gorączki!

– To zrozumiałe – powiedziałem. – Czy coś jeszcze przemawia przeciwko temu, abyśmy poszli teraz spać?

– Nie – odparła. – Chyba nic. Brat Jon ma rację, wystarczy tego jak na jeden dzień.

16

PRZECZOŁGANY

Było tuż po pierwszym dzwonie, kiedy w końcu dotarliśmy do naszych kwater. Zostały mi ledwie trzy świece na sen. Pożegnałem się z Serafine, która teraz, po odejściu Sieglinde, mieszkała sama, i zapukałem do drzwi Leandry. Nie otworzyła, a jeden z żołnierzy pełniących straż powiedział mi, że jeszcze nie wróciła.

Stałem i zastanawiałem się, co robić. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Zszedłem na dół do Piór, a potem do archiwariusza.

– Tego, czego szukacie, u nas nie znajdziecie – poinformował mnie. – Trzeba szukać w archiwach Sów. Ale jeśli sobie życzycie, mogę zapytać, czy Sowa wyszuka ten obraz, a my możemy go dla was skopiować.

– Owszem, życzyłbym sobie tego – powiedziałem. – To dosyć pilne, czy moglibyście przekazać to Sowie?

– Chętnie, ale ona jest bardzo zajęta, to może potrwać.

Musiałem na tym poprzestać. Nie było już nic do roboty, więc wreszcie poszedłem spać.

Tym razem koszmar był namacalny. Szedłem przez miasto, a wokół mnie wspaniałe gmachy rozsypywały się w pył, ludzie nieruchomieli i pokrywali się czernią, a potem z okropnym krzykiem rozpadali się na tysiące kawałków, podczas gdy za mną podążał cień, siejący śmierć i zarazę. Dziwiłem się, że czarne trupy, które właśnie rozpadły się na strzępy, mogły jeszcze się zarazić dżumą.

Głos Leandry wskazał mi drogę ze snu. Zmusiłem się do otwarcia jednego oka i wydało mi się, że widzę ją stojącą przy łóżku, ubraną w biel i klejnoty, z powagą i smutkiem na jej pięknej twarzy. Nie mogłem wyrwać się ze snu. Kiedy mi się to w końcu udało, usłyszałem trzask zamykanych drzwi, a w powietrzu wisiał zapach jej perfum.

Zlany potem uznałem, że kąpiel będzie lepsza niż dalszy sen. Ale kąpiel też przerwało mi pukanie. Zasnąłem i z przestrachu zanurzyłem się pod wodę. Plując wodą i przeklinając, owinąłem się ręcznikiem i mokry, ociekający, pospieszyłem do drzwi.

– Ach, to ty – przywitałem Serafine. – Wejdz.

Odwróciłem się i chwyciłem za spodnie. Nie dawały się wciągnąć na wilgotną skórę. Kiedy w końcu wygrałem z nimi i się odwróciłem, zauważyłem umęczony wzrok Serafine.

– Jakiś problem?

– Nie. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem i przejechała dłonią po oczach. – Żaden. Chciałam tylko zejść z tobą na śniadanie do mensy. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Stałem przed nią, kapiąc na podłogę.

– Co się dzieje? – spytałem ponownie.

– Mówiłam, nic – upierała się.

– To dlaczego nie śpisz? Nie jesteś na służbie. Ciebie też dręczyły jakieś koszmary?

– Możliwe. Chciałam się tylko upewnić, że nie zaśpisz.

– To nie było konieczne.

Skinęła głową.

– Wiem, ale tak wolę.

Popatrzyłem na nią pytająco, ale nic nie powiedziała.

W głębi duszy byłem jej wdzięczny za pomoc. Wprawdzie zbroję można również włożyć samemu, ale oznaczało to więcej wygibasów.

Nigdy przedtem nie widziałem dużej mensy cytadeli i byłem pod wrażeniem gigantycznej hali, w której mogło jeść naraz tysiąc osób. Ze dwa tuziny kucharzy pociły się przy wydawaniu posiłków, a cztery tuziny przydzielonych do obsługi żołnierzy śmigały między stołami, sprzątały je i wycierały, zbierały naczynia i zmywały je w ogromnych baliach, uwijając się przy tym, jakby od tego zależało ich życie. Na ścianie mechaniczny czasomierz pokazywał świece nowego dnia, był tak duży, że widać go było z najodleglejszego krańca hali.

Olbrzymie, wychodzące na wewnętrzny dziedziniec okna wpuszczały do środka światło, rozprowadzane po wnętrzu za pomocą luster. Przy co drugim zwisały z sufitu żelazne kosze ze świecącymi kulami. Im więcej światła wpadało zza okien, tym bardziej ciemniały magiczne lampy.

– Nie wątpię, że to jest wspaniałe urządzenie – odezwałem się, wskazując na czasomierz, i ułamałem kawałek ciemnego chleba. – Ale wyjątkowo mi się nie podoba.

– Dlaczego? – spytała zdziwiona Serafine.

Umoczyłem chleb w jajku.

– Ten czasomierz zmusza mnie, żebym na niego patrzył, i mnie pogania. Mam wrażenie, że chce skraść mi mój czas. To nie ja decyduję, kiedy na mnie pora, tylko ten kij ze złotymi znakami.

– To nie patrz – podsunęła z uśmiechem, ale jej spojrzenie świdrowało mnie na wylot. Nie wiedziałem, czego szukało.

– Dobrze ci mówić – mruknąłem. – Siedzisz plecami do niego.

Serafine tylko się uśmiechnęła, ale dalej mierzyła mnie wzrokiem.

– Jedzenie i mensa też są wspaniałe. – Wskazałem na talerz. – Dostałem pół ciemnego chleba, jajko na półmiękkko, przy czym mogłem zdecydować, jak długo było gotowane, a do tego dwa kawałki szynki, kiełbasę cebulową i trzy kawałki sera, poza tym tygielek świeżego masła. Każdy otrzymał to samo. Gdzie, na wszystkie piekła, podziewają się zastępy kur, które znoszą te jajka? – Potoczyłem dłonią wokół, wskazując na około sześciuset żołnierzy, jedzących z nami śniadanie. – Już widzę te wieprzki, jak tutaj wlatują, w powietrzu zamieniają się w szynkę i pokrojone lądują na talerzach. Skąd kucharze wiedzą, ilu ludzi tu się stołuje, ile potrzeba jedzenia, i skąd mają czas, żeby wszystko to przygotować?

Pokręciła głową i zaśmiała się, ale powściągliwie, jakby wciąż coś ją gnębiło.

– A więc już widzisz latające wieprzki, Havaldzie, to niedobrze! – Uśmiech zniknął jej z twarzy. – To wielka sztuka – orzekła z powagą. – Zaopatrzenie legionu należało do moich zadań: zaplanowanie wszystkiego, co potrzebne, żeby wyprawić żołnierzy do boju. Wiem, co mówię. Być kucharzem albo zbrojmistrzem to zaszczyt. Dobry kucharz dba o humor wojaków i sprawia, że żyją dłużej, zły kucharz podkopuje morale.

– To samo zbrojmistrz?

– A jak ci się wydaje? Trzewików nie można zjeść, a jak daleko zajdzie żołnierz w za ciasnych butach, zanim zakiełkuje w nim chęć zamordowania zbrojmistrza? Poza tym to właśnie on dokonuje zakupów tego, co później przyrządzą kucharze. Zresztą zbrojmistrz opiekuje się legionem w jeszcze jeden sposób.

Serafine sięgnęła po mój hełm, leżący obok na stole, obróciła go w dłoniach, odsłoniła skórzaną wyściółkę i pokazała mi stempel.

– Widzisz ten znak? – spytała, a ja pokiwałem głową, przeżuując. Odwróciła hełm i poszukała czegoś na wierzchu, obróciła go pod światło. – A ten odcisk na wierzchu?

Ponownie skinąłem głową.

– Kiedy z kuźni wychodzi taki hełm, mocuje się go w ramie, w której ciężki bolec na szynie spada z wysokości pięciu kroków i w niego uderza. Gdy bolec nie spowoduje uszczerbku, hełm stempluje się tym znaczkiem, żeby potwierdzić, że stal jest dobra i solidnie wykonana. Jeśli bolec przebije metal, hełm zostanie przetopiony na nowo, a ktoś w kuźni musi się wytłumaczyć. – Odłożyła go na bok. – Napierśnik jest najważniejszą częścią zbroi, nie powinien go przebić nawet ciężki bełt. Dlatego napierśnik ma tutaj tę zakrzywioną krawędź, aby bełt nie mógł uderzyć pionowo, ale się ześlizgnął. A żeby nie wbił się w pachę, masz tu tę osłonę. Mocuje się go na manekinie o określonych wymiarach i sprawdza, czy pasuje i nigdzie nie uwiera.

Następnie ostrzeliwuje się go pięcioma bełtami, potem pociąga za zakładki i paski, sprawdza, czy krawędzie są gładkie, a stal ma wszędzie tę samą grubość. I dopiero wtedy napierśnik trafia do żołnierza.

– Sporo zachodu – stwierdziłem. Serafine skinęła głową.

– W boju jest tyle niebezpieczeństw, że nie potrzeba jeszcze i kiepskiego jedzenia, i wybrakowanych zbroi.

Nie potrzeba też tego czasomierza; halę, gdzie przed chwilą panował jeszcze spokój, wypełniły ciche rozmowy i pobrzękiwanie metalu, gdy uzbrojeni żołnierze podnosili się z ław. Czasomierz wskazywał dopiero dziesiątą część świecy do pełnego dzwonu, ale ja musiałem już iść. Przesunąłem po stole Rozpruwacza, wziąłem w zamian inny miecz i wstałem.

– Zobaczymy się potem – rzuciła Serafine z wymuszonym uśmiechem.

Najpierw ze smutkiem patrzyła na mnie Leandra, teraz i Serafine. Czy coś powiedziałem? Przedtem jeszcze się uśmiechała, dopiero potem w jej oczach pojawił się smutek. Czy powiedziałem „dzień dobry”, a może coś innego? Nie pamiętałem, ale cóż takiego mogłem rzec, żeby tak przygnębić Serafine?

– Dobrze – przywitała mnie Rellin z uśmiechem, który mi się nie podobał. – Dziś przećwiczymy to, co ze zwykłego żołnierza czyni Byka: marsz. Mam nadzieję, że jesteście dobrze wypoczęci, bo będziecie potrzebować sił.

To, jak mnie przeczłgała, mierzyłem po rozmiarach nienawiści, jaką zacząłem do niej pałać. Szła obok, dogadywała i robiła przytyki, zmusiła mnie do niesienia ciężkiej belki, fałszywie podśpiewując pod nosem, kazała mi paść w błoto jak żuk, a potem zerwać się na nogi, a wszystko to powtarzać, aż szlam przecisnął się przez każdą szczelinę w mojej zbroi do bielizny. Następnie nasłała na mnie draba z halabardą, poleciła przebiec między chybotliwymi pniami i robić pompki tak długo, że sam Bezimienny nie mógłby mnie zmusić, żebym wstał.

Do każdego z ćwiczeń dobierała sobie innego Byka, zwykle dużo szczuplejszego ode mnie, i kazała mu demonstrować, co mam robić. I każdy mnie zawstydział. Kiedy mnie po trzydziestu pompkach opuszczały siły, młoda żołnierka w ciężkiej zbroi ze śmiechem wykonywała sto. Zawsze w pobliżu byli inni, z uśmiechem śledząc moje kiepskie wyczyny, kiedy zawodziłem w tym, co oni robili z łatwością.

Na sam koniec Rellin sama włożyła zbroję, stanęła naprzeciw mnie z mieczem i tarczą i tak mi dołożyła, że aż brzęczała zbroja. Ani razu nie zasłoniłem się dość szybko, nigdy moje ostrze nie było tam, gdzie powinno. Ciosy Rellin odbijały się od pancerza jak grad, ona zaś nie potrzebowała tarczy, bo nigdy nie było jej tam, gdzie uderzałem. Bogowie, jakże mnie spowalniała ta zbroja!

Dobrze, może to nie był mój sposób walki, ale mógłbym ją trafić przynajmniej raz!

Na koniec wcisnęła mi do ręki ćwiczebny miecz i wystawiła do walki przeciwko czwórce szczerzących się Węży Morskich, uzbrojonych wyłącznie w drewniane sztylety. Miałem bronić się tak długo, aż Rellin skończy liczyć do trzydziestu. Myślałem, że zdam przynajmniej tę próbę, ale się pomyliłem. Wężę rozproszyli się i zawirowali dokoła, zauważyłem tylko napiętą linę, a potem rzucili się mnie i liną podcięli mi nogi. Zwaliłem się z brzękiem jak dąb, z gębą w błocie. Jeden z nich dla hecy łaskotał mnie i kłuł czubkiem sztyletu przez szczeliny w zbroi, inny odczepił mi hełm od pancerza i z rechotem strzelił dłonią w czachę.

– Nie żyjesz, rekrucie – rzekł z szerokim uśmiechem i pomógł mi wstać. Wolałbym zostać na ziemi.

– Oto pokaz, jak tego nie robić – oświadczyła z uśmiechem na ustach Rellin. Policzyła do trzech.

Wracając wieczorem do kwatery, policzyłem wszystkie stopnie schodów; paliło mnie każde pojedyncze włókno mięśni i czułem się jak rozdeptany ślimak. Serafine nie było, musiałem sam uwolnić się od pancerza. Popatrzyłem w lustro. Cały byłem w sińcach, choć zbroja wytrzymała wszystkie ciosy. Rellin dała mi przybory do czyszczenia oraz przykazała wypolerować do jutra zbroję tak, aby mogła w niej zobaczyć wszystkie pypcie na swojej twarzy, jak się wyraziła. Ponieważ nie miała żadnych pypci, zadanie wydało mi się niewykonalne.

Powinienem wziąć się do czyszczenia jak najprędzej, bo zbroja była kompletnie uwalana błotem, ale obróciłem się na pięcie i padłem na łóżko jak ścięte drzewo. Na szafce nocnej leżały trzy księgi służbowe, które miałem przestudiować. Przewróciłem się na bok i uznałem, że jeśli nawet dziś miałyby rozegrać się ostatnia bitwa bogów, to bez mojego udziału.

Serafine przyszła później i pokazała mi, jak najlepiej oczyścić zbroję. Po prawdzie to ona ją raczej czyściła, nie ja, pracowała przy tym w milczeniu i uciekała przede mną wzrokiem. Dała mi olejek na bolące mięśnie, ale nie zaproponowała, że mi je rozmasuje. Postawiła Rozpruwacza obok mojego łóżka i powiedziała, że idzie się pomodlić do świątyni. Ani razu się przy tym nie uśmiechnęła; kiedy na nią patrzyłem, odwracała spojrzenie.

Byłem rozbudzony. Zbroja błyszczała, jak należy, za oknami panowała ciemność, a ja nie mogłem znaleźć spokoju. Przewracałem stronice ksiąg, które dała mi Rellin, ale w głowie nic mi nie zostawało. To nie zmęczenie mi doskwierało, lecz coś innego, jakby jakiś cień tłumił światło i utrudniał oddech.

Usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi obok. Serafine wróciła ze świątyni. Zapukałem do niej. Otworzyła w poluzowanym gorsecie i popatrzyła mi w oczy.

– Wybacz, Havaldzie – powiedziała cicho. – Dziś nie mam nastroju, żeby dotrzymać ci towarzystwa, poza tym chcę iść spać.

I nie czekając na odpowiedź, zamknęła mi drzwi przed nosem.

Zapukałem ponownie. Tym razem tylko uchyliła. Zobaczyłem w szparze jej długą nogę i rąbek halki.

– Co? – zapytała.

– Musimy znaleźć tego przeklętego, o którym mówiła Asela.

– Tak, Havaldzie – odparła zmęczonym głosem. – Musimy. Ale nie dzisiejszej nocy. – Zamknęła drzwi i zostawiła mnie samego.

Ze zmęczenia źle spałem, obudziłem się wcześniej i czekałem na Serafine. Kiedy się okazało, że nie przyjdzie, musiałem się pospieszyć. Włożenie tej przeklętej zbroi zajęło mi tyle czasu, że niewiele zostało go na śniadanie. Znalazła mnie w mensie, gdy już miałem wychodzić.

– Przyszłam tylko po Rozpruwacza – oznajmiła, nie patrząc na mnie. Chętnie zapytałbym ją, o co jej chodzi, ale nie miałem na to czasu. Dałem jej miecz, a ona oddaliła się bez słowa, zostawiając mnie patrzącego bez zrozumienia.

Tego dnia Rellin postanowiła przeciwiczyć mnie pikami, a potem dręczyć w siodle. Przekonałem się, że koń bojowy może mnie zrzucić nawet w zbroi i że stoczenie się po skalistym zboczu w pancerzu może być bolesne. Sierżant generalna uznała za wskazane kazać pokonać mi rozpiętą nisko linę o długości dziesięciu kroków. Kiedy poniosłem porażkę i zaprotestowałem, że nie da się tego zrobić w pancerzu, przywołała tenet Byków, którzy uzbrojeni w miecze i tarcze wykonali rozkaz z gracją, nie raz, lecz dwa razy. W końcu zdzieliła mnie mieczem w hełm tak mocno, że zadzwonił jak dzwon, po to tylko, by zwrócić na siebie moją uwagę.

– Rekrucie – odezwała się chłodno. – Nie wiem, co jest dziś z tobą, ale wystarczy. Musisz nauczyć się, co ci prezentuję, inaczej przez twoje błędy mogą umrzeć inni. Idź się upić dziś wieczorem, pomodlić, odwiedzić dziwkę, jeśli ci to pomoże, ale jutro rano masz być rześki i pełen werwy, myślami tutaj, inaczej poradzę komendantowi, żeby poszukał sobie innego generała.

Przyrzekłem poprawę, ale nie dała się przekonać. Zdjęła hełm i obwieściła koniec zajęć, choć nie było jeszcze południa.

Kiedy zaprotestowałem, zjechała mnie lodowato:

– Jest mi obojętne, czy jesteście generałem, czy samym Boronem! Marnujecie mój czas. Wasz możecie sobie trwonić jak tanią monetę, ale ja mam lepsze rzeczy do roboty, niż kłaść rozum do łba wołu! To, czego się tu nauczycie, będzie ratować czyjeś życie. Pomyślcie o tym, a teraz idźcie i nie zwracajcie mi głowy! – Opancerzoną ręką

pokazała mi wyjście z placu ćwiczebnego. Oddaliłem się ciężkim krokiem. Czułem się potraktowany niesprawiedliwie, gotował się we mnie jakiś nieokreślony gniew – i smutek. Nie wiedziałem, co to oznaczało.

Od kiedy przybyliśmy do Askiru, dni były pochmurne, z rzadka prześwitywało słońce, za to noce były klarowne i zimne, rozświetlane jedynie dziwnym purpurowym pasem świecącym na południowym niebie. Ale tego dnia niebo się rozchmurzyło, zniknęła nawet wszechobecna zasłona wulkanicznego pyłu. Słońce promieniało, jakby chciało, abyśmy zapomnieli o zimie, a na otoczonych kamieniem klombach pokazały się pierwsze zielone pędy. Ludzie rozkoszowali się pogodą, a gdzie nie spojrzałem, widziałem roześmiane twarze, jakby nie było żadnej wojny z cesarzem nekromantą, który pragnął zawładnąć światem.

Mnie nie cieszyło ani piękne słońce, ani pogodne twarze. Każdy śmiech, każdy promień słońca jeszcze bardziej kwaszył mi humor, aż w końcu zachciało mi się walić głową w mury twierdzy. Jakkolwiek absurdalna wydawała się ta myśl, doskonale odzwierciedlała to, jak się czułem: jakby wszystko, co robiłem, było pozbawione sensu.

Takie odczucia były mi obce. Jako dzieciak nauczyłem się, że są rzeczy, które przygnębiają, ale jednocześnie nie ma sensu pozwalać im sobą zawładnąć. Trzeba robić, co należy, i liczyć na lepszy dzień. Rellin zrobiła początek, ja podjąłem to, co zaczęła, i teraz sam nazywałem się w duchu idiotą, ale na próżno. Korciło mnie, żeby szukać zwady, co nie było wiele mądrzejsze od tego, by walnąć łbem w mur.

JABŁKOWY TYTOŃ

Santer znalazł mnie na dziedzińcu cytadeli, u mego przyjaciela karpia, który dalej mnie ignorował.

– Zimno jest w tym waszym kraju – stwierdził z uśmiechem i usiadł obok mnie na ławce. – Jestem rad, że wróciłem, choć muszę przyznać, że Twierdza Gromów zaimponowała mi. Robimy tam postępy. Kiedy kogoś dopadnie nuda, zabijamy czas polowaniem na pająki, to taki nowy sport. Wprawdzie nie całkiem trafia w mój gust, ale spotkałem tam elfkę, która myśli, że jest wilkołakiem. Wasz przyjaciel Eberhard przysłał kogoś, kto zajął się mensą, i teraz codziennie napływają nowi wojownicy i uchodźcy.

– Hm – mruknąłem, przyglądając się karpiovi.

– Wczoraj było najlepiej, na ścianach renifery tańczyły, a niedźwiedzie podawały w mienie do stołu, żołnierki zaś pomimo zimna poszły kąpać się nago w studni.

– To dobrze – skwitowałem, zadając sobie pytanie, dlaczego karp zawsze wyglądał, jakby coś żuł przy powierzchni sadzawki.

Santer parsknął gromko śmiechem.

– Dotarło do was choć słowo z tego, co powiedziałem? – spytał, kiedy spojrzałem na niego zaskoczony. – Chłopie, co z wami? Można by pomyśleć, że się nieszczęśliwie zakochaliście.

Westchnąłem. Może rzeczywiście tak było.

– Może macie rację – przyznałem. – Odkąd moja wybranka nosi koronę, istnieje granica, której nie wolno mi przekraczać. To mnie trapi, bez wątpienia.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Ale to maestra Leandra di Girancourt ma nosić koronę Illianu, prawda?

– Właśnie – rzekłem zboląłym głosem. – To była również moja decyzja, ale teraz trudno mi ją porzucić.

– I niech to ktoś zrozumie – skomentował, kręcąc głową. – Mógłbym przysiąc, że kochacie serę Helis. Nawet Desina stwierdziła, że to prawdziwa radość na was patrzeć.

– Łatwo się pomylić – powiedziałem nieco opryskliwie. – Równie dobrze można by sądzić, że wy kochacie Desinę.

Skinął głową z namysłem.

– Jesteście nie w humorze, generale. Jeśli dzięki temu poczujecie się lepiej, to śmiało, dogryzajcie mi, ale jeśli to i tak nic nie zmieni, dajcie spokój. Mam szerokie bary i jestem w stanie przyjąć na siebie całkiem sporo, ale przy serach zważajcie na słowa. Zwłaszcza przy Desinie.

– Dlaczego? – spytałem chłodno. – Trafiłem w czuły punkt?

– Tak – odparł, wstał i popatrzył, bynajmniej nie przyjaźnie. – Jeśli chcecie i wam to pomoże, to mogę was wrzucić do stawu, do tego karpia, z którym chcecie gadać. Może to was trochę ostudzi. Słusznie przypuszczacie. To boli, bo nie ma dobrego rozwiązania. A więc darujcie sobie szpile! Ale ja też mam rację, prawda? Cokolwiek zrobiliście, sera was kocha i wybaczy, jeśli ją o to poprosicie.

– Tu nie ma co wybaczać. Jest królową, a moja droga zmierza w kierunku przeciwnym do niej. I tyle. – Popatrzyłem zmęczony. – Wybaczcie, Santer, byłem niesprawiedliwy, sam nie wiem, co ze mną jest.

– Jesteście głupcem, to jest – orzekł twardo. – Łatwo wybaczę wasze słowa, jestem w podobnym położeniu, co wy. Sera też jest w stanie wybaczyć wszystko, tylko nie to, że się nie wie, że ją się kocha.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając mnie samego. Ostatnio przytrafiało mi się to dość często.

– Ma rację – powiedziała za moimi plecami Zokora. – Jesteś głupcem. A ponieważ fajka pomaga ci w myśleniu, przyniosłam ci to. – Podała mi fajkę i pękaty woreczek z tytoniem. – Zdaje się, że bardzo ci to potrzebne. Fajka leżała w twoim pokoju, tytoń ukradłam Helis. Wczoraj prawie trzy świece szukała na targu tytoniu z Besarajnu, a teraz nie ośmiela się ci go dać.

– Co ty tu robisz? – spytałem, biorąc od niej tytoń i fajkę. Serafine przez trzy świece szukała dla mnie tytoniu?

– Szukałeś mnie, przynajmniej tak mi powiedziano. – Oparła się obok mnie o ławkę. – Też mamy takie ryby – stwierdziła, pokazując na karpia. – Wyglądają tak samo, tylko są bezbarwne, nie mają oczu, za to długie zębiska.

– Więc nie wyglądają tak samo.

– Owszem. Tylko inaczej. Ty po prostu źle widzisz sprawy. – Zwróciła się do mnie: – Jeśli mnie szukasz, to być może czegoś ode mnie chcesz, jeśli nie, to najlepiej będzie, jak od razu sobie pójdę, zanim i mnie doprowadzisz do łez. Wprawdzie według mnie ryzyko jest niewielkie, ale z Leandą i Helis ci się udało.

– Dlaczego miałyby płakać? – zdziwiłem się.

Zokora pokręciła głową.

– Leandra płacze, bo musi zrezygnować z marzeń, ale wiedziała o tym już od dawna. Tylko to nadeszło szybciej, niż myślała. Wie, że nie ma innej możliwości.

Serafine płacze, bo straciła nadzieję, i myśli, że jej nie kochasz. Może też powinnam zacząć płakać, bo twoja głupota boli. Miłość jest dla mego ludu zakazana, a jednak widziałeś, że ją zrozumiałam. Za to ty prawisz o niej kazania, a sam jesteś bardziej ślepy niż ta ryba.

– Ona nie jest ślepa.

Świdrowała mnie gniewnym wzrokiem.

– Nic nie rozumiesz. A może nie *chcesz* zrozumieć? Każdy to widział. Leandra pierwsza, Natalya też, a Sieglinde wiedziała przed wszystkimi. Nawet ja to dostrzegłam. W chwili, gdy dusza Helis wróciła do jej ciała, byłeś zgubiony. Może tak bardzo przyzwyczyłeś się opierać swemu bogu, że wzbranasz się też przed Astarte. Popatrz, do czego to cię prowadzi! Jeśli chcesz płakać, to nie mnie wołaj, ja nie mam do tego cierpliwości. Nie będę się powtarzać, szkoda mojego trudu. Jest mi obojętne, jak postąpisz, ale jeśli przez ciebie wszyscy tu chodzą, jakby im mąkożer grzyby zjadł, to owszem, przeszkadza mi to. A więc jeśli chcesz ode mnie czegoś sensownego albo jeśli chcesz mi pomóc w szukaniu Poskromiciela Strachu, to chętnie. Jeśli zaś chcesz tylko działać mi na nerwy i dalej pławić się w swej głupocie, to trzymaj się ode mnie z dala.

Zrobiła krok i stanęła za moimi plecami, ale kiedy się odwróciłem, już jej nie było. Spojrzałem na karpia. Nie wiedziałem, co mam myśleć. I wtedy jej głos przestraszył mnie po raz kolejny.

– Helis jest w swoim pokoju i rozpaczliwie szuka tego tytoniu. Mógłbyś ją uspokoić.

– Ja... – zacząłem i odwróciłem się, ale ona znowu zniknęła – ...jestem ci wdzięczny.

– Wiem – odpowiedział za mną jej głos. Znowu się obejrzałem; nie było jej.

Popatrzyłem na karpia, który zdaniem Zokory znał się na miłości tak samo jak ja. Może miała rację. Co ja w końcu wiedziałem o miłości?

Tego dnia, kiedy przyszedłem na świat, zaczęło się oblężenie Kelaru, mojego miasta. Ledwie osiągnąłem wiek, w którym mogłem się mianować mężczyzną, otrzymałem miecz Soltara i przekroczyłem jego bramę. Potem wszystko było już inne. Mówiono, że jestem bohaterem, a co uderzyło mi do głowy. Była pewna młoda kobieta, która mi się podobała, i zabiegałem o jej względy.

Oparłem się i próbowałem przypomnieć sobie, jak wyglądała. Widziałem przed sobą jej uśmiech, kiedy podała mi jabłko, i jej złociste włosy, ale nie mogłem przywołać jej imienia. Urodziła mi dziecko. Czy to było właśnie to dziecko, które umarło na dżumę w Verlmoncie, a może jego wnuk? Sera o złotych włosach była moją żoną przez trzydzieści dwa lata. Pamiętałem jej zapach, wieczory w naszym małym domku, gdzie Rozpruwacz Dusz wisiał zapomniany nad kominkiem. Pamiętałem, że się zestarzała,

a ja nie, i jak prosiła mnie ze łzami w oczach, żebym na nią nie patrzył, żebym odszedł i zostawił ją swemu losowi. Ona, kobieta o złotych włosach, była pierwszą, którą kochałem, a ja zapomniałem jej imię.

Czego jednak nie zapomniałem, to grób, który wykopałem wśród jabłoni, ból, który omal mnie nie rozerwał, kiedy złożyłem jej ciało owinięte w czyste płótno pod pierwszym drzewem, jakie dla niej posadziłem. Wtedy po raz pierwszy pokłóciłem się z Soltarem. Wykonałem swoją powinność, uratowałem Kelar, dlaczego więc nie pozwolił mi odejść? Dlaczego się nie zestarzałem i nie mogłem umrzeć wraz z nią?

Była piękna, młoda, pogodna. Straszne było nie tylko to, że ją przeżyłem, lecz i to, że nie było widać po mnie wieku, że byłem ciągle młody, podczas gdy ona się starzała. To podzieliło nas na długo przed jej śmiercią.

Opłakiwałem jej stratę, na długo zanim odeszła, także utratę miłości, bo wiedziałem, że ona nienawidziła jakiejś części mnie, gdyż przypominałem jej o tym, co utraciła: młodość i urodę.

Zaśmiałem się twardo. Była pierwszą i ostatnią, która nazywała mnie pięknym, ale wtedy Rozpruwacz oddawał mi jeszcze młodzieńcze lata. Kiedy skończyłem sto lat, nadal wyglądałem jak tamten chłopak, który przeszedł przez bramę Soltara.

Po jej śmierci nic mnie już nie trzymało w dawnej ojczyźnie. Wyjechałem, gnany wiatrem i wolą Soltara. Kiedy spotykałem miłość i czułem, że jakaś kobieta grozi związaniem mych zmysłów i serca, uciekałem.

Może i zapomniałem jej twarz i imię, ale bólu, jaki czułem, kiedy pochowałem serę o złotych włosach, tego bólu nie musiałem sobie przypominać. Czułem go nadal, cały czas.

Poprzysiągłem sobie, że już nigdy nie będę kochał. Jeśli szukałem damskiego towarzystwa, to tylko tam, gdzie było ono niegroźne, gdzie wiedziałem, że nie zdoła mnie zatrzymać. Nauczyłem się, że istnieje tysiąc różnych sposobów kochania i tracenia. Wstąpiłem do zakonu rycerzy, którzy zrzekli się wszystkiego poza honorem i powinnością. Dla mnie dotrzymanie reguły było ucieczką, dla nich – powołaniem. Żaden z nich nie zawahał się oddać życie za królestwo, a kiedy umierali, to z dumą, że tak właśnie żyli i umarli. Zostawili mnie na tamtej przełęczy wśród martwych, z których powstawałem wciąż na nowo, aż barbarzyńcy uciekli.

Nie chciałem się do tego przyznać, ale Eleonorę też kochałem; między przyjaźnią a miłością przebiega bardzo cienka granica, a utrata jej dołączyła do znanego bólu, do długiego szeregu tych, które widziałem, śniąc po nocach, do tych, które kochałem i których nie ośmielałem się opłakiwać, kiedy nie śniłem. Widziałem je tylko w snach. Nie zapomniałem żadnej twarzy, wiedziałem, kim były... i że na mnie czekały. Na

samym początku tego szeregu stała sera o złotych włosach, tylko we śnie mogłem ją rozpoznać, bo tylko tam jeszcze widziałem jej uśmiech.

A potem, lata później, kiedy chciałem umrzeć, bo nie znajdowałem w życiu już nic, co miałoby dla mnie jakiś sens, przez drzwi gospody weszła Leandra. Nie dała się ani oczarować, ani odtrącić. Uwiodła starego mężczyznę i zdobyła jego serce. Nie była człowiekiem, czekało ją długie życie nietknięte wiekiem, była tą, którą mogłem kochać, którą wolno mi było kochać. Wreszcie wydawało się, że jestem wybawiony.

Ale jeszcze zanim mnie poznała, już była przeznaczona Kamiennemu Sercu, poślubiona przysiędze, związana z wojną, która mnie nie obchodziła, bo myślałem, że zanim dotrze do Coldenstatt, już dawno będę u Soltara.

Uwiodła mnie, nie dlatego, że mnie kochała, tylko że mnie potrzebowała. Wiedziała, że wyłącznie tak zdoła mnie zdobyć. To była jedyna moneta, jaką miała, jedyny handel, który zdołał mnie nakłonić do powrotu do życia. Wiedziała o tym, i ja też wiedziałem.

A więc to, co czułem do Leandry, to była fałszywa miłość?

Nie. Dowodem tego był ból, kiedy mi powiedziała, że poświęci mnie dla swej misji. Czasami stopień miłości dało się ocenić tylko po bólu.

Leandra dotrzymała obietnicy, zaproponowała mi miejsce u swego boku, a nawet królewską godność. To właśnie mi zaoferowała: przyszłość u boku kobiety, która nie mogła umrzeć ze starości.

Tak długo na to czekałem: na miłość, która trwa przez wieki i której nie ogranicza nawet śmierć.

Fioletowe oczy Leandry, które jakże często zdradzały jej uczucia: miłość, niezadowolenie, złość, kruchość. Tak, kochałem moją królową i żaden mężczyzna nie mógłby być bardziej dumny ode mnie, że ma ją u swego boku.

Na ławce w ogrodzie siedział stary głupiec. Skąd miałem wiedzieć, że umierałem z tęsknoty za miłością, którą już miałem? Skąd miałem wiedzieć, że pod tym zimnym zajazdem, w otchłaniach lodowego grobowca leżały szczątki kobiety, której wcześniej obiecałem właśnie to? Miłość, która przetrzyma śmierć?

Podobno człowiek nie może złożyć silniejszej przysięgi niż tej w obliczu śmierci. A Jerbil... bogowie, jak mógł obiecać Serafine, że wszystko naprawi! Nosił Lodowego Pogromcę, Ostrze Spójni, o którego właściwościach Sieglinde niewiele opowiadała. Miecz zmienił się przez te stulecia, kiedy przechowywał w sobie dusze Pierwszego Rogu. Ale w jednym wszystkie Ostrza Spójni były jednakowe: poświęcone bogom i przepełnione najpotężniejszą magią, jaką zdołał utkać Askannon. Nie powinno się przysięgać na nie zbyt pochopnie!

Jerbil wiedział, co robi; zaczynałem to sobie powoli uświadamiać. To on oddał w zastaw Soltarowi swoją duszę i przysiągł, że zrobi wszystko, wytrzyma wszystko, zda każdą próbę, będzie narzędziem boga, by dotrzymać tej jednej obietnicy: w obliczu śmierci spojrzeć w oczy Serafine i powiedzieć jej, że tego dokona, że rozsądzi boskie prawa na dysku świata, oprze się im samym, a potem poniesie na wojnę jej sztandar. Jeśli tylko będzie mogła żyć dalej, a wszystko to przybierze dobry koniec!

Jak to powiedział brat Jon? Nikt nie mógł złożyć takiej obietnicy? Jerbila nazywano Filarem Honoru, bo nigdy nie łamał danego słowa.

W księgach bogów stało napisane, że stworzyli ludzi na swoje podobieństwo, że dali im boską wolę i że istniała dla nich tylko jedna granica: granica własnej woli.

To wola była tym, co się liczyło w magii, jak mówiły zarówno Desina, jak i Leandra, jak i we wszystkim innym. To wola o wszystkim stanowiła i sterowała losami. Wiedziałem, że tak było. Przypominałem sobie, jak obiecał swą duszę Soltarowi, ale nie tylko jemu. Soltarowi, bo on decydował o śmierci, Boronowi, bo to, co się wydarzyło w tamtych lodowych podziemiach, przeczyło wszelkiej sprawiedliwości, i nawet Astarte, bo to ona władała miłością. Każdemu z tych bogów przysiągł to samo: że zastawi własną duszę, teraz i na wieki, że będzie ich ręką, narzędziem i że zrobi wszystko, co mu powierzą – jeśli pozwolą mu dotrzymać tej przysięgi także po śmierci.

Wiedziałem, że nie żądał niczego dla siebie. W takich sprawach nie prosi się o nic dla siebie, poza tym przeczyłoby to oddaniu, jakiego wymagały takie przyrzeczenia. Prawie słyszałem i czułem te słowa. Gdybym tylko je znał, wszystko by się wyklarowało, zrozumiałbym. Ale nie słyszałem ich, wiedziałem jedynie, że zostały wypowiedziane.

Tak jak Leandra, bogowie też dotrzymali słowa. Jakimi pokrętnymi ścieżkami Serafine powróciła z martwych, pozostawało tajemnicą Soltara.

Kiedy Helis dotknęła Lodowego Pogromcy, Serafine odnalazła drogę do samej siebie, a ja po raz pierwszy ujrzałem duszę w oczach Helis, rozpoznałem ją, chociaż bardzo się przed tym wzbraniałem.

Z pewnością nie tylko ja tęskniłem za wieczną miłością, ale oto jej doświadczyłem. Chciałem przeklinać Jerbila, że to *moją* duszę zaoferował bogom w zastaw, lecz wtedy to była jego dusza i miał do tego wszelkie prawo. Skoro to nie ciało, lecz dusza stanowiła o istocie człowieka, to teraz była to *moja* decyzja, *moja* przysięga, które mnie wiązały.

Po prawdzie sam postanowiłbym tak samo. I jak się okazało na Wyspach Ognistych, była to decyzja, której się nie wypierałem.

Leandra, pół człowiek, może pół elfka, maestra związana z Ostrzem Spójni, moja królowa – była niemal doskonała, nawet jej gotowość do poświęcenia wszystkiego, swego honoru i swej miłości, temu jednemu przyrzeczeniu, nawet to było godne miłości. Jeśli kiedykolwiek istniała kobieta, która była godna miłości, to ona.

Skąd miałem wiedzieć, że byłem obiecany komuś innemu, że kiedy związałem się z Leandrą, moja dusza nie była wolna? Skąd miałem wiedzieć, że kiedy kochaliśmy się z Leandrą po raz pierwszy, w łodzi pod naszymi stopami spoczywała uwięziona stara miłość?

A jednak wyczuwałem i wiedziałem, że czegoś brakuje, że coś we mnie było przeznaczone dla innej i czekało na wypełnienie. Kiedy pierwszy raz spojrzałem w oczy Serafine, nawet wtedy, gdy przemawiała jeszcze przez Sieglinde, czułem, że to była ona.

Jak to zwykle bywa, kiedy dostanie się coś, na co tak bardzo się liczyło, nie uwierzyłem w to. Zamknąłem się przed tym, co powiedziała mi Serafine, i nie chciałem przyjąć do wiadomości, że byłem tylko swoim cieniem. Wyrzucałem Soltarowi, że nałożył na mnie powinność, i wzbraniałem się przed nią. Bo nie chciałem zapłacić ceny, bo nie miałem wyboru.

Czy Jerbil miał prawo wraz ze swoją duszą zastawić także i moją? To była jego przysięga czy moja?

Zaśmiałem się gorzko, kiedy pojąłem, że w gruncie rzeczy było to całkiem proste. Ja kochałem Leandrę, on Serafine, ale to on postanowił za mnie, a jednak nie byliśmy dwoma, lecz jednym i tym samym! Lecz to jego przysięga w ogóle umożliwiła mi miłość do Leandry.

To jego przysięga mnie wiązała, jego przysięga przeznaczyła dla mnie miecz Soltara, który pozwolił mi żyć tak długo, że w gospodzie, kiedy młoda maestra otworzyła jej drzwi, siedział stary mężczyzna. Zmieniła dla niego cały świat.

Wola Jerbila mnie wiązała, umowa, którą zawarł z bogami, karmiła się miłością, fundamentem jego woli. Niemal widziałem go, jak stał tam w dole jako ostatni, ze szronem na twarzy i o ślepych oczach, jak trzymał w ręku Lodowego Pogromcę i przysięgał bogom: *tak się nie może stać!*

Jakże często sam myślałem podobnie, ostatni raz wtedy, gdy Natalyia zginęła przebita ostrzem Rozpruwacza.

Jerbil jednak znalazł swą drogę, a ja miałem za to zapłacić. W innym życiu uklęknąłbym przed Leandrą i podarował jej swoje serce. W tym innym życiu Leandra byłaby królową mego serca, ale w tym moje serce już zostało oddane w zastaw.

Westchnąłem i wstałem. Jak miałem wytłumaczyć to wszystko, co czułem, skoro tylko po części to wiedziałem, sam ledwie w to wierzyłem, a jeszcze mniej

rozumiałem? Wiedziałem jedynie, że Leandra cierpi, i Serafine też. Możliwe, że Leandra oddała mi się, żeby pozyskać moje usługi, ale to nie zmieniało faktu, że zawsze była wobec mnie uczciwa. Dotrzymała słowa. Ja nie mogłem, bo dałem je już komuś innemu.

Długo wątpiłem w prawdziwość miłości Leandry, teraz jednak miałem pewność. Z nią nie było inaczej niż ze mną. To, co jej pozostało po złożeniu ślubów, podarowała mnie...

Co takiego było w miłości, że bolała tym bardziej, im była większa? Leandra cierpiała i płakała, Serafine również, a we mnie wzbierało wszystko i czekało, aż pękną tamy.

Nie mogło tak być, że Leandra i Serafine cierpiały. Nie widziałem rozwiązania dla Leandry, ale zamierzałem je znaleźć. A Serafine... Pora uznać to, co ona wiedziała już dawno, a czego ja nie chciałem przyjąć do wiadomości.

Stałem w ogrodzie, ze wzrokiem utkwionym w głupią rybę. Oderwałem go od niej i spojrzałem w słońce. Po nocy zawsze nadchodzi dzień, takie było przyrzeczenie Soltara i nadzieja: po śmierci zaczyna się nowe życie. Kiedy spłacę swoją – Jerbila – winę, może znowu odzyskam Leandrę. Ale nie w tym życiu.

Poszedłem na górę do kwatery. Drzwi Serafine były otwarte; stała pośrodku pokoju i szukała czegoś spojrzeniem. Kiedy zapukałem, odwróciła się przestraszona.

– O, dobrze, że jesteś! – zawołała z ulgą. – Już myślałam, że ktoś ukradł Rozpruwacza.

Jeśli rzeczywiście płakała, to nie było tego po niej widać.

– Przyszedłem podziękować za tytoń – skłamałem i pokazałem jej woreczek. – Zokora powiedziała, że dla mnie...

– To nic wielkiego, i tak byłam na targu. – Machnęła ręką. – Co ty tu robisz o tej porze? Myślałam, że będziesz zajęty do szóstego dzwonu?

– Sierżant generalna Rellin uznała, że się nie przykładam, i odmówiła dalszego marnowania dla mnie czasu. Jeśli jutro będę podobnie zgrywał głupka, grozi, że doniesie o mojej głupocie komendantowi.

– Prawdopodobnie słusznie. – Podeszła bliżej i zmierzyła mnie wzrokiem. – Dziwnie patrzysz.

– Ach, to nic takiego – odparłem prędko.

Skinęła głową i odwróciła się. Dotknąłem jej ramienia. Czasami nie powinno się tchórzyć.

– Jednak tak – powiedziałem cicho. – Coś jednak jest. Napatoczyłem się na Santera. Nazwał mnie głupcem. Zokora też tak mnie nazwała i powiedziała jeszcze, że jestem ślepy.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Nawiasem mówiąc, Havaldzie, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć...

– Wysłuchaj mnie do końca. Kochałaś Jerbila, prawda?

Zamrugła. Cień przyćmił jej uśmiech, który natychmiast przygasł.

– Masz doprawdy wybitne wyczucie taktu, Havaldzie. Tak, kochałam go. Czego chcesz?

– Nie jestem Jerbilem – powiedziałem.

– Wiem – westchnęła. – Wielokrotnie mi to mówiłeś i tego dowiodłeś.

– Kiedy byliśmy u najwyższego kapłana, widziałas go we mnie i wyrzuciłaś mi, że nie dotrzymałem słowa – ciągnąłem.

– Tak – westchnęła znowu i odgarnęła włosy z twarzy. Spojrzała na drzwi za mną, które nadal były otwarte. Jednym krokiem doszedłem do nich i zamknąłem głośniej, niż zamierzałem.

– A teraz kochasz mnie, bo wciąż kochasz jego. Ale ja jestem...

Nie zdołałem powiedzieć nic więcej. Rozpruwacz ostrzegł mnie w porę, ale nie zareagowałem. Policzek klasnął głośniej niż zatrzaśnięte drzwi i obrócił mi głowę.

– Wynocha! – zawołała. – Wyjdź, zanim się zapomnę!

Powoli poruszyłem szczęką; była na miejscu. Pokręciłem głową.

– Nie chcę cię urazić.

– Dobrze, że to mówisz, bo jesteś w tym doskonały! Słuchać też nie potrafisz. Powiedziałam, że masz wyjść!

– Nie chcę być zastępstwem za zmarłego – powiedziałem. – Nie jest mi łatwo, kiedy widzę, że nadal go kochasz, a ja mu nigdy nie dorównam! Patrzysz na mnie tymi oczami, ale widzisz jego. Jeśli sądzisz, że to nie boli, to się mylisz!

Zamrugła.

– To cię boli? – spytała cicho.

– A jak ci się wydaje? – odparłem gniewnie. – Myślisz, że naprawdę jestem taki ślepy, że nie dostrzegam, jak szukasz mojej bliskości? Gorzej, nie mogę trzymać cię na dystans, podkopujesz moje zapory i z łatwością przeskakujesz przeszkody. Milczysz, kiedy nie potrzeba słów, mówisz tylko to, co trzeba, doprowadzasz mnie do śmiechu i po prostu jesteś, a kiedy cię nie ma, czuję się, jakby mi brakowało kawałka siebie! Nie wiem, co się ze mną dzieje, że nie mogę być wierny. Kocham Leandrę, a właściwie kochałem ją, a przynajmniej tak mówiłem, a jednak ty przyciągasz mnie jak magnetyczny kamień! Stoisz obok mnie, uśmiechasz się, patrzę na twoje włosy i oczy, czuję twój zapach, czuję twój delikatny dotyk... Nie jestem skałą, Finna, a gdybym nią był, to i tak nic by to nie dało, bo jesteś wodą, która przedostaje się przez najtwardszy kamień. I widzę to twoje spojrzenie, słyszę ciche westchnienia, widzę twoje wargi

i wiem, że myślisz o zmarłym. Twój Jerbil był dobrym człowiekiem, tak się przynajmniej wydaje, ale czasami mam ochotę go przeklinać.

– Havaldzie – zaczęła i uniosła dłoń, żeby pokazać na drzwi. – Czekaj. Tam jest...

– Nie, nie chcę czekać! – wzburzyłem się. – Na bogów, ciężko to znieść, kiedy porównujesz mnie z tym duchem, a ja mogę tylko przegrać! Jeśli już kochasz, Finna, to kochaj *mnie*!

Ktoś zaklaskał za moimi plecami.

– Dobrze powiedziane, staruszkule – usłyszałem za sobą głęboki, pogodny głos starego przyjaciela. – A teraz ją pocałuj, rzuć na łóżko, a jeśli chcesz, wytłumaczę ci, jak ją w nim uszczęśliwić!

– Ragnar – jęknąłem i odwróciłem się.

Stał oparty oburącz o topór, w ciężkiej kolczudze i grubych skórach, z rudą, potrójnie splecioną brodą i uśmiechem na twarzy, jakiego nie powstydziliby się żaden demon.

18

RAGNAR

Dwoma susami dopadł mnie i podniósł, a potem o mało nie zmiądzzył w uścisku. Czułem zapach lodu i śniegu w jego futrach oraz miodu w oddechu.

Odsunął mnie od siebie, trzymając za przedramiona. Wisząc w powietrzu, szukałem stopami podłoża.

– Na wszechojca, wokół ciebie zawsze są jakieś dramaty. Przysięgam, że cokolwiek robisz, ostatecznie zamienia się w sagę! – Uniósł mnie jeszcze wyżej, żeby mi się przyjrzeć. – A więc to prawda, co mówią? Że odmłodziłeś i nosiłeś w skórzanej sakwie Ostrze Spójni?

– Tak. Jak widać. Ale mimo wszystko możesz mnie już postawić – oznajmiłem.

– Och – mruknął i puścił. Roztarłem sobie ramiona. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – spytał z szerokim uśmiechem.

– Ależ cieszę się, Ragnarze – powiedziałem i rzeczywiście tak było. Podczas tej długiej wyprawy zyskałem nowych przyjaciół, ale Ragnara znałem już od dawna, on mnie również, lecz nie jako nosiciela przeklętego miecza. Zostaliśmy przyjaciółmi w czasach, kiedy nie było jeszcze wrogów, którzy by nas połączyli, ani łowców dusz, którzy by nam zagrażali. Zostaliśmy nimi, bo tak chcieliśmy i lubiliśmy swoje towarzystwo. O łowcach dusz Ragnar nie miał pojęcia. Wtedy trzymałem miecz schowany w skórzanym pokrowcu i byłem stary. Wiele lat temu pożyczyłem mu trochę złota, żeby mógł zrealizować marzenie o własnej kuźni. Łóżko, w którym spał i spłodził dzieci, zostało wykonane moją ręką, znał mnie jako stolarza, a nie rzeźnika Soltara. Kiedy ujrzałem go tutaj, wesołego i w dobrym zdrowiu, o mało się nie rozpłakałem. A jednak...

– Po tylu latach mogłeś poczekać jeszcze pół świecy – poskarżyłem się, zerkając na Serafine, która ku memu zaskoczeniu się uśmiechnęła.

– Ragnarze – odezwała się – zaczekajcie, proszę, na zewnątrz. Nie chcę przepuścić tej okazji.

– Nawet razem wzięci nie jesteście tak silni, żeby mnie wypchnąć za drzwi – oświadczył Ragnar i wycelował we mnie palec ozdobiony złotym pierścieniem. – Ten gość był kiedyś stary jak sam bóg ojciec, a mimo to wtrącał się w moje życie. Użył podstępnej sztuczki, upił mnie, a potem wysłuchiwał moich żalów, że straciłem serce, dobrze wiedząc, że owa nadobna dziewczyna stoi za mną i przysłuchuje się, jak moje

pijane, zagubione serce wszystko z siebie wylewa. A teraz spójrzcie na mnie: stary człowiek, oswojony delikatną kobiecą ręką, ujarzmiony i oczarowany nie tylko jej błękitnymi oczętami, ale i siódemką, słyszysz, *siódemką* dzieciaków! I szczęśliwszy, niż kiedykolwiek ośmielał się marzyć! A wszystko wyłącznie jego wina, sera, i jeśli...

– Och, zamknij się wreszcie, Ragnar! – powiedziała, podeszła do mnie i pocałowała mnie mocno, tak mocno, że straciłem oddech i zmysły. Wzięła głęboki wdech. – Jesteś idiotą, Havaldzie. Naprawdę muszę mocno się wysilić, żeby przypomnieć sobie Jerbila. To, co w nim kochałam, już dawno widzę w tobie. Kiedy myślę o jego ustach, widzę twoje, kiedy próbuję wyobrazić sobie jego oczy, widzę twoje spojrzenie, Havaldzie. Kochałam go, ale on nie żyje, za to ty tak, a on jest częścią ciebie. Kocham ciebie, a nie jego!

– Ale...

Pocałowała mnie znowu. Poczułem się, jakbym wrócił do domu. Jej ciało, włosy, zapach, usta, miękkie i zarazem domagające się swego. Dotykała czegoś głęboko we mnie, a wszystko inne dokoła zniknęło. Trwało to nieskończenie długo, ale i tak zbyt krótko, a kiedy się skończyło, brakowało mi tchu.

– Na bogów – zawołał Ragnar, klaszcząc radośnie w uda. – To dopiero pocałunek! Kiedy byłeś starym człowiekiem, nie wierzyłem, że potrafiłeś niegdyś zdobywać kobiety, ale teraz widzę, że nie kłamałeś. Ona jest w tobie zakochana, a ty w niej. Wypijmy za to!

Oszołomiony, niechętnie oderwałem się od Serafine, która uśmiechała się jak kotka. Spojrzałem na niego skołowany. W ręku trzymał znajomą beczułkę, lecz ja w tej chwili byłem niezdolny do myślenia.

– Masz! – wykrzyknął i rzucił mi antałek. – Znalazłem w twojej kwaterze. Bogowie! Nie potrafisz już nawet łapać? – Zareagowałem z opóźnieniem. Beczułka poleciała obok mnie i rozbiła się o ścianę. Ciemny kronskrager rozlał się po podłodze. Pod pianą coś połyskiwało złotawo.

– Patrz, co narobiłeś! – oburzył się. – Minęły wieki, odkąd miałem okazję napić się tego boskiego daru, a teraz się zmarnowało!

Podbiegł do beczułki, podniósł ją i pokazał mi ją oskarżycielsko.

– Za jeden łyk tego płynu gotów jestem zabić... Wszechojczcie! Skąd ty to masz, na wszystkich bogów?

Na jego twarzy malowały się ból i gniew, a w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Wiedziałem wprawdzie, że Varlandczycy lubią piwo, ale takiej reakcji nie rozumiałem.

– To tylko piwo – zauważyłem ostrożnie. Ragnar był wprawdzie przyjacielem, ale Varlandczycy miewali zmienne nastroje. Czasami lepiej traktować ich z wyczuciem.

– Nie o to chodzi – warknął. – Chcę wiedzieć, skąd to masz!

– Przyjaciel dał mi ten antałek...

– Nie antałek, tylko to, co w nim było schowane! – zawołał z gniewem, oburącz rozerwał beczkę na dwoje i podetknął mi pod nos szeroką kłamrę z litego złota, ozdobioną varlandzkimi runami i wysadzaną wielkimi jak kciuk kamieniami szlachetnymi. – Powiedz mi, czyj grób splądrowałeś, a może daruję ci życie!

W ostatnich dniach wydarzyło się zbyt wiele. Proroctwo, że mam zginąć przed fałszywym bogiem, wiadomość, skąd pochodził, desperacja z powodu Serafine, radość z zobaczenia Ragnara... a teraz to!

– Twierdzisz, że sprofanowałem grób? – krzyknąłem wściekły i odsunąłem się od Serafine. – Ośmielasz się obrażać mnie w ten sposób? Miałem cię za przyjaciela, Ragnar, ale teraz posunąłeś się za daleko!

Podczas gdy on chwycił już za swój potężny topór, Rozpruwacz Dusz zawibrował w pochwie. Wykonany boską ręką Ragnarskrag wreszcie był godnym przeciwnikiem dla mego miecza, a chociaż ostatnio Rozpruwacz złagodniał, to teraz pożądliwie wyglądał walki.

– Bogowie! – zawołała Serafine i wstąpiła między nas, rozdzielając nas rękoma i gromiąc wzrokiem. – Angus jest przyjacielem Havalda i to od niego jest ta beczułka. Nic nam nie powiedział, że coś jest w niej schowane! Havald nie profanuje grobów, powinniście to wiedzieć, poza tym Angus jeszcze żyje, choć już pewnie niezbyt długo! Jeśli znacie tego człowieka, Ragnarze, to winniście się spieszyć, żeby go odwiedzić, bo wkrótce zostanie stracony. – Popatrzyła na nas groźnie. – A jeśli się nie pogodzicie, to obu was wyrzucę z moich komnat. Jeśli myślicie, że jestem na to za słaba, to się zdziwicie, i wcale się to wam nie spodoba! – Tym razem rzeczywiście tupnęła nogą.

Ragnar wbił pięści w boki, odrzucił głowę do tyłu i zaczął się gromko śmiać.

– Bogowie, co za kobieta! – zawołał i mrugnął do mnie. – Gdybym nie był już ujarzmiony, to uderzyłbym do niej w konkury!

– Nie zrobiłbyś tego – zagroziłem, ale sam nie mogłem już powstrzymać uśmiešku. Burza minęła tak samo szybko, jak nadeszła.

– Dobrze – zgodził się Ragnar. – To chodźmy!

– Do Angusa? – zapytałem.

– A dokąd? Chcę wiedzieć, o co go oskarżają. Nie chce mi się wierzyć, że popełnił przestępstwo.

– Skąd go znasz? – spytałem, choć właściwie mogłem się domyślić.

– Był moim merkesmanem, panem moich hirðmenn, mojej gwardii przybocznej – wyjaśnił Ragnar. – Więc powinienem go znać, racja?

To wiele tłumaczyło. Książę, który wyruszył w podróż ze swoimi ludźmi i nie wrócił.

- Jesteś księciem? – spytałem głupawo.
- Tak, Havaldzie – westchnął. – Mówiłem ci przecież.

A ja nigdy mu w to nie wierzyłem.

- To jak się dostałeś do południowych krajów?
- Popłynąłem.

Wlepiłem w niego wzrok.

– Przecież mówiłem ci tyle razy! Trafiliśmy w zasadzkę piratów. Kiedy się zorientowaliśmy, że mają przewagę, sami zastawiliśmy na nich pułapkę. Udaliśmy śmiertelnie rannych, a kiedy się zbliżyli, część naszych ludzi zaatakowała z wody pierwszy okręt, podczas gdy reszta zajęła się głównymi siłami na drugim okręcie. Wybiliśmy piratów do ostatniego, ale ponieśliśmy ogromne straty. Na drugim okręcie, jak mi powiedziano, nikt nie został przy życiu, a więc uznałem za martwego również i Angusa, który dowodził atakiem. Wypiliśmy za naszych braci, a potem kontynuowaliśmy wyprawę, aż w końcu rozbiliśmy się na waszym wybrzeżu... tam dopłynąłem do lądu.

Tak, opowiadał mi tę historię. I wiele innych, o zimnych lodowcach, żelaznych tronach i gorących kobietach, zdolnych poskromić nawet Normana. Sagi o bohaterach, z których każdy był zbyt wielki, by mógł być prawdziwy. Nie przejmowałem się tym, mógł sobie uważać się za księcia, dla mnie był przyjacielem, to mi wystarczało. Teraz ważył w dłoni ciężką bransoletę.

- To jest honor Angusa. Jak on może żyć, skoro ty to masz?

– Podarował beczułkę Havaldowi, kiedy się dowiedział, że zostanie stracony – wyjaśniła Serafine.

- Gdzie będzie stracony i za co?

– Miejsce mogą wam zdradzić – powiedziała Serafine i sięgnęła po leżącą na łóżku opończę. – Dziś o północy, na dziedzińcu ambasady Varlandu odbędzie się walka bogów. Nie wpuszczają obcych – dorzuciła, zerkając na mnie. – Inaczej bym tam była.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? – spytałem.

- Bo to się na nic nie zda. Powiedziałam przecież, że nie wpuszczają obcych.

- A czemu ma umrzeć? – spytał Ragnar, ważąc w dłoni złotą obręcz.

– Bo nie wybrał samobójstwa, kiedy ty zginąłeś – oznajmiłem i zwróciłem się do Serafine: – Znasz drogę do ambasady Varlandu?

- Pewnie.

– Ja też. Już raz tu byłem. Ale dlaczego ma umrzeć? Przecież ja nie zginąłem – zaprotestował Ragnar.

- O tym, mój przyjacielu, nie wiedział nikt oprócz ciebie.

- Ty wiedziałeś – powiedział z wyrzutem. – Dlaczego do tego dopuściłeś?

Westchnąłem.

– Bo Angus nigdy nie wymienił twojego imienia. A ja miałem wątpliwości, czy rzeczywiście jesteś koronnym księciem Varlandu.

– Tylko księciem, przyjacielu – skorygował. – Najmłodszym z piątki i całkowicie zbędnym.

– Już nie – zapewniłem go. – Wszyscy twoi bracia zginęli, a ojciec, jak słyszałem, jest słabego zdrowia.

Otworzył drzwi, ale nagle stanął jak wryty.

– O czym ty mówisz? – pobladł. – Chyba nie mówisz poważnie. Nie znasz moich braci, są jak woły, głupi, silni i niezniszczalni!

– Najwyraźniej nie – wtrąciła Serafine. – On mówi prawdę, Ragnarze. Nie wiedział tylko jeszcze, że również wasz ojciec odszedł niedawno do bogów. Już trwają przepychanki o nowego króla, o tron, który należy się tobie.

– Nie! – zawołał i pokręcił zdecydowanie głową. – Nie mogę być królem. Musiałbym porzucić żonę i dzieci... i kuźnię... całe życie! Nie mogę! – Zaciśnął pięść na bransolecie Angusa. – Nie mogę też tak zostawić Angusa, więc go uwolnię. Pomożesz mi? – Popatrzył na mnie błagalnie. – Pomożesz mi, prawda, przyjacielu?

– Tak, o ile nigdy więcej nie nazwiesz mnie hieną cmentarną – powiedziałem z uśmiechem.

– Przepraszam. Powinienem wiedzieć, ale zaskoczenie było zbyt duże – przyznał ze skruchą i westchnął. – Bogowie... moi bracia i ojciec... wszyscy zginęli, a ja nic o tym nie wiedziałem... – Pokręcił głową. – Wszyscy byli uparci jak woły, a trzech z nich chciało mnie zabić. Nie szkoda ich, ale, na wszechojca, moje życie należy teraz do mnie! – Popatrzył na mnie błagalnie. – Moja ojczyzna jest w Coldenstatt, tam jest moja przyszłość. Pomóż mi, Havaldzie, nie chcę być królem! Nie masz pojęcia, jakie przeciągi panują w sali tronowej w Krimstinslag!

Serafine roześmiała się.

– To brzmi jak dobry powód, żeby zrezygnować z godności królewskiej.

Ragnar posłał jej urażone spojrzenie.

– Nie wiecie, jak tam potrafi być zimno. Kiedy się siedzi na tronie, może się zdarzyć, że jaja przymarzają ci do siedzenia. Ungar Nicniewart śpiewał o tym pieśń... falsetem!

Serafine prychnęła, a i ja nie mogłem powstrzymać śmiechu, ale rzecz była zbyt poważna na chichy-śmichy.

– Dobrze – powiedziałem. – Pamiętaj tylko o jednym: Krimstinslag jest o setki mil dalej od Thalaku niż Askir. Ale Coldenstatt może upaść, jeśli zechce tego cesarz nekromanta.

– To moja ojczyzna, a Esire jej nie opuści – orzekł i podniósł topór. – Moje miejsce jest u jej boku. Jeśli łowca dusz tylko się zbliży, Ragnarskrag pokaże mu, że popełnił błąd.

– Oby to nie było konieczne – skwitowałem i wstałem. – Chodźmy do pułkownika Orikesa. Zobaczymy, co może zdziałać w kwestii uwolnienia Angusa.

– Po co? – zapytał, nie rozumiejąc.

– Nie możemy wdrzeć się tam siłą – wyjaśniłem. – Proszono mnie, żebym trzymał się drogi dyplomatycznej.

– Może to się tyczy ciebie – powiedział Ragnar. – Ale ta sprawa nie powinna obchodzić Askiru. Możesz mi towarzyszyć albo nie.

– Jakimże byłbym przyjacielem, gdybym ci nie pomógł? Myślałem tylko...

– Dobrze – przerwał mi, wysunął podbródek, a jego broda zadrżała z determinacją. – Więc chodźmy uwolnić Angusa!

– Teraz? – zdumiałem się. – Teraz, w tej chwili?

– A jest jakiś powód, żeby czekać? – zapytał.

Nic nie przyszło mi do głowy.

– To idziemy – zarządził i począpał do drzwi. – Módlmy się, żeby nikt nie ośmielił się stanąć mi na drodze.

PÓŁNOCNA DYPLOMACJA

– Jak się tu znalazłeś? – zapytałem Ragnara, kiedy przeciskaliśmy się obok ciężkiego powozu przez bramę cytadeli. Skóry i ogromny topór jak zwykle przyciągały spojrzenia przechodniów, które on ignorował.

– Ten cały Janos przywiózł mi mój topór. Zapytałem go, jak trafił w jego ręce, a on opowiedział mi o wędrowcu i o łowcach dusz. Poszedłem do Twierdzy Gromów i poprosiłem o wpuszczenie. Tam spotkałem Sieglinde, córkę Eberharda, która nosi Ostrze Spójni. Powiedziała mi, że można cię znaleźć tutaj. – Wzruszył ramionami. – Więc jestem. – Zważył Ragnarskraga w rękę i mrugnął do mnie. – Pomyślałem, że może ci się tu przydamy.

– To będzie niebezpieczne – przypomniałem, na co się zaśmiał i unióś topór.

– *On* jest niebezpieczny, przyjacielu. O mnie nie musisz się martwić.

Nie wątpiłem w to. Ragnar był jeszcze wyższy od Angusa i potężniej zbudowany. Od dobrych czternastu lat dzień w dzień wymachiwał w kuźni ciężkim młotem i to było widać. Jego ramiona były grubsze od moich ud.

Wyglądał, jakby jedną ręką mógł unieść wózek do przewożenia towarów, wrażenie to potęgował jeszcze topór, wykuty podobno przez boga, a jego nosicielowi przydający siłę dziesięciu chłopca. Ragnar nauczył mnie walczyć toporem, ćwiczyliśmy też walkę na miecze. Jego mocną stroną była również szybkość, o co nikt go nie podejrzewał, a także spryt i lotność umysłu.

Gdybyśmy się nie dowiedzieli, że cesarza nekromanty nie można pokonać inaczej niż tak, jak mu to pisane, to właśnie Ragnarowi powierzyłbym zabicie łowcy dusz. Wielu Varlandczyków sprawiało wrażenie tępych i szorstkich, Ragnar też potrafił się tak zachowywać, ale głowę miał nie tylko do noszenia hełmu i był tak dobrze wykształcony, że mógł się bez wstydu obracać w wyższych sferach.

Szedł przodem, ludzie pospiesznie schodzili mu z drogi, nawet Byki na bramie spoglądali na niego nieufnie. Zignorował ich i pomaszerował prosto, pozornie rozluźniony, ale wiedziałem, że widzi i chłonie wszystko.

Żył szczęśliwie z żoną, kobietą tak drobną jak Zokora i obdarzoną równie silną wolą. Można by sądzić, że marnował się jako kowal, bo jeśli istniał ktoś, do kogo pasowałaby królewska godność, to tym kimś był Ragnar. Działał na ludzi tak, że dobrowolnie przed nim klękali, choć sami nie wiedzieli dlaczego.

W Coldenstatt piastował urząd burmistrza, zasiadał też w radzie rzemieślników, ale rzadko go można było tam znaleźć. Nie narzucał się z objęciem wodzostwa, a jednak już od pierwszej chwili zauważyłem, jak bardzo ludzie szukają jego rady. W Coldenstatt, najmłodszym mieście w mojej ojczyźnie, i w całym kraju po tamtej stronie Przełęczy Gromów już dawno był władcą, ale nie potrzebował korony, wystarczyło, że ludzie cenili go i szanowali ze względu na jego rady.

Przełęcz Gromów winna stanowić trudną do przebycia przeszkodę także dla cesarza nekromanty i jego legionów. Nasz plan zakładał, że ci, którzy mogli uciec przed cesarzem nekromantów, powinni schronić się w Coldenstatt. Tam Ragnar był na właściwszym miejscu niż w Krimstinslag.

Podczas gdy on kroczył przed siebie, jakby nic nie mogło go zatrzymać, zauważyłem zbierające się na horyzoncie chmury. Wiedziałem, co myślała Leandra, a ponieważ Ragnar był moim przyjacielem, z pewnością liczyła, że da się na niego wpłynąć. Przyjaciel na tronie Nowych Królestw był ważniejszy od wszystkiego innego. Zapewne będzie oczekiwała, żebym namówił go do przyjęcia królewskich honorów. Gdyby mogła osiągnąć to bez mojej pomocy, niewątpliwie by to zrobiła.

Ambasada Varlandu mieściła się w Górnym Mieście. Początkowo niewiele było widać: wysoki mur otaczający zaskakująco duży teren, Byki strzegące szerokiej bramy oraz dwóch gwardzistów Varlandu, którzy w futrach i ciężkich kolczugach niewiele różnili się od Ragnara, tyle że on był nieco bardziej zadbany. Ci dwaj wyglądali, jakby do ich zadań należało straszenie małych dzieci. Odniosłem wrażenie, że śpią na stojąco; nie zdziwiłbym się, gdyby dobiegło mnie chrapanie.

Kiedy Ragnar znalazł się w zasięgu wzroku, ożywili się i popatrzyli ciekawie w naszą stronę, a gdy podszedł bliżej, w końcu się poruszyli. Żołnierze Byków nadal stali nieruchomo jak posągi. Jeden z Varlandczyków wystąpił naprzód i powiedział coś w języku brzmiącym, jakby głosem ochrypłym od bólu gardła właśnie wypowiedział nam wojnę.

Ragnar nie odpowiedział, tylko chwycił go za szyję i rzucił niewiarygodnie wysokim łukiem na drugą stronę ulicy, gdzie odbił się od ściany domu, osunął na ziemię i oszołomiony znieruchomiał. Kiedy drugi strażnik złapał za topór, Ragnar zrobił szybki wypad, ucapił go jedną ręką za kołnierz i z impetem cisnął o ziemię, by na koniec postawić mu ciężką nogę na grdyce.

– Jestem Ragnar Hraldirsson – obwieścił z wyszukaną grzecznością nieszczęśnikowi. – A teraz zapowiedz moje przybycie.

Kiedy skołowany strażnik chciał się podnieść, Ragnar przewrócił go nogą i warknął coś w swoim języku, na co tamten pospiesznie oddalił się na czworakach.

– A ja myślałam, że Angus jest straszny – stwierdziła Serafine.

– Tak musi być – odparł cicho półgębkiem, dalej spoglądając groźnie, jakby chciał gołymi rękoma zburzyć mur wokół ambasady. – Na taką zuchwałość trzeba umieć sobie pozwolić, sera Helis. To właśnie potwierdza moje roszczenia. Kto inny jak nie królewski syn ośmieliłby się tak traktować zasłużonych weteranów?

– Ten jeden zasłużony weteran ma, zdaje się, inne zdanie na ten temat – poinformowałem usłużnie. Strażnik, którym Ragnar rąbnął o ścianę, odzyskał władzę w nogach. Ale Ragnar nie potrzebował mojego ostrzeżenia, bo trudno było nie usłyszeć przeraźliwego ryku, z jakim tamten rzucił się z toporem na mojego przyjaciela.

Serafine i ja wymieniliśmy spojrzenia i grzecznie ustąpiliśmy na bok. Ragnar odczekał do ostatniej chwili, obrócił się, jedną ręką wyrwał atakującemu topór, a drugą przerzucił ziomka przez mur.

Śledziliśmy wzrokiem nieszczęśnika. Przeleciał nad murem i zniknął. Na odgłos tąpnięcia o ziemię skrzywiliśmy się oboje.

– To musiało zboleć – stwierdziła zdawkowo Serafine.

– Możecie go o to zapytać później – powiedział Ragnar, a na jego przesadnie ponurym obliczu zadrgały kąciuki ust. – Będzie twierdził, że rodzona matka głaskała go twardziej niż przed chwilą ja. – Zważył w rękę strażniczy topór, zamachnął się i uderzył nim w ciężkie skrzydło bramy, zatapiając całe ostrze w twardym drewnie. Huk przypominał grom nadchodzącej burzy.

– Nie możecie po prostu ze sobą porozmawiać? – zaciekawiała się Serafine. – Czy musicie rozbijać sobie łby?

– Owszem, możemy rozmawiać – przyznał Ragnar i z trudem powstrzymywał śmiech. – Ale żeby mi dali coś powiedzieć, muszę nabić kilka guzów! – Rzucił nam krótkie spojrzenie. – Lepiej się odsuńcie, bo jeśli traktują mnie poważnie, to zaraz przyślą tu czterech wojów. Przy odrobinie szczęścia ośmiu, to by znacznie uprościło sprawę.

Brali go na poważnie. Brama otworzyła się z impetem i na zewnątrz wypadł dobry tuzin rozjuszonych Varlandczyków z toporami i mieczami. Pospiesznie usunęliśmy się na bok, sam ich widok wystarczył, żeby nawet wśród Byków wezbrało poruszenie. Znali Varlandczyków, toteż zaczęli instruować przechodniów, by szeroko omijali ambasadę.

Ragnar z wiadomych powodów nie używał topora, za to łamał miecze, przerzucił cztery kolejne topory przez bramę, a napastnikami ciskał, jakby byli szmacianymi lalkami. Dwóch przerzucił przez mur, ale poniechał tego, kiedy trzeci rzut okazał się trochę za krótki i mężczyzna rąbnął o zwieńczenie muru. Usłyszeliśmy trzask łamanych kości, kiedy wojownik zawiesił się na murze, a potem spadł z powrotem.

Nie trwało to długo. Ragnar dopiął swego, krwawiąc z licznych ran. Topór rozciął mu kolczugę i zranił mięsień ręki, ale właśnie tą ręką podniósł najstarszego z napastników i potrząsnął nim jak szczeniakiem.

– Jestem Ragnar Hraldirsson – oznajmił. – Kto tu przemawia w imieniu króla? – Szarpnął gwardzistą tak mocno, że wyraźnie dało się słyszeć dzwonięcie zębów.

– Skutilvin. Olif Skavronson – wydobył z siebie tamten.

Ragnar puścił go i dał mu kopniaka.

– Dobrze, niech skutilvin tu przyjdzie. Sprowadź go i powiedz, że ma być grzeczny!

Normanowie dźwigali się pomału na nogi, potrząsali oszołomieni głowami, po czym zataczając się, zaczęli się oddalać. Nie odchodzili daleko, stali lub siedzieli nieopodal. Wyraźnie odeszła im ochota do walki, spoglądali tylko ciekawie i mówili coś między sobą.

Nawalanka wyglądała groźniej, niż ostatecznie była. Jak do tej pory nie było trupów, tylko połamane kości. Co, jak wiedziałem, było jej celem. Ragnar nic by nie zyskał, robiąc tu sobie wrogów.

Mężczyzna, który wyszedł z bramy, miał na sobie ciężką kolczugę, a w ręku róg wołu, nie broń. Jego broda była długa i siwa, przeplatana złotymi drucikami, a rozpuszczone włosy starannie wyszczotkowane i ujarzmione złotymi spinkami.

Stanął przed Ragnarem, uniósł róg, zawołał coś w języku Varlandczyków i podał mu róg. On go wziął, krzyknął tak, że zadzwoniło mi w uszach, na co każdy z obecnych Normanów zawył i ryknął śmiechem, wołając imię Ragnara. Mój przyjaciel przyłożył róg do ust i zaczął pić, a po brodzie ściekała mu piana i piwo. Uniósł triumfalnie róg, na co wszyscy rzucili się na niego i jęli poklepywać go po plecach i wiwatować z wyszczerzonymi w uśmiechach zębami.

Jeden z Byków grzecznie dołączył do nas.

– Wybaczcie, sera, ser – zagadnął. – Możecie mi powiedzieć, kim jest ten człowiek?

– Ragnar Hraldirsson – powiedziałam, a żołnierz skinął głową.

– Słyszeliśmy, ale kim on jest? Potrzebuję do raportu.

– Księciem Varlandczyków.

– Mają ich pod dostatkiem – skwitował Byk, kiwnął uprzejmie głową i wrócił na posterunek.

Varlandczycy rozgościli się w Askirze po swoim. Za wysokimi murami mieściła się nie tylko ambasada, ale i niewielka wioska z dużą podłużną halą i licznymi zabudowaniami pomocniczymi, a wśród nich kuźnia, którą Ragnar obrzucił tęsknie wzrokiem, kiedy prowadzono nas do hali.

Tam posadzono nas na ławie w pobliżu ogromnego koksownika, w którym jakaś kobieta rozpałała ogień. Podano nam ciemne pieniste piwo i pieczeń, a tymczasem

nasi gospodarze dyskutowali ze sobą zawzięcie. Ragnar siedział w milczeniu i pił. Z ramienia kapłała mu krew.

– Sera Helis, nie macie przypadkiem igły i nici? – zapytał w końcu.

– Owszem – odparła i zerknęła na mnie. – Byłoby głupotą ruszać się gdzieś z Havaldem bez czystych szarpi i nici.

– Nie zszyłybyście mi rany? – poprosił grzecznie. – Nie chcę stracić za dużo krwi...

– Pewnie – powiedziała i zaczęła grzebać w swoim worku. – Trzeba się było nawalać? – spytała, oczyszczając ranę okowitą i przymierzając się do pierwszego szwu.

Ragnar nie okazał bólu, kiedy wkłuła igłę.

– Zróbcie to, jak należy – wyszeptał – bo mnie baba obsobaczy. Nie lubi na mnie blizn, uważa, że mam ich już pod dostatkiem. – Wziął głęboki łyk piwa. – Co do tego małego przedstawienia przed chwilą, to był najszybszy sposób udowodnienia, że jestem tym, za kogo się podaję. Nie zapominajcie, że od wielu lat uchodzę za martwego. Inny sposób polegałby na wysłaniu posłańca do ojczyzny, który wróciłby z kimś, kto mógłby mnie rozpoznać... tak było szybciej. Bogowie – zaklął. – Nienawidzę, jak ktoś skrobie mi igłą po kości!

– To był kawałek waszej kolczugi, Ragnarze – powiedziała przeproszającym tonem. – Przecież nie mogłam zostawić go w ciele!

– Macie rację, ale i tak nie musi mi się to podobać! – burknął i uniósł w górę róg, żeby młoda, płowowłosa dziewczyna, wpatrzona w niego jak w obrazek, mu go napełniła.

– Co z Angusem? – zapytałem cicho. O ile dobrze zrozumiałem, jego imię jeszcze nie padło.

– Czekam, aż komuś przyjdzie do głowy, że Angus może mnie rozpoznać. I że nie doznał uszczerbku na honorze, skoro ja w oczywisty sposób żyję. – Potoczyłem spojrzeniem dokoła. Co druga para oczu wpatrywała się w niego z namysłem. – Jeśli chcesz wiedzieć, Havaldzie, jak czuje się człowiek pośród wilków, to się rozejrzyj! Każdy główkuje, czy to, że siedzę tu żywy, wyjdzie mu na korzyść, czy wręcz przeciwnie – ciągnął półgłosem. – Pewne jest, że swoją obecnością krzyżuję im plany. Każdy myśli, że przybyłem zażądać prawa do korony, i możecie być pewni, że większości jestem solą w oku. Jeśli mój ojciec nie żyje, jak powiedziała sera, to już dawno zostało ustalone, kto teraz ma nosić koronę... ale to nie ja jestem tym, na kogo stawiano.

Serafine i mnie ignorowano, mogliśmy więc w spokoju śledzić spektakl. Nie upłynęło dużo czasu i między dwoma Normanami wybuchła sprzeczka, padło imię Angusa, do zwady dołączył trzeci, potem czwarty... Awantura stawała się coraz

głośniejsza, zataczała coraz większe kręgi. Jeden z Varlandczyków rzucił kubkiem przez halę, warknął coś, po czym odszedł, przekornie tupiąc.

– Co się dzieje? – zapytałem cicho, podczas gdy Serafine zawiązała ostatni szew i odgryzła zębami nić.

– Dziękuję – powiedział do niej Ragnar z podziwem. – Prawdziwe dzieło sztuki, rana nigdzie się nie rozdziawia.

– Mam wprawę – przyznała skromnie i spakowała narzędzia.

– Jeśli chodzi o Angusa – ciągnął półgłosem Ragnar. – Ten, który właśnie wyszedł, to oskarżyciel. Teraz, kiedy się okazało, że oskarżenie było fałszywe, musi stanąć twarzą w twarz z Angusem. Jest wściekły i mówi, że nie mógł wiedzieć, że żyję, ale tamten stary wojownik stwierdził, że nie można też było wiedzieć, czy na pewno jestem martwy. A więc zaraz zobaczymy Angusa. – Skrzywił się. – Problem w tym, że oskarżyciel jest mile widzianym tutaj synem barona, który przemawia w imieniu króla. Nie są zachwyceni, że jeszcze żyję.

– Ten mężczyzna, który przywitał cię z rogiem?

– Tak – przyznał ponuro Ragnar. – Od tej chwili radzę wam nie pić niczego, czego nie spróbowałyby wcześniej przynajmniej pies.

– Myślę, że w takim razie całkiem zrezygnuję z picia – powiedziała Serafine i wzdrygnęła się.

– Dlaczego? – zdziwił się Ragnar.

– Mam pić, czego próbował pies? – zapytała, unosząc brew.

– Patrzycie na to ze złej strony – rzekł. – Niektóre psy są czystsze od pewnych znanych mi ludzi. I łatwiej nakłonić je do tego, żeby oddały życie za swego pana. A także, co ważniejsze, znacznie trudniej je przekupić!

Wymieniliśmy spojrzenia z Serafine. Najpóźniej teraz uwierzyłbym mu, że jest królewskim synem. Tylko na królewskim dworze można nauczyć się takiego myślenia.

Wrócił oskarżyciel. Był goły, z wyjątkiem przepaski biodrowej, stanął przed nami i rzucił nienawistne spojrzenie na Ragnara. A potem dwóch mężczyzn wprowadziło do hali człowieka, w którym z trudem rozpoznałem Angusa.

– Bogowie – wyrwało mi się. Ragnar zaklął pod nosem, nawet Serafine wydała z siebie zduszony okrzyk.

Zgolono mu brodę, był cały pokryty sińcami i tak nieziemsko brudny, że trudno było poznać, gdzie się kończyły strupy, a zaczynał brud. Mrugał zapuchniętymi oczami, oślepiiony mętnym światłem w hali, jakby świeciło jaśniej niż słońce. Spojrzałem na Ragnara, który ledwie pokazywał po sobie, jak bardzo poruszył go ten widok, ale widziałem, jak zwęził mu się wzrok.

Starszy wojownik wstał. W obu rękach trzymał krótkie miecze. Zawołał coś, potem wystąpił naprzód i wskazując na Ragnara, przemówił do Angusa.

Angus z wysiłkiem podniósł wzrok i zamrugał. A potem, bardzo powoli, jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, ukazując połamane zęby.

– Na wszystkie piekła! – wykrzyknął. – Co ty zrobiłeś, Havaldzie? Wskrzesiłeś z martwych Ragnara?

Przez halę przeszedł pomruk. Ragnar zerwał się z miejsca.

– Nie, przyjacielu, Havald znalazł mnie tam, gdzie żyję – zawołał. I dorzucił: – Co się stało z twoją brodą?

– Zarzucono mi, że żyję, podczas gdy ty jesteś martwy, książę – powiedział Angus. – To cud, że cię widzę!

– Nie większy, niż ujrzeć ciebie – zripostował Ragnar i sięgnął za pazuchę. – Chyba chcesz mnie rozgniewać, skoro stajesz przede mną bez tego.

Przez salę poleciała złota bransoleta, a Angus złapał ją bez trudu, pomimo swego stanu. Przez chwilę trzymał ją z nabożną czcią, a potem wsunął na rękę.

– Czy rozpoznajesz w tym mężczyźnie swojego księcia? – Stary wojownik zapytał więźnia łamanym językiem imperialnym, zapewne z szacunku dla nas.

– Owszem, jakże mógłbym go nie rozpoznać. Tylko on nosi ten topór.

– A jeśli kłamie, żeby uratować skórę? – odezwał się ktoś inny, oskarżyciel. Wskazał na mnie. – On i ten człowiek się znają, to wiemy. Może to tylko fortel, żeby Angus uniknął swego przeznaczenia.

– To możliwe – przyznał stary wojownik i uniósł miecze. – Przekonajmy się.

Upuścił miecze i prędko się cofnął. Oskarżyciel rzucił się na niego, był szybszy od Angusa, który wyglądał na nieco skołowanego, i złapał oba.

– Tak, Angusie Wilczy Bracie, teraz zobaczymy! – zaszydził i uniósł miecze, przypuszczając atak, który omal nie pozbawił Angusa życia. Norman zarobił ziejącą ranę boku, ale tylko uśmiechnął się szerzej, a na koniec roześmiał z ulgą.

Kiedy oskarżyciel naparł ponownie, Angus nie zrobił uniku, tylko wręcz zagroził mu ciałem drogę; jeden miecz przebił go na wylot, drugi rozciął lewe ramię. Angus osiągnął to, co zamierzał: chwycił przeciwnika za szyję. Warcząc, gołą ręką wyrwał mu gardło. Tamten stał jeszcze przez moment, a potem, zalewając się krwią, osunął na ziemię. Angus uklęknął przed Ragnarem.

– Książę, nigdy nie byłem szczęśliwszy! – zawołał i przewrócił się na bok.

Ragnar wstał powoli, odstawił róg i zszedł dwa stopnie w dół, po czym jedną ręką chwycił Angusa i przerzucił go sobie przez ramię.

– Chodźcie! – syknął do nas i ruszył prosto na tych, którzy stali na wprost niego. Usunęli się na boki, ale spojrzzeniami zdradzali jak niechętnie. Odniosłem wrażenie, że

ten, który właśnie zginął, miał tu więcej przyjaciół niż księżę.

Poszliśmy za Ragnarem, który nie zatrzymując się, spokojnie i dostojnie skierował się do wyjścia, jakby nie było nic szczególnego w niesieniu zalanego krwią druha.

Odprowadziły nas tylko spojrzenia.

– Żyje jeszcze? – spytała Serafine, kiedy skręciliśmy za róg i ambasada Varlandu zniknęła nam z oczu.

– Nie wiem – odparł Ragnar. – Jeśli tak, to nie pożyje długo. To twardy zawodnik, ale zarobił paskudne cięcie. Trzeba do uzdrowiciela.

– Orikes – rzuciłem. – Słyszałem, że pułkownik jest najlepszym medykiem w mieście. On nam pomoże.

– Jest w cytadeli, prawda? – spytał Ragnar. Skinąłem głową. Ragnar obejrzał się za siebie, ale nikt za nami nie szedł.

– To spory kawałek drogi, ale jeśli to jest najlepszy medyk... – Popatrzył na mnie i uśmiechnął się krzywo. – Mam nadzieję, że nie bolą cię już nogi, staruszkule! – zawołał i puścił się biegiem.

Rellin zbyt krótko mnie czołgała, żeby moja kondycja znacząco się poprawiła, wręcz przeciwnie, mięśnie dokuczały mi bardziej, niż chciałem przyznać. Przy Ragnarze czułem się jak śmiertelnie zraniony dzik, podczas gdy on przypominał chyżego zająca. Nawet Serafine się zasapała, kiedy wpadliśmy do bramy cytadeli, siejąc popłoch wśród strażników.

Zrobił się wielki rejwach, wycelowano w nas miecze, dopiero kiedy zadyszany, trzymając się za bok, pokazałem im pierścień, trochę się uspokoiło. Nadszedł Orikes z Leandrą, piękniejszą niż kiedykolwiek. Z uniesionymi brwiami popatrzyła na Angusa, na Ragnara, a potem na mnie, by na koniec odwrócić się bez słowa i odejść.

– A więc jesteście Ragnar Hraldirsson – zagaił gawędziarskim tonem Orikes, kiedy z rękoma umazanymi krwią wyszedł z pomieszczenia, gdzie na zimnej kamiennej płycie leżał Angus. Pułkownik podszedł do umywalki i gestem kazał mi napompować wody.

– Tak – potwierdził Ragnar, obrzucając Orikesa nieodgadnionym spojrzeniem. – To ja.

– Hm – mruknął Orikes i zdjął zakrwawioną szatę. Rzucił ją na ziemię i starannie umył ręce. – Ten Ragnar, który piętnaście lat temu zniknął wraz ze statkiem? Ostatni syn Hraldira Erulfsona?

– Tak, ten – odparł spokojnie Ragnar. – Co z Angusem?

– Wasz przyjaciel przeżyje, choć cudem. Nie zaszkodzi mu odrobina spokoju. Czy surowe mięso rzeczywiście przyczyni się do jego uzdrowienia?

- Możliwe – odpowiedział niewzruszenie Ragnar. – Ale smażone też lubi.
- Doprawdy? – mruknął Orikes i zwrócił się do mnie. – Nasza Sowa mówi, że to wasz przyjaciel, ser Rodericu, i przyprowadziła go tutaj zgodnie z waszym życzeniem. Wiedzieliście, że jest królewskim synem, który ma prawo do tronu w Krimstinlagu?
- Nie. Nie miałem pewności.
- Ale domyślaliście się. Wasza królowa nie jest zbytnio zadowolona z tej okoliczności, zdaje się również, że nie bardzo ceni waszego przyjaciela Angusa.
- Wiedziała o Ragnarze.
- Niewystarczająco, jak mi się zdaje. – Orikes westchnął. – Wiecie, że w ten sposób pogarszacie sytuację. Varland jest dobrym sojusznikiem, ale czy nim pozostanie, zależy od tego, kto zdobędzie tron. – Spojrzał na Ragnara. – Ta godność może wam się i należy, zastanawiam się tylko, czy macie wystarczająco dużo przyjaciół, którzy nie będą wam jej żałować.
- Raczej nie mam – stwierdził z kamienną miną Ragnar. – Moi przyjaciele towarzyszyli mi w wyprawie, zostawiłem za sobą samych wrogów. A więc Angus będzie żył. Dziękuję wam, pułkowniku.
- Nie ma za co. Zapewnijcie waszemu przyjacielowi dwa dni spokoju. I mam nadzieję, na wszystkich bogów, że wiecie, co robicie, generale.
- Dlaczego ja? – zapytałem zaskoczony.
- To wy zaprosiliście do siebie Ragnara, a wszystko inne z tego właśnie wynika. – Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem. – Komendant miał nadzieję, że zachowacie spokój, ja również. Ale, jak doszły mnie słuchy, ze zdumiewającym zapałem kopiecie w starociach i siejecie w świecie zamęt. Wierzcie mi, czasami lepiej zostawić martwych w spokoju. – Z tymi słowami skierował się do drzwi i zamknął je cicho za sobą.
- Czy to jeden z twoich nowych przyjaciół? – zapytał Ragnar.
- Sam nie wiem – odparłem. – Tak dotychczas myślałem.
- Askir to coś więcej, niż widać gołym okiem – stwierdził Ragnar i ustąpił na bok, kiedy dwaj Pióra wnosili Angusa na noszach. Zanieśli go do kwatery, gdzie mógł odpocząć. – Uważaj, żebyś nie stanął Królewskiemu Miastu na drodze do celu. Ono nawet nie zauważy, kiedy cię rozdepcze.

Ponieważ poradzono nam zapewnić Angusowi trochę spokoju, udaliśmy się do mojej kwatery. Strażnicy na górze nie byli zachwyceni, że muszą przepuścić Ragnara. Angus zboczył go krwią, w połączeniu ze swoimi ranami i rozerwaną na ramieniu kolczugą sprawiał przerażające wrażenie.

Wstąpiłem jeszcze do Orikesa prosić go, aby pozwolił Ragnarowi przenocować u mnie.

– Powiedziałem już, mam nadzieję, że wiecie, co robicie – powtórzył pułkownik. – Będziecie za niego odpowiadać. Obojętnie, czy jest królewskim synem, czy nie, wprowadza do tej gry niepokój.

20

NOWE ZADANIE

Nie było nic zaskakującego w tym, że teraz Leandra znalazła dla mnie czas. Stała w mojej komnacie niczym buzujący płomień lodu, trzymała oburącz Kamienne Serce, którego czerwone ślepia zdawały się świdrować mnie z satysfakcją.

– Zostawcie nas – zakomenderowała wyniośle Serafine i Ragnarowi, który weszli ze mną, ale Ragnar pokręcił głową i skrzyżował ręce na piersi.

– Ja zostaję. On jest moim przyjacielem.

– Ja też nie pójdę, Leandro – powiedziała cicho Serafine.

– Dobrze – odparła krótko Leandra. – Więc nie. – Patrzyła na mnie fioletowymi oczami, w których głęboko tlił się ciemny żar.

– Myślałam, że jesteś mi wierny – zaatakowała, na co Ragnar prychnął.

– Jestem – zapewniłem ją zmęczonym tonem. Zabolało mnie, że traktowała mnie z takim chłodem.

– Niezbyt to okazujesz. Jeśli to rzeczywiście jest królewski syn, ostatni z rodu Hraldira, który pozostał przy życiu, to powinnam o tym wiedzieć. Posadzenie go na tronie mogłoby okazać się korzystne. A to spada na mnie jak grom z jasnego nieba, zagrażając wszystkiemu, co udało mi się wynegocjować.

– Co ty masz wspólnego z sukcesją w Varlandzie? – zapytałem poirytowany i podszedłem do łóżka, żeby położyć tam Rozpruwacza.

Leandra obróciła się powoli za mną i z rozczarowaniem pokręciła głową.

– Myślisz, że siedzę beczynn timer? Podczas gdy ty ryjesz w starych grobach i wstrząsasz świątyniami, ja wypełniam swoją misję. Jestem w trakcie nawiązywania sojuszy i nie mogę pozwolić sobie na to, abyś ty działał za moimi plecami.

– Leandro – zacząłem, ale uniosła gniewnie rękę.

– Nie przyszedłam tutaj, żeby wysłuchiwać, co masz mi do powiedzenia, lecz aby żądać, byś dotrzymał swojej obietnicy: że będziesz wiernie służył koronie Illianu! Masz wielkie zasługi, ale w Askirze rozpoczyna się nowa gra. Gra, której reguł nie znasz. Nie chciałeś być królem, teraz wiem dlaczego. – Spojrzenie, jakie posłała Serafine, nie było przyjazne i wzbudziło we mnie wściekłość.

– Ona nie miała na to wpływu.

– Mam inne zdanie – odparła Leandra chłodno.

– Leandro, to jest niesprawiedliwe – zaprotestowała Serafine. – On był twój, dopóki nie stanęła między wami korona.

– Co było ci na rękę – rzuciła zimno Leandra. – A może zaprzeczysz, że się nie cieszysz z tego powodu? Cóż – zwróciła się ponownie do mnie, nie czekając na odpowiedź – odrzuciłeś koronę, więc jesteś żołnierzem. Żołnierze słuchają rozkazów i nie zajmują się dyplomacją.

Nie miałem pojęcia, co miała na myśli.

– Do czego zmierzasz?

– Bezczynność źle na ciebie wpływa, a zatem poprosiłam komendanta, żeby przydzielił ci zadanie odpowiadające twoim umiejętnościom. W mieście są nekromanci i wydaje się właściwe, abys się nimi zajął i nie wtrącał się w sprawy, których nie rozumiesz.

Usiłowałem zachować spokój, wmawiając sobie, że ją też to boli.

– Leandro – zacząłem. – Mylisz się w wielu kwestiach. Ragnar...

– Niech robi, co uważa za słuszne – przerwała mi, posyłając dumne spojrzenie mojemu przyjacielowi, który tylko obserwował ją bez słowa. – Ja też nie zamierzam robić nic innego. Havaldzie, to nie jest zabawa! Dyplomacja toczy się według innych reguł niż bitwa, wojownik nigdy nie był dobrym dyplomata.

– Nie rozumiesz – podjąłem, ale znowu wpadła mi w słowo.

– Królestwo potrzebuje twoich zdolności, generale – powiedziała. – Życzę sobie, żebyś się na coś przydał, ale nie przeszkadzaj mi więcej. Wzbudzasz fale tam, gdzie chcę mieć gładkie wody.

– Mogłabyś się oderwać od Kamienego Serca? – poprosiłem ją usilnie. – Zbyt wiele nas łączy, żeby...

– Łączyło – przerwała mi lodowato, mocniej obejmując dłońmi Kamienne Serce. – Właśnie dlatego tak trudno jest mi ci wybaczyć. Masz swoje rozkazy, a więc wypełniaj swoją powinność, której wymaga od ciebie królestwo. – Obrzuciła nas wyniosłym spojrzeniem i wyszła.

Patrzyłem za nią bez słowa. Bolało widzieć ją tak daleką i lodowatą.

– Ona tak nie myśli, Havaldzie – przerwała milczenie Serafine. – Przez cały czas trzymała się Kamienego Serca, jakby bez tego miecza miała rozsypać się na kawałki.

– Nie była nawet wściekła – zauważyłem z przygnębieniem. – Nie przebiegł po niej ani jeden ognik. – Westchnąłem. – Nigdy nie chciałem jej zranić, przynajmniej to powinna wiedzieć.

– Ona wie – powiedziała łagodnie Serafine. – Jestem tego pewna.

Chciałbym dzielić jej pewność.

– To jest nowa królowa Illianu? Maestra, o której opowiadają w Twierdzy Gromów, Leandra di Girancourt? – pytał z niedowierzaniem Ragnar. – Co ty jej zrobiłeś? Wyrzuciłeś ją ze swego łóżka?

– Zaoferowała mi stanowisko u swego boku, a ja odmówiłem – powiedziałem zmęczonym głosem. – Ale ona widać to rozumie.

– Aha – skwitował i spojrzał na Serafine. – Korona to jedno, ale ty odrzuciłeś ją jako kobietę. To cud, że nie rzuciła ci się do gardła.

– Nie miałem wyboru – odparłem i potarłem sobie skronie.

– Musiałeś go dokonać, a to będzie miało konsekwencje – stwierdził Ragnar. Zerknął na Serafine, która blada i nieruchoma stała przy oknie. – Ja rozumiem twój wybór. – Przeniósł wzrok na mnie. – Co miała na myśli, mówiąc o wstrząsaniu świątyniami?

– Znaleźliśmy ślady dawnej haniebnej zbrodni – wyjaśniła zamiast mnie Serafine. – W rzeczywistości Havalld nie ponosi za to winy. Po prostu tam był. – Westchnęła. – Dotąd nikt nie mówił o tym, co znaleźliśmy. Sami nie potrafimy jeszcze tego uporządkować. Niedawno dowiedzieliśmy się, że wieki temu pewien nekromanta, tak potężny, że postawił się samemu Askannonowi, zdołał zbiec ze świątyni.

– Kto to taki? – zaciekawiał się Ragnar. – Coś o nim później słyszano?

– Nie – odpowiedziałem. – Przez chwilę myślałem nawet, że to może być sam cesarz nekromanta, ale działanie tego przeklętego sięga jeszcze dawniejszych czasów. Jest kamykiem w mozaice, której obraz jeszcze nie jest dla nas rozpoznawalny.

– Wiecie, kto stamtąd zbiegł?

– Imienia jeszcze nie znamy, wiemy tylko, że jest jednym z najstarszych i najpotężniejszych przeklętych łowców dusz – powiedziała z niepokojem Serafine. – Mężczyzna, którego Askannon zdołał raz pokonać, ale nie zabić. Zamiast umrzeć, łowca dusz oddawał życia, które zrabował. Uwięziono go w podziemiach świątyni boga ojca, w nadziei, że tam umrze. Pewien uczeń Sów, którego maestrowie wyrzucili z wieży po tym, jak pohańbił kobietę, w akcie szaleństwa go uwolnił, z zemsty za sprawiedliwą karę. Co gorsza, przeklęty zbiegł przez nikogo niezauważony. Upłynęło ponad osiemset lat, zanim odkryliśmy ten czyn. – Podeszła do mnie i usiadła obok na łóżku. – Możemy bez najmniejszych wątpliwości założyć, że jest on częścią większej całości. Askir jest celem cesarza nekromanty, a to, że jakiś nekromanta był tutaj tak długo więziony w męczarniach, nie może być dziełem przypadku. On nie spocznie, dopóki Wieczne Miasto nie zostanie zniszczone.

– To ma sporo do roboty – orzekł Ragnar i zaśmiał się z goryczą. – To, co mówicie o tym przeklętym... – Westchnął. – Zwykle wszystko zaczyna się od małych rzeczy, których nie widać od razu.

– To prawda – potwierdziłem półgłosem. – To przypomina mi o czymś jeszcze. Otrzymaliśmy ostrzeżenie, że pewien nekromanta podszywa się pod wysłannika z twojego kraju. Nie wiemy, kto to jest, ale chcieliśmy się tym zająć.

– Mam wam pomóc go zabić?

– Nie. Nie znasz tego rodzaju wroga i nie wiesz, jaką ciemną magią włada. Twój topór na niewiele się tu zda. Ale możesz pomóc mi dowiedzieć się, kto to jest, przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności.

– To znakomicie się składa, że pozyskaliśmy wśród moich ziomków tylu przyjaciół – stwierdził z goryczą Ragnar.

– Może uda ci się załagodzić sprawę. Wiemy, że przeklęty ma przybyć do Askiru ze świtą nowego króla. Mamy więc jeszcze trochę czasu. Jeśli dowiesz się czegoś, a nie będziesz mógł nas znaleźć, nie atakuj w pojedynkę. Zwróć się do Leandry.

– Królowej Lodu? Dlaczego miałbym to robić?

– Bo ona wie, jak zdemaskować nekromantę, i nosi Ostrze Spójni. Nie jest taka, jaka ci się dziś wydała.

Westchnął.

– Nie powinienem się uzalać, Havaldzie, że zaprosiłeś mnie, a teraz zostałem wplątany w tę wojnę, ale, prawdę mówiąc, nie widzę tu innej drogi. Moje dzieci powinny żyć, a nie być niewolnikami. A więc to jest również moja walka. Jeśli zapłacę za nią życiem, to tak ma być.

– Lepiej, żebyś został przy życiu i był dobrym ojcem dla swych dzieci – powiedziałem. – Bądź ostrożny, bo wszystko, co mówią o łowcach dusz, jest prawdą, o ile nie jest nawet gorzej.

– Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć, ale, Havaldzie, naprawdę nie chcę tej korony, nawet jeśli to byłoby dla ciebie korzystne. To zbyt wielkie żądanie.

– Wiem, przyjacielu. Doskonale cię rozumiem.

Skinął głową i przez chwilę wpatrywał się w dal, potem wyprostował ramiona.

– Pewnie chcecie zostać sami, a ja muszę zajrzeć do Angusa – skłamał i ruszył do drzwi, ale zatrzymał się z ręką na kłamce. – Wolałbym spędzić z tobą więcej czasu. Myślę, że istnieje cała saga, której jeszcze nie znam.

– Później. Może rzeczywiście lepiej by było, gdybyś najpierw wrócił do swojej żony – zaproponowałem. – Znajdziemy tego nekromantę, a ty jesteś potrzebny w Coldenstatt. Dzięki portalowi jesteśmy ledwie o krok stamtąd. Jeszcze znajdzie się czas na rozmowę i dobre piwo. Co będzie z Angusem?

– Wezmę go ze sobą do Twierdzy Gromów, najszybciej, jak to będzie możliwe. Niech sobie tam odpoczywa i zazdrości mi mojej baby, a ja w tym czasie dowiem się, kto w świecie Varlandu jest nekromantą. Powodzenia i błogosławieństwa bogów

w polowaniu, Havaldzie! – Ukłonił się Serafine. – Jesteście nadzwyczajną kobietą, że udało wam się ujarzmić wędrowca. Ma wielkie szczęście, że sam już zostałem ujarzmiony! – Uśmiechnął się szeroko, mrugnął do mnie i zamknął za sobą drzwi.

– Robi wrażenie – podsumowała Serafine. – Masz rację, pod wieloma względami przypomina Angusa, a jednocześnie jest zupełnie inny. – Westchnęła. – Przykro mi, że Leandra tak to przyjęła. Nie mogłeś wiedzieć, że prowadzi negocjacje z Varlandem. A może wspominała ci o tym?

– Ani słowem. Ale to nie o Ragnara czy Angusa tu chodzi... Jest urażona.

– Ja też – powiedziała Serafine i oparła się o mnie. – Wszyscy jesteśmy wrażliwi i wystawieni na zranienie, szczególnie przez naszych przyjaciół.

– Nie jestem pewien...

– Havaldzie – rzekła cicho i nachyliła się ku mnie. – Nie pytałam cię – wyszeptwała i sprawiała wargami, że zapomniałem o oporze. Po chwili jednak, kiedy łapczywie chwytałem oddech, odsunęła się i popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– Jest za wcześnie, prawda? Leandra nadal stoi między nami.

– To nie w porządku – odpowiedziałem z ociąganiem. – Mężczyzna nie może przenieść się z ramion jednej kobiety prosto do drugiej. Tak nie można, musi upłynąć trochę czasu. Wiesz, Finna, ja nie kłamałem, kocham ją albo kochałem. A ona mnie... – Przejechałem dłonią po swoich krótkich włosach. – To takie zawile!

Westchnęła.

– Powróciłam ze świata śmierci i zobaczyłam cię w jej ramionach. Kazałam sobie się z tym pogodzić. Często traktowałeś mnie chłodno. Opuściłam, ale przedtem przyszedłeś tu i wszystko we mnie obudziłeś. Czego ty chcesz, Havaldzie?

Zastanowiłem się. Czego ja chciałem?

– Żeby Leandra mi wybaczyła. I tobie. I dała nam swoje błogosławieństwo.

– Chcesz czekać na to? A jeśli to nigdy nie nastąpi?

– Tak trzeba. – Sięgnąłem po Rozpruwacza i chciałem wstać, ale mnie zatrzymała.

– Dokąd idziesz?

– Do Leandry. Wyjaśnić jej.

– Teraz? – Pokręciła głową, niemal rozbawiona. – Nawet sami bogowie nie byliby w stanie jej teraz tego wyjaśnić. W tej chwili musi być na ciebie wściekła, żeby móc się od ciebie uwolnić.

– Dlaczego? – zdumiałem się.

– Bogowie, ale jesteś nieogarnięty. Ile ty masz lat? Naprawdę masz tak mało doświadczenia w miłości?

– Skąd niby mam je mieć? Kochałem kiedyś jedną kobietę, zestarzała się i umarła. Dziś nie pamiętam nawet jej imienia. Tylko ból, który pozostał. Leandra była

pierwsza, którą odważyłem się potem pokochać. Ona tak prędko się nie zestarzeje.

– Bogowie – rzuciła i popatrzyła na mnie oniemiała. – Jej też tak to tłumaczyłeś?

– Tak, czemu nie? To prawda.

Wstała i popatrzyła na mnie.

– Porozmawiamy z nią oboje, kiedy minie trochę czasu. Przedtem ani słowa, zanim napsujesz jeszcze więcej! Bogowie, Havaldzie, jesteś toporny jak siekiera na szczapie drewna! – Zaczęła chodzić nerwowo tam i z powrotem, w końcu stanęła. – Nie mógłbyś choć raz skłamać? – zapytała. – Czy to zawsze musi być prawda?

– Nie potrafię już spamiętać tych wszystkich kłamstw – objaśniłem. – Prawda zawsze jest lepsza.

– Ale podaje się ją w małych dawkach, a nie jak obuchem w głowę! – uniosła się. – Pójdę już, Havaldzie, zanim całkiem w ciebie zwątpię. Zobaczymy się później.

Wypadła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Przy oknie za moimi plecami coś się poruszyło.

– Wciąż mnie zadziwiasz, Havaldzie – powiedziała Zokora, siedząc wygodnie na parapecie, jakby to był wygodny fotel, a nie wąski gzyms na wysokości siedmiu pięter, z którego mogła spaść.

– Jak długo już tu jesteś? – spytałem poirytowany. Nie miałem ochoty tłumaczyć się jeszcze i przed nią.

– Wystarczająco długo. Nie chciałam przeszkadzać.

– Dzięki – odparłem uszczypliwie. – Czego chcesz?

– Poinformować cię, że Leandra już nie płacze i jest już tylko na ciebie wściekła. To dobrze.

– To dobrze? – powtórzyłem, nie rozumiejąc.

– Tak. Musi najpierw być wściekła, żeby potem sama mogła sobie wybaczyć.

– Sobie? – zdziwiłem się.

Zokora popatrzyła na mnie i pokręciła głową.

– Nie dostrzegasz tego? To był również jej wybór. Mogła zrezygnować ze swojej misji i z tronu, żeby pójść za tobą, a nie zrobiła tego.

– Jakże mogła podjąć inną decyzję? Los naszego kraju spoczywa na jej barkach!

– Bo ona tak chce. Tylko dlatego! – powiedziała Zokora.

Wydało mi się, że mrugnęła, a potem przechyliła się w tył. Kiedy wystraszony dopadłem do okna i nie zobaczyłem jej roztrzaskanej na ziemi, miałem ochotę ją udusić.

– Bogowie! – zawołałem. – Dlaczego to robisz? Chcesz mnie zdenerwować?

– Bo mogę! – zaśmiała się nade mną. Zwisła jak pajak ze ściany. Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, podciągnęła się na dach i zniknęła.

Próbowałem ochłonąć i w końcu udałem się do pułkownika Orikesa. Nie było go u siebie, poszedłem więc do jego kancelarii. Był zajęty i musiałem czekać tak długo, że wreszcie się trochę uspokoiłem.

– Wejdźcie – powiedział, osobiście otwierając mi drzwi.

Wskazał ręką na proste krzesło i usiadł za biurkiem. Rozejrzałem się po skromnym pokoju, który prostotą mógł konkurować z więzienną celą. Jedna ściana była całkowicie zakryta regałem z książkami i zwojami, na innej widniała wielka mapa z granicami Starego Królestwa. Nowsza, mniejsza, była przypięta obok i przedstawiała Illian oraz inne królestwa mojej ojczyzny.

Podążył za moim spojrzeniem i uśmiechnął się.

– Prezent od elfów – wyjaśnił. – Słyszeliście, że mury waszego zamku w Kronstadt jeszcze trwają?

– Nie – odparłem z ulgą. – Ale to dobra wiadomość. Jak wygląda tamtejsza sytuacja?

– Gdybym nie miał pewności, że elfy potrafią liczyć, pomyślałbym, że muszą się mylić. Raportują, że zamek jest oblężony, a armia pod wałami obronnymi liczy więcej niż trzydzieści tysięcy żołnierzy. Musi przebiegać tam rzeka, służąca waszemu miastu za fosę obronną. Jest pełna zwłok, a rzeźnicy Thalaku zabijają waszych i nadziewają ich głowy na pale. Ale sami zapewne najlepiej wiecie, jak to wygląda.

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Królowa wspominała o waszym śnie. Raport elfów potwierdza każdy detal, o którym opowiedzieliście królowej. Często macie prorocze sny? Może to jest jakiś talent od bogów?

– Jeśli już, to nie mój talent, tylko dawnej królowej – odparłem cicho. – Zawsze śniłem wyłącznie o niej.

– Szkoda, to z pewnością byłoby bardzo użyteczne. – Popatrzył na mapę i wziął głęboki wdech. – Mury, zdaje się, jeszcze trzymają, może będą stały wystarczająco długo, abyście mogli poprowadzić tam wasz legion. Kronstadt musi być dobrze zbudowane, żeby odeprzeć takie oblężenie.

– Mieliśmy króla, który chętnie budował. Nie zajmował się niczym innym i był w tym dobry. – Przemilczałem, że kazał pokryć blanki złotem płatkowym, żeby ładnie błyszcząły.

Skinął z namysłem głową.

– Potwierdza się niezwykła przydatność portali i naszych nowych sojuszników. Wiadomości przez portal trafiają do Twierdzy Gromów, jak wy nazywacie tę dawną warownię, a stamtąd do jeźdźców gryfów. Sprawdzamy, jak najlepiej nawiązać kontakt z Kronstadtem, ale elfy są ostrożne i nie chcą być widziane, tym bardziej że od

jakiegoś czasu są tam również wiwerny. Jesteśmy dobrej myśli, wkrótce będziemy mogli wymieniać informacje z Kronstadtem.

– To dobrze – skwitowałem. – Ale chciałbym, żebyśmy mogli zrobić coś więcej.

– Robimy więcej, choć może niewiele widać. Jeźdźcy gryfów nasilili swoje ataki, a od wydarzeń na Wyspach Ognistych w sprawę angażuje się więcej elfów. – Zaśmiał się cicho. – Możliwe, że ich królowa przybędzie na Radę Koronną. To byłby pierwszy raz od wieków.

– To każda koronowana głowa może tam przemawiać? – zdziwiłem się.

– Przemawiać tak, ale członkami Rady są tylko partnerzy sojuszu. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Ale ponieważ sojusz między imperium a elfami nigdy nie został zerwany, można by wywnioskować, że to nie jest nowy sojusz, tylko ten dawny. Pomocne jest również i to, że elfy mają własne miejsce w sali Rady. Jest tam trzynaście łóż, ale dotychczas korzystano tylko z ośmiu.

– Trzynaście? Osiem? – zdumiałem się. – Myślałem, że Stare Królestwo to siedem krajów.

– Z Askirem osiem – potwierdził Orikes. – Przez ostatnie stulecia obradowało tylko siedem królestw i my, lecz kiedyś to była Rada Sojuszu, na długo przedtem, zanim Askannon zawarł pakt z siedmioma królestwami. Z nami, elfami i Illianem jest dziesięć.

– Dla kogo są pozostałe trzy łóża? – zaciekałem się.

Orikes zaśmiał się.

– Z tego, co wiem, w sali koronnej zbudowano trzynaście łóż, bo to szczęśliwa liczba. Rok liczy trzynaście miesięcy, a dawniej było trzynaście klanów wojowniczych. Ta liczba od niepamiętnych czasów uchodzi za świętą, znajdziecie ją wszędzie. – Nachylił się do mnie. – Każę sprawdzić w archiwach, czy lud mrocznych elfów też miał sojusz z imperium, czy też był reprezentowany przez jasne elfy. Wasza przyjaciółka, kapłanka Solante, mówi, że nic nie wie o podobnym sojuszu, ale rozważa zawarcie takowego. To nie jest powód, dlaczego prosiłem was o przyście, ale ewentualnie możecie pomóc mi w inny sposób.

Nie wiedziałem, że chciał ze mną mówić, ale może rozminąłem się z posłańcem. Albo zakładał, że Leandra przekaże mi wiadomość. Co na swój sposób zrobiła.

– Jak? – spytałem.

– Kapłanka Solante spotkała się z komendantem i wyjaśniła mu, że byłaby skłonna zawrzeć sojusz. Gdyby do tego doszło, obiecała przysłać pięćdziesiąt wojowniczek. Staniemy przeciwko tysiącom, a ona chce nam udostępnić pięćdziesiątkę? Generale, znacie ją najlepiej, co ta oferta jest naprawdę warta?

– Pułkowniku – rzekłem z namysłem. – Znam tylko Zokorę. Ale jedno mogę wam powiedzieć: gdyby nie ona, nie przeżyłoby żadne z nas. Mnogość jej zdolności zapiera dech w piersi, a jej wiedza jest większa, niż można objąć umysłem.

– Jasne elfy są gotowe całkowicie stanąć po naszej stronie – powiedział Orikes. – One też są stare i dysponują ogromną wiedzą.

– Istnieje jedna różnica między tymi rasami – wyjaśniłem, porządkując myśli. Dlaczego, na piekła Soltara, Zokora nie uznała za stosowne powiedzieć mi, że dąży do sojuszu? Ależ owszem, powiedziała, zreflektowałem się. Westchnąłem w duchu, przypomniawszy sobie naszą rozmowę w gospodzie Pod Głowomłotem. Po prostu nie słuchołem, jak należy.

– Widzicie, pułkowniku, jasne elfy żyją tak, jakby dysponowały nieograniczonym czasem na dysku świata, co się zgadza. Do wszystkiego podchodzą ostrożnie, wszystko gruntownie rozważają i podejmują decyzje po długim zastanowieniu. Można pomyśleć, że są cierpliwe, jednak takie nie są. Po prostu im się nie spieszy. Czego nie zrobią dzisiaj, mogą załatwić jutro, co nie będzie gotowe dziś, mają na to jeszcze rok.

Skinął głową.

– Taki jest ich charakter – zgodził się z uśmiechem. – To irytujące, owszem, ale w tej wojnie się nie wahały.

– Bo to jest wojna, na którą się już zdecydowały. Chodzi o to, by nie dopuścić do ponownego narodzenia boga, którego pokonały dawno temu.

– Omagora, tak, słyszałem o tym. Bóg elfów, któremu najbliższej do naszego Bezimiennego. Słyszałem także o spekulacjach, że to może być ten sam bóg albo jego aspekt, tak jak Solante jest aspektem Astarte.

– Nie – zaprzeczyłem z pełnym przekonaniem. – O ile dobrze zrozumiałem Zokorę, nie jest tym samym bogiem. Ani trochę. Bezimienny jest dzieckiem boga ojca, Omagor nie.

– Ale jeśli bóg ojciec jest ojcem wszystkich bogów...

– Nie – przerwałem mu. – Jest ojcem *naszych* bogów. Wiercie mi, pułkowniku, bogów jest więcej niż ta czwórka, którą my czcimy. Ale nie w tym rzecz. Wracając do mrocznych elfów: choć żyją tak samo długo jak jasne elfy, żyją inaczej. Niecierpliwością Zokora przerasta wielu znanych mi ludzi, jest żądna wiedzy i chce wszystko rozumieć. Ma siedemset lat, ale wątpię, żeby kiedykolwiek odsuwała na następny dzień coś, czego nie mogłaby załatwić dziś. W rzeczy samej rozumiem ją lepiej, czuję się bliższy jej niż jasnym elfom, które, jak wiecie, również bardzo cenię. Jeśli Zokora chce nam dać pięćdziesiąt wojowniczek, to będą to takie wojowniczki, które przygotowywały się do tego każdego dnia swego długiego życia, które są wyćwiczone nie tylko w walce, ale i w tysiącu innych sztuk. I jeszcze coś: nie ma ich

już zbyt wiele, w każdym razie nie tych, które służą światłu. Jeśli Zokora chce nam przysłać pięćdziesiąt swoich sióstr, to jest to maksimum tego, co może, a każda z nich jest warta tyle, co pełna lanca żołnierzy. Zokora jest kapłanką, a nie maistrą, ale każda z elfek zna się na magii, a przede wszystkim na wiedzy. – Urwałem i zaśmiałem się cicho, bo wiedziałem już, ja mu to wytłumaczyć. – Popatrzcie na to z innej strony, pułkowniku, a mianowicie tak, jakbyście wy wysłali nam pięćdziesiąt Sów. To chyba oddaje to najlepiej.

– Naprawdę jest taka dobra? – zapytał z wyraźnym niedowierzaniem.

– Ujmijmy to tak – powiedziałem, uśmiechając się pod nosem. – Gdyby stanęła do zawodów z samym Askannonem, możecie być pewni, że dałaby mu nieźle do wiwatu. – I w tym momencie pojąłem jedną rzecz, o której powiedziała mi Serafine, i miała rację: cesarz nadal żył, i to nie było tak, że nie wtrącał się do tej walki, nawet jeśli grał w jakąś grę, której nie rozumiałem.

– Tak sądzicie? – rzucił sceptycznie.

– Tak – potwierdziłem. – Jestem tego wręcz pewien. Powiedzcie, pułkowniku, skoro mówimy o cesarzu, czy „Askannon” to było jego imię, czy tytuł?

– Imię oraz tytuł – powiedział Orikes. – W dawnym języku, o ile dobrze pamiętam. Ten, który włada Askirem. To nazwa potężnej rzeki, która przepływa przez nasze miasto, ale i wzgórza, na którym zbudowano cytadelę. A więc po prostu: władca Askiru.

– Miał też inne imiona? – spytałem.

– Hm – zastanowił się Orikes. – Istnieją stare zapisy, w których niekiedy wymienia się imię, którego pochodzenia nie znam. Jeśli to w ogóle jest imię... Składa się ono z co najmniej czternastu sylab i jest niemal nie do wymówienia, a choć jestem w tym dobry, nie mogłem go zapamiętać. Mój nauczyciel na akademii przypuszczał, że w innym języku to raczej nie jest imię, lecz opis. Tak jakby o mnie powiedzieć: Ten-który-pilnuje-reguł-i-pism. – Wzruszył ramionami. – Właśnie dlatego mówimy językiem imperialnym, bo na niektórych z tych dawnych języków można sobie połamać język.

– A co oznacza to imię?

Zaśmiał się.

– Wiem tylko, że uczeni się o to sprzeczali. Przypuszczenie, które najbardziej mi odpowiada, brzmi, że to nie był człowiek, tylko smok. Dawne legendy mówią, że smoki nosiły takie imiona. To by pasowało do naszej flagi, prawda? Ale parę rzeczy przemawia przeciwko temu. Potwierdzono niezbitcie, że urodził się jako człowiek, w chacie niedaleko stąd. Do dziś stoi tam kamień z jego imieniem. Poza tym pojął za żonę kobietę i spłodził z nią dziecko...

– Córkę? – spytałem z napięciem.

– Tak – odparł i spojrzał na mnie zaskoczony. – Skąd wiecie? – A potem zamilkł i pokręcił głową. – Domyślam się, czego dotyczy wasza nadzieja. Lecz niestety, tutaj się mylicie. To nie ona. Nic dziwnego, że nic o tym nie wiecie, gdyż po tragedii cesarz prosił, aby o tym nie wspominać, i trzymano się tego. Dziś niewielu wie, że miał kiedyś żonę, z którą dzielił tron.

– O jakiej tragedii mowa?

Oczy Orikesa pociemniały.

– Askannon być może był albo jest najpotężniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył. Jego żona, choć była wspaniałą kobietą, nie dorównywała mu wielkością. Wiem, że była mądra i zdobyła jego serce, że poznała go podczas wojennej wyprawy do dalekiego kraju i była silną wojowniczką. Tak potężną, że ją czczono jak królową albo wręcz boginię. Ciężko jednak walczyć, będąc przy nadziei, na krótko przed rozwiązaniem. To był zamach na cesarza, akt zemsty jakiegoś nekromanty. Nie ośmielił się zaatakować Askannona, ale ciężarną cesarzową owszem. – Orikes westchnął. – Źródła są skąpe, moi poprzednicy najwyraźniej respektowali życzenie cesarza, żeby o tym nie pisać. Zachowała się jedynie taka informacja: Askannon przybył spóźniony na miejsce walki, znalazł tam swoją żonę, która zdołała jeszcze zabić łowcę dusz i rozbić jego wojska, ale została śmiertelnie ranna i umarła w jego ramionach.

– A córka? – dopytywałem przejęty.

– Wiedział, że to będzie córka, ale nigdy się nie urodziła. – Pułkownik złożył ręce i spuścił wzrok. – Podobno od tego momentu Askannon stał się innym człowiekiem. Czytałem, że był przygnębiony i mówił, że musiał za to zapłacić, drogo zapłacić, nawet wzięwszy pod uwagę wszystko, co już osiągnął. Czterdzieści lat później abdykował. Wiele osób, które znają tę historię, jest zdania, że odszedł właśnie dlatego, bo miał złamane serce i to, co osiągnął dla ludzkości, nie sprawiało mu już żadnej radości. – Wziął głęboki oddech. – Wiecie, generale, tym, co wyróżniało Askannona, nie była jego niebywała potęga, wiedza czy korona. Każde Pióro, które składa przysięgę, czyta o nim, przekopuje archiwa, chce wiedzieć, czyjemu dziedzictwu służy. To on powołał nas do życia, był niejako pierwszym Piórem. Uzbrojonym jedynie w wiedzę i sprawiedliwość. Na podstawie wszystkiego, co o nim wiem, mogę powiedzieć, że tym, co go nazaczyło, było życzenie, aby rozumieć i dać światu sprawiedliwość. Bo kiedy przyszedł na świat, nie było ani rozumienia, ani sprawiedliwości. Kraj był opanowany przez nekromantę, podsycającego najgorsze uprzedzenia, zaś sprawiedliwość była słowem, którego nikt nie znał. Pod pewnymi względami cesarz pozostał prostym człowiekiem. Zawsze był uczonym, nie

wojownikiem, cieszył się tym, że kraj opływa w dostatek, kwitną nauki i sztuka, że panuje pokój. Tę radość odebrano mu tą tchórzliwą zbrodnią, bo o ile wiem, nigdy nie odnalazł spokoju. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Jestem adeptem Borona, podobnie jak wasz przyjaciel Varosch. Kiedy za siedem lat zakończę służbę, udam się do świątyni i zostanę kapłanem. Znam proroctwa. Jedno można znaleźć także w pismach Borona. Jeśli zatem szukacie Córki Smoka, to mogę was zaprowadzić do jej grobu, gdzie spoczywa do dziś w ciele swojej matki. Gdyby żyła, może moglibyśmy zrozumieć, dlaczego to ona ma oznaczać koniec Kolarona, ale ona umarła jeszcze w łonie matki.

– To smutna historia – przyznałem. Wyjaśniała również, dlaczego Askannon spędzał tyle czasu z córką przyjaciela. Nic dziwnego, że Serafine tak go lubiła.

Jeśli był tym, za kogo go teraz uważałem, słowa Orikesa, że potężny cesarz tego miasta w głębi duszy nigdy nie był wojownikiem, stawały się wiarygodne.

– Czy są jakieś jego posągi? – spytałem.

– Jeden. Stoi przy moście Cesarskim, towarzysząca mu kobieta to cesarzowa. To ona zaprojektowała ten most. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Jak mówiłem, była bardzo mądra. Wszystkie inne posągi kazał usunąć, zostały tylko te dwa. Dziś wiele osób nawet nie wie, że to pomnik pary cesarskiej. – Wziął głęboki wdech. – Wróćmy do teraźniejszości, generale. Jeśli chcecie rozmawiać o historii, możecie przyjść do mnie po służbie albo zwrócić się do Sowy. Jest nią tak samo zafascynowana jak ja. Poprosiłem was o przyście z innego powodu.

– Mam polować na nekromantów.

– Tak. Zgadza się. – Otworzył teczkę, która leżała przed nim na biurku, i wyjął kartkę z rysunkiem kobiety, którą dobrze znałem.

Podniósł wzrok.

– Chcecie coś powiedzieć? – spytał.

Pokręciłem głową.

– Kto to jest?

– To jest nekromantka Asela, która podając się za kurtyzanę, przez wiele lat wodziła nas za nos. Miała dostęp do najwyższych sfer. Jej ofiarą padł nawet jeden z naszych dowódców. To według jego opisu sporządzono tę podobiznę. Podobno wystarczy jedno spojrzenie, by stracić dla niej głowę. Jako jedyna przeżyła walkę w Hali Gildii, potem zniknęła bez śladu, lecz jesteśmy pewni, że nadal działa z ukrycia. Znajdźcie ją i poślijcie do jej boga. Kiedyś chroniło nas to, że talent nekromancji był jeszcze rzadszy od magicznego, ale teraz, kiedy wiemy, że przekłety Kolaron znalazł możliwość stwarzania nowych łowców dusz, w mieście mogą kryć się ich tuziny. Namierzcie tych przeklętych, każdego z nich, wyrwijcie im ich czarne dusze i poślijcie

je do ich przeklętego boga. Wasza królowa uważa, że macie do tego talent! W tej chwili nie ma nic ważniejszego od przygotowań do Rady Koronnej. Jeśli cesarz nekromanta chce zakłócić nasze plany, to polem bitwy będzie właśnie Rada i poprzedzające ją bale dyplomatów. Kazałem obstałować dla was paradny mundur. – Nachylił się nieco. – I jeszcze jedna prośba, od komendanta i ode mnie, dobitna prośba, choć jeszcze nie rozkaz. Dyplomacja, jak nam powiedziano, nie jest waszą mocną stroną. Zostawcie ją tym, którzy zostali do tego wykształceni. Jedno niewłaściwe słowo może wyrządzić więcej szkód niż dziesięć przegranych bitew.

– Co z sierżantem generalną Rellin i moim szkoleniem? – spytałem.

Orikes pokręcił głową.

– Przyszła i zaklinała się, że nie jest w stanie nauczyć was niczego więcej. Musieliście zrobić na niej wielkie wrażenie.

Miałem co do tego pewne wątpliwości.

– Zajmijcie się nowym zadaniem – ciągnął pułkownik. – Znajdźcie Asełę i wszystkich innych nekromantów, unicestwicie plany wroga, spalcie świątynię Bezimiennego, jeśli ją znajdziecie, ale proszę, generale, trzymajcie się z dala od walki słów. – Pozwolił sobie na delikatny uśmiech.

– Tak, ser.

Wstałem i zasalutowałem. Odwzajemnił gest, również wstając, i podsunął mi podobiznę Aseli.

– Nie zapomnijcie rysunku. Szczęście bogów niech będzie z wami, generale!

21

CIERNIE

Idąc do swojej kwatery, natknąłem się na Leandrę. Szło za nią trzech Byków, taszczących jakieś skrzynie. Na mój widok przystanęła, zadzierając podbródek.

Podszedłem do niej, choć nie wiedziałem, co powiedzieć.

Byki zatrzymały się, a nieco dalej strażnicy pilnowali gabinetu komendanta. Cokolwiek powiem, usłyszy to wiele uszu.

– Leandro – odezwałem się ostrożnie. – Przyjmijmy, że kochamy się tak bardzo, że nie możemy bez siebie żyć. I przyjmijmy, że wiem, że bycie królem nie jest moim przeznaczeniem... Co by to zmieniło? Jesteś moją królową, a mężczyzna, który cię pożąda, powinien razem z tobą uklęknąć w świątyni... Romans to coś poniżej twojej godności.

Popatrzyła na mnie swoimi fioletowymi oczami, błyszczącymi wilgocią, i mocniej ujęła Kamienne Serce.

– Czyżby? – odparła chłodno. – Czy to nie królowa powinna o tym zdecydować?

– Nasza królowa jest wzorem do naśladowania – rzekłem. – Mogłabyś porzucić swoje przeznaczenie i odrzucić koronę?

– Nie – odpowiedziała cicho. – To moja powinność. – Spojrzała mi głęboko w oczy. – Chcesz powiedzieć, że ty też nie masz wyboru?

– My oboje już dawno dokonaliśmy wyboru, wasza wysokość. – Podszedłem do niej bliżej i ująłem jej dłoń. Tym razem jej nie cofnęła.

– Założmy, że tak jest, grafie von Thurgau – powiedziała półgłosem – wówczas cierpiałabym z tego powodu. Lecz moje cierpienie nie byłoby chyba większe niż teraz. – Zerknęła na żołnierzy, którzy udawali, że są głusi, i uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Chcesz, żeby pisali o nas ballady? – wyszeptała.

– Czemu nie? – Uśmiechnąłem się. – Jesteś tego warta. Chcę ci powiedzieć, że otrzymałem w świątyni Soltara wiadomość. Jest taka jak wszystkie proroctwa: rozumiesz ledwie połowę, a i to zapewne opacznie. Ale dwie rzeczy zdają się wyraźne: upadnę pokonany przez Kolarona, aby mogła go zabić Córka Smoka. Potem... – Ścisnąłem mocniej jej rękę. – Potem otworzy się nowa przyszłość. Przyszłość, którą możesz stworzyć ty. Przyszłość, w której możesz odbudować nasz kraj i uleczyć jego rany. Jeśli odwrócę się od mojego przeznaczenia, a tutaj słowa mojego boga były

jednoznaczne, to tej nadziei już nie będzie. – Spojrzałem jej w oczy. – *To jest moje przeznaczenie, choć życzylbym sobie innego.*

– Umrzesz? – spytała cicho, a jej głos nie brzmiał już tak chłodno.

Zaśmiałem się powściągliwie.

– Taki jest los każdego człowieka, a mój i tak dopadnie mnie później, niż powinien. Skoro już muszę umrzeć, to łatwiej to zrobić, wiedząc, że jest przyszłość, w której ty będziesz żyć dalej i doprowadzisz nasz kraj do rozkwitu.

– Co z Serafine? – zapytała ledwie słyszalnie.

– Jerbil kochał ją po śmierć i dłużej, ja też ją kocham. Nie wiem, czy to przeznaczenie, czy miałem na to wpływ. Ale kocham też moją królową. Miłością, jaka jest jeszcze dla mnie możliwa. – Ująłem oburącz jej dłoń. – Czy gdyby Serafine nie ożyła, gdyby ten cud nie miał miejsca, powiedz mi, czy coś by to zmieniło? Czy mimo to zostałabyś królową, a mój los byłby taki sam jak teraz?

Powoli oderwała drugą dłoń od rękocyta Kamionego Serca.

– Oszukałeś mnie, mówiąc o swojej miłości do mnie? – spytała cicho.

– Nie – odparłem z ciężkim sercem. – To zbyt wiele dla mnie znaczy.

Skinęła głową. Potem sięgnęła ku szyi i wydobyla na wierzch delikatny łańcuszek, na którym wisiał ciężki pierścień. Zdjęła go ostrożnie.

– Eleonora wiedziała, że ją kochałeś, choć ty zwróciłeś jej ten pierścień. Był dla niej podporą w ciężkich czasach. Przyjmij go teraz, żeby był podporą dla ciebie.

Chciałem uklęknąć, ale powstrzymała mnie.

– Nie – szepnęła. – Po prostu daj mi rękę.

– Jest dla mnie za wąski, kazała go zmniejszyć – powiedziałem cicho.

– Zapominasz, kim jestem – odparła i płaską dłonią przejechała po pierścieniu, który na chwilę rozbłysnął i się poszerzył. – On jeszcze pamięta, do kogo należał. – Przez moment się ociągała, w końcu wsunęła mi go na palec środkowy lewej ręki. – Bądź moim paladynem – powiedziała z powilgotniałymi oczami. – Przrzeknij, że mi go nie zwrócisz.

– Przrzekam.

Wzięła głęboki wdech, zadarła głowę, odsunęła się ode mnie i z godnością potoczyła wzrokiem po żołnierzach, którzy gorliwie udawali, że ich nie ma.

– W takim razie pójdźmy za naszym przeznaczeniem – orzekła zdecydowanie. – A jeśli chodzi o Serafine... daj mi trochę czasu, proszę.

Pokłoniłem jej się, co skwitowała nikłym uśmiechem, a potem mnie minęła. Żołnierze z ciężkimi skrzyniami poszli za nią.

– *Zapytałam ojca, dlaczego nosicie różę na waszym palcu, Rodericu – powiedziała, przyglądając się, jak strugam dla niej wróbelka z drewna.*

- *I co odpowiedział jego wysokość? – spytałem ostrożnie.*
- *Powiedział, że to ja jestem kwiatem, odurzającym zapachem, pięknem.*
- *Ma rację.*
- *A wy jesteście cierniem. – Popatrzyła na mnie rezolutnie. – Co miał na myśli?*
- *Róże czasami muszą kłuć – wyjaśniłem – żeby nie niszczyć ich kwiecica.*
- *Są róże bez kolców?*
- *Tylko te ścięte.*

Długo milczała.

- *Czy wam też wydaje się smutne, że róża potrzebuje cierni? – spytała w końcu.*
- *Tak, wasza wysokość. Nawet bardzo.*
- *Piękny wróbel. Bardzo za niego dziękuję – powiedziała grzecznie i dygnęła, kiedy podałem jej ptaszka. Uniosła go, jakby latał. – Wolałabym być wróblem zamiast różą. On może polecieć, dokąd chce, i nie potrzebuje cierni. A wy, Rodericu?*
- *Tak, wasza wysokość. Ja też wolałbym być wróblem.*
- *Co was tutaj trzyma?*
- *Róża.*

Odprowadziłem ją wzrokiem i odwróciłem się do drzwi mojej kwatery, które w tym momencie zamknęły się cicho. Pchnąłem je i stanąłem twarzą w twarz z Ragnarem, który po raz pierwszy, odkąd go znałem, sprawiał wrażenie zakłopotanego. Za nim, na krześle przy dużym stole, siedziała Serafine, z głową opartą na dłoniach. Płakała.

– *Właśnie wychodziłem, przyjacielu – powiedział chrapliwie Ragnar. – Przyszedłem tylko zapytać, gdzie możemy napić się dobrego piwa, nie natrafiając na jakiegoś Varlandczyka. Ale to może poczekać.*

Rozejrzałem się.

- *Zokora też tutaj jest?*
 - *Mroczna elfka, której boi się Angus? Nie, nie widziałem jej.*
- Serafine podniosła głowę, otarła łzy i uśmiechnęła się powściągliwie.
- *Ragnarze – powiedziała – Srebrny Wąż to dobre miejsce, żeby napić się piwa. Może spotkamy się tam później. Znajdziesz tę karczmę zaraz za główną bramą cytadeli po prawej stronie.*
 - *W takim razie pójdę sprawdzić, czy cesarskie miasto jeszcze wie, jak się warzy piwo – oznajmił Ragnar, skinął nam głową i wyszedł.*
 - *Mówiłam ci, żebyś z nią nie rozmawiał – odezwała się, wstając i podchodząc do mnie.*
 - *Jestem kiepski w słuchaniu rozkazów – odparłem.*
 - *Wiem – westchnęła i otarła łzy. – Leandra właśnie bardzo zyskała w moich oczach. Niewiele jest kobiet, które chcą usłyszeć to, co miałeś jej do powiedzenia. –*

Wzięła moją dłoń, tę z pierścieniem Róży. – Za moich czasów nie było paladynów. Jak do tego doszło?

– Ojciec Eleonory w młodości był bardzo chorowity i cierpiał z powodu surowości swego ojca. W tamtym czasie często bywałem na zamku, a stary król usłyszał o mnie jakieś historie i opacznie je zrozumiał. Kazał mi wyszkolić księcia w sztuce wojennej i zrobić z niego mężczyznę. Myślał, że wystarczy, jeśli powali się go na ziemię odpowiednią ilość razy.

– I? Zrobiłeś to?

– Czy powaliłem księcia na ziemię? – Uśmiechnąłem się. – Raz czy dwa. Ale on i bez tego był mężczyzną bardziej, niż kiedykolwiek był jego ojciec. Stary król był okropnym tyranem, który mylił wyrozumiałość ze słabością. Księżę poszedł zupełnie inną drogą i kiedy stał się królem, poprosił mnie, abym zostałem jego paladynem. Później, kiedy urodziła się Eleonora, wezwał mnie do siebie i polecił mi wziąć na ręce swoją córkę, która patrzyła na mnie swoimi wielkimi oczami, a potem kazał mi przysiąc, że będę ją chronił.

– Nie zawiodłeś go w tym – stwierdziła Serafine, ale ja pokręciłem głową.

– Nie było mnie tam, kiedy dokonano zamachu. To, że przeżyła, nie było moją zasługą, tylko wyłącznie jej. Przeżyła dzięki swojej odwadze... choć co to było za życie. Była energicznym dzieckiem, uwielbiała tańczyć, zawsze pełna wigoru. Do dziś nie mogę przeżyć, że sprawcy zbiegli nierozpoznani.

– Może i w tym maczał palce cesarz nekromanta. Wiemy, że planuje z dużym wyprzedzeniem.

– Nie każde zło czy żądza władzy ma swoje źródło w nim – stwierdziłem. – Na dworze w Illianie i bez tego roіło się od intryg, Leandra również cierpiała z tego powodu. – Westchnąłem. – Prosiła, żebyśmy dali jej trochę czasu – dorzuciłem.

– Wiem – odpowiedziała. – Podśluchiwalіśmy.

– Pół cytadeli już wie – westchnąłem. – To była okazja, której nie chciałem przepuścić.

– Tak. – Spojrzała na mnie. – Co wynikło z rozmowy z Orikesem? Szukałam cię na dole i usłyszałam, że jesteś u niego. Skrybowie powiedzieli, że to było długie spotkanie.

– Dał mi coś do roboty – odpowiedziałem, wyjąłem z kurtki kartkę i rozłożyłem na stole. – Mamy znaleźć i zabić Asełę, a także wszystkich nekromantów w mieście.

– Nie powiedziałaś mu, że ona nie jest już nekromantką?

– Nie – odparłem. – Nie pytaj dlaczego. Sam jej nie ufam, ale nie chciałem jej zdradzić. Wciąż odczuwam jej ból, jaki ona czuła, kiedy bóg ją od niego uwolnił, może dlatego. Ale zbyt wiele kwestii pozostaje jeszcze otwartych. Wiemy z dużą pewnością,

że *była* nekromantką, a nigdy nie było wzmianek, by bogowie kiedykolwiek wybacжали takie czyny. A jednak Soltar nie skazał jej, tylko oczyścił...

Spojrzałem na podobiznę pięknej kobiety. To była ta sama osoba, którą spotkaliśmy, a jednak inna. Jej usta uśmiechały się uwodzicielsko. Asela, którą widziałem, zdawała się nie wiedzieć już, jak to się robi, miała głębsze zmarszczki i chłodne spojrzenie, które w ogóle nie było zalotne. Ani w głowie było jej wyglądać powabnie.

– Pod wieloma względami muszę przyznać ci rację – powiedziała z namysłem Serafine. – To niewątpliwie ona, wie o sprawach, o których może wiedzieć tylko ona, ale wiele się w niej zmieniło. Wszystko, rzekłabym. Spójrz, Feltor modlił się do Borona, Asela chodziła do świątyni Astarte, Balthasar był jak ty: jeśli w ogóle się modlił, to chodził do Soltara. Nie miał zbyt wielkiego mniemania o bogach i uważał, że ludzie sami powinni decydować o swoich sprawach. Asela rzuciłaby się raczej do stóp Astarte i z płaczem błagała o łaskę. Znam tylko dwoje ludzi, którzy stawali przed bogiem z taką arogancją: ciebie i Balthasara. A teraz jeszcze Asełę. To w ogóle do niej niepodobne. Jednak wyczuwam w niej dawną przyjaźń, tyle że dziwnie odmienioną. – Minęła mnie wzrokiem, zapatrzyła się w przeszłość. – Byliśmy przyjaciółmi, Balthasar, Feltor, Jerbil, Asela i ja. Towarzyszyli Askannonowi w jakiejś wyprawie, poznaliśmy się, kiedy w drodze powrotnej odwiedzili mego ojca. Balthasar już wtedy był starszy wiekiem, jeśli się nie mylę, miał ponad sto lat, ale Feltor i Asela byli młodymi Sowami, bardzo w sobie zakochanymi. Ona była... – Serafine westchnęła. – Trudno to opisać; można powiedzieć, że jako Sowa była na niewłaściwym miejscu. Bardziej pasowałaby do świątyni Astarte, jako kapłanka. Brakowało jej twardości, była cierpliwa i dużo się uśmiechała... Uwielbiała się śmiać. Obaj byli w niej zakochani, ale Balthasar był powściągliwy, hamowało go to, że podobnie jak Feltor Asela była jego uczennicą. Feltor zdobył jej serce, a później oboje stanęli przed boginią i zostali parą. Balthasar wygłosił mowę. Zostali najlepszymi przyjaciółmi. – Spojrzała na mnie. – Dlatego to takie niewiarygodne, że ktoś z nich miałby stanąć po stronie Kolarona. Teraz wiemy, że nie zrobili tego dobrowolnie. Balthasar zawsze był odludkiem. Jestem pewna, że kochał Asełę, ale nie okazywał tego i nigdy nie przekraczał granic. Na swój sposób my też go kochaliśmy, był godnym podziwu człowiekiem, spokojnym i rozważnym, ale od czasu do czasu wzywała z niego jakaś hardość. Był primusem wieży i po Askannonie najpotężniejszym człowiekiem w Starym Królestwie, kimś takim nie zostaje się bez pewnej bezwzględności. Asela z kolei gotowa była oddać ostatnią koszulę, jeśli tylko mogła komuś pomóc. – Urwała i pomyślała chwilę. – Pamiętasz, jak powiedziała, że dobroć była jej największym i jedynym błędem? To dziwne słyszeć coś takiego z jej ust, ale coś w tym jest. Gdyby została sama, zdana tylko na siebie, tylko by ją wykorzystano. To właśnie dlatego Feltor i Balthasar tak na

nią uważali. W każdym razie nie znam innego powodu. – Westchnęła. – Nie wiedziałam, że Erinstor ją wykorzystał. Ja nigdy nie wybaczyłabym czegoś takiego i sama chwyciłabym za miecz, żeby ściąć mu głowę. – Popatrzyła na obrazek Sowy i podniosła na mnie powilgotniałe oczy. – Stała przed nami, więc wiem, że jeszcze żyje. Ale wszystko to, czym była dawniej, już nie istnieje. Żyje, ale mam poczucie, jakby umarła. Chcę wiedzieć, co się stało. I nie dam się już zbyć. Ona jedna z moich przyjaciół żyje.

– Pomijając elfy – dorzuciłem.

– Tak. Ale to elfy, są zupełnie inni niż my. Spójrz, Havaldzie, Asela i ja powierzałyśmy sobie tajemnice... ona opowiadała mi o Feltorze i Balthasarze, ja jej o Jerbilu. Wymieniałyśmy się ubraniami i płatałyśmy sobie figle, jedna trzymała drugiej welon, kiedy stawałyśmy z naszymi wybrankami przed bogami. Ten rodzaj przyjaźni jest rzadki, bo powstaje nie z potrzeby, lecz poprzez bliskość. Chcę wiedzieć, co się stało.

– Ja też mam do niej pytania – powiedziałem i przesunąłem podobiznę Aseli tak, by lepiej ją widzieć. – Wie o naszym wrogu więcej niż ktokolwiek inny. Musi zdawać sobie sprawę, że ta wiedza jest dla nas użyteczna. Dlaczego się nią z nami nie dzieli?

– Pójdźmy ją o to zapytać – zaproponowała, wstając. Spojrzałem przez okno, już dawno było ciemno. Nie miałem ochoty na łożenie po mieście i szukanie cienia w ciemności. Miałem dosyć na dzisiaj.

– Teraz? – spytałem z powątpiewaniem. – Niedługo już ósmy dzwon, no i nie będzie łatwo ją znaleźć. Szuka jej całe miasto, dlaczego sądzisz, że akurat nam się uda?

– Bo jest jedno miejsce, które wszyscy lubiliśmy – powiedziała. – Jeśli jej tam nie będzie, możemy zostawić jej wiadomość, że chcemy się z nią widzieć, a ona już nas znajdzie. Chodź, Havaldzie – poprosiła. – To niedaleko stąd.

22

CESARSKI OGRÓD

– Co to za miejsce? – zapytałem, potrząsając za kratę z kutego żelaza, za którą rozciągał się jakiś park. Otaczający go mur był zbyt wysoki i solidny, by chronić jedynie kwiatki, ale przez pręty widziałem w oddali tylko niewielką, otwartą budowlę oraz drzewa i parę klombów, które powoli zaczynały się przekonywać, że niedługo będzie wiosna.

Serafine podeszła do bramy.

– Pomóż mi – poprosiła, a ja podstawiłem jej splecione dłonie. Płynnym ruchem podciągnęła się do góry. Westchnąłem i podskoczyłem, chwytając się za krawędź. Wspiąłem się i usiadłem na murze obok niej.

– To cesarski ogród – oznajmiła i oparła się o mnie, mając w powietrzu nogami. – Kiedy po raz pierwszy trafiłam do Askiru, cesarz osobiście mnie po nim oprowadził. To było pierwsze miejsce, które mi pokazał.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Osiem. Byłam dzieckiem i przepełniała mnie ciekawość. To była krótka wizyta. Przybyłam tu z ojcem, nie zostaliśmy długo, ale podczas podróży poślubnej zajrzeliśmy tutaj ponownie.

– Co jest takiego szczególnego w tym miejscu? Nie było innych, które mógł ci z dumą zaprezentować?

– Widzisz, on otrzymał ten ogród w darze. Ktoś go założył, żeby cesarz mógł korzystać tu ze spokoju. Widać stąd, że klomby i ścieżki tworzą wzór zgodny z prastarym rytuałem. Każdy kamień, każde źdźbło trawy, każdy kwiat zostały tu umieszczone w starannie określonym celu. Chodź – zawołała i zeskoczyła. – Pokażę ci.

Była rozbrykana jak małe dziecko. Uśmiechnąłem się i skoczyłem z muru.

– Droga prowadzi tędy – powiedziała. – Pokonuje się ją niespiesznie, kroczy pomału, pozwalając myślom krążyć swobodnie. Widzisz ten okrągły budynek pośrodku?

– Ten pawilon?

– Tak. To jest cel, ale nie da się go osiągnąć w pośpiechu. Droga wymaga trochę czasu. Chodź, pokonajmy ją razem. – Obróciła się i popatrzyła na mnie promiennie. – Jest tylko jedna reguła: nie wolno mówić.

Miała rację. To miejsce, z jego wysokimi murami i kwiatowymi rabatami, z nawet zimą wygrabionymi starannie ścieżkami, emanowało głębokim spokojem. Wyobraziłem je sobie latem, kiedy wszystko kwitło, a powietrze było ciepłe. Musiało tu być jeszcze piękniej. Powoli szliśmy wijącą się ścieżką. Serafine pogrążyła się w myślach, nie przeszkadzałem jej. Pawilon raz się przybliżał, raz oddalał; był celem, który wydawał się blisko, a okazywał dalszy, niż się sądziło. Jak w życiu.

Wydawało mi się, że wiem już, kim był Wieczny Władca. Jeśli miałem rację, to raz już się spotkaliśmy. Lecz kim był naprawdę, pozostawało zagadką. Wiedziałem już o nim wiele, wiedziałem, że prowadził wojny, że zjednoczył królestwo za pomocą władzy, magii i krwi, dał mu tysiąc lat pokoju, że kochał i tracił, i miał wszelkie powody, by nienawidzić łowców dusz. A jednak go nie rozumiałem. Zawsze byli jacyś ludzie, których podziwiałem za ich dobroć. Sam byłem zbyt samolubny, za bardzo skupiony na sobie. Istniały takie rzeczy, których nie zrobiłbym, bobym nie potrafił: na przykład nie zostałem kapłanem albo medykiem, nieustannie oglądającym cierpienie innych i mogącym wziąć na siebie ból... jak Devon, okrętowy medyk na „Śnieżnym Ptaku”, który niezmordowanie próbował ratować, co się dało, w swojej krwawej kanciapie pod podkładem i który przywrócił mnie do życia. Skąd ci ludzie czerpali siłę, by nieprzerwanie zrzucać się siebie i służyć innym? Sądząc po tym, co wiedziałem o Askannonie, powinien zostać kapłanem albo medykiem. Kiedy Serafine przybyła tu jako dziecko, władał królestwem, w którym kwitła sztuka i panował pokój. Co to był za człowiek, że pierwszą rzeczą, jaką pokazał dziecku, był ten ogród? Otworzyłem usta, żeby ją o to zapytać, ale przypomniałem sobie o regule. Na to przyjdzie czas, kiedy dotrzemy do pawilonu.

Szliśmy dalej, powoli, stałym tempem. Odgłos kroków w ciszy nocy, gwiazdy na ciemnym nieboskłonie Soltara – wszystko to stopniowo mnie uspokajało. Niemal z zaskoczeniem ujrzałem przed sobą białe stopnie pawilonu, a kiedy postawiłem stopę na pierwszym, poczułem, jak powietrze staje się cieplejsze. Nad naszymi głowami, pod płaską kopułą jedna z magicznych kul rozjarzyła się łagodnym światłem, wyłaniając z ciemności kamienne ławy i stół, a także postać w obszernej, ciemnej szacie, z podciągniętymi kolanami, które obejmowała ramionami.

Odwróciła głowę, spojrzała na nas bez zaskoczenia i westchnęła cicho.

– Finna – odezwała się spokojnie Asela – czemu zakłócasz mi spokój?

– Widziałas nas z daleka – odparła z uśmiechem Serafine i usiadła naprzeciwko niej na kamiennej ławie. Poszedłem za jej przykładem i postawiłem Rozpruwacza obok siebie. – Jeśli nie chciałaś się z nami spotkać, mogłaś z łatwością zniknąć.

– To prawda – odrzekła Asela i usiadła prosto. – Przypuszczam, że przychodzicie z pytaniami?

– Tak – odpowiedziałem. – Dostałem zadanie znaleźć was i osądzić.

– Osądzić – powtórzyła chrapliwie. – Za te winy, które dźwigam na swoich barkach, musielibyście zrobić to tysiąc razy, a i to byłoby za mało. – Uśmiechnęła się słabo. – Śmiało, generale. Przydybaliście mnie w słabym momencie. Nie chce już mi się bronić. Mam uklęknąć, żeby ułatwić wam sprawę?

– To nie będzie konieczne – odpowiedziałem powoli. – Zadanie brzmi: osądzić nekromantkę. Nie jesteście już przeklętą. Askir chce waszej głowy, ale ja myślę, że powinna zostać na waszym karku. Wasza wiedza o wrogu może być decydująca.

– Tak sądzicie? – spytała. – Mogę wam odpowiedzieć na parę pytań, ale czy wam się to przyda, śmiem wątpić. – Wskazała na kielichy oraz butelkę na stole, których wcześniej nie widziałem. – Elfie krople – poinformowała. – Jeśli dobrze pamiętam, lubiłaś to wino, Serafine.

Serafine skinęła głową i sięgnęła po butelkę. Czekaliśmy w milczeniu, aż nam naleje.

– Za Sowy, królestwo i naszego cesarza – wzniosła toast Asela i uniosła kubek. – Niech będzie nam dany pokój. – Wypiła spory łyk. – Zapomniałam, jak dobrze smakuje. Słodkie, ale nie ulepkowate. A zatem mam jeszcze trochę czasu, zadawajcie pytania.

– Najpierw jedno – zaczęła Serafine. – Co ci się przydarzyło?

– O, to muszę cofnąć się daleko w przeszłość, Finna – powiedziała Asela z krzywym uśmiechem. – Wiecie, że są takie miejsca na świecie, gdzie krzyżują się nurty rzeki światów?

– Tak – odpowiedziałem.

– A także że nurty te można przekierowywać tak, aby przenosić węzły?

Skinęliśmy głowami.

– Jedno z takich miejsc znajdowało się na dalekiej małej wysepce na południu. Ponura wulkaniczna wyspa, oddalona od wszystkiego, na samym końcu świata. Mała, niezamieszkała i jałowa. Nazywano ją Thalak. Przebiegało przez nią pojedyncze pasmo rzeki światów, wystarczające, by Askannon wzniosł na niej portal. Wyspa była tak odległa, że Askannon myślał, iż nigdy nie wydarzy się na niej nic, co mogłoby w jakiś sposób dotknąć królestwo. – Pokręciła głową. – Rzadko się mylił, ale tutaj mylił się kolosalnie.

– O co chodzi z tą wyspą?

– Za chwilę. Najpierw opowiem wam o problemie, jaki miały Sowy. Ich zadaniem było, jak wiecie, ściganie nekromantów. Problem polegał na tym, że czasami znajdowaliśmy takich, którzy jeszcze nigdy nie użyli mrocznego talentu. Wśród nich były dzieci. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ludzie posiadający ten talent w końcu

ulegają jego pokusie, ale te dzieci były jeszcze bez winy. Próbowaliśmy oddzielić talent od ich dusz, zanim zawinią – i sami splamiliśmy się winą. Bowiem w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia dziecko umierało. – Skrzywiła się. – Jak to wytłumaczyć rodzicom, gdy na ich oczach zabija się ich dziecko za czyny, których jeszcze nie popełniło?

– Och – wyrwało się Serafine.

– Właśnie – odparła Asela. – Och. To było złe rozwiązanie. Trzeba było znaleźć inne. Askannon rzadko szukał rady u bogów, ale w tej kwestii udał się po radę do kapłanów. Ci uznali, że nie było słuszne zabijać te dzieci, ale nie wolno również pozostawiać ich swemu losowi. Jak mówiłam: mroczny talent w większości przypadków kusi, by go użyć, choć czasami niezamierzenie.

– I ta odległa wyspa miała być rozwiązaniem? – zapytałem.

– Tak. W Thalaku widziano miejsce bezpieczne na tyle, by trzymać tam pojmanych i zdemaskowanych łowców dusz, gdzie mogliśmy prowadzić badania nad tym, jak pozbawić ich mrocznego talentu. Na wyspie założono kolonię i zbudowano akademię. Wysłano tam specjalnie wyszkolonych żołnierzy, nocne jastrzębie, i wzniesiono budynki chronione potężną magią.

– Więzienna kolonia dla przeklętych? – spytałem ochryple.

– Właśnie tak. Umieszczaliśmy tam wszystkich, których znaleźliśmy, winnych czy niewinnych. Dzieciom próbowaliśmy wpajać, że nie powinny używać talentu, winnych... – Odwróciła wzrok. – Na nich badaliśmy, jak oddzielać talent od duszy. Owszem, byli winni, ale tym razem to oni byli tymi, którzy cierpieli, a my ich dręczycielami. W zbożnym celu. – Ostatnie słowa wypłynęły z goryczą, po czym wzięła duży łyk wina, jakby chciała ją spłukać.

Rozumiałem problem, ale i to, czego wymagało jego rozwiązanie. Zwalczanie jednego podobnym nie zawsze było sprawiedliwe.

– Coś się stało, prawda?

– Tak. Balthasar znalazł sposób, jak oddzielić mroczny dar od duszy. Stało się to przypadkiem, w zwykłej rozmowie z jednym z nocnych jastrzębi, odbywającym służbę na Thalaku. Był jak wielu spośród nich mrocznym elfem, jednym z tych, którzy zachowali wiedzę o magii przodków. Odpowiedź leżała w magii krwi mrocznych elfów, nie w wiedzy, lecz w instynkcie i woli. Owa magia krwi zna pewien rytuał oczyszczenia. Właśnie on, lekko zmieniony, przyniósł rozwiązanie. – Wzięła kolejny łyk wina. – Ale za późno. Co wiecie o Balthasarze? – zapytała.

– Tu nie chodzi o niego – zauważyła spokojnie Serafine.

– Skoro tak uważasz. Zmierzałam do tego, że po Askannonie był najpotężniejszym człowiekiem w królestwie, primusem wieży przez długie lata. Nikt mu nie

dorównywał. Desina ma talent równie wielki, ale jeszcze nie jest gotowa. – Upiła kolejny spory łyk. Dopiero teraz rzuciło mi się w oczy, jak często to robiła, a jej kubek się nie opróżniał. – Cóż, nawet wszyscy przekłęci na wyspie razem wzięci nie mogli mieć wystarczającej mocy, żeby go obezwładnić. Lecz kiedy przybył na wyspę, żeby wypróbować rytuał, zastał ją przejętą przez łowców dusz. Jeden z nich, wbrew wszelkim środkom ostrożności, wbrew potężnej magii, która miała chronić wyspę, zdołał ujarzmić wszystkie przebywające na niej wolne umysły. Także Balthasara... Został wzięty przez zaskoczenie i obezwładniony. Wystarczyło mgnienie oka, aby mag, ze wszystkimi swoimi przysięgami i dumą, stał się kreaturą przeklętego, którego zesłaliśmy jako jednego z pierwszych. To było brutalne bydlę o wyglądzie czarującego młodzieńca, podstępny, złośliwy i niewykształcony, potwór o imieniu Kolaron, który założył królestwo na dalekim południu w kraju barbarzyńców, kiedy znalazł go Askannon. To Drugi Legion wkroczył do tego królestwa i je rozbił, i to Balthasar włożył tej przeklętej istocie obręcz na szyję i uwięził jego moce. – Spojrzała na Rozpruwacza Dusz, który stał obok mnie. – Miało to miejsce, zanim wykuto Ostrza Spójni. Kolaron był podstępną, sprytną kanalią, ale bez wiedzy, bez większej inteligencji. Przy Balthasarze był żalosnym robakiem w piasku, i tego właśnie przeklęty nigdy mu nie wybaczył. – Popatrzyła na nas z naciskiem. – Razem z dziećmi na wyspie więziono dwudziestu dwu nekromantów. Przez ponad sto czterdzieści lat trzymaliśmy Kolarona pod kluczem, a tu nagle to! Balthasar nie rozumiał, jak to możliwe, że ten niewykształcony robak zdołał go obezwładnić. – Asela westchnęła. – Ale stało się, co się stało: Balthasar stał się jego kreaturą. To był początek. Kiedy Balthasar wrócił do Askiru, doniósł o odniesionym sukcesie, ale to już nie był on. Przeklęty łowca dusz wykorzystał wszystko, kim był i co wiedział Balthasar, całą jego wiedzę, jego talent, także ludzi, których kochał i którzy mu ufali. A sam mag tkwił uwięziony w sobie, niezdolny zrobić cokolwiek, i musiał przyglądać się, jak sam niszczy wszystko, co kochał. Kiedy następnym razem powrócił na wyspę, towarzyszyli mu Feltor i Asela. To nie moc łowcy dusz pokonała Asele i Feltora, ale magia Balthasara, którą tamten teraz dysponował. On sam zerwał osłonę z ich dusz i umożliwił przekłętemu przejąć Asele i Feltora. A tym samym ich wiedzę: Feltor prowadził badania, które dowodziły, że można przekierowywać rzekę światów, ale brakowało mu mocy, by to zrobić. A więc Balthasar przejął to zadanie. Zbadał rzekę światów gruntowniej niż ktokolwiek inny przedtem. A potem, kiedy Askannon kazał wznieść na południu Twierdzę Gromów, wybiła godzina Kolarona. Balthasar znalazł sposób, jak przekierować nurt rzeki światów. Cała trójka, Asela, Feltor i Balthasar, zrobili to jednocześnie w różnych miejscach i przekierowali rzekę światów z Askiru na tę małą, jałową wysepkę. Przeklęty uważał talent magiczny za niemal tak samo

użyteczny jak talent nekromancji, zagrabił sobie dusze Sów i posiadał ich talenty. Wcześniej był niewykształcony i nie miał o niczym pojęcia, teraz posiadał wiedzę, która kolosalnie powiększyła jego świat i plany. Dawniej strącony z tronu przez Askannona i uwięziony na wysepce, teraz odbierał sobie to, co niegdyś utracił. Bez rzeki światów portale w Askirze były nieużyteczne, a Królewskie Miasto nagle zostało odcięte od świata. A on wiedział wszystko, co wiedzieli Feltor, Asela, Balthasar i wszyscy inni. Naszedł czas jego zemsty.

– Co się stało potem? – spytała półgłosem Serafine.

– To jest dziwne – odpowiedziała prawie szeptem Asela i długo przyglądała jej się z namysłem. – Cesarz zniósł naszą zdradę, utratę magii, koniec swoich planów i nie złamało go to. Abdykował i jął się zbroić do walki. Samotnie stawiał czoła przekłębemu na odległej wyspie. Nic, co się stało, nie zdołało powalić go na kolana, cesarz bez trudu odpierał wszystkie nasze ataki, choć było nas ze dwa tuziny łowców dusz. Kolaron szydził z niego i przechwalał się, że posłał na zgubę legendarny Drugi Legion, który niegdyś odebrał mu ziemie, i że całkowicie go zniszczył. – Urwała na moment. – To było kłamstwo. To nie był koniec legionu, on tylko nie powrócił z misji. Część żołnierzy Balthasar zabrał ze sobą do Thalaku, gdzie zostali niewolnikami Kolarona, ale większość legionistów pozostała i na gruzach zbudowała to, co jest waszą ojczyzną, generale. Lecz kiedy Balthasar, pod przymusem przekłębego, wyrzucił cesarzowi, że pozostawił Pierwszy Róg Drugiego Legionu na pastwę losu, że zabił Serafine i Jerbila, wtedy Askannon, zdjęty żalem, na krótką chwilę utracił swą moc i uległ pod naciskiem wymierzonej w niego magii. Odszedł, a w miejscu, gdzie umarł, pozostawił krater, który o mało nie pogrzebał i Kolarona. Ciemny książę przeżył tylko dzięki Balthasarowi i pomocy innych. – Popatrzyła ze smutkiem na Serafine. – Musiało mu zależeć na tobie bardziej, niż wszyscy myśleliśmy, bo to wiadomość o twojej śmierci go złamała.

Serafine wciągnęła ostro powietrze. Chciałem powiedzieć, że Asela się myli i Askannon nie umarł, ale to nie był dobry moment. Poza tym wciąż z trudem przychodziło mi zaufać jej w pełni. Jeśli uważała cesarza za zmarłego, to nie mogła mu zaszkodzić. O wiele bardziej nurtowało mnie inne pytanie.

– Czy wicie, dlaczego Sowa Balthasar przekierował rzekę światów na Przełęcz Gromów z powrotem do Askiru? Przecież wcześniej przekierował go właśnie z Askiru, prawda?

– Tak. Ale Kolaron przygotowywał ostatni atak na znenawidzonego wroga, przez portal otworzony w Hali Gildii. Dla tego portalu potrzebował rzeki świata, gdyż nawet jego moc nie wystarczała, żeby otworzyć wrota obejmujące pół świata. – Pokręciła głową i uśmiechnęła się z wysiłkiem. – To ironia losu, że to wy omal nie zdołaliście

przeszkodzić Balthasarowi w naprawieniu tego, co niegdyś sam zniszczył. Mogę wam jednak powiedzieć, generale, że Balthasar był wam dogłębnie wdzięczny, że uwolniliście go ze szponów cesarza nekromanty, bo w chwili jego śmierci przekłety wreszcie wypuścił jego duszę na wolność. Umarł wolny od tego jarzma.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – zapytała Serafine.

– Kolaron przechwalał się tym, głównie po to, żeby dopiec Feltorowi, który wciąż miał nadzieję, że jego mentor Balthasar znajdzie drogę, żeby się uwolnić. Z kolei Asela... Tak bardzo poddała się nekromancie, że niewiele z niej zostało.

Wzięła ostatni głęboki łyk z pełnego kubka i odstawiła go. Zniknęła bez śladu. Popatrzyłem na swój i pomyślałem, że mógłbym spróbować łyczek, bo po tej historii naprawdę miałem ochotę się napić. Wino smakowało wybornie – i wyparowało mi na języku tak samo jak kubek w moim ręku.

– Jeśli kiedykolwiek będziecie chcieli się napić, nie płacąc za napitek, zwróćcie się do mnie – powiedziała Asela i wstała.

– Zostań – poprosiła Serafine. – Mamy jeszcze tyle pytań!

– Innym razem – odparła Asela i wygładziła szatę. – Zróbcie coś dla mnie. Dowiedźcie się, kim był ten łowca dusz, który leżał pod świątynią. Balthasar był primusem Sów, mimo to nie wiedział, że spoczywał tam związany nekromanta. Jedno wydaje się oczywiste: zaledwie rok po tym, jak wypędziliśmy z cytadeli Erinstora, na Thalaku miał miejsce przewrót. Ledwie sto lat później utraciliśmy legion i rzekę światów, a na końcu także naszego cesarza. Pod świątynią leżał nekromanta, o którym mówiono, że byłby dość silny, aby oprzeć się Askannonowi... Mógł mieć moc, żeby pokonać również Balthasara.

– To nie był Kolaron? – zapytałem, lecz ona pokręciła zdecydowanie głową.

– Nie. Schwytaliśmy tę bestię sto siedemdziesiąt lat wcześniej. Kolarona oprócz urody wyróżniały dwulicowość i spryt, ale nawet wszystkie zrabowane talenty nie wystarczały, by mógł się zmierzyć wtedy z Balthasarem. To musiał być inny. Ktoś, kto mu pomógł. – Jej pierś uniosła się w głębokim oddechu. – Wiecie już więcej. Powiedzcie mi, generale, czy to wam się przyda?

– Zobaczymy – odparłem wymijająco.

Zmierzyła nas badawczym wzrokiem.

– Nie wiem, czy można jeszcze wygrać tę walkę, ale jest pewna stara mądrość: kiedy walczysz z kimś, kogo nie znasz, przegrasz. Dowiedźcie się, kim był ten przekłety. Może wtedy będziemy znali naszego wroga. Podobnie jak Erinstor, Kolaron to nie jest ktoś, kto mógł osiągnąć to wszystko z własnej mocy. To, że zabiega teraz o płaszcz martwego boga, jest absurdalne, ale jeszcze większym absurdem jest to, że mogłoby mu się to udać. – Zamarkowała ukłon i odwróciła się do odejścia, lecz potem

zatrzymała się w pół ruchu i obejrzała na nas. – Portal, który wam pokazałam... Czy Desina zna położenie kamieni do celu, który był tam wyłożony?

– Tak – odparłem. – Zapisaliśmy kombinację.

– Zróbcie mi przysługę i powstrzymajcie ją przed udaniem się tam. Te wrota prowadzą prosto do serca wroga, na wzgórze, gdzie dawniej stała stara świątynia nad miastem, które nazywa się Kolariste. To stolica naszego wroga. Ani Desina, ani wasza partnerka Leandra nie powinny przekraczać tych wrót. On wyczuje, jeśli to zrobią. – Pozwoliła sobie na twardy uśmiech. – Szkoda byłoby zdradzić wrogowi portal, o którego istnieniu nie wie. Uznałam za stosowne wskazać wam drogę na jego podwórko, w końcu on też wałęsa się po naszym.

– To będzie przydatne – stwierdziła cicho Serafine. – Musisz naprawdę iść? Jest...

– Wiem, jak jest – powiedziała Asela łagodniej, niż zwykła to robić. – Ale mam jeszcze coś do zrobienia. Wiem jeszcze o wielu innych planach wroga i chciałabym je zniweczyć, póki się da. Zobaczymy się później, obiecuję.

Gestem namalowała w powietrzu świetlny krąg. W jego wnętrzu dały się zobaczyć zalane słońcem pola i jakieś obce miasto w tle. Skinęła głową i przekroczyła krąg, który zniknął bez śladu.

– To był portal? – spytałem pod wrażeniem.

– Tak to wyglądało, prawda?

– Myślałem, że do tego potrzeba rzeki światów i trwałych wrót?

– Najwyraźniej tylko wtedy, kiedy się nie jest Aselą... – Serafine potrząsnęła ze zdumieniem głową. – Musiała przez te lata bardzo zyskać na mocy. Dlaczego, na wszystkich bogów, nie stanie do końca po naszej stronie?

– Już to powiedziała. Zmierza do swoich własnych celów. – Poparzyłem na nią. – Piłaś to wino?

Westchnęła.

– Nie. Nie ufam jej aż tak.

– Szkoda – orzekłem. – Było naprawdę dobre. Słuchaj, wiesz, gdzie jest most Cesarski?

– W Dolnym Mieście przy porcie. Biegnie nad ujściem Asku, tuż przed portem. Czemu?

– Chcę go obejrzeć – odpowiedziałem. – Orikes mi o nim mówił.

– Ale już nie dzisiaj.

Spojrzałem na płótno Soltara nad naszymi głowami.

– Nie. Dziś już nie.

Kiedy dotarliśmy do kwatery, zawahałem się chwilę, lecz ona tylko się uśmiechnęła i dała mi cnotliwego buziaka w policzek. Strażnicy beznamiętnie gapili się przed

siebie, tylko jeden pozwolił sobie na leciutki uśmiech. Życzyliśmy sobie dobrej nocy, a potem wszedłem do komnaty, marząc tylko o tym, by wreszcie znaleźć się w łóżku.

Było zajęte.

Ragnar leżał na nim rozciągnięty jak długi, w zbroi i swoich zwierzęcych skórach, i chrapał w najlepsze, tak głośno, że mógł obudzić zmarłych.

Nie udało mi się przesunąć go na bok, więc jedną ręką chwyciłem jego topór, drugą złapałem go za kołnierz, wywlokłem z sypialni i wraz z toporem położyłem na podłodze w drugim pokoju. Przykryłem go i wróciłem do sypialni. A potem podziękowałem bogom i dawnym budowniczym, że drzwi były na tyle szczelne, by stłumić jego chrapanie.

O KORONACH I SIOSTRACH

Poranek rozpoczął się od śpiewu Ragnara. Varlandczyk, grząc radośnie, śpiewał jakąś pieśń w języku, który niezbyt dobrze rozumiałem, wiedziałem jednak mniej więcej, że chodzi o dziewicę, złego olbrzyma i bohatera, który zabija złoczyńcę, by uratować serę. Potem nastąpiła dłuższa część, wyczerpująco opisująca wdzięczność, jaką sera wyraziła bohaterowi w łożu. Okazało się jednak, że olbrzymi byli jej braćmi, ona zaś tylko udawała wdzięczność, a kiedy po wszystkim bohater zasnął, zadźgała go, wyrwała mu serce i spaliła je w żarze paleniska, by jego krwią wskrzesić złych braci.

Właśnie tak w Kraju Północy brzmiały wesołe piosenki, śpiewane w przypiływie dobrego humoru. Wolałem nie wiedzieć, co ryczeli, kiedy byli przygnębieni.

Zatkałem sobie uszy, ale na próżno, wesołe pienia Varlandczyka mogły zbudzić cały legion.

Słońce jeszcze nie wzeszło, a ja nie musiałem się meldować u Rellin i cieszyłem się, że mogę się wyspać.

Usiadłem nieprzytomny i przetarłem oczy. Drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich goły, ociekający wodą Ragnar.

– Ha! – wykrzyknął. – Wiedziałem, że mój śpiew postawi cię na nogi, stary druhu! Chodź, chwytaj nowy dzień, to dar od bogów! Nie wolno spędzać go w łóżku!

– Jest jeszcze ciemno, Ragnar – spróbowałem podejść do sprawy rozsądnie.

– Zaraz będzie widno! O, ktoś puka do drzwi... chyba powinieneś otworzyć!

Owinąłem się prześcieradłem i poczłapałem do drzwi. Za nimi stał pułkownik Orikes, mierzący mnie niezbyt przychylnym wzrokiem. Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, wyglądał na zaspanego, a jego strój zdradzał pośpiech przy ubieraniu.

– Niech bogowie pobłogosławią wam ten poranek – przywitałem go uprzejmie i stanąłem wyczekująco.

– Generale – odezwał się chłodno pułkownik. – Komendant kazał wam przekazać, że nie ma zbyt dużo czasu na sen i że kiedy w końcu udaje się na spoczynek, nie ceni sobie, gdy wy ryczycie na całe gardło sprośne piosenki, aż uszy bolą! Miłego dnia, generale!

Odwrócił się na pięcie i odszedł ciężkim krokiem.

Zamknąłem cicho drzwi i oparłem czoło o chłodne drewno.

– Wyglądasz na zmartwionego, przyjacielu – powiedział Ragnar, waląc mnie po ramieniu tak, że o mało nie padłem na kolana. – Chodźmy na śniadanie, jestem głodny, to poprawi nam humory!

– Dowiedziałem się czegoś – oznajmił Ragnar później, pałaszując z wielkim apetytem śniadanie. Ja pozostałem przy kafejce, nie miałem ochoty na jedzenie.

– Czego?

– Tutaj! – zawołał w odpowiedzi, patrząc ponad mną i machając, na co połowa żołnierzy w sali odwróciła się w naszą stronę. – Tu jesteśmy! – wołał wesoło Ragnar.

Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem Zokorę, Serafine i Varoscha wchodzących do mensy. Patrzyli na nas z lekkim zdziwieniem.

– I tak by nas znaleźli – poinformowałem Ragnara. Pokiwał głową, szczerząc się szeroko.

– Możliwe. Ale teraz wszyscy wiedzą, gdzie jesteśmy, i zadają sobie pytanie, kim ty jesteś. Nie zaszkodzi, jeśli będą cię znać.

Była w tym pewna logika. Jednak Ragnar czasami, na przykład w tym momencie, spoglądał na świat nieco inaczej niż ja.

Varosch czekał, aż Zokora zajmie miejsce, i usiadł. Serafine powitała mnie uśmiechem, a Zokora posłała Ragnarowi spojrzenie ciemnych oczu.

– Fałszowałaś – stwierdziła.

– Macie rację – odparł ze śmiechem. – Gdybym umiał śpiewać, to zostałem bardem, a nie kowalem! Ale kto by tam potrzebował barda, skoro są na świecie kowale? To wy jesteście tą małą elfką, która przeraża Angusa?

– To. Właśnie. Ja – odpowiedziała Zokora tonem, którego wcześniej nie znałem. Włosy stanęły mi dęba i z trudem pohamowałem impuls, żeby szukać ucieczki.

– I dobrze! – rozpromienił się Ragnar. – Nie zaszkodzi mu to. Jak wam się to udało?

– Kapał mi do herbaty – rzekła chłodno Zokora. – Powiedziałam, że tego nie lubię.

– Ze sztyletem przy jajach – zarechotał Ragnar tak gromko, że usłyszało go pół mensy. – Tak, to pomaga zyskać posłuch... Och – zdziwił się nagle i spojrzał na nią. Zokora trzymała oburącz kubek, do którego Varosch nalewał właśnie herbaty. – Jak to robicie?

– Szpikulec w czubku buta – oznajmiła Zokora z delikatnym uśmiechem. – Przydaje się.

– Możecie już go zabrać – zaproponował przyjaźnie. – Niewygodnie tak siedzieć, a przekaz dotarł. Nie jestem Angusem.

– Więc po co takie zachowanie? – zapytał Varosch. – I bez tego nie sposób was przeoczyć!

– Chciałem wiedzieć, kim ona jest – odparł z uśmiechem Ragnar i spojrzał na Zokorę. – Piękne kobiety mają to do siebie, że prowokują, aby mężczyzna się czegoś o nich dowiedział. To cud, że nie uderzył do was w konkury, Zokoro z domu Yseloh.

– Próbował – uśmiechnęła się. – Po rozmowie z Varoschem zmienił zdanie.

– Tak – skwitował pogodnie Ragnar. – Jeśli mu się coś wytłumaczy jak chłop krowie, rozumie.

– Co trzeba zrobić, żeby przekonać was, abyście tak głośno nie ryczeli? – zapytał Varosch.

– Nic, wystarczy powiedzieć. I tak już osiągnąłem swój cel.

– To jakiś w tym był? – chciał wiedzieć Varosch.

– Tak. Zastanawiali się, kim jestem. Teraz wydaje im się, że wiedzą... Wielki, barczysty i nieokrzesany, bez krztyny przyzwoitości i przypuszczalnie także dość ograniczony. – Uśmiechnął się, ukazując nieskazitelne zęby. – Ludzie gapią się i tak, ale lepiej, jeśli to my decydujemy, co widzą.

– Naprawdę sądzicie, że to konieczne? – spytała zaskoczona Serafine.

– Tak – odpowiedział cicho Ragnar. – Wiem teraz, kto będzie nosił koronę Varlandu, i to jest mądre posunięcie. To mnie wplątuje w intrygi, a jednocześnie pozostawia na ich obrzeżu. A zatem muszę być uważny, bo jeśli zlekceważą moją osobę, to będzie tylko z korzyścią dla mnie.

– Znalezione już następcę Hraldira? – zapytałem. – Kto nim będzie?

– Młoda kobieta, ledwie szesnastolatka. Dopiero po raz drugi w ciągu dziewięciuset lat zdecydowano się na królową. Trzeba wam wiedzieć, że w mojej ojczyźnie pod pewnymi względami kobiet nie traktuje się poważnie, pod innymi zaś bardzo poważnie. Nazywa się Vrela Hraldirsdotter.

– Hraldirsdotter? – zdumiałem się. – Twoja siostra? Nie wiedziałem, że masz siostrę.

– Sam prawie o tym zapomniałem. Kiedy odszedłem, dopiero się urodziła. Takie maleństwo, mieściło mi się w dłoni. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – A teraz będzie królową! – Spojrzał na mnie. – Musisz przyznać, Havaldzie, że szybko zapadła decyzja. We Vreldzie płynie krew ojca, a tym samym ma ona prawo do korony. No i byłoby niegrzecznie, gdybym wyzwał własną siostrę, żeby zabić ją w walce.

– Co to dla nas oznacza? – zapytałem.

– To niczego nie zmienia. Planowano posadzić na tronie jarla Erlafa, człowieka, o którym nie mogę powiedzieć niczego pochlebnego. Dawno temu stracił prawą dłoń, kiedy próbował mnie zadźgać. On zamierza pojąć Vrelę za żonę i zagarnąć koronę dla siebie. Gdybym wystąpił przeciwko niemu, wystąpiłbym przeciwko własnej

siostrze. Mężczyzna takich rzeczy nie robi. – Przełamał chleb i umoczył kawałek w kafe. – To powinno ucieszyć twoją królową. Stawiała na niego.

– Jak ci się udało dowiedzieć tego tak szybko? – zapytałem zdumiony.

– Podstępem i intrygą – odparł. – Kiedy przychodzisz na świat jako królewski syn, wysysasz tę umiejętność z mlekiem matki. Inaczej nie dożyjesz splotzenia własnych dzieci. Przekupiłem jednego z ludzi przy bramie ambasady.

– Są przekupni?

– Każdy jest, jeśli zna swoją cenę. To był ten, który zaatakował mnie od tyłu. Wprawdzie dość głośno krzyczał, ale nie powinien wyprowadzać ciosu, dopóki się nie odwróciłem. Zaproponowałem mu, żebyśmy dali temu spokój.

– I to wystarczyło, żeby go przekupić?

– Tak – odpowiedział Ragnar. – Na jednych działa złoto, u niego to był honor. Każdy ma swoją cenę i swój słaby punkt, trzeba je tylko znaleźć.

– Co to jest u ciebie? – zacięła się Zokora.

– Nie musicie wiedzieć – odparł z uśmiechem.

– Gdzie ona jest? Twoja siostra? Jeszcze w Krimstinlag?

– Tak.

– To zdumiewające, że już o tym wiemy. Przekazanie wiadomości musiało trwać kilka dni.

– Nie sądzę. Pamiętacie tamtą starą kobietę w długim domu, która roznieciła dla nas ogień koksownika? To ogniowa wieszczka, może rozmawiać na odległość ze swoimi siostrami w stolicy.

– Myślałem, że istnieją tylko w sagach – powiedziałem zaskoczony. – Jak mroźni olbrzymi czy lodowe węże.

– Albo jak wędrowiec, który nie może umrzeć – dorzucił ponuro Ragnar. – Jedno tak samo prawdziwe jak inne. Nie bez powodu Varland nigdy nie upadł.

– Nie upadł, dopóki Askannon nie pokonał waszego króla.

– Tak! – zawołał Ragnar i klepnął się w kolano. – Bogowie, jakże chętnie obejrzałbym tamtą walkę, to musiał być spektakl niemający sobie równych! Wasz cesarz był mądrym człowiekiem. Wiedział, co powinien zaoferować, aby zwyciężyć.

– Sądzisz, że walka była ustawiona? – spytałem.

– Oczywiście. Z tego, co wiem, wasz cesarz ledwie sięgałby mi wzrostem do piersi. Jak mógłby wygrać walkę w zapasach? Ale tamta walka była jedynie przypieczętowaniem pewnej transakcji i pokazała moim przodkom, że cesarz ośmielił się stanąć w szranki nago. My cenimy odwagę.

– Może to jednak wasz przodek wykazał się odwagą – wtręciła z uśmiechem Serafine. – To prawda, że cesarz nie był taki wysoki jak wy, ale mógł dysponować

wszelką siłą, jaką tylko chciał. Nazywał to małą sztuczką.

– Znałyście cesarza? – zdumiał się Ragnar.

– Tak. Sama widziałam, jak gołą ręką zgniótł kamień na pył. Mówił, że trzeba tylko przekonać kamień, że jesteś silniejszy od niego. Mięśnie nie są do tego potrzebne, tylko wiedza i siła woli. Możliwe, że on i wasz przodek zawarli umowę, aby włączyć Varland do królestwa. Wątpię jednak, żeby wasz przodek celowo przegrał.

– Lubiliście go i byliście z niego dumna – stwierdził z uśmiechem Ragnar. – Może tak było, a może nie. Prawdę obaj zabrali do grobu.

– Wracając do jarła Erlafa – podjął Varosch, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie. – Powiedzieliście, że to powinno ucieszyć Leandrę, bo ona stawiała na niego. Nie mówiliście tego jednak na poważnie. Dlaczego?

– Erlaf to fałszywy wąż. Nie jest człowiekiem honoru, ale zachowuje się tak, jakby to on wynalazł honor. Kiedy się odwrócisz do niego plecami i uwierzysz choćby w jedno jego słowo, pożałujesz. Poza tym jest przekupnym tchórzem. Z nim jako królem Varland na pewno nie stanie do walki z cesarzem nekromantą, tylko każe się przekupywać złotem. Twoja królowa, Havaldzie, może i jest mądra, ale też niedoświadczona. Erlaf to chytry lis, który ugryzie rękę, która go karmi. – Wzruszył ramionami. – Ale się dokonało i możemy mieć tylko nadzieję, że się zmienił i uzna ostatecznie, że nie opłaca mu się iść na układ z Kolaronem. – Westchnął. – Nigdy naprawdę nie poznałem Vreldy, bo co można powiedzieć o niemowlęciu? Boli mnie jednak, że będzie się kładła z tym tchórzem. On złamie więcej niż jej serce.

– I nic nie można zrobić? – zapytała Serafine.

– Chcecie, żeby wasza królowa znowu rozgniewała się na Havalda? – odpowiedział pytaniem. – Nie, Vrela jest moją siostrą i nie mogę wyzwać jej na pojedynek, nawet gdybym chciał. Za to Erlaf... Będzie się pilnował, żeby nie dać mi pretekstu, dopóki nie zostanie królem. Kiedy ona obejmie go swoją ochroną, będę miał związane ręce. Jak już mówiłem, on zaskakująco szybko i sprytnie rozwiązał problem polegający na tym, że żyję. – Popatrzył na mnie i pokazał zęby. – Mam prawie nadzieję, że jest nekromantą, o którym mówisz, choć w to nie wierzę. To byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Dlaczego nie możesz go wyzwać? – spytała Zokora.

– Vrela jako moja siostra ma prawo do mojej ochrony, za to musi się mnie słuchać. Chyba że byłaby królową. Wtedy sama może zażądać mojej ochrony i nie musi już być mi posłuszną. Wtedy rozkazuje jej tylko jeden człowiek, jej mąż.

– Ale wszyscy inni mogą ją wyzwać na pojedynek? – spytała Zokora.

– Tak. Ale nie ją osobiście. Ma prawo, aby ktoś walczył za nią. Paladyn, taki jak Havald. U nas nazywa się on inaczej. Jest nim albo jej merkesmann, wojownik,

którego wyznacza ona sama, albo jej mąż, który staje za nią w szranki. Albo któryś z jej braci.

– A więc ona może cię zmusić, żebyś walczył? I w ten sposób zwabić się w zasadzkę? – dopytywała Zokora.

– Tak i nie – odparł Ragnar. – Honor wymagałby tego, owszem, ale mój honor jest zastawiony u Esire, mojej kobiety. Ona ma większe prawo do ochrony niż moja siostra, gdyż jest matką moich dzieci. Dla niej podjąłbym każdą walkę. Dla mojej siostry... nie. – Popatrzył pytająco na Zokorę. – Dlaczego miałaby zastawić na mnie zasadzkę? Erlaf mnie rozegrał, nie stanowią już dla niego żadnego zagrożenia.

– Ragnarskrag – wyjaśniła Zokora. – Topór Frolnira, wykuty przez wszechojca, który może rozłupać światy. Dopóki nosisz ten topór, jesteś zagrożeniem dla Erlafa.

– Jaki znowu Frolnir? – spytałem skonsternowany.

– Władca olbrzymów, pierwszego rodu, jeszcze starszego od elfów – powiedziała Zokora i spojrzała na mnie badawczo. – Masz doprawdy talent do zyskiwania osobliwych przyjaciół – stwierdziła. – Wiesz, że on musi pochodzić ze związku z olbrzymem, jeśli nosi ten topór?

Ragnar odpowiedział za mnie:

– Tak, powiedziałem mu to. Jesteście przyjaciółmi?

– Jeśli dobrze rozumiem to słowo, to myślę, że tak – odpowiedziała chłodno Zokora.

– Macie bez wątpienia rację – parsknął śmiechem Ragnar. – No, najadłem się. – Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś. – Gdzie dostanę piwo?

– Nie tutaj. Nie o tej porze – powiedziała Serafine.

– Nawet tych sików, które nazywacie piwem legionistów? – upewnił się rozczarowany.

– Nie, tego też nie. Dopiero po szóstym dzwonie. Ragnarze, powiedzcie, co z Angusem? Jak się ma?

– Dziś wieczorem zabieram go do Twierdzy Gromów. Tam jest pod dostatkiem dziczyzny, na którą będzie sobie polował, i wydobrzeje. Będzie jak dawny Angus. Czasami to, że jest wilczym bratem, okazuje się przydatne.

– Co to znaczy? – spytała Serafine.

– Że Angus jest wilkołakiem – wyjaśniła Zokora, ze stoickim spokojem upijając łyżeczek herbaty. – Nie wiedziałaś?

Serafine zamrużyła. Ja też. Varosch zakrztusił się herbatą.

– To dlatego Twierdza Gromów powinna mu się spodobać – powiedział pogodnie Ragnar. – Tam są całe stada tych bestii! Będą go wielbić.

– Wielbić? Czemu? – zapytałem, udając, że nie jestem zdziwiony.

– Bo jest inny niż one. Nosi w sobie krew zimowego wilka, jego matka legła z takim wilkiem. W jego ludzkiej postaci – dodał szybko. – Sam może decydować, kiedy i jak się przemienia. Nauczył się tego już w dzieciństwie. W mojej ojczyźnie ktoś taki jak on jest niemalże święty. Gdyby nie wybrał się ze mną na wyprawę, mógłby daleko zajść.

– Nie przeszkadza ci, że masz za sojusznika wilkołaka? – zdziwiłem się.

– Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? – zdumiał się Ragnar. – Wiem, że jest wielkim wojownikiem!

– Wilkołaki... czy u was są inne? – zwróciła się do Zokory Serafine.

– Tak. Niektóre są rzadkie, jak Angus. U takich jak on to dar od bogów, ale większość cierpi na chorobę, którą czasami można nawet uleczyć. – Uśmiechnęła się. – Łatwo zauważyć różnicę. Jedni muszą wyć do księżyca, inni robią to tylko wtedy, gdy chcą.

– Ładnie powiedziane – uznał Ragnar. – Właśnie na tym to polega.

– Od kiedy wiesz? – zwróciłem się do Zokory.

– Od początku. Jak ty.

– Ja nie wiedziałem – zaprzeczyłem.

– To, że nie chciałeś wiedzieć, nie oznacza, że nie wiedziałeś – orzekła, wstała i spojrzała na Varoscha, który poszedł w jej ślady. – Ciągle mnie fascynuje, ilu rzeczy nie chcesz widzieć. Jeśli zechcesz nas szukać, jesteśmy w archiwum.

Postanowiłem nie pytać, co miała na myśli.

– Nadal szukasz Pogromcy Strachu? – zapytałem.

– Nie – odparła. – Znalazłam coś, co mnie zainteresowało bardziej. Archiwariusz wyszukał mi odpis traktatu. Jest wciągający.

– Traktat askirski? – upewniłem się.

– Dokładnie ten.

– Jest wciągający? – zdumiałem się.

– Tak – potwierdziła, pokazując zęby. – Jeśli umiesz przeczytać, czego nie zawiera.

RADA HANDLOWA

– Wiesz, co mnie złości? – spytałem, kiedy razem z Serafine szliśmy przez plac Cytadeli. Zmierzaliśmy do portu i mostu Cesarskiego. Chciałem wreszcie coś ustalić.

– Z pewnością zaraz mi powiesz – odparła.

Postawiłem kołnierz opończy, było jeszcze wcześniej i od portu wiał zimny wiatr.

– Tak długo nad tym główkowaliśmy, a to już było wiadome od dawna. – Wskazałem na wieżę Sów. – Tam na pewno są zapiski o wyspie przeklętych. A przecież cesarskie archiwa podlegają pułkownikowi Orikesowi. Komendant też powinien o tym wiedzieć.

Zaprężony w woły wóz chciał się wepchnąć między mnie i Serafine, ale zrobiłem unik, ściągając na siebie rozeźlone spojrzenie kupca, chudego, tyczkowatego jegomościa, ani trochę nie spasionego, z nosem przypominającym dziób kruka. Przecież mu ustąpiłem.

– A co z tobą? – zapytała z uśmiechem Serafine. – Ty też nie mówisz o wszystkim, co wiesz.

– Bo często to tylko przypuszczenia. Nauczyłem się, że przypuszczenia należy sprawdzić, zanim zacnie się o nich mówić jak o pewniku.

– Co chcesz teraz sprawdzić, Havaldzie?

– Czy Askannon jeszcze żyje.

– Chciałabym, aby tak było, ale Asela widziała, jak umarł. – Westchnęła. – Tak długo chowałam w sobie nadzieję...

– Ja też już umarłem – powiedziałem. – A jednak żyję, bo noszę ten miecz. A ty wiesz, że to on go wykuł i natchnął magią. – Podałem jej srebrną monetę. – Ten wizerunek... Znam tego człowieka. Tylko długo wzbraniałem się to dostrzec. Człowiek, którego spotkałem, jest znacznie starszy, ale podobieństwo jest uderzające. Przy moście Cesarskim mają stać dwa posągi, jego i jego żony. Kiedy go tam zobaczę, przekonam się, czy się mylę.

– Mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz – powiedziała cicho. – Zawsze wierzyłam, że on nadal żyje, tylko nie ma na to najmniejszego dowodu. Kiedy Asela wspomniała, że widziała, jak umiera... Nie chcę pogrzebać nadziei, ale to trudne. – Spojrzała na mnie. – Myślisz, że to prawda? Że wiadomość o mojej śmierci tak bardzo go poruszyła, że zaniedbał własną ochronę?

– Nie wiem, jak to jest z Aselą – odpowiedziałem. – Ale nie wydaje mi się, żeby miała powody kłamać. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że niewiele brakowało, a urodziłaby mu się córka. Może byłaś dla niego czymś w rodzaju zastępczej córki.

– Może – powiedziała z przygnębieniem. – Kiedyś powiedział, że jestem w wieku, w którym byłaby jego córka.

– Twój ojciec był gubernatorem w Gasalabadzie – przypomniałem sobie. – A więc był cesarskim urzędnikiem. Pochodził z tamtego kraju?

– Nie. Był z Askiru i służył w legionach jako Pióro, zanim został dyplomata.

– Nie wyglądasz jak ktoś stąd. Śniada cera, czarne włosy, piękność o ognistych oczach. A Serafine do złudzenia przypomina Helis.

– To dziwne, prawda? Wydaje się, że jestem spokrewniona tylko ze sobą. Moja matka pochodziła z Besarajnu, jak sądzę. I ojciec, i cesarz mówili, że mam jej nos.

– Tylko nos? – spytałem. – Przyznaję, cała reszta jest brzydka, ale twój nos doprowadza mnie do szaleństwa.

– Ach, ty! – zwołała, popychając mnie. – Przestań... co się dzieje?

– Tam – rzuciłem. – Widzisz tego typa w szarej opończy? Udaje, jakby odkrył coś cudownego na tym murze.

– Tak. Co z nim?

– Idzie za nami. Przed chwilą był z nim jeszcze ktoś inny.

– Może sobie z nim porozmawiamy? – zaproponowała, luzując sztylety w rękawach.

– Jestem za.

– Ja się nim zajmę – orzekła. – Ty rozglądaj się za tym drugim.

Skinąłem głową, choć miałem ochotę zaprotestować, prosić ją, żeby na siebie uważała. Ale Serafine wiedziała, co robi.

Odłączyła się ode mnie i nagle trudno mi było się skupić na czymkolwiek innym poza nią, bo jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak szła, kołysząc biodrami. Jednym ruchem zsunęła kaptur z głowy, potrząsnęła włosami, poluźniła odrobinę opończę, zalotnie przechyliła głowę i zmierzała prosto ku mężczyźnie, który studiował ścianę.

– Ser? Może zechcecie kupić los za pocałunek? – zapytała ochrypłym głosem i popatrzyła na niego powabnie wielkimi oczami. O mało się nie zakrztusiłem.

Mężczyzna przeniósł na nią wzrok. Wiedział, że został przyłapany, i wyglądał na trochę skołowanego.

– Nie... sera – wyjąkał zaskakująco uprzejmie. – Dziękuję, ale nie.

– Naprawdę nie? – powtórzyła Serafine, ściągając usta w ciup. Mężczyzna odwrócił się do niej.

– Nie – odpowiedział zakłopotany. – Jestem żonaty. Nie żebyście mi się nie podobały... – Rozejrzał się panicznie dokoła, jakby szukał pomocy. Podążyłem za jego

spojrzeniem i zauważyłem tego drugiego. Zbliżał się cichcem.

Serafine zadarła kolano i trafiła admiratora murów w klejnoty rodowe. Kiedy łapiąc oddech, zgiął się wpół, uderzyła go ręką w szyję w kark. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna się złożył, tak szybko się to odbyło.

Drugi przestał udawać i rzucił się do ucieczki, mijając bramę, w której dyskretnie stałem.

Nie musiałem wiele robić, wystarczyło, że chwyciłem go za szyję i wykorzystując impet, pchnąłem go na ścianę, podnosząc sztylet, który upuścił.

– Do ogrodu – rzuciła Serafine, kiedy podszedłem do niej z przerzuconym przez ramię napastnikiem. Wskazała na małą otwartą furtkę do ogródka. Złapałem za kołnierz drugiego i obu zaciągnąłem do ogrodu. Młoda kobieta wychodziła właśnie z domu i na nasz widok szybko zawróciła, po czym zatrzasnęła drzwi i zamknęła okiennice.

Z boku stał cebrzyk z deszczówką, wziąłem go i wylałem jego zawartość na delikwentów. Ten, który zderzył się ze ścianą, ocknął się, jego kumpel spokojnie trwał w niebycie.

Wyprostował się, parskając, i złapał się za krwawiący nos, który chyba mu złamałem.

– Nie możecie nas tak traktować – oburzył się, co mnie odrobinę zdziwiło.

– Dlaczego, ser? – zapytała Serafine, bawiąc się nożem. – Myślałam, że właśnie tak traktuje się ludzi dybiących na czyjeś życie.

Mruknąłem z aprobatą.

– Miałbym do was parę pytań. Żeby wisieć, nie potrzebujecie mieć całych kości...

Mężczyzna chciał się zerwać w panice, ale złapałem go za gardło i docisnąłem do ziemi.

– Zacznijmy od tego, kim jesteście. Zwyczajnymi obwiesiami czy wysłannikami łowców dusz?

– Jakich łowców dusz? – spytał z przerażeniem mężczyzna. – Jesteśmy agentami Rady Handlowej i wykonujemy najwyższą misję! Na mojej szyi... na łańcuszku, którym mnie zaraz udusicie... na wszystkich bogów, sprawdźcie... Nie jesteśmy zbójami!

Agenci Rady Handlowej? Co to miało znaczyć? Rzeczywiście, napastnik miał na szyi cienki łańcuszek. Wydobyłem go na wierzch i zerwałem, na co mężczyzna zaskowyczał głośno.

Na łańcuszku wisiała srebrna moneta z dziurkowanym brzegiem. Z jednej strony miała wybitego askirskiego smoka, z drugiej wagę, koło młyńskie i worek zboża.

Podałem monetę Serafine, która obejrzała ją dokładnie, a potem obszukała szyję drugiego mężczyzny i znalazła identyczną monetę.

– Jesteście kupcami? – spytałem zdziwiony i podciągnąłem go trochę, żeby oprzeć wygodniej o mur. – Co mają do nas kupcy?

– Agenci Rady Handlowej – sprecyzował z dumą, poprawił kurtkę i otarł krew z nosa. Popatrzył na mnie z wściekłością, po czym poszukał czegoś po kieszeniach i na koniec podetknął mi złożony pergamin. – Jesteśmy w ważnej misji.

– Przysłała was komendant? – spytałem osłupiały, rozkładając pergamin.

– Oczywiście, że nie! – oburzył się tamten. – To Rada Handlowa rządzi miastem! Komendant wydaje jedynie rozkazy wojsku.

– Zastanawiam się, czy on też o tym wie – zauważyłem i przeczytałem dokument, podpisany przez niejakiego ser Pesseriona, mianującego się radcą i legitymującego pieczęcią ze znakiem klucza. Stało w nim, że Rada Handlowa postanowiła objąć obserwacją niejakiego ser Roderica von Thurgau, jako że obwinia się go o to, co następuje: spowodowanie trzęsienia ziemi, wywołanie powodzi, zniszczenie własności cesarskiej (Wyspy Ogniste), zniszczenie własności cesarskiej (statki mieczowe, sztuk dziewięć, okręty myśliwskie, sztuk czternaście, frachtowce, sztuk dwanaście), zniszczenie własności Rady Handlowej (frachtowce, sztuk siedemnaście)...

I tak dalej... ładunki, doki, żurawie. Lista ciągnęła się do samego dołu, gdzie zostało tylko trochę miejsca na podpis i pieczęć. Poczyniono nawet trud oszacowania strat. Zgodnie z szacunkami należało pociągnąć mnie do odpowiedzialności za straty w wysokości trzystu osiemdziesięciu tysięcy i czterech złotych cesarskich koron. I dwunastu srebrników. Oraz dziewięciu miedziaków.

– Pokażna sumka – skwitowała Serafine, zerkając mi przez ramię. – Kto by pomyślał, że można tak dokładnie wycenić straty.

– To tylko straty poniesione przez Radę Handlową i jej zgłoszone – prychnął mężczyzna i ostrożnie obmacał sobie nos. – Oczywiście będzie się jeszcze dochodzić innych roszczeń, kosztów następstw, jak również utraconych płatności gwarantowanych, wypadków przy pracy z ofiarami śmiertelnymi i rannymi, tego rodzaju rzeczy. Trudno je oszacować. Jeśli w Janasie wybuchnie dżuma, trzeba doliczyć dodatkowe koszty.

– I to jest możliwe? – spytałem osłupiały.

– Są tabele – odpowiedział ważnym tonem mężczyzna. – Zawierają wartości oparte na doświadczeniu. Wpisuje się wiek i płeć zmarłego, przynależność do stanu, z tych danych wynika współczynnik, który przenosi się do innej tabeli. Bierze się tę liczbę i...

– Dziękuję – przerwałem mu, unosząc rękę. – Aż tak dokładnie nie chciałem wiedzieć. A więc śledzicie nas na zlecenie Rady Handlowej?

– Tak – odparł z dumą. – I nawet ta okropna napaść nie powstrzyma nas od wykonania naszego obywatelskiego obowiązku! Jeszcze się przekonacie, że nie wolno zastraszać Rady Handlowej i jej przedstawicieli!

Wyciągnąłem do niego rękę, na co cofnął się gwałtownie, uderzając głową o mur tak mocno, że w oczach stanęły mu łzy. Przez dobrą chwilę zezował.

– Chciałem tylko pomóc wam wstać – wyjaśniłem uprzejmie. – Ale skoro nalegacie...

Położyłem mu monetę i dokument na piersi, popatrzyłem na drugiego, który nadal spokojnie spał, i wzruszyłem ramionami.

– Nie musicie już się kryć – powiedziałem przyjaźnie. – To nam zaoszczędzi nieporozumień. Bo w końcu pomyłę was z mordercami i już nie będę dla was taki łagodny.

– Łagodny? – zawołał tamten, zezując na mnie w górę. – Złamaliście mi nos i to nazywacie łagodnością?

– Ale głowa jest jeszcze na miejscu – odrzekłem. – Błogosławieństwo bogów niech będzie z wami. Mam nadzieję, że prędko dojdziecie do siebie.

Trzy kroki dalej nie mogłem się opanować i parsknąłem śmiechem.

– Bogowie! – zawołała Serafine i pokręciła głową. – To nie jest śmieszne, Havaldzie, ani trochę. Ale ci dwaj...

– Wiem – odparłem, uśmiechając się pod nosem. – Jest tabela... Bogowie! – Potrząsnąłem głową. – Obawiam się, że on mówi prawdę, że faktycznie istnieją takie tabele, które określają wartość człowieka w miedzi i srebrze! Kto tak myśli?!

– Znasz odpowiedź – powiedziała. – Kupcy.

Obejrzelismy się za siebie. Przy wejściu do ogrodu stał jeden z agentów i przykładając do nosa chustkę, patrzył za nami złym wzrokiem.

Westchnęła.

– Lepsi oni niż łowcy głów... Pytanie tylko, o ile lepsi!

25

MOST CESARSKI

Poszliśmy dalej i niedługo dotarliśmy do portu, gdzie skręciliśmy w lewo. Wkrótce potem znaleźliśmy się przy moście. Bez ani jednej podpory spinał płaskim łukiem szerokie na prawie siedemdziesiąt kroków ujście Asku, łącząc obie połowy cesarskiego portu. I w związku z tym panował na nim spory ruch.

Po tej stronie most zdobił pomnik młodej kobiety naturalnej wielkości. Przyjrzałem mu się ciekawie. Jak większość posągów, ten również był starannie pomalowany; postać wyglądała niemal jak żywa, artysta dobrze ją oddał. Miała na sobie lekką zbroję z jasnej skóry, a u boku nieznacznie wygięty miecz. Jej długie czarne włosy były rozpuszczone, rozwiane niewidzialnym wiatrem. Nie była zwrócona twarzą do nas, lecz ku drugiej stronie mostu. Na jej pełnych ustach widniał uśmiech, jakby znała tajemnicę, której nie chciała zdradzić. Jeśli rzeźbiarz wiernie odtworzył realia, to miała ten sam złocisty odcień skóry, co Serafine, i przypominała odrobinę Faihlyd, emirę Gasalabadu. Jej wiek był trudny do oszacowania; oczy okalały drobne zmarszczki, ale cera miała jeszcze młodzieńczą jędrność. Kimkolwiek był ten, kto wyrzeźbił figurę, uchwycił coś w niej, misterium i mądrość, jakiej nigdy nie osiąga się w młodym wieku.

Może spodziewałem się elfki albo kogoś innego, ale ona była po prostu młodą kobietą o pogodnym uśmiechu. Nie można nawet powiedzieć, że wyróżniała się jakąś szczególną urodą.

Orikes mówił, że była mądra. Mądre kobiety często miały szczególny wdzięk, którego nie zapewniała sama uroda. Poszukałem jakiejś tabliczki, imienia, ale niczego nie znalazłem.

Serafine spoglądała na nią w górę.

– Chętnie dowiedziałabym się, kim była – powiedziała cicho. – To dziwne, że stoi tu jej pomnik, a nikt nie zna jej imienia.

– Orikes zaproponował, że pokaże mi jej grób. Myślę, że tam znajdziemy jej imię. Cesarz polecił usunąć wszystko, co by wskazywało na jej osobę. Zastanawiam się dlaczego.

Poszliśmy dalej. Obejrzałem się jeszcze za siebie i podążyłem za jej spojrzeniem ku drugiemu posągowi, przedstawiającemu mężczyznę w luźnej szacie uczonego, który spoglądał na nią z uśmiechem. Cesarz wyglądał młodo, miał ledwie trzydzieści lat,

choć wtedy musiał już rządzić od paru stuleci. Brakowało mu głębokich bruzd koło nosa, policzki były gładkie, tylko wokół oczu rzeźbiarz wykuł w kamieniu drobne zmarszczki mimiczne. Cesarz trzymał arkusz, a z jednej dłoni, na łańcuszku owiniętym wokół palców zwiślał pion ciężarkowy. Ale moją uwagę przykuło jego oblicze. Rzadko widywałem pomniki władców, które uosabiałyby taką tęsknotę i kruchość. Popatrzyłem do tyłu na drugi posąg, oddzielony Askim... Była dla niego za daleko i na zawsze nieosiągalna.

Nos był nie do pomylenia z żadnym innym, usta również, a jednak miałem trudności z zestrojeniem obu mężczyzn. Ten z moich wspomnień zdawał się zlewać z tym przed moimi oczami, aż w końcu miałem tego dość i zakląłem. I wtedy, jakby nagle odsłoniła się jakaś zasłona, ujrzałem przed sobą cesarza... a we wspomnieniach uczonego o imieniu Kennard, który przybył do gospody Pod Głowomłotem, bez żadnych śladów śnieżycy ani mrozu na ubraniu. Zaraz po tym, jak Balthasar przekierował rzekę światów z powrotem do Askiru.

Przypuszczam, że zauważył tę zmianę. Nic dziwnego, że przybył, aby sprawdzić, co się dzieje.

– Co jest, Havaldzie? – spytała Serafine. – Jesteś taki skupiony.

– Gdy zwyczajnie na niego patrzę, obraz się rozpada – próbowałem jej wytłumaczyć. – Nadal widzę to samo, ale tak, jakby jego obraz jednocześnie ulatywał z mej pamięci. Jednak kiedy się wysilę... Finna, to jest ten sam mężczyzna. To jest uczonego Kennard, którego spotkaliśmy w gospodzie Pod Głowomłotem. Ty byłaś wtedy jeszcze uwięziona w Lodowym Pogromcy, ale to jest ten człowiek, który podał nam nazwiska żołnierzy Pierwszego Rogu i przekazał klucze do pierwszego portalu.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, poczułem, jakby dziwna zasłona ostatecznie się rozwiła. Bez trudu rozpoznałem tego samego mężczyznę w posągu i na monetach.

Ująłem Serafine za rękę i przyciągnąłem ją do siebie.

– To on włożył mi na palec ten przeklęty pierścień... i ostrzegł przed koniem... na wiele tygodni, zanim to się stało! Twój przyjaciel, cesarz, bawił się moim umysłem i sprawił, że zapomniałem o tym wszystkim, niech będzie za to przeklęty! – Prawie nią potrząsnąłem. – Nikt nie będzie manipulował moim umysłem!

– To boli – powiedziała sztywno i posłała mi gniewne spojrzenie. Puściłem ją, jakbym poparzył sobie palce. – Nie odpowiadam za to, co robił, Havaldzie – dodała spokojniej i odprężyła się odrobinę. – Najwyraźniej nie chciał, żebyś go rozpoznał. Dobrze, rozumiem, że jesteś wściekły, ale czy to ci jakoś zaszkodziło? W porę przypomniałeś sobie o koniu!

– To prawda – rzekłem, ochłonawszy nieco. – To uratowało ci życie! – Podniosłem wzrok na posąg i pokręciłem głową. – Mimo to... mógł mi przecież zaufać!

– Chyba to zrobił... pamiętaj, co ci dał – powiedziała spokojnie. – Przecież cię nie znał.

Wpatrywałem się w jego oblicze. Nie była to twarz, jaką spotyka się na każdym rogu ulicy, a jednak miałem wrażenie, jakbym widywał ją częściej. Tyle że coś takiego zdarzało mi się niekiedy: rozpoznawałem ludzi, którzy odeszli do Soltara już dawno temu.

Jego postać też była starannie pokolorowana, ale tamten, którego znałem jako Kennarda, był spłowiwały od życia; miał twarz pełną zmarszczek wyrzeźbionych bólem i siwe włosy, które cesarz miał tu jasne i rozpuszczone. Czy mi zaszkodził? Raczej nie.

Przypominałem go sobie: uczonego, spokojnie palącego fajkę, uśmiechającego się raz po raz, powściągliwie żartującego z kobietami... wyrafinowany sposób, w jaki na nas wpływał i wskazywał różne kwestie... i jak się pożegnał. Bez zasłony, którą przykrył mój umysł, wiele pamiętałem całkiem jasno.

– Serafine – powiedziałem cicho i urwałem. – Helis – podjąłem, a ona uśmiechnęła się blado i położyła mi dłoń na rękę.

– Możesz spokojnie tak do mnie mówić – rzekła. – Już i tak od dłuższego czasu mówisz do mnie Finna.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Nie zauważyłem!

– Jak już wspomniała Zokora, to fascynujące, czego nie chcesz dostrzec – rzekła z uśmiechem. – Dobrze, co chciałeś mi powiedzieć, Havaldzie?

– Że on przez cały czas nas zwodził! – rzuciłem gniewnie. – O co się założymy, że komendant wie, iż cesarz jeszcze żyje? Jak inaczej wytłumaczyć, że tak po prostu dali mi ten legion? Że otrzymaliśmy wsparcie, którego potrzebowaliśmy? Znaleźliśmy portale nieużywane od wieków, a wszędzie, gdzie byliśmy, jedno w cudowny sposób zazębiało się z innym. On decydował o każdym z naszych kroków!

– Havaldzie – powiedziała cicho. – Może po części tak było. Ale przedtem uskarżałeś się na Soltara, że steruje twoimi krokami, a teraz ma to być cesarz? Czy nie mogło być tak, że niektórych rzeczy dokonaliśmy, a zwłaszcza ty dokonałeś, bez pomocy kogoś trzeciego? Askannon był... jest człowiekiem o szczególnych zdolnościach, ale nie jest bogiem! – Chyba czytała w moich myślach, bo nagle roześmiała się, kręcąc głową. – Nie, Havaldzie, nie popadaj w to szaleństwo! On nie jest bogiem!

– Mógłby nim być! – zaprzeczyłem chrapliwym głosem. – Czczą go, jakby nim był. To całe miasto jest jedną wielką świątynią... To, co Kolaron chce wymusić, każdy legionista robi z własnej woli, jeszcze dziś idą na śmierć za cesarza.

– Mylisz się – powiedziała z uśmiechem. – Każdy Byk uczy się maszerować tak, aby przeżyć. Wszyscy wolimy żyć... dla siebie, a nie dla jakiegoś boga czy cesarza! Dobrze,

przyznaję ci rację, może mógłby zostać bogiem... skoro cesarz nekromanta dąży do tego celu i nawet Zokora obawia się, że go osiągnie, to dla Askannona też jest to możliwe. Ale jeśli stałeś twarzą w twarz z bogiem... Gdy ujrzałeś Nerтона, zamarłeś zdjęty nabożną czcią... jak my wszyscy; czy miałeś to wrażenie przy spotkaniu z mężczyzną, którego znasz jako Kennarda?

– Nie – przyznałem. – Ale to nic nie znaczy... nie miałem pojęcia, jaki jest potężny, nawet Rozpruwacz tego nie widział.

– Jesteś pewien? – Uśmiechnęła się. – Zawsze mówiłeś o nim, jakbyś go podziwiał, skąd to się wzięło?

– Nie z jego mocy – zapewniłem ją. – Promieniował jakimś spokojem, roztropnością, jakby przeszedł już pomyślnie każdą próbę i dawno znał odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. – Wróciłem wspomnieniami do tamtego spotkania i pokiwałem głową. – Sprawiał wrażenie kogoś, kto odnalazł spokój duszy, do jakiego wszyscy dążymy. To właśnie w nim ceniłem i skrycie podziwiałem... nic poza tym.

Popatrzyła na mnie w zadumie, potem obejrzała się na cesarzową.

– Ona została zamordowana razem z dzieckiem w swoim łonie. On został zdradzony przez Balthasara, jego plany i marzenia legły w gruzach, zrezygnował z tronu i wpadł w zasadzkę na dalekiej wyspie, co, choć wiemy dziś, że przeżył, zaszkodziło mu i go osłabiło. Wciąż myślę o Aseli, która doświadczyła równie strasznych rzeczy. Czułam jej zimną furię i nieprzebrany gniew, ale i silną wolę. Jest napięta jak cięciwa łuku na mgnienie oka przed wypuszczeniem. Jeśli jest tak, jak mówisz, to Askannon znalazł inną drogę, zaznał spokoju, który nie był dany Aseli. Cieszę się, że znalazł, bo to, co napędza Asele, jest niemal tak samo zabójcze jak nasz wróg. – Spojrzała na cesarza i uśmiechnęła się blado. – Znam go takiego, jaki tu stoi... z tym że zwykle nie był aż tak pogodny, a jednocześnie nie tak kruchy i otwarty. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego pokazał się tutaj właśnie od tej strony. Może dlatego, że to *ona* go takim znała.

Popatrzyłem na cokół, poszukałem jakiegoś opisu, ale i tu brakowało wszelkich inskrypcji. Ten człowiek nadal był w Askirze wszechobecny, ale istniał tylko jeden jego pomnik, i nawet on nie był opatrzony jego imieniem.

– Ktokolwiek wyrzeźbił te posągi, miał wielki talent – powiedziałem z podziwem. – Zatrzymały w sobie życie i nawet za tysiąc lat każdy, kto tu przystanie i zobaczy tę parę, zrozumie, o co chodzi. Miał rację, że nie umieścił tu żadnych inskrypcji, nie są potrzebne.

Popatrzyła na mnie dziwnie i uśmiechnęła się ledwie zauważalnie.

– Czasami, Havaldzie, jednak mnie zaskakujesz. Sam możesz mu to powiedzieć, kiedy go spotkasz. Myślę, że się ucieszy.

– To on jest twórcą tych posągów? – zdziwiłem się.

– Nie patrz tak – roześmiała się. – Powtarzał, że prawdziwi artyści to ci, którzy potrzebują dłuta i młota. On potrzebował tylko wycisnąć wizerunek w kamieniu, to nie wymagało sztuki.

– Kłamał, Finna – powiedziałem cicho. – Sam rzeźbię w drewnie... sztuka nie polega na tym, jak prowadzić dłuto czy nóż. To jest rutyna i przychodzi z czasem. Sztuka polega na tym, żeby *widzieć* obraz, który chce się stworzyć, a palce by jedynie podążały wytyczoną drogą. Im wyraźniej widzisz ów obraz oczyma duszy, tym dokładniej możesz określić, co oglądający ma zobaczyć i *poczuć*.

Popatrzyła z namysłem na wizerunek cesarza i skinęła głową.

– Może masz rację – zgodziła się. – A co z tobą? Rzeźbisz, to wiem, ale co z innymi, radosnymi sztukami? Jerbil śpiewał i grał na flecie.

– W tym znacznie się różnimy, jak zresztą pod wieloma innymi względami. Jeśli Rozpruwacz przestanie mnie wspierać, zaśpiewam Kolaronowi piosenkę – obiecałem jej ze śmiechem. – To go na pewno wpędzi do grobu!

Zaśmiała się pod nosem.

– Ja gram na kilku instrumentach, podobno mam znośny głos, nie chciałbyś kiedyś posłuchać? – zaproponowała nieśmiało.

– Chętnie – odpowiedziałem. – Ale niech to będzie chwila, gdy będę to mógł docenić... bo gdy będę pogrążony w czarnych myślach, jak często bywa, to szkoda zachodu.

– Niech i tak będzie – zgodziła się. – Zaczekam na właściwy moment, żeby ci zaśpiewać. A na razie... co teraz robimy?

– Mamy ścigać łowców dusz – przypomniałem, zerkając po raz ostatni na cesarza. – A więc bierzemy się do tego.

– Jak?

– Zrobimy dwie rzeczy... zastanowimy się, jak przeklęty może nam zaszkodzić, i zbadamy, czy któryś właśnie tego nie robi. Druga rzecz jest trudniejsza... Orikes powiadomił mnie, że czeka nas uczestnictwo w balach, gdyż to na nich w Askirze podejmuje się większość decyzji.

– Psiakrew – wyrwało jej się. – Potrzebne mi będą nowe suknie!

Popatrzyła na mnie i trzepnęła mnie po rękę.

– Przestań się śmiać, Havaldzie, to jest dla mnie ważne!

– Tak – przyznałem, uśmiechając się pod nosem. – Chciałbym, żeby to, co mnie czeka, było tak proste jak zakup nowych ubrań.

– A co cię czeka?

– Mam nauczyć się tańczyć. – Uniosłem dłoń. – Tylko nie chcę słyszeć, jakim znakomitym tancerzem był Jerbil!

– Nie, miał trzy lewe nogi – parsknęła śmiechem. – Musiały być co najmniej trzy, sądząc po tym, ile razy nastąpił mi na stopę! – Zmarszczyła brwi. – Muszę iść do Leandry – powiedziała nagle. Wyglądała, jakby natychmiast chciała wracać.

– Dlaczego do niej? – zapytałem.

– Ma nowe suknie – wyjaśniła. – Muszę wiedzieć, gdzie znaleźć krawca i jakie suknie będą odpowiednie na różne okazje... Bogowie... chyba potrzebuję też butów!

Nekromanci, zamachowcy, kapłani mrocznego boga, handlarze niewolników, wiwerny i watażkowie, fale powodziowe i zatopione okręty... Serafine wyszła z najgorszych niebezpieczeństw z podziwu godnym spokojem, a teraz... potrafiłem tylko przyglądać jej się oniemiały.

– Emir podarował nam nowe ubrania – przypomniałem jej skonsternowany. – Dlaczego Leandra kazała obstałować nowe, a przede wszystkim kiedy to zrobiła? Nic nie zauważyłem!

– Nie zauważyłeś również, że nasze szaty z Besarajnu byłyby tutaj nie na miejscu. Jak myślisz, co by się stało, gdybym pojawiła się tu na balu z odsłoniętym brzuchem? – rzuciła poirytowana. – Poza tym... za każdym razem, kiedy ostatnio widzieliśmy Leandrę, miała na sobie nową suknię!

– Nie – zaprzeczyłem. – Kiedy widziałem ją ostatnim razem, czyli wczoraj, miała na sobie swoje stare ubrania, w których weszła do gospody Pod Głowomłotem.

Stanęła jak wryta i obrzuciła mnie pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Havaldzie – zaśmiała się. – To tylko tak *wyglądało*. Ale uwierz mi, wszystko, począwszy od fryzury po czubki trzewików, było nowe! No dobrze, trzewiki nie – sprostowała. – Te są ze smoczej skóry i niezniszczalne. Ale cała reszta!

Poddałem się.

– Dobrze, skoro uważasz, że to konieczne. – Zrezygnowany podniosłem rękę. – Potrzebujesz złota? Podobno dostaję jakiś żołąd.

Zamrugała.

– Dom Orła otrzymał zwrot zarekwirowanych dóbr majątkowych – poinformowała mnie. – Zapomniałeś?

Nie, nie zapomniałem. Po prostu o tym nie wiedziałem.

– To nas czyni drugim pod względem zamożności domem w Besarajnie. Nawet jeśli Janas legł w gruzach, wkrótce zostanie odbudowany. Ale nawet gdybyśmy znaleźli się w kłopotach z tego powodu, to mój brat Armin... pamiętasz, twój sługa? Jest teraz mężem Faihyd! A ona *jest* najprawdopodobniej najbogatszą kobietą w siedmiu królestwach. A więc nie potrzebuję pieniędzy. – Zmarszczyła brwi. – To mi

przypomina, że powinnam sprawdzić, co się stało z lokatami pieniężnymi, które poczyniliśmy z Jerbilem w Askirze, kiedy byliśmy w podróży poślubnej!

– Powiedz od razu, że masz, ile trzeba – powiedziałem trochę urażony.

– Nie. Nie *potrzebuję* pieniędzy – orzekła. – Nie rozumiesz! To proste: udam się do najlepszej krawcowej w Askirze. Wyjaśnię jej, kim jestem, powiem, że należę do rodziny emiry z Gasalabadu, która wkrótce zostanie *kalifą*. Potem wspomnę, że wybieram się na kilka balów dyplomatów, gdzie zapytają mnie, u kogo kazałam obstalować swoje czarujące suknie. A na koniec ustalimy, czy krawcowa wystarczająco się postarała, żeby móc *podarować* mi te suknie!

Dostrzegła moje spojrzenie i westchnęła.

– Havaldzie – podjęła – naprawdę pilnie potrzebujesz kogoś, kto wyłoży ci niuanse wyższych sfer!

– Jeśli chcesz odwiedzić Leandrę... Ona nie jest zbyt dobrze do ciebie nastawiona w tej chwili.

– To co innego. To, że potrzebuję sukien na bale, to sytuacja awaryjna! To ważne. Ona zrozumie.

Stanęła na palcach, cmoknęła mnie niespodziewanie i oddaliła się prędko.

26

CIERNIE RÓŻY

– Potrzebujecie czego? – zdumiał się Orikes. Był wczesny ranek, nie dochodził trzeci dzwon. Tuż po powrocie z wycieczki do mostu Cesarskiego Serafine natychmiast udała się do Leandry.

Za to ja wpadłem na pułkownika Orikesa w chwili, gdy ten wychodził ze swojego gabinetu.

– Kogoś w rodzaju doradcy od spraw etykiety – wyjaśniłem. – Kto wytłumaczy mi, dlaczego pod talerzami leżą cztery serwety albo czemu służący zawsze obsługują od lewej strony. To są dla mnie nowe obyczaje.

– Cztery, abyście przy każdym daniu mieli na kolanach czystą serwetę, co pozwala uniknąć plam, i od lewej, aby wasza mieczowa ręka zawsze miała swobodę ruchów, także podczas jedzenia. W tym nie ma nic szczególnego.

– Trzymam Rozpruwacza w lewej – zauważyłem.

– Rozumiem, czemu macie taką potrzebę – westchnął. – Co jeszcze? Napadając na mnie, wspomnieliście o kilku rzeczach.

– Przydałaby mi się jakaś sera, która nauczy mnie tutejszych tańców. Na balach się tańczy, nieprawdaż?

– Tak – rzucił, robiąc jakąś notatkę. – Sera nie byłaby stosowna, od tego są nauczyciele tańca.

Popatrzyłem z powątpiewaniem.

– Najlepsi są ci z Aldane, nic na to nie poradzę – dorzucił. – Zdaje się, że to pewien układ: my decydujemy o handlu i interesach, oni o kulturze i o tym, jak się ubierać.

– Ale nie będę potrzebował pięciu mundurów, na każdy bal innego? – upewniłem się.

– Dlaczego, na rękawiczkę Borona, mielibyście potrzebować więcej niż jeden paradny mundur? No dobrze, dostaniecie dwa, na wypadek gdyby jeden się poplamił... ale to powinno wystarczyć. Ja też, zdaje się, posiadam tylko jeden.

– Chciałem się tylko upewnić. Ponadto potrzebuję dostępu do waszego najlepszego szpiega. Na tych wszystkich balach będą setki osób... Chcę wiedzieć, co to za jedni i jakie trupy trzymają w swoich szafach.

Orikes zamrugał. Po spotkaniu z agentami Rady Handlowej doszedłem do wniosku, że najwyższy czas podjąć pewne kroki. Rozmowa z pułkownikiem wydała mi się na

początek dobrą okazją, nawet jeśli on nie był zachwycony, że nawiedziłem go tak znieścacka.

– Nie mamy w zwyczaju szpiegować obywateli i gości naszego pięknego miasta – obwieścił z godnością Orikes.

– Mówicie zatem, że nie ma żadnego niepozornego mężczyzny w średnim wieku, w randzie... powiedzmy, pułkownika Piór, który gromadzi wszelkie, nawet najmniejsze pogłoski, analizuje je i pieczołowicie przechowuje w teczkach, zawierających rysunki, szkice, zeznania świadków, fałszywe weksle, kompromitujące zeznania i inne rzeczy?

– Nie – odparł Orikes, ale tym razem nie mrugnął.

– Potrzebuję dostępu do jego dokumentacji – rzekłem.

Znowu zamrugął.

– Zobaczę, co się da zrobić. Wasz pierwszy bal jest dzisiaj. Wydają go Aldańczycy, domyślam się, że chcecie wiedzieć, kogo na nim spotkacie.

– To by się przydało. Mnie jednak chodzi o Radę Handlową. Chcę wiedzieć, kto w niej zasiada, kto poszedł do łóżka z którym krewniakiem, kto kogo kupił i kto pociąga za sznurki, czyj syn ma długi w domu rozkoszy, kto komu zrobił dziecko i zapłacił, aby ojcem został ktoś inny, kto woli grać na flecie zamiast na skrzypcach... wszystko to.

Jeszcze nigdy nie widziałem, by mrugał tak często jak w ciągu naszej rozmowy.

– Grać na flecie? – zdziwił się.

Nakreśliłem w powietrzu kształt skrzypiec.

– Większość mężczyzn lubi ten kształt – wyjaśniłem cierpliwie. – Inni wolą flety...

– Och – powiedział, kiedy zrozumiał. Zakasłał cicho. – Nie znałem tego określenia.

– Jak się tutaj nazywa flecistów? – zaciekałem się.

Krzesło, na którym siedział, nagle stało się niewygodne.

– Mówi się na nich bracia Astarte – przyznał i naprawdę się zarumienił.

– Przecież Astarte ma tylko siostry.

– Właśnie.

– Och. – No tak, to oczywiste. – Ponadto chcę zapewnienia, że na moje życzenie ułaskawicie wskazaną osobę bez zadawania dodatkowych pytań.

– Kogo i za co? – zapytał.

Przyglądałem mu się w milczeniu.

Westchnął.

– Muszę zapytać komendanta, ale zgoda. O ile nie będziecie przesadzać. Coś jeszcze? – Sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Traktaty handlowe z królestwami znajdę zapewne w archiwum?

– Tak.

- Traktaty tajne?
- Nie ma takich.
- Gdyby były, to gdzie bym je znalazł?

Westchnął.

- Zajmę się tym.
- I ostatnia rzecz. Potrzebuję nazwiska tych czcigodnych gości, którzy są znani z długich języków.

– Czy to też ma coś wspólnego z...? – zapytał z ociąganiem i znowu się zarumienił.

– Nie. Mam na myśli tych, którzy bez sprawdzenia i bez ogródek rozprowadzają na prawo i lewo, co zasłyszeli pół świecy wcześniej. Najlepiej, żeby twierdzili, że wiedzą wszystko z pierwszej ręki. Czyli takich, którzy się nadają do rozsiewania plotek.

– Rozumiem – powiedział. – Sporządzą taką listę. – Popatrzył na mnie badawczo i pokiwał głową. – Rozumiem, do czego zmierzacie, generale. Nekromanci są szpiegami wroga i właśnie tak chwyta się ich w sidła.

– Taki jest plan.

– Hm – mruknął z namysłem. – Macie doświadczenia na tym polu?

Tym razem to ja westchnąłem. Uniosłem lewą dłoń i pokazałem mu pierścień Róży.

– Przed Eleonorą przez ponad trzydzieści lat służyłem jej ojcu jako paladyn. Paladyn świątyni broni wiary. Paladyn króla broni jego i jego królestwa przed wrogami z zewnątrz i z wewnątrz. Również tymi na jego dworze.

– Wyjaśnijcie mi jedno, generale. Z tego, co o was wiem, wynika, że jesteście raczej prostym człowiekiem, który myśli i działa prostolinijnie, który lubi jasne reguły i woli sortować rzeczy na białe i czarne. Dlaczego się co do was pomyliłem?

– Macie mnie za człowieka prostego?

– Nie w sensie umysłu – pospieszył z wyjaśnieniem. – Raczej względem waszych życzeń od życia.

– Nie mylicie się. Ale jeszcze nikt, kto utracił konia, nie wrócił do domu, jadąc na życzeniach.

Bawił się piórem, nie widząc, że na notatki kapnęła kropla atramentu.

– Co się stało?

– Obowiązki, pułkowniku. Przypomniano mi, że nie chodzi o moje życzenia.

Zaśmiał się krótko.

– Zrobię, co będę mógł. A jeśli chodzi o waszego... doradcę do spraw etykiety... najlepiej zwróćcie się z tym do Rellin. Ma u siebie w legionie pewnego młodego człowieka, który doprowadza ją do szaleństwa.

– I on mi się ma przydać?

– Nie posiada najmniejszego talentu do sztuki wojennej, za to ma aż w nadmiarze tego, czego wam potrzeba. Graniczy z hańbą, że tak bardzo pragnie zostać Bykiem.

– Zobaczmy – mruknąłem. – Jeszcze jedno. Czy jest tu gdzieś pokój, gdzie mógłbym pracować, nie narażając się na ryzyko, że ktoś nieustannie będzie mi zaglądał przez ramię?

– Spróbujcie trzy pokoje dalej w Drugim Legionie – odparł z tajemniczym uśmiechem Orikes. – Słyszałem, że mają tam wolny gabinet generała.

Zapukałem jednak do drzwi Trzeciego Legionu. Chciałem porozmawiać z Rellin. Ktoś zawołał „wejść!”, kapral podniósł poirytowany wzrok. Wciąż nie miałem na sobie munduru.

– Czego chcecie? – zapytał opryskliwie.

– Szukam sierżant generalnej Rellin.

– Jak tysiące innych osób – skwitował i sięgnął po kartkę i pióro. – Powiedzcie mi, czego chcecie, a ja zapytam, kiedy będzie miała dla was czas.

– Dobrze – rzuciłem, z jakiegoś powodu rozżłoszczony. – Poinformujcie ją, że chce z nią mówić generał von Thurgau z Drugiego Legionu. Powiedzcie, że chodzi o słabe strony Byków.

– Dzień dobry, generale – powitała mnie z uśmiechem Rellin, zamykając drzwi. – Musieliście go tak wystraszyć? – Wskazała na krzesło, które sam sobie wzięłem, a sama usiadła za biurkiem.

– Nie jestem w tej chwili zbyt dobrze usposobiony – poinformowałem ją, obracając na palcu pierścień Róży.

– Gdybyście nosili mundur, powitano by was inaczej – stwierdziła. – Kapral w niczym nie zawinił, jestem zbyt zajęta, żeby wpuszczał tu wszystkich jak leci.

– Nie skarzę się na kaprala – westchnąłem. – To nie on odpowiada za mój zły humor. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– To zależy. Jeśli to, co powiedział kapral, to nie był tylko pretekst, to dam wam nieskończenie wiele czasu.

– To nie był pretekst. Chodzi mi o słabe strony legionu.

– Możecie być pewni, że poświęcę wam maksimum uwagi. Jakie słabe strony odkryliście?

– To ja was o to pytam.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Dlaczego nie pójdziecie z tym do pułkownik Miran? Ona dowodzi Trzecim.

– Jeśli chcesz poznać prawdę, nie pytaj oficera. On jej zwykle nie zna.

– To dobra dowódczyni i z całą pewnością nie jest ślepa – ujęła się za nią Rellin, ale ja machnąłem ręką.

– Nie to miałem na myśli. Oficer widzi tylko to, co ma widzieć. A co ma widzieć, o tym decyduje podoficer. – Nachyliłem się do przodu. – A może waszym zadaniem jest rozwiązywanie problemów, zanim dowie się o nich Miran?

– Owszem – powiedziała powoli i popatrzyła na mnie bacznie.

– A więc... podzielcie się ze mną wiedzą, gdzie leżą słabe strony Byków.

– Nie mają słabych stron – rzekła. – Naprawdę. Od ponad tysiąca lat pracujemy nad tym, żeby wyplenić wszelkie słabości. Nie ma na tym świecie takiej zbroi, która dorównywałaby zbroi Byków. Każde zapięcie jest dokładnie tam, gdzie być powinno, zbroja nie rdzewieje, buty żołnierza piechoty osiągają na targu cenę trzech do czterech złociszy... po roku noszenia. Doprawdy, nie przychodzi mi do głowy nic, co można by było zrobić lepiej... poza problemem natury ludzkiej, polegającym na tym, że zawsze będą tacy, którzy przeceniają siebie lub są przeceniani. Złe dowodzenie jest problemem każdej armii, ale i tutaj zwracamy uwagę na to, żeby poznać swoje słabe punkty. Dlatego szkolenie jest u nas takie długie i trudne. W innych krajach wciska się rekrutom do ręki piki i mówi, że są żołnierzami. My chcemy, żeby nasi przeżyli... stara dewiza legionu brzmi: maszerujemy nie po to, żeby umrzeć za cesarza, lecz po to, by zwyciężyć. Przy najmniejszych możliwych stratach.

– Hm – mruknąłem. – Cesarstwo od ponad tysiąca lat żyje w pokoju, jak mi się ciągle powtarza. Skąd zatem doświadczenie w walce?

– Udajcie się na Wschodnie Rubieże i zapytajcie marszałka Hergrimma, czy zna słowo pokój – powiedziała ponuro. – Tam nasze legiony walczą nieustannie. Odkąd powstały Rubieże, barbarzyńcy stale atakują. Początkowo napierali niewyszkoleni dzicy uzbrojeni w pałki. Teraz noszą zdobyczne zbroje, potrafią wykuwać broń i uczą się od nas, gdzie tylko mogą. Nie są głupi. Ale zamiast uczyć się czytać, uczą się walczyć. Uwierzcie mi, generale, każdy Byk ma pod dostatkiem doświadczenia w walce. Wschodni front nie jest nieważny. Dwieście lat temu twierdza Brandenau została zdobyta. Barbarzyńcy przez Rangor wdarli się aż do Aldane, rabując, plądrując i mordując. Zniszczyli całe miasta... Wyciągnęliśmy z tego wnioski, oni, niestety, też. Upłynęły trzy lata, nim zdołaliśmy odbić twierdzę. – Westchnęła. – Brandenau to ufortyfikowane miasto. Wschodnie Rubieże mają więcej wojska niż my, prawie dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy. Wszystkie królestwa je wspierają, to nasza tarcza chroniąca nas przed barbarzyńcami. Twierdza jest tego symbolem. Oprócz stacjonujących oddziałów żyje tam również ludność cywilna, żony żołnierzy, dzieci, kupcy... Kiedy barbarzyńcy zostali przegnani z twierdzy, pozostawili przy życiu tylko młode kobiety... te, które były w ciąży. Z dziećmi spłodzonymi przez nich.

– Domyślam się, że po takich napaściach mają miejsce wyprawy odwetowe?

– Tak.

– I nie zdarzyło się, żeby legion wyruszył na taką wyprawę, żeby ścigać barbarzyńców, i ich nie znalazł?

– Owszem, to się dzieje nieustannie. Dlaczego?

– Ja bym to nazwał słabą stroną. – Pochyliłem się do przodu. – Jeszcze nigdy nie widziałem żołnierzy, którzy w ciężkich zbrojach byliby tak zwinni jak Byki. Myślę, że macie rację, twierdząc, że to najlepsi żołnierze na dysku świata. Ale może im uciec każde dziecko. Gdybym był wrogiem, za wszelką cenę unikałbym kontaktu z Bykami. Rzucałbym do boju niewielkie grupy, czterdziestu, pięćdziesięciu ludzi. Atakowałbym nocą, zaskakiwałbym Byki w barakach, zatruwałbym studnie, niszczył linie zaopatrzenia, zwodził i zastawiał pułapki, krótko mówiąc, robiłbym wszystko, żeby podkopywać ich morale, wicherzyć i demoralizować, a jeśli się da, sprawiłbym, żeby ginęli z głodu i pragnienia. Jednego tylko nigdy bym nie robił. Nie stawałbym z nimi do walki! – Przyszpiliłem ją wzrokiem. – Byki są najlepszym kowadłem, jakie kiedykolwiek widziałem na polu walki. Mam tylko jedno pytanie... gdzie, na wszystkie piekła Soltara, jest młot? Gdzie jest konnica?

– Bogowie – jęknęła wstrząśnięta. – Co w was wstąpiło?

– Naprawdę chcecie wiedzieć?

– Inaczej bym nie pytała.

– To posłuchajcie. Bogowie są zdania, że mam walczyć z fałszywym bogiem i przegrać. Moja królowa złożyła na mnie powinność, której unikałem przez prawie czterdzieści lat. Powierzyła misję, która brzmi: chroń tron i zniszcz wrogów Illianu.

– Krótko i treściwie – uznała.

– Tak – zgrzytnąłem zębami. – Chroń i niszc. A nie... nie krzywdź nikogo i nie stań nikomu na odcisk! Chroń i niszc. Czy mówi wam coś nazwisko Pertok? Najwyższy inkwizytor?

– Jasne, że tak – odparła zdziwiona. – Każde dziecko w Askirze go zna.

– Ma to samo zadanie. Tyle że ja mogę wezwać do ochrony korony każdego rycerza w królestwie.

– W Illianie – sprecyzowała.

– W Illianie, macie rację. To prowadzi do trzeciej misji. Dowodzę Drugim Legionem, jego misja jest taka sama. Chroń kraj, ludzi i wiarę i niszc wrogów cesarstwa!

– Generale – powiedziała cicho – do czego zmierzacie? Dlaczego mi to mówicie? Jestem sierżant generalną Trzeciego Legionu, czy nie powinniście raczej rozmawiać z Kasale?

– Kasale jest w Gasalabadzie, wy tutaj. Wy dysponujecie wiedzą, której potrzebuję, a więc pytam was. Pytanie brzmi: jakie słabe punkty mają legiony?

– Te, które wymieniliście – przyznała teraz bez wahania. – Macie rację... więcej nawet, barbarzyńcy stosują coraz częściej taktykę, o której wspomnieliście. Z rosnącym powodzeniem.

– Ile kosztuje wyszkolenie Byka?

– Przez cały rok, wraz z wyżywieniem, wyposażeniem i całą resztą?

– Tak.

– Prawie tysiąc dwieście złotych koron. Ale jesteśmy tego warci – dorzuciła prędko.

– Nie wątpię. Jednak nie gdy stoicie w miejscu, gdzie nie ma wroga. – Popatrzyłem jej prosto w oczy. – Wielokrotnie słyszałem, że wyłącznie Drugi będzie mógł wyruszyć na tę wojnę. Tylko że wojna przyjdzie i tu. Powiem wam jedno: siedem królestw to siedem domków z kart. Gdybym miał rok, pięć tysięcy żołnierzy i sto tysięcy złotych koron, to w ciągu pięciu lat zająłbym całe cesarstwo, może z wyjątkiem Askiru. Na Askir potrzebowałbym jeszcze kolejnych dziesięciu lat... tyle że nie zdecydowałbym się na oblężenie miasta. Zawarłbym z Radą układ i je *kupił!* Ale wiecie co, sierżant Rellin? Wróg nie ma pięciu tysięcy, lecz pięćset tysięcy żołnierzy! Zrabował skarby dwóch tuzinów narodów, nie ma pięciu lat, lecz pięćset! Wojna przybyła do granic mojego kraju prawie trzydzieści lat temu. Moja ojczyzna jest zniszczona, tylko Kronstadt opiera się jeszcze wrogowi. U jego murów rozłożyła się armia większa niż wszystkie wojska siedmiu królestw razem wzięte... Ale to nie są główne siły wroga, gdyż te już są w drodze od dawna! W drodze tutaj, sierżant Rellin! Powiedzcie mi jeszcze jedno: ataki barbarzyńców na Wschodnich Rubieżach... czy macie wrażenie, że stały się bardziej desperackie?

– Bez wątpienia tak, generale. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wzmożyły się po wielokroć.

– Czy kiedykolwiek słyszeliście o poruczniku miecza o nazwisku Mendell? Służył w Wężach Morskich.

– Nie – odparła. – Powinnam?

– Odpowiedź brzmi: tak. W ciągu pół świecy wyjaśnił mi wszystko, co powinienem wiedzieć o tej wojnie. Dlaczego siedem królestw upadnie. Oddał życie za Królewskie Miasto. Za nas wszystkich. Taki los żołnierza. Ale to znaczy, że oddał życie również i za was, Rellin. Sama jesteście żołnierzem... powiedzcie mi, co sądzicie o umieraniu bez sensu?

– Posuwacie się za daleko – stwierdziła chłodno. – Jestem sierżant generalną Trzeciego Legionu. Kasale może będzie musiała znosić wasze obraźliwe słowa, ale ja nie. W ciągu dziesiątej części świecy wysunęliście wobec mnie zarzuty, robiąc jakieś aluzje, niemal krzycząc i okazując gniew niegodny generała. Zamelduję komendantowi o tej rozmowie.

– Dobrze – powiedziałem i wstałem. – Zróbcie to. Najwyraźniej nie przeszkadza wam, żeby bezsensownie rzucać czyjeś życie *obok* szali. Będzie wojna, Rellin. Na wojnie umierają ludzie, niektórzy przedwcześnie. Jeśli dostaniecie wiadomość, że wasz syn poległ i ta śmierć zupełnie nic nie przyniosła, to czy wtedy też nie ogarnie was gniew? Czy ten gniew skieruje się przeciwko mnie, bo okaże się, że miałem rację, czy przeciwko wam, bo nie chciałyście mnie słuchać?

– Tego już za wiele – syknęła. Żyłła na jej szyi wyraźnie pulsowała. – Gdybyście nie nosili munduru, to wyzwałabym was na pojedynek!

– Ale ja nie noszę munduru – odparłem całkiem spokojnie. – Więc uderzcie, jeśli macie ochotę...

Nie dokończyłem, bo rzuciła się na mnie jak lwica broniąca młodych. W ten sposób dowiedziałem się o sierżant generalnej Rellin czegoś nowego. Walczyła jak ulicznik, stosując wszystkie znane sobie chwyt, wszystkie sztuczki, nie zważając na siebie i na nic, z jednym tylko celem przed oczami: chciała rozłożyć mnie na łopatki.

Wczoraj by zwyciężyła. Wczoraj miałbym niewiele powodów, by wygrać. Parę guzów, może jakieś złamanie – Rellin, choć w amoku, nie była morderczynią. Sprząłaby mnie na kwaśne jabłko, a potem wyrzuciła za drzwi. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy przydarzyłoby mi się coś takiego.

Ale teraz miałem powód. I przewagę. Rozpruwacz Dusz nie chronił mnie przed uszczerbkami czy bólem, on tylko mnie uzdrawiał. Do bólu byłem przyzwyczajony, nauczyłem się z nim obchodzić. A więc wzięłem na siebie impet, z jakim się na mnie rzuciła, choć istotnie zakląłem głośno, kiedy jej kolano przy trzeciej próbie znalazło drogę między moje nogi... nauczyłem się przy tym pół tuzina nowych sztuczek i jednego doprawdy imponującego chwytu, który mógł złamać komuś kręgosłup... Jak na to, że ważyła niespełna połowę tego, co ja, aż się nie chciało wierzyć, co wyczyniała z moimi biednymi kośćmi. Trwało zdumiewająco długo, zanim zapędziłem ją w róg i trzymając za szyję, docisnąłem do ściany dobry kawałek nad podłogą.

Nie ułatwiał mi tego fakt, że na plecach wyczuwałem, z grubsza licząc, cztery miecze i trzy włócznie, może nawet więcej.

– Wyświadczyć mi przysługę, Rellin – wyszeptałem jej do ucha, podczas gdy ona kopnęła mnie w kolano tak boleśnie, że w oczach stanęły mi łzy. – Poinformujcie waszych dzielnych żołnierzyków, że to, co się tutaj dzieje, to prywatna rozrywka.

Poluzowałem odrobinę uchwyt, dzięki czemu mogła poruszyć głowę. Wybałuszyła oczy, widząc dwa tuziny rozjuszonych Byków, tłoczących się w gabinecie.

– Proponuję powiedzieć im, że to, co tu widzą, nigdy nie miało miejsca, i żeby wracali do swoich zajęć. My zaś porozmawiamy sobie dalej... a potem, jeśli nadal takie będzie wasze życzenie, pójdę do komendanta i poproszę o przyjęcie mojej rezygnacji.

Możecie mi wierzyć, sierżant generalna Rellin, że to zrobię, bo nie widziałbym sensu dłużej być dowódcą.

– Puśćcie mnie – zażądała lodowato. Skinąłem głową i opuściłem ją na ziemię. Cofnąć się nie mogłem, włócznie były zbyt ostre.

Przecisnęła się obok mnie, otarła krew z nosa i zgromiła wzrokiem żołnierzy.

– Wynocha! – ryknęła. – Róbcie swoje za drzwiami, generał tymczasem opowie mi, skąd zna te chwytaki, które zademonstrował mi na moją prośbę!

– Na pewno, sierżant Rellin? – upewnił się porucznik, patrząc się na mnie tak, jakby chciał kontynuować tam, gdzie Rellin właśnie skończyła.

– Inaczej bym nie mówiła! – warknęła i lewą ręką wskazała drzwi. – Won!

Zaczekaliśmy, aż się zamkną drzwi. Zaklęła, posłała mi spojrzenie, które miało sprawić, że zamienię się w słup dymu, rąbnęła prawym barkiem o najbliższą ścianę i zaklęła ponownie.

– Czekajcie – powiedziałem i podszedłem do niej. Chciała zrobić unik, ale byłem szybszy, przytrzymałem ją i nastawiłem jej bark.

Popatrzyła na mnie z furią bez słowa podziękowania i obmacała rozciętą wargę.

– Dobrze. Chcieliście kontynuować *rozmowę* i mnie przekonać. Próbujcie. A potem będę czekać na wiadomość o waszej dymisji!

Wziąłem jedyne ocalałe krzesło, usiadłem i poszukałem językiem poluzowanego zęba. Z radością stwierdziłem, że tkwił na tyle mocno, że nie powinien zaraz wypaść. Angusowi wyłamany ząb mógł odrosnąć po jednej nocy polowania, ale jeśli chodzi o zęby, to możliwości Rozpruwacza były ograniczone... Odrastanie trwało długo i było bolesne jak diabli!

– Czemu po prostu mnie nie spoliczkowaliście? – spytałem. – Jesteście kobietą, to byłoby zgodne z zasadami.

– Jaja sobie robicie? – rozsierdziła się. – Mówicie o bezsensownej śmierci mojego syna... Może mam wam jeszcze upiec ciasto? – Jej oczy rozwarły się nagle. – Celowo mnie sprowokowaliście, prawda?

– Tak – odparłem i otarłem krew z oka. – Wierzcie mi, mam powody, żeby tego żałować. – Podarowałem sobie uśmiech, wargi miałem chyba nie w lepszym stanie niż ona.

– Dlaczego? – spytała trochę spokojniej i popatrzyła na mnie niespuchniętym okiem.

– Chodzi o waszego syna – powiedziałem spokojnie. – Jest dla was ważniejszy od was. Mundur czy nie, nie wydaje mi się, żeby mądrze było atakować generała. Czy kiedy przed chwilą rzuciliście się na mnie, było coś, do czego nie posunęliście się, aby wygrać?

– Nie tknęliście miecza, a więc obyło się bez ostrzy – rzekła.

– A gdybym zagroził waszemu synowi śmiercią?

– Wtedy – odparła ponuro – nie byłoby takiej rzeczy, do jakiej bym się nie posunęła.

Popatrzyłem na ślady ugryzienia na dłoni i wyprostowałem mały palec, który odstawał pod dziwnym kątem. Zgrzytnęło i na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Wstałem z wysiłkiem i podszedłem do okna, otworzyłem je i chłonałem świeże powietrze jak spragniony wodę.

– Odsuńcie się – zakomenderowała obcesowo, więc zrobiłem jej miejsce. Wychyliła się i zwymiotowała, po czym łapczywie chwyciła powietrze jak pies. Albo jak ja.

Otarła usta, posłała mi spojrzenie zdolne zabijać i podeszła do przewróconego biurka. Wysunęła szufladę i odetchnęła z ulgą na widok nietkniętej butelki. Wzięła głęboki łyk, syknęła, kiedy okowita zetknęła się z rozciętą wargą, i podała mi flaszkę. Skinąłem głową w podziękę i napiłem się.

– Chcieliście mi coś zademonstrować – powiedziała. – Dotarło to do mnie. Dajcie! – Podałem jej butelkę, popiła znowu. – Tylko dalej nie wiem co!

– Założmy, że nie byłybyście sierzant generalną Rellin, tylko żoną piekarza, a wasz syn nie porucznikiem Byków, tylko piekarzem. Nie w Askirze, a w jakiejś małej wiosce gdzieś niedaleko granicy. Nie oczekiwałybyście, że królestwo, któremu płacicie podatki, obroni waszego syna wszelkimi dostępnymi środkami? Nie oczekiwałybyście, że uczyni wszystko, aby ochronić was i syna? A może wystarczyłoby wam wiedzieć, że kiedy zostanie zaatakowana wioska, królestwo niestety nie może nic zrobić, ponieważ Rada Handlowa wciąż dyskutuje, czy wysłać legion? Legion, gdy wyrusza na misję, to kosztuje... a taka mała wioska jest mniej warta niż najbliższe miasto, gdzie w dodatku można nieźle zarobić na żołnierzach, przepijających swój żołd w karczmach. – Nachyliłem się do przodu i wziąłem od niej butelkę. – Krótko mówiąc, czy możecie mi wytłumaczyć, dlaczego jako matka uważacie za słuszne spuścić łomot generałowi, a jednocześnie posyłać legion, a więc i waszego syna, na bój z rękoma związanymi za plecami i twierdzić, że takie są zasady?

Wziąłem potężny łyk, trącając szyjką butelki poluzowany ząb, i zakląłem głośno.

– Broniąc syna przede mną, nie miałyście najmniejszych skrupułów, żeby użyć wszelkich znanych wam sztuczek, dozwolonych czy nie. Z tego wnioskuję, że kochacie syna ponad królestwo. Podobnie jak matki innych synów czy synowie innych matek, których królestwo ma chronić.

– Oddajcie mi butelkę – burknęła i wyrwała mi ją z rąk. Jedno oko zapuchło jej całkowicie, za to drugim łypała tym gniewniej. – Nie mogliście tego po prostu powiedzieć?

– Próbowałem. Ale chętnie powtórzę to jeszcze raz, może tym razem do was dotrze. Chronić i niszczyć. Dla mnie to nie są puste słowa. Dla mnie nie sprawia różnicy, czy chronię waszego syna, czy dziecko, które kocham. Jest mi obojętne, kogo czy co muszę zniszczyć, aby dziecko, które w głębi mego serca jest najważniejsze, mogło żyć w wolności. – Popatrzyłem na nią nagłaco. – Miałem wrażenie, że słyszałyście tylko słowa, sierżant Rellin. Słowa to za mało, żeby pojąć naukę. Trzeba to *czuć*. To wasz cesarz przypomniał mi dzisiaj tę lekcję, sam o niej zapomniałem... a może nie chciałem o niej pamiętać. Tak samo jest z Askirem i jego dumną armią. I z wami też. Przechwalacie się, że macie najlepszych żołnierzy na dysku świata, ale dopóki nie *poczują*, co to znaczy *chronić* wszystkich tych, dla których noszą zbroję, nie są warci więcej niż miedziaka... nie mówią o tysiącu dwustu koron.

– Macie dziecko? – zapytała cicho.

– Żadnego, które jeszcze by żyło, ale ostatnie, na którym mi zależało, umarło, a ja na to pozwoliłem. Bo nie byłem gotów zapłacić ceny.

Z wysiłkiem podszedłem do drzwi.

– Daję wam świecę, sierżant generalna Rellin. Potem powiecie mi, czy życzyście sobie, aby złożył dymisję, czy staniecie przede mną do raportu wraz z listą wszystkich propozycji i zmian, jakich potrzebują legiony, żeby żona piekarza z małej wioski nie straciła syna.

– Ja... nie należę do Drugiego – przypomniała.

– Nadal nie rozumiecie? – zapytałem cicho. – Jest mi to obojętne. Jakąkolwiek liczbą jest opatrzony, każdy legion jest jedynie narzędziem. Nie wiem, jak z wami, ale kiedy ja bronię tego, co kocham, to korzystam z wszelkich narzędzi, jakie mogę znaleźć. Nie pytam, do kogo należą.

– Czekaście – poprosiła. – Powiedzieliście coś... co mieliście na myśli, mówiąc, że cesarz wam coś przypomniał?

– Znacie most Cesarski?

– Oczywiście.

– Dowiedziałem się niedawno, że ten mężczyzna kochał kogoś, kogo utracił. Dziś zobaczyłem figury jego i jej.

– Posągi przy moście Cesarskim? – zdumiała się. – To jest cesarska para?

– Tak. Więc wiecie, co mam na myśli. Spójrzcie na jego twarz. Całe miasto jest ślepe. Od setek lat zadajecie sobie pytanie, dlaczego odszedł, a przecież on wam to pokazał. To miejsce w Askirze każdy widział przynajmniej raz w życiu, nie da się nie chodzić tym mostem. Nie wiem, co się stało. Albo nikt już nie pamięta, albo nikt nie chce mi powiedzieć. Ale jedno jest pewne: on zapomniał zapłacić cenę za ochronę

tego, co kochał... i przekonał się, że kiedy zawiódł, cena okazała się tak wysoka, że nie dało się jej zapłacić.

Otworzyłem drzwi. W przedsionku stał tylko jeden mężczyzna. Obejrzałem się na Rellin.

– Musiałem zrozumieć tę samą lekcję i nie pojmuję, jak mogłem o niej zapomnieć. Wiem jedno. Tym razem zapłacę z góry, zanim będzie za późno.

Zamknąłem drzwi i odwróciłem się.

SERCE WROGA

– Von Thurgau – odezwał się z kamienną twarzą komendant. – Przejdźmy się kawałek. Musimy porozmawiać.

Skinąłem głową.

– Dobrze się składa. Muszę się poruszać, bo mi sztywnieją kończyny.

Keralos uprzejmie wskazał ręką drzwi wychodzące na korytarz.

– Czy Rellin korzystała z pomocy? – zapytał, przyglądając się mojej poobijanej twarzy.

– Nie.

– Szkoda, że nie ma już dla niej wyższej rangi... awansowałbym ją. Ale zagroziła mi, że zdezerteruje, jeśli mianuję ją oficerem.

Otworzyłem drzwi i ujrzałem mrowie twarzy.

– Powiedzcie mi, von Thurgau – zagaił i założywszy ręce na plecach, ruszył przed siebie, jakby w korytarzu nie było tych wszystkich Byków. – Jak ją sprowokowaliście? Zwykle trudno ją wyprowadzić z równowagi.

– Znalazłem jej czuły punkt. Mogę spytać, gdzie jest Orikes? Myślałem, że tu będzie.

– Nie – odparł i posłał mi nieodgadnione spojrzenie. Przekroczyliśmy bramę w głównym budynku. – Ma inne rzeczy do roboty niż niańczenie was. Zdał mi raport i ostrzegł... – Potoczył wzrokiem po ścianie cytadeli i zatrzymał go na otwartym oknie Rellin. – Nie doceniliśmy jedynie szybkości, z jaką się poruszacie. Co tam robiliście?

– Słyszałem, że Askannon był zafascynowany studniami i fontannami, chciał wiedzieć, jak to możliwe, że woda płynie pod górę.

– Ach, słyszeliście?... Za trzy dni odbędzie się bal w ambasadzie królestwa Xiang. Oni cenią sobie, kiedy ktoś tak z nimi rozmawia. Ja nie. Powiedzcie mi jasno i wyraźnie, o co wam chodzi.

– Nie o co. O kogo. Was. – Rozejrzałem się. Najwyraźniej uznano, że należy się usunąć z zasięgu uszu. Dojrzałem kilku żołnierzy Pierwszego Legionu, ale udawali, że znaleźli się w pobliżu zupełnie przypadkowo. Nikogo w bezpośredniej bliskości. – Rellin jest jedną z niewielu osób, które naprawdę cenicie. Orikes i Desina też należą do tego kręgu... może są jeszcze i inni. Wiem, że ich słuchacie. Mnie nie. Za bardzo przywykliście do tego, żeby stawiać na swoim, komendancie. Jesteście na dystans,

zapewne tego potrzebujecie. Nie chcecie oglądać martwych żołnierzy ani dzieci oplakujących matki. To mają być tylko liczby, figury, kreski i strzałki na mapach.

Nie okazywał większych emocji, jego oczy pozostały chłodne.

– Co mi właściwie wyrzucacie?

– Że jesteście zarządcą, nie dowódcą. I że za bardzo przywiązujecie się do reguł... a przecież to wy możecie je zmienić.

– Jestem przywiązany do praw ustanowionych przez Askannona – odpowiedział sztywno. – To jest moja misja, generale. Mnie też chcecie rozdrażnić?

– Nie. Nawet rozumiem wasze stanowisko – ustąpiłem nieco. – Powiedzcie mi, czy macie talent magiczny?

Keralos popatrzył na mnie zdziwiony.

– Skąd to pytanie? A przede wszystkim dlaczego zadajecie je teraz, po tym wstępie?

– Chcę wam coś pokazać. Sam jeszcze tego nie widziałem, ale to sprawi, że zrozumiecie. Jednak tylko wtedy, jeśli nie macie talentu. Gdybyście byli, przykładowo, Sową... wówczas to, co chcę wam pokazać, oznaczałoby śmierć. Dla nas obu. A zatem... czy posiadacie talent magiczny?

– Nie – odparł spokojnie. – Moim talentem jest to, że nigdy niczego nie zapominam. Na wypadek gdybyście pytali.

– W takim razie na pewno nie zapomnieliście, że w Gasalabadzie jest pewien człowiek, którego nazywano Strażnikiem Wiedzy. Posiadał ten sam magiczny talent, co wy... i należał do tych, których podziwiałem.

– Zmarł w kąpieli. Zapewne woda była za gorąca, a jego stare serce wzięło mu to złe... zasnął i już się nie obudził. – Popatrzył na mnie pytająco. – Mniemam, że nie wspomnieliście o nim, żeby mi grozić?

– Ja wam? – Tym razem to on mnie zadziwił. Może nawet trochę uraził. – Sądzicie, że taki jest mój plan?

– Różnie można sądzić, kiedy człowiek dowiaduje się, że ktoś wykorzystuje swoich przyjaciół, aby do mnie dotrzeć – odparł Keralos chłodnym tonem. – Jaką wiadomość miała mi przesłać prima Sów? A może jeszcze jej nie otrzymałem?

– To nie jest wiadomość dla Sowy – rzekłem z uśmiechem i natychmiast tego pożałowałem. Na nowo pękła mi warga. – Ona już dawno rozumie, o co chodzi.

– Mówicie zagadkami. Ale dobrze. Chcecie mi coś pokazać. Jeśli to sprawi, że zrozumiem, to poświęcę swój czas. Czy to daleko?

– Musimy udać się do dzielnicy kupieckiej, a stamtąd to już tylko kawałek.

Straże przy domu Desiny nie zadawały pytań, chociaż w ich oczach dostrzegłem tysiące. Zwróciłem się do porucznika, który pilnował portalu w piwnicy:

– Czy portal jest w tej chwili używany? Spodziewacie się kogoś, kto ma niebawem przybyć?

Pokręcił głową i spojrzął z ukosa komendanta.

– Odpowiedzcie na pytanie, poruczniku – polecił chłodno Keralos. Żołnierz zasalutował pospiesznie.

– Nie, ser. Tylko Sowa korzysta z portalu i zapowiada to wcześniej. Spodziewamy się jej powrotu wieczorem.

– Dobrze – rzekłem. – Rozstawcie ludzi wokół portalu. Kiedy przezeń przejdziemy, będziecie odpowiadać własnym życiem, aby nikt nie zajrzał do środka. Jeśli wyjdzie z niego ktokolwiek inny poza mną albo komendantem, zabijcie go, kimkolwiek będzie. Bez chwili ociągania. Nawet jeśli to będzie wasza matka.

– Ale...

– Co miałyby tutaj robić wasza matka, poruczniku? – spytałem zmęczonym tonem. – To nie będzie ona. Ale ktoś lub coś, co będzie wam kazać myśleć, że to ona. Czy wyraziłem się jasno?

– Spodziewacie się czegoś takiego? – zapytał Keralos.

– Nie. Mam nadzieję, że nie. Wiem tylko, że niektórzy z naszych wrogów mogą wyglądać jak przyjaciele.

Długo mi się przyglądał, w końcu zwrócił się do porucznika:

– Dajcie mi wasz pas mieczowy, proszę.

Żołnierz odpiął pas i podał go komendantowi. Ten założył go sobie i chciał odprawić porucznika, ale go powstrzymałem.

– Przynieście lunetę. Nie, lepiej dwie. Ale szybko!

Porucznik zasalutował i oddalił się biegiem. Keralos odprowadził go wzrokiem, a potem popatrzył na mnie nagle.

– Nadal jesteście pewni, że nie marnujecie mojego czasu?

– Tak.

– Nadal nie chcecie mi powiedzieć, o co chodzi?

– Nie, jeszcze nie. – Spojrzałem na jego miecz. – Jeśli będziemy go potrzebować, to już jesteśmy straceni.

– Wolę go zabrać – rzucił. Rozumiałem go. – Mam nadzieję, generale, że to się nie zamieni w kiepską burleskę! Wpakowaliście mnie w problem, który muszę rozwiązać jeszcze dziś. Zdajecie sobie sprawę, że najprostszym rozwiązaniem byłaby wasza głowa na moim biurku?

– Owszem – odparłem niewzruszony. – Są takie dni, że wzbudzam tego rodzaju pragnienia.

Przyglądał mi się uważnie.

- Chyba macie w tym wprawę, a jednak nadal nosicie głowę na karku. Jakim cudem?
- Zamierzam zaproponować wam interes.
- Jaki interes?

- Całkiem prosty. Zapłacę za was cenę... waszym zaś wkładem w umowę będzie, że zrobię dokładnie to. - Chciał coś powiedzieć, ale mu przerwałem. - Zaczekajcie - poprosiłem. - Zaraz się wszystko wyjaśni.

Popatrzył na mnie uważnie.

- O co tutaj chodzi?
- Powiedziałem już, chcę wam coś pokazać.
- Co?
- Coś, co, jak mam nadzieję, unaoczni nasze położenie, a wy wysłuchacie mnie, kiedy wyłuszczę swoją prośbę.

Skinął ledwo zauważalnie głową.

Nadbiegł porucznik z dwiema lunetami, zasalutował i prędko się oddalił. Zaczekałem, aż zniknie, nachyliłem się i wyłożyłem kamienie wrót. Poprosiłem komendanta, żeby stanął w obrębie ośmiokąta. Zawahał się chwilę, potem ustawił się wyprostowany obok mnie. Zdjąłem z haka na ścianie latarnię, zapaliłem ją i popatrzyłem na niego pytająco.

- Gotów?
- Gdybym tylko wiedział, na co... ale tak.

Upuściłem środkowy kamień. Zatrzeszczało mi w uszach. Owionęło nas chłodne, wilgotne powietrze. Czarne skały dokoła były mokre i śliskie.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał komendant, rozglądając się ciekawie. Poszukałem drzwi i z pomocą Rozpruwacza je znalazłem. Były dobrze ukryte w ścianie. Zanim je otworzyłem, popatrzyłem na posadzkę. Leżały tam wyłożone kamienie wrót, i tak jak przypuszczałem, kombinacja nie prowadziła z powrotem do domu Desiny. Zapamiętałem ją, zebrałem kamienie i wyłożyłem ponownie. Potem pchnąłem ukryte drzwi. Otworzyły się z trudem, zgrzytając. Wiodły do dużego, okrągłego pomieszczenia z czarnego bazaltu o średnicy trzydziestu kroków, ale wysokiego tylko na cztery kroki. Tym, co tak zgrzytało, okazały się stare, brązowe kości, obleczone w zbutwiałe resztki szaty w kolorach czerni i złota. Nie był to jedyny trup w pomieszczeniu. Ślady jatki były liczne, doskonale widać było, gdzie zapędzono, a potem zaszlachtowano kapłanów. Od tamtej pory minęły wieki, ale dla mnie nadal cuchnęło tu śmiercią. Pomieszczenie niegdyś chroniły masywne drzwi zdobione złotem i srebrem, wyłamane teraz, ze śladami po wyłupanych kamieniach szlchetnych. Złoty obić też brakowało.

Za drzwiami był korytarz, a dalej schody zawałone kośćmi i fragmentami muru. Potrzebowałem pomocy Rozpruwacza, żeby utorować nam drogę. Komendant nie pomagał, nie prosiłem go o to. Studiował rysunki w kamieniu na ścianach i kości.

Schody prowadziły do ruin świątyni. Jej dach był zawałony, kolumny przewracane jak patyki, posąg nieznanego mi bóstwa leżał roztrzaskany na ziemi. Na zmurszałych, pordzewiałych włóczniach wbitych w ziemię wokół świątyni tkwiły jeszcze brązowe głowy. Wszystko porastała gęsta zieleń, nawet ludzkie szczątki pokryte były mchem, zaś po włóczniach wspinały się pnącza.

Powoli wyszliśmy z cienia ruin. Czerwonawe niebo zasnuwane pasmami chmur zwiastowało bliski zachód słońca, powietrze było ciepłe, parne. Natychmiast zlałem się potem.

Świątynię wzniesiono na górze o spłaszczonym szczycie, sterczącej w niebo niczym palec. Dokoła rosła zielona gęstwina, śpiewały dziwne, obce ptaki, nieopodal przemknął niewielki, nie dłuższy niż przedramię, czerwono-zielony smok i zniknął w poszyciu.

Przed nami rozciągała się dolina otoczona zielonymi ścianami roślinności i skał, upstrzona ciemnobrązowymi, żółtymi i czerwonymi plamami zabudowań. Patrzyliśmy na odległe dachy, dymiące kominy i unoszący się nad nimi zawieszisty tuman, na wieże i kasztele, szerokie i wąskie ulice. Gdzieś nad naszymi głowami zaskrzeczała wiwerna.

Miasto opanowało całą dolinę. Nie dało się w nim rozpoznać żadnego porządku, ulice przebiegały chaotycznie, domy wznoszono jeden na drugim. Nieopodal przez gmatwaninę zabudowań widać szeroką ulicę. Dziwne bestie ciągnęły po niej zaprzęgi, do spółki z niewolnikami, drgającymi pod ciosami nadzorców. Ulicą maszerował również oddział wojska. Żołnierze nieśli dumnie sztandar legionu i byli odziani w czarne pancerze z utwardzanej skóry. Nad miastem krążyły tuziny, może nawet setki wiwern, zataczając kręgi, wznosząc się i opadając. Wilgotne powietrze przyniosło smród węgla, siarki i zgnilizny. W oddali, na drugim brzegu potężnej rzeki, która obszernym łukiem toczyła swe brunatne, błotniste wody przez dolinę, wznosiła się potężna warownia, wyglądająca, jakby jakieś szalone dziecko tak długo ustawiało zamki i twierdze, aż powstał wysoki stożek, porośnięty tysiącem wieżyczek, baszt i umocnień. Wokół niego krążyło najwięcej wiwern, a także trzy zielono-żółte smoki.

To, co widzieliśmy, było żywą masą złożoną z ludzi, kamienia i bestii, wypełniającą dolinę na przestrzeni wielu mil, skamieniałym monstrum, gdzie w każdej szczelinie tętniło życie. Wylewało się z nich, wypełzało z tkanki miasta jak mrówki z mrowiska.

Przyłożyłem do oka lunetę i skierowałem ją na miasto. Teraz widziałem, że ulice były raczej wąwozami powstałymi na skutek budowania kolejnych domów na dachach

innych. Każdy poziom, będący plątaniną pomostów, słupów, wsporników, grubych powrozów i dachów, stanowił podstawę kolejnego piętra.

Niezliczone wieże miasta rosły w górę bez ładu i planu, a jednak zgodnie z jakąś wyższą opatrnością, tworząc blanki, kasztele i platformy, na których aż roiło się od wiwern. Całe miasto przypominało dziką tkanę, która wszystko wchłaniała, nie podążając przy tym za żadnym celem, poza jednym: rozrastać się wzwyż i wszcz.

Szeroki, brązowy nurt, dzielący miasto na dwoje i okiełznany przez liczne mosty, był nie tyle rzeką, co płynącym rozlewiskiem, pięciokrotnie szerszym od Gazaru, najpotężniejszej rzeki, jaką kiedykolwiek widziałem. Przetaczał się przez miasto jak potwór, rozległy, potężny i leniwy, będący bardziej żółtym szlamem niż wodą. Na jego brzegach wśród niezliczonych kominów wypalano żółtawe cegły, które nadawały barwę obcemu miastu. Na wielkich plecach potwora niczym owady sunęły barki, czółna i statki. Dopiero kiedy przez szkło lunety popatrzyłem na jeden ze statków z czterema rzędami czarnych wiosł po każdej stronie, popychających go jak gąsienicę po żółtobrunatnej masie, pojąłem, że przy każdym z tych wiosł pociło się sześciu mężczyzn, i wtedy dotarła do mnie prawdziwa skala tego, co widziałem. Do smrodu siarki i zgnilizny dołączył jeszcze odgłos tego miasta, odległy pomruk, a może gwar setek dymników i kół, skrzypienie statków i ludzkie krzyki, i wszystkie inne dźwięki, wygrywające swoją własną melodię, jak w każdej metropolii. Tutaj był to raczej głuchy, głęboki szum, przypominający ryk mruczącego przez sen potwora. Po lewej stronie rzeka uchodziła do morza i wpychała swą żółć w intensywny błękit wody, zamieniając białe grzywy fal w brudne, brązowe strzępy. Po obu stronach ujścia wznosiły się potężne mury chroniące port. Nawet pośrodku rzeki wznosił się kasztel z niezliczonych wieżyczek i platform. W basen portu wrastały zakrzywione palce kei, oblezione lasem kolczastych chrząszczy, w których rozpoznałem po chwili czarne okręty, takie same, jakie wysłał do nas wróg.

– Bogowie – szepnął komendant, rozglądając się dokoła. – Co to jest? Co my widzimy?

– Powiedziano mi, że to miasto nosi nazwę Kolariste. To, co widzimy, to twarz, serce wroga.

– Skąd o tym wiedzieliście? – zapytał tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

– Nie wiedziałem, tylko się domyślałem. Widzicie, komendancie, spotkałem kogoś. Wojownika Starego Królestwa, który dawno temu, jeszcze za cesarza, wyruszył na wojnę z tym właśnie wrogiem. Wtedy wróg został pokonany, ale się podniósł. Tamta osoba wydała mi się kimś o niewiarygodnej sile, i chociaż nadal pała gniewem i żądzą zemsty, jest jednocześnie zdesperowana, gdyż utraciła nadzieję, że jej zemsta się dopełni.

– Ta... osoba... pokazała wam drogę tutaj? – zapytał zdumiony. Sposób, w jaki zmarszczył brwi, zdradził, że mogłem nazwać Asele jej imieniem. Ilu wojowników Starego Królestwa było jeszcze w Askirze? – Nie pomyśleliście, że to może być pułapka?

– To, że tu stoimy, zawdzięczacie Santerowi. Możecie podziękować za niefart, jaki mu się przytrafił. Inaczej ja również podejrzewałbym, że to pułapka. A tak zastanawiałem się tylko, co mogło być tak ważne, że musieliśmy to zobaczyć. Teraz wiem. To tłumaczy utratę nadziei.

– Tak – zgodził się i długo patrzył na miasto. – Ten widok doprawdy może sprawić, że człowiek traci nadzieję. – Westchnął. – A to miejsce? – zapytał. – Zostało obrośnięte tym miastem. – Dotknął czubkiem buta zardzewiałej włóczni, na którą natknęto czaszkę. – Łatwo poznać, że miała tu miejsce jakaś walka, ale jeśli wygrał ją cesarz nekromanta, to dłaczego trzyma się z daleka?

– Nie wiem. Powinniśmy się trochę rozejrzeć, może znajdziemy odpowiedź.

Obeszliśmy starą świątynię. Omijaliśmy kamienie i powalone kolumny, a kiedy dotarliśmy do jej tyłów i pokonaliśmy zwałowisko gruzów, odpowiedź znajdowała się przed nami jak na dłoni.

Na stoku leżały rozsadzone potężne łańcuchy o ogniach trzykrotnie większych ode mnie. Ich końcówki były zatopione w potężnych bazaltowych blokach.

Istota, która rozsadziła łańcuchy, jednak nie zdołała zbiec. Uniosła łeb, jakby nas wyczuła, i popatrzyła na nas wypalonymi oczodołami. Szerokie skrzydła były obumarłe i niezdolne jej ponieść. Zerwała trzy łańcuchy, czwarty trzymał jej nogę: brązową kość o rozmiarach domu. Jej skóra miała odcień jasnego turkus, upstrzonego złotymi i srebrnymi cętkami. Każda łuska błyszczała w blasku zachodzącego słońca niczym świeżo oszlifowany klejnot. Długa szyja była delikatna i miękko wygięta, potężna głowa wąska i pełna gracji.

Oślepiąca i okaleczona, pozbawiona skrzydeł i jednej nogi, istota mimo wszystko była pełna niewiarygodnego piękna, wdzięku i elegancji. Wyczułem jakiś powiew z jej strony, choć leżała oddalona od nas o dobre czterysta kroków. *Ona podjęła decyzję.* Nie wobec nas, tylko tych, którzy ją tutaj dręczyli i więzili. Jeszcze tylko nie nadszedł moment, w którym obróci swoją decyzję w czyn.

Przed nią, przytrzymywany przez dwie potężne, szczupłe łapy, spoczywał ostatni, piąty łańcuch, prowadzący szerokim łukiem ku żelaznej obręczy na wąskiej szyi.

Podążyłem wzrokiem za tym łańcuchem, dwa razy grubszy i cięższy niż te, które już zerwała. Omiotłem spojrzeniem fundamenty wzgórza, na którym stała świątynia, obróciłem się i poszukałem oblicza posągu, który leżał rozbity na ziemi. Jeszcze dało się rozpoznać głowę, ale była pozbawiona twarzy, pozostał tylko fragment uśmiechu.

Powędrowałem wzrokiem dalej, po zdobiących ściany kamiennych girlandach, kwiatach i freskach, po płytkiej, zarośniętej sadzawce i jesionach rosnących w skalnych szczelinach. Niemal widziałem świątynię w jej dawnym przepychu, otwartą, z kolumnami, bez dachu. I boginię pełną wdzięku, której nie składano w ofierze bijących serc czy zwierząt ani kosztowości czy klejnotów, ale kwiaty, wyłącznie kwiaty. Lekkie drzenie pod stopami i głuchy pomruk jak odgłos burzy sprawiły, że wróciłem do niej spojrzeniem.

Potężny łańcuch nie zabrzączał, kiedy się poruszyła i kulejąc, ruszyła w naszą stronę. Zardzewiałe żelazne ogniwa wprawiły w drzenie całe wzgórze, wybijając w kamieniu głębokie szramy. Stałem jak porażony, nie mogłem i nie chciałem się poruszyć. Komendant chyba czuł coś podobnego, jego dłoń zacisnęła się na mieczu, lecz jego miecz był tu tak samo bezużyteczny jak moje własne, blade ostrze.

Na skraju wypalonego pola, wyznaczonego zasięgiem łańcucha, piętrzyły się kości niezliczonych żołnierzy, obleczone w szczątki czarnych pancerzy, kości koni lub bojowych bestii, pozostałości machin oblężniczych, katapult i miotaczy włócznie. Pobojuwisko, na którym po upływie setek lat wciąż było miejsce na nowe trupy.

Kiedy się zbliżyła, zauważyłem włócznie tkwiące gdzieś w połyskliwych łuskach, a nawet jeden miecz, wbity między łuski niczym gwóźdź w deski szopy.

Smukła szyja wznosiła się w górę pomimo ciężaru łańcucha, olbrzymie nozdrza, w których zmieściłby się bojowy rumak, zwietrzyły naszą obecność. Była tak blisko, że nasze peleryny powiewały poruszane jej oddechem.

Nabożna cześć i zdumienie... bez nienawiści, i tylko odrobina lęku, powiedział miękki głos w moich myślach. Opancerzone wargi rozciągnęły się w tęsknym uśmiechu. To ostatnio rzadkie. Możecie mi wyświadczyć przysługę? Niech każdy z was poszuka pięknego kwiatu i złoży mi go na ołtarzu. Dadzą mi otuchę i nadzieję, nic innego nie możecie dla mnie zrobić. Ale pospieszcie się, nie możecie zabawić tu długo.

– Wiecie, co to za kwiaty? – spytałem cicho komendanta, kładąc do popękanej misy mocno rozgałęziony kwiat o skręconych i splątanych łodygach, intensywnie błękitnych i złotych płatkach oraz ogniście czerwonym środku.

– Tak – odparł komendant ochrypłym głosem, umieszczając swój kwiat obok mego. Obejrzał się na *niq*. Zdawała się uśmiechać, zwieszając głowę. – To orchidee... u nas nie rosną, jest za zimno. Ten kwiat nazywa się Ogniste Serce. Nierozwinięty pąk ma kształt serca ze złota, błękitu i srebra... rozwinięty – barwy ognia.

Otarł z czoła pot i spojrzał w dół na obce miasto.

– Podobno otwiera się, jeśli daje się go komuś ze szczerego serca, zamyka, jeśli darczyńca ma w sercu fałsz. – Spojrzał na misę, w której obok resztek dawnych ofiar leżały nasze kwiaty. – Byliśmy szczerzy.

Nad naszymi głowami zakrzyczała wiwerna. Noc zapadała szybciej niż zwykle.

– Powinniśmy iść – rzuciłem. Skinął głową i zeszedł po na wpół zrujnowanych schodach. Odepchnąłem mieczem kawał gruzu; wypełnił hukem korytarz.

Zamknąłem za sobą drzwi i sięgnąłem po woreczek z kamieniami.

– Czekaście – poprosił komendant. – Znacie drogę do miejsca, gdzie moglibyśmy porozmawiać w spokoju?

– Ufacie mi na tyle, żeby przyjąć ode mnie zaproszenie na kafe?

– Przeszedłem z wami przez te wrota – powiedział Keralos i na poły rozbawiony, na poły zdesperowany potrząsnął głową. – Chyba musiałem być szalony!

– Dziękuję – zwróciłem się do Asali, która przyniosła nam kafe do ogrodu. Tutaj było cieplej niż w kraju wroga, ale powietrze było suche, przez co upał był raczej przyjemny niż przygniatający. Moja gospodyni dygnęła i oddaliła się z godnością. Tym razem, kiedy wyszliśmy z piwnicy, nie okazała ani śladu zaskoczenia.

Nalałem napoju komendantowi, który przez chwilę chłonał jego aromat, potem upił łyżeczkę, by w końcu westchnąć z błogością i wygodnie rozprześć się na krześle, luzując kołnierz munduru.

– Zapomniałem, jak pięknie może pachnąć latem Gasalabad... Desina miała rację, macie bardzo ładny ogród, generale.

– Byliście już tutaj? – zapytałem uprzejmie i nalałem sobie, sprawdzając jednocześnie, czy w pobliżu nie ma jakichś ciekawskich uszu. Jeśli tak, to Taruk albo Asala byli lepszymi szpiegami, niż myślałem. Wystarczy, że doniosą Arminowi, kto był dzisiaj moim gościem.

– Dawno temu. – Omiótł spojrzeniem ogród, długo wpatrywał się w starannie wypielęgnowane bujnie kwitnące rośliny. – Kwiaty jej się chyba podobały. Macie jakieś przypuszczenia, kim jest?

– Myślę, że wiem, *czym* jest, komendancie.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Boginią, jak sądzę. Tylko my jej nie znamy. Ale być może jest rozwiązaniem pewnej zagadki. – Uśmiechnąłem się pod nosem. – Może być Bezsprzecznie Córką Smoka!

Zaśmiał się krótko.

– Nie musimy zgadywać, co się stanie, kiedy zerwie ostatni łańcuch – zauważył. – Sądzicie, że to mogłoby być tak proste? Wtedy nie musielibyśmy nic robić, tylko czekać, aż to nastąpi. Tyle że łańcuch wytrzyma jeszcze bardzo długo!

– A zatem znacie prorocstwo?

Westchnął.

– Wczoraj w nocy ktoś mnie odwiedził. Najwyżsi kapłani naszych bogów... z jakiegoś powodu sprawiali wrażenie, jakby niemal wpadli w popłoch. – Przyspilił mnie wzrokiem. – Chyba nie muszę daleko szukać przyczyny.

– Mylicie się. Znalazłem się tam przypadkiem i nic nie zrobiłem.

– Tak. A ja jestem cesarzem!

– To nie byłoby całkiem wykluczone – odparłem, uśmiechając się lekko, na co popatrzył na mnie ze zdziwieniem. – Ale wracając do słów Soltara... powoli dochodzę do wniosku, że nigdy nie należy brać ich dosłownie! Dowiemy się, co ma na myśli, w odpowiednim czasie. Ani chwili wcześniej.

– Tak, być może – zgodził się. – Ponieważ człowiek zawsze jest mądry. Mimo to ciekawi mnie, *kim* ona jest. Polecę Orikesowi, żeby poszukał w archiwach. O ile znajdzie na to czas! – Wypił łyk kawy i odstawił filiżankę. – No dobrze, von Thurgau. Pomijając fakt, że potem raczej nie byłbym mile widziany w tym ogrodzie, dlaczego miałbym odstąpić od tego, byście zapłacili głową?

– No właśnie, dlaczego? – zapytałem niewinnie, popijając łyk czarnego napoju, który nigdzie na dysku świata nie smakował mi lepiej niż tutaj. Nawet moje poobijane kończyny bolały już nieco mniej.

– Wasze żądania skierowane do Orikesa sugerują, że chcecie się postawić ponad prawem. A to właśnie prawo uczyniło z Askiru potęgę, nawet wy musicie się do niego stosować! I nie pomoże wam żadne ułaskawienie, za zdradę nie ma ułaskawienia!

– Nie żądam go dla siebie – uśmiechnąłem się. – Nie znam was jeszcze na tyle, by ocenić, jak bardzo jesteście nieustępliwi. To sierżant generalna Rellin ma być ułaskawiona. Pomijając fakt, że wyzwałem ją na pojedynek, napaść na generała zapewne jest karalna.

– Ja z kolei słyszałem, że tylko rozmawialiście. Tak twierdzi Rellin – zaśmiał się komendant. – Nic mi nie wiadomo o żadnej napaści. A nawet jeśli miała miejsce, to jestem pewien, że na nią zasłużyliście. Ale dosyć o tym. Chcieliście, abym was wysłuchał, więc proszę, mówcie.

– Królowa Illianu Eleonora wysłała tutaj maistrę di Girancourt, ponieważ liczyła, że Askir uratuje jej kraj i jej poddanych. Umarła z tą nadzieją w sercu. Lecz w obecnej sytuacji Askir nie jest w stanie tego zrobić.

– To, co zobaczyłem przed chwilą...

– Macie na myśli ją czy miasto?

– Miasto. Macie rację, to wystarczy, żeby utracić wszelką nadzieję. Askir jest znacznie większy, ale...

Tak. Ale. Askir nadal robił wrażenie, lecz tamto dalekie miasto aż kipiało życiem. Nie potrafiłem nawet w przybliżeniu oszacować, ilu ludzi tam mieszkało. Poza tym...

było w pewien sposób tak dziwaczne, że nie chciało mi się wierzyć, że tam żyli ludzie, a nie mrówki. To mrówki budowały w ten sposób, nie ludzie, ludzie szukali wzajemnego dystansu, nie łązili sobie nawzajem po głowie. Pomimo upału aż zadrżałem.

– Zastanawiacie się, jak stawić czoła takiemu wrogowi? – zapytałem, a on przytaknął.

– Nie tak, jak to się robi w Askirze – oznajmiłem. – I właśnie to, w wielkim skrócie, jest sednem sprawy: chcę, aby Askir był zdolny udzielić takiego wsparcia, na jakie liczyła moja królowa. W tej chwili możemy mówić o cudzie, że wróg jeszcze nie zajął Starego Królestwa.

– Mury i legiony obronią miasto – obwieścił sztywno. Któregoś dnia musiałem w końcu obejrzeć te zewnętrzne mury miasta, musiały istnieć jakieś powody, dlaczego nikt nie brał pod uwagę ewentualności, że mogłyby runąć.

– O mury i legiony się nie martwię, komendancie. Lecz to tylko mała część tego, co jest potrzebne. To cała reszta, to, czego brakuje, wywołuje moją troskę.

– I co proponujecie?

– Dawne królestwo musi powstać z martwych. Eleonora miała rację, Askir to jedyna potęga, która może się oprzeć cesarzowi nekromancie, ale tylko jeśli to będzie ten dawny Askir, nie współczesny.

Trzymałem w dłoni filiżankę z kafejki. Była z delikatnej porcelany, tak cienkiej, że przez ścianki przeświecało światło, sprawiając, że niebieskie kwiaty i bajkowe zwierzęta wyglądały niemal jak żywe. Filiżanki te, jak wiele innych przedmiotów, były prezentem od emira. Były tak cenne, że za kilka z nich można było kupić wierzchowca. Pochodziły z dalekiego Xiang, prawie nieznanego królestwa na południowym wschodzie, o którym przed wyruszeniem do Askiru nic nie wiedziałem. Może jednak się myliłem i Askir nie był jedynym mocarstwem, które mogło oprzeć się Thalakowi. Postanowiłem jak najprędzej porozmawiać o tym z Zokorą. Bogowie... jeśli miałem zrobić wszystko, co zaplanowałem, potrzebowałem kogoś, kto pomoże mi zapamiętać choćby to, z kim mam o czym porozmawiać.

– Dawny Askir odszedł do przeszłości – wyrwał mnie z zamyślenia Keralos. – Musimy trzymać się tego, co jest teraz.

Popatrzyłem na niego z namysłem.

– Możliwe, że właśnie w tym tkwi błąd...

Kiedy wyszliśmy z portalu, na twarzy porucznika wymalowała się wyraźna ulga, lecz ku mojemu zdumieniu wystąpił naprzód, żeby zagrozić nam drogę. Za nim stali trzej kusznicy gotowi do strzału, z bełtami ostrzegawczo wymierzonymi w górę.

– Powiedzcie – odezwał się porucznik, przesywając mnie pełnym determinacji i lęku spojrzeniem – jakie zadanie zleciliście mi przed odejściem?

– Macie na myśli zastrzelenie waszej matki? – spytałem, a on skinął z ulgą głową i zasalutował. Kuznicy pospiesznie zdjęli bełty z kusz.

Idąc do cytadeli, obejrzałem się na dom Desiny. Zaczęto jego remont.

– Ten porucznik – zagałem. – Powinniście go awansować, ma głowę na karku.

– Też o tym pomyślałem – powiedział komendant, posyłając mi pełne zadumy spojrzenie. – Sądzicie, że to zagrożenie jest realne? Że ktoś mógłby przybrać nasz wygląd?

– Znam co najmniej jedną osobę, która może wyglądać, jak zechce. Nie wiem, czy to jest talent, czy jakaś forma magii, ale co może jeden, zwykle potrafi i kilku.

– Hm – mruknął i skinął głową. – Znaleźliście już Asełę, nieprawdaż? Szukamy jej od zamachu. Skoro potrafi zmieniać postać, to by wyjaśniało, dlaczego jej jeszcze nie znaleźliśmy. Wyjaśnicie mi, dlaczego jej nie zabiliście?

– Bo już nie służy wrogowi i nie jest nekromantką.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Wierzycie w to?

– Miałem wątpliwości. Ale stanęła przed Soltarem i poddała się jego osądowi.

– To jest ta umęczona dusza, o której mówił brat Jon?

– Właśnie.

– Mieliście rozkazy, von Thurgau.

– Zabić nekromantkę. Tak, wiem. Jeśli znajdę tę nekromantkę, wykonam rozkaz.

– Jesteście nie w ciemną bici! – stwierdził i pokręcił głową. – Jeśli się mylicie, a ona gra z wami w ciuciubabkę, to może zagrozić wszystkiemu, o czym przed chwilą rozmawialiśmy.

– Jestem tego świadom.

– A jednak podejmujecie to ryzyko? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przedsięwzięcie, o którym mówiliśmy, jeżeli ma się powieść, musi przebiec tak, by jedno gładko pasowało do drugiego. Najmniejszy błąd i nie tylko wasz plan, ale wszystko, co symbolizuje Askir, legnie w gruzach. Wasze zapewnienie, że za wszystko będziecie odpowiadać, nie na wiele mi się przyda. Ja będę znał swoją rolę.

– Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Skinął głową.

– Na to wygląda. Właśnie mnie przekonaliście. Czy to się powiedzie, to się okaże. Myślenie, że samemu podejmuje się lepsze decyzje, niż robią to inni, i narzucanie tego toku myślenia innym to pierwszy krok do tyranii, więcej nawet, to już jest

ucisk! – Pokręcił głową z pewnym rozbawieniem. – Choć jestem pewien, że tego jeszcze nie próbowano...

– Nie musi do tego dojść. Jeśli zwycięży rozsądek, to nie będzie konieczne.

– Tak – powiedział z ciężkim sercem. – Jeśli.

– Dobrze, że jeszcze nie włożyliście munduru, dzięki temu nie powaliliście go krwią – stwierdził komendant, kiedy dotarliśmy do cytadeli i odpowiedzieliśmy na salut straży przy bramie. Od placu Świątynnego dobiegł dźwięk trzeciego dzwonu, było jeszcze wcześniej, choć ja miałem wrażenie, że ten dzień trwał już całą wieczność. – Podejrzewam, że Rellin czeka na was w kancelarii Trzeciego. Przebierzcie się, zanim do niej pójdziecie. Musicie przyzwyczać się do noszenia munduru.

– Nie zapomniałem o tym – zapewniłem go, kłamiąc tylko troszeczkę. Na pewno bym sobie przypomniał.

– Orikes wspomniał, że chcecie urządzić sobie gabinet w trakcie należącym do Drugiego.

– Tak. – Skinąłem głową. – Jest dużo do zrobienia, a ja potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym zająć się planowaniem.

– Znają was tam już? – zapytał, uśmiechając się lekko.

– Myślę, że mnie poznają. Komendancie... czy to konieczne, by Kasale pozostawała w Gasalabadzie? Potrzebuję jej tutaj.

– Jeśli chcecie przygotować Drugi Legion do walki, to zostawcie ją tam, gdzie jest. Mieliście z nią wielkie szczęście... to ona w dużej mierze przyczyniła się do tego, że otrzymaliście ten legion.

– To nie była decyzja cesarza? – zdumiałem się.

– Cesarza? – zapytał zaskoczony. – Magia pierścienia jest jednoznaczna, mimo to nie byłem gotów tak po prostu wam zaufać, nie, to Kasale naciskała, żeby potraktować was poważnie. Zrobiliście na niej wrażenie w tamtym domu zajezdnym.

– Nie mam na myśli pierścienia – powiedziałem. – Co on sam powiedział na ten temat?

– Odkąd abdykował i zniknął, nikt więcej go nie widział – rzekł Keralos. – Myślałem, że o tym wiecie.

– Jesteście jego namiestnikiem w Askirze, więc sądziłem...

Pokręcił głową.

– Ja trzymam się jego prawa, nie mam nic poza przywództwem. Uwierzcie mi, nikt nie byłby bardziej szczęśliwy ode mnie, gdyby znowu tu się pojawił! Mieliście nadzieję, że on nadal skrycie rządzi?

– Tak – przyznałem bez ogródek.

To go chyba rozbawiło.

– Obawiam się, że musicie zadowolić się mną, generale. Mam nadzieję, że on jeszcze żyje... choć myślę, że gdyby tak było, wydarzenia ostatnich tygodni już dawno wywabiłyby go z ukrycia.

– On żyje, komendancie. Sam go widziałem.

Popatrzył na mnie ze smutkiem i pokręcił głową.

– Gdybyście wiedzieli, ile razy komuś wydawało się, że go widział, a mimo to się mylił. Niewiele jest rzeczy, których życzyłbym sobie bardziej niż tego, by stanąć z nim twarzą w twarz, bo jeśli żyje, to nadal jest nadzieja.

Popatrzyłem za nim, jak odchodził. On nadal nie zrozumiał? Nadzieję człowiek robi sobie sam. Zawsze była jakaś droga.

O SOWACH I DESZCZU

Kiedy poobijany i uwalany własną krwią pchnąłem drzwi do traktu Drugiego Legionu, zastałem przedsiónek jeszcze pełniejszy niż poprzednim razem. Zignorowałem ciekawskie spojrzenia i podszedłem do przegrody oddzielającej go od reszty kancelarii. Za nią siedział przy biurku sierżant miecza i patrzył na mnie niechętnie.

– Już tu chyba byłeś? – stwierdził i popatrzył na moje ręce. – Dalej nie masz akt, jak widzę? Mimo to... bez nich nic tu nie wskórasz!

– Poza tym fakt, że przychodzisz prosto z bójki, raczej nie przemawia na twoją korzyść. Jesteś pijany? – zapytał drugi ze skrybów i wskazał piórem na drzwi. – Lepiej będzie, jak się stąd prędko zmyjesz, zanim nam tu wszystko obrzygasz, bo jeśli do tego dojdzie, pożałujesz, że tu w ogóle przyszedłeś!

– Czy jest już sierżant generalna Rellin z Trzeciego Legionu? – zapytałem. Popatrzył na mnie nieufnie.

– Tak – przyznał. – Czeka na generała. Czego od niej chcesz? – Obrzucił mnie wzrokiem, a potem rozwarł szeroko oczy. – Miała z nim... rozmowę – dorzucił znacznie ciszej. Najwyraźniej dotarło do niego, że istnieje jakiś związek między moimi i jej obrażeniami. Prędko podniósł przegrodę, wpuszczając mnie do środka, i wskazał lewe drzwi.

– Delter! – odezwał się zdziwiony kapral. – Co ty robisz?

– Dziękuję, sierżancie – powiedziałem uprzejmie i skinąłem głową kapralowi, który zaczynał łapać, kogo ma przed sobą. Wszedłem do gabinetu dowódcy Drugiego Legionu.

Rellin już była. Przebrana, wyprostowana na baczność, stała pośrodku pokoju.

Mój gabinet był znacznie większy od pokoju sierżant generalnej i miał trzy wąskie okienka. Biurko stało przy przeciwległej ścianie, za nim wygodne krzesło, a przed nim dodatkowo dwa krzesła po każdej stronie. Naprzeciwko drzwi znajdowało się drugie biurko, przeznaczone dla adiutanta. Ściany zastawione były regałami, za krzesłem generała wisiała najbardziej imponująca rzecz w tym pomieszczeniu: sztandar legionu. Przypominał ten, który znaleźliśmy Pod Głowomłotem, tyle że wyraźnie widać było, że ten nigdy nie znalazł się na polu walki.

Był duży na wysokość chłopa i szeroki na półtora, krwistoczerwony, a w lewym górnym rogu widniał symbol smoka. Wzdłuż górnej krawędzi ciągnął się szereg herbów. Środkowy haft przedstawiający rozjuszzonego czarnego byka był dopracowany w każdym szczególe. Zwierz miał między rogami złotą cesarską liczbę II, a pod srebrnymi kopytami pyszniło się motto legionu:

*Za Askir, za cesarza i za powinność,
Tam, gdzie stoimy, nigdy się nie cofamy.*

Krwistoczerwona chorągiew dominowała całe wnętrze, niemal słychać było sapanie byka. Świadomość jego obecności za moimi plecami trochę mi przeszkadzała i postanowiłem, że każę przewiesić sztandar do przedsionka. Z sufitu zwieszały się inne proporce i flagi upamiętniające rozmaite triumfy. Popatrzyłem na nie i uznałem, że i one lepiej by wyglądały na ścianach przedsionka.

Pomieszczenie zostało wywietrzone i zamiecione, podłoga błyszczała jak wyfroterowana. Za biurkiem obok sztandaru były drzwi prowadzące do innych, nieznanym mi pomieszczeń.

Rellin stanęła na baczność, ale nie zasalutowała, bo nie miałem na sobie munduru.

– Sierżant Rellin. – Skinąłem jej głową i po raz pierwszy zająłem miejsce za biurkiem, zadając sobie pytanie, ile lat mogło mieć krzesło. Niepokojąco zaskrzypiało pod moim ciężarem. Gestem wskazałem jej jedno z pozostałych krzesel. – Przyciągnijcie sobie jedno i usiądźcie wygodnie – rzuciłem i wysunąłem dolną szufladę biurka. W środku leżał nieżywy pająk i nic poza tym. Pożałowałem, że nie wstąpiłem do mensy napić się czegoś, bo teraz dręczyło mnie pragnienie.

Posłuchała i popatrzyła na mnie otwarcie.

– Dokonałyście wyboru? – zapytałem.

– Nie pozostawiliście mi zbyt wielkiego – zauważyła z krzywym uśmiechem. – Szybko się rozeszło, że gdzieś zniknęliście z komendantem; to, że tutaj siedzicie, oznacza, że on już podjął decyzję. – Uniosła do góry skórzaną teczkę, grubą na dwa palce. – Tu są propozycje, które chcieliście – powiedziała, wstała i wręczyła mi teczkę.

Złamałem pieczęć, rozwinąłem sznurek, otworzyłem teczkę i spojrzałem na stertę arkuszy zapisanych drobnym, starannym pismem.

– Skąd to się wzięło? – zdumiałem się. – Dyktowałyście to czterdziestu Piórom naraz?

– Nie, ser – odpowiedziała. – Wyjęłam z regału. Zawsze jest ktoś, kto rozważa i wysuwa różne opcje. Dwa razy do roku sierżanci generalni legionów spotykają się, biorą do ręki ich propozycje i starannie je weryfikują. Te uznane za przydatne znajdują się w tej teczce. – Popatrzyła na mnie jednym okiem. – Nie jesteście jedynym żołnierzem, który myśli.

Podniosłem teczkę. Zawierała z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt stron. Położyłem ją z powrotem.

– Dlaczego ich nie wdrożono? – spytałem.

– Bo są sprzeczne z traktatem cesarskim.

– Dajcie jakiś przykład.

– Weźmy pomysł ciężkiej jazdy. Nie jako osobnego klanu, jakim niegdyś były Niedźwiedzie, ale jako części legionu, wraz z potrzebnym do tego wyposażeniem i zaopatrzeniem. Tego typu rzeczy. Inna propozycja to lekkie maszyny miotające włócznie. Jak sami zauważyliście, jesteśmy kowadłem, służymy jak do tej pory wyłącznie do tego, by wróg łamał sobie na nas zęby, a my sami chętnie byśmy gryźli.

Chwilę wertowałem dokumenty, oglądałem rysunki strzemion i lekkich zaprzęgów, w końcu kiwnąłem głową i zamknąłem teczkę.

– Zapoznam się z tym – powiedziałem. – Dziękuję, sierżant Rellin.

Nie podniosła się. Popatrzyłem na nią pytająco.

– Na ostatnim tego typu spotkaniu przez trzy noce z rzędu rozgrywaliśmy w hali akademii całe bitwy... To było deprymujące obudzić się czwartego dnia z przekonaniem, że ani jedna z tych rzeczy nie zostanie wdrożona. Najdobitniej widać to, jak słusznie przypuszczacie, na Wschodnich Rubieżach. Marszałek ustawia nas na wałach i na tym koniec. Mamy utrzymać pozycje... Barbarzyńcy wiedzą, że potrzebują przewagi liczebnej, ale wystarczająco często ją osiągają. Wśród Byków popularne jest takie powiedzenie: Byk nigdy nie umiera sam, to zawsze jest cała lanca.

Tak. Ciężka piechota nie miała wyboru, w tych zbrojach nie dało się uciec.

– Generale, pytaliście o napór barbarzyńców. Dlaczego? – wyrwała mnie z moich myśli.

– Cóż, zastanawiałem się, dlaczego barbarzyńcy tak bardzo naciskają na wschodnie granice. Wydaje się, że najprostszą odpowiedź to taka, że armie Thalaku ciągną do nas i pchają przed sobą barbarzyńców.

– To byłoby fatalne. Ale gdyby tak było, czy nie musielibyśmy już widzieć jego wojsk? Jasne, to daleka droga, ale...

– Cesarz nekromanta ma czas, całe długie lata, żeby osiągnąć swoje cele, na pewno kazał wznieść kasztele, może i trakty. Pewną trudnością może być zaopatrzenie, zadba o nie, zimując w obozach, by wyruszyć na wiosnę. – Spojrzałem na swoje dłonie, na pierścień generalski i pierścień Róży. – Pewność zyskamy, kiedy zobaczymy jego chorągwie. Co mówią barbarzyńcy?

– Nic – odparła chłodno. – Z początku chcieliśmy z nimi pertraktować, ale tak często łamali porozumienie, że przestaliśmy im wierzyć.

– Dokąd zabieracie jeńców? Może...

Pokręciła głową.

– Nie ma już jeńców. Po obu stronach – oznajmiła twardo. – Branie ich do niewoli okazało się błędem, nie można ufać żadnemu z nich! – Popatrzyła na mnie lodowato. – Powiedziałam już, generale, wojna na Wschodnich Rubieżach... żadna ze stron nie okazuje już w niej łaski!

– Z ich plemionami ciągną kobiety i dzieci... co się z nimi dzieje? – spytałem cicho.

– Kiedy pustoszą nasze wioski, pozostawiają przy życiu tylko te kobiety, które pohańbili, a wszyscy pozostali, mężczyźni, matki, dzieci czy nawet psy, wszyscy kończą na ich ostrzach.

– A legioniści?

– My nie hańbimy ich kobiet... jeśli coś takiego się zdarza, grozi za to trybunał.

– A więc pozwalacie kobietom i dzieciom odejść?

– Tego nie powiedziałam – oznajmiła zimno. – Ach, nie podoba wam się to? – spytała z goryczą, widząc moją minę. – To jest wojna. Legion walczy pod rozkazami marszałka... a ten rozkaz obowiązuje już od dawna.

– Zabijacie dzieci? – spytałem wstrząśnięty.

– Oni nasze też – odparła hardo. – Nie da się z nimi rozmawiać, co nam pozostaje? Kobietom też nie można ufać, nie pozwalają się zniewolić, puścić wolno też ich nie można, są jak dzikie zwierzęta.

– To nie jest wojna – orzekłem poruszony. – To jatka!

– Tak – przyznała twardo. – Ale jeśli nie będziemy wyrzynać ich szybciej, niż dorastają, zmiażdżą nas! Wolę, żeby to oni byli tymi wyrznanymi. – Pochyliła się do przodu. – Jest za późno na zmiany, od wielu stuleci za późno. Nie ma ani jednego barbarzyńcy, czy to mężczyzny, kobiety, czy małego dziecka, który nie byłby w stanie krwawej wojny.

Bogowie, pomyślałem z goryczą. Jak mogło do tego dojść? Nigdy nie nastanie pokój, gdy zabija się wrogowi jego dzieci!

– Co na to kapłani?

– Ci nieliczni, którzy tam są? Modlą się. To wszystko. Kapłani Borona mówią, że to nie jest sprawiedliwe, i odmawiają nam błogosławieństwa w walce, ale nie podają żadnego rozwiązania.

– Jak wysokie są straty? Roczne?

– Średnio czterystu legionistów, prawie dwa tysiące żołnierzy Rubieży i wielokrotność tego po stronie barbarzyńców... co roku ta liczba rośnie, a o stratach wśród ludności nawet nie chcę mówić!

Popatrzyła na mnie niemal przekornie.

– Nie wiem, jaki przyświeca wam cel, ale wierzcie mi, tam nie możecie niczego zmienić. – Ruchem głowy wskazała na teczkę. – Spróbujcie raczej tego, choć mam wątpliwości, czy to się uda.

Jej ton nie pozostawiał wątpliwości, że w tej kwestii nie zamierzała niczego dodać. Skinąłem głową, nie miało sensu jeździć na martwej kobyle. Ale przyszedł mi na myśl inny pomysł.

– Sierżant Rellin, pułkownik Orikes powiedziały mi, że znacie kogoś, kto się dobrze wyznaje w sprawach towarzyskich. Możecie mi coś powiedzieć na ten temat?

– Pułkownik zapewne miał na myśli porucznika Sztokfisz – odpowiedziała z uśmiechem. – Pod wojskowymi względami jest chodzącą katastrofą. Ma duszę żołnierza, ma dobre chęci, ale nic mu nie wychodzi! – Wzruszyła ramionami. – Stanowi problem, a ja już od dawna szukam jakiegoś sposobu, żeby wydalić go ze służby. Ale jest spokrewniony z połową Rady Handlowej i zna każdego, kto ma coś tutaj do powiedzenia.

– Co z nim jest nie tak? – spytałem. – Skoro ma dobre chęci? ...

– On... trudno to opisać. Zapomina o istotnych sprawach. – Zaśmiała się cicho. – Cztery dni temu odprawiał apel dla Czwartego Legionu i zapomniał miecza. Raz miał ćwiczyć przekazywanie meldunków konno, ale nie dopilnował osiodłania konia i zapomniał zabrać sakwy z meldunkami. Okropnie się stara... – Pokręciła głową. – Jestem żołnierką od ponad dwudziestu lat, ale nigdy nie miałam kogoś takiego.

– Dziękuję – powiedziałem. – Dałyście mi wystarczająco dużo materiału, to byłoby na razie wszystko. Przyślijcie mi tego Sztokfisz świecę po czwartym dzwonie. Czy to będzie problem?

– Nie, ser! – Rellin wstała, obróciła się na pięcie i pomaszerowała do drzwi. Zaczekałem, aż wyjdzie, i ciekawie otworzyłem drzwi za swoimi plecami. Prowadziły do małego pomieszczenia z wąskim okienkiem, łóżkiem polowym, stolikiem nocnym i szafą. Za kolejnymi drzwiami znalazłem ustęp. Kiedy sobie ulżyłem, wróciłem do gabinetu, wziąłem teczkę Rellin i otworzyłem drzwi do pokoju skrybów. Obecny tam sierżant zerwał się tak pospiesznie, że o mało nie przewrócił krzesła.

– Drugi Legion ma długą, dumną tradycję – powiedziałem i wskazałem na gołe ściany. Dwa tuziny rekrutów śledziły z zainteresowaniem moje słowa. – Dopilnujcie, żeby powiesić tutaj sztandar, i ozdóbcie ściany proporcami, żeby widać było, co osiągnął!

– Tak jest, ser!

– Wasze nazwisko?

Kiedy legioniści mieli na sobie ciężkie zbroje, rozpoznawałem ich nazwiska na napierśniku, w przypadku mundurów tak nie było.

– Lamert, ser!

– Dobrze, Lamert. Niebawem ktoś przyniesie dla mnie dokumenty. Odbierzecie je osobiście. Odpowiadacie za to, by trafiły w moje ręce zapieczętowane. Wróć tutaj o pierwszej świecy po czwartym dzwonie.

– Tak jest, ser!

Wszyscy wpatrywali się we mnie jak trusie, wychodząc, czułem na plecach ich spojrzenia. Bogowie, jeśli ja też kiedyś byłem taki młody, to nie mogłem sobie tego przypomnieć.

Poszedłem na górę do kwater, zapukałem do drzwi innych z drużyny, ale nikogo nie zastałem, a więc udałem się do swoich pokojów, gdzie znalazłem starannie rozłożony na łóżku mundur. Różnił się od zwykłego białą kurtką ze złotymi guzikami z wybitymi na nich symbolami smoka i ozdobnym kołnierzem, na tyle wysokim, żeby mi zasnuować szyję. Do tego był pas mieczowy, zdobiony srebrną i złotą nicią, ważyący niemal tyle, co Rozpruwacz. Całości dopełniały białe rękawiczki z cienkiej skóry i wypolerowane na błysk kozaki, a także – naprawdę! – krótka lanca, obsadzona złotem i kamieniami szlachetnymi. Popatrzyłem na nią, kręcąc głową. Jeśli przeznaczona była do paradowania na balach, to była następną regułą, którą zamierzałem złamać. Pociągnąłem za sznurek dzwonka i zamówiłem u ordynansa dzbanek wody.

W łaźni napuściłem wody i przejrzałem się w lustrze. Nie było tak źle, jak się obawiałem, ale wieczorem będzie jeszcze widać szramy. Po kąpieli ubrałem się, zobaczyłem na stole zamówiony dzbanek, wypłem łyk, otworzyłem teczkę i zacząłem czytać.

Drzwi otworzyły się z impetem przypominającym Leandrę, ale przede mną stanęła rozgniewana Desina. Aż się spodziewałem małych błyskawic pełzających po jej ciele, jednak pod tym względem obie zdecydowanie się różniły. Lecz nie w tym, jak mroziły wzrokiem.

– Możecie mi wytłumaczyć, co w was wstąpiło, że pozwoliliście wymknąć się tej przeklętej żmii? – warknęła. Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem, choć nawet ich nie dotknęła.

– Dzień dobry, primo – powiedziałem grzecznie, wstając. – Domyślam się, że mówicie o Aseli?

– A o kim innym? – syknęła. – Daliście się jej omotać! Widziałam ją, jak tu stoję, i zapewniam was, że jest na wskroś przesiąknięta klątwą nekromancji. Nie wiem, jak mogliście tak się dać oszukać, ale ze mną jej się to nie uda. Gdzie ona jest, generale?

– Tutaj w każdym razie jej nie ma – odpowiedziałem i wskazałem ręką krzesło. – Proszę, usiądźcie najpierw i...

– I się uspokójcie? – prychnęła. – Nie chcę się uspokoić! Myślałam, że jesteście mądrzejsi! Jak mogliście pozwolić jej zbiec?

– Dobrze – rzuciłem i westchnąłem. – Coś wam pokażę.

Wyjąłem z pochwy Rozpruwacza. Rozwarła lekko oczy i szybkim ruchem uniosła obie dłonie, wywołując lekki ruch powietrza.

Zamarłem w pół ruchu.

– Naprawdę sądzicie, że coś wam zrobię?

– Skąd mam wiedzieć, czy nie przejęła nad wami władzy?

– Racja – przyznałem. – Chcę tylko coś unaocznic. – Opuściłem Rozpruwacza i nieznacznie docisnąłem ostrze do kamiennej posadzki, a potem schowałem go z powrotem do pochwy.

– Widzicie tę szczerbę?

Spojrzała w dół i przytaknęła.

– Co to ma wspólnego z Aselą?

– Dwukrotnie gołym palcem odsunęła od siebie ostrze Rozpruwacza. Nie zranił jej. W przypadku nekromantów wystarcza najlżejszy dotyk, żeby uwolnić zrabowane dusze, ale na nią miecz w ogóle nie zareagował. Mimo to powinna przynajmniej się skaleczyć. Tak się nie stało. To mi mówi, że trudno byłoby stawić jej czoła. Co to mówi wam?

Znowu powiało lekko, poczułem, jak napięcie zelzało.

– Chcecie powiedzieć, że nie możecie jej zranić? – zapytała zaskoczona.

– Rozpruwacz Dusz przecina najlepszą stal. Myślę, że Asela nie jest głupia i że chciała mi coś w ten sposób pokazać.

Desina pokiwała powoli głową.

– Istnieje pewna forma magii, która tworzy barierę między powierzchniami, coś w rodzaju tarczy. Było dosłownie kilka Sów, które opanowały to tak doskonale, że potrafiły powlec swoją skórę warstwą tarczy.

– Sera Helis mówi, że Asela od tamtej pory znacznie wzmożła swoje magiczne zdolności. Siedemset lat to długi czas. – Popatrzyłem na nią ciekawie. – Asela z kolei była pod wrażeniem waszego talentu, maestro. Jak udało wam się przeżyć? Wszak pojedynkowałyście się z nią.

– Dzięki szczęściu i pomocy bogów – westchnęła, odprężyła się i opadła na krzesło, zupełnie nie jak dama. – Czemu się uśmiechacie?

– Nic, nic. Pomyślałem tylko, jaka jesteście młoda.

– Och, pff! – Zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów. – Ciągle to słyszę i myślę, że to samo ustąpi. – Popatrzyła na mnie swoimi zielonymi oczami. – Komendant opowiedział mi o waszej małej wycieczce. Myślę, że powinnam to zobaczyć.

– Lepiej nie.

– Dlaczego?

– Asela powiedziała, że Kolaron odkryłby waszą moc.

– I wy jej wierzycie?

– Nie byliście przy tym, kiedy stanęła przed Soltarem. Nie ukarał jej, tylko okazał jej łaskę. On nie jest taki jak Boron, który może wydałby odmienny wyrok, ale wątpię, czy dałby się oszukać nekromantce. Kimkolwiek jest, to na pewno nie nekromantką. Już nie.

– Właśnie to mnie uwiera – powiedziała Desina i odsunęła włosy z twarzy. – Nigdzie nie ma żadnej wzmianki, że można się uwolnić od przekleństwa. Kiedy ktoś rabuje duszę, staje się przeklęty i zgubiony na zawsze. – Sięgnęła pod szatę i położyła przede mną na stole arkusz papyry. – Proszę. Słyszałam, że chcieliście mieć ten obraz.

Wizerunek przedstawiał młodego mężczyznę o kręconych włosach, wąskiej twarzy i trochę zbyt szeroko rozstawionych oczach.

– Uczeń Erinstor. Skopiowałam jego podobiznę z archiwów.

– Jesteście dobrą rysowniczką – zauważyłem, ale ona potrząsnęła głową tak mocno, że jej rude pukle zawirowały w powietrzu.

– To sztuczka, nic więcej. Kładę arkusze jeden na drugim i mówię im, że są jednym. Potem je rozdzielam i wzmacniam kopię wrażeniem, jakie pozostawił pierwszy arkusz. To ćwiczenie pierwszego stopnia, żeby szybciej się uczyć. Całkiem proste.

– Może dla was.

– Tak – zgodziła się i westchnęła. – Doskonale wiem, co macie na myśli. Utknęłam na próbie czwartego stopnia i jestem pewna, że powinna być całkiem prosta. Gdybym tylko wiedziała, jak ją zdać!

Była tak żywiłowa, że nie pozostawało mi nic innego, jak się uśmiechnąć.

– Śmiecie się, śmiecie – rzuciła skwaszona i przekornie odrzuciła włosy do tyłu. – Mnie to doprowadza do szaleństwa!

– Mogę spytać, o co chodzi w tej próbie?

– Mam sprawić, żeby do misy padał deszcz. Tylko skąd mam wziąć wodę?

Pomyślałem o dżungli, w której dałem smokowi kwiat. Tam powietrze było tak parne, że po jednym oddechu byłem mokry od potu.

– A woda w powietrzu nie wystarczy? – zapytałem.

Zamrugała i popatrzyła na mnie zaskoczona.

– Bogowie! Ależ jestem głupia! – zawołała z ożywieniem. – Macie rację! Nie potrzeba jej *stwarzać*, ona już jest!

Zrobiła ręką gest – zatkało mi uszy – i na stół spadła ulewa. Prędko zabrałem rysunek w bezpieczne miejsce.

– Ha! – ucieszyła się, sięgnęła po dzbanek i rozlała na stole więcej wody. Odstawiła go i przetarła kałużę dłonią. Znowu poczułem nacisk na uszy i woda zniknęła ze stołu bez śladu.

– Bogowie! – wykrzyknęła podekscytowana. – To naprawdę proste. Dlaczego nie wpadłam na to wcześniej?

Podskoczyła, objęła mnie, zanim zdążyłem coś powiedzieć, i podbiegła do drzwi. Tam się odwróciła.

– Muszę wracać, chcę zobaczyć, czego mogę się teraz dowiedzieć. A jeśli chodzi o Asełę, to chcę, nie, muszę ją zobaczyć, muszę przekonać się na własne oczy!

Szarpnęła za drzwi. Za nimi stała Serafine z ręką uniesioną do pukania i zdziwioną miną.

– Wiecie, że on jest mądry? – Desina opromieniła Serafine wzrokiem, objęła ją żywiołowo i odbiegła, zanim Serafine pojęła, co się dzieje.

29

SZTOKFISZ

Serafine obejrzała się na Desinę i weszła do środka.

– Wyglądasz, jakby cię czymś zbiła z tropu – odezwała się.

– Wpadła tu z pretensjami, że darowałem życie Aseli, potem wywołała ulewę, a na koniec nazwała mnie mądrym i wybiegła.

– Te guzy to też ona? – spytała z rozbawieniem.

– To akurat była Rellin. Wściekła się, kiedy zasugerowałem, że prędzej pozwoli umrzeć własnemu synowi, niż złamie jakieś głupie reguły.

– Och. Aż dziwne, że cię zostawiła przy życiu – stwierdziła z lekkim uśmiechem.

Zmierzyłem ją badawczo wzrokiem: tryskała humorem i wyglądała jakoś inaczej. Wzięła krzesło i usiadła naprzeciwko mnie.

– I? – zapytała.

– Nowa sukienka? – odważyłem się zgadnąć, na co parsknęła śmiechem.

– Nie. Leandra ułożyła mi włosy i ucięłyśmy sobie pogawędkę.

– Włosy? Pogawędkę? – zdumiałem się. Nie miałem pojęcia, że Leandra potrafi coś takiego. – Włosy wyglądają ładnie – pospieszyłem z zapewnieniem. Serafine miała gęste, kruczoczarne, błyszczące włosy. Zawsze mnie fascynowały. Nie była z nami podczas walki w świątyni wilka i dlatego nie straciła włosów. To było zaledwie kilka tygodni temu, a włosy Zokory i Leandry odrastały bardzo powoli. Zokorze jakoś to nie przeszkadzało, ale Leandra bardzo cierpiała.

– A co innego miałbyś powiedzieć – stwierdziła ze śmiechem. Popatrzyła na rysunek na stole. – Kto to jest?

– To uczeń Sów Erinstor.

– Po co chciałeś wiedzieć, jak wyglądał? Pewnie już od dawna nie żyje.

– A wiadomo? Jeśli jeden znalazł sposób na długie życie, to może i drugi.

– Zgoda, to jest jakiś argument. – Studiowała przez chwilę podobiznę. – Ma szeroko rozstawione oczy, powinno się go łatwo rozpoznać. – Popukała palcem w teczkę Rellin. – A to?

– Propozycje Rellin, jak łamać reguły. Chodzi o traktat askirski. Byki stanowią świetną piechotę, ale bez wsparcia nie są wystarczająco dobrzy. Mogą się tylko bronić, nie nadają się do szybkich ataków. – Wstałem i zacząłem niespokojnie krążyć po pokoju. – Kiedy chodzimy po Askirze, uderza mnie fakt, że nic nie wskazuje na to, by

miasto walczyło o przetrwanie. Ludzie jakby nie wiedzą, że znajdują się w stanie wojny. – Odwróciłem się do niej. – Widziałaś akt oskarżenia, który miał przy sobie agent Rady Handlowej. On uważa, że rządzi Rada Handlowa, zaś Rada jest przekonana, że chodzi wyłącznie o złoto!

– To nie moja wina – zaprotestowała. – Nie patrz tak na mnie.

– Tak – przyznałem. – Nadciąga burza, a ludzie udają, że świeci słońce. To samo powiedziałem Rellin. Mając pięć tysięcy żołnierzy, zająłbym całe królestwo. Ono stoi na glinianych nogach i nie jest zdolne do oporu.

– Może go nie doceniasz – rzuciła z namysłem Serafine. – Wojska na Wschodnich Rubieżach wiedzą, co to znaczy być na wojnie. Gdyby ludzie w dużych miastach drżeli ze strachu, armia mijałaby się z celem!

– Wiesz, że oni tam bez cienia miłosierdzia dokonują rzezi? – zdenerwowałem się. – Rellin właśnie mi powiedziała, że nikomu nie okazują łaski i zabijają nawet dzieci! To nie w porządku walczyć w taki sposób, w dodatku to marnotrawstwo zasobów... oni zamykają sobie drogę do rozwiązania problemu!

– Tak – powiedziała spokojnie. – Wiem.

– Wiesz? – zdziwiłem się.

– Wystarczająco długo byłem żołnierką – wyjaśniła ze wzruszeniem ramion. – Jeśli chcę wiedzieć, co się dzieje i gdzie, idę do karczmy, gdzie przesiadują żołnierze, słucham, gram w kości albo karty... Mija trochę czasu i dyskretnie podpytuję, o co tylko zechcę. Żołnierze lubią gadać i się przechwalać, jak przeżyli.

– Zabijaniem dzieci się nie przechwalają.

– Tym nie – przyznała mi rację. – O tym tylko przebąkują. Wyobrażasz sobie człowieka, który nie wie, że dzieci trzeba chronić, a nie zabijać? Wiesz, jak często ci mężczyźni rzucają się na własne miecze albo tracą zmysły? Albo dezercerują? Słyszałam, że niecałe trzysta lat temu, kiedy po raz pierwszy wydano ten rozkaz, cała lanca odmówiła jego wykonania! Ani jeden żołnierz nie był do tego gotów!

– I dobrze! – powiedziałem. – Jeśli rozkaz jest niehonorowy albo wymierzony przeciwko woli bogów, to każdy powinien sam zdecydować, czy go wykona.

– Za karę co dziesiąty musiał wystąpić z szeregu. Zostali zabici przez własnych towarzyszy broni. – Popatrzyła na mnie niemal błagalnie. – Havaldzie, ci żołnierze dostają za to żołd, to jest ich praca, ich życie. Muszą wykonywać rozkazy! Jeszcze nigdy nie posłuchałeś rozkazu, który byłby sprzeczny z twoim sumieniem?

– Owszem – przyznałem z goryczą. – Nieustannie żałowałem! Nie rozumiem tylko, dlaczego zostały wydane takie rozkazy!

– Legiony na Wschodnich Rubieżach zawsze podlegały tamtejszemu marszałkowi. Jeden wydał taki rozkaz – powiedziała. – Od tamtej pory nie było już odwrotu. Mimo

to próbują tego unikać. Marszałek od jakiegoś czasu ma nawet własne oddziały, które przeprowadzają takie akcje odwetowe.

Wstała i podeszła do mnie.

– Nie możemy porozmawiać o czymś innym? – poprosiła. – Chciałabym wiedzieć, czy to prawda, że zniknąłeś z komendantem na prawie dwie świece, a potem widziano was w najlepszej komitywie na placu.

Miała rację. Rellin też. Nie mogłem zmienić wszystkiego... najpierw tylko to, co wydawało się konieczne, a cała reszta przyjdzie później. Ustalenie, o co chodzi z barbarzyńcami na Wschodnich Rubieżach, z jakichś powodów wydawało mi się ważne, ale nie teraz.

– Asela pokazała nam portal i powiedziała, że prowadzi do serca wroga. Udaliśmy się tam, komendant i ja. – Poszukałem fajki, nabiłem ją i zapaliłem. To mi pomogło się uspokoić. – Znaleźliśmy się w stolicy wroga, monstrualnym mieście przypominającym bardziej mrowisko niż twór zbudowany przez ludzi. Jest w nim coś dziwnego i obcego.

– Obcego? Co masz na myśli?

– Jak powiedziałem. Domy zostały wzniesione ludzką ręką i mieszkają w nich ludzie. Ale plan życia powstał w umyśle, który nie jest ludzki. To sprawia, że się boję.

– Ty?

– Często się boję – przyznałem. – Strach ma sens. Uskrzydla myśli... i stopy. – Pociągnąłem z fajki i wydmuchałem dym w górę, a potem w zadumie śledziłem go wzrokiem. – Dzięki temu przekonałem go, że jeśli Askir ma wygrać tę wojnę, musimy zmienić reguły gry. Dzisiejsze prawo to prawo na czasy pokoju. To się musi zmienić. – Wzruszyłem ramionami. – Myślę, że widok tego miasta przekonał go, że trzeba zmienić strategię.

– Co zamierzasz?

– Może nic – powiedziałem. – To zależy, co zadecyduje Rada Koronna.

Popatrzyła na mnie pytająco.

– Jeśli decyzja będzie nie po naszej myśli, jeśli sojusz się rozpadnie, wtedy będziemy musieli zrobić coś, żeby stawić czoła wrogowi, nieprawdaż? Nie zaszkodzi na zapas przemyśleć to i owo. – Chciałem zmienić temat. – Powiedz, o czym rozmawialiście z Leandrą?

– O tobie.

– I?

– I nic. Najpierw zgodziłyśmy się co do twoich wad. – Roześmiała się. – W gruncie rzeczy rozmawialiśmy bardziej o strojach niż o tobie.

Obrzuciłem ją baczny spojrzeniem.

– Umiesz tańczyć?

– Oczywiście, że tak, to nietrudne. Jeśli mężczyzna ma talent do prowadzenia, to poprowadzi w tańcu każdą kobietę.

– A jeśli nie?

– Wtedy trzeba poszukać mężczyzny, który umie tańczyć.

– Mogłabyś mnie nauczyć? – zapytałem z nadzieją.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Wiele rzeczy zostało po starem, zwłaszcza tu, w Askirze – odpowiedziała. – Ale z tańcami jest inaczej, tańce ciągle się zmieniają.

– Orikes powiedział mi, że są mężczyźni, którzy uczą tańca.

– No widzisz. Czyli problem rozwiązał się sam.

– Nie wiem – powiedziałem. Popatrzyłem na nią z namysłem i przypomniałem sobie jej słowa, jakie wypowiedziała po zamachu na nas. – Finna, przydałaby mi się pomoc, ledwie zacząłem, a już mnie wszystko przerasta. Czy byłabyś gotowa wstąpić do legionu? Potrzebuję adiutanta.

– Nie – odparła zdecydowanie. – Oddałam już życie cesarzowi i dzięki łasce Soltara dostałam nowe, które chcę zachować dla siebie.

– A jeśli zmienimy reguły?

– Jak?

– Byliście pracowici – stwierdził Orikes lekko skwaszony, kiedy się u niego zjawiliśmy. Wskazał na stertę akt, które piętrzyły się na jego biurku. – Nie robię nic innego poza zestawianiem dokumentów, których zażądaliście. Czego chcecie tym razem, generale?

– Chcę mianować serę Helis moją adiutantką. Ufam jej, no i ma wiedzę oraz zdolności, których potrzebuję.

– Nic nie stoi na przeszkodzie – odpowiedział i zmierzył ją wzrokiem. – Pozwoliłem sobie przeczytać akta sierżant sztabowej Serafine Konai. Pozostaje tylko sprawdzić, czy to naprawdę ona.

– Nie w tym rzecz – powiedziałem. – Chcę, żeby była moją adiutantką, ale z możliwością porzucenia służby, jeśli zechce, bez względu na okoliczności.

– Hm – mruknął. – Co wy na to, sera Helis?

– Tym razem planuję życie inne niż wypełnione służbą w legionie. Jestem gotowa nosić mundur tak długo, jak długo Havald będzie mnie potrzebował. Lecz jeśli okoliczności się zmienią... jeśli polegnie... – Przełknęła ślinę. – Wtedy chcę móc odejść, bo legiony zabiorą mi tyle, że nie będę w stanie znieść więcej.

Orikes długo jej się przyglądał, w końcu zwrócił się do mnie:

– Adiutant powinien mieć odpowiednią rangę. Czy stopień majora sztabowego wystarczy?

– Tak – odparłem. Serafine zamrugła zaskoczona. – Myślę, że będzie odpowiedni.

– Dobrze. Decyzję sporządzę osobiście. Gdybym to zlecił, pomyślano by, że się pomyliłem, i chciano by naprawić *pomyłkę*. – Uśmiechnął się pod nosem. – Witajcie z powrotem, sera major.

– To wszystko? – zapytała zaskoczona.

– Byłoby inaczej, gdyby nie to, że przed chwilą był tu komendant, aby powiadomić mnie, że generał ma otrzymać wszystko, czego tylko sobie zażyczy – odpowiedział. Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że nie był zachwycony. Rzucił mi ostre spojrzenie. – Reguły i prawa nie istnieją bez powodu – oświadczył. – Boron też nie zmienia ciągle zdania.

– On jest bogiem – odparłem. – Można od niego wymagać, że od początku zrobi coś dobrze. Ludzie się mylą. Tak to już jest. Ale jeśli dostrzegają swoje błędy, to chyba mogą je naprawić, nieprawdaż?

– Nie rozumiem tylko, jak zdołaliście nakłonić komendanta, żeby dał wam wolną rękę. To więcej niż niezwykle.

– Pułkowniku, znacie komendanta znacznie dłużej niż ja. Czy nie powinniście ufać, że wie, co robi? I jeszcze jedno: ilu generałów lancy jest w mieście?

– Tylko wy.

– Powiedzcie mi jedno, czy nie przyszło wam do głowy, że teraz jestem najwyższym rangą oficerem w cesarskim mieście po komendancie? Jestem jego zastępcą.

Wybałuszył oczy.

– O tym w rzeczy samej nie pomyślałem! Dotychczas to ja nim byłem!

– Nie martwcie się. W niemal wszystkich kwestiach nadal nim będziecie. Bardzo was korci, żeby dowiedzieć się, co skłoniło komendanta do zmiany swego nastawienia do mojej osoby, mam rację?

– Owszem – przyznał ponuro. – Nie powinno was to dziwić.

– Zapytałem go, jakie ma powody, że nie traktuje mnie na serio. – Wstałem. – Jeśli przyjdzie wam jakiś do głowy, możecie się tym spokojnie z nim podzielić.

– Przychodzą mi do głowy tysiące powodów – oznajmił z goryczą. – Jeśli przekonam się, że któryś jest istotny, nie omieszkam dać mu znać! I jeszcze jedno. O piątym dzwonie zgłosi się do was niejaki ser Afente, aby udzielić wam lekcji tańca. Przeprowadzi ze sobą dwóch grajków. Przygotowano dla was jedno z pomieszczeń w hali fechtunkowej.

– Dziękuję, pułkowniku – powiedziałem uprzejmie.

– Błogosławieństwo bogów niech będzie z wami, ser, sera – pożegnał się Orikes. Wyszliśmy.

Ledwie opuściliśmy pomieszczenie, Serafine syknęła:

– Bogowie! Co ty zrobiłeś z Keralosem? Przystawiłeś mu miecz do gardła?

– Nie – odpowiedziałem cicho. – Pokazałem mu miecz, który przystawia mu do gardła ktoś inny, i pokazałem perspektywę, w której zabiorę stamtąd ten miecz. – Zaśmiałem się. – Powinnaś być mi wdzięczna.

– Dlaczego? – zapytała nieufnie.

– Nie musisz już zamawiać nowych sukien. Wystarczy paradny mundur.

Zatrzymała się i popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Uważasz, że powinnam być ci wdzięczna za to, że nie będę musiała mierzyć przed lustrem pięknych nowych sukien? Że będę nosić buty z cholewką, a nie pantofelki z haftowanego jedwabiu? Nie będę pudrowała i różowiła policzków? – Sposób, w jaki na mnie patrzyła, ani trochę mi się nie podobał.

– Tak mniej więcej – przyznałem ostrożnie.

– Jesteś beznadziejnym przypadkiem, Havaldzie – oznajmiła i pokręciła głową. – Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Lepiej już pójdę.

– Dlaczego? Dokąd chcesz iść? – zapytałem zaskoczony. – Miałem nadzieję...

– Wróć. Idę do zbrojmistra, żeby pobrać wyposażenie. A potem będę przymierzać hełmy, tak długo, aż któryś mi będzie pasował. – Zauważyła moje nierozumiejące spojrzenie. – Nie mogę pozwolić sobie na odrobinę próżności? Jak myślisz, co się stanie z moją fryzurą, kiedy zacznę przymierzać ciężkie szyszaki?

– Och.

Westchnęła, podeszła do mnie i cmoknęła w policzek.

– Jeśli to jedyna ofiara, jakiej wymaga ode mnie cesarz, to niech tak będzie. Wróć do ciebie, jak tylko będę gotowa.

– Nazywam się Stofisk, ser. Nie Sztokfisz! – skorygował mnie uprzejmie, lecz zdecydowanie porucznik.

Było tuż po czwartym dzwonie, kiedy zapukał do mojego gabinetu. Proporce zniknęły, sztandar również; zdobyły teraz kancelarię i nie zakłócały mojej uwagi. Miałem nadzieję, że to Serafine, i zawołałem radośnie „proszę!”, ale się rozczarowałem.

Porucznik był roslym mężczyzną, niewiele niższym ode mnie, ale bogowie spłatali mu figła. Jego twarz przypominała oblicze konia, a chociaż był naprawdę wysoki, brakowało mu masy ciała. Był jednym z tych tyczkowatych szczupaków, którzy mogą się chować za pnem drzewa, i chyba pierwszym Bykiem, który nie miał mięśni. Cud,

że zbrojmistrz w ogóle znalazł dla niego pasującą zbroję. Nie potrafiłem sobie wyobrazić Stofiska w pancerzu płytowym, wizja ta wydała mi się śmieszna.

Wystarczyło spojrzeć, żeby domyślić się, na czym polegał jego problem. Stofisk zadał sobie wiele trudu, żeby się wyszykować. Wypucowane buty aż błyszcząły, twarz była ogolona bez zarzutu, świeżo wypomadowane, krótkie włosy układały się falami na głowie, mundur leżał idealnie, i tym razem porucznik nie zapomniał miecza. Za to kołnierzyk... Kołnierzyki żołnierskich koszul przypinało się na guziki, żeby ułatwić ich pranie. On zapomniał go przypiąć i miał już szyję obtartą do żywego od brokatowej tkaniny kołnierza kurtki.

Pomijając wpadkę z kołnierzykiem oraz to, że przypominał łamliwy patyk, nie było się do czego przyczepić, w gruncie rzeczy zrobił na mnie lepsze wrażenie, niż się spodziewałem. W każdym razie pewności siebie mu nie brakowało, bo moje spojrzenie odwzajemnił z godnym pozazdroszczenia spokojem.

– A więc Stofisk – odezwałem się i wskazałem teczką z jego aktami na krzesło. – Zdajecie sobie sprawę z waszego problemu?

– Tak – odpowiedział. – Nie nadaję się do wojska.

– Hm – mruknąłem i zajrzałem do akt. Były gęsto zapisane i zawierały sporo rzeczy, których nie rozumiałem. Będę musiał zapytać o nie Serafine. Lecz ocenianie człowieka na podstawie tego, co ktoś inny napisał o nim na papierze, było nie w moim stylu.

– Potrafcie obchodzić się z mieczem?

– Dwukrotnie prawie zostałem mistrzem miecza Trzeciego Legionu.

– Dlaczego prawie?

– Pierwszy raz zapomniałem rękawic i doznałem ciężkiej rany. Za drugim razem zmierzyłem się z majorem Blixem, a on był lepszy.

– Hm, a dlaczego nie poprosiliście kogoś o pożyczenie rękawic?

– To był mój błąd, ser.

Aha, pomyślałem i stłumiłem uśmiech. Spodobała mi się ta odpowiedź, to nie był ktoś, kto chciał się wymigać od odpowiedzialności.

– Macie jakieś złe nawyki?

– Ser? – Popatrzył na mnie pytająco.

– Pijecie, macie słabość do owocu maku, a może do wdzięków pięknych kobiet?

– Nie, ser. Piję tylko umiarkowanie, nie lubię, jak coś zamula mi umysł, nie zażywam maku. A piękne kobiety? Spójrzcie na mnie.

– Jesteście bogaci i macie w tym mieście znajomości.

– Tak. – Skinął głową, a chociaż starał się zachować neutralny ton, nie dało się nie zauważyć gorzkiej nuty. – Od ostatniej kobiety, o którą chciałem zabiegać, usłyszałem, że odpowiednia ilość złota potrafi upiększyć nawet konia.

– Hm – mruknąłem, odchyliłem się do tyłu i przyjrzałem się Sztokfiszowi dokładnie.

– Co sądzicie o przenosinach do mojego sztabu?

– To dla mnie ostatnia okazja, żeby się sprawdzić. Sierżant generalna Rellin poinformowała mnie, że rozważają cofnięcie mi patentu. Mojej rangi oficerskiej – dorzucił, zanim zdążyłem zapytać.

– Jak to się stało, że zostaliście oficerem?

– W dużej mierze dzięki wpływom, ser – przyznał. – Tak bardzo tego chciałem, że nie rozumiałem, iż chęć kupienia sobie patentu to błąd.

– Nie wiedziałem, że istnieje możliwość kupienia patentu oficerskiego.

– Bo nie istnieje – odparł zakłopotany. – Nie znacie mojej matki.

– Kim jest wasza matka?

– Hrabina Stofisk. Dom kupiecki? – Zauważył moje spojrzenie. – Nie znacie domu kupieckiego Stofisk? – zapytał z niedowierzaniem.

– A powinienem?

– Ma największe wpływy w mieście, po domu bankierskim barona Cortena. – Zakłopotany spuścił wzrok. – To mój ojciec, ser.

– Kto? Baron Corten?

– Tak – potwierdził i spłonął rumieńcem. Zorientował się, że nie rozumiem. – Lubią się ze sobą mierzyć.

– A dlaczego... – urwałem. To naprawdę nie była moja sprawa.

– Byli sobie przeznaczeni od dziecka – wyjaśnił. Jego uszy płonęły. – Ale ona powtarza, że zanim pójdzie z nim do świątyni, on musi wyznać jej miłość. On z kolei upiera się, żeby przyznała, że to on jest lepszy w interesach.

Chrząknąłem. Wołałem tego nie zgłębiać. Biedaczysko wyglądał, jakby czekał, aż pochłonie go ziemia.

– A zatem wasi rodzice są arystokratami – stwierdziłem. – Jak to możliwe? Myślałem, że w Askirze nie ma arystokracji.

– Większość domów kupieckich wżeniał się w arystokratyczne rody, żeby kupić sobie przywileje. Tak było z rodziną mojej matki, właśnie dlatego została przyrzeczona baronowi. On pochodzi ze starej aldańskiej szlachty. Miał mojej matce za złe jej przekonanie, że się nie zna na pieniądzach, więc założył dom bankierski.

I tak oto znaleźliśmy drugi powód, dlaczego porucznik nie miał łatwo. Otwierał przed każdym swoje serce.

Stłumiłem westchnienie.

– Myślicie, że przydadacie się w moim sztabie?

– Tak jest, ser! Jestem pewien!

Tym mnie zaskoczył.

– Skąd ta pewność?

– Znam protokół – odparł z zapałem. – Nie tylko wojskowy, wiem również, jak się poruszać w towarzystwie. Mówię płynnie w dziewięciu językach, także w meladri i głównym dialekcie, który jest tam w użyciu.

– Gdzie? – spytałem skołowany.

– W królestwie Xiang. Meladri to język używany na tamtejszym dworze, ale lud w większości mówi aniri. Mają tam setki dialektów, ale znając te dwa, człowiek sobie poradzi.

– Jakie jeszcze macie zdolności? – zapytałem. Już same języki były użyteczne.

– Studiowałem na akademii sztuk w Askirze, no i oczywiście na akademii wojskowej.

Oczywiście.

– Gram na szpincie i lutni – dorzucił.

– Uczą tego na akademii wojskowej? – zdziwiłem się.

– Nie, ser. Na akademii ukończyłem z wyróżnieniem budownictwo. Wały obronne, fortece i kopalnie.

– A więc potraficie czytać mapy i plany budynków?

– Tak, ser. Oczywiście, ser!

– Wezmę was na próbę, poruczniku. – Wskazałem mu drugie biurko. – Powiedzcie sierżantowi Lamertowi, żeby załatwił wam drugie biurko, niech je postawi tam. Ale najpierw... – Nachyliłem się nieco do przodu. – Wyobraźcie sobie, że jestem świniopasem, który nie ma pojęcia o towarzyskich strukturach tego miasta, a dziś wieczorem musi zabłysnąć na balu w ambasadzie. Powiedzcie, co powinienem wiedzieć.

– Weźmiecie mnie na próbę, ser? – ożywił się.

– Tak – westchnąłem. – Jeśli mi udowodnicie, że słuchacie moich pytań!

– Tak jest, ser, oczywiście! Świniopas na balu w ambasadzie? To taki żart, prawda? A może chcecie mnie sprawdzić?

– Jeśli chcecie, możecie podejść do tego w ten sposób.

– Och... Obawiam się, że będzie trudno...

W głębi duszy tak właśnie przypuszczałem.

Porucznik, gdy się rozpędził, pytlował wesoło z pałającym wzrokiem. Stwierdziłem przy tym dwa fakty. Z rozbrajającą szczerością zdradzał nie tylko swoje, lecz i cudze tajemnice oraz był pod tym względem istną kopalnią złota, której tak bardzo potrzebowałem. Zużyłem już drugie pióro i bolała mnie ręka od pisania. Miałem tylko nadzieję, że będę w stanie odczytać swoje notatki.

Kiedy weszła Serafine, porucznik zerwał się z miejsca i zasalutował.

Oniemiałem. Miała na sobie nowy mundur, typowy dla Byków rajtrok, podkreślający talię pas mieczowy i kołnierz, uwydatniający jej długą szyję... na bogów, zaiste nie potrzebowała żadnych nowych sukien!

Wzięła do ręki teczkę z propozycjami Rellin i usiadła cicho przy drugim biurku. Od czasu do czasu zerknęła rozbawiona na porucznika, który dalej trajkotał jak najęty o ślubie kuzynki z pewnym starcem, który zmarł na starość jeszcze w drodze powrotnej ze świątyni, i plotce, jakoby wino mszalne przeszło przez ręce panny młodej, która nosiła na ręku wielki pierścień i...

Powoli zadawałem sobie pytanie, czy naszego porucznika Sztokfisz nie odsunięto do legionów, żeby nie napytał jakiejś biedy. Zacząłem odnosić wrażenie, że jeśli ktoś z wyższych sfer Askiru nie miał jeszcze żadnego trupa w szafie, to tylko dlatego, że morderstwo było dopiero w planach. Ale Sztokfisz na pewno wiedziałby o tym z wyprzedzeniem.

– Skąd go wytrzasnąłeś, na wszystkich bogów? – zaśmiała się Serafine, kiedy tuż przed piątym dzwonem przeszliśmy do hali fechtunkowej.

– Napatoczył się. Nikt inny go nie chce.

– Ten człowiek jest śmiertelnie niebezpieczny – orzekła, kręcąc głową. – Naprawdę mam iść z tobą na tę lekcję tańca? – zapytała. – Muszę dowiedzieć się jeszcze tego i owego.

Zawahałem się.

– Wolałbym tak.

Okazało się, że jej obecność była konieczna. Z początku nie było źle, choć ten cały Afente z miejsca wzbudził we mnie niechęć. Miał na sobie bogato wyszywany kaftan, krótkie pumpy i długie, bocianie nogi obłócone zielonymi pończochami z hafcikiem w żółte róże. Przypominał żurawia nastroszonego jak paw. W dodatku przemawiał wysokim, nosowym tonem i w nieznośny sposób spoglądał na wszystkich z góry. Był, jak się zdaje, ważną personą i przechwalał się, że udziela lekcji książętom. Wymienił cały szereg nazwisk, z których dzięki naszemu Sztokfiszowi parę już znałem.

Wszystko to dało się jeszcze znieść do chwili, gdy podczas obrotu do taktów muzyki, od której bolały uszy, złapał mnie za tyłek i przyciągnął do siebie.

– Tak! – zapiął falsetem. – Tak właśnie... – Nie zdołał powiedzieć nic ponad to.

– Havaldzie! – krzyknęła Serafine, odciągając mnie od niego. – Pozwól temu nieszczęsnemu mężczyźnie żyć!

– Obmacywanie mnie po tyłku to nie żaden taniec! – zapieniłem się. Serafine powstrzymywała mnie z całych sił, a Aldańczyk uciekał w popłochu. Grajkowie

podążyli za jego przykładem, posyłając mi załężnione spojrzenia.

– Havaldzie – próbowała mnie uspokoić Serafine, wyglądając jednak na dość rozbawioną. – On chciał tylko skorygować twoją postawę!

– Puść mnie, a ja mu już skoryguję jego postawę! – prychnąłem.

– Więc powinnam chyba trzymać cię mocniej – zaśmiała się i dała mi buziaka.

30 BAL

Później włożyłem mundur, by się przekonać, jak bardzo uciskał mi szyję. Serafine poinformowała mnie, że choć Leandra również miała wziąć udział w balu, nie mogliśmy udać się tam razem z nią. Była królową i miała własną świtę, choć obecnie tylko „wypożyczoną”. My zaś reprezentowaliśmy Askir, musieliśmy więc przybyć osobno. Jak szybko roznosiły się tutaj wieści, pokazał towarzyszący nam Sztokfisz. Siedząc w powozie, który miał nas zawieźć do ambasady znajdującej się zaledwie parę kroków dalej, powiedział, że wszyscy już rozprawiają, jak o mało nie udusiłem ser Afentego.

– Jest bratem Astarte – obwieścił niefrasobliwie porucznik. – Ale to jest konieczność.

– Co? – spytałem obcesowo. Serafine z trudem udało się stłumić śmiech.

– Bycie bratem Astarte – rzekł porucznik pogodnie. – Inaczej ojcowie nie powierzaliby mu córek. W każdym razie to nie powinno zaszkodzić waszemu imieniu.

– Imieniu?

– Waszej popularności – odparł. – Wasza renoma jest jak moneta, należy ją starannie przechowywać, żeby w odpowiednim momencie mogła stać się wekslem. W ten sposób tutaj osiąga się cele. Złota wszyscy mają pod dostatkiem. Słyszałem, że Ragnar Hraldirsson jest waszym przyjacielem.

– Tak – przyznałem. – Lecz jeśli chcecie mnie przekonać, żebym nie pielęgnował tej przyjaźni, to lepiej od razu o tym zapomnijcie.

– Nie, ser – oświadczył z powagą. – Gdzieżbym śmiał. Chciałem powiedzieć, żebyście się go trzymali, on opanował tę grę do perfekcji.

– Ragnar? – zdumiałem się.

– Tak – potwierdził z błyszczącymi oczami. – To, jak wyeliminował swego przyjaciela, tego Angusa, jest tematem numer jeden w całym mieście. Och... – Spojrzał na mnie. – Podobno księciu towarzyszyli jacyś sera i ser. Czyżbyście to byli wy?

– Tak – westchnąłem.

– W takim razie miejcie się na baczności przed kobietami – poinformował mnie wesoło. – Owiną was niczym morskie węże, żeby zastawić na was sidła!

– Nie sądzę – wtrąciła lodowato Serafine.

– Będzie potrzebował twardego kija, żeby je odgonić – odpowiedział porucznik, lekceważąc wyraźne ostrzeżenie. – Zasięgnąłem języka o generale, chciałem wiedzieć, co ludzie o nim mówią. Podobno sam koronował waszą królową, jest jej kochankiem, a w Besarajnie miał przygodę z księżniczką Marinae, z którą spędził bez żadnego nadzoru wiele dni. To jej dziecko raczej nie jest jego, ale ludzie spekulują, jak dobrze zna się z emirą. Z kolei Varlandczycy cieszą się u kobiet pewną sławą, a trochę z tej sławy przechodzi też na generała, bo przecież przyjaźni się aż z dwoma z nich. O tym Angusie powiadają w Aldane, że jeśli chodzi o kobiety, to w łóżku jest istnym zwierzęciem i... Co takiego? – zapytał zdziwiony. – Czemu tak na mnie patrzycie?

– Havalld chciał powiedzieć – pospieszyła z wyjaśnieniami Serafine, zaciskając rękę na moim ramieniu – że nie ceni sobie pogłosek tego rodzaju. Jest paladynem królowej i byłby zmuszony wyzwać na pojedynek każdego, kto rozsiewa plotkę o romansie między nim a królową. Która to plotka – dodała z naciskiem – nie jest prawdą. Pogłoski o Besarajnie również nie są prawdziwe. Generał uratował księżniczkę z rąk handlarzy niewolników i przyjaźni się z emirą oraz jej małżonkiem.

– A więc to był czyn bohatera? Doskonale! Nie powinno być problemu ze skorygowaniem pogłosek. To, że jest paladynem, wyjaśniałoby zażyłość, o jaką się ich posądza, w dodatku dodaje szczypty pikanterii, nieszczęśliwa miłość, te rzeczy. Bardowie będą to uwielbiać.

Z mojego gardła wyrwał się dźwięk. Serafine ścisnęła mocniej moją rękę.

– Poruczniku – powiedziała grzecznie – przyjmijcie ode mnie dobrą radę. Jeśli chrząknę, powinniście niezwłocznie zboczyć z obranego wątku, bowiem stąpacie po bardzo cienkim lodzie.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Dziękuję za radę. Chcecie zasugerować, że generał...

Serafine chrząknęła znacząco.

– Och – powiedział Sztokfisz i zamilkł.

Wpływy królestwa Aldane stały się widoczne, kiedy nasz powóz utknął w kolejce. Ze cztery tuziny karet zaprzęzonych w nerwowe konie czekały do wejścia do ambasady. Otworzyłem drzwiczki i się wychyliłem; za nami stało jeszcze więcej powozów. Stangreci palili fajki i popijali z manierek, a strażnicy zbrojnej eskorty, zwolnieni z obowiązków, grali w kości lub zabijali czas w inny sposób.

My też mieliśmy eskortę, Byków z Pierwszego Legionu, jadących na koniach obok powozu. Na ich widok uśmiechnąłem się pod nosem, widać jeszcze się zdarzało, że ciężka piechota siedziała mocno w siodle.

Kiedy tak czekaliśmy, sunąc do przodu w ślimaczym tempie, przyglądałem się uprzęży i uzbrojeniu. W końcu zwróciłem się do Serafine.

– Znasz ten rodzaj zbroi? – spytałem.

Skinęła głową z uśmiechem.

– Podoba ci się?

– Jest przeznaczona do walki konno – stwierdziłem. – Podoba mi się ta warstwa łuskowa na plecach i brzuchu. I wzmocnione taszki i nagolenniki, chronią bardziej na zewnątrz... a to po wewnętrznej stronie to kolczuga?

– Dokładnie tak. Kolczuga leży między dwiema warstwami skóry. Mniej obciera.

Im dłużej przyglądałem się uzbrojeniu i uprzęży, tym pod większym byłem wrażeniem. Dostrzegłem przy siodle dodatkowe kłapy sakw i zapytałem, do czego są przeznaczone. Jedna na krótki łuk ze stali, druga na groty do lanc. Miecze konnych były lekko zakrzywione, aby w locie zadać cios z siodła. Pancerze nie miały wiele wspólnego ze zbroją Byków, wydały mi się tak dobrze pomyślane, że nie mogłem wyjść ze zdumienia.

Ciężkie zbroje dla jazdy stanowiły wielkie wyzwanie, wbrew nazwie nie mogły być ciężkie, bo z każdą dodatkową uncją koń szybciej się męczył.

– Nigdy wcześniej nie widziałem takich zbroi – powiedziałem z zachwytem. – Jak to możliwe, że nasza eskorta wyposażona jest w takie cuda, skoro konnicy prawie już nie ma?

– W dawnym królestwie oddziały konnicy były liczne i powszechne – odpowiedziała. – Były Jednorożce, wyposażona w łuki kawaleria myśliwska, w której służyły wyłącznie kobiety, potem Niedźwiedzie, ciężka kawaleria, wreszcie elfy, Jeźdźcy Gryfów. Leandra nadal nosi taką zbroję, waży niewiele więcej od skórzanej.

– Tak. Królewski skarb – potwierdziłem. – Czy zbroja naszej eskorty to ta od Niedźwiedzi?

– Nie. Jest jeszcze inna kawaleria... Jeźdźcy Smoków. – Uśmiechnęła się pod nosem, dostrzegając moją minę w nikłym świetle niewielkiej latarki, wiszącej w środku powozu. – Nie jeżdżą na smokach – zaśmiała się. – To gwardia przyboczna cesarza. Nazywa się ich Smokami, bo mają na napierśnikach znak Askiru. Na pewno już je widziałeś, mają czerwone pióropusze na hełmach. I szkarłatne peleryny.

Nie przypominałem sobie.

– Nadal istnieją?

– Tak, jest ich dwudziestu czterech, tworzą gwardię przyboczną komendanta.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zdumiałem się.

– Zadaję pytania – odparła z uśmiechem.

– Ciężkie są? Te ich zbroje?

– Nie cięższe od twojej kolczugi, Havaldzie. Są ze specjalnej, wyszukanej stali, wytwarzanej u nas w kuźni arsenału.

– Jak myślisz, mają ich więcej?

Wzruszyła ramionami.

– Tutaj są cztery. Pewnie gdzieś jeszcze jakieś są, ale niezbyt dużo. Ale ty masz taką zbroję, Havaldzie.

– Słucham? – zdziwiłem się. – Gdzie ona jest? Wśród prezentów od emira? – Jeśli tak, to byłem głupcem. Zbroje Byków ograniczały mi ruchy, sprawiały, że byłem zbyt powolny, by wyprowadzać błyskawiczne ataki Rozpruwacza albo jego szybkie parady; zbyt często nadwyręzałem sobie przez to mięśnie.

– Pamiętasz, że w Gasalabadzie Kasale kazała sprowadzić dla ciebie generalską zbroję? To właśnie taka, jaką ma na sobie ten major... – Uśmiechnęła się lekko. – Byki są piechotą, to prawda, ale generał ma przywilej jechać na koniu... a na koniu zbroja przeznaczona dla piechoty to zły pomysł, przynajmniej dla szkapy.

– Bogowie – zakląłem. – Chcesz powiedzieć, że taka zbroja leży w tej przeklętej skrzyni? Tej, którą ciągnęliśmy ze sobą z Gasalabadu aż tutaj?

– Tak – powiedziała i zaśmiała się cicho. – Myślałam, że nie chcesz jej nosić, bo w ogóle nie lubisz zbroi. Nawiasem mówiąc, te zardzewiałe strzępy, które nazywasz swoją kolczugą, to obraza dla oczu zbrojmistrza.

– Uratowała mnie wiele razy i ma ponad sto lat – zaprotestowałem.

– Właśnie tak wygląda! Składa się w większości z łąt!

Uznałem, że nie muszę na to odpowiadać.

– Myślisz, że nadal mogę wytwarzać takie zbroje?

Wielką słabością Byka była ograniczona swoboda ruchów, spowodowana ciężarem pancerza. Lżejsza zbroja, taka, w której można było jeździć konno, a która mimo to zapewniała dobrą ochronę, zapewniała zupełnie inne możliwości.

Serafine wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem. Ale jeśli sobie życzysz, mogę się dowiedzieć.

Powóz znowu posunął się o krok, by zaraz stanąć, kołysząc się jak łódź na otwartym morzu.

Jeszcze trochę i ludzie będą oglądać mnie przez okno powozu zziąjanego jak pies. Ciasnota we wnętrzu i ciągłe kołysanie groziły rewoltą w moim żołądku.

Sztokfisk chrząknął.

Popatrzyliśmy na niego, a on uniósł dłoń w obronnym geście.

– Nic, nic, chciałem tylko powiedzieć, że ponieważ sera nie ma sukni, to moglibyśmy przejść pieszo ostatni kawałek...

– Mówicie to dopiero teraz, kiedy już tyle odczekaliśmy? – zapytałem go z niedowierzaniem, podczas gdy powóz ponownie potoczył się o cztery kroki naprzód i stanął.

– Podczas rozmowy o zbrojach zauważyłem buty sery major... i dopiero wtedy przysłała mi do głowy ta myśl.

– Myślałem, że jazda powozem należy do protokołu!

– Nie, to po to, żeby sery nie niszczyły sobie pantofelków do tańca.

– Świetnie – rzuciłem, otworzyłem drzwiczki i wyskoczyłem na zewnątrz. – Więc chodźmy. – Posłałem porucznikowi surowe spojrzenie. – Nie jestem hojnie obdarzony cierpliwością. Jeśli przyjdzie wam do głowy jeszcze coś, czego *nie trzeba* robić, to na przyszłość powiedzcie to od razu! – Rozłożyłem Serafine schodki powozu. – Widzisz – zwróciłem się do niej – dzięki twoim butom nie trwonimy czasu!

Znieruchomiała w drzwiach i popatrzyła na mnie.

– Te nie wyszczuplają stóp – poinformowała mnie z godnością i zignorowała rękę, którą jej podałem.

– O, nic podobnego – zaprzeczył uprzejmie porucznik. – Mają smukłą linię, więcej, świadczą o dobrym guście. To dzieło mistrza Breckerta, nieprawdaż?

– Znać go? – zainteresowała się Serafine.

– Oczywiście. To najlepszy fachowiec od mundurów w całych siedmiu królestwach, nawet niektórzy Aldańczycy zamawiają u niego. Sera, wasz gust, jak również mundur są nad wyraz wyszukane – oznajmił z galanterią. – Będziecie przyciągać mnóstwo pożądlivych spojrzeń.

– Tak sądzą? – zapytała ze śmiechem. – Widać różnicę?

– Znawca ją dostrzeże – zaświergotał Sztokfis. – Kto ma oko do detali, nie pomyli waszego munduru z topornym dziełem cesarskiego krawca wojskowego. Jak wam się udało namówić mistrza Breckerta? Podobno jest zajęty na wiele miesięcy naprzód. Sam musiałem czekać na swój mundur cztery dni, choć jego zakład w połowie należy do mojego ojca!

– Powiedziałaś mu, że mam do wyboru suknię od sery Herones albo mundur od niego...

– Tak. – Pokiwał z powagą głową. – To go niewątpliwie uskrzydliło!

Serafine opromieniła mnie wzrokiem.

– Havaldzie! – oznajmiła wesoła jak skowronek. – Nasz porucznik to prawdziwy skarb! Mogę go zatrzymać?

– Przykro mi, sera – odparł Sztokfis, markując ukłon. – Zaiste, darzę was ogromną atencją, ale moje serce należy do legionu.

Sztokfis miał w sobie coś, co lubiłem. Zazwyczaj. Podreptałem za nimi, zastanawiając się, czy nie odesłać go z powrotem do koszar, gdy nagle z jednego z powozów dobiegło wołanie.

– Julus! – zakrzyknęła z przejęciem starszawa matrona. Z falującą piersią precisnęła tułów przez wąskie okienko i zamachała jaskrawożółtym wachlarzem, próbując zwrócić na siebie uwagę. – ...Julus Stofisk! Co za niespodzianka... chodźże tu, mój chłopcze!... Kogo to ze sobą przyprowadziłeś?

– Ciocia Ersin! – Młodzieniec z uśmiechem ukłonił jej się kurtuazyjnie. – Major sztabowa Helis z domu Orła w Janasie, spokrewniona przez małżeństwo z emirą Faihlyd, oraz generał lancy graf Thurgau, odznaczony Orderem Róży i paladyn Illianu. Hrabina Odenil... opowiadałem wam o niej – skłamał gładko. – Wspominałem o znakomitej jakości stali z jej kopalń w Rangorze i o tym, że zna księcia Haltara... – Nachylił się nieco i dorzucił szeptem na tyle głośno, by mogła go usłyszeć: – Podobno podczas tańca wyciągnęła mu z kieszeni koncesję na kopalnię siarki!

– Dawne dzieje, mój chłopcze – rozpromieniła się. – Dawne dzieje... byłem wtedy młoda i piękna! – Szarymi oczami taksowała uważnie Serafinę i mnie. – Nawet jeśli trudno w to uwierzyć, to kiedyś też byłem taka smukła jak wy, sera major.

– I niewiele się zmieniłaś, ciociu – zapewnił ją z uśmiechem Sztokfisk, na co się roześmiała.

– Podejdźcie bliżej, generale – poprosiła, przywołując mnie gestem. – Chcę wam się przyjrzeć... tyle się o was mówi!

– Doprawdy? – mruknąłem. Serafine nadepnęła mi na stopę. Jej kozaki może i miały smukłą linię, ale obcasy były twarde.

– To prawda – zawtórował Sztokfisk, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie. – Niestety, te plotki są zupełnie nieprawdziwe, ktoś dał się na nie nabrać jak na perfidny żart...

– Ach, czyżby? – rzuciła hrabina. – Słyszałam od baronessy Elinde...

– Znasz ją przecież – odparł z uśmiechem porucznik. – Ma dobre chęci, ale jest odrobinę nadgorliwa. Zbyt łatwo wierzy w to, co jej mówią. Jeśli chcesz wiedzieć, jaka jest prawda, zwróć się do mnie...

– Opowiadaj, młody człowieku – zachęciła go.

– Ach nie, nie dzisiaj – odmówił z uśmiechem. – Co ty na to, gdybym wpadł jutro wieczorem na herbatę? Mogłabyś zaprosić parę przyjaciółek... zanim i one wpadną w tę samą pułapkę, co biedna Elinde.

– Dobrze więc, o szóstym dzwonie! – Pokiwała głową wniebowzięta. – Przyprowadź ze sobą swoich przyjaciół...

– To nie będzie możliwe, ciociu – odparł Sztokfisk, posepniejąc nagle. – Jest wojna, oboje są niezmiernie zajęci... mnie, młodemu porucznikowi, łatwiej wygospodarować trochę czasu... Do jutra zatem, ciociu, bardzo się cieszę, herbata u ciebie zawsze jest

warta zachodu! – Spojrzał na mnie. – Sprowadzana z Xiang – wyjaśnił mi poufale. – A każda łyżeczka jej liści jest na wagę złota!

Szurnął nogą.

– Choć bardzo chciałbym zostać dłużej, obowiązki wzywają, to służba, nie przyjemności, ciociu... chociaż to niespodziewane spotkanie z tobą sprawiło mi wielką radość.

– Niespodziewane? – Zerknęła na mnie i mrugnęła okiem. – Wie, że nigdy nie pomijam balu u Aldańczyków... To paradna rozrywka!

– Ma na myśli intrygi – wyjaśnił szeptem porucznik, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu hrabiny. – Powinniście niebawem powiedzieć mi, jakie plotki chcielibyście puścić w obieg. Z cicią bądźcie ostrożni, generale – ciągnął. – Jest arcymistrzynią w patroszeniu żywcem swoich ofiar, podczas gdy one muszą się przy tym uśmiechać.

Obejrzałem się na matronę.

– Co wy mówicie? – przeraziłem się.

– Na gruncie towarzyskim – wytłumaczył porucznik poważnym tonem. – Jeśli coś sobie postanowi, potrafi sprawić, że jej ofiary stają się niewidzialne. – Zauważył moje pytające spojrzenie. – Umie się postarać, żeby nikt nie chciał mieć do czynienia z taką osobą... nagle zamykają się przed nią wszystkie drzwi. To oznacza ruinę, bo nikt nie chce prowadzić z nią handlu. Córki nie znajdują mężów, a synowie żon. Dla niektórych to gorsze od śmierci... Soltar obiecuje przynajmniej ponowne przyjście na świat, ciocia nie jest taka łaskawa.

– Och – rzuciłem i zerknąłem przez ramię na matronę, która właśnie wciskała się z powrotem do wnętrza powozu... Zauważyła moje spojrzenie i wesoło pomachała mi wachlarzem.

– To właśnie przed tym polem bitwy ostrzegała cię Leandra – powiedziała cicho Serafine. Przeniosła wzrok na porucznika, którego wesołość całkowicie się ulotniła. – Myślę, Havaldzie, że powołanie porucznika do sztabu było wyjątkowo mądrym posunięciem z twojej strony.

– Dziękuję, sera – powiedział Stofisk i ukłonił jej się lekko.

– To był twój pomysł, Finna – zauważyłem, a kiedy posłała mi zdumione spojrzenie, zwróciłem się do porucznika: – To nie jest zabawa, prawda?

– Nie – odparł tamten poważnie. – Nie jest. Nie wtedy, gdy wystarczy słowo, żeby rujnować rodziny, odebrać im przyszłość i honor... Zdarzało się, że ktoś wychodził z balu, pożyczał miecz od eskorty i nadziewał się na ostrze. Czasami można jeszcze tak uratować tych, których się kocha. Bądźcie ze wszech miar ostrożni, generale. Słyszałem, że szukają kozła ofiarnego za powódź i że wybór padł na was.

- Są tu jacyś, których kochacie? – spytałem go gawędziarskim tonem.
- Tak. Niewielu, ale są. Dlaczego?
- Moglibyście zasugerować im, że nie jestem kozłem ofiarnym. Kto się myli co do tego, zwykle nie potrzebuje pożyczać miecza.
- Serafine wciągnęła ostro powietrze. Porucznik zatrzymał się i popatrzył na mnie z głębokim namysłem.
- Dwuznaczne słowa – stwierdził. – Wiecie, z kim macie do czynienia?
- Nie – odparłem. – Raczej nie. Wy zaś nie rozumiecie, choć powinniście, że dla mnie nie ma znaczenia, kim są. Dla cesarza nekromanty nie ma i dla mnie też nie.
- Nie rozumiem...
- Wyjaśnij to – rzuciła niemal chłodno Serafine. – Bo ja też nie rozumiem, co chcesz powiedzieć. Chcesz grozić tym ludziom?
- Nie – powiedziałem, zwracając się do obojga. – Nie grożę. Po prostu nie lubię, kiedy grozi się mnie. Bardzo prędko staję się wtedy nieugięty. Ten, kto szuka ze mną zwady, kimkolwiek jest, nie powinien się skarżyć, jeśli ją znajdzie.
- Wezmę sobie do serca waszą radę – odezwał się po dłuższym milczeniu porucznik.
- A ja waszą – uśmiechnąłem się. – Jeśli to pomoże uniknąć zwady, to jestem jak najbardziej za tym. – Wskazałem na powóz, w którym jakaś młoda sera żywiłowo machała do porucznika. – Ktoś woła do was, możecie nam sobie przedstawić. Obiecuję, że będę się uśmiechał.

Sala balowa była przestronnym pomieszczeniem, wysokim na co najmniej trzy piętra i okolonym kolumnadą. Po prawej stronie, gdzie staliśmy, podwójne drzwi między każdą z par filarów wychodziły na balkon zawieszony na wysokości dwóch kroków nad niedużym ogrodem na tyłach budynku. Tam znalazłem to, czego dość szybko mi zabrakło: świeże powietrze.

Na ścianie naprzeciwko umieszczono lustra, które dodawały sali głębi. Po jednej stronie mieścił się podest dla orkiestry, grającej spokojne melodie, z drugiej opadały schody, zapewniające dobry widok na nowo przybyłych. Z sufitu zwieszały się trzy wielkie kandelabry, wszędzie stały świeczniki. Płomienie świec i tłum gości bardzo szybko nagrzały salę, zrobiło się ciepło i duszno. Wonie pachnideł mieszały się z nie zawsze przyjemnymi zapachami pudru i potu. Tuż po przybyciu znalazłem sobie miejsce na balkonie obok uchylonych na ogród drzwi. Bez świeżego powietrza szybko zmiękłyby mi kolana. A tak tylko pobołewały od długiego stania.

Serafine zostawiła mnie na moment; jakaś kobieta w średnim wieku zmyślnie uwikłała ją w rozmowę i dyskretnie odciągnęła na bok. Tuż przedtem Stofisk dostał wiadomość, że ktoś chce z nim mówić.

Przypuszczony na mnie atak przypominał sposób, w jaki osaczają ofiarę wilki; swego czasu obserwowałem, jak para tych zwierząt oddzieliła ofiarę od reszty stada, tutaj przeprowadzono to samo, tyle że znacznie bardziej elegancko. Sera sprytnie obróciła Serafinę tak, że znalazłem się poza zasięgiem jej wzroku, a obok mnie powstała luka, którą bez wahania wykorzystał drugi wilk.

Stałem, trzymając w ręku kryształowy kielich z napojem, który pienił się i łaskotał w nosie. Na jego naczynia czekała wiśnia, by „uradować me podniebienie”, jak się wyraził sługa, który wetknął nam do rąk kielichy. Nie wiedziałem, czy mówił prawdę, bo za każdym razem, kiedy upijałem łyczek, walczyłem z przymusem kichania. O wiele bardziej wolałbym piwo. Spojrzenie, jakie wspomniana sera rzuciła nad głowę Finny mężczyźnie, który właśnie niezauważenie się zbliżał, a także pewne jej podobieństwo do kogoś sprawiły, że domyśliłem się, kto przede mną stanął.

– A zatem to wy jesteście tym generałem lancy – odezwał się. Miał około pięćdziesiątki, był dość korpulentny, a jego odzienie niemal skromne. Nie podążał za aldańską modą, miał na sobie kozaki, spodnie, koszulę i marynarkę z dobrego materiału, wszystko szyte na miarę, ale bez tego rodzaju haftów, od których bolały oczy.

Zamarkowałem ukłon.

– Baron Corten, jak się domyślam. – Wskazałem kielichem na Serafinę oraz serę. – Wyśmienity manewr, baronie – rzekłem z uznaniem i uśmiechnąłem się. – Ale zupełnie niepotrzebny.

– Hm – mruknął baron i też się uśmiechnął. – To dowodzi, że człowiek niekiedy ma się za sprytniejszego, niż jest. – Podniósł do ust kielich i udał, że popija. – Chodzi o mego syna – powiedział i widząc, jak mrugam, uśmiechnął się ponownie. – Pomyślałem, że docenicie bezpośredniość, ale jeśli chcecie, możemy dalej dla rozgrzewki gawędzić o teatrze. Słyszałem, że baron di Cortia zaprosił was na spektakl i odmówiliście?

– Zgadza się. Możemy od razu przejść do sedna.

– Tamtego wieczoru mieli wystawiać „Lamento bura”. Wasza odmowa świadczy o mądrości – zauważył. – Mam do was tylko jedno pytanie, generale: dlaczego powołaliście mojego syna do swojego sztabu?

– Bo tam jest w najlepszych rękach – odpowiedziałem, umoczyłem usta w kielichu i kichnąłem.

– Niech bogowie obdarzą was zdrowiem – odezwał się przychylnie. – Mówicie poważnie?

– Tak. Już dowiódł swoich zdolności.

– To bardzo mądry wybór – uznał. Popatrzył na mnie uważnie. – Wiecie, że chcę wam postawić zarzuty?

– Tak – odparłem, zastanawiając się, do czego zmierza.

– Czy to prawda, że na tamtej wyspie stacjonowały całe legiony, które ruszyłyby na Aldane, gdyby nie wybuch wulkanu?

– Tak. Dwa pełne legiony, które na następny dzień miały się znaleźć na okrętach.

– Doprowadziliście do wybuchu wulkanu, żeby zniszczyć te legiony?

Wytrzymałem jego spojrzenie.

– Nie. To nie leży w mojej mocy, zresztą i tak bym tego nie zrobił. Znalazłby się inny sposób, żeby pokonać te wojska, choć nie byłoby to łatwe.

Skinął powoli głową.

– Powiedzcie mi, co wiecie o moim synu.

– W legione się marnuje, ale jestem wdzięczny, że dołączył do mojego sztabu.

– Co takiego przekonuje was do jego osoby, generale, jeśli wolno spytać?

– Szczerść. Stał wyprostowany przede mną i umiał się przyznać do własnych błędów.

Minął mnie wzrokiem i spojrzał na serę, która z uroczym uśmiechem ponownie zaprzętnęła uwagę Serafine, kiedy ta chciała wrócić do mnie.

– Ma do tego odwagę – powiedział cicho. Znowu udał, że pije, a potem skinął mi głową. – Cieszę się, że mogłem was poznać.

Zamarkowałem ukłon.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Odprowadzałem go wzrokiem, kiedy oddalał się niespiesznie. Chwilę później Serafine już była przy mnie.

– Tych dwoje – zaczęła z oburzeniem, wywołując na twarzy uśmiech na pokaz – to zgrany duet! Przechwycili mnie niczym zbrojna kawaleria!

– Zauważyłem – zaśmiałem się. – Chyba tylko martwią się o syna.

Śledziła wzrokiem serę, która udawała, że nie zwraca uwagi na barona.

– Wiesz, kim jest nasz Stofisk?

– Chyba tak. – Odkryłem w pobliżu donicę z kwiatem, pozbyłem się musującej lury i wyłowilem wiśnię. Naprawdę smakowała bosko.

Muzyka zamilkła, a ja o mało nie upuściłem kielicha.

– Bogowie! – wyrwało mi się. – Jest prześliczna.

– Tak – potwierdziła Serafine z dziwną nutą w głosie. – Rzeczywiście jest.

– Królowa Illianu, maestra di Girancourt. Zokora z Ydenloh, kapłanka Solante. Varosch z Illianu, adept Borona, wraz ze świtą! – rozległ się donośny głos od wejścia. Przez drzwi wpłynęła Leandra w białej sukni z tak głębokim wycięciem z przodu, że

z lękiem wyczekiwałem każdego jej oddechu, podkreślającej jej krągłości w taki sposób, że żaden mężczyzna nie mógł pozostać obojętny. Varosch był odziany w szatę adepta Borona, a Zokora w długą, czarną suknię. Za nimi podążało czterech elegancko ubranych panów, którzy byli mi całkowicie obcy.

– Widziałas kiedyś Zokorę w sukni? – spytałem oszołomiony.

– To jest wasza królowa? – szepnął z boku Stofisk. Podszedł do nas od tyłu.

– Tak – rzekłem. Gdy Leandra na mnie spojrzała, uniosłem na powitanie pusty kielich. Posłała mi ledwie dostrzegalny uśmiech i z godnością skłoniła głowę, witając się z ambasadorem Aldane i jego córką. Zauważyłem, że córka miała rękę całą w bandażach i brakowało jej jednego palca. Głowę trzymała dumnie uniesioną, ale w jej oczach była jakaś czujność, wyróżniająca ją spośród wszystkich innych.

– Nic dziwnego, że odnosi takie sukcesy – zauważył półgłosem porucznik. Popatrzyłem na niego. – Pierwszy raz ją widzę – dorzucił usprawiedliwiająco.

– Doprawdy? – spytałem. – Sukcesy?

– W sensie, że jej popularność rośnie i jest mile widzianym gościem. Och, tam jest baron von Freise – powiedział, wskazując na szczupłego mężczyznę na krześle na kółkach, który wjechał do sali, popychany przez młodą kobietę. – Ta blondynka to bardka Taride. – Spojrzał na nas. – Powinniście ich poznać. On jest synem diuka Haltara, regenta Aldane, i zausznikiem księcia. Podobno jest jego najważniejszym doradcą. A bardka... – Uśmiechnął się. – Ma w sobie magię pięknej kobiety i głos elfki. Oboje od zamachu Thalaku na Askir są bohaterami.

Przyjrzałem się tej parze. Baronet, choć barczysty, był blady i wychudzony, wyraźnie jeszcze nie doszedł do siebie po zamachu. Wyglądał, jakby męczyło go samo siedzenie na popychanym przez bardkę krześle. Mimo to uważnie śledził wszystko spojrzeniem zdumiewająco błękitnych oczu. Był strojnie ubrany, jak większość obecnych tu Aldańczyków, ale jego kosztowny kaftan wisiał na nim, za duży. O bardce już słyszałem. Miałem nawet cienki tomik jej wierszy. Jej poezja wzruszała mnie niemal do łez.

Liczne sery wystrojone były w odważne stroje, ale jej suknia dosłownie zapierała dech w piersiach. Kiedy się schyliła, żeby szepnąć coś do ucha baronetowi, nie sposób było nie obawiać się o to, by nic nie wysunęło się spod gorsetu. Dlaczego to nie nastąpiło, należało do pilnie strzeżonych tajemnic pięknych kobiet.

Stofisk ruszył, żeby doholować ich do nas.

– On chyba naprawdę wszystkich tutaj zna – stwierdziłem i przywołałem sługę, który natychmiast podstawił mi pod nos tacę z pełnymi kielichami. Odstawiłem na nią puste naczynie. – Dobry człowieku – zwróciłem się do niego – postarajcie się dla mnie o kufel piwa.

Popatrzył na mnie niemal z przerażeniem, ale skinął głową i oddalił się pospiesznie.

– Co mu uczyniliście? – spytał uprzejmie czyjś niski głos. Spojrzałem w dół na baroneta, który odprowadził wzrokiem służę, a potem posłał mi w górę uśmiech. – Wyglądał, jakbyście go przestraszyli.

– Powiedziałem mu, żeby przyniósł mi piwo.

– Och – mruknął i zaśmiał się pod nosem. – Tak, nie wątpię, że się zląkł!

– Bardka Taride Srebrna Klinga, baronet von Freise, generał lancy graf von Thurgau, major sztabowa Helis z domu Orła – przedstawił nas sobie Stofisk.

Już chciałem uprzejmie przywitać bardkę skinieniem głowy, gdy odniosłem wrażenie podobne do tego, jakie ogarnęło mnie dziś rano przy posągu cesarza. Coś mnie zmuszało, by widzieć niekompletnie.

Wywołałem na twarz uśmiech, ale wcale nie było mi do śmiechu. Jaką lepszą maskę od maski bardki mógł przybrać nekromanta? Takie osoby jak ona dużo wiedziały i miały, jak widać, dostęp do najwyższych kręgów. Tylko że w wierszach, które czytałem, było zbyt dużo duszy, by mogły pochodzić od przekłętej. Nasuwał się wniosek, że prawdziwa bardka nie żyła albo jej dusza została przejęta. Zmusiłem się do uprzejmego odwzajemnienia powitania, zastanawiając się jednocześnie, jak mógłbym zwabić ją do ogrodu. Nie chciałem zabijać jej na oczach wszystkich. Jednocześnie siłą woli oparłem się iluzji, chciałem wiedzieć, czyja gęba skrywała się pod jej piękną twarzą. I podobnie jak przy posągu cesarza, w końcu mi się to udało. Odetchnąłem z ulgą.

Natychmiast przeszła mnie wzrokiem. Miała dobrą intuicję, ale nie groziło jej już niebezpieczeństwo. Przechyliłem się nieco ku Serafine.

– Bardka jest elfką – szepnąłem, a Serafine skinęła głową i rozpromieniła się.

– Wiem – odparła równie cicho. – To siostra Imry! – Przyciągnęła mnie bliżej do siebie. – Niebawem, już za paręset lat, zostanie królową elfów. – Elfy dziedziczyły tron królewski, a przynajmniej to, co u nich odpowiadało królewskiej godności, po linii kobiecej. Miały też wprowadzić królów, szczególnie w czasach wojny, ale ci byli jeszcze rzadsi niż królowe wśród ludzi, choć na zbliżającej się Radzie Koronnej miały być obecne aż dwie. Teraz, niemaskowany już magią, wygląd Taride nie zmienił się znacząco, ale delikatne rysy jej twarzy były wyraźniejsze. To, co wzięłem za czar nekromanty, było jedynie wysiłkiem pięknej kobiety, aby nieco mniej rzucać się w oczy. Podczas gdy po Imrze od razu było widać, że jest księciem elfów, u Taride zupełnie nie widać było jej pochodzenia. Poza urodą niewiele zdradzało jej dziedzictwo.

Zanim nasze szepty zostały odebrane jako nieuprzejmość, Serafine podeszła do bardki, która przyglądała jej się, jakby goniona za jakimś wspomnieniem.

– Taride – odezwała się Serafine z ciepłym uśmiechem. – Może mnie pamiętasz? W dzieciństwie razem się bawiłyśmy. Przyjaźniłam się z tobą i twoim bratem.

– Serafine! – wyrwało jej się. A jednak elfy można było zaskoczyć, przynajmniej te jasne. Rozłożyła ramiona. – Jak to możliwe?

– To długa historia – odparła Serafine i pociągnęła elfkę za sobą na balkon, gdzie natychmiast zetknęły głowy i zaczęły szeptać.

Wszyscy trzej popatrzyliśmy za kobietami, w końcu baronet roześmiał się cicho. Stofisk wyraźnie nad czymś dumał.

– I już mi została skradziona – oznajmił baronet i przyjrzał mi się dokładnie. – Mężczyznę można przynajmniej upomnieć, w przypadku damy trzeba cierpieć w milczeniu.

Zamarkowałem ukłon.

– Doskonale was rozumiem – powiedziałem z uśmiechem. – Podzielam wasz los. Stofisk przez chwilę wodził wzrokiem między nami i roześmiał się.

– I tak wzajemnie się ostrzeżliście, mogę więc odejść – rzekł. – Dopilnuję, żeby nikt was za bardzo nie nękał.

– Przykro mi, generale – powiedział baronet z rozbajającym uśmiechem. – Może to rzeczywiście było niegrzeczne, ale oszczędzi nam nieporozumień. – Popatrzył w ślad za bardką, a po spojrzeniu, które odwzajemniła, domyśliłem się, że są sobie bliscy.

– Wiecie, kim ona jest? – spytałem cicho.

Ściągnął brwi.

– A co byście powiedzieli, gdybym nie wiedział?

– Piękną kobietą.

– Tak – westchnął. – Wiem, kim jest. Jestem wdzięczny za każde mgnienie oka, które mogę spędzić w jej pobliżu. – Dostrzegł moje spojrzenie i roześmiał się. – My, Aldańczycy, nosimy serce na języku, jeśli chodzi o te sprawy. Jesteśmy wydani na pastwę czaru Astarte. Mam nadzieję, że was nie zawstydzam. Poza tym... – Uśmiechnął się szelmowsko. – Gdy tylko znowu będę mógł chodzić, staniemy przed boginią, to tajemnica poliszynela.

– Moje gratulacje – powiedziałem szczerze. Może nawet odczuwałem cień zazdrości.

– Dziękuję – odparł, a jego wzrok się wyostrzył. – Słyszałem o was. Di Cortia był pod wrażeniem waszej osoby, a mój kuzyn chętnie by się z wami spotkał. Mogę spytać, dlaczego odrzuciliście zaproszenie?

– Musiałem wyruszyć w pilnych sprawach, nie miałem czasu.

– Na Wyspy Ogniste, aby uratować waszą królową – domyślił się. – Takie usprawiedliwienie zaakceptuje każdy książę. Nie wasza wina, że wystawiali

„Lamento”.

– Wyjaśnijcie mi jedno, baronecie – poprosiłem uprzejmie. – Skoro każdy próbuje wymigać się od „Lamento”, dlaczego w ogóle to grają?

– Sztuka wyszła spod pióra jednego z moich przodków, który zarządził dekretem, że każdego roku musi być grana przez dziesięć dni. – Pokręcił głową. – To pewna forma samowoli. Jak znajdujecie Askir? – zmienił temat.

– Jest wielki.

Zaśmiał się.

– Słyszałem, że jesteście bardzo bezpośredni, i to chyba prawda. – Zerknął ku serom i westchnął. – Jak myślicie, jakie będzie następne posunięcie cesarza nekromanty?

Z tego, co wiedziałem, baronet stoczył walkę z nekromantą i pomógł udaremnić zamach na Askir. Przynajmniej on brał zagrożenie na poważnie.

– Zakładam, że bardzo mu zależy na zajęciu Askiru – powiedziałem cicho. – Gdybym był na jego miejscu, już wiele miesięcy temu, może nawet lat, posłałbym armię dłuższą drogą lądową. Lecz na lądzie aprowizacja jest trudna i niepewna, zwłaszcza że krainy wzdłuż jego marszruty zapewne też są mu nieznane. – A przynajmniej na mapach, które znaleźliśmy na zdobycznym okręcie, widniały białe plamy. – Jeśli serio chce nas zaatakować, to pozostaje mu tylko jedno: musi zdobyć port. Wchodzą w rachubę tylko trzy: sam Askir, na co na razie się nie poważy, port w Janasie, który został zniszczony przez falę powodziową, i...

– Aldar – dokończył baronet. – My też ponieśliśmy ogromne szkody od powodzi, ale za trzy, cztery tygodnie port znowu będzie w użyciu. Na tyle wybiegamy myślą naprzód. Księżę oraz mój ojciec również dzielają te obawy. Znacie wroga, powiedzcie zatem, jak postąpi?

– Mogę tylko zgadywać. Bez armii nie odniesie tutaj zwycięstwa, a ponowna próba otwarcia takiego portalu już mu się nie powiedzie. Stracił Sowy, których do tego potrzebuje. Ma tylko dwie możliwości: drogę morską lub lądową. Wyspy Ogniste utracił, a więc teraz zapewne zobaczymy wroga na wschodzie albo na południowym wschodzie Besarajnu, co uważam za mało prawdopodobne, gdyż wówczas musiałby maszerować przez pustynię, a pustynia zawsze powoduje większe straty w ludziach niż kontakt z wrogiem.

– Zatem musi przyjść od Wschodnich Rubieży.

– Tak. Tam, jak słyszałem, napór barbarzyńców jest większy niż kiedykolwiek. Coś ich pcha ku granicom królestwa... – Wrócił sługa. Z kamienną miną podsunął mi tacę, na której pośród wąskich kielichów stał kufel piwa, niczym barbarzyńca pośrodku

świętynnego chóru. Skinąłem głową w podzięcie i upiłem łyk. Było dość dobre, nierozwodnione.

– Aż się skręcam z zazdrości – uśmiechnął się baronet, ale zaraz spoważniał. – A więc mówicie od Wschodnich Rubieży?

– Tak zakładam.

– A potem wejdzie do Aldane i Aldaru, bowiem wtedy będzie mógł odnowić drogę aprowizacyjną przez port i załadować wojska na okręty. – Westchnął. – Strasznie jest wiedzieć, że to się zbliża. Nie jesteście pierwszy, który tak myśli, mój ojciec też jest przekonany, że tak to się rozegra. Biały Płomień... domyślam się, że wiecie o tym kulcie... jest w tej chwili bardzo aktywny. Powstanie w Aldane byłoby bardzo na rękę nekromantom.

– To najkorzystniejszy sposób zajęcia miasta. Jaka jest sytuacja w waszej stolicy?

– Z pozoru jest bardzo spokojnie, ale w środku wszystko wrze. Trudno uwierzyć, że gusła mogą mieć taki wpływ.

– Tak – przyznałem mu rację, sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem dwie kartki. – Czy kiedykolwiek widzieliście którąś z tych osób? – Zrobiłem to bardziej przy okazji niż dlatego, że na serio spodziewałem się rezultatu.

– Kim oni są? – spytał baronet, studiując podobizny.

– Ten piękniś to nasz wróg, Kolaron Malorbian. Czasami to przerażające, że nie można zajrzeć pod zasłonę twarzy. – Rysunek powstał według opisu Natalyii.

– W rzeczy samej – zgodził się ze mną. – A ten drugi?

– Uczeń Sów z dawnych czasów. Powinien już dawno nie żyć, ale to samo można powiedzieć i o mnie.

– Jak brzmi jego imię?

– Erinstor.

– Wiecie – powiedział powoli – pokazaliście to właściwej osobie. Posiadam bardzo pożyteczny talent. Nigdy nie zapominam, co widziałem.

Talent nie był wcale tak rzadki, a na pewno był bardziej przydany niż umiejętność rozmawiania z ptakami. Albo kwiatami. Oddał mi kartki. Nie byłem zaskoczony, że nie znał żadnego z nich.

– Ten uczeń Sów... co takiego zrobił?

– Uwolnił prastarego nekromantę więzionego pod świątynią.

Von Freise rozwarł szeroko oczy. Uspokoilem go gestem dłoni.

– Bez obaw, baronecie – pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Zbrodnia miała miejsce dawno temu i dopiero niedawno została odkryta.

– Nie o to chodzi – powiedział cicho. – Na słowa „nekromanta” i „świątynia” przypomniało mi się coś, o czym słyszałem jako dziecko, kiedy mój ojciec rozmawiał

z królową. Nie wiedzieli, że ich słyszę. Byłem wtedy małym dzieckiem, nie było powodu przypuszczać, że zapamiętam ich słowa. Wtedy nie wiedzieli jeszcze, że mam ten talent.

– Opowiedzcie mi o tym?

Westchnął.

– To hańba rodzinna, jeśli chcecie to tak nazwać, ale nekromanta, o którym mowa, to Rogamon, król Aldane. Wtedy istniały jeszcze dwie świątynie Nertona, jedna tu, gdzie później powstał Askir, a druga bardziej na południe, bliżej Aldaru. Askannon przywiózł nekromantę do tej świątyni i kazał kapłanom go uwięzić. Początkowo chciał go trzymać z dala od Aldaru. Podobno nekromanta potrafił szeptać w duszach i wypierać swym głosem myśli tego, kto nie był mocny w duchu.

Poczułem, jak mocniej zabiło mi serce.

– Możecie powiedzieć mi o tym więcej? Zdaje się, że chodzi o tego samego mężczyznę.

– Tego się obawiałem – powiedział i pokręcił głową. – Ale nie wiem nic więcej. Taride ma ogromną wiedzę, jeśli chodzi o historię. Możemy ją zapytać.

Podniosłem rękę, żeby zwrócić uwagę bardki, i obie kobiety podeszły do nas.

– Taride – odezwał się baronet. – Generał opowiedział mi o pewnym nekromancie, który był uwięziony w świątyni boga ojca. Wiem jedynie, że to był król Rogamon. Możesz opowiedzieć o tym coś więcej?

Bardka pokiwała powoli głową.

– Tak. Choć niechętnie, bo ta historia dotyczy i mnie, w bolesny dla mnie sposób. Ale jeśli to ma pomóc...

– Tego dowiemy się tylko wtedy, gdy ją usłyszymy – powiedziałem.

– Dobrze – odparła z westchnieniem. – Oszczędzę sobie wersów i opowiem wam ją prostymi słowami. Nie jestem w nastroju do śpiewu.

– To powinno wystarczyć – oznajmiłem.

– Mój ojciec – zaczęła – był wybitną postacią dla naszego ludu. Pochodził z linii bohatera, którego nasz lud sprowadził z dalekiego zielonego wybrzeża. Ojciec na imię miał Talisan, podobnie jak jego przodek, i był nie tylko wielkim wojownikiem, ale i najsłynniejszym z bardów. Jednocześnie był niespokojnym duchem i pod tym względem bardziej przypominał ludzi niż elfów. Przemierzał kraj w przebraniu barda. – Uśmiechnęła się. – Podczas swej wędrówki spotkał pewnego młodego uczonego o nadzwyczajnym talencie magicznym. Zaprzyjaźnili się. To mój ojciec nauczył młodzieńca podstaw magii. Ze zdumieniem śledził, jak uczeń wkrótce przerósł go swymi umiejętnościami. Później mawiał, że młodzieńca wyróżniała nie

moc, lecz szczególny sposób myślenia. Młody mag rozpoznawał powiązania, które ułatwiały mu głębsze rozumienie magii.

– Askannon, jak się domyślam? – wtrąciłem.

– Któżby inny? Cóż, uczoney znalazł zatrudnienie na dworze króla Rogamona, który panował wówczas w Aldane. Okazało się, że ów król był nekromantą i pożył duszy uczonego. Doszło do walki, z której wyszedł zwycięsko Askannon, zdobywając jednocześnie koronę Aldane. Lecz król był zbyt potężny, by móc go tak po prostu zabić. Askannon wywiózł go do dalekiej świątyni boga ojca i kazał skuć łańcuchami. Powiadają jednak, że łowca dusz zbiegł i od tamtej pory dąży do zemsty. Askannon nie tylko go pokonał, ale zabił również wszystkich z jego rodu, a także każdego nekromantę, którego zdołał odkryć.

– Myślałem, że księciu darował życie?

– Tak mówią, lecz to nieprawda. Askannon ocalił jedną osobę z rodu, nietkniętą przekleństwem, dalekiego krewnego. Popełnił jednak błąd i zapomniał o swym dawnym wrogu. Ten przez długie wieki trwał skuty łańcuchami i słabł z każdym dniem, podczas gdy Askannon święcił triumf za triumfem, pewnego dnia otrzymał błogosławieństwo Astarte i spotkał kobietę swego życia. – Uśmiechnęła się. – Cesarzowa Elsine pod wieloma względami stanowiła jego przeciwieństwo. Była kobietą o wyjątkowej mądrości, uczoną, a jednocześnie wojowniczką. Panowała w niewielkim królestwie na dalekim południu. Czczono ją tam jak boginię albo półboginię i, podobnie jak Askannona, nie tykał jej czas. Stanęli razem przed boginią, a mój ojciec Talisan przekazał narzeczoną cesarzowi. Ja dopiero przyszedłam na świat. Serafine poznała cesarza dużo później, kiedy utracił to, co kochał najbardziej.

Serafine skinęła głową.

– Nekromanta wtedy już dawno zbiegł z więzienia w świątyni. Cesarz zorientował się, że ktoś skrycie krzyżuje jego plany. Cesarzowa lada chwila spodziewała się rozwiązania. Na skutek fałszywej wiadomości zostawił ją w jej letniej posiadłości i wtedy została zaatakowana. Mój ojciec był z nią, gdyż cesarz nie chciał jej zostawić bez ochrony, a chociaż ciężarna, walczyła z nim ramię w ramię, opierając się czarnej magii i potężnej mocy. Kiedy stało się jasne, że nie dadzą rady, a cesarzowa została tak ciężko ranna, że nie było już dla niej nadziei, poprosiła mego ojca o dwie wielkie przysługi. Po pierwsze, by nie zostawiał jej żywej w rękach wroga, a po drugie, by się ratował i mógł opowiedzieć o wszystkim Askannonowi, który wtedy mógłby ją pomścić.

– Chcecie powiedzieć, że... – zacząłem na bezdechu. Skinęła głową.

– Mój ojciec wrócił żywy, ale złamany. Mówił tylko to, co konieczne, i niebawem połączył siły z Askannonem, aby znaleźć tego, który popełnił zbrodnię. Na próżno,

ktokolwiek to był, nie pozostawił po sobie ani śladu. Cesarzowej nigdy nie odnaleziono.

– Słucham? – rzuciłem zaskoczony. – Myślałem, że w Askirze jest jej grób?

– To miejsce pamięci – sprostowała Taride. – Nic więcej.

– Orikes jest święcie przekonany, że ona tam spoczywa – powiedziałem, lecz ona ze smutkiem pokręciła głową.

– Wiem to od ojca. Wrócił tam z Askannonem. Zniknęła. Mój ojciec uważał, że wróg skradł jej zwłoki, żeby jeszcze mocniej uderzyć w cesarza. Sarkofag jest pusty, macie na to moje słowo.

– A zatem cesarzowa mogła przeżyć? – zapytałem, czując, jak przyspiesza mi tętno.

– Nie – zaprzeczyła ze smutkiem elfka. – Ojciec miał powody, by się gryźć, bowiem spełnił jej ostatnie życzenie. Ojciec i cesarz przyjaźnili się od stuleci, a chociaż Askannon go rozumiał, to jednak to, co zrobił ojciec, stanęło między nimi. Mijały kolejne lata, cesarz próbował odnaleźć radość życia, ale przychodziło mu to z trudem. I wtedy nagle przestała płynąć rzeka światów, odbierając Askirovi magię, a nam, elfom, większą część naszej mocy i woli życia. Dopiero wtedy Askannon dowiedział się, że król Rogamon zbiegł. Wiedział już, kim był ten, który odebrał mu żonę i dziecko. Ojciec i cesarz rozdzielili się, ojciec miał podążać za tropem w nowych koloniach, a Askannon osobiście stawić czoła przekłętemu. Do tego jednak nie doszło, gdyż zostali oszukani po raz kolejny. Ojciec wpadł w zasadzkę. Uległ nekromancie i mrocznym elfom, które po wojnie świetlnej wpięrow przyłączyły się do niego, a potem znowu go zdradziły. Tylko jedna z elfek dochowała mu wierności. Wzięła miecz, który teraz nosicie wy, grafie von Thurgau, i który leżał przy jego zwłokach, i zaniósła go w miejsce, o którym wiedziała, że przeklęty się tam nie dostanie, do nowo wybudowanej świątyni Soltara w niewielkim, zamieszkanym przez ludzi mieście zwanym Kelarem.

W tle słychać było pobrzękiwanie szkła, rozmowy, dokoła wirowały kolorowe suknie i uśmiechnięte twarze. Wszystko to wydało mi się bardzo odległe, jakby oddzielała mnie od tego ciemna ściana.

– Bogowie – szepnęła Serafine. – Co za smutna historia. – Pokręciła głową. – Przez cały czas, kiedy znałam cesarza, gdy żartował ze mną albo się bawił, nosił na barkach ten ciężar.

– Bardzo cię lubił, Serafine – powiedziała cicho Taride. – Mój ojciec również, inaczej nigdy by nie dopuścił, żebyśmy zostały przyjaciółkami. Byłyśmy dziećmi, tamten zaś okres to była zaledwie chwila, a jednak przechowuję to wspomnienie w moim sercu. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Kiedy cesarz wrócił do Askiru, zupełnie utracił wolę życia.

– Wrócił po próbie pokonania nekromanty? – zapytałem.

– Tak, ale na krótko. Choć sam był chory i wycieńczony, poświęcił mi czas, żeby złożyć mi wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca. Chyba ciężko dotknęła i jego; choć pod koniec coś między nimi stanęło, to jednak byli przyjaciółmi przez wieki.

– Powiedział coś o tej walce z łowcą dusz?

– Owszem. Że to była zasadzka, zmierzająca do tego, aby zabił tych, których kocha. I że musi poszukać innej drogi, żeby uderzyć w przeciwnika.

Oto był dowód, że Askannon przeżył zasadzkę na Thalaku. Nie żebym w to wątpił.

– Co miał na myśli? – spytała Serafine. – Dlaczego cesarz miałby zabić tych, których kochał? To niezrozumiałe.

– Nie wiem – odpowiedziała Taride. – Nie dał mi zbyt wielu okazji, by go o to wypytać. Zaledwie parę dni później uporządkował swe sprawy, wezwał księżęta i abdykował.

– Wezwał księżęta? – zdumiał się baronet.

– Tak – potwierdziła Taride. – Chciał pozostawić cesarstwo w porządku.

– A oblężenie Askiru, o którym tyle się słyszy? – spytał von Freise.

– Nie było go. To mistyfikacja, napędzana z jednej strony dumą księżąt, którzy nie chcieli być postrzegani jako ulegli jałmużnicy, z drugiej przez samego cesarza, który wolał, aby świat nie wiedział, w czym rzecz.

– A więc to, że Aldane samo odzyskało wolność, to kłamstwo – stwierdził baronet.

– Tak. Kłamstwo tym większe, jeśli weźmie się pod uwagę, jaki łajdak pozenił dumne Aldane z mieczem, krwią i mrocznymi talentami. To, że Aldane w swej nowej dumie powołuje się na królestwo stworzone przez przekłętą, odrzucając dziedzictwo Askiru, jest w moich oczach więcej niż kiepskim żartem!

Baron pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Dlaczego nie opowiedziałaś mi o tym wcześniej? – zapytał ochrypłym głosem.

– Nie sądziłam, że chcesz to słyszeć – odparła łagodnie Taride. – To już przeszłość. – Posłała mu czuły uśmiech. – Dlaczego miałabym odbierać ci dumę? Myślę jednak, że twój ojciec wie.

Westchnąłem. Im więcej wiedziałem o tym wszystkim, tym głębszy stawał się mój smutek oraz przekonanie, że to nigdy nie powinno się wydarzyć.

– Wybaczcie – wtrącił grzecznie porucznik Stofisk, który podszedł do nas. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Z czym przychodzicie, poruczniku? – zapytałem, rad z odciążenia mej uwagi od ponurych myśli.

– Poprosiłem do was bardkę i baroneta nie bez powodu – rzekł Stofisk i ukłonił im się lekko. – Wasz głos, Taride, wszędzie znajduje posłuch. Generał chciałby powierzyć

wam napisanie ballady, która będzie bliższa prawdy niż to, co się teraz rozgłasza.

Taride dostrzegła moje spojrzenie i roześmiała się.

– Wiedzieliście o tym?

– Teraz już tak – odparłem, świdrując wzrokiem Stofiska.

– To powinien być majstersztyk – ciągnął z ujmującym uśmiechem porucznik. – Przekażę wam informacje, które powinnyście w nim zawrzeć. Wymieńcie tylko cenę.

– Majstersztyk? – powtórzyła ze śmiechem Taride. – Ballada, która będzie śpiewana w całym królestwie? Trzydzieści złotych koron, tyle powinna być warta.

– Przyczyni się do zwiększenia waszej sławy – zauważył Stofisk grzecznie. Oniemiały śledziłem ich wymianę zdań.

– Nie jeśli chcecie się targować – stwierdziła elfka. – Od targowania się tracę głos i mam chrypkę.

Stofisk wiedział, kiedy uznać się za pokonanego. Ukłonił się lekko.

– W to nie wątpię. Otrzymacie złoto, kiedy przekażę wam historię, którą macie opowiedzieć. – Wyciągnął do niej rękę, a ona przypieczętowała transakcję.

– Niech tak będzie.

Serafine zaśmiała się pod nosem.

– Widzisz, Havaldzie. Tak się walczy z plotkami!

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę i w końcu bardka wyprowadziła baroneta z sali. Był wyraźnie wyczerpany, oczy błyszczały mu gorączkowo.

– Co mu się właściwie stało? – spytałem ciekawie Stofiska, kiedy para znalazła się poza zasięgiem słuchu.

– Wyzwał mistrza Rolkara na pojedynek na miecze, zyskując w ten sposób cenny czas dla Sowy, która mogła dzięki temu udaremnić plany wroga – wyjaśnił z podziwem w głosie porucznik.

– Mistrza Rolkara?

– To był jeden z agentów cesarza nekromanty.

– Feltor – szepnęła do mnie Serafine. – To musiał być Feltor. Baronet ma szczęście, że przeżył.

– Czy dawne Sowy naprawdę były aż takie dobre? – zapytałem ją, kiedy niespiesznie przechadzaliśmy się po sali. Odszukałem wzrokiem Leandrę, która otoczona wianuszkiem gapiów rozmawiała z jakimś grubasem.

– Jak dobrym się jest, mając najlepszych nauczycieli i długo żyjąc? – odpowiedziała pytaniem Serafine.

Chyba bardzo dobrym, pomyślałem.

– Askannon im pokazał, jak łączyć ze sobą miecz i magię. – Zaśmiała się cicho. – Wiesz, że opracował nowy styl walki mieczem? Podobno analizował potyczki

najlepszych szermierzy, a następnie powziął rachuby, jak poprawić uderzenia, zwiększyć szybkość i znaleźć najlepszą pozycję nóg w obronie.

– Uwierzę we wszystko, tylko nie w to – stwierdziłem. – Szermierki nie da się poddać rachubie, to kwestia wyczucia i doświadczenia!

– Tak samo jest z muzyką i poezją – rzekła z powagą. – A jednak można je poddać rachubie!

Cóż, co do tego również miałem wątpliwości.

Kolejna część wieczoru początkowo przebiegała spokojnie, głównie tylko stałem i obserwowałem. Od czasu do czasu ktoś podszedł, lecz jedynie po to, by wymienić uprzejmości, zwykle z Serafine. W końcu Leandra oficjalnie dokonała otwarcia balu i jakiś rostry blondyn poprosił ją do tańca. Stofisk uprowadził Serafine i do nich dołączył. Po chwili parkiet się zapełnił.

Po przeciwnej stronie sali zauważyłem Zokorę, która na mnie zerkała. Zagadnęła Varoscha i oboje ruszyli w moim kierunku. Może przeczuwała, co nastąpi. Wykluczyć się tego nie dało. Mimo to dotarli za późno.

Grubas, który przed chwilą rozmawiał z Leandą, nagle wyrósł obok mnie. Nie sądzę, by wiedział, kim jestem. Otarł chustką pot z czoła i zawiesił wzrok na Leandrze.

– Nazywają ją królową bez ziemi – zagadnął poufale. – Rozpaczliwie szuka pomocy dla swego kraju, który leży rozłożony na łopatki.

– Ach, doprawdy? – rzuciłem.

– Podobno Magnus Thorson z Gasalabadu pierwszy podniósł jej spódnicę. Musiał jedynie obiecać wstawiennictwo u króla. Teraz, kiedy Hraldir jest już tylko kupką popiołu, może to sobie darować. Widzicie tego blondyna, z którym tańczy?

– Widzę – warknąłem. Miałem ochotę zatkać mu tę jego chamską gębę. Ale grubas albo był głuchy, albo zbyt oderwany od rzeczywistości, by usłyszeć ostrzeżenie w moim głosie.

– To baron Wirten z Ragnoru. Podobno zamierza obiecać jej trzy wozy mieczy. Założył się, że będzie następnym, który dorwie się do jej cycuszków. Jeśli trafi też między nogi, to rzecz będzie warta tej kupy starego żelastwa.

Drzwi prowadzące na balkon roztrzaskały się z hukiem, kiedy mężczyzna wielkim łukiem wyleciał do ogrodu. Byłem z siebie dumny, bo nawet przeżył, czego dowiodł, wrzeszcząc na całe gardło.

Wybuchł skandal. Leandra z kamienną miną trzymała się ode mnie z daleka, podczas gdy Stofisk próbował ratować, co się dało. Mówił o nieszczęśliwym wypadku, niezręczności, jednak wystarczająco dużo świadków widziało, jak chwyciłem grubasa za szyję i spodnie, po czym wyrzuciłem za balkon.

Nie chciałem o tym mówić. W milczeniu torowaliśmy sobie drogę przez tłum gości, stojących wokół i gapiących się głupkowato, podczas gdy ambasador Aldane, graf Altins, wydawał orkiestrze gorączkowe polecenia, by grała dalej.

Leandra w końcu nie wytrzymała. Dopadła do mnie, z uśmiechającym się czarująco blondynem u boku.

– Jeśli pozwolicie, najdroższy królewski kwiecie – zaświergotał, zerkając w głęboką dolinę jej biustu – to zadbam o porządek...

Możliwe, że bogowie zsyłali niektórych, by wystawić na próbę moją cierpliwość, ale nie miałem teraz ochoty na żadne próby. Chwilę później Serafine i Varosch uwiesili się na moich ramionach, odprowadzając mnie na bok. Zokora tylko uniosła brew.

– Nie doceniłam cię – stwierdziła. – To był naprawdę dobry cios!

– Jak mogłeś? – syknęła Leandra, kiedy niemal wynieśli mnie z ambasady. Aldańscy gwardziści nadbiegli słuźbiście, ale byli na tyle mądrzy, by zachować dystans.

– Baron Wirten zasłużył sobie na to – wydusiłem, próbując strząsnąć z siebie Serafine i Varoscha. Przykleili się do mnie jak rzepy.

– Kto? – spytała lodowato Leandra.

– Ten blondyn, z którym tańczyłaś. O mało nie utonął w twoim biuście.

– I dalej? – pytała dalej tonem zwiastującym odmrożenia.

– Założył się z tym grubasem, że będzie następny, który podniesie ci spódnicę.

– Z tym, którego wyrzuciłeś przez balkon? – upewniła się, rozwierając powoli oczy.

– Tak.

– Ambasadorem Ibsissu?

– Jeśli to on, to owszem. Wirten powiedział grubasowi, że jeśli dorwie się do twoich cycuszków i skończy między twoimi nogami, to warto zapłacić za to paroma mieczami.

Żyłem wystarczająco długo, by docenić dobry policzek. Dobry policzek to była istna sztuka. Ten był iście mistrzowski, nadszedł niespodziewanie i trzasnął jak piorun... dosłownie, bo Leandrę otoczyła chmura maleńkich ogników, z każdą chwilą coraz bardziej jaśniejących. Oprócz iskier ujrzałem także gwiazdy. Otrząsnąłem się ogłuszony. Gdyby Varosch i Serafine mnie nie przytrzymali, osunąłbym się na ziemię.

– Havaldzie – wydusiła przez zęby. – Jak mogłeś?

– Dlaczego go bijesz? – zapytała spokojnie Zokora. – Przecież to nie on poszedł o ten zakład! A może chcesz zabijać każdego posłańca, który przynosi złe wieści?

– Havald zawsze nienawidził, kiedy chodziłam na bale – zapieniła się Leandra. – Mówi...

– Mówi samą prawdę – przerwała jej spokojnym tonem Zokora. – A więc co mu zarzucasz? Myślałam, że jest twoim paladynem, jego obowiązkiem jest bronić twego

honoru.

– Chcesz powiedzieć, że to prawda?

– Tak – odparła niewzruszenie Zokora. – Nie słuchasz, co mówię?

– Zakład? Założył się, że się ze mną położy? – wyszeptała Leandra, otwierając szeroko oczy, w których zakręciły się łzy. Dосkoczyłem do niej, Serafine i Varosch już mnie nie trzymali. Płakała w moich ramionach, waląc mnie pięściami w pierś. W jakimś zakamarku umysłu załęgła mi się myśl, że dobrze mieć dwa paradne mundury.

W końcu jej przeszło, pociągnęła nosem i popatrzyła na mnie.

– Kocham cię – powiedziała po prostu. – A teraz mnie puść.

Odsunąłem się ostrożnie i strzepałem z rękawa ogniki. Stała wyprostowana jak świeca i patrzyła na wejście do ambasady.

W jednej chwili otoczyła ją burza błyskawic, podmuch wiatru rozwiął jej suknię i perukę, tworząc nad głową wir liści, kręcący się coraz szybciej i szybciej. Pociemniało i gdzieś obok uderzył piorun, który omal nie zwałił nas z nóg.

Leandra obróciła się na pięcie, a kiedy postawiła stopę na schodach ambasady, kamień pękł od uderzenia tysiąca maleńkich błyskawic.

– Havaldzie! – zawołała przez wiatr Serafine. – Powstrzymaj ją, inaczej...

Nie usłyszałem już, co inaczej. Odważałem się na wiele rzeczy i często odczuwałem przy tym strach, ale żeby rzucić się w środek burzy, która tylko z pozoru wyglądała jak moja królowa, trzeba było więcej niż odwagi.

Wbiegłem w tę burzę, powaliłem ją i trzymałem mocno. Dokoła trzaskały błyskawice.

– Leandra! – zawołałem, przekrzykując szalejącą burzę. – Przestań! Zabijesz nas!

Oślepiający piorun trafił we mnie, przeszył na wskroś i oderwał jedno skrzydło wrót. I nagle wszystko ucichło.

Gwardziści pouciekali, co świadczyło o ich mądrości. Varosch podpierał mnie i gasił małe zarzewia ognia na moim mundurze, a Zokora i Serafine trzymały płaczącą bezgłośnie Leandrę.

Nadbiegła jej eskorta, potem nasza. Powstrzymywali wylewających się z ambasady gapiów. Nasz major, niewiele myśląc, wziął najbliższy powóz i zajechał pod budynek. Wsiedliśmy, major zaciął konie i ruszyliśmy jak szaleni, z eskortą za nami.

– Wszystko się ułoży – pocieszałem ją, próbując nie krzywić się za bardzo, kiedy dotknąłem plecami oparcia. Paliły, jakby stały w płomieniach.

– Nie w tym rzecz – powiedziała cicho Leandra, podczas gdy Serafine ostrożnie rozcinała mi lewy rękaw. – Chociaż jest mi przykro – dorzuciła, gdy syknąłem przez zęby, a Serafine odsłoniła ślady, jakie poczynił piorun.

– Mam jeszcze trochę tej maści, której ukręciłam poprzednim razem – oświadczyła Zokora. – Dam ci później.

– Dziękuję – powiedziałem, ale uwagę miałem skupioną na Leandrze. Wciąż płakała.

– Nie chciałam tego przyjąć do wiadomości, Havaldzie – przyznała. – Ale miałeś rację i jest mi przykro, że mamia mnie pięknymi słówkami, zaglądając mi w dekolt! – Zerwała z głowy perukę i z obrzydzeniem cisnęła ją pod nogi Zokorze. – Nikt nie traktuje mnie poważnie... a ja zamykałam na to oczy! Bogowie! – zaklęła, a w półmroku powozu świeciły przebiegające po niej ogniki. – Gdybym miała przy sobie Kamienne Serce, zabiłabym go na miejscu! – sierdziła się. – Tylko że Kamienne Serce nie pasuje mi do sukni!

– To piękna suknia – próbowałam ją ułagodzić. – Może tylko odkrywa trochę za dużo ciebie.

– Ach, Havaldzie! – parsknęła śmiechem Leandra, choć po jej policzkach nadal spływały łzy. W końcu pokręciła głową. – Dziękuję za uznanie i za przyganę – westchnęła i wydmuchała nos. – Jesteś doprawdy niezrównany!

– Nie zapominaj o tym – upomniała ją delikatnie Serafine. – Już drugi raz potraktowałaś go piorunem!

– Jakbym nie wiedziała! – warknęła Leandra. – Ale kiedy jestem wściekła... Słyszę same miłe słowa, widzę ukłony, wszędzie aluzje i komplementy... Najczęściej na temat mojej urody... Bogowie! – zaklęła. – Mam tego dosyć! – Oparła się o poduchy i zamknęła zmęczona oczy. – Wszystkie starania, wszystko, przez co przeszliśmy, na próżno. Nie pomogą nam, Havaldzie.

– Askir pomoże – powiedziała z naciskiem Serafine. – Prawda, Havaldzie?

– Tak. Komendant dotrzymuje słowa – odparłem. – Jestem pewien, że za nim pójdą pozostałe królestwa... trzeba im tylko wytłumaczyć to tak, aby zrozumieli.

– Oni zupełnie nic nie rozumieją – zaciętrzewiła się Leandra. – Jak grochem o ścianę. W ogóle nie słuchają!

– Już dobrze – rzuciłem, rad, że przestała płakać i już nie była taka wściekła. – Znajdziemy jakiś sposób.

Z doświadczenia wiedziałem, że większość ludzi słucha, kiedy czuje ostrze na gardle. Nie widziałem powodu, dlaczego nie miałyby to dotyczyć koronowanych głów.

Miałem szczęście, w wulkanie Leandra przypiekła mnie mocniej. Dzięki maści Zokory i świeżym opatrunkom, a także porządnemu łykowi okowity prędko poczułem się lepiej.

Wieść o wydarzeniach na balu rozniosła się błyskawicznie. Zokora właśnie zakładała mi opatrunek, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przyszedł żołnierz Piór;

nikogo nie zdziwiło, że Orikes chciał ze mną rozmawiać.

Pomimo późnego dzwonu zastaliśmy pułkownika w pełni rozbudzonego, choć niezbyt uradowanego naszym widokiem. Podczas gdy ja relacjonowałem mu wydarzenia, co ani trochę nie poprawiło mu humoru, Orikesa rozpraszał widok Zokory, studiującej półki z książkami. Ponieważ przeszkadzała jej suknia, podwinęła ją, wiążąc tkaninę między nogami i obnażając łydki. Kiedy stanęła na palcach, żeby sięgnąć po jakiś tom, pułkownik pospiesznie odwrócił wzrok.

– Bardzo wam to zaszkodziło – poinformował mnie. – Gdzie jest wasza królowa?

– Poszła do siebie.

– Bogowie, to zrozumiałe! – westchnął. – Nie mogliście załatwić tego dyskretniej? Pojedynki nie są tu mile widziane, ale w pewnych okolicznościach... Wszystko byłoby lepsze od tego! Dobrze – rzucił w końcu i wziął głęboki wdech. – Królestwo przeszło już gorsze kryzysy, ostatecznie nikt nie odniósł poważniejszego uszczerbku, choć baron Wirten złożył notę protestacyjną. Mówi, że złamaliście mu gorset.

Z trudem powstrzymałem śmiech.

– Porucznik Stofisk pomoże załagodzić sytuację – powiedziałem rozbawiony. – Okazał się istnym darem od bogów, jest nieoceniony.

– Stofisk? – zdziwił się Orikes. – Mówimy o tym samym człowieku, który zapomniał butów, wyruszając na bój?

O tym jeszcze nie słyszałem, ale to by do niego pasowało.

– Jak na razie o niczym nie zapomniał. Jestem bardzo z niego zadowolony.

Orikes, kręcąc głową, zerknął znowu na Zokorę, która stanęła boso na krześle, żeby zdjąć książkę z wysokiej półki.

– Sera! – poprosił sztywno. – Czy raczyłybyście zostawić w spokoju moje książki? Mają nieocenioną wartość!

– Wezmę tę tutaj – poinformowała go uprzejmie i pokazała mu tom.

– Rozprawa o ustawach imperialnych Anartesa? – zdziwił się Orikes. – Po co to wam?

– Wasz cesarz powoływał się na to. Chcę wiedzieć, do czego dokładnie się odnosi – wyjaśniła Zokora i elegancko zeskoczyła z krzesła. – Dostaniecie ją z powrotem.

– Ja... – zaczął.

– Wyświadczyć jej tę przysługę – poprosiłem.

Orikes westchnął.

– Jeśli komendant nie... Dobrze – poddał się. – Pilnujcie jej jak oka w głowie, bo istnieją już tylko dwa egzemplarze tego dzieła.

Zokora zdawała się nie słyszeć jego słów. Usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami na krześle i zaczęła czytać.

Zamknąłem drzwi kwatery, położyłem się na łóżku, zakląłem i przetoczyłem się na bok. Do Rady zostało już tylko kilka dni. Jakoś musiałem je przetrwać.

Świecę przed drugim dzwonem ktoś zapukał do drzwi. Zaspany owinąłem się prześcieradłem, poczłapałem do drzwi i ujrzałem Santera oraz Desinę.

– Łaska bogów niech będzie z wami – przywitał się Santer. – Możemy wejść?

Bez słowa wpuściłem ich do środka. Rozejrzeli się po pomieszczeniu.

– Co się stało? – spytałem i sięgnąłem po butelkę okowity, którą przedtem przyniósł mi Varosch.

– Zostaliśmy wezwani do dwóch trupów – oznajmił z powagą Santer. – Właśnie wracamy z miejsca, gdzie znaleziono drugiego. Oba ciała znaczą podobne ślady. Są spalone tak, że nie sposób ich zidentyfikować, a ich głowy zostały odrąbane niezwykle ostrym ostrzem, jednym cięciem. Mimo wszystko zdołaliśmy ustalić, kim byli. To baron Wirten i graf Jasen.

Domyśliłem się, kim był ten drugi.

– Ambasador Ilbissu?

– Tak – powiedziała Sowa. – Obaj zostali zamordowani w swoich domach, w chwili, gdy szykowali się do snu. Żony oraz służbę obudził grzmot. Muszę zapytać, czy macie coś z tym wspólnego?

– Nie – odparłem spokojnie. – Oczywiście, że nie.

– Chyba się domyślacie, jak to wygląda – oświadczyła ponuro Desina. – Ludzie wskazują na was i waszą królową. Ona ma szczęście o tyle, że postanowiła przenocować w cytadeli, i możemy poświadczyć, że nigdzie nie wychodziła. Ale jest maistrą i ludzie będą posądzać ją o użycie magii.

– Co się teraz stanie? – spytałem.

– Już się stało. Dwóch przedstawicieli Rady Handlowej wysunęło w imieniu cesarza oskarżenie przeciwko wam i waszej królowej. Zbudzono nawet inkwizytora Pertoka. Spotkaliśmy go przy drugiej ofierze. Nic nie wskazuje na to, aby ktoś zdjął ochronę wokół cytadeli, z użyciem magii czy bez. Inkwizytor oddali zatem oskarżenie, lecz szkoda już została wyrządzona.

– Ale jeśli możemy udowodnić... – zacząłem, ale Santer pokręcił głową.

– Nie będzie żadnej rozprawy – powiedział. – Chodzi o to, co pomyślą ludzie. Jesteście generałem i kochankiem waszej królowej. – Podniósł prędko rękę. – Zaczekajcie, ja tylko powtarzam, co mówią ludzie, a nie jak jest.

– Już dobrze – odparłem zmęczonym tonem. – Dziś nikogo już nie wyrzucę przez okno. Mówcie dalej.

– To już wszystko – stwierdził Santer. – Plotka mówi, że komendant kryje was i waszą królową, a wręcz kłamie, żeby was chronić. Jedyne, co trochę łagodzi sprawę,

to to, że graf Jasen jeszcze na balu oznajmił, że chce przeprosić królową. Sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego. Ale ludzie argumentują, że nie dowiedzieliście się o tym w porę.

– Teraz wiem – powiedziałem cicho. – Nie żałuję, że go wywaliłem przez balkon, ale przykro mi, że nie żyje. Może... może powinniśmy udać się z królową do świątyni Borona i poddać się próbie?

– Chcecie się publicznie upokorzyć z królową? – spytał spokojnie Santer. – Wiecie przecież, jak wyglądają takie próby prawdy. Zawsze wychodzi na jaw więcej, niżby się chciało.

Skinąłem głową zakłopotany, bowiem niewątpliwie miał rację.

– Cóż – rzuciła Desina i odwróciła się do drzwi. – Pomyśleliśmy, że powinniście o tym wiedzieć. Ta odrobina dobrej woli, która tu jeszcze pozostała, została zaprzepaszczone. My, to znaczy komendant, Santer i ja, parę innych osób i Orikes, wiemy, kim jesteście i czego już dokonaliście, żeby zaszkodzić wrogowi. Ale teraz... teraz będzie ciężko. – Otworzyła drzwi i obejrzała się na mnie. – Przykro mi.

POLITYKA HANDLOWA

– To będzie niejake wyzwanie – orzekł porucznik Stofisk, ale chyba się go nie obawiał, bo w jego oczach pojawił się jakiś blask.

– Naprawdę sądzicie, że możecie coś jeszcze zmienić? – spytała sceptycznie Serafine. Teraz przy drzwiach stały już dwa biurka, ustawione na wprost siebie, w odległości sześciu kroków od miejsca, gdzie sam siedziałem, miałem ich zatem na oku. Pośrodku stanął wielki stół. Rozpiąłem na nim mapę cesarskiego miasta, a na niej obciążylem ciężarkami mapę Aldaru, stolicy Aldane. Linie na mapach nadal nie przedstawiały dla mnie większego sensu, ale miałem mocne postanowienie to zmienić.

Na ścianach też sporo się zmieniło. Między oknami wisiały mapy siedmiu królestw, naprzeciwko duża mapa Wschodnich Rubieży oraz jeszcze większe Letasanu i Illianu, zestawione tak, żeby ukazać obszar od Twierdzy Gromów po Kronstadt.

Na moim biurku piętrzyły się mapy i dokumenty, obok na podłodze stała ciężka, stalowa kasetka z otwartym wiekiem, którego większą część stanowił kunsztowny zamek; klucza nie miałem. Orikes życzył sobie, abym, gdy skończę, schował do niej dokumenty i zatrzasnął wieko, zamek zaskakuje sam z siebie.

Pierwsze akta stanowiły fascynującą lekturę, ale w tej chwili przysłuchiwałem się Serafine i Stofiskowi.

– Coś zmienić? W żadnym razie. Na tym polega cała sztuka, aby z klęski wyciągnąć korzyści. – Popatrzył na mnie, a potem uciekł wzrokiem, kiedy zobaczył moje spojrzenie. – To hańba, że graf Jasen został zamordowany. Zawsze cieszył się opinią człowieka honoru. Dobrze, że przynajmniej potwierdził, że generał miał powody, by tak postąpić. Nawet w Askirze mężczyźni mają prawo bronić honoru kobiet. Dopiąłem swego i teraz mówią, że generał, wyrzucając grafa przez balkon, okazał grafowi łaskę. Miałyby prawo do pojedynku, ale ponieważ generał jest wyśmienitym wojownikiem, pojedynek równałby się morderstwu. A zatem powstaje pytanie, po co generał miałby popełnić morderstwo, skoro miał legalną możliwość posłania grafa Jasena do bram Soltara. Z baronem Wirtenem sprawa ma się inaczej. Kiedy odszedł do Soltara, kilka matek odetchnęło z ulgą, bowiem był to uwodziciel bez moralności, zawdzięczający karierę powiązaniom z kopalniami rud metali w Rangorze... ludzie dzięki niemu zarabiali krocie i trzymali córki pod kluczem. Graf Altins nie cierpiał tego człowieka,

ale był ważną personą. Pobicie go przez generała przyniosło mu więcej aprobaty niż krytyki. Zwłaszcza ze strony matek. Gdyby nie te morderstwa, sytuacja już dziś wróciłaby do normalności.

– A burza wywołana przez królową? – zdziwiła się Serafine.

– Zwłaszcza ona – rozpromienił się Stofisk. – Z królowej zrazu się podśmiewano. Popełniła poważny błąd, wchodząc do polityki: sprawiała wrażenie osoby niedoświadczonej, chodzącej po prośbie. Niewielu dostrzegło jej mądrość, gdyż brakowało jej wiedzy na temat tutejszych zależności. Widziano jedynie jej urodę i kruchość, a to zawsze przyciąga drapieżniki. Dobrze, że u Aldańczyków decyzje podejmuje teraz baronet von Freise.

– Dlaczego on, a nie graf? – Serafine zadała pytanie, które przyszło do głowy i mnie.

– Graf Altins był, ujmijmy to tak, odrobinę uparty i staroświecki. Mało elastyczny... Brakowało mu pewnej elegancji myślenia. Baron von Freise jest zupełnie inny. Z nim można się dogadać. Zapewniam was, czeka go jeszcze wielka przyszłość... jeśli wróci do zdrowia.

– A co z nim omawialiście?

– To, co się wydarzyło na balu, oczywiście – odparł z zapałem młody porucznik. – Bal dobiegł końca jeszcze przed wschodem słońca. Dzięki temu mogłem dokonać zniszczeń na sporym obszarze wokół wejścia do ambasady.

– Zniszczeń? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

– Tak. Naturalnie – przytaknął z przejęciem Stofisk. – Jesteśmy w Askirze, tutaj magia budzi nie tylko lęk, lecz i podziw! Teraz, gdy najważniejsze osoby zasiadają do śniadania, rozchodzą się pogłoski, które nadadzą ton wszystkiemu: że we front ambasady uderzył orkan, że w budynek strzelały tysiące błyskawic, którym towarzyszył wstrząsający grzmot. – Z zachwytem zatarł dłonie. – Powinniście zobaczyć dziedziniec ambasady... jest całkowicie zniszczony!

– Czy to nie jest mało wiarygodne? – zapytała Serafine. Ja tylko kręciłem głową w osłupieniu.

Stofisk zaprzeczył.

– Ależ skąd! Teraz, za dnia, gdy każdy może obejrzeć ślady tej nocy, wytłumaczą sobie, że w ciemnościach po prostu nie było ich tak wyraźnie widać, dopiero światło dnia wydobyło je na jaw! Czy to nie wspaniałe?

– Czyżby? – rzuciłem sceptycznie.

– Kto jak nie królowa i maestra w jednej osobie może stawić czoła cesarzowi nekromancie? Co prócz magicznej mocy może pokonać mroczne siły? Czy to nie marzenie każdego człowieka, by móc miotać gromy niczym bóg? Cóż to za wspaniała

królowa, której wystarczy gest, by powalić na ziemię tego, kto nie okazał jej należnego szacunku? I któż mógłby przewyższyć odwagą generała, który rzucił się prosto w serce burzy, by powstrzymać jej wysokość przed wymierzeniem sprawiedliwej kary obu łotrom?

Serafine zaczęła chichotać. Ja kręciłem głową.

– Przy odrobinie sprytu – ciągnął porucznik z szerokim uśmiechem – można zasiać więcej wątpliwości: gdyby królowa na miejscu poraziła ich gromem, nie można byłoby jej obwiniać, tylko należałoby okłaskiwać. Prawdziwe królowe mogą robić takie rzeczy... Należy traktować je jak przejawy sprawiedliwego gniewu! I znowu pojawia się pytanie: skoro mogła to zrobić, a jednak nie zrobiła, po co miałyby to czynić później? Albo, skoro wy odważyliście się rzucić w burzę, żeby ją powstrzymać, czemu mielibyście później pałać żądzą zemsty? Ten bezinteresowny, ofiarny czyn, generale, jest dowodem waszego męstwa, honoru i wielkiej odwagi.

A także tego, że uderzenia piorunów były nader bolesne!

– Eee... tak – zgodziłem się. – Czy te pogłoski już są rozpowszechniane?

– Jeszcze nie – powiedział Stofisk, a uśmiech spelzł mu z twarzy. – To będzie wymagało ciężkiej pracy. Przede wszystkim goście balu muszą mieć zgodne wspomnienia z tego wieczoru... już samo to będzie trudne... ale i tu można zrobić to i owo. Wiecie, że cisnęliście grafa jedną ręką przez zamknięte drzwi balkonowe? Graf ważył z pewnością z pięć kamieni, co dowodzi, że gdybyście chcieli go zabić, to mogliście to zrobić, przy takiej tężyznie fizycznej nie stanowiłoby to problemu.

Nie wydał mi się aż taki ciężki.

– Dziś rano rozmawiałem z wielkim mistrzem cechu bardów. Podlegają mu również wędrowni pieśniarze oraz minstrele występujący na targowiskach. Obiecałem mu pewne profity, jeśli pieśniarze rozpowszechnią właściwą wersję historii... Ceną będą poobijane kostki, ale tak to już jest. – Popatrzył na mnie. – Przejdźmy do następnego punktu... do oskarżenia, które Rada Handlowa przygotowuje przeciwko wam... Wy i wasza królowa wywołaliście wybuch wulkanu, który zniszczył Janas i okoliczne tereny, a nawet Aldar.

– Nie zrobiliśmy tego! – oburzyłem się.

– Wiemy – odpowiedział uspokajająco Stofisk. – Ale poza wami nikt tak naprawdę nie ma pojęcia, co tam robiliście! Potrzebuję czegoś, czym mógłbym zdławić te pogłoski, jakiegoś bohaterskiego czynu, czegoś niezwykłego... Nie dokonaliście przypadkiem czegoś, co brzmiałoby lepiej niż zniszczenie całych połaci kraju na skutek powodzi i trzęsienia ziemi?

Serafine znowu zaczęła chichotać; im bardziej starała się powstrzymać, tym bardziej traciła opanowanie, w końcu parsknęła głośno.

– To wcale nie jest śmieszne – zagrzałem, posyłając ostrzegawcze spojrzenie porucznikowi, który z fascynacją wpatrywał się w Serafine.

Pokręciła głową, z trudem łapiąc oddech.

– Nie, nie jest śmieszne – przyznała mi rację i znowu chwyciła łapczywie oddech. – To po prostu brzmi absurdalnie. – Otarła łzy i zmusiła się do spokoju. – Czy wystarczy, że królowa raziła piorunem dowódcę wrogich sił i nekromantę, który postanowił spustoszyć Aldane?

– To świetny pomysł. – Stofisk skinął głową z zachwytem. – Wrogi watażka zginął w wulkanie, nie będzie mógł zaprzeczyć!

– Stofisk – zwrócił się do niego spokojnie.

– Tak, ser?

– To nie jest żaden pomysł. Tak naprawdę było.

– Och. Nekromanta? Wrogi watażka? Piorunem?

– Tak – powiedziałem. – Piorunem. Chciałbym jedno postawić jasno... gdyby królowa rzeczywiście chciała, to po ambasadzie nie zostałyby nawet pyłek.

W razie potrzeby dopomógłbym jej Rozpruwaczem, on łatwiej znajduje nośne wsporniki.

– Naprawdę? To wspaniale! Jak myślicie, czy dałoby się namówić ją, żeby to zademonstrowała?

– Stofisk.

– Tak? – Spojrzał uważnie.

– Nie.

Jego radość nieco przygasła.

– Może jedną małą błyskawicę?

– Nie.

Porucznik westchnął.

– Szkoda. No dobrze. Wróćmy do tego watażki. Kiedy go zabiła, czy byli przy tym jacyś świadkowie? Ktoś ważny? Wiadomo, jak się nazywał ten dowódca?

– Przeklęty nazywał się Celan – powiedziałem. – Czy na świadka wystarczy księżę elfów?

– Księżę Imra, o którym śpiewała Taride? To on naprawdę istnieje?

– Owszem.

– Bogowie! – wykrzyknął z przejęciem. – Wreszcie mam coś, z czym mogę pracować! Co powiecie na to, że na wyspie byli także inni nekromanci, i może jeszcze kapłan tego ich boga, i że próbowali wykorzystać moc wulkanu do ożywienia watażki, za to pokarał ich Soltar?

– Wróćcie na ziemię, poruczniku – warknąłem. – Nikt nie uwierzy w takie bzdury. Wulkan wybuchł, bo wybuchł. Nikt, nawet cała horda kapłanów, nie może wywołać wybuchu wulkanu!

– Ale musicie przyznać, że to brzmi lepiej, niż że erupcję spowodowaliście wy! Ile czasu minęło, zanim opuściliście wyspę po wybuchu? Czy były jakieś dramatyczne momenty, może uciekaliście przed lawą?

– Opuściliśmy wyspę *przed* wybuchem, na kilka świec przed nim. Na grzbiecie gryfa!

– Czy to może potwierdzić ten książę elfów?

– Tak.

– Świetnie! Naprawdę cudownie! Tylko jak go tu sprowadzić, żeby mógł o tym opowiedzieć?

Otworzyłem usta, ale on machnął ręką i trajkotał dalej.

– Porozmawiam z Taride, niech wspomni o tym w swoim eposie, to będzie wspaniałe! Teraz musicie jeszcze tylko znaleźć prawdziwego mordercę i Askir będzie leżał u waszych stóp!

– Mówicie poważnie? – zdziwiłem się.

– Ależ tak! Zobaczycie!

– Dlaczego mam wrażenie, że wam to sprawia radość? – wtrąciła Serafine.

– Bo tak jest! – rozpromienił się Stofisk. – Wreszcie mogę zaprząć do służby królestwu moje umiejętności! Zresztą opiniami często się manipuluje, a to prawdziwa przyjemność robić to dla dobrej sprawy! Mam jeszcze jeden pomysł... czy istnieje możliwość, aby wypożyczyć od elfów gryfa i urządzić to tak, aby ludzie zobaczyli, jak wasza królowa przelatuje nad Askirem na grzbiecie tego szlachetnego zwierzęcia? Albo ktoś, kto wygląda jak ona?

– Stofisk – odezwałem się. – Jesteście niebezpieczni.

– Wiem. – Pokraśniał ze szczęścia. – Jestem rad, że wreszcie ktoś to docenia! To jak, ile kosztuje wypożyczenie gryfa?

– Nic. Ona ma własnego.

– Doprawdy? Bajecznie! Jest może w stajniach? Pozwoli się narysować razem z nią? Jest oswojony i można go będzie pokazać na placu Świątynnym?

– Poruczniku, to jest bardzo, bardzo zły pomysł! Natychmiast o tym zapomnijcie.

– Ale...

– Nie.

– Tak jest, ser! To wielka szkoda.

– Uwierzcie mi, poruczniku, nie jest.

Z trudem pożegnał się z tym pomysłem.

– No dobrze, to nie – westchnął. – Teraz potrzebujemy już tylko nekromanty i wszystko będzie związane na guzik.

– Którego dokładnie? – spytałem. Nie wiedziałem, czy powinienem być rozbawiony, czy zdesperowany.

– Tego, który zabił barona i grafa i dokonał podstępного zamachu na wasze dobre imię i imię królowej. Najlepiej byłoby wykonać publiczną egzekucję na placu Targowym. – Jego oczy pałały blaskiem. – Już to widzę: wasza królowa nadlatuje na gryfie, zsiada, kroczy ku nekromancie i ścina mu głowę jednym cięciem swego miecza! Nie dlatego, że jest łowcą dusz, o nie, tylko dlatego, że to przywilej karać tych, którzy okazali jej brak szacunku, a on zniweczył jej miłosierdzie!

– Jakie znowu miłosierdzie? – Chyba już się pogubiłem.

– Pozwoliła żyć winowajcom, już zapomnieliście? – Popatrzył na mnie zmartwiony. – Królowa potrafi chyba obchodzić się z mieczem i posiada taki, który można naostrzyć? Może moglibyście pożyczyć jej swój?

– Potrafi, ma i jest ostry jak diabli! – wybuchnąłem. Nawet nie zauważył, że Serafine chrząknęła.

– Znakomicie! – zawołał. – Nekromanta zostanie stracony i problem rozwiązany!

– Stofisk, najpierw musimy go znaleźć!

– To żaden problem – rozpromienił się porucznik. – Tu mam jego adres.

– Czy ja dobrze zrozumiałam? – powiedziała osłupiała Desina. – Zapytał matkę?

Mieliśmy szczęście, że zastaliśmy ją w wieży. Wyglądała na zasną, chyba ją obudziliśmy. Staliśmy przed otwartymi drzwiami, pod daszkiem, który chronił nas od deszczu. Na stojąco popijaliśmy herbatę, którą wyniósł z wieży Santer. Przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego nie zaprosiła nas do środka, bo wewnątrz wyglądało przytulnie. Ale zaraz przypomniałem sobie, że tylko Sowy mogą tam wchodzić.

– Tak – odpowiedziała z rozbawieniem Serafine. – Chodzi o interesy. Jego ojciec prowadzi dom bankierski w mieście, a baron Wirten pożyczał od niego pieniądze. Corten uważał barona za ryzykownego klienta i kazał go szpiclować. Szpieg zobaczył, jak Wirten wrócił do domu, i wkrótce potem w domu zniknął jakiś mężczyzna. Szpieg zainteresował się nim, bo skrywał się pod kapturem, choć nie było zimno ani nie padało.

– I co dalej? – zapytała Desina, nie rozumiejąc.

– Z kolei matka naszego porucznika posiada dom kupiecki i prowadziła interesy z Wirtenem oraz Jasenem. Ona również kazała ich obserwować – wyjaśniła Serafine. – Ich obu. Szpicel śledzący Wirtena zauważył, jak tamten zakrada się za róg domu. To było na tyle dziwne, że zapisał to w swoim raporcie. Z kolei inny szpieg widział, jak jakiś mężczyzna w szacie wchodzi do domu grafa Jasena, zupełnie jakby gwardziści na

bramie go nie zauważyli. Szpicel nie spostrzegł, jak mężczyzna wychodzi, usłyszał tylko grzmot, a potem krzyki domowników.

– A zatem mężczyzna w szacie – stwierdziła Desina. – Takich są tysiące.

Zacinał deszcz, wiatr rozwiewał cienką sukienkę Sowy. Gdzieś daleko zabił trzeci dzwon. Zanim jej odpowiedziałem, owinąłem się ciasniej peleryną; było trochę chłodno.

– Ale czerwone buty z żółtą cholewką wyszywaną w srebrne kwiaty są już dość rzadkie. Tylko jeden szewc w mieście robi takie buty – powiedziałem i westchnąłem, mimowolnie spoglądając na kozaki Serafine. – Mistrz Breckert miał tylko trzech klientów, którzy obstalowali u niego takie obuwie. Pierwszy to niejaki graf Wittmar. Ma prawie sto lat i chodzi o lasce. Druga to młoda kobieta, wzięta kurtyzana.

– Asela? – spytała Sowa. – Czyli to jednak była ona?

– Nie. Nie ona. Inna. O wspomnianej porze była zajęta swoim rzemiosłem i dogadzała pewnemu dworzaninowi z Sertiny.

– A trzeci?

– Kupiec z Rangoru – powiedziała Serafine. – Był na balu. Człowiek o nazwisku Helgs, który kilka lat temu zwrócił uwagę zuchwałymi spekulacjami, dzięki którym zyskał wstęp do wyższych sfer.

– Baron Corten, ojciec naszego porucznika, zawsze się dziwił, jak ów Helgs zdołał to osiągnąć. Zgodnie z rachubami Helgs powinien odnotować straty, nie zyski. Corten przypomniał sobie, że Helgs swego czasu zapłacił mu złotem. Udał się do swojego skarbcza w podziemiach, żeby sprawdzić, czy ma jeszcze tamto złoto. Istotnie, miał. Kruszec był trochę bardziej zanieczyszczony od imperialnego i miał czerwonawą poświatę. Taki jak to złoto tutaj. – Uniosłem złotą monetę, którą znaleźliśmy na okręcie w zatoce przemytników. Nosiła godło Thalaku i świeciła czerwonawo w mętnym świetle.

Santer zaśmiał się.

– Trudno w to uwierzyć, ale łańcuch poszlak wydaje się jednoznaczny. – Pokręcił głową. – Jak ten porucznik tego dokonał?

– Spotkał się z matką na śniadaniu – powiedziałem ponuro. – Ona zaś zawołała ojca i tak po nitce do kłębka.

Sowy wymieniły spojrzenia.

– Czuję się trochę zbędny – oznajmił Santer.

– Zapytajcie, jak ja się czuję – burknąłem.

– A więc przyszliście, żebyśmy pojмали tego nekromantę – powiedziała Desina radośnie.

– Też.

– Aha. – Popatrzyła na mnie badawczo. – Po co jeszcze?

– Musimy schwycić go żywego. Do tego potrzebne będą magiczne więzy. Chciałem was spytać, czy mamy coś takiego i gdzie je można znaleźć.

– Chcecie go przesłuchać – stwierdził Santer i skinął z zadowoleniem głową. – Najwyższy czas, żebyśmy poluzowali języki tym przeklętym, może to doprowadzi nas do innych.

– Tak, to również. Ale musi być żywy także później.

– Dlaczego?

Westchnąłem.

– Żeby moja królowa mogła przelecieć się na gryfie nad miejscem egzekucji, następnie majestatycznie zsiąść i osądzić nekromantę Ostrzem Spójni. Żeby została bohaterką i pozyskała przychylność miasta. Dlatego.

Sowy wlepiły we mnie zbaraniałe spojrzenia. Wcale im się nie dziwiłem.

– Czy nie lepiej byłoby poobserwować nekromantę, żeby zobaczyć, czy nawiąże kontakt z innymi? – zapytał Santer Serafine, kiedy schodziliśmy szeroką rampą do zbrojowni. Desina nie poszła z nami, wybierała się do inkwizytora Pertoka, żeby omówić szczegóły zatrzymania.

– Też się nad tym zastanawialiśmy, ale nie mamy na to czasu.

– Myślałem, że nic nie jest tak szybkie jak plotka? – rzucił z rozbawieniem Santer.

– Możliwe – przyznała Serafine – ale chodzi nie tylko o plotki. Musimy zmienić mniemanie.

– Przyzwyczailiście się już do portali, Santer? – spytałem go.

Pokręcił głową.

– Nadal im nie ufam, ale co z tego. Desina jest nimi zafascynowana i nie pozostaje mi nic innego, jak jej towarzyszyć. Nie mogę przecież puścić jej samej. – Westchnął. – Najgorsze jest to, że sam dostrzegam ich przydatność. Jutro udajemy się z Desiną do Olmenhortu, starej twierdzy we Wschodnich Rubieżach, oddalonej zaledwie o trzydzieści mil od Brandenau, siedziby marszałka. Komendant życzy sobie dokładnego raportu o stanie, żeby rozważyć, czy nie wycofać stamtąd wojsk. Desina najchętniej zbadałaby wszystkie portale, jakie jeszcze istnieją. Problemem jest brak kamieni wrót. We wrotach w więzy Sów jest schowek z kamieniami, ale nie ma ich zbyt dużo... Co z wami, generale?

– Zapomniałem o czymś – powiedziałem. – Powinienem wpaść na to wcześniej.

– Na co? – spytała Serafine.

– Zaraz zobaczycie.

Tak jak się spodziewałem, przy jednym z trzech okienek zastaliśmy pogrążonego w drzemce starego weterana. Podszedłem i zapukałem w ladę. Otworzył oko.

– Spokojnie, nie śpię – zapewnił mnie. – Nie nosicie mojej zbroi, generale – zauważył z wyrzutem i wyprostował się na krześle.

– Słyszeliście kiedyś o czymś takim jak książka portali, kapralu?

– Hm – mruknął i podrapał się po głowie. – Wydaje mi się, że było coś takiego, ale...

– Generalskie skrzynie! – wypaliła Serafine. – W zbrojowni Drugiego kiedyś wybuchł pożar i jedna ze skrzyń została uszkodzona. Musieliśmy ją przepakować, a w środku znajdowała się księga, zapieczętowana przez samego Askannona. Sama byłam zbrojmistrzynią – wyjaśniła, widząc dziwne spojrzenie kaprała.

– W Drugim, tak?

– Owszem. Nawet jeśli w to nie wierzycie – odparła.

– Wierzę – powiedział kapral i się podźwignął. – Dziś uwierzę we wszystko. A skoro Drugi Legion rekrutuje żołnierzy i ma już generała, to czemu i nie zbrojmistrza? W końcu tak obsadzone zostałyby najważniejsze stanowisko. Nie pojmuję tylko jednego: dobry zbrojmistrz marnuje się w służbie oficerskiej, ot co!

– Zostałam zmuszona – wyjaśniła z uśmiechem Serafine, a weteran parsknął krótko śmiechem.

– A więc, sera major, jak wyglądają te skrzynie?

– Są z czarnego hebanu, mają srebrne obejmy i zamek otwierany generalskim pierścieniem.

– Przypominam je sobie, nie mamy takich zbyt wielu. Zaczekajcie, zaraz wrócę... Zaraz! – Obrócił się niczym wieża balisty. – Pokażcie mi pierścień!

Posłusznie podetknąłem mu pierścień. Weteran mruknął coś pod nosem i oddalił się nierównym krokiem.

Jakiś czas później wrócił z płaską skrzynką, niewiele większą od dwóch foliałów.

– Proszę – oznajmił i przesunął skrzynkę po ladzie. – Spróbujcie szczęścia. – Wskazał na cesarską pieczęć. – Przyciśnijcie do niej pierścień.

Zrobiłem, jak kazał. Rozległo się ciche kliknięcie i wieko odskoczyło.

Wstrzymaliśmy oddech, kiedy uniosłem pokrywę kasety, lecz w pierwszej chwili nie zauważyliśmy w środku niczego szczególnego: lunetę, nieco mniejszą od tych, które znałem, co wydało mi się praktyczne; małe puzderko z mosiądzu, z magnesem w środku; niedużą rurkę z mosiądzu, której przeznaczenia nie znałem, i dwie książki, grube na kciuk, ale nie większe niż powierzchnia mojej dłoni. Pod spodem była mapa i coś jeszcze, czego dobrze nie widziałem. Sięgnąłem po pierwszą książkę, otworzyłem ją i jęknąłem.

– Bogowie – zakląłem – jak przeczytać to pismo? Jest tak drobne, że rozplywa się przed oczami! – Powiodłem wzrokiem po tytule. „Cesarskie prawo wojskowe”, głosił wypisany równymi literami.

– Mogę pomóc, generale – powiedział zbrojmistrz i wysunął szufladę, z której wyjął kolejne puzderko z mosiądzu. Otworzył je, rozłożył znajdującą się w środku soczewkę i położył ją na tekście. Litery pod nią się powiększyły.

Druga książka była opatrzona pieczęcią ze sznurkiem; przełamałem ją i otworzyłem. Pismo było wystarczająco duże, na pierwszy rzut oka nie miało jednak większego sensu. Na każdej stronie widniały dwa bloki liczb, po trzy liczby po lewej i po dziewięć, a niekiedy dwanaście po prawej.

– To książka portali – powiedział Santer. – Książka Desiny jest grubsza, ale podobnie zaszyfowana. Liczby po lewej to współrzędne z cesarskich map, po prawej znajdują się numery kamieni, które należy wyłożyć.

Skinąłem głową i wyjąłem z kasety dwa ostatnie przedmioty: złożoną, precyzyjnie nakreśloną mapę pokazującą królestwo w jego dawnych granicach oraz elegancko uformowany kawałek kości słoniowej ze złotym czubkiem. Na jego widok Serafine wciągnęła ostro powietrze.

– Słyszałam o tym! – zawołała z przejęciem. – Mogę?

Pokiwałem głową ubawiony. Przypominała dziecko w dniu swoich imienin. Poprosiła zbrojmistrza o arkusz, a kiedy go dostała, przyłożyła złoty czubek do papyry. Pojawiła się na niej cienka czarna kreska.

– Bogowie – zawołał z zachwytem Santer. – Założę się, że Orikes dałby sobie uciąć za to prawą rękę.

– Wtedy już nie mógłby tego używać – zaśmiała się Serafine i popatrzyła na mnie promiennie. – Czy to nie wspaniałe? Pióro, które wiecznie pisze!

– Tak – powiedziałem. – Wspaniałe. – Nie rozumiałem jej ożywienia. No dobrze, człowiek nie potrzebował już gęsich piór i kałamarza, ale taka luneta była przecież o wiele bardziej użyteczna.

Zapakowałem zawartość skrzynki do kieszeni, dałem Serafine dziwne pióro, a także mapę i magnes i przesunąłem skrzynkę po ladzie do zbrojmistrza.

– Możecie ją zachować – oznajmiłem. Rozpromienił się i podziękował, jakbym wyrządził mu wielką przysługę.

– Coś jeszcze? – spytał kapral, spoglądając to na mnie, to na Santera. – Przez was dwóch już miałem sporo roboty... chociaż nie pamiętam, żebym wydawał ci tę zbroję, Santer.

– Sowa znalazła ją w wieży. Jestem teraz jej adiutantem, Kjarlu.

– Hm – mruknął weteran, ale uśmiechnął się przy tym. – Marnowałeś się w Wężach Morskich... a u Sów... No cóż, przynajmniej wreszcie mamy Sowę! – Popatrzył na mnie i uśmiechnął się pod nosem. – Jeśli znowu będziecie mieli zamiar łapać piorun,

zostawcie to lepiej naszemu Santerowi, jeśli się nie mylę, to jego zbroja właśnie do tego została wykonana!

– Kaprał był moim instruktorem miecza – wyjaśnił z uśmiechem Santer. – Od tamtej pory uważa, że wie, co dla mnie najlepsze. Piorun tym czymś nie jest!

– Skoro tak twierdzisz – rzekł ze śmiechem starzec. – Mogę jeszcze coś dla was zrobić?

– Potrzebujemy więzów dla łowcy dusz. Magicznych więzów. Wiemy, że kiedyś coś takiego było.

– A Sowa nie może poszukać ich w swojej wieży, skoro wydaje zbroje?

– W wieży nie ma już zbrojmistrza, Kjarlu. To by za długo trwało; jeśli nic nie znajdziesz, będziemy musieli tam poszukać, ale mieliśmy nadzieję, że nam pomożesz.

– Jestem najlepszym zbrojmistrem w legionach, może z wyjątkiem sery major tutaj – powiedział Kjarl – ale jeśli spodziewasz się cudów, to będziesz musiał trochę poczekać. – Pociągnął za kratę i zaprosił nas gestem. Za ladą stało przygniecione stertą notesów biurko i antyczne krzesło; w kącie obok drzwi prowadzących do magazynów znajdowała się mała żelazna koza, a na niej miedziany czajnik.

– Herbata jest w górnej szufladzie – powiedział kaprał, zamykając za nami ladę. – Gdzie twoje maniery, Santer, zrób serze major herbaty. Wrócę jeszcze w tym tygodniu. – Sięgnął po druciany koszyk i odkuśtykał.

– Chcecie herbaty? – zapytał Santer Serafine. Odmówiła z uśmiechem.

– Jesteście obznajomieni tutaj z wieloma rzeczami, Santer – powiedziałem, odprowadzając wzrokiem zbrojmistrza. – Nie przeszkadza wam to? Zbytńia zażyłość nie zawsze jest dobra.

– Dopóki nie zapomina się przy tym o szacunku, nie przeszkadza mi to – odparł Santer. – Nawet wolę tak, bo odkąd noszę tę srebrną sowę, niektórzy się przede mną płaszczą. Czegoś takiego nie potrzebuję.

– Tutaj, Havaldzie – powiedziała cicho Serafine i wskazała na wiszącą na ścianie gablotkę. Znajdowały się w niej cztery srebrne i jedna złota moneta. – Odznaczenia kaprała. To dziwne, że nie ma wyższej rangi. Zaiste, imponujące. Te monety przytwierdza się do napierśnika.

– Mówi, że tu mu najlepiej – rzekł Santer. – Jest tu wprawdzie oficer magazynowy, ale woli nie zadzierać ze starym Kjarlem. To jego królestwo, niech tu rządzi.

– Znowu opowiadasz stare historie? – odezwał się stary zbrojmistrz, podchodząc bliżej. – Nie wiercie mu w ani jedno słowo, generale. Wszystko wyssane z palca, może pomijając to, jak jednym ciosem zabiłem smoka. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Tyle że nie był dłuższy niż moje ramię. – Postawił koszyk, zawierający drążek, obręcz z metali i sztywne kajdany na nogi.

– Kiedy byliście w południowych krainach, kapralu? – zapytałem. Kapral zamarł w pół ruchu i obrzucił mnie nieufnie wzrokiem.

– Skąd wiecie, że byłem na południu?

– Sami powiedzieliście – odparłem. – Smok.

– Bogowie – zaklął Kjarl. – Nie potrafię utrzymać języka za zębami... A przechwalałem się tyle razy i nikt nie powiązał jednego z drugim! – Zmierzył mnie wzrokiem. – Te dziewięć kamieni na waszym pierścieniu powinno mnie ostrzec. Mimo to nie mogę wam o tym nic powiedzieć.

– Jak sami zauważyliście, to dziewięć kamieni. Mogę się zwrócić do komendanta, ale wolałbym tego nie robić.

Zawahał się i spojrzał na Santera.

– Santer, wyświadczysz mi przysługę i przejdziesz się trochę? Sera major, wy też?

– To nie będzie konieczne – zapewniłem. – Powiedzcie mi, gdzie widzieliście tego smoka.

– To było prawie czterdzieści lat temu – odpowiedział Kjarl, zawieszając spojrzenie gdzieś w oddali. – Mój porucznik szukał ochotników i zaproponował mi żołąd śmierci. Byłem wtedy równie głupi, co chciwy.

– Żołąd śmierci? – zapytałem.

– Wynosił dziesięciokrotność zwykłego żołądu przez czas działań bojowych, plus zwykły żołąd wypłacany rodzinie żołnierza do końca służby – wyjaśniła Serafine, a Santer skinął głową.

– Dokładnie tak – potwierdził Kjarl. – Zaokrętowaliśmy się. To nie był statek mieczowy, lecz galeas, załadowany prowiantem aż po otwory wiosłowe. Misja była tajna, ale rychło dowiedzieliśmy się, o co chodzi. Wyprawa na dalekie południe, mająca na celu zrewidowanie dawnych map morskich. Dowódcą był młody żołnierz Piór, twardy chłop, który nie pozwalał na żadne wyskoki. Przepłynęliśmy Morze Sztormów i o mało nie zatonieliśmy, niektórzy bali się, że spadniemy z krawędzi dysku świata. Byliśmy w drodze pięć tygodni, ani razu nie widząc lądu. W końcu dojrzeliliśmy przed sobą ląd, porośnięty gęstą dżunglą, a w niej znaleźliśmy ruiny dawnego miasta. Trzeba oddać Pióru sprawiedliwość: wiedział, jak czytać mapy. Port był tak zapiaszczony po latach zaniedbania, że ledwie zdołaliśmy zacumować przy starym kamiennym nabrzeżu. Podzielono nas na dwie grupy, jedna miała rozejrzeć się po mieście, druga zgłębić wyspę. Jeden z tych przeklętych smoków ugryzł mnie w ramię, więc przydzielono mnie do grupy, która miała zbadać miasto. Nasze zadanie było proste. Prowadził porucznik Piór, miał mapę, która kierowała nas przez ruiny w określone miejsca. Jednym była piramida pośrodku miasta, wspięliśmy się na sam jej szczyt, gdzie stał mały domek z kamienia, zaryglowany stalową płytą zamkniętą

trzema pieczęciami. Porucznik obejrzał pieczęcie, sporządził notatkę i ruszyliśmy dalej. Kolejnym miejscem była wieża, a w niej znowu zapieczętowane drzwi, trzecim imperialny dom zajezdny, gdzie kazał nam poczekać na zewnątrz. Czwarty punkt stanowiła stara wieża w porcie, niestety, zrujnowana. Jeśli znajdowały się tam podobne drzwi, to ich nie znaleźliśmy. I to było tyle. Wróciliśmy na statek i czekaliśmy na drugą grupę. Kiedy po dziesięciu dniach nie wróciła, odbiliśmy i udaliśmy się w drogę powrotną. Pomijając fakt, że omal nie umarłem na febrę, było to łatwo zarobione złoto. Tyle że nie dla trzydziestki mężczyzn, którzy zostali w dżungli.

– Kraj po drugiej stronie Morza Sztormów? – spytałem.

Kapral skinął głową.

– Właśnie.

– I ruiny miasta Starego Królestwa?

– Tego nie powiedziałem.

– Nie, wspomnieliście jedynie o imperialnym domu zajezdnym.

Westchnął.

– Tak. Były tam imperialne budowle, ale samo miasto wyglądało obco, budynki ozdobione kamiennymi bożkami i potworami, ulice szerokie. I wszędzie stały piramidy z wieloma, wieloma schodami.

– Jak duże to było miasto?

– Powiedziałbym, że takie jak Rangor albo Aldar. Ale nikt tam już nie mieszkał, chociaż w studniach nadal była czysta woda. Tylko dziwne psy, pokryte łuskami, skrzydlate.

– Watramy? – zdumiałem się. Zbrojmistrz przytaknął.

– Tak je nazywał porucznik Piór. Diabelnie zmyślne bestie, podkradały nam prowiant. Byliście tam kiedyś?

– Nie. Opowiadajcie dalej.

– Nie ma już o czym. Nie było mnie prawie cztery miesiące, żołądek śmierci mi się opłacił. Wystarczyło jedynie na niewielki dom na obrzeżach miasta.

– Dziękuję, kapralu – powiedziałem.

Opuszczone miasto z imperialnymi zabudowaniami po drugiej stronie Morza Sztormów? Zaryglowane drzwi i watramy? Nic mi to nie mówiło. Ale wiedziałem już, skąd cesarz nekromanta brał swoje psy gończe.

Kapral pstryknął palcami.

– Przypomniało mi się coś. Oczywiście snuliśmy się po mieście i przeszukaliśmy z paroma kamratami dawną bazę marynarki. Były w niej nawet meble, choć zbutwiałe.

I szyld na plaży, informujący, że zabrania się schodzić na ląd poza obrębem miasta Kalliste.

– Miasto nazywało się Kalliste?

– Na to wygląda.

– Hm. – Spojrzałem na jego koszyk. – Co nam przynieśliście?

Wyjąłem obręcz na szyję, bardzo podobną do tej, którą sam miałem na swojej szyi na Wyspach Ognistych.

– Prawdę mówiąc – odparł kapral, wyraźnie rad ze zmiany tematu – sam do końca nie wiem. W wieży Sów zapewne znajdziecie więcej. To wyciągnąłem z zakurzonego kąta, w którym przechowuje się rzeczy nocnych jastrzębi. Ponieważ ich zadaniem było łapanie nekromantów, pomyślałem, że tam zajrzę. Byłem chyba pierwszy od stuleci, który się tam zapuścił. – Podniósł drążek. Był pusty w środku, na jednym końcu znajdował się srebrny łańcuch, tworzący pętlę. – Czymś takim chwyta się dzikie zwierzęta, ale na tym drążku widnieją jakieś runy. Obroza... – Wzruszył ramionami. – Kajdany na nogi są ze srebra, trochę zaśniedziałe, dlatego takie ciemne. Również opatrzone runami. Srebrne kajdany na nogi nie mają sensu, chyba że byłyby przeznaczone dla szczególnych więźniów. To wszystko, co mam. Nie wiem, czy wam się to przyda.

Santer podrapał się po głowie.

– Jakoś sobie tego nie wyobrażam. Mamy jednocześnie trzymać nekromantę i spokojnie wypróbować, co się stanie?

– Bierzecie te rupiecie czy nie?

– Tak – odparł Santer. – Dowiemy się, do czego to służy. Pokwituję odbiór.

Kiedy składał podpis w książce wydań, ja raz jeszcze zwróciłem się do zbrojmistrza:

– Wiecie, ile zbroi do jazdy konnej Smoków jeszcze jest na składzie?

– To zależy, kto je nosi, ile części pasuje... więcej niż tysiąc sto, mniej niż tysiąc dziewięćset. Napierśników mamy więcej, bo prawie nie mają zastosowania.

– Hm – mruknąłem. – Wyobraźcie sobie, że jesteście ze swoją lancą w stancy obronnej w dalekim, obcym kraju. Stanica zostaje zaatakowana przez legion wroga.

– Nieprzyjemna myśl – stwierdził i obrzucił mnie ostrym spojrzeniem. – To już czas? – Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, kiwnął głową i westchnął. – No dobrze. Wyobrażam sobie. Do czego zmierzacie?

– Założmy, że w magiczny sposób możecie wziąć coś z waszej zbrojowni, co utrudniłoby zadanie przeciwnikowi. Co by to było?

– Obojętnie co? – spytał, uśmiechając się pod nosem.

– Powiedzmy, że musiałoby to być coś, co można wieźć na koniu lub pociągnąć przez dwa do czterech koni.

– Czyli jednak nie do końca magicznie – orzekł. – Ale przynajmniej wiecie, kogo zapytać. Chodźcie ze mną, pokażę wam coś, co was wprawi w zdumienie.

Kapral wziął z haka latarnię i zapalił ją za pomocą trzaski podpalonej w piecyku.

– Mam nadzieję, że jesteście dobrym piechurzem – rzekł z krzywym uśmiechem. – To, czego szukacie, znajdziemy w najgłębszych pokładach.

– Bogowie – zdumiałem się, kiedy schodziliśmy czwartą szeroką rampą, która niczym kręcone schody łączyła kondygnacje składu.

Od chwili, gdy ruszyliśmy pierwszą rampą, byłem wdzięczny za latarnię, dokoła nas panowały kompletne ciemności, tylko dzięki widzeniu Rozpruwacza mogłem domyślić się rozmiarów wielkich hal, do których wchodziło się z rampy.

– Siedem pięter – oznajmił z dumą zbrojmistrz. – A im głębiej, tym większe hale. Tutaj znajdziecie wszystko, generale, od łodzi po sanie, wszystko, co kiedykolwiek zostało przetestowane, zbudowane, a potem zapomniane, do tego dobra zdobyczne, zbroje i broń. Prezenty od obcych królestw, trybuty, wszystko, co dawniej miało jakąś wartość. Może powinno się pozbyć części z nich, ale kto miałby to zrobić? A więc wszystko zalega tu i pokrywa się kurzem... na wypadek gdyby zajrzał tu jakiś generał, zmyślny na tyle, by zadawać właściwe pytania.

Na piątej rampie zatrzymał się i jednym z licznych kluczy otworzył ciężkie wrota.

– Tutaj na dole stoją pojazdy – poinformował nas. – Wydobyć ich po rampie w górę oznaczałoby niezłą harówkę, ale wszystko, co tu zjechało, może też stąd wyjechać.

Za wrotami rozciągało się duże pomieszczenie, z którego wychodziły szerokie, ciemne korytarze.

– Havaldzie! – powiedziała Serafine, wskazując na podłogę. Skinąłem głową, sam już to zauważyłem. Złote taśmy tworzyły na ziemi ośmiokąt o średnicy dobrych dwudziestu kroków, w jego kątach widoczne były wielkie jak pięść zagłębienia. Widziałem już kiedyś coś takiego, w piwnicach gospody Pod Głowomłotem, portal towarowy, jak wyjaśnił nam Kennard. Przypuszczałem, że obsługiwało się go podobnie jak inne portale, przy użyciu kamieni wrót, tyle że kamieni odpowiednich dla tego portalu nie mieliśmy.

– Użyteczna rzecz – odezwał się Santer. – Zwłaszcza jeśli prowadzi bezpośrednio do zbrojowni! – Uśmiechnął się pod nosem. – A więc wasze pytanie wcale nie było takie od rzeczy, generale! Zapytam Desinę, czy nie znalazła gdzieś dużych kamieni wrót.

Kapral popatrzył na nas pytająco.

– To magiczny portal – wyjaśniłem i ugryzłem się w język. To nadal była tajemnica.

– Jak ten w domu Sowy? – spytał kapral. – Krążą o tym szalone pogłoski. Bardziej o kamieniach szlachetnych, potrzebnych do jego obsługi, niż o samym portalu –

dorzucił. – Jeden taki kamień może uczynić człowieka bogaczem do końca życia.

– Albo zaprowadzić go na szubienicę – stwierdził zdawkowo Santer.

– Albo to – zgodził się kapral i otworzył ostatnie drzwi do hali. Podniósł wyżej latarnię i pod sklepieniem ujrzeliśmy świecące globy.

– Chyba jest jakiś sposób, żeby się zapaliły, ale nikt nie wie, jak to zrobić... musimy więc zadowolić się latarnią.

Hala była zastawiona zaprzęgami, w większości przykrytymi plandekami: składowano tu jednokonki, dwukonki, a nawet zaprzęgi dla sześciu czy ośmiu koni. Miały najróżniejsze kształty i rozmiary; otwarte, zadaszony, niektóre z pozoru całkiem zwyczajne, inne z nadbudówkami, które nie miały sensu. Kjarl poprowadził nas wzdłuż sznura wozów, wyglądających jak łodzie, a potem zatrzymał się w kącie przy zaprzęgach schowanych pod plandekami.

Ściągnął jedną, otrzepał kurz i podniósł latarnię.

– Ten – oznajmił. – Mamy takich osiem. Imperialna stanica oblegana przez obcy legion? W takiej sytuacji chciałbym mieć te tutaj, ustawione na wałach, a uwierzcie mi, żaden wróg nie będzie już chciał oblężenia. – Wskazał latarnią godło na wozie. – Należał do Bobrów, cesarskich pionierów. Oni mieli mnóstwo takich rzeczy.

Na wozie ze składanymi bocznymi burtami zamontowane były arbalety albo lekkie balisty. Tyle że te miotacze bełtów były z metalu, podobnie jak balisty na nowych okrętach mieczowych. Tkwiły na nich korby i długie dźwignie, do tego skomplikowana sieć kabli z drutu, które przebiegały na rolkach. Tam, gdzie znajdował się trzon balisty, u góry przymocowane były różne szyny z rozporami.

Otworzył podłużną skrzynkę, stojącą obok arbalety na podłodze wozu, i wyjął wiązkę metalowych bełtów, które miały długość półtora kroku. Były spięte klamrami po pięć sztuk. Rzucił wiązkę między szyny na trzonie arbalety, ta zsunęła się w dół, klamra się otworzyła i spadła z brzękiem na podłogę.

Zaparł się o dźwignię z boku i miotacz bełtów obrócił się ze zgrzytem. Wycelował w ciemność po prawej stronie od nas.

– Jeśli naprawdę chcecie kogoś wystraszyć, to potrzebne wam to. – Wskazał na stos bełtów, leżący w szynach. – Jak widzicie, zmieści się tu jeszcze jedna wiązka, a więc dziesięć bełtów.

Przywołał do siebie Santera.

– Pomóż mi. Usiądź tutaj.

Sowa zrobił, co mu kazano. Zbrojmistrz pokazał mu, gdzie ma postawić stopy na pedałach.

– A teraz przebieraj nogami, Santer – polecił z szerokim uśmiechem Kjarl. Santer zaczął pedałowac, wprawiając w ruch wielkie, ciężkie koło. Napędzana tak długa

sztanga jąła poruszać się powoli w przód i w tył. Zbrojmistrz stanął za pedałowującym Santerem, który siedział tak nisko, że właściwie prawie leżał, i pociągnął za długą dźwignię.

Przypominający łapę chwytник podniósł się, złapał grubą na kciuk wiązkę ze splecionego drutu i pociągnął do tyłu, rozległ się klekot i jeden z bełtów spadł w dół, stuknęło głośno i bełt wystrzelił z hukiem. Uderzył w odległą ścianę, syjąc iskrami. Chwytник przejechał wzdłuż trzonu, podniósł się, chwycił drucziany kabel, cofnął się i kolejny bełt spadł w zagłębienie.

– Bogowie! – wyrwało mi się.

– Możesz przestać pedałować – polecił Santerowi zbrojmistrz. Ten zlął z siedzenia i jął masować sobie uda, nie przestając się dziwić morderczą machiną.

– Potrzeba do tego takiego siłacza jak Santer – powiedział zbrojmistrz. – Ale można miotać bełty w takim tempie, że wrogowi na pewno odejdzie ochota na atak! Chodźcie, pokażę wam jeszcze coś.

Zaprowadził nas do ściany oddalonej o dobre czterdzieści kroków i przejechał dłonią po kraterze, który powstał w starym kamieniu.

– Kiedy wróg naciera w kilku szeregach – podjął półgłosem – machina przebija wszystkich, aż do ostatniego żołnierza. Te bełty są zdolne przelecieć dwieście kroków i nadal są zabójcze. Z odległości stu kroków przebijają dąb o grubości siedmiu dłoni... to powinno coś powiedzieć Santerowi.

– Dwie dłonie to zwyczajowa miara wzmocnionej burty na statku mieczowym – wyjaśnił Santer. Był pod wrażeniem. – Te bełty podziurawiłyby je jak ser.

– Są też mniejsze? – zapytałem zbrojmistrza.

– Tak. Ale do obsługi mniejszych potrzeba dwóch chłopca, są diabelnie ciężkie.

– Varosch by je pokochał – zauważyła z uśmiechem Serafine. – Dałby wiwernom do wiwatu takim miotaczem!

– Wymagają pielęgnacji – przyznał zbrojmistrz, prowadząc nas z powrotem do wozu. – Silnych mężczyzn do obsługi dźwigni, do tego trzeba je oliwić w tysiącu miejsc, potrzeba koni, no i te bełty... należałoby wyprodukować nowe, wiem, że nie mamy ich zbyt dużo. Ale jeśli już staną na swoich pozycjach, nie przepuszczą ani jednego wrogiego żołnierza. Dopóki nie skończą się bełty. Te maszyny zużywają je w zastraszającym tempie. – Wziął jeden z wierzchu arbalety i dał mi go.

Był ciężki, miał grot z trzema ostrzami, nadal błyszczącymi w miejscu, gdzie je naostrzono, choć całą resztę pokrywała lekka rdza.

– Myślę, że każdy z tych bełtów będzie kosztował ze cztery srebrniki – ciągnął zbrojmistrz. – Droga przyjemność.

– Można z nich strzelać normalnymi bełtami? – zapytałem, oddając mu bełt.

– Cięciwa jest zrobiona z plecionego stalowego drutu i napinana tymi sprężynami. Wierzcie mi, generale, rozniosłaby na strzepy normalny trzon. – Spojrzał na broń. – Cięciwy to kolejny problem. Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze wiedział, jak je splatać. Ale jeśli chcecie broni, która wprawi wroga w popłoch, generale, to tu ją macie.

– W rzeczy samej – stwierdziłem pod wrażeniem. – Mówicie, że brakuje bełtów?

– Właśnie. Szukałem ich, ale wszystko, co znalazłem, znajduje się na tym wozie. Skrzynia jest do połowy pusta, zostało ich nie więcej niż trzydzieści.

Spojrzałem na Serafine.

– Zajmę się tym – obiecała. – Ale to potrwa.

– Potwierdza się jedno – powiedział Santer z namysłem, kiedy szliśmy na górę. – Sowa ciągle powtarza, że potęga Askiru nie zasadzała się na magii, lecz na wiedzy. – Westchnął. – Chciałbym wiedzieć to wszystko, o czym zapomnieliśmy.

Zbrojmistrz pokazał mi jeszcze mniejsze miotacze, które mogły strzelać bełtami o drewnianych trzonach. Była to broń o zasięgu dwukrotnie większym od kuszy, znaleźliśmy podobną w Twierdzy Gromów. Varosch był niepokieszony, że musieliśmy ją tam zostawić, teraz wiedziałem, jak mu się przysłużyć.

W końcu znaleźliśmy to, czego szukałem. Na półkach w równiutkich leżały rzędach kusze o podwójnych łuczyskach, które można było napinać jednocześnie za pomocą korby.

– Ile ich jeszcze macie? – spytałem, waząc w rękę jedną z nich. Była niewiele cięższa od zwykłej.

– Trochę ponad pięćset – poinformował mnie zbrojmistrz.

– Myślę – stwierdziłem – że to powinno wystarczyć.

– Powiedz mi – spytała Serafine, kiedy wyszliśmy ze zbrojowni – co ty planujesz?

– Zanim legion wyruszy, upłynie trochę czasu – odpowiedziałem. W głowie miałem gonitwę myśli. – Ale to nie znaczy, że mamy siedzieć beczynn timer. Niewielki, szybki oddział, dobrze uzbrojony, najlepiej konny, może wyrządzić wrogowi wielkie straty. Przynajmniej tę jedną rzecz legiony wroga i my mamy wspólną: są nieruchawi jak kamienie. Potrzebujemy jeszcze tylko kogoś, kto jest dość zmyślny i podstępny, by stać się nieprzyjemnym cierniem dla przeciwnika.

– Możemy spytać Orikesa – podsunęła.

– To nie będzie konieczne. – Przyszedł mi do głowy pewien major miecza, którego poznałem w Aldarze. – Znam kogoś takiego. – Westchnąłem. – Ale to później. Teraz musimy dorwać jakiegoś nekromantę.

32 HELGS

Kupiec Helgs mieszkał w jednym z typowych domów zbudowanych na planie kwadratu, dwukondygnacyjnym, o wysokich, gładkich murach zewnętrznych, które dopiero na pierwszym piętrze miały niewielkie okienka, i otwartych na wewnętrzne podwórze. Brama połączona z przejściem na dziedziniec, z którego wchodziło się do domu, zrobiona była ze wzmocnianych stałą dębowych bali.

– Ma czterech strażników, kucharza, trzech służących i dwie niewolnice – przeczytał Santer z podkładką w ręku.

– Myślałem, że niewolnictwo jest w Askirze zabronione? – zdziwiłem się. Santer skinął głową.

– Bo jest. Ale nie w innych królestwach. Szczególnie w Rangorze jest powszechne, mają tam duże zapotrzebowanie na niewolników w kopalniach. Jeśli zabierają z sobą niewolników do Askiru, mamy związane ręce. Tutaj mają prawo wykupić sobie wolność, ale nie możemy zrobić nic więcej.

– Za twoich czasów też tak było? – zapytałem Serafine, ale pokręciła głową.

– Prawo cesarskie obowiązywało wówczas we wszystkich królestwach.

– Skąd biorą tych nieszczęśników?

Santer wzruszył ramionami.

– Czasami od barbarzyńców. Zwykle są to przestępcy, którzy w ten sposób wykupują się od drobnych przewinień. Często z Besarajnu, tam nadal panuje zwyczaj, że rodzice sprzedają swoje dzieci, kiedy nie mogą ich wyżywić. Większość niewolnic pochodzi stamtąd.

Kobiety w Besarajnie były cenione za swoją urodę. Kupowano je zapewne nie do pracy na roli, pomyślałem z goryczą.

– To hańba – wtrąciła cicho Desina. – Ale nie jesteśmy tutaj z powodu niewolników. – Popatrzyła na Santera. – Czytaj dalej.

– Helgs posiada kantor w porcie – podjął Santer. – Tam pracuje dla niego dziewięciu subiektów, ponadto utrzymuje kontakty z bandami w porcie. I od czasu do czasu wynajmuje zbirów do ściągania długów. – Zatrzasnął klapkę i popatrzył przez ulicę na dom kupca. Staliśmy na dachu domu leżącego naprzeciwko; jego mieszkańcom zasugerowano, żeby na koszt cesarza wyjechali na wypoczynek na obrzeża miasta.

Oprócz Serafine, Santera, Desiny i mnie na miejscu był jeszcze nieduży kapral Węży Morskich Fefre, przyjaciel Santera. Fefre miał ze sobą tenet Węży. Mieli dokonać szturm razem z tenetem Byków. Gdy tylko dowiemy jak i kiedy. Był czwarty dzwon, południe, słońce było dziś łaskawe dla miasta, ale nie dla nas, bowiem wolelibyśmy chmury i deszcz, który spadł przed południem.

– Nieprzyjemny osobnik – stwierdziła Desina. – Ale takich jest wielu. Raczej zwracałby uwagę, gdyby zachowywał się inaczej. Co wiemy o jego służbie?

– Niezbyt wiele – powiedział Santer i przewrócił kartki. – Jeden ze służących był trzykrotnie aresztowany, zamieszany w bójkę i raz złamał nogę swojemu dłużnikowi. Dostał za to karę trzydziestu batów, od tamtej pory był albo posłuszny prawu, albo ostrożny. Tu coś mamy. Kucharz. Dwukrotnie widziano go na zgromadzeniach, które, jak podejrzewano, mogły być nabożeństwami ku czci Bezimiennego, lecz za każdym razem, gdy je przerywaliśmy, podawano jakiś inny powód. Raz miała to być orgia, za drugim razem nielegalna walka na miecze.

Spojrzałem na dom kupca. Teraz, kiedy trzeba było szybko wtargnąć do środka i zaskoczyć przeklętego, musiałem przyznać, że styl budowli spełniał swój cel.

– Jest w swoim kantorze? – spytałem.

– Tak – odparł Santer. – Ma w zwyczaju robić przerwę w południe. Za jakieś pół godziny będzie w domu.

Fefre przytaknął.

– Mamy do wyboru albo dostać się do środka i liczyć, że tego nie zauważy, kiedy otworzy bramę, albo przechwycić go na ulicy. Chodzi zawsze z dwójką strażników, ale wolno im nosić jedynie pałki, choć jeden z nich został oskarżony o noszenie krótkiego miecza. Nikt nie wie, jakimi mocami dysponuje przeklęty, a jeśli schwytamy go na ulicy, istnieje ryzyko, że ucierpią mieszkańcy. Dlatego czekamy na niego tutaj – wyjaśnił kapral. – W porcie panuje za duży ścisk, tu jest spokojniej.

– Moglibyśmy poczekać na serę Zokorę – zaproponowała Serafine. – Ma dmuchawkę i strzałki z jadem nasennym, już raz okazała się użyteczna w walce z przeklętymi.

– Zokora jest ważnym gościem. Orikes bardzo by się rozsierdził, gdyby coś jej się przytrafiło – sprzeciwiła się młoda Sowa. Spojrzała na mnie. – To samo dotyczy waszej królowej. Ona i sera Zokora są zbyt ważne dla Askiru, żebyśmy mogli narażać je na niebezpieczeństwo. Ale to dobry pomysł, żeby go ogłuszyć. – Desina popatrzyła w zamyśleniu na dom naprzeciwko, potem w dół na ulicę, na której panował umiarkowany ruch. – Zatrzymam go na ulicy – postanowiła. – Tam – wskazała ręką – na rogu. Strzelcy powinni mieć dobre pole do strzału. Niech dwóch Byków usiądzie na tamtej ławce i gra w kości. Sprzedawca dzbanków... Widzicie go?

Skinąłem głową. Starszy człowiek o kulach, stojący przy wózku i wychwalający przechodniom swoje dzbanki.

– Dajcie mu sztukę złota i kupcie od niego wózek i tę jego brudną szatę. Podmienimy go na żołnierza. W wózku schowa kuszę.

– Jak chcesz go ogłuszyć? – spytał Santer.

– Piorunem – odparła. – To silny grzmot, tak głośny, że na jedno, dwa mgnienia oka ogłuszy go i powali na ziemię. Podziała również na ludzi na ulicy, ale dzięki temu znikną z pola ostrzału. – Popatrzyła na mnie. – Rzucimy się na niego, unieruchomimy i spróbujemy nałożyć te więzy. Wszystkie. W nadziei, że któreś pomogą. Jeśli nie, musicie wkroczyć wy i wasz miecz. Rozumiem, dlaczego publiczna egzekucja jest potrzebna, ale nie mam nic przeciwko temu, żeby zobaczyć go martwym na tej ulicy.

– Dobrze – zgodziłem się. – Muszę tylko być w pobliżu.

– W bramie tamtego domu? – zapytał Santer. – Tam nie powinniście rzucać się w oczy.

– A co z wami, primo? – odezwałem się do Desiny. Ta, w swojej niebieskiej szacie, zwracała uwagę.

– Nie będzie mnie widział – odparła z uśmiechem.

– Magia? – zaciekawiała się Serafine.

– Nie, umiejętności.

– Dobrze, ale po co te ceregiele? – spytał Fefre.

Popatrzyliśmy na niego zdziwieni. Kapral uśmiechnął się szeroko i sięgnął do swojego kołczanu. Wyjął z niego bełt, który zamiast grota miał ołowiany stożek.

– Skutkuje prawie zawsze, chyba że ktoś ma wyjątkowo cienką czaszkę. Wtedy też zadziała, ale inaczej.

– A jeśli chybicie? – spytała Serafine.

– To mało prawdopodobne, ale może się zdarzyć – odparł niski kapral. – Ale wszyscy przecież nie chybimy. Mam ze sobą dziesięciu Węży. Przygwoździmy go do ziemi, po bełcie albo dwóch w każdej kończynie, jeśli wtedy jeszcze drgnie... – Wzruszył ramionami. – Wtedy generał będzie mógł go ogolić.

– Czy ktoś już brał pod uwagę, że on może wcale nie jest przeklętym? – zapytała Serafine.

– Rozpoznam to, jeśli znajdę się wystarczająco blisko – powiedziała Desina.

– Jak blisko?

– Na odległość kroku, może dwóch, ale pewność będę miała tylko, gdy go dotknę.

– Więc dajcie nam znak, kiedy będziecie pewna, primo – rzekł Fefre. – Resztę zostawcie naszym bełtom. Przeklęty przeżyje.

– Dobrze – zgodziła się Desina. – Zróbmy tak. Znakiem niech będzie grzmot, podziela też na jego strażników. Zatkajcie czymś sobie uszy i otwórzcie usta, jak już będzie pora.

Stałem w bramie domu, w narzuconej na grzbiet starej szacie i udawałem, że należę do tego miejsca. Nie widziałem stąd Desiny, ale róg, na którym chciała przechwycić nekromantę, był oddalony o mniej niż pięć kroków. Nie potrafiłem nawet zgadnąć, gdzie sama chciała się schować, ale wyglądało na to, że wie, co robi.

Na dachu domu naprzeciwko rozpoznałem sylwetkę Serafine. Miała dać mi znak, kiedy będzie czas. Zastanawiałem się, ile to jeszcze potrwa, i wpatrywałem się w nią. Machnęła ręką... Trzasnął piorun, który wzbił tumany kurzu na ulicy i ogłuszył mnie jak obuchem. Zatoczyłem się na ulicę, nie wiedziałem, dokąd się zwrócić i czego tu w ogóle chciałem. Kiedy się otrząsałem, ujrzałem przed sobą Desinę. Klęczała jednym kolaniem na piersi przeklętego i spokojnie nakładała mu więzy. Dwaj żołnierze Byków, którzy udawali, że grają na ławce w karty, trzymali się dość niepewnie na nogach.

Kupiec Helgs leżał na ziemi jak wieprzek nadziany na rożen. Ani drgnął. Jeden ze strażników zalegał jeszcze na ziemi, drugi chodził w kółko na czworakach, jakby czegoś szukał. Santer był już na miejscu i pociągnięciem ręki postawił przeklętego na nogi. Podjechał powóz, Santer wrzucił spętanego do środka i sam wsiadł, a powóz ruszył z kopyta. Na ziemi została tylko kałuża krwi i parę tępych bełtów.

Wciąż oszołomiony, poszedłem za Sową do domu, w którym się przyczailiśmy. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, na ulicy pierwsi przechodnie zaczęli dochodzić do siebie. Tenet Byków wtargnął do domu kupca, żeby zabezpieczyć i przetrząsnąć budynek.

Desina zdjęła kaptur, popatrzyła na mnie promiennie i poruszyła ustami.

– Co? – krzyknąłem.

– Powiedziała, że wszystko poszło zgodnie z planem! – zawołała ze śmiechem. Serafine zeszła po schodach, dłubiąc palcem w uchu i uśmiechając się szeroko.

Odechciało nam się śmiać, kiedy znaleźliśmy w piwnicy pomieszczenie, w którym cuchnęło starą krwią. Desina pobladła i pewnie by upadła, gdyby nie Fefre, który ją podtrzymał. Sam ledwie powstrzymywałem mdłości.

Pośrodku stał ołtarz z ciemnego kamienia. Wokół niego pulsowała w rytmie serca mroczna poświata i w tym samym rytmie macki czarnego dymu owijały się dookoła kończyn dziecka, które leżało na kamieniu i drgało jeszcze – choć nie mogło już żyć.

– Generale – wyszeptała Sowa. – Moglibyście...

Skinąłem ponuro głową i dobyłem Rozpruwacza. Kiedy blade ostrze przeszło dym, dziecko i czarny kamień, poczułem coś, co cofnęło się z niemym krzykiem i zniknęło w odłamkach kamienia. Owionął nas chłód.

– Sierzancie? – Desina zwróciła się do Byka stojącego w drzwiach piwnicy. – Poślijcie gońca do świątyni Soltara. Potrzebujemy tu kapłana, który wypędzi *to* i oczyści to miejsce.

– Myślę, że jako dowód to w zupełności wystarczy – stwierdziła Desina nieco później, zwracając się do inkwizytora Pertoka, który przybył do domu kupca w asyście pół tuzina Piór. Mężczyzna z kamienną twarzą obejrzał piwnicę, ołtarz i zwłoki dziecka.

– W rzeczy samej – potwierdził. – Zezwalam na zastosowanie w przesłuchaniu wszelkich środków, łącznie z *alta're'vita*.

– Co to jest? – zapytałem półgłosem Serafine, kiedy opuszczaliśmy ten nieszczęsny dom.

– Zmiana życia – wyjaśniła. – Tortury. – Popatrzyła na mnie. – Normalne przesłuchania mogą być bolesne, ale nie mogą powodować trwałych uszkodzeń.

– Jak taktownie – zauważyłem. Często byłem świadkiem czegoś zupełnie odwrotnego, gdy przy najmniejszym podejrzeniu w ruch szły ostre noże i rozżarzone obcęgi. Nie miałem zbyt dobrego mniemania o torturach, sam przyznałbym się na mękach, że jestem posłańcem Bezimiennego.

– Nie – zaprzeczyła Serafine twardo. – Nie w tym wypadku.

– Przeklęty żyje – doniosła mi Desina nieco później, kiedy wróciliśmy do cytadeli. – Kaci mają jeden dzień, żeby go przygotować, jutro rozpocznie się właściwe przesłuchanie. Jeśli nie macie nic przeciwko, powierzmy sprawę Pertokowi. Inkwizytor się zgadza i nic nie powie, jeśli nie będzie pytany bezpośrednio. Jako adept Borona nie skłamię, my jednak chcemy odciągnąć uwagę od was i waszej królowej. Jeśli chodzi o samego przeklętego, to najwyżsi kapłani świątyni przekonają się, że rzeczywiście jest łowcą dusz, i złożą odpowiednie świadectwo. Szukamy jeszcze jednego mężczyzny. W ostatnich miesiącach bywał często u Helgsa, zawsze późną porą, i szedł z nim do piwnicy. Mamy jego przybliżony opis, powinien być wysoki i chudy i mieć długi nos jak dziób, tak nam powiedziano. – Westchnęła. – Takich ludzi są tysiące.

Gdzieś głęboko we mnie obudziło się wspomnienie, ale nie mogłem go uchwycić. Sowa ciągnęła dalej:

– Poza kucharzem najwyraźniej nikt nie wiedział, co tam się wyprawiało. Kiedy zaprowadziliśmy do piwnicy służących, przeżyli załamanie. To było wiarygodne. Za to

kucharz... Cóż, inkwizytor jest wielce zainteresowany rozmową z nim. Zobaczymy, co z tego wyniknie. – Skinęła mi głową. – Będziemy was informować na bieżąco. Niech błogosławieństwo bogów będzie z wami, generale.

– Zaczekajcie chwilę, proszę – zatrzymałem ją. – Potraficie przeświecić nekromantów i rozpoznaliście w kupcu przeklętego?

– Tak. Przekleństwo jest skierowane przeciwko woli bogów, a więc zakłóca strukturę magii.

– Jak? Przekleństwo pochodzi od Bezimiennego, można go nienawidzić, ale jest jednym z naszych bogów...

– Tak, generale. Wiecie, każda dusza jest częścią magii. Nie potrafię tego wyrazić inaczej. Nawet ziarnko piasku nosi w sobie coś, co jest podstawą stworzenia. Wszystko układa się zgodnie z planem bogów. Dopóki posiadacz przeklętego talentu go nie używa, nie dzieje się nic, co zakłócałoby bieg rzeki światów. To tak, jakbyście wrzucili okrągły kamień do powoli płynącej wody: ona opływa go, nie marszcząc się na powierzchni. Jeśli jednak przywiążecie do tego kamienia twarde łańcuchy, z kolcami i krwią, dołożycie do pierwszego kamienia parę innych i wrzucicie to wszystko do wody, opór będzie większy i pozostawi w rzece światów ślad krwi. Właśnie te zmarszczki na wodzie i smugi krwi widzę. Posiadanie talentu nie jest klątwą samą w sobie, on tylko kusi, by go użyć. Gdy tylko to nastąpi, w nurcie rzeki światów zostaje ślad krwi i mroku.

– Hm. Czy zatem nie lepiej od nas nadawałybyście się do ścigania nekromantów? – rozważałem na głos. – Ja nie potrafię ich rozpoznać, znajduję ich zwykle dopiero wtedy, gdy oni chcą znaleźć mnie.

– Tak – odparła poważnie. – To także należy do moich zadań. Ale nekromanci wiedzą, że Sowa może ich rozpoznać. Jak już wspominałam, muszę tylko odpowiednio się zbliżyć. To delikatny ślad, łatwo go zatuszować, a jeśli chcę mieć pewność, muszę go dotknąć, co stanowi dla mnie pewne niebezpieczeństwo. Wystarczy, że będą trzymać się ode mnie z daleka i już pozostają nieodkryci. Nie zapominajcie, oni będą wiedzieć, gdy ich rozpoznam. A co, jeśli spotkam któregoś z nich w tłumie? Nie jestem jeszcze na tyle dobra, żeby pokonać przeklętego, a jednocześnie ochronić przed nim innych. Nigdy nie wiadomo, jakie mają moce.

Patrzyłem na nią, młodą kobietę o rudych włosach, piegach i o zbyt poważnej minie, o klarownych, zielonych oczach, które tym razem nie kryły się pod kapturem.

– A gdybyście była niewidzialna?

Zaśmiała się.

– Wiem, że to podobno możliwe, ale ta magia jeszcze nie jest mi dostępna, generale. Jeśli opanuję tę umiejętność, będę ją stosować, ale na razie... – dygnęła

lekko – będziecie mnie widzieć.

– Istotnie – rzekłem z uśmiechem. – A jeśli człowiek nie wie, co widzi? Otrzymaliśmy wiadomość o nekromancie, który ma przybyć tu w świecie z Varlandu. Macie rację: jeśli spotka Sowę w jej szacie, będzie się miał na baczności. Ale co, jeśli zobaczy młodą, uśmiechniętą kobietę z kwiatem w ręku, która przywita go w Askirze?

Patrzyła na mnie długo.

– Szata jest moją zbroją, generale. Idziecie do walki bez zbroi?

– Nie musicie walczyć, maestro. Wystarczy, jeśli go znajdziecie i z uśmiechem wręczycie mu kwiat.

Powoli pokiwała głową.

– Ta sztuczka uda się tylko raz.

– Wystarczy. Vrela to młoda kobieta, powitanie jej kwiatami będzie na miejscu, nie sądzicie?

– Przybędzie na pokładzie statku i zostanie powitana w porcie. To będzie możliwe... – Popatrzyła mi w oczy. – Spróbuję, generale. Bądźcie w gotowości ze swym mieczem, kiedy nadejdzie pora. Teraz mam do zrobienia co innego. Błogosławieństwo bogów z wami, generale.

– I z wami, primo – odpowiedziałem i ukloniłem się jej.

SŁOWO CESARZA

Po południu – byłem tak pogrążony w aktach, że nie zauważyłem, jak spalają się świece – do drzwi zapukał żołnierz Piór: pułkownik Orikes chciał widzieć mnie i Serafine. Przeszliśmy parę drzwi dalej, gdzie inny Pióro otworzył nam i gestem zaprosił do środka.

– Słyszałem, że jesteście bardzo pracowici – zagaił Orikes i wskazał na krzesła. Usiedliśmy i osobiście nalał nam kafe. Byłem tak opity tym naparem, że bulgotało mi w żołądku, ale jedna filiżanka więcej nie robiła już różnicy. Wziąłem to za dobry omen.

– Zaskakujące, co można znaleźć w aktach, które od was dostałem, pułkowniku – powiedziałem i wziąłem od niego napój, dziękując.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek się przydadzą – przyznał Orikes. – Ale skoro mowa o aktach: tu są wasze dokumenty, sera major. – Przesunął teczkę w stronę Serafine. – Musicie tylko podpisać.

Serafine dokładnie przeczytała umowę, wyjęła magiczne pióro i złożyła podpis.

To nie uszło uwadze Orikesa.

– Bogowie! – wyrwało mu się. – Gdzie to znalazłyście?

– Havalda mi dał – odparła. – Nie patrzcie tak pożądliwie, pułkowniku, nie oddam wam tego.

Orikes westchnął.

– Zdziwiłbym się, gdyby tak się stało. Skąd to macie?

– Z generalskiej skrzynki – powiadomiłem go. – Dlaczego nas wezwaliście?

– Żeby was poinformować o stanie rzeczy. W południe przybyła przez portal emira Gasalabadu wraz z małżonką, aby wziąć udział w Radzie Koronnej. Mam wam przekazać, że oczekuje was dziś wieczorem w ambasadzie. To nie będzie oficjalne przyjęcie; prosili o dyskrecję. Zaproszeni zostali również wasza królowa, sera Zokora i adept Borona.

Upłynęło trochę czasu, odkąd widzieliśmy Faihlyd i Armina, a okoliczności nie były najlepsze. Byłem rad, że chcą nas zobaczyć.

– To ostatni tydzień przed Radą Koronną i mamy coraz więcej pracy. W najbliższych dniach zaczną przybywać koronowane głowy. Królowej Vrelidy z Varlandu spodziewamy się jutro, przybędzie statkiem. W Aldarze nadal są problemy z Białym

Płomieniem, które opóźniają wyjazd księcia. Prima wieży chce sprawdzić, czy nie mógłby użyć portalu.

Pomyślałem, że należałoby ją ostrzec, że portal w zbrojowni w Aldarze nie nadaje się do użycia, ale Orikes ciągnął już dalej:

– Wieczorem spodziewamy się króla Rangoru. Oprócz księcia Tamina wszyscy pozostali są już w drodze i przybędą w najbliższych dniach. Pojutrze odbędzie się egzekucja, w której wszyscy chcą wziąć udział. – Westchnął. – Takie egzekucje są rzadkością, bowiem cesarzowi nie podobało się, gdy śmierć stawała się rozrywką ludu. Od czasu do czasu jednak ten spektakl się odbywa. Pojutrze zostanie stracony morderca Joakin. Ta sprawa bulwersuje ludzi od wielu tygodni, już tylko jego egzekucja wypełniłaby plac Świątynny. Przy okazji można by posłać przekłętego do jego mrocznego boga. W razie gdyby królowa Leandra jednak się wycofała, moglibyście dokonać tego wy albo użyczyć miecza katu.

Pomyślałem o zimnych ślepiach Kamiennego Serca.

– Ona to zrobi.

– Jeśli chodzi o porucznika Stofiska... Jego plan zdaje się funkcjonować. W mieście aż kipi od plotek. Jak to się skończy, musimy poczekać. Słyszałem, że porucznik chce dziś wieczorem zadać ostateczny cios. Ludzie już poszeptują, co znaleziono w piwnicy tego Helgsa. Czy porucznik ma z tym coś wspólnego?

– Nie – odparłem. – Nie wspominaliśmy mu o tym.

– Co nie znaczy, że nie wie. Zaczynam rozumieć, że obsadzaliśmy Stofiska na niewłaściwych stanowiskach.

– Jest jak magiczne pióro sery major – oznajmiłem, zerkając na Serafine. – Nie oddam go.

– Domyślam się – przyznał Orikes, spojrzawszy na notatki i zebrał kartki. – Wspominałem już, że król Kesler z Rangoru ma przybyć lada chwila. Otrzymałem dziś wiadomość, że w Rangorze widziano obce wojska.

Obawiałem się tego, a jednak ta wieść była jak cios.

– Jak stoją sprawy, jeśli chodzi o armię Rangoru? – spytałem. – Zdołają stawić opór czy dojdzie do oblężenia?

– Ani jedno, ani drugie – odparł z powagą Orikes. – Na razie to nie zostało ostatecznie potwierdzone, ale podobno legion cesarza nekromanty ciągnie przez Rangor niezatrzymywany przez nikogo i złotem płaci chłopom za żywność. Nie ma żadnych meldunków o walkach. Jeśli to prawda, to legion bez przeszkód posuwa się na zachód.

– W kierunku Aldane? – zapytała Serafine. Orikes skinął głową.

– Jak zdołał przejść niezauważony przez Wschodnie Rubieże? – chciałem wiedzieć.

Popatrzył na mnie.

– Dobre pytanie, nieprawdaż? – rzucił ponuro. – Wschodnie Rubieże nie są jak inne królestwa. Mają tam fortece służące za bazy wypadowe do działań przeciwko barbarzyńcom, ale brak zabezpieczonej granicy. Obecnie wokół dwóch twierdz trwają natężone walki, co utrudnia wysyłanie patroli. Mimo wszystko wydaje się niewyobrażalne, aby zwiadowcy marszałka przeoczyli cały obcy legion.

– I ani król Kesler, ani ten marszałek...

– Marszałek Hergrimm – wtrącił Orikes.

– ...nie donosili o tym legionie?

– Właśnie – przytaknął markotnie Orikes. – To tłumi nadzieje, jakie żywimy wobec Rady Koronnej, nieprawdaż? – Pułkownik spojrzał na mnie. – Mielicie rację, generale, wróg ani myśli się poddać. Otrzymaliśmy meldunki, że u wybrzeży Besarajnu zauważono czarne okręty. Czy są częścią większej floty, nikt nie wie, ruch morski w tamtym regionie niemal całkowicie zamarł. A więc, generale von Thurgau, wygląda na to, że musimy poczynić przygotowania na wypadek, gdyby Rada Koronna nie osiągnęła porozumienia.

– Jakie przygotowania? – spytała Serafine.

– Traktat askirski określa sposób wykorzystania legionów i ogranicza ich liczebność do tysiąca żołnierzy – stwierdziłem. – Lecz jeśli sojusz się rozpadnie, traktat przestaje obowiązywać. I do tego chcę nas przygotować.

– Do samej Rady nic się nie zmieni, ale jeśli sprawdzi się to, czego się obawiamy, to przynajmniej będziemy przygotowani. Komendant również jest zdania, że to konieczne, a ja, choć niechętnie, skłaniam się do tego samego.

– A więc to stąd twoje zainteresowanie starym uzbrojeniem i aktami – zauważyła Serafine.

Skinąłem głową.

– Przede wszystkim potrzebujemy ciężkiej i lekkiej jazdy, strzelców, zwiadowców i minerów do dokonywania podkopów. W tej chwili, przy takim składzie legionów, nasze wojska nie są gotowe do wojny. Chcę być przygotowany na najgorsze.

– A co byłoby najgorsze? – spytała Serafine. – Jak myślisz, co się może stać?

– Poczynimy przygotowania na wypadek, gdyby pozostałe królestwa wystąpiły przeciwko Askirowi, a sam Askir będzie oblegany.

– Mamy nadzieję, że Aldane nie upadnie i że Besarajn oraz Varland opowiedzą się po naszej stronie, ale jeśli Biały Płomień odniesie sukces, nietrudno sobie wyobrazić, że właśnie to nastąpi – dorzucił pułkownik.

– Bogowie! – zawołała Serafine. – Naprawdę myślicie, że jest tak źle?

– Na razie możemy jeszcze mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie – odpowiedziałem.

– Tak – zgodził się pułkownik. – I w ten sposób doszliśmy do ostatniego punktu. Chcieliście zobaczyć, gdzie będzie obradować Rada. Mogę wam teraz pokazać.

Dwóch Byków otworzyło nam ciężkie drzwi i stanęliśmy w miejscu, gdzie będą rozstrzygać się losy świata. Inaczej je sobie wyobrażałem.

– Myślałem, że będzie większa – przyznałem, rozglądając się niespiesznie.

– Wiele osób tak myśli, zwłaszcza ci, którzy znają Halę Gildii w Askirze.

Hala miała może dwadzieścia kroków średnicy. Za wejście służyły ozdobione złotem drzwi z wizerunkiem smoka Starego Królestwa. Naprzeciwko nich stał tron: masywny fotel z pociemniałego ze starości dębu, obity skórą, o szerokich podłokietnikach, bez większych ozdób. W drewnie wił się złoty smok, lecz w porównaniu z innymi tronami ten wydał mi się niemal skromny.

Tak jak mówił pułkownik, w sali było trzynaście łóż, rozmieszczonych równomiernie po obu stronach od wejścia, ostatnia znajdowała się za tronem. One również nie były tak obszerne, jak się spodziewałem: w każdej mieścił się jeden ciężki fotel i sześć krzesel. Hala miała wysokość czterech pięt, a okna na wprost wychodziły na wewnętrzny dziedziniec cytadeli, zapewniały światło. Smukłe kolumny oddzielały od siebie łoże. Wysokie sklepienie kunsztownie ozdobiono freskiem przedstawiającym akt stworzenia bogów. Mimowolnie zawiesiłem wzrok na przypominającej cień sylwetce, stojącej nieco z boku... Na Bezimiennym, który przynajmniej na tym obrazie nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Podłoga w hali była z białego marmuru i czarnego obsydianu i przywodziła na myśl te, jakie znałem z innych imperialnych budowli.

Nad otwartymi łóżami wisiały flagi: cesarskiego miasta, siedmiu królestw i Illianu. Przynajmniej jedno udało się Leandrze osiągnąć: może i nie miała prawa głosu w Radzie – czy go dostanie, okaże się niebawem – ale gdy wystąpi przed Radą, to jako równa królom.

Powoli ruszyłem w głąb sali, moje kroki rozbrzmiewały w ciszy.

– Hala jest arcydziełem sztuki budowlanej – powiedział Orikes. – Głos z każdego miejsca słychać jednakowo dobrze...

– Byłam tu już – stwierdziła Serafine. – To musiało być w moim dzieciństwie, pamiętam to jak przez mgłę.

Powoli kroczyłem dalej, aż stanąłem przed tronem. Skórzane obicie miało ślady użytkowania, ale nie wyglądało na popękane czy stare.

– Myślałem, że Rada Koronna obraduje bez cesarza? – odezwałem się i wskazałem na tron. – Dlaczego wygląda na używany?

– Zanim Askannon abdykował, to było miejsce obrad z poselstwami i sądu – wyjaśnił pułkownik. – Dlaczego mielibyśmy usuwać ten tron? W końcu to nadal jest

nasz cesarz.

Prawda.

– Na pomieszczeniu spoczywa potężna magia – ciągnął półgłosem Orikes. – Nikt dokładnie nie wie, co tu utkał cesarz, zapewne służy to ochronie Rady. W każdym razie Sowa mówi, że kiedy tutaj wchodzi, czuje się jak oślepiąca.

Za tronem cesarza ujrzałem coś, co przerywało deseń posadzki, coś w rodzaju złotej pieczęci, wpuszczonej w marmur, o średnicy około jednego kroku. Podeszedłem bliżej i obejrzałem ją dokładnie. To było bez wątplenia dzieło elfów, przedstawiało drzewo życia elfów, pod którym odpoczywały dwa smoki. W gęstwinie pnączy i liści skrywało się, jak mi się zdawało, coś więcej, ale gdy próbowałem rozpoznać, co to było, łzawiły mi oczy. Może to były twarze?

Schyliłem się i popukałem w pieczęć: złoto było grube, masywne, a mimo to odniosłem wrażenie, że jest pod nim pusta przestrzeń.

– Co pod tym jest? – zapytałem Orikesa. Serafine również oglądała pieczęć.

– Nikt nie wie – odpowiedział pułkownik. – Cesarz umieścił to tutaj własnoręcznie, w czasie, gdy kazał ustawić tu tron. Większość opinii jest taka, że nie da się tego otworzyć. Nie ma żadnego widocznego mechanizmu. Znam tylko jedną osobę, która ma przeciwne zdanie. Mówi, że to jest zamek. – Pułkownik wzruszył ramionami. – Ta osoba to złodziej i widzi rzeczy na swój sposób.

– Jak przebiega Rada? – spytałem.

– Trwa trzy dni. Władcy i ich doradcy wchodzi tu o trzecim dzwonie, potem drzwi są zamykane na sześć świec.

– Albo wszyscy władcy mają pęcherze z żelaza, albo są tu ustępy – stwierdziłem.

Orikes uśmiechnął się pod nosem.

– Za każdą lożą jest niewielka łazienka i ustęp. Obowiązuje reguła, że można tam wejść tylko w pojedynkę. Chodzi o to, żeby nie prowadzić żadnych tajnych rozmów. Przez dwa pierwsze dni przedkłada się propozycje i prowadzi dyskusje, ostatniego dnia podejmuje uchwałę. – Powiódł wzrokiem dokoła. – Dlatego główną robotę wykonują w tej chwili dyplomaci, bo kiedy władcy spotkają się tutaj na obradach, nie będą mieli zbyt wiele czasu. Uchwały muszą być podejmowane jednogłośnie. Nie muszą obowiązywać wszystkich królestw, można zawierać porozumienia między dwoma królestwami i wówczas wymagane są tylko dwa ich głosy. Inni mogą się wstrzymać, ale nie wolno oddawać głosów przeciwnych.

– Gra w otwarte karty – stwierdziłem. – Wasz cesarz był marzycielem, skoro sądził, że to tak działa.

– Władcy niekiedy są zgodni – rzekł Orikes. – Ale Rada ma też inny cel. Członek Rady może wnieść oskarżenie przeciwko innemu członkowi. Kiedy to się dzieje, drzwi

pozostają zamknięte, dopóki nie zapadnie jednogłośnie wyrok. Raz trwało to dziewięć dni. To, że jest tutaj tylko woda do picia, przyspiesza osiągnięcie porozumienia. – Uśmiechnął się lekko. – Słyszałem, że wtedy wszyscy spali na podłodze, a decyzja zapadła tylko dlatego, że byli wykończeni i bardzo, bardzo głodni.

– Jeden członek Rady wysuwa oskarżenie i drzwi pozostają tak długo zamknięte, aż podejmą decyzję?

– Tak właśnie jest.

– Nikomu nie wolno wyjść?

– Nikt nie *może* wyjść. Drzwi zamykają się za sprawą magii. Nie otworzy ich nawet taran. To samo dzieje się ostatniego dnia Rady.

– I wszyscy muszą być zgodni?

– Tak. – Orikes wodził wzrokiem po wysokiej hali. – Jest takie przysłowie, że kompromis to chleb, który nikomu nie smakuje, ale wszystkich pożywi. Po tych dziesięciu dniach wszyscy byli bardzo spragnieni tego chleba.

– Wszystko jest protokołowane?

– Tak. – Wskazał na płaskie żelazne misy, stojące w każdej łoży pod ścianą. – Ale wszystko, z wyjątkiem tego, co zostanie uchwalone jednogłośnie, zostaje spalone w tych misach.

– Wszystko? Nikt nie próbuje oszukiwać i wynieść ukradkiem zapisków?

– To by było bolesne – stwierdził z uśmiechem Orikes. – Bo magia hali spali je najpóźniej w momencie, gdy ktoś z niej wychodzi.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

– Monarchom musi być mocno nie w smak, że tak są traktowani. Co się dzieje, kiedy kłamią? Zaczynają się jękać?

– Nie – odparł Orikes. – Aż tak to nie. Jeśli jednak postawione zostaje oskarżenie, wówczas w ostatnim posiedzeniu biorą udział kapłani naszych bogów. Są w stanie poznać, gdy ktoś kłamie.

– Jak zmusił władców, by się na to wszystko zgodzili? – zdziwiła się Serafine.

– To stoi w traktacie – powiedział Orikes. – Staje się nieważny, jeśli nie dotrzymają tych warunków.

Powoli obróciłem się do niego.

– Co takiego? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak to jest z umowami – orzekł. – Jeśli się ich nie dotrzymuje, przestają obowiązywać.

– Co wtedy obowiązuje? – spytałem.

Serafine spojrzała na tron i na jej twarz powoli wystąpił uśmiech. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– To jest to, Havaldzie! – powiedziała. – To tego boi się Kolaron! Jeśli traktat stanie się nieważny, będzie obowiązywać słowo cesarza! – Obróciła się do Orikesa. – Czyż nie jest tak, pułkowniku?

– Owszem. Wtedy obowiązuje słowo cesarza.

34

CENA WŁADZY

Wróciliśmy do mojego gabinetu, gdzie przystąpiłem do studiowania map.

– Serafine – odezwałem się. – Gdzie dokładnie leży Rangor?

– To jedno z siedmiu królestw – westchnęła. – To chyba wiesz, prawda?

– Tak, tak – zapewniłem ją. – Ale gdzie dokładnie leży?

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Muszę chyba odświeżyć twoją wiedzę. Stare Królestwo leży u zachodnich wybrzeży kontynentu Ser'en'al, Krainy Pokoju, jak niegdyś nazywały go elfy. – Podeszła do mapy przedstawiającej większą część Starego Królestwa. – Tutaj.

Prychnąłem.

– Pokoju, tak?

– Ponad tysiąc lat pokoju, Havaldzie – odpowiedziała z powagą. – To, że elfy tak ją nazwały, było ironią, gdyż w rzeczywistości odbyły się tu ich największe bitwy. Ale pod rządami Askannona panował pokój.

Machnąłem ręką. Pokoju już dawno nie mieliśmy.

– Niech będzie. Tłumacz dalej...

Przejechała palcem po mapie, aż dotknęła kraju, który przypominał kształtem poszarpany niedźwiedzi łeb.

– Idąc z północy na południe, mamy tu Kraj Lodu. Jest zamieszkany, ale to są barbarzyńcy i pojedyncze plemiona, dzikusy, można powiedzieć. Potem jest Varland, jego terytorium to wielka dolina, wciśnięta między odnogi Gór Bogów. – Przesunęła palcem po liniach, które miały oznaczać góry. – Dalej jest Wąwóz Bogów, jak go nazywają Varlandczycy. Ten łańcuch można pokonać przez cztery przełęcze, tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. Oddziela Varland od Aldane. W północno-zachodnim zakątku Aldane, u stóp tych potężnych gór, leży Askir.

Położyła palec na symbolu smoka i uśmiechnęła się do mnie.

– Tu jesteśmy.

– To już wiem od jakiegoś czasu – odpowiedziałem, wywołując stłumione parsknięcie u Stofiska.

– Askir został zbudowany, jak wiesz, na dawnych terenach Aldane. Na południe od Aldane leży Besarajn. Tu jest Rangor. – Wskazała na pas lądu, który rozciągał się niczym wstęga od wschodu niemal po zachodnie wybrzeże. – Jest jak klin wbity

między Aldane i Besarajn, sięgający od wschodu po zachód, prawie po zachodnie wybrzeże, i od wieków stanowi zarzewie sporów między Rangorem i Aldane. Brakuje dwudziestu mil i Rangor miałby własny port, ale Aldane nie chce dać im tych terenów. Miałoby to taki skutek, że część Aldane, granicząca z Besarajnem, zostałaby odcięta od reszty.

Przyjrzałem się przerywanej linii; wyglądała, jakby sięgała niedaleko Aldaru.

– Ile to jest mil?

– Nie więcej niż sześćdziesiąt stąd do Aldaru.

Blisko. Bardzo blisko.

– Dobrze. Dalej.

– Na zachodnim wybrzeżu mamy Varland, Askir, Aldane, Rangor i Besarajn. Część granicy między Rangorem i Besarajnem tworzy rzeka i łańcuch gór. Rzeka nazywa się Ra'za, „rzeka słońca”, a góry nazywane są Kal'tese, „wąwozem śmierci”.

– Elfy – powiedziałem. – Nadanie całym górcom nazwy wąwozu to typowe dla elfów. Tu są cztery królestwa i Askir...

– Umiem liczyć – przerwała mi. – Nie bądź taki niecierpliwy! Wschodnie Królestwa leżą na wschodzie, jak się łatwo domyślić. Tworzą je od północy Sertina, Wschodnie Rubieże i Ibsiss, pod spodem jeszcze część Rangoru. Przy czym Wschodnie Rubieże mają kształt grzyba z bardzo wąskim kapeluszem. Widzisz? Leżą między pozostałymi królestwami a krainami barbarzyńców. Rubieże od niepamiętnych czasów tworzą bufor.

Skinąłem głową. Stykały się również niemal ze wszystkimi królestwami.

Przejechałem palcem po granicach długiego, wąskiego klina, jakim był Rangor. Kraj niczym osadzony w górach grot lancy, idącej wzdłuż Wschodnich Rubieży, Ibsissu i Aldane, by na koniec zagrozić zachodowi.

– I gdzieś tutaj grasuje legion wroga?

– Jeśli doniesienia są prawdziwe.

Jakoś w to nie wątpiłem.

Ktoś zapukał do drzwi. Żołnierz Piór zasalutował i przekazał, że Leandra, Zokora i Varosch proszą nas o przybycie.

Spotkaliśmy się w kwaterze Zokory. Elfka siedziała na łóżku i czytała niedużą, czarną książkę, a Varosch masował jej ramiona. Odwiedziłem ją po raz pierwszy od dłuższego czasu i liczba książek, foliów i zwojów, rozłożonych szerokim kręgiem wokół jej pościeli, wprawiła mnie w zdumienie.

Leandra już była ubrana w starą zbroję z gryfem. Stała wyprostowana i wyczuwałem w niej nową determinację, która mi się podobała.

– Mam ci przekazać od Ragnara, że jutro wróci z Angusem, żeby powitać jego siostrę.

– Dziękuję. Zobaczę, czy dam radę się z nim spotkać.

– Słyszałam, że dziś sporo się wydarzyło – dodała.

Serafine i ja opowiedzieliśmy o Stofisku i jego planach, o nekromancie i o propozycji, aby przeleciała nad miastem na grzbiecie gryfa, a potem zabiła nekromantę.

Leandra nawet nie mrugnęła okiem.

– Powiadomcie Orikesa, że to zrobię – obwieściła i zmieniła temat. – Faihlyd i Armin są już w Askirze i chcą nas zaprosić na kolację.

– Orikes wspomniał o tym.

– Dobrze, w takim razie chodźmy.

Ambasada kalifatu leżała w pobliżu innych ambasad w Górnym Mieście i zajmowała spory obszar. Wysoki mur otaczał fragment terytorium Besarajnu, z pałacem o złotych dachach i otwartych krużgankach i rozległymi ogrodami, na przekór zimnej wiośnie Askiru.

Drzwi otworzył nam gwardzista i zaprosił do środka. Wyglądał, jakby marzył w swoich cienkich spodniach. Zgodnie z życzeniem przybyliśmy pieszo, odziani w niepozorne stroje.

Armin z uśmiechem przywitał nas w holu ambasady. Mimo to wydał mi się wyjątkowo poważny.

Rozległe wnętrze ambasady wyglądało jak wymarłe, widać było tylko garstkę żołnierzy gwardii przybocznej, przenoszących jakieś meble. W jednym miejscu na ozdobnej posadzce widniała kałuża krwi, którą żołnierz właśnie wycierał. Armin poprowadził nas, omijając ją szerokim łukiem.

Prywatne komnaty, do których nas zaprosił, były zaciemnione ciężkimi kotarami. W środku w trzech misach na węgiel płonął ogień, dając przyjemne ciepło. Kiedy weszliśmy, Faihlyd wstała, odesłała strażę i przywitała nas serdecznie. Ale i po niej widać było jakieś napięcie.

– Miło was wszystkich widzieć – powiedziała głosem, który od pierwszej chwili mnie fascynował. Mówiła cicho, a jednak wypełniała każde pomieszczenie.

– Tak, ja również się cieszę – przyłączył się do powitania Armin i zajął miejsce obok niej, na podusze po drugiej stronie niskiego stolika. Po naszej stronie leżało więcej poduch, stolik był zastawiony miseczkami, czarkami i talerzami, w których widać było ryż i mięso, sosy, owoce i inne frykasy; uczta ciesząca podniebienie. Atmosfera była jednak wyraźnie przygnębiająca. Nie poznawałem pary gospodarzy.

Leandra też spostrzegła osobliwy nastrój.

– Co się stało? – spytała.

– Essera Falah zmarła w Janasie na dżumę – poinformowała nas Faihlyd. Bogowie, pomyślałem, a więc to jednak dżuma.

– Och. – Leandra była szczerze poruszona. – Przykro mi, będę się za nią modlić.

– Była niezwykłą kobietą – dodałem. – Światu będzie jej brakować.

– Czuję z tobą, siostrze – powiedziała cicho Serafine i wyciągnęła rękę ponad stołem, żeby lekko dotknąć dłoni emiry. – Jest mi nieskończenie przykro. Helis ją pamięta, była największą z Lwic.

– Dziękuję – powiedziała dzielnie Faihlyd. – Dużo dla mnie znaczy, że to mówisz.

– Nazwij córkę jej imieniem, a będzie ci ją przypominać – powiedziała Zokora i nakładła sobie jedzenia na talerz.

Faihlyd spojrzała na nią z niemym oburzeniem, co zupełnie jej nie wzruszyło.

– Miała długie, spełnione życie, a Soltar powita ją u siebie – rzekł pospiesznie Armin, który doskonale pamiętał, jaka była Zokora. – Ale to nie jest nasze jedyne zmartwienie.

– Jakże jeszcze zgryzoty wam dokuczają? – spytałem. Potoczyłem dłonią dokoła. – Jesteście tutaj, to oznacza, że zostaniecie kalifą. Ale nie słyszałem jeszcze nic oficjalnego.

– To już postanowione – orzekła ochrypłym głosem. – Nikt nie poważy się stanąć przeciwko mnie. W tym właśnie problem. Chodzą słuchy, że wy, beju Havaldzie, jako anioł Soltara na moje polecenie pokaraliście Janas za to, że zwrócił się przeciwko mnie. A teraz szaleje tam zaraza. Umarły już tysiące, a będzie ich coraz więcej. To, co niegdyś było dumnym miastem Wieży, teraz jest miastem zmarłych. Poszliśmy za radą kapłana i zamknęliśmy miasto. Nasi łucznicy strzelają do każdego, kto chce je opuścić. Kto z żołnierzy choruje, składa zbroję i broń i idzie w miasto, udzielać pomocy, dopóki jeszcze żyje. Tak, będę kalifą, ale już mi nadano nowy tytuł: władczyni zarazy. – Spuściła wzrok i odstawiła czarkę. – Przybyliśmy tu, zgodnie z obietnicą. Opowiem się przed Radą po waszej stronie, ale cena... cena jest o wiele za wysoka.

Kiedy podniosła wzrok i zdjęła zasłonę z twarzy, obok nowej wytatuowanej łyzy pod jej okiem ujrzałem prawdziwe łyzy.

– Postanowiłam, że będę dobrą władczynią, że zakończę wojnę i spory w Besarajnie, i myślałam, że lud mnie pokocha. Tak było, nieprawdaż? – rzekła ze smutkiem i popatrzyła na Armina, jakby szukała pomocy.

– Tak – potwierdził cichym głosem. – Ludzie kochali dumną Lwicę i będą znowu kochać.

– Już w to nie wierzę – odparła ochryple Faihlyd. – Bez mądrej rady mej babki czuję się zgubiona. – Popatrzyła na mnie swymi ciemnymi oczami. – Chcę wiedzieć, czy to wy spustoszyliście Janas. Czy zrobiliście to, aby mi służyć?

– Nie – odpowiedziałem zaskoczony. – Nikt nie mógłby tego zrobić. Wulkan wybuchł, kiedy już opuściliśmy wyspę. Tylko bogowie panują nad czymś takim.

– Jesteście pewni? – spytała. – Nie wywołaliście tego nieumyślnie?

– Nie zrobiliśmy niczego, co mogłoby mieć takie skutki – wyjaśniła spokojnie Leandra. – Zastaliśmy tam potężną magię, która trzymała wulkan na uwięzi od wieków albo może jeszcze dłużej. Wasza wysokość, przysięgam wam, że kiedy odchodziliśmy, magia ta była zupełnie niezmienną i tak samo potężną jak przedtem. Nie potrafię wam opisać, jak silna była ta moc, w porównaniu z nią moje skromne moce są niczym ziarnko piasku na pustyni. To nie byliśmy my, wasza wysokość, mogę to przysiąc na Kamienne Serce, jeśli chcecie.

– Tak, przysięgnijcie! – zażądała Faihlyd, a Leandra rozwarła szeroko oczy.

Wstała, wyjęła z pochwy Kamienne Serce i groźnie wyciągnęła przed siebie ostrze.

– Przysięgam na Kamienne Serce, że nic, co zrobiliśmy, nie wywołało tego wybuchu, na Borona, Soltara i Astarte!

Ostrze Kamiennego Serca rozjarzyło się lekko. Nic więcej nie nastąpiło. Leandra wbiła miecz z powrotem do pochwy i postawiła go obok siebie.

– Zadowolona, Faihlyd? – spytała chłodno Serafine. – Naprawdę myślałaś, że posunęliby się tak daleko?

– Wybaczcie – pospieszył z odpowiedzią Armin. – Chcieliśmy się upewnić.

– Nie – powiedziała Faihlyd i położyła dłoń na jego ręce. – Nie przepraszaj, mężu. Ona na moim miejscu zażądałaby tego samego. Ona sama to zaproponowała. Każdy z nich rozumie, dlaczego chcę mieć pewność. – Powiodła po nas wzrokiem. – Żadna koronowana głowa nie ma przyjaźni w nadmiarze. Ale do przyjaciół można się zwrócić i zapytać prosto z mostu, spojrzeć im w oczy i zażądać odpowiedzi, a oni będą szczerzy. Przyjaciele nie biorą ci za złe, gdy przemawia przez ciebie ból. Przyjaciół nie może poróżnić coś takiego. Jesteśmy przyjaciółmi?

– Mój lud mawia, że przyjaciele to ci, którzy najłatwiej dosięgną sztyletem twojego gardła – powiedziała chłodno Zokora. – Myślę, że wszyscy czujemy zimną stal. Zależy tylko, jak głęboko chcesz ciąć, Faihlyd.

– Najlepiej wcale – odrzekła Faihlyd. – W waszych słowach jest twarda mądrość, essera. Ale ja nie chcę dobywać sztyletu, gdy zapraszam przyjaciół na kolację. – Potoczyła wzrokiem po bogato urządzonej pomieszczeniu. – Kiedy przybyliśmy, naprzeciw nam wyszli służący i ambasador. Jeden ze strażników poprosił o wybaczenie, że nie może mi wiernie służyć, i na moich oczach nadział się na swój

miecz. Miał rodzinę w Janasie. Mam już tylko tych, którzy się mnie boją, i was. Nikt inny nie tknąłby jedzenia, które ja jem.

Poczułem się nieswojo. Ostatnimi czasy nader często widywałem ludzkie łzy, a widok Faihlyd, którą jeszcze niedawno określano mianem nadziei Gasalabadu, tak podłamanej sprawiał mi ból. Nie była już władczynią największego z siedmiu królestw, tylko smutnym i załęknionym dzieckiem. Dopiero skończyła szesnaście lat.

– Niedawno usłyszałem pewną historię – powiedziałem z wahaniem, opędzając się od natłoku myśli. – Podobno Leandra zabiła na wyspie watażkę Celana, a kapłani cesarza nekromanty próbowali wykorzystać moc wulkanu do wskrzeszenia wodza z martwych, aby mógł poprowadzić armię przeklętego. Tylko jeden bóg włada życiem i śmiercią, jest więc całkiem możliwe, że Soltar pokarał ten haniebny występki ogniem, powodzią i trzęsieniem ziemi.

Faihlyd podniosła głowę i spojrzała na mnie z mokrymi od łez policzkami.

– To prawda? – wyszeptała.

Wzruszyłem ramionami.

– Któż to wie? Zostawiliśmy tam martwego wodza. Na wyspie byli kapłani nekromanty, kto wie, do czego byli zdolni? Wydaje się, że nie ma tego, na co by się nie poważyli. Dla boga byłby to wystarczający powód do zesłania kary. Ta zbrodnia by na to zasługiwała. A Janas... – westchnąłem. – Powszechnie wiadomo, że paktował z piratami. Wiem jedno: źródła zła należy szukać u cesarza nekromanty. Może tym razem przecenił swoją potęgę.

Faihlyd spojrzała na Varoscha.

– Co wy na to, adeptcie Borona?

Varosch opuścił łyżkę i posłał mi długie spojrzenie.

– Nie potrafię znaleźć kłamstwa w jego słowach.

A więc można posłużyć się prawdą, żeby skłamać, pomyślałem z zakłopotaniem. Jednak widok tak zgębionej Faihlyd sprawiał ból, ja zaś w jednym miałem całkowitą pewność: cokolwiek się stało na Wyspach Ognistych, to nie nas należało obciążać za to winą.

Emira pociągnęła nosem, wyprostowała się, otarła łzy, rozmazując czernidło do oczu.

– Ogłoszę świętą wojnę – obwieściła zdecydowanie i wysunęła podbródek. – Ten pomiot z najgłębszych pokładów piekła będzie leżał w pyłe pod moim butem i skamlał!

– A jeśli wam powiem, że jest sposób, aby dokonać zemsty, to ile by to było dla was warte?

Przeszyła mnie spojrzeniem. Jej kruchość ulotniła się, jakby nigdy nie istniała.

– Jaka jest cena, beju Havaldzie?

- Musiałybyście pochylić głowę nie tylko przed bogami, ale i przed kimś innym.
- I w zamian obiecujecie mi zemstę?
- Oddam życie za to, abyście ją otrzymały.

Nikt się nie odezwał. Uważnie mierzyła mnie wzrokiem. Wszyscy wstrzymali oddech.

– Dlaczego? – spytała cicho.

– Rada Koronna ogłosi koniec sojuszu, gdyż Wschodnie Rubieże i Rangor złamały traktat.

– Bogowie! – zaklęła Faihlyd. – Te tchórzliwe psy fałszywej żmii i głupiego osła! Jak mogą być tak ślepi? Muszą przecież wiedzieć, że osobno nie pokonamy wroga!

Pokręciła głową wstrząśnięta.

– Jeśli sojusz się rozpadnie, co wtedy?

– Wtedy będzie obowiązywać słowo cesarza.

– Ale cesarza już nie ma.

– W tym rzecz, emiro. – Zawahałem się chwilę, w końcu wypowiedziałem to na głos: – Potrzeba nowego sojuszu, nowego cesarstwa.

– I nowego cesarza – dodała ochryple. Popatrzyła na mnie przenikliwie. – Chcecie sięgnąć po koronę? Czy mam uklęknąć przed wami?

– Na bogów, nie! – zaprotestowałem wystraszony. – To musi być ktoś, czyje prawo do korony jest niepodważalne!

– Kto to ma być? – spytał ponuro Armin. – Nie znam nikogo, o kim można by tak powiedzieć.

– Ja znam. – Pomyślałem o pewnej serze, która miałaby do tego wszelkie prawo. – Daję wam swoje słowo. Trzeciego dnia Rady Koronnej będziemy mieli cesarza.

Faihlyd długo wpatrywała się we mnie badawczo.

– Moja babka miała o was dobre zdanie, a ja wiele wam zawdzięczam. Gdyby nie wy, moja miłość, moje życie i moja korona byłyby stracone. – Wymieniła spojrzenie z Arminem, w końcu pokiwała zdecydowanie głową. – Niech tak będzie. Jeśli będziemy mieć cesarza, wówczas przysięgnę, że pochylę przed nim głowę i razem z nim pójdę na wojnę przeciwko cesarzowi nekromancie. Przysięgam na miłość, na sprawiedliwość i na życie.

– O bogowie – wyszeptał Armin. – Esseri, co wy uczyniliście?

Spojrzałem na pierścień Róży i wytrzymałem spojrzenie Armina.

– To, co konieczne.

Było późno, kiedy wychodziliśmy. Głowę miałem wypełnioną ponurymi myślami. Od której strony by na to nie spojrzeć, żadne z królestw samo nie mogło postawić się

Kolaronowi. Potrzebny był nowy sojusz, to pewne, ściślejszy, a do tego armia podlegająca jednemu dowództwu.

– Jak mogłeś? – zwróciła się do mnie Leandra w drodze powrotnej. – Złożyłeś obietnicę, której nie wiadomo, czy dotrzymasz!

– On był pewien każdego słowa – wtrącił obcesowo Varosch. – I chce dotrzymać tej obietnicy. – Spojrzał na mnie. – Powinieneś jej powiedzieć.

– O czym? – spytała Leandra. Serafine zamknęła oczy.

– Havalld zażąda tego samego od ciebie – powiedziała spokojnie Zokora. – Tylko wtedy, gdy pochyli się każdy, może nastąpić to, co obiecał. Każdy... ty też.

Leandra stanęła jak wryta i popatrzyła na mnie swoimi fioletowymi oczami.

– To prawda? Zaądasz tej samej przysięgi ode mnie?

– Tak – odpowiedziałem. – Ale ty już ją złożyłaś. Przysięgłaś na Kamienne Serce. – Podniosłem lewą dłoń z pierścieniem Róży. – Ja również już to zrobiłem. Przynależem, że będę chronił królestwo i tron Illianu przed wszelkimi niebezpieczeństwami. To jest właściwa droga.

– Jesteś pewien, Havalldzie? – zapytała cicho Serafine. – Wiesz, co robisz?

– Nie – odparłem. – Wiem tylko jedno: że zniszczę fałszywego boga.

– Nie masz wyboru – odezwała się Zokora. – Będziesz musiała to zrobić, Leandro.

– Łatwo powiedzieć – zaciętrzewiła się Leandra i posłała ciemnej elfce gniewne spojrzenie. – Co byś zrobiła na moim miejscu?

– Och... – Na ustach Zokory wykwitł słaby uśmiech. – Już dawno to zrobiłam. Obiecałam pochylić swą głowę, a w zamian mój lud otrzyma drogę powrotną do światła. – Spojrzała w górę na gwiazdy i nikłą purpurową poświatę na południowym niebie. – Już sam ten widok jest tego wart.

Później, w cytadeli, Serafine przyszła do mojej kwatery. Zamknęła drzwi i długo się we mnie wpatrywała.

– Nie wiem, dlaczego za tobą podążam, Havalldzie – powiedziała w końcu cichym głosem. – To już nie ma nic wspólnego z miłością. Wciąż ją czuję, ale teraz odczuwam też strach przed tobą. Budzisz we mnie grozę.

– Tak – westchnąłem. – Widzę to. Wiem, jak się czujesz, ze mną nie jest inaczej.

– Budzisz w sobie grozę? – zdumiała się.

Pokręciłem głową.

– Nie. Znam siebie, wiem, co należy robić. To Zokora mnie zatrważa. Zupełnie jakby od samego początku znała wzór, który teraz powoli się odsłania.

– Od kiedy? – spytała. – Od kiedy sądzisz, że ona to wszystko już wiedziała?

– Odkąd w gospodzie Pod Głowomłotem rozmawialiśmy o psach – odparłem ochryple. – Jest wysoką kapłanką Solante, dysponuje dawną wiedzą i potężnymi

talentami, może dlatego wiele widziała tak wcześnie. Wiem tylko, że nie będę zadawał jej pytań, to do niczego nie doprowadzi. Udzieliłaby mi wprawdzie szczerzej odpowiedzi, ale nie takiej, którą bym zrozumiał.

– Naprawdę uważasz, że to jest dobra droga?

– Nie widzę innej.

– W takim razie mam nadzieję, że to naprawdę Soltar kieruje twoimi krokami – powiedziała cicho. – Niech łaska bogów będzie z tobą, Havaldzie... dobranoc.

Popatrzyła na mnie ostatni raz i wyszła. Zostawiła mnie samego.

Podszedłem do okna i spojrzałem na płótno Soltara. Poszukałem wzrokiem gwiazdy przewodniej, którą dał ludziom, żeby wskazywała im drogę nocą.

W końcu wziąłem arkusz papyry i pióro i zacząłem pisać długie listy, które zalakowałem kilkoma pieczęciami, na końcu pierścieniem Róży. Kilka chwil po tym, jak pociągnąłem za dzwonek, stanął przede mną sierżant Piór. Wziął ode mnie listy.

Jego oczy rozwarły się, kiedy zobaczył, do kogo było zaadresowane wierzchnie pismo; nosiło jedną pieczęć więcej. Nic skomentował jednak, tylko stał wyprężony i obiecał, że przekaże listy dalej.

Było już długo po pierwszym dzwonie, nie zostało mi zbyt wiele czasu na sen. Mogłem zupełnie go sobie darować, bo znowu dręczyły mnie nocne koszmary. Maszerowaliśmy wewnątrz młyńskiego koła, długim szeregiem, ja, Serafine, Leandra, wszyscy pozostali. Podążaliśmy ku innemu kołu, które chciało zmiażdżyć nas jak ziarna zboża. Obudziłem się zlany potem, zanim do tego doszło. Usiadłem, ciężko dysząc.

WIĘZY RODZINNE

Przez całe rano dalej czytałem akta. Z lektury coraz wyraźniej rysował się obraz, który napawał mnie głęboką odrazą. Tuż po południu drzwi otworzyły się gwałtownie; byliśmy tak pochłonięci pracą, że drgnęliśmy.

– Ho, Havaldzie! – ryknął Ragnar, jakby od drzwi do mojego biurka było sto, a nie osiem kroków. – Wypatrzili już okręt, moja mała siostrzyczka niedługo tu będzie. Chodź, obejrzymy ją sobie!

– Już – odparłem, schowałem akta do kasetki i zamknąłem wieko. Kiedy sięgnąłem po Rozpruwacza, zobaczyłem błagalny wzrok Stofiska.

– Poruczniku – zwróciłem się do niego opryskliwie. – Jeśli myślicie, że możecie tu zbijać bąki, to się mylicie. Idziecie ze mną!

Jego promienny uśmiech sprawił, że w gabinecie aż pojaśniało. Serafine wodziła między nami wzrokiem i zaśmiała się pod nosem, a potem zwinnie wywinęła się od długiej ręki Ragnar, który chciał ją do siebie przyciągnąć.

– Jestem na służbie – oznajmiła.

– Sądźcie, że po szóstym dzwonie będę miał większe szanse na powodzenie? – spytał Ragnar i poruszył znacząco brwiami.

– Nie – odparła ze śmiechem. – Wtedy wymyślę inny powód!

Kiedy okręt minął bramę portową, na królową Varlandu czekały trzy grupy. Pierwszą tworzyli Varlandczycy, odziani w najlepsze stroje i skóry, dzierżący wypolerowaną broń: barwny i niespokojny tłumek. Krążyły wśród nich rogi z napitkami, co rusz rozlegały się wybuchy śmiechu. Drugą grupę stanowili wytwornie ubrani wysłannicy Rady Handlowej, wymieniający poglądy na temat cen zboża i możliwych zysków. Młoda, czarnowłosa kobieta ubrana w tradycyjny strój stała nieśmiało na uboczu i trzymała kosz róż. Z uśmiechem dzielnie odpierała spojrzenia i poszukiwała miejsca, gdzie najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

I byliśmy jeszcze my: Serafine, Ragnar, Stofisk i ja. Spodziewałem się Orikesa, może nawet komendanta, ale porucznik mnie oświecił.

– To Rada Handlowa rządzi miastem. Razem ze stanami.

– Dlaczego nazywa się ją Radą Handlową, skoro w rzeczywistości jest to Rada Miasta?

– Askir oficjalnie nadal jest zarządzany przez cesarza – wyjaśnił Stofisk. – Początkowo przedstawiciele stanów delegowali posłańców do cesarza, żeby uzgadniać sprawy miejskie, ale z biegiem wieków wyszło tak, jak jest. Komendant dowodzi wojskiem, inkwizytorzy pilnują prawa, Rada Handlowa zaś tego, by miasto się bogaciło... a Rada z nim.

– I co, bogaci się? – spytałem.

– Rada? O tak.

– A miasto?

– Pozwól, że ci to wytłumaczę, Havaldzie – wtrącił się Ragnar. – Widzisz, ludzie potrzebują mieć złoto w kieszeni, żeby móc coś sobie kupić. Sztuczka polega na tym, żeby dawać im wypłatę, a potem sprzedawać im coś, co wyciągnie im te pieniądze z kieszeni. W ten sposób niektórzy pracują za darmo i nawet tego nie zauważają.

– Twarde słowa – zauważył Stofisk – ale prawdziwe.

– To jeden z powodów, dla których nie lubię Askiru – oznajmił ponuro Ragnar. – Tu nikogo nie interesuje, czy ktoś jest żywy, czy martwy, najważniejsze, że się na nim zarabia.

Okręt królowej miał łeb smoka na dziobie oraz na rufie i był tak duży, że posiadał dwa maszty. Jego eskortę stanowiły cztery dodatkowe statki, podobne do znanych mi smoczych. Wszystkie były pełne, widać było wojowników Varlandu z toporami, tarczami, mieczami i włóczniami, kobiety w odświętnych szatach, dzieci oraz – osłupiałem lekko – dobry tuzin kóz.

Na rufie, u sterów monarszego okrętu stała w otoczeniu groźnie spoglądających wojowników młoda, szczupła sera w prosto skrojonej sukni z królewskiego szkarłatu. Na czole miała żelazną opaskę, zaś miecz nosiła jak Leandra, na plecach.

Towarzyszył jej mężczyzna przypominający czarnego niedźwiedzia o zmierzwionych kudłach, w kosztownych szatach, uzbrojony w miecz; jego prawa ręka kończyła się hakiem. Stał nieco z tyłu, a sposób, w jaki marszczył brwi, zdradzał, że mu się to nie podoba.

Była to istna inwazja Varlandczyków, a większość z nich zachowywała się, jakby była w drodze na dobry festyn. Jak ich znałem, nie było to dalekie od prawdy.

– Wygląda jak jej matka – powiedział cicho Ragnar. – Alfrede była jedynym dobrem w domu mego ojca. Chociaż bił ją niemal co noc, często miała dla mnie uśmiech, a czasem przynosiła mi też książki. Raz kazał ją obatożyć, bo wstawiła się za mną, kiedy po raz kolejny w czymś mu nie dogodziłem.

– Żyje jeszcze? – spytałem.

– Nie. Zasięgnąłem języka. Hraldir kilka lat temu kazał rozerwać ją przez cztery woły. Sprzeciwiła mu się, gdy zaoferował Erlafowi w darze pierwszą krew Vredy –

rzekł zimnym tonem Ragnar.

Dobrze wiedziałem, jaki był los rodzonej matki Ragnara. Przybyła na dwór jego ojca jako prezent, na jakiś czas zajęła uwagę króla, ale kiedy stała się brzemienna z Ragnarem, bardzo szybko utraciła jego łaski. Po urodzeniu Ragnara została oddana jakiemuś ulubieńcowi jego ojca, a potem słuch o niej zaginął.

Jakkolwiek królestwu przydałoby się, żeby Ragnar zasiadł na żelaznym tronie, rozumiałem, dlaczego tego nie chciał.

Łatwo było odgadnąć, gdzie miały przybić statki: część kei była wolna, a na nabrzeżu stał tenet Węży Morskich w wypucowanych zbrojach, gotowych do przyjęcia cum.

Spojrzałem na dziewczynę z kwiatami. Zerknęła na mnie przelotnie i wyprostowała ramiona.

Zejsście na ląd wyglądało w pierwszej chwili tak, jakby dzika horda chciała zdobyć Askir, ale prędko okazało się, że panuje tu niejaki porządek. Najłatwiej było rozpoznać dostojników, po tym, jak nosili złote łańcuchy czy pierścienie, albo po tym, w jakiej odległości od Vrelidy się znajdowali.

Dziewczyna z kwiatami wystąpiła do przodu i każdemu z głębokim dygnięciem wręczała kwiat. Królowa uśmiechnęła się, podziękowała i powąchała różę.

Niektórzy z dzielnych wojowników wyglądali na wzruszonych, inni czynili nieprzyzwoite uwagi, jeszcze inni nie wiedzieli, co sądzić. Koszyk opustoszał, a młoda kobieta pospiesznie usunęła się na bok. W końcu wystąpił naprzód okrągły mężczyzna w kosztownej szacie i przywitał delegację z Varlandu, pochwalił urodę Vrelidy i życzył jej miłego pobytu w Askirze. Dwóch chłopców przyniosło złotą skrzynkę. Królowa kazała ją otworzyć, zajrzała do środka i skinęła głową w podziękowaniu. Róża, pomyślałem, podobała jej się bardziej.

Jarl Erlaf – to nie mógł być nikt inny – podał jej ramię i ruszyli. Spojrzenie królowej padło na Ragnara. Zawahała się chwilę. Jarl również go poznał, a jego twarz zachmurzyła się jeszcze bardziej. Chciał przytrzymać Vrelidę, ale wywinęła się z uchwytu i wyrwała, by rzucić się Ragnarowi na szyję.

– Od razu cię poznałam, Ragnarze. – Wpatrywała się w niego promiennie. – Moja matka dużo mi o tobie opowiadała, wiem, że mi pomożesz!

– Vrelido – zagrzmiął jarl, podchodząc bliżej i obrzucając nas wszystkich zimnym spojrzeniem. – Wasze zachowanie jest niegodne królowej!

– Daj jej przywitać się z bratem – poradził starszy mężczyzna o szerokich plecach i siwej brodzie. – Nawet królowej wolno! – Zaśmiał się i zmierzył nas badawczym wzrokiem. – Mimo to, wasza wysokość, Erlaf ma rację. Czeka ją na nas. Zaprosicie brata do ambasady jutro wieczorem. Niech przyjdzie, abyście mogli z nim porozmawiać.

– Przyjdiesz, Ragnarze? – spytała Vrela, podczas gdy Erlaf świdrował go nienawistnym spojrzeniem.

– Chętnie – odparł chrapliwym głosem. – Ależ wyrosłaś – zauważył cicho. – Matka, jaką znałem, i ty jesteście jak dwie krople wody. Była dobrą, mądrą kobietą, a ty się w nią wrodziłaś.

– Dziękuję – odpowiedział. – Ona też dobrze o tobie mówiła.

– Jarl Tivstirk ma rację, nie powinniśmy bałamucić tu dłużej – powiedziała po chwili i rzuciła badawcze i zarazem pytające spojrzenie na mnie, Serafine i Stofiska. Porucznik zrobił krok do przodu i ukłonił się.

– My... – zaczął, ale Erlaf zignorował go i szorstko chwycił Vrelę za ramię.

– Chodźcie – warknął. – Wstrzymujecie wszystko.

Z jej gardła wyrwał się krótki okrzyk bólu. Spojrzała niemal przepaszająco na Ragnara, który zacisnął pięści, po czym niemal się przewróciła, pociągnięta przez jarla. Incydent wywołał zaskoczone i zakłopotane spojrzenia przedstawicieli Rady Handlowej, ale Varlandczycy zachowywali się, jakby nic się nie stało.

– To jest nieokrzesane zachowanie – stwierdził Stofisk – nawet jak na barbarzyńcę z północy. Och... – zreflektował się i spojrzał spiesznie na Ragnara. – Wybaczcie... ja...

– Darujcie sobie – powiedział szorstko Ragnar. – Macie rację.

Zostaliśmy na nabrzeżu, odprowadzając wzrokiem zgraję, która z rykiem i śmiechem witała się z ziomkami, a potem dziką chmarą wylała w miasto. Przedstawiciele Rady wyglądali na trochę rozczarowanych, taki przebieg powitania nie był, zdaje się, planowany. Naradzali się chwilę, w końcu wezwali lektyki i się oddalili. Została tylko dziewczyna z kwiatami. Podniosła z ziemi jedną różę i podeszła do nas, żeby ją wręczyć Serafine, która podziękowała grzecznie.

– Prawie was nie poznałam, primo – przywitała ją Serafine, ale Desina tylko skinęła głową. Jej uśmiech wyglądał na wymuszony.

– Taki był zamiar – wydusiła z siebie i spojrzała na mnie. – Plan się powiódł, choć życzyłabym sobie, żeby było inaczej. Myślałam, że najbliższą Bezimiennemu była Asela. Zło w niej mieszkające było jak ciemna fala, ale ten tutaj... Jest jak otchłań, jak nieskończenie głęboka dziura wsysająca wszystko, co promienieje, i porywająca to w ciemność. Obawiałam się niemal, że wystarczy dotyk, aby mnie w nią wciągnąć. Co gorsza, on mnie zauważył. Nie bał się, a jego uśmiech był wyzywający.

– Kto to jest? – spytałem.

– Ten starszy mężczyzna z siwymi włosami. Jest, zdaje się, doradcą królowej.

– Jarl Tivstirk – zagrzemiał Ragnar. – Znam go z dawnych czasów. Jest dobry intrygach. Złoty język i zimne ostrze. – Popatrzył na mnie ze smutkiem. – Havaldzie,

myślałem, że mnie to pozostawi obojętnym, ale krew jest gęstsza od wody i widzę w niej matkę. Jestem winien królowej Alfrede, żeby Vrela nie skończyła jak ona.

– Co chcesz zrobić? – zapytałem go.

– Jutro wieczorem zabiję Erlafa i Tivstirka, i każdego, który nie uklęknie przed Vrelą – oświadczył.

– Nie uda ci się – stwierdziłem. – Zostaliśmy ostrzeżeni przed mocą łowcy dusz.

– Ostrzeżenie, które muszę potwierdzić – dorzuciła cicho Desina. – Nie czuliście tego, co ja czułam. Nie podda się bez walki. Jak chcecie ochronić tę, którą kochacie?

– Sprawy nie posuną się aż tak daleko. Ragnarskrag został wykuty przez boga, nawet przeklęty nie oprze się jego uderzeniu.

– Ragnarze, co zrobisz, jeśli jego spojrzenie zmusi cię, abyś zabił Vrelę? Albo mnie?

– To się nie stanie – przysiągł otwarcie, ale już mniej pewnie. – To nie jest możliwe, prawda?

– Ze mną prawie tak się stało – powiedziałem. – Jedno spojrzenie, a o mało nie zdradziłbym wszystkiego, co kocham.

– Ale czy wczoraj nie pojмалиście jednego z nich bez najmniejszych przeszkód? – spytał zdziwiony. – Tak słyszałem.

– Niektórzy przekłęci są starzy i wyposażeni w przebiegłość gromadzoną przez wieki. Ale są i tacy, którzy zostali rytualnie uczynieni przeklętymi przez cesarza nekromantę. Ten tutaj, Ragnarze, jest jednym z tych starych, ten drugi był ledwie dzieckiem.

– Co robimy? – spytała Desina. – Przyznaję, że nie mam wielkiej ochoty się z nim mierzyć. Asela i Feltor udzielili mi dobrej lekcji. Ich nie wolno lekceważyć.

– Zapytam kogoś, kto się na tym zna – powiedziałem.

– Zokorę? – spytała Serafine, ale ja pokręciłem głową.

– Nie ją mam na myśli. Ragnarze, przejdiesz się ze mną kawałek?

– Czemu nie? – odparł i powiódł wzrokiem dokoła, aż jego spojrzenie zatrzymało się na okrętach z jego kraju. – Nie ma tu nic, co by mnie tutaj trzymało.

– Błogosławieństwo bogów niech będzie z wami – rzuciła Desina, patrząc na mnie badawczo. – Nie podejmujcie żadnych kroków na własną rękę – ostrzegła mnie.

– Nie będę – obiecałem i zwróciłem się do Serafine: – Nadal potrzebuję tych propozycji odnośnie do wyposażenia legionu, o których mówiliśmy. Wrócę do cytadeli później. – Jej spojrzenie wyraźnie mi powiedziało, że zrozumiała, iż chcę zostać z Ragnarem sam. Nie spodobało jej się to.

– W takim razie nie mam tu nic do roboty – stwierdziła, skinęła nam głową i odeszła ze Stofiskiem, po którym widać było, że ugryzł się w język.

– Chcesz mnie odwieść od popełnienia głupstwa? – spytał Ragnar, kiedy razem szliśmy przez port. Zaśmiał się pod nosem, kiedy wystraszony kupiec ustąpił mu z drogi, wpatrując się weń wielkimi oczami. – Pamiętaj, że to będzie głupstwo tylko wtedy, gdy się nie powiedzie.

Szliśmy ulicą. Moim celem był ogród, który mi pokazała Serafine.

– Może. Ragnarze, pomówmy o Angusie.

– Angusie? – zdziwił się. – A więc dobrze, niech będzie. Poszedł na polowanie i wrócił cały i zdrow. Biegał z wilkami, ale nie jest szczęśliwy.

– Angus jest lojalny wobec ciebie, prawda?

Ragnar skinął głową.

– Po grób. To dobry przyjaciel.

– Nadawałby się na żelazny tron?

– Angus? – Popatrzył na mnie badawczo. – Jak to ująć... Havaldzie, kiedy zasiada się na tronie, wrasta się weń, na dobre i na złe. Albo się na nim umiera. Angus jest dobrym człowiekiem, ale przywykł służyć rozkazów, a nie je wydawać.

– A Vrela?

Westchnął.

– Jak długo ją widzieliśmy? Dziesięć oddechów? Przypomina matkę, kobietę mądrą, a jednocześnie sprytną... i nieskończenie odważną. Nie powinna była przeciwstawiać się Hraldirowi. Vrela musi być silna i wytrzymała, gdyż to zwierzę Erlaf już od dawna kładzie się z nią i próbuje zrobić jej brzuch, a ona wciąż jeszcze się nie złamała. Nosi miecz mego ojca. Zastanawiam się, jak do tego doszło. W każdym razie jarlowi to się nie podoba.

– Czy jej miecz też jest wykuty boską ręką?

Zaśmiał się.

– Hraldir na pewno by tego chciał. Ale nie, to jest po prostu dobra broń z niebieskiego żelaza. Długa historia. To symbol, nic więcej. Może Vrela potrafi się z nim obchodzić, ale jest dla niej za ciężki. Z drugiej strony – rozważał – walki nie trwają przecież długo.

Szliśmy dalej. Na chwilę zostawiłem go z jego myślami i podążyłem za swoimi.

– A więc chciałbyś zobaczyć Angusa u boku Vreldy? – spytał w końcu prosto z mostu.

– Królestwo potrzebuje sojusznika, na którym można polegać. Sam mówiłeś, że na Elrafie nie można.

– To prawda. A zatem Vrela musiałaby pojąć za męża Angusa. A Angus musiałby zapomnieć o tamtej kobiecie, o której wciąż opowiada.

– O Elgacie? – Zupełnie o tym zapomniałem. Może dlatego, że nie brałem na poważnie jego zapewnień o miłości.

– Tak, tak się nazywa. Ma stopień kapitana lancy w cesarskiej marynarce. Wydaje mi się, że on ma wobec niej poważne zamiary, nie mówi o niczym innym.

Stłumiłem westchnienie.

– Dla królewskich zaszczytów zapominano już o zupełnie innych rzeczach.

– To też prawda. Ale Angus tak nie myśli.

– Dla Vreldy byłby lepszy niż ten jarl, to pewne.

– Havaldzie – powiedział spokojnie. – Nie zapominaj, że to moja siostra, którą frymarchymy jak krową. Ona zasługuje na mój szacunek, i twój też.

– Masz coś przeciwko Angusowi? Uważasz, że nie byłby dobrym mężem dla twojej siostry?

– Byłby – westchnął. – To byłaby również odpowiednia nagroda za jego wierność. Jest dobrym człowiekiem i szanowałby ją. On uwielbia i ceni kobiecość. Może z czasem pokochałby ją nawet i zapomniał o Elgacie. Zrobi to, jeśli go o to poproszę. Tylko czy Vrela go zechce... Łatwo by było to zaaranżować. Vrela musiałaby wyzwąć Erlafa na pojedynek, a on nie mógłby odmówić, bo to oznaczałoby utratę dobrego imienia. Wówczas Vrela na swojego wojownika wybrałaby Angusa i obiecałaby mu oddać rękę, jeśli przeforsuje swoją wolę mieczem. Ale Erlaf nie tylko jest cwany, jest również dobrym wojownikiem, choć jednoręcznym. On to wszystko ukartował dawno temu i wielu go popiera. Także twoja królowa.

– Nie sądzę, żeby tak jeszcze myślała – powiedziałem. – Gdyby widziała, jak traktuje twoją siostrę, miotałaby błyskawice.

Zaśmiał się głośno.

– Nawet jeśli czasami odnoszę wrażenie, że jest z lodu, to jednak jest prawdziwą królową! Kiedy będziesz się z nią widział, powiedz jej, że nie powinna chodzić po prośbie, to inni powinni o nią zabiegać. A gdy ktoś nie okaże jej należnego szacunku, powinna spokojnie potraktować go błyskawicą.

Dotarliśmy do sekretnego ogrodu. Szarpnąłem za furtkę, ale nadal była zamknięta. Przez pręty widziałem pierwsze zielone pędy, wychylające główki z ziemi. Pomyślałem o pewnej serze zakutej w łańcuchy, więzionej w dalekim kraju. Kochałaby ten ogród.

– Co wiesz o smokach?

– Ja? – zaśmiał się Ragnar. – Widziałem kiedyś lodowego robaka, a cztery lata temu w Coldenstatt przeleciał nad nami prawdziwy smok. Istnieją, ale to wszystko, co mogę o nich powiedzieć.

Patrzyłem na pawilon przez pręty furtki. Wydawał się pusty, ale to mogło być złudzenie, z tego, co wiedziałem.

– Ragnar, jesteś dobry w toporze?

– To jest Ragnarskrag, a ty jeszcze pytasz? On potrafi rozszczeplić światy, jeśli trzeba. Albo przeklętych.

Myślałem raczej o łańcuchach.

Spojrzałem mu w oczy.

– Jutro wieczorem, kiedy ją spotkasz Vrelde, bądź ostrożny, ale zapytaj ją, czy zamiast Erlafa nie wolałaby Angusa. Jeśli się zgodzi, znajdziemy jakieś rozwiązanie. A Angus... jego też zapytaj. Opowiedz mu o siostrze i o tym, jak ją traktuje jarl.

– Znasz Angusa, to go rozsierdzi.

– Zapytaj go, czy chce być królem u boku Vrelidy, a ją, czy chce mieć męża, który będzie wierny jej bratu aż po grób i jeszcze dłużej.

– Tak zrobię – odparł spokojnie Ragnar. – W jaką ty grasz grę?

– Sojusz się rozpadnie i trzeba będzie utworzyć nowy, inaczej nie damy rady pokonać Kolarona. Potrzebuję w Coldenstatt wojowników twojego kraju. W lodzie i śniegu nie ma lepszych.

– Jesteśmy przyjaciółmi od piętnastu lat, staruszkule – rzekł z namysłem Ragnar. – Uratowałeś mi życie i dałeś nowe. Przekazałeś mi także klucz do mojego szczęścia.

– Czego ci zazdrościsz, przyjacielu.

– Tak, wiem – powiedział po prostu. – Zrobię, czego żądasz. Bo ci ufam. Ale jeśli wszystko potoczy się tak, jak chcesz, uważaj, żeby ani Vrelida, ani Angus, ani żebym ja nie miał powodu, by tego pożałować.

– Mogę tylko spróbować, nie obiecać.

– Więcej żądać nie mogę.

– Znajdziesz drogę z powrotem? – spytałem, a on się roześmiał.

– Ja wszędzie znajdę drogę – zapewnił i zajrzał do ogrodu. – Chcesz tu jeszcze zostać?

– Mam nadzieję spotkać tu kogoś.

– Dobrze – rzucił. – Gdy tylko wrócę, zdam ci relację. Niech przychylność bogów będzie z tobą, przyjacielu.

– I z tobą.

36

BALTHASAR

Patrzyłem za Ragnarem, jak odchodzi. Wyglądał na pogrążonego w rozmyślaniach. Następnie podciągnąłem się w górę przez furtkę, zeskoczyłem i podążyłem ścieżką. I tym razem przyniosła mi spokój, a zarazem poczucie głębokiego smutku.

Kiedy dotarłem do pawilonu, zastałem siedzącą tam Asełę, przed nią na stoliku leżała plansza, wino dla niej i kufel piwa dla mnie. Może i to było tylko magiczne złudzenie, ale chłodny napitek sprawił mi radość.

– Byliście pracowici, generale – zagała i pokazała mi dwa piony. Wybrałem czarny. Obróciła planszę. – Czemu czarne?

– Przywykłem się bronić. Atak mi nie leży.

Popatrzyła na mnie badawczo i wykonała pierwszy ruch.

– Doprawdy? – rzuciła z powątpiewaniem, kiedy przesunąłem pierwszego chłopca. Wiedziałem, że nie miała na myśli gry. – Zamierzacie zrobić coś, co nie ma zbyt wielkich szans powodzenia.

– Potrzebuję waszej pomocy, maestro – powiedziałem cicho i popatrzyłem na jej pozycje. Rzadko widywałem serę, która wykonywałaby tak agresywne i rozważne zarazem posunięcia. Natarła na moje skrzydło tak zmyślnie, że mi zaimponowała. Zdawała się planować na długo naprzód. Raz omal bym się na to nie złapał.

– W czym? – spytała i przesunęła następną figurę.

– We wszystkim.

– Nie wystarczy, że wplatacie w sieć swoich przyjaciół?

– Może chcę was pozyskać jako przyjaciela.

– Żebyście mogli włączyć mnie w wasze plany? Nie, dziękuję. Nie macie pojęcia, co uczyniłam tym, których nazywałam przyjaciółmi. Albo tym, których kochałam.

– Nie byliście sobą. Nie chcecie wyrównać wagi? Uczynić dobro tam, gdzie poczyniłyście zło?

– Dobro? – powtórzyła i zabrała mi chłopca. – Co dobrego jest w wojnie? Wiecie, że was obserwowałam? Jesteście jeszcze bardziej podstępni niż ja.

– Co z zemstą, której tak pragniecie?

Zbiła mojego kapłana, zagroziła wieży i otworzyła skrzydło dla jazdy.

– Zemsta to szaleństwo. Musi nim być, bo właśnie tego potrzeba, aby spróbować niemożliwego. Powiedzie się tylko dzięki opętaniu. Lecz zemsta nikogo nie przywróci

do życia i smakuje jak popiół. – Podniosła wzrok znad planszy. – Obawiam się, że już nie jestem opętana szaleństwem, generale. Soltar okazał mi łaskę, której ogrom dopiero zaczynam pojmować. Ale teraz to wy jesteście opętani.

Padła moja wieża, skrzydło zostało nadkruszone, królowa zagrożona.

– Czy to opętanie, jeśli się wie, co jest potrzebne do zwycięstwa?

– Myślicie, że możecie zwyciężyć? To nie jest opętanie, to szaleństwo!

– A jednak. Wiem, jak możemy zwyciężyć – poinformowałem ją. – To jak z tą grą. Wszystko zależy od tego, jakie figury zostaną na polu i jak się je wykorzysta. Większość przegrywa, bo myśli, że jedna figura ma większą wartość niż inna, ale jeśli chce się wygrać, ta zasada nie obowiązuje. Grę wygrywa nie ten, komu zostanie najwięcej figur, lecz ten, kto zmiecie wrogię króla.

Spojrzała na planszę, na której brakowało już sporo czarnych figur.

– I naprawdę sądzicie, że możecie wygrać?

– Tak.

Wpatrywała się w pole gry.

– Mówicie, że nie znacie się na strategii. A co z tą grą?

– To jest gra.

– Coś wam powiem, generale. Jeśli wygracie tę bitwę, wysłucham, czego ode mnie chcecie.

– Nie. – Spojrzałem jej w oczy. – Zabierzcie jeden z moich pozostałych kamieni. Jeśli wygram, zażądam od was przysługi. Albo weźcie dwa... Jeśli przegracie, odnowicie waszą przysięgę wobec Sów i ponownie przyłączycie się do cesarza.

– Nic nie byłoby mi miłsze. Ale cesarz nie żyje. Widziałam, jak umierał.

– Nie jest martwy, a wy nie widziałyście, jak umierał. Jedynie to, że nie był już obecny.

Popatrzyła na mnie, potem na planszę, wzięła moją ostatnią wieżę oraz drugiego kapłana i odstawiła na bok.

– Zostawię wam waszą królową, bo i tak przegracie.

Wzięła ją w trzecim posunięciu.

Odchyliłem się do tyłu.

– Desina potrzebuje waszej pomocy bardziej niż ktokolwiek inny. Cóż, skoro teraz odnowicie waszą przysięgę, powiedzcie, czego się w niej boicie?

– Nie chcecie zrobić ruchu? – spytała.

– To nie jest konieczne.

W milczeniu wpatrywała się w planszę, studiowała ją długo, w końcu rozwarła szeroko oczy.

– Gdzie nauczyliście się grać? – spytała cicho.

– W świątyni Soltara w Kelarze.
– Mieliście dobrego nauczyciela.
– Wiecie, maestro – powiedziałem. – Było coś dziwnego w tamtym kapłanie. Chociaż od dawna powinien już przebywać u Soltara, miałem wrażenie, że często go już spotykałem. Z drugiej strony... Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek w ogóle widziałem jego twarz.

– To rzeczywiście dziwne – przyznała, wykonała gest ręką i plansza zniknęła.

– Powiedzcie, czego ode mnie chcecie?

– Co z wami i primą?

– Ona jest córką Balthasara. Balthasar uwiódł córkę mistrza gildii. Ona go kochała, on wykorzystał ją dla celów Kolarona. Kiedy odszedł, wiedziałam, że ona nie przeżyje oraz że córka także ma umrzeć. Lecz nic nie zrobiłam, żeby temu przeciwdziałać. – Zacisnęła pięści, rozjarzyło się błękitnawe światło i zaraz zgasło. – Wstydzę się przed nią.

– Czy nie macie wystarczająco dużo własnej winy do dźwignia? – spytałem. – Dlaczego obciążacie się brzemieniem, które leży na duszy Balthasara?

– W tym właśnie problem. Tylko śmierć uwalnia od władzy Kolarona.

– Nie rozumiem. Siedzicie przede mną i żyjecie. Nie jesteście duchem, czuję wasze ciepło i wasz oddech.

– Zabiliście Balthasara, ale jego duch był związany przysięgą. Zanim odszedł, musiał naprawić to, co niegdyś zniszczył. Potrzebował do tego Aseli, gdyż została tylko ona jedna, żeby dotrzeć do miejsca, w którym krzyżują się nurty rzeki światów w Askirze. Ale wieża broni dostępu przed przekłętymi i dlatego Asela musiała umrzeć, żeby zostać uwolnioną od przekleństwa.

Zamrugalem.

– A więc oboje byli martwi, Balthasar i Asela?

– Nie. Nie słuchaliście mnie. On jest jego duchem i jej ciałem.

Siedziałem i wpatrywałem się w nią.

– Jesteście... nim? – spytałem cicho, pojmując, czego nie dało się ogarnąć rozumem.

– I nią. – Uśmiechnęła się smutno. – Jej wiedza, jej wspomnienia i jej talent. Uwolniłem jej duszę w taki sam sposób, jak uwolniłem przeklętych, i zostawiłem wszystko, czym kiedykolwiek była, z wyjątkiem duszy, która odeszła do Soltara.

– Dlaczego mi to wyznaliście?

– Z dwóch powodów. Generał powinien wiedzieć, kim są jego żołnierze. I dlatego, żebyście zrozumieli, czego ode mnie żądacie. A ja od was: chcę waszego słowa, że

Desina dowie się tylko ode mnie, nikomu o tym nie powiecie. Taka jest moja cena, generale.

Nie widziałem żadnego powodu, by się zawahać.

– Macie moje słowo.

– Dobrze. W takim razie wy macie moje. – Uśmiechnęła się lekko. – Odnowienie przysięgi nie jest konieczne, gdyż ona nadal mnie wiąże. Jedyne wola Kolarona była silniejsza, ale śmierć mnie od niego uwolniła. – Westchnęła. – Niestety, nie ma innej drogi.

– To nie jest prawda. Zokora wie, jak można złamać czar Kolarona.

– Mroczna elfka?

– Jest kapłanką Solante. Podobno istnieje rytuał, który wiąże wolę z boginią, i ten czar jest silniejszy od wszystkich innych. Jeśli się go zdejmie, jest się wolnym od wszelkich magicznych więzi. Tak uwolniła Natalyję. Jeśli naprawdę jesteście Balthasarem, wiecie, kto to jest.

– Natalyia – wyszeptała. – Bogowie... Tyle zła... Czuję ulgę, że została uwolniona od czaru Kolarona, ale będę się wstydzić i przed nią.

– Raczej nie – odparłem twardo. – Umarła.

– Jak? Jak ktoś mógł zabić kamień?

– Umarła, żebym mógł żyć ja.

– Och... – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – A więc wy też się wstydzicie?

– Wstyd to nie moja działka – rzuciłem krótko, wiedząc, że kłamię. – Jest zbyt wiele do zrobienia, żeby się przejmować czymś takim.

– A więc przechodzimy do rzeczy? – spytała.

– Tak. Zacznijmy od pytań.

– To może zająć trochę czasu – przyznała. – Ale pytajcie.

– Kim jest tamta istota o postaci smoka koło świątyni?

– Daliście jej kwiaty? – spytała Asela.

– Tak. Kim ona jest?

– Nie wiem. Kolaron chełpi się, że zakuł ją w łańcuchy, ale podobno zrobił to, kiedy leżała u jego stóp jak martwa, gdy chciał zrabować jej duszę. Kiedy się ocknęła, z trudem umknął przed jej gniewem. Znalazłam ją taką, jak ją widzieliście, tylko że wtedy była jeszcze zakuta we wszystkie łańcuchy. Wyczuła we mnie przekleństwo Kolarona i nigdy nie dopuściła mnie do siebie zbyt blisko, bym mogła się dowiedzieć o niej więcej. Co zrozumiałe, bo zadałam sobie wiele trudu, żeby zabić ją dla mojego pana. – Uśmiechnęła się pod nosem. – To przez nią Kolaron pożąda płaszcza martwego boga, żywy był dla niego zbyt silny.

– Ona jest boginią? – spytałem zaskoczony. Już sam fakt, że była smokiem, był zdumiewający; nie zostało już zbyt wiele z jej rodzaju.

– A czym jest bóg? Potężną istotą, w którą się wierzy? Ona jest jedną ze Starszych. Sami sobie wybierzcie, kim jest.

– Tym byli Starsi? Smokami?

– Rzecz nie w tym, czym jest ciało – powiedziała. – Starsi mogą być tym, kim chcą.

– Co z innymi smokami, które widziałem krążące nad twierdzą Kolarona? Służą mu czy też są...

– Smoki Kolarona? – Zaśmiała się. – Przypominają prawdziwe smoki mniej więcej tak jak wy szczury w rynsztoku.

Pomyślałem chwilę, zanim zadałem następne pytanie.

– To Askannon stworzył portale, zgadza się?

Skinęła głową i popatrzyła na mnie badawczo.

– Wyglądacie jak ktoś, kto szuka jabłka, a znajduje cytrynę. Nie podoba wam się moja odpowiedź?

– Myślałem, że coś zrozumiałem, ale coś mi tu nie pasuje. Jeśli to Askannon stworzył ten portal, to wszystko nie ma sensu.

– O jakim portalu mówicie?

– O tym prowadzącym do starej świątyni ze smokiem.

– Nie – odparła. – Ten portal stworzyłam ja. Całkiem niedawno. Żeby wskazać wam drogę do Kolarona. Naprawdę sądzicie, że tolerowałby portal prowadzący prosto pod jego drzwi?

– Wy stworzyłyście ten portal? – Poczułem, jak przyspiesza mi tętno.

– Tak. To nie jest trudne, jeśli się wie jak. Desina też by umiała.

– Ale nie wie jak. – Popatrzyłem na nią. – Balthasarze...

– Aselo, proszę – przerwała mi. – To dziwne, ale coraz bardziej staję się nią. To nie tylko dusza czyni człowieka, ale i ciało, w którym się tkwi, wspomnienia i życie. – Uśmiechnęła się lekko. – W pewnym sensie to ulga, że nie zabiłem jej całkowicie. – Skrzyżowała ręce. – Macie więcej pytań czy pozwolicie mi teraz odejść?

– Jak się z wami skontaktować?

Uśmiechnęła się.

– Dajcie mi waszego Strażnika Cieni. – Zauważyła moje spojrzenie i uśmiechnęła się. – Wasz miecz. On nosi wiele imion.

Zawahałem się.

– Nie jest łatwo zaufać, prawda?

Położyłem Rozpruwacza Dusz przed nią na stole. Niemal delikatnie przejechała po nim dłonią. I coś się stało.

– Bardzo go zmieniliście – powiedziała, odejmując dłoń. – Nawet Askannon byłby zdumiony, znajdując to ostrze takim, jakie obecnie jest. Jeśli chcecie, żebym was wysłuchała, dotknijcie go po prostu i pomyślcie o mnie. Zobaczą, czy znajdę dla was czas. – Wstała. – Pomogę, jak tylko będę mogła, generale, ale na swój własny sposób.

– Wy... – zacząłem, ale już jej nie było.

RADA WOJENNA

Ledwie dotarłem do cytadeli, przechwyciła mnie Serafine.

– Orikes nas oczekuje – rzuciła na powitanie. – Cały czas rozmawiałeś z Ragnarem?

– Nie. Spotkałem też Asełę i przekonałem ją, żeby nam pomogła. Czekałaś tu cały czas?

– Kazałam jednemu z naszych Byków wypatrywać generała i meldować mi, kiedy przyjdzie – powiedziała. – Jestem teraz majorem, to znacznie ułatwia życie.

– Wiesz, czego chce Orikes? – spytałem, kiedy szliśmy korytarzem do jego kancelarii.

– Tylko tyle, że nam się to nie spodoba.

– Tivstirk się wymknął – zagrzmiał Orikes, ledwie zamknąłem za nami drzwi. – Kazałem go śledzić, chociaż zakładałem, że pójdzie wraz z innymi do ambasady. Ale w połowie drogi go zgubiliśmy. Moi agenci mówią, że nagle zniknął.

– Psiakrew – zakląłem.

– Tak. Nie musimy już zastawiać na niego pułapki. Teraz to on zastawi ją na nas.

– Możemy mieć tylko nadzieję, że to pokrzyżuje mu plany – stwierdziła Serafine.

Orikes spojrzał na nią.

– Może. – Przejechał dłonią po swoich krótkich włosach. – Przypominacie sobie legion, który widziano w Rangorze? Mamy potwierdzenie: to wrogi legion, ciągnący na Aldane.

– Za ile dotrą do miasta?

– Muszą pokonać przełęcz... Jest droga, która potem szerokim łukiem zaprowadzi ich do Aldaru. W tym wypadku zostałoby sześć dni. Albo pójdą przez Żelazną Przełęcz, wtedy zajmie im to nie więcej niż cztery, może pięć dni.

Chciałem coś powiedzieć, ale uniósł dłoń.

– Wysłuchajcie mnie najpierw, generale. Odkąd powódź dotarła do Aldaru, przerwane zostały połączenia z miastem. Lecz dziś rano przybył konny z meldunkiem i doniósł, że w Aldarze wybuchło powstanie, za którym stoi kult Białego Płomienia. Wiemy, że księżę przebywa w zamku, ale nic poza tym, tylko tyle, że słychać bębny i że ludzie pogrążają się w jakimś szaleńczym tańcu. Te doniesienia są na tyle

przeróżające, że komendant postanowił was tam wysłać. Dowiedliście już, że potraficie krzyżować plany wroga.

– Ale to krzyżuje moje własne plany.

– Jestem pewien, że komendant tego żałuje – rzekł Orikes z nikłym uśmiechem. – Potraktujcie to jak dowód zaufania, generale, komendant wyraźnie podkreślił, że daje wam pełną swobodę.

– Co dokładnie powiedział?

– Że macie uczynić wszystko, co konieczne, aby księżę przybył do Askiru na Radę Koronną. Jeśli stracimy miasto, będziemy mogli je odbić, jeśli stracimy księcia, stracimy Aldane.

To były dobitne słowa.

– Jak daleko jest stąd do Aldane?

– Nieco ponad trzysta mil lądem. Prawie trzykrotnie więcej wzdłuż wybrzeża. Jeśli jest się dobrym jeźdźcem i nie oszczędza koni, droga lądowa jest szybsza, ale Sowa mówi, że znalazła trzy portale do Aldaru albo niedaleko od niego.

– Pułkownik, który legion najlepiej się nadaje do tej misji?

– Prawdę mówiąc: żaden. Trzeci byłby wolny, ale trzy z ich lanc stacjonują gdzie indziej, tu, w Askirze, zostało nie więcej niż siedmiuset żołnierzy. – Westchnął. – Nawet zakładając szybki marsz, Trzeci nie dotarłby do Aldaru na czas. A nawet gdyby, musiałby stawić czoła przeważającym siłom.

– Ograniczenie legionów do tysiąca żołnierzy to był błąd – wyszeptalem. Bogowie, pomyślałem z goryczą, jak temu nekromancie ciągle udaje się nas ograć!

– Nie w czasach pokoju – sprzeciwił się Orikes. – Legiony miały służyć jedynie do obrony Askiru, nie do wojny zaczepnej, a w połączeniu z naszymi murami wystarczą.

Powinienem choć raz obejrzeć sobie te słynne mury, pomyślałem.

– Czasy pokoju minęły – burknąłem.

– Tak – skinął głową Orikes. – Już werbujemy żołnierzy. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Potrzeba czasu, żeby wyszkolić legionistę, nie wystarczy wcisnąć wieśniakowi żołąd do ręki.

Racja.

– Cokolwiek stanie się w Aldarze, nie skończy się dobrze – wypowiedziałem na głos oczywistą rzecz. – Jakie wojska tam mamy?

– Drugą Lancę Trzeciego pod dowództwem majora miecza Blixa i Ósmą Lancę Piątego porucznika Paltusa. Wendis jest przydzielony do zabezpieczania bazy, łącznie z dwiema lancami Węży Morskich i załogami okrętów, które stały w porcie, kiedy fala powodziowa dotarła do Aldaru. Może jeszcze dodatkowo trzystu ludzi.

– Okręty?

– Tylko jeden, który w miarę przetrwał falę, „Meteus”, ale wyjście z portu jest zablokowane przez wrak. Trwają gorączkowe prace nad udrożnieniem wyjścia.

– Co z flotą, którą widziano koło Janasu?

– Może już być blisko Aldaru i stanowić problem, jeśli podejmą próbę ucieczki drogą morską.

Było już tuż przed szóstym dzwonem.

– Dajcie mi trochę czasu na zaplanowanie i zameldujcie komendantowi, że ruszamy do Aldaru. Jeszcze tej nocy, choć nie wiem jeszcze dokładnie kiedy.

Wróciwszy do gabinetu, pochyliliśmy się z Serafine nad mapami.

– Jeśli wróg wybierze najkrótszą drogę, czy wiadomo z map, która to będzie?

– Po to je sporządzono – odparła Serafine i przejechała palcem wzdłuż linii. – Tędy. Tu jest Żelazna Przełęcz. Wydobywana w Rangorze ruda żelaza dociera przez nią do Aldaru, skąd statkami wysyła się ją na cały świat, także do Askiru. Przełęcz pokonują nawet ciężkie wozy, więc dla wrogiego legionu nie będzie stanowić przeszkody.

– Przydałaby się w tym miejscu forteca – zauważyłem, ale ona pokręciła głową.

– Nie mogę ci jej dać, Havaldzie, ale tutaj są zaznaczone dwie stacje. Patrz, panują nad wąwozem, do którego schodzi przełęcz.

Nachyliłem się nad mapą.

– Te gęste linie tutaj? Myślałem, że oznaczają wysokość.

– To wąwóz między tymi dwoma wzgórzami.

Powiodłem wzrokiem wzdłuż linii do przełęczy.

– Serafine, czy ja dobrze rozumiem? Przełęcz przechodzi w ten wąwóz, i przez cały ten długi odcinek nie da się z niego wyjść? Ile to mil?

– Pięć, sześć.

Wyprostowałem się.

– Dowódca legionu nie wybierze tej drogi. Pokaż mi inną.

– Przez Przełęcz Tkaczy? Jest o dwa dni dłuższa.

– Tak. Ale żaden oficer nie będzie tak głupi, żeby poprowadzić swoje oddziały przez taki wąwóz! Po to stoją tu te dwie stacje. Nie potrzeba fortecy. Parę lanc kuszników na górze i cały wrogi legion zostanie wytrzebiony.

– Macie rację, ser generale – wtrącił się Stofisk, wstając od biurka i podchodząc do mapy. – Ale cały ten obszar leży po stronie Rangoru.

– I...? – zawiesiłem głos.

– Nie możemy posłać tam wojsk, to jest zapisane w traktacie. Jeśli rzeczywiście wkroczy tam obcy legion, wówczas generał wroga...

– Dowódca wojsk. Mówi się dowódca.

– Dobrze. Dowódca wojsk będzie wiedział, że ta droga jest wolna. Jak ten legion w ogóle się tam dostał?

– Wygląda na to, że Rangor dogadał się z cesarzem nekromantą. Legion maszeruje bez przeszkód przez kraj, nie plądruje, kupuje nawet żywność od chłopów.

– Układ z Rangorem? – spytał porucznik. – Chcecie powiedzieć, że Rangor zdradził sojusz? Ceny żelaza i stali pójdą mocno w górę!

– Poruczniku – powiedziałem chłodno. – Jeśli powiecie komukolwiek choć słowo na ten temat, osobiście zaszyję wam usta! Wydaje mi się, że wasi rodzice mają wystarczająco dużo złota, by się nie przejmować, że przechodzi im koło nosa taki interes.

– Oczywiście, generale – pospieszył z zapewnieniem. – Potrafię milczeć jak grób, tylko głośno myślałem. Ale widzicie, jeśli rzeczywiście tak jest i ów legion jest w dodatku zaopatrywany przez Rangor, to ten generał... ten dowódca wie, że tam nie ma żadnych wojsk. Przynajmniej nie wojsk Rangoru. A wszystkie inne oddziały, jakie mamy, są za daleko, żeby dotrzeć do tych stanic. O ile one w ogóle jeszcze stoją.

– Nie muszą nawet mieć dachów – rzuciłem zamyślony. – Potrzebujemy murów, a te na pewno jeszcze stoją.

Wyjąłem z kieszeni kurtki książkę portali i sprawdziłem ciągi liczb.

– Potrzebuję długości, szerokości i wysokości tej stanic – zwróciłem się do Serafine. – Gdzie je znaleźć?

– Chyba chodzi ci o kwadrant i wysokość terenu – skorygowała i przejechała palcem po skraju mapy, a potem z powrotem do symbolu. – Spróbuj z tym: dwa-trzy-jeden-cztery-dziewięć-dwa i jeden-siedem-dwa-jeden.

Przekartkowałem książkę i z rozczarowaniem pokręciłem głową.

– Mam tu tylko dwa-dwa-dziewięć, cztery-dziewięć-trzy i jeden-sześć-dziewięć-dziewięć. Psiakrew, to by było zbyt piękne!

– Havaldzie – powiedziała Serafine, uśmiechając się pod nosem. – Spójrz. – Przesunęła palec kawałek dalej. – Te dwie stanicie tutaj. Jedna z nich ma portal.

– Magiczny portal? Podobno takie istnieją? – zaciekał się Stofisk.

Popatrzyłem na niego groźnie.

– Wszyscy o tym mówią... Szczególnie że teraz już nie trzeba tak daleko maszerować! – Wzruszył ramionami. – Jesteśmy w Askirze, ser generale. Tutaj tajemnice sprzedaje się razem z piwem! Nie przejmujcie się. Ze stu tajemnic, o których ludzie gadają, zwykle nawet jedna nie jest prawdziwa!

– Niektóre są, ale wszystko, o czym tu usłyszycie, podlega temu samemu ostrzeżeniu, co przed chwilą. – Położyłem palec na ustach i wykonałem jednoznaczny gest.

Pokiwał skwapliwie głową.

– Nigdy nie lubiłem prac krawieckich.

– Dobrze. Nie zapomnijcie o tym.

– Chcesz wysłać przez portal Trzeci Legion – stwierdziła Serafine.

– Taki mniej więcej jest plan – potwierdziłem. – Jeśli wróg znajdzie się w wąwozie, a nasi kusznicy na wzgórzu, wystarczy jedna zwalona skała, żeby ich w nim zamknąć, a wtedy nie będzie miało znaczenia, ilu żołnierzy ma wróg.

– Czy porucznik nie powiedział przed chwilą, że traktat tego zakazuje?

– Słyszałem od Kasale, że teren wokół stanic nadal należy do Askiru.

– Być może. Ale jeśli zaatakujemy tam wroga, na pewno złamiemy traktat.

Popatrzyłem na upakowane wąsko linie, które miały być wąwozem.

– Ja to widzę tak. Król Rangor nie powiedział, że legion ciągnie przez jego kraj, za to my nie powiemy, że pogrzebaliśmy tam wrogich legionistów. – Popatrzyłem na nią. – Nie sądzę, żeby traktat przewidywał przemilczanie obecności obcych legionów.

Może nawet Rangor oddał nam w ten sposób przysługę.

– A co, jeśli wróg obierze dłuższą drogę? – spytała Serafine. – Przez Przełęcz Tkaczy?

Powędrowałem wzrokiem za jej palcem do Aldaru: żadnych pasujących wąwozów czy jarów, tylko jeden most nad rzeką. Za mało.

– Wtedy będziemy musieli walczyć z legionem u murów Aldaru. Zresztą powiedziałem już, że nie pójdzie przez wąwóz. Nie może być taki głupi. Ale jeśli tak...

– Nie – orzekł zdecydowanie komendant. – Nie złamiemy traktatu pierwsi. – Stał jak zawsze przy oknie i w spokoju wysłuchiwał moich wywodów.

– Jeśli tego nie zrobimy, możliwe, że stracimy Aldar – odpowiedziałem tak spokojnie, jak tylko umiałem.

Odwrócił się.

– Wiem, czemu chcecie i być może nawet musicie złamać reguły. – Popatrzył mi w oczy. – Podam wam dwa powody, dla których nie powinniśmy tego robić. Po pierwsze, gdyby nam coś zarzucano, obciążałoby to wasz plan. Wystarczy, że na Radzie Koronnej podniosą się w górę ręce, a nie chcę, żeby nimi na nas wskazywano. Po drugie... może i tak już jest za późno, a straciliśmy Aldar. Dopóki nie wiemy, czy księżę Tamin, diuk albo baronetta Levin jeszcze żyją i stoją po stronie Askiru, nie wyślemy tam żadnych legionów.

– Ależ, ser! – zacząłem. – Uważam...

– Generale – przerwał mi zmęczonym tonem. – Przekonaliście mnie do swojego planu, *jeśli* wydarzenia potoczą się tak, jak się obawiacie. Wzmogliśmy pobór i próbujemy powoływać nawet weteranów. Przeczesujemy zbrojownie w poszukiwaniu

rzeczy, których potrzebujecie. Wszystko to na wypadek, gdyby miało się wydarzyć to, czego się obawiacie. Ale dopóki to nie nastąpi, trzymamy się cesarskiego prawa. – Chciałem znowu coś powiedzieć, ale uniósł dłoń i popatrzył na mnie chłodno. – Uwierzcie mi, nie podejmuję tej decyzji lekkomyślnie, jestem jak najbardziej świadom jej kosztów. Legiony pomaszerują tylko tam, gdzie im wolno. Jeśli nie będziemy się tego trzymać, zniszczycie fundamenty waszego własnego planu. – Spojrzał mi w oczy. – Nie chodzi o to, by tylko wydawać rozkazy, von Thurgau. Czasami trzeba ich również słuchać. Może i macie rację, a ja jestem tylko zarządcą, który nie ma pojęcia o wojnie. Ale tutaj musicie się ugiąć. Udajcie się do Aldaru, dowiedzcie się, co tam się dzieje, i przywieźcie tu księcia Tamina żywego. Potem... potem zobaczymy, co dalej.

– Tak, ser komendancie! – powiedziałem, zasalutowałem i obróciłem się na obcasie.

– Jest uparty – burknąłem, wchodząc do kwatery.

– Albo ty jesteś – rzuciła na powitanie Zokora. Siedziała na moim łóżku i czytała książkę, podczas gdy na podłodze obok niej Varosch przebierał bełty.

– Niech błogosławieństwo bogów będzie z wami – przywitał nas adept Borona z uśmiechem.

– Co wy tu robicie? – spytałem trochę opryskliwie.

– Słyszeliśmy, że chcecie udać się do Aldaru. Podobno walą tam w bębny, które mają uciszyć zamek. Varosch uważa, że nie można was tam puścić samego. Zgadzam się z nim, więc my też idziemy.

– Ach – rzuciłem i spojrzałem na Varoscha. – Ty też jesteś za tym?

– Teraz już tak – potwierdził.

– Myślałem, że nie możesz kłamać.

– Prawda, Havaldzie, to szerokie pole – oznajmił z uśmiechem.

– Istnieje pewien rytuał Omagora, w którym kapłan uderza w bębny dusz – wyjaśniła Zokora i zamknęła książkę. – To jeden z jego potężniejszych rytuałów, wprowadza ofiary w rodzaj szaleńczego płąsu. Każe im tańczyć tak długo, aż umierają, a ich dusze zostają złożone w ofierze Omagorowi. Zaczyna się i kończy o zmierzchu i rzadko trwa dłużej niż dwie noce. Nie mamy zatem za dużo czasu.

Westchnąłem.

– Chcę tylko założyć zbroję i możemy ruszać.

– Dobrze – powiedziała Zokora i wstała. – W takim razie pójdziemy pierwsi i zaczekamy na ciebie przy portalu. Chcę jeszcze omówić z Sową jedną rzecz.

Tak jak przypuszczała Serafine, zbroja, którą Kasale dała mi jakiś czas temu, była tego samego rodzaju, jaką nosił niegdyś klan Smoka. Była lekka, wygodna i pasowała.

Kasale miała dobre oko albo ktoś zdradził jej moje wymiary. Ale jedna rzecz mi się nie podobała. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby wypolerować ją tak, by błyszczała jak lustro. Serafine zachichotała, kiedy mnie w niej zobaczyła, podobnie jak Leandra, która przysłała, żeby życzyć nam powodzenia w podróży.

– Wyglądasz jak promienny bohater legend – stwierdziła i wychyliła się do przodu, żeby cmoknąć mnie w policzek. – Jesteś pewien, że nie powinnam iść z wami?

– Jesteś potrzebna tutaj. Nie wiemy jeszcze, ile to potrwa, a ty będziesz musiała wkrótce przeprowadzić egzekucję tego nekromanty – przypomniałem jej. Skrzywiła się.

– Wolałabym nie musieć tego robić.

– Więc każ zrobić to komuś innemu i tylko odczytaj wyrok – poradziłem. – Udało ci się skontaktować z elfami? Przyprowadzą ci na czas Kamienną Chmurę?

– Wiadomość została wysłana, ale nie wiem, czy to zrobią. W razie czego Stofisk będzie musiał z tego zrezygnować... może masz rację i powinnam tylko stać tam i ogłosić wyrok. To i tak będzie przesładować mnie w snach. Joakina, który ma zostać stracony, chcą napełnić płynnym ołowiem, bo jest trucicielem. Nigdy nie przepadałam za egzekucjami, a ta zapowiada się na ludowy festyn.

– Wszystkie koronowane głowy mają wziąć w niej udział, żeby okazać respekt prawu Askiru. To dotyczy i ciebie.

– A jednak... – Westchnęła. – Żałuję, że nie można tego pominąć.

Rozumiałem ją.

– Porucznik chyba wie, co robi – stwierdziła Serafine. – Atmosfera już się zmieniła, teraz to wy oboje jesteście bohaterami.

– Bohaterowie mają jeden minus – rzekła półgłosem Leandra. – Zazwyczaj nie mogą sami opowiedzieć swojej historii.

– Do twarzy wam w tej zbroi – stwierdził z uśmiechem Santer, kiedy wyszliśmy z cytadeli. Orikes powiadomił Desinę i już czekała przy portalu w piwnicy jej domu. Santer chciał nas odprowadzić, ponieważ potem miał wybrać się razem z nią do twierdzy we Wschodnich Rubieżach. – Wyglądacie tak olśniewająco.

– Wolałabym, żeby była czarna jak zbroja Zokory albo przynajmniej ciemna jak wasza – burknąłem. Dochodził siódmy dzwon. Jeśli Zokora miała rację i w Aldarze odprawiano czarny rytuał, to może jeszcze zdążymy na czas.

– Ale na słońcu byście się w niej ugotowali – odparł Santer. – Coś o tym wiem.

– Patrz, Havaldzie – rzuciła Serafine i wskazała na lewo, gdzie przy domu, w którym zastawiono na nas zasadzkę, ustawiono rusztowanie. – Już go odbudowują.

Santer popatrzył na nas pytająco, a my opowiedzieliśmy mu o incydencie.

– Miały miejsce jeszcze dwa zamachy tego rodzaju – powiedział. – W tym jeden na Sowę... co tylko dowodzi, jak bardzo nie doceniają Desiny. Drugi na pułkownika Piątego Legionu, który o mało nie zginął. Leży w lazarecie i walczy o życie. – Wskazał na ulicę, gdzie nieopodal patrolował tenet Byków. – To nas zmusza do wzmocnienia patroli, nigdzie nie można już czuć się bezpiecznie. W każdym zamachu zginęli cywile, co wzbudza niepokój wśród ludności. To, co nam szkodzi, służy wrogowi.

– To brudny sposób prowadzenia wojny – powiedziałem, a Santer skinął głową z namysłem.

– Nigdy nie będzie inaczej.

ŁASKA ASTARTE

Spalony dom był teraz odmieniony. Stacjonował w nim tenet Byków, postawiono tam nawet budkę strażniczą. Poza tym w starych murach nocą widać było światła i słycać głosy, a także robotników wynoszących na zewnątrz gruz, który ładowano na wózki. Usypano rampę i zrobiono wyłom w ścianie piwnicy, dzięki czemu nie trzeba było pokonywać schodów; portal był teraz niemal całkowicie otwarty. Za to wzniesiono wały ochronne; przy drugim ustawiono nawet lekkie arbalety. Najwyraźniej nie życzo no sobie nieproszonych gości.

– Przez portal dom stał się ważnym miejscem – rzekł Santer, kiedy schodziliśmy do piwnicy. Na dole zastaliśmy Desinę zajętą rozmową z mroczną elfką, obie w pierwszej chwili nas zignorowały. Tylko Varosch pozdrowił nas zamyślonym skinieniem głowy. Był w pełnym rynsztunku, wyposażony w ulubioną kuszę i trzy kołczany bełtów w ciężkiej sakwie. Jako strzelec wyborowy nie miał sobie równych i byłem rad, mając przy sobie jego i Zokorę.

– Rozmawialiśmy o bogach – powiedziała w końcu Desina. – Jej wiedza o Solante jest nader interesująca. Wiedzieliście, że to imię oznacza także „przed światłem”?

– Nie – odpowiedział Santer. – Nie wiedziałem.

– No cóż, w tej chwili to może nie jest najważniejsze – przyznała. Zmierzyła wzrokiem Serafine i mnie. – Jesteście gotowi? W starej kuźni przy placu Arsenалу miała miejsce kradzież, być może skradziono pewne magiczne urządzenie. Santer i ja chcemy zbadać sprawę. Zważywszy, że jeszcze dzisiaj chcemy wyruszyć do Wschodnich Rubieży, nie mamy zbyt wiele czasu.

– Skoro Haval d już jest, możemy ruszać – oświadczyła Zokora. Otworzyłem usta, ale miała przecież rację. Czemu mielibyśmy zwlekać?

– No dobrze – rzuciła Desina. – Gotowi?

– Myślę, że tak.

Przekroczyliśmy próg i ustawiliśmy się wewnątrz złotego wzoru. Desina wyłożyła już kamienie, ostatni trzymała w dłoni.

– Dokąd nas wysyłacie? – spytałem bardziej z ciekawości. Desina uklękła przy ośmiokącie i przygotowała się do upuszczenia kamienia.

– Prosto do zbrojowni w bazie marynarki w Aldarze – powiedziała z uśmiechem. – Tam powinniście być bezpieczni.

– Bogowie! Nie! – zdążyłem jeszcze zawołać, ale było za późno...

Przejścia przez magiczny portal zwykle się niemal nie odczuwało, lecz tym razem było inaczej. Naszymi zmysłami wstrząsnął głuchy, przytłaczający grzmot. Z nosa pociekła mi krew, a oczy o mało nie pękły. Zobaczyłem kolorowe światła, a potem niebieski blask, który nas otoczył. Grzmot wprawił w drżenie podłogę, niebieskie i oślepiająco białe błyskawice pląsały boleśnie na mojej skórze i biegały po stopionych ścianach.

Potężna pięść rozdzieliła nas i docisnęła brutalnie do ściany, nieomal żarzącej się pod moimi dłońmi.

Fala uderzeniowa powaliła obłóczony w niebieską szatę szkielet na ziemię; rozpadł się na kawałki u naszych stóp. Inny – na wpół wyschnięte ścięgna, nadpalone kości – obrócił głowę i popatrzył na nas w górę jarzącymi się oczami. Koścista dłoń wyrwała na poły stopiony miecz z własnej spalonej piersi i odrzuciła, jakby parzył. Istota uczyniła gest ręką. Usłyszałem nasze własne krzyki, gdy potwór jął z nas coś wyciągać, a jego niemal spopielałe tkanki się odnawiać. Jedyne, co czułem, to mroczny strach i potworną słabość, która docisnęła mnie do podłogi.

– Ha! – zawołała kobieta w poszarpanej czarnej szacie. Jej siwe włosy odzyskiwały kolor, a dziura w policzku zasklepiła się. – Wiedziałam! Wiedziałam, że w końcu przyjdzie jakiś idiota i... no nie! – Zawirowała wokół własnej osi. W rękę trzymała bełt wystrzelony przez Varoscha. – Nie pójdzie wam tak łatwo! – Rozwarła nagle oczy.

– Teraz już tak – wydyszała Zokora i opuściła dmuchawkę. – Rób coś, Havald!

Słabość rozlewała się po mnie coraz bardziej, ale oszołomienie powoli ustępowało. Zmusiłem rękę, by opadła do boku. Rozpruwacz pożądlawie wskoczył mi w dłoń... Ale kobieta stała za daleko. Powoli podnosiła rękę do strzałki tkwiącej w jej karku. Varosch daremnie próbował naciągnąć na nowo kuszę. Brakowało mu siły, miałem wrażenie, że starzał się z każdym mgnieniem oka.

Byłem zbyt słaby, żeby choć poczołgać się na czworakach, zrobiłem więc jedyną rzecz, jaka mi pozostała: padłem przed siebie, na kości Sowy, która od wielu lat więziła tu tę przekłątą. Rozpruwacz Dusz wyrwał wraz ze mną do przodu i prawie dotknął nieświętej czubkiem.

Prawie.

– Bogowie – wydyszała wściekła Zokora. – I ty się masz za niepokonanego?

Nekromantka dosięgła palcami strzałki i wymierzyła we mnie swe niebieskie, przepelnione nienawiścią oczy...

– Dawca Łaski – wykrzyknęła Serafine zduszonym głosem. Spojrzałem na nią. Leżała niedaleko mnie, z twarzą wykrzywioną strachem i bólem, z dłonią wyciągniętą

po na wpół stopiony miecz martwej Sowy. – Miecz... to jest Łaska Astarte! – wyszeptała.

Nie mogła dosięgnąć miecza, ale ja tak. Przypomniałem sobie, co podczas naszego pobytu w Aldarze widziałem przez małe okienko w drzwiach: Sowę próbującą zatopić miecz w piersi przeklętej, która broniła się przed tym rozpaczliwie.

Chwyciłem nadtopiony miecz, smuklejszy, lżejszy i młodszy od mojego, z rękojeścią z czarnego żelaza przetykanego pasmami złota. Na jego głowicy widniał znak miłości, dawny symbol Astarte.

Ledwie go dotknąłem, słabość ustąpiła. Przeklęta wyciągnęła strzałkę, ale trucizna Zokory nadal działała. Niebieskie oczy powoli się rozszerzały, kiedy kipiąc gniewem, wstałem i wbiłem miecz w jej mroczne serce.

Ostrze Spójni po raz pierwszy zawiodło. Kiedy wwierałem stare żelazo w pierś przeklętej, ostrze topiło się w moich dłoniach jak kapiący wosk. Z niedowierzaniem patrzyłem na wściekły triumf malujący się na obliczu nekromantki. Jak to możliwe, by ta przeklęta oparła się nawet boskiej stali? Czy jej bezbożne zdolności nie znały żadnych granic?

To dlatego Sowa się poświęciła, związała potwora magią, to dlatego Ostrze Spójni było na wpół stopione! Czyżby ofiara Sowy była daremna? Zalał mnie palący gniew i chwyciłem miecz mocniej.

Stal rozżarzyła się i jęła sypać iskrami, jak wykuwana na kowadle, niebieskie błyskawice przebiegły po mnie, po przeklętej i po mieczu Astarte. Klinga wiedziała, czym jest i być powinna, znała swoje zadanie i walczyła z przekleństwem słabiej niż ja sam. Na moich oczach zaczęła kształtować się na nowo. To, co przed chwilą było jeszcze nadtopione i wygięte, błyszczało teraz niebieskim światłem. Żar przygasł, ostrze świeciło blado. Naprostowało się, na powierzchni pojawiły się stare runy, tworzące litera po literze imię miecza: *Jestem mową Astarte, zwą mnie Łaską Bogini.*

Wątpię, czy przeklęta odczuła to jako łaskę. Kiedy żarzenie ustąpiło chłodnemu blaskowi i na ostrzu zabłysła ostatnia runa, udzieliła mi się ponura satysfakcja miecza. Ostrze szarpnęło do przodu. Z niedowierzaniem i rosnącym przerażeniem śledziłem, jak nekromantka drgnęła w konwulsjach. Otworzyła usta do krzyku... ale było dla niej za późno.

Miecz uwolnił tuziny, nie, setki dusz. Stałem z otwartymi ustami, osłupiały i przepełniony atencją.

Nekromantkę przeszył blask, wyglądało, jakby rozświetlał ją od środka. Krzyk przeszedł w niebieską poświatę, wydobywającą się z jej rozwartych ust, uwolnione dusze wirowały wokół niej w kipieli, która zdawała się ją rozrywać. Dopiero gdy

przeklęta całkowicie rozsypała się w błyszczący niebieskawy pył, dusze oderwały się od niej i wystrzeliły w górę ku osmalonemu sklepieniu komory.

Dyszając ciężko, ukląknęłam obok niej, nadal opierając się o Łaskę.

– Bogowie – wyszeptała Serafine. – Co tu się wydarzyło?

Powiedziałbym jej, gdybym wiedział, sam nie rozumiałem jeszcze, co tu zaszło. Spuściłem wzrok na miecz, leżący w mojej dłoni, zimny, ostygły, jakby nigdy nie był zniszczony.

– Myślę, że wykuła się sama na nowo – odpowiedziałem chrapliwie i przełknąłem grudę w gardle.

– Ona? – spytał Varosch, podczas gdy Zokora z namysłem przyglądała mi się swoimi czarnymi oczami.

Rękę zdjęto mi nagłe mrowienie, jakby przeszedł ją prąd. Klnąc, upuściłem miecz. Upadł z brzękiem na ziemię i zatrzymał się u stóp Serafine. I tyle, jeśli chodzi o wdzięczność, pomyślałem. Musiałem się siłą powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem jak szaleniec. Spojrzałem na swoje ręce, jeszcze przed chwilą miałem wrażenie, że gorąca stal przepala mi je na węgiel, teraz zobaczyłem tylko spory pęcherz na lewej dłoni.

Kiedy Serafine jak we śnie, z wyrazem niedowierzania w oczach, wyciągnęła rękę, Łaska poderwała się i ułożyła w jej dłoni. Lekki blask przebiegł po stali, a potem niebieska poświata zgasła i w pomieszczeniu zapadła ciemność.

Ale tylko na chwilę, bo nad naszymi głowami zaraz zapaliła się nieduża kula: światełko Zokory, które tym razem ledwie się tliło. W drobnym pyłe, który został po nieświętej, leżała mała, czarna płytką, pękniętą na dwoje. Na moich oczach rozsypała się do reszty.

– To dopiero niespodzianka – orzekła Zokora i oparła się wycieńczona o stopioną skałę. Spojrzała na Serafine i pokręciła z niedowierzaniem głową. – Bogowie naprawdę muszą być po naszej stronie. Ostrze Spójni, w samą porę, kiedy go potrzeba!

– Skąd wiedziałeś? – spytał mnie Varosch, dysząc ciężko. Z wysiłkiem naciągnął kuszę. Byłem rad widzieć, że zewnętrzne oznaki słabości już go opuściły: był młody jak przedtem. – Chciałeś powstrzymać Desinę przed upuszczeniem ostatniego kamienia. Dlaczego?

– Serafine i ja już odkryliśmy ten portal – wyjaśniłem. Otarłem krew i pył z twarzy, wyciągnąłem rękę i Rozpruwacz wyrwał się ku mnie. Wskazałem na okienko z grubego kwarcu, ledwie widoczne w świetle Zokory. – Przez to okienko widzieliśmy walkę ich dwóch. – Ostrożnie odszedłem na bok, starając się nie miażdżyć kości Sowy. – Sowa trzymała przeklętą w tym portalu i nie dostrzegałem już w niej ani życia, ani woli.

– Aż do naszego przyjscia – dodała Serafine, z wyrazem zdumienia na twarzy studiując miecz. – Musiała zniszczyć linie portalu, żeby udaremnić przeklętej ucieczkę. Widzę ją, tę Sowę, miecz opowiada mi o niej. Na imię było jej Anis, miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy dosięgnął ją jej los.

– Wszyscy możemy być jej wdzięczni – zaskrzeczałem i wziąłem łyk wody z manierki. – Widzieliście, jak długo to trwało? Bogowie, ależ była potężna ta przeklęta!

– Zauważyłam – potwierdziła Zokora i znowu posłała mi to dziwne, badawcze spojrzenie.

– Desina będzie chciała się o niej dowiedzieć – powiedział cicho Varosch.

Spojrzałem na brązowe kości. Sowa za życia była drobną osobką. Co ją skłoniło, by tak się poświęcić i skazać na wieki potępienia? Wiara, powinność, miłość i nadzieja. Nie potrafiłem powiedzieć, skąd przyszła ta myśl, ale to właśnie one pozwalały ludziom dokonywać wielkich czynów. Brakowało jednego z tych elementów, czegoś było za mało. Ostrożnie zebrałem kości w kupkę i przykryłem je szatą. W miejscach, gdzie tkanina nie była spalona ani nadtopiona, zdumiewająco dobrze przetrwała czas.

– Otrzyma świątynną celebrę – obwieściła Serafine ochryple. – Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w tym życiu.

– Tak trzeba zrobić – odezwał się Varosch. Wstał już, podszedł do drzwi, które od środka były wyłożone kamieniem, częściowo popękany, częściowo nadtopionym, odsłaniającym stalową przegrodę. – Soltar przyjmie ją łaskawie... ale najpierw musimy się stąd wydostać. – Spojrzał na mnie. – Czy te drzwi są zaryglowane, czy tylko wypaczone?

– Zaryglowane. Ciężkimi zasuwami, których nie wyłamiemy.

Rozejrzałem się wokół. Wzór pod naszymi stopami był zniszczony dwiema głębokimi szczerbami. Przez ten portal już nie wrócimy. Za to leżały tu jeszcze kamienie wrót. Zapamiętałem kombinację i zebrałem wszystkie kamienie, z wyjątkiem jednego, pękniętego.

– Może Rozpruwacz Dusz mógłby pomóc – oznajmiłem i ponownie dobyłem miecza. – Jest na tyle ostry, by przecinać stalowe zbroje.

– Zbroje może tak – odpowiedział Varosch – ale ta stal jest gruba na szerokość dłoni.

Mimo to przyłożyłem Rozpruwacza w miejscu, gdzie musiały być zasuwki. Ostrze wnikało powoli i sprawiało wrażenie niemal obrażonego, że używam go do takich rzeczy.

– Zdaje się, że działa – stwierdził Varosch.

– Tak – odparłem, dysząc ciężko. – Ale trochę to potrwa, a z jakiegoś powodu znowu jest mi słabo. To nie mroczna moc przeklętej, coś innego sprawia, że tracę siły.

– To powietrze – orzekła stłumionym głosem Zokora, zasłaniając twarz rękawem. – Jest stare i zużyte. Nie podoba mi się, co tu wdychamy, powietrze jest pełne prochów zmarłych.

– Och – powiedziałem i od razu kichnąłem. Mogła sobie darować te słowa.

Coś od zewnątrz uderzyło w drzwi z głośnym hukiem. Cofnąłem się, Rozpruwacz o mało mnie nie zaciął. Za okienkiem widać było światło i czyjaś niewyraźną twarz. Rozległy się kolejne uderzenia młotem. Mimo to upłynęło trochę czasu, zanim drzwi zgrzytnęły w zawiasach i do środka wpadło świeże powietrze.

39

O SĄDZIE BOGÓW

– Wcale się nie dziwię, że to wy – burknął zbrojmistrz i ze zmarszczonym czołem utkwiał spojrzenie w regale w przedsionku. Był przewrócony, a na podłodze wałały się tuziny hełmów. – Uderzenie wstrząsnęło całą zbrojownią i zrzuciło mnie z posłania. Ze strachu o mało nie umarłem, zanim odważyłem się tutaj zajrzeć. I was rozpoznałem.

Przez uchylone drzwi ostrożnie zerknął do komnaty wrót i skinął głową z zadowoleniem.

– Przynajmniej wyzwoliliście tego Sowę, kimkolwiek ten nieszczęśnik był.

– Miała na imię Anis – powiedziała Serafine. – Moglibyście złożyć jej kości w jakiejś porządnej skrzynce?

– Tak, i zrobię to z należytą czcią – zapewnił sierżant miecza i ciekawie obrzucił spojrzeniem Varoscha i Zokorę, po czym zwrócił się do mnie i uniósł brew.

– Ładna zbroja – stwierdził. – Choć trochę się zakurzyła. Wypolerować ją wam raz-dwa?

– Nie – burknąłem.

– To nie zajmie długo. Wyglądacie wszyscy, jakby przebiegł po was mors.

– Mors nie ma nóg, w związku z czym nie biega – oświeciła go Zokora. – Zagradzasz mi drogę.

Nad zbrojownią leżała kwatera, którą przez krótki czas zajmowałem kilka tygodni wcześniej, ale nie poszliśmy do niej. Obok magazynu znajdowała się pompownia, w której mogliśmy zmyć z siebie kurz, krew i brud, ciągle napełniając nowe wiadra. Dowiedzieliśmy się, że czysta woda stała się rzadkością, dlatego poproszono nas, żebyśmy oszczędnie się z nią obchodzili.

Serafine skorzystała z okazji, żeby poszukać w zbrojowni odpowiedniej pochwy dla Łaski Astarte. Stara była spalona i rozpadła jej się w rękach.

– Miecz mnie wezwał w chwili naszego przybycia – opowiadała, szcztokując sobie włosy. – Początkowo nie rozumiałam, co słyszę. – Uśmiechnęła się. – Zaczynam pojmować, jak różne są te miecze. Ona chyba zachowała coś po swoich nosicielkach i sprawia wrażenie bardzo żywotnej, rozbrykanej, niemal dziecinnej.

Nie wtedy, gdy przeprowadzała egzekucję na przeklętej, pomyślałem. Wtedy nie dało się wyczuć ani śladu łaski, tylko ponurą determinację. Przynajmniej wiedziałem już, co się rozumie pod pojęciem świętego gniewu.

– Ostrze Spójni o pogodnym usposobieniu? – zauważył Varosch z uśmiechem. – I dobrze, jak dla mnie świat i tak jest zbyt ponury. Jakie są jej właściwości?

– Jeszcze nie wiem – odparła Serafine i położyła dłoń na Łasce Astarte. – Ochrona i wewnętrzna siła, rzekłabym. I jeszcze to, co mówi jej imię. Łaska.

– Ale nie dla przeklętych – uzupełniła Zokora, która wyglądała już, jakby w ogóle nie było tej walki. Tylko popękane naczynka w jej oczach wskazywały na stoczony bój.

– Nie, dla nich nie – potwierdziła Serafine. – Dla nich Astarte nie zna łaski.

– Ma jeszcze jedną właściwość – dorzuciłem, wkładając świeżą koszulę. – Gryzie swojego nosiciela.

– Poskarżyła mi się, że to nie ja ją prowadziłam. Jest przeznaczona dla kobiety... co nie powinno dziwić, wzięwszy pod uwagę, komu jest poświęcona. Wręcz dziwne, że dopuściła, abyś to ty ją poprowadził!

– Miała niewielki wybór.

– Owszem, miała. Teraz znowu na mnie złorzeczy!

– Czemu? – zdziwiłem się.

– O ile ją dobrze rozumiem, to zarzuca mi brak niewinności... i nie chce mi służyć. – Westchnęła. – Oddam ją wraz ze szczątkami Sowy w świątyni Astarte, niech znajdą jakąś dziewicę, gotową do poprowadzenia Łaski na wojnę!

– Dziewicę? – Pokręciłem głową osłupiały.

– Tak – odpowiedziała Serafine z westchnieniem. – Jest bardzo zasadnicza.

– Wszystko pięknie – powiedziałem, biorąc do ręki swoją sakwę. – Ale przyszliśmy tu po coś innego.

– Jestem pewna, że major lancy Wendis ucieszy się na twój widok – odparła Serafine.

– Tak. Na pewno. Niewątpliwie tęsknił za mną jak za spróchniałym zębem.

Kiedy ruszyliśmy, zadałem sobie pytanie, czy to rzeczywiście był przypadek, że zapomnieliśmy powiedzieć Desinie o tym zniszczonym portalu, czy może Łaska Astarte czekała na nas, abyśmy zanieśli ją do świątyni. Po Ostrzu Spójni spodziewałem się wszystkiego.

We wnętrzu zbrojowni widać było niewiele śladów katastrofy. Unosił się zapach wilgoci i stęchlizny, tu i ówdzie były podtopione miejsca, ale stabilne i dobrze wykonane mury dały odpór wodzie. Jednak kiedy opuściliśmy budynek, naszym oczom ukazał się pełen obraz zniszczenia. Zaledwie cztery kroki od wejścia sterczał w niebo taran statku mieczowego, który zakleszczył się z innym okrętem i roztrzaskał.

Z baraku, w którym zakoszarowana była lanca Blixa, pozostały jedynie fundamenty, inne budynki również ucierpiały albo zostały zniszczone, tylko dawne cesarskie budowle były niemal nietknięte.

Komendantura jeszcze stała, bramy zostały wgięte, ale mury wytrzymały. Roztrzaskana łódź myśliwska leżała pod jednym z murów jak rzucona przez olbrzyma. Wszędzie widniały ślady katastrofy, choć Węże Morskie krzątały się przy ich usuwaniu nawet nocą.

Port przedstawiał straszny widok. Statki, zepchnięte na siebie i zaklinowane, poszły pod wodę, ich maszty zostały połamane jak drewnianka na rozpałkę. Mur portowy też wyglądał jakoś inaczej, dopiero po chwili zauważyłem, że wystaje nad nim brama, jakby ktoś próbował ją jeszcze zasunąć. Nie udało się to i fala powodziowa wdarła się do basenu portowego.

Wzdrygnąłem się na myśl, co woda musiała wyrządzić w Janasie; Wyspy Ogniste były oddalone nie więcej niż sześćdziesiąt mil od portowego miasta.

Na lądzie wyglądało to jeszcze gorzej niż w zrujnowanym porcie. Po drugiej stronie basenu portowego, naprzeciwko bazy marynarki, stały domy szachulcowe, w których w większości mieściły się spelunki i knajpy, pomiędzy nimi parę spichlerzy. Tylko pojedyncze z nich jeszcze stały, a żaden nie był nieuszkodzony. Większość przewracała się jak domki z kart.

W powietrzu unosił się gryzący zapach. Łatwo było znaleźć jego źródło: po drugiej stronie portu widać było wielki stos. Wyjąłem z kieszeni lunetę, spojrzałem przez nią i zobaczyłem, jak dwóch mężczyzn z twarzami zakrytymi chustami rzuca w ogień spuchnięte zwłoki.

Tu i tam w ruinach coś się ruszało. Widziałem kogoś, kto rozbijał siekierą jakąś skrzynkę, nieopodal dwie kobiety biły się o coś, czego nie potrafiłem zidentyfikować. Kiedy byłem tu przed wyruszeniem na Wyspy Ogniste, Aldar w nocy był jasno oświetlonym miastem. Wszędzie płonęły latarnie i pochodnie, teraz niemal wszędzie panowały ciemności.

Za to nie widziałem żadnych gwardzistów, którzy poprzednim razem żelazną ręką utrzymywali porządek, choć poza tym, że plądrowano ruiny, nie widać było zamieszek. Nad miastem unosiła się różowa luna, co oznaczało pożary. Żaden dzwon pożarowy jednak nie dzwonił, a bramy i wały były pogrążone w mroku.

W bazie stał na kotwicy jeden statek mieczowy, który wyglądał na nietknięty. Był to „Meteus”, który uratował moją „Lancę”. Sprawiał wrażenie zdolnego do rejsu, lecz żeby wypłynąć w morze, trzeba było wydobyć wrak innego okrętu, zatopionego przed jego dziobem.

Zasadniczo zapewne było to możliwe, ale w tej chwili widoki na bezpieczne wywiezienie księcia Tamina były znikome.

Gdzieś wysoko rozległ się skrzek. Zadarłem głowę. W nocy wrony było trudno rozpoznać, ale było ich mnóstwo, sprzeczały się o łupy z mewami. Ale od kiedy to latały w nocy?

Popatrzyłem za chmarą ptaków, potem złożyłem lunetę i udaliśmy się do majora Wendisa.

Wały, które oddzielały bazę od reszty miasta, miały dwie niskie wieżyczki z blankami dla kuszników. Lewa z nich była uszkodzona, na prawej staliśmy i spoglądaliśmy przez lunety na ciemne miasto. Major Wendis relacjonował o tutejsze wydarzenia.

Kiedy weszliśmy do komendantury, major pomimo późnej godziny był jeszcze na służbie, ale nie przypominał już tego mężczyzny, którego widziałem niecałe trzy tygodnie temu. Ten był nieogolony, miał podkrążone oczy, a jego mundur wyglądał tak, jakby oficer nawet nie zdejmował go do spania. Fala powodziowa porwała ze sobą łaźnię, a czysta woda stanowiła rzadkość, tylko jednak studnia nie była zatruta, a woda z niej musiała wystarczyć do picia, do prania była zbyt cenna.

Zmarszczki na jego twarzy i sposób, w jaki spoglądał w dal, świadczyły o tym, jak bardzo się zmienił.

– Dzwon alarmowy wszystkich zaskoczył. Wisi w przedsionku od wieków i zapomnieliśmy, że w ogóle tam jest. Kiedy zaczął dzwonić, w pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, co to oznacza. Gdy to do nas dotarło, kazałem zanieść wszystkich chorych do zbrojowni, która ma mury jak twierdza i, pomijając jedną bramę, tylko jedno wąskie drzwi ze stali, a także mniej niż tuzin wąziutkich okien na parterze. Zaalarmowaliśmy aldańską marynarkę, ale ta początkowo nie reagowała, dopiero później próbowali zamknąć bramę portową. Ale ta nigdy nie była pielęgnowana, nie przeprowadzano też rokrocznych ćwiczeń, dlatego nikt nie wiedział, co robić, a potem, kiedy w końcu się ogarnęli, okazało się, że jedno z wrót się zaklinowało. – Pokazał na spustoszenia w porcie i westchnął. – Sami widzicie, czym to się skończyło.

Wendis wziął głęboki wdech i ciągnął dalej:

– Mamy księgę, w której zapisano, co robić w razie katastrofy. Pomyśleliśmy o wielu rzeczach, także o napełnieniu worków piaskiem i wzmocnieniu nimi bramy i drzwi zbrojowni. Ale za późno przeczytałem, że powinno się zakryć studnie. Mamy ich tutaj trzy oraz pompę w zbrojowni, ale udało nam się zakryć tylko jedną. Fala przyszła, zanim żołnierze zdążyli przybić ostatnią deskę, i porwała ich z sobą. To było późnym wieczorem, tuż po zachodzie słońca. Falę poprzedzał głęboki łoskot, a kiedy wody przedarły się przez bramę portową, ziemia drżała pod naszymi stopami. Mury portowe

spiętrzyły wodę, za to fala, która przelała się przez bramę, była jeszcze wyższa. Po prostu wszystko zmiotła. Tutaj – pokazał na rozbity statek pod odległymi zabudowaniami forttecznymi na wałach, które oddzielały port od miasta – woda sięgała aż tam, gdzie leży wrak, wszędzie pływały szczątki i bezbronne ciała. Kiedy fala się w końcu cofnęła, zostawiła ruiny i śmierć, w porcie tylko niewielu przeżyło.

Niemal widziałem, jak ta czarna fala wlewa się do portu.

– Co było potem? – spytałem cicho.

– Po przejściu fali nie pozostało nam nic innego, jak zamknąć bramy i zająć się sobą. Port na razie porzucono, tutaj nie został prawie nikt poza trupami, które leżą dosłownie na każdym kroku.

– A w Górnym Mieście?

– Z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie okręt zrobił wyłom, wały wytrzymały i w ten sposób ochroniły większą część miasta, tam sytuacja nie była tak tragiczna. Początkowo gwardia pilnowała porządku. Wydawano wodę i chleb, szabrowników wieszano, a kapłani pomagali, uzdrawiali i udzielali ostatniego błogosławieństwa.

Wendis oparł się rękoma o blanki i westchnął.

– Myśleliśmy już, że najgorsze za nami, ale gdy chcieliśmy zacząć porządkować port, wyleźli ze swoich dziur fanatycy Białego Płomienia. Jęli szerzyć pogłoski, że katastrofa nastąpiła z winy księcia, bo jego przekłeta elfia krew ściągnęła na nas gniew bogów. – Zawiesił głos i zaczerpnął powietrza. – Kaznodzieje Białego Płomienia wzywali, żeby każdy się troszczył o siebie. Odczytywali listy z nazwiskami ludzi, którzy mieli być heretykami, niewiernymi albo wrogami dumnego królestwa Aldane, czarownicami albo magami, na usługach nieświętych albo wręcz nekromantami. Podjudzano tłumy do ataków na te osoby, gdyż niczego, co posiadały, nie zarobiły w uczciwy sposób, a same nie zasługiwały na życie!

– A gwardia?

– Początkowo próbowała jeszcze zapanować nad Białym Płomieniem, ale kiedy przysłała zaarrestować kaznodziejów kultu, ci podnieśli krzyk, że to samowola, niesprawiedliwość oraz próba zatuszowania prawdy i odebrania ludowi tego, co mu się należy. Podjudzali tłum, składali fałszywe świadectwa, mówili o brutalności gwardii i innych okropnych rzeczach, a na domiar złego w imieniu Borona chowali się pod płaszczykiem sprawiedliwości. Możecie sobie wyobrazić, że ludzie z listy, do których mordowania nawoływali kaznodzieje, to byli akurat ci, którzy zachowywali rozsądek albo gotowi byli zadbać o porządek. – Wendis ze smutkiem pokręcił głową. – Moim zdaniem kaznodziejów łatwo przejrzeć, są zbyt głupi, aby można dawać im wiarę. Sądziłem, że ktoś lada chwila zrozumie, co tu się odprawia, i strąci ich z tych

ich skrzynek. Myliłem się, masy jak ślepe zwierzęta zwróciły się dokładnie przeciwko tym, którzy próbowali zaprowadzić porządek i pomagać.

– Dlaczego, w imię Borona, niczego nie zrobiliście? – spytał z przerażeniem Varosch.

Wendis potrząsnął głową.

– To nie takie proste. Początkowo sami mieliśmy wystarczająco roboty, a potem za późno dowiedzieliśmy się, co się dzieje w Górnym Mieście. Nasze kompetencje kończą się na tej bramie, nie pozostało nam więc nic innego, jak przypatrywać się temu bezsilnie.

Bogowie, pomyślałem wstrząśnięty.

– Co nastąpiło potem?

– To nie było powstanie w ścisłym tego słowa znaczeniu – ciągnął major. – Celem zamieszek nie było zaprowadzenie nowej władzy, chodziło tylko o to, by zniszczyć wszystko, co dawało stabilizację i porządek. Nie trzeba było wiele. Szlachta, bogaci kupcy, członkowie magistratu, każdy, kto posiadał więcej niż uliczny motłoch, zostawał uznany za winnego. Hołota wśród dzikich ryków wywlekała go z domu i mordowała. Potem domy ogałano ze wszystkiego, co dało się wynieść, hańbiono kobiety, zostawiano je przy życiu albo zabijano, a następnie napadano na kolejny dom, często pod pretekstem, że mógłby mieszkać w nim heretyk. Jeśli wierzyć kaznodziejom Białego Płomienia, to cała władza była zepsuta przez ciemne moce. Tylko kult chronił przed tym całym nieszczęściem. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – W pewnym sensie nawet to była prawda, bo tylko ci, którzy otwarcie nosili symbol Białego Płomienia, byli bezpieczni przed tłuszcą.

– Księżę, diuk, co z nimi? – spytałem, obawiając się najgorszego.

– Trudno powiedzieć. Zamek koronny jest oblegany, tam teraz znajdziecie te hordy. Wrzeszczą i tańczą w rytmie bębnów pod bramami, paznokciami zdzierają z kości własne ciało albo smarują się kałem. Jak w najgorszym koszmarze.

– Mówisz, że tańczą w rytm bębnów i oddają się szaleństwu? – spytała Zokora.

– Właśnie.

– Mówią coś albo wołają?

– Nic zrozumiałego.

– Dobrze. Mów dalej.

Wendis popatrzył na mnie pytająco, a ja skinąłem tylko głową.

– W pozostałej części miasta prawo i porządek już nie obowiązują, ludzie plądrują, kradną, rabują i mordują, podnoszą rękę na wszystkich, którzy są słabsi od nich. Są jak zwierzęta, idące wyłącznie za najbardziej prymitywnymi instynktami. Motłoch stał się bestią, która zjada sama siebie.

– A co ze świątyniami? – spytał Varosch.

– Kto mógł, schronił się za murami świątyni Borona, które są mocne. Inne świątynie już porzucono i splądrowano. Na schodach świątyni Borona stoją adepci z maczugami, mieczami i kuszami i nie wahają się zabić każdego, kto nieproszony wstępuje na stopnie. Nikt nie chce ściągnąć na siebie gniewu Borona, nawet kaznodzieje Białego Płomienia trzymają się z dala.

– A przecież Biały Płomień sam jest rytuałem boga – powiedział z goryczą Varosch. – Pokazuje tylko dobitnie, że kult wcale mu nie służy, choć tak twierdzi.

– A co z innymi religiami? – spytałem wstrząśnięty. – Czy naprawdę ludzie nie boją się Astarte ani Soltara i tylko Boron jest zdolny powstrzymać gawieź?

– Kapłanki Astarte unikają wszelkiej walki i uciekły do domu boga brata. Ale nie wszystkim siostronom ucieczka się udała; co się z nimi stało, trudno opisać, takie to było straszne. Jeśli chodzi o dom Soltara, to początkowo wyglądało na to, że można tam plądrować bez przeszkód, ale potem nikt, kto przestąpił próg świątyni, już z niej nie wyszedł. Od tamtej pory ludzie trzymają się od niej z dala.

Widziałem nad miastem więcej niż jedną czerwoną lunę; cokolwiek płonęło, nikt nie gasił pożarów. Chaos, kaznodzieje nawołujący do łamania wszelkich praw boskich i ludzkich, opierania się wszystkiemu, co mogłoby przywrócić porządek. To przerastało wszelkie obawy pułkownika Orikesa.

– Jak długo trwało, zanim do tego doszło? – spytałem cicho.

– Zaczęło się czwartego dnia po powodzi... a potem upłynął zaledwie dzień, zanim zaczęło to wyglądać tak jak teraz... Ludzie są jak zwierzęta, a jeśli ktoś nie chce płynąć z większością, zostaje porwany przez tłuszczę.

– Nadal jesteście barbarzyńcami bliskimi zwierzętom – orzekła Zokora, choć i ona sprawiała wrażenie przygnębionej. – Cywilizacja, jaką stworzyliście, jest ledwie cienką powłoką, a wasz umysł uwielbia nie myśleć.

Chciałbym jej zaprzeczyć, ale brakowało mi argumentów.

– Jak brzmią wasze rozkazy, generale? – spytał Wendis.

Potoczyłem wzrokiem po mieście.

– Varosch – rzuciłem cicho. – Znasz słowa twojego pana. Co mówi o zagubionych, przeklętych i tych, którzy niszczą kraj? Jak to dokładnie było, w tym miejscu mówiącym o Białym Płomieniu?

– *A wszystkim tym, którzy podnoszą na mnie rękę, na moje prawo, na moich braci i siostry, na tych, którzy stoją pod moją ochroną, niech będzie powiedziane, jeśli oprzecie się memu rozkazowi i memu porządkowi, wówczas zstąpią moi aniołowie i wypenią ogród, i odsłonią pod moim spojrzeniem wszystko, co się krzewi w ciemnych kątach, i oczyszczą światłem czystego białego płomienia, aż zostaną przede mną tylko sprawiedliwi –*

zaintonował ochryple Varosch. Słowa boga poniosły się nad ciemnym portem i odbiły echem.

– Cóż – powiedziałem. – Tych słów raczej nie znajdziemy w wojskowym prawie cesarskim, ale wydają mi się dobrą radą. Majorze, każcie stawić się o drugim dzwonie każdemu, kto może chodzić i walczyć. W pełnym rynsztunku i z tyłoma kuszami, bełtami i pochodniami, ile zdołają unieść wasze Węże Morskie. My wypiszemy na sztandarach słowa Borona, pójdziemy za jego rozkazem i oczyścimy to miasto... dokładnie tym Białym Płomieniem, o którym on mówi.

– Ale... co z traktatem? – zapytał wystraszony Wendis.

– Już został złamany – powiadomiłem majora, mając nadzieję, że moje słowa brzmią wystarczająco pewnie. Sam wcale tej pewności nie miałem, bo straszliwość mojego własnego rozkazu ciążyła na mych barkach wielkim ciężarem. – A teraz powiedzcie mi, majorze, gdzie, na wszystkie piekła, znajdzie Kurtisa Blixa?

– Tam – odpowiedział Wendis, wskazując na miasto. – To on chodzi ze swoimi ludźmi po mieście, obserwuje i o wszystkim melduje. To jemu zawdzięczamy, że wiemy, co tam się dzieje.

– Dopilnujcie, abym mógł z nim porozmawiać jak najprędzej.

Stał na baczność i zasalutował.

– Tak jest, ser generale. O drugim dzwonie będziemy gotowi, w imieniu bogów i cesarza!

Dał znak swojemu adiutantowi i zbiegł po schodach, zostawiając nas samych.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – spytała ochryple Serafine. – Wiesz, co to znaczy? Nie wszyscy są winni.

– Ufam Boronowi. Nie możemy wiedzieć, co nastąpi, ale osądzimy to, co nam stanie na drodze. Mamy jedną przewagę – powiedziałem i spojrzałem w górę na firmament, gdzie błyszczały wyraźne gwiazdy. – Bogowie są po naszej stronie, a Boron nas poprowadzi.

– Ja memu bogu ufam, ale jak ty chcesz to osiągnąć? – spytał z powątpiewaniem Varosch. Zokora tylko wpatrywała się we mnie pełnym namysłu spojrzeniem.

– Po prostu przypomnę każdemu, jak jest – wyjaśniłem twardo. – Pójdziemy przez miasto, wołając słowa Borona. Varosch, kiedy żołnierze się stawią, przećwiczysz z nimi te słowa. Niech powtarzają je głośno, chórem, maszerując, raz po raz, aż będą myśleć wyłącznie o nich. Niech je słyszą, kiedy podniosą miecz albo wypuszczą bełt, mają je *czuć*, kiedy przydybią na gorącym uczynku szabrownika albo tego, kto choćby splewa na ziemię tam, gdzie zakazuje tego Boron.

– Bogini – odezwała się pod wrażeniem Zokora. – Jesteś straszny! Z takimi słowy na ustach każdy z żołnierzy będzie się uważał za sługę Borona!

– *Będą nimi!* I z łatwością rozpoznają, kogo należy ukarać. Każdy zna prawa Borona, są wystarczająco jasne, żeby służyć za wytyczną. *Nie rabujcie, nie kradnijcie, nie mordujcie, nie składajcie fałszywego świadectwa, co jest uczciwe, zda próbę pod moim spojrzeniem, co jest złe, nie odnajdzie łaski!* To proste... Tymi słowami będziemy się kierować. Kto tylko spokojnie będzie stał z boku i niczego nie robił, tego zostawimy, niech sobie stoi. Kto będzie plądrował, mordował, hańbił albo w inny sposób zwracał się przeciwko słowu Borona, tego zabijemy na miejscu.

Zwróciłem się do Serafine, a może także do jej miecza:

– Łaska dla tych, co na nią zasługują, gniew bogów dla tych, którzy występują przeciwko ich prawom.

– Jest jeszcze coś takiego jak prawo wojenne – przypomniała mi cicho Serafine. – To również jest wytyczna, która została starannie przemyślana. Dzięki niemu mógłbyś...

– Nie znam prawa wojennego, jeśli o mnie chodzi, niech to prawo strzeże pokoju, kiedy skończymy. Ale najpierw oczyścimy ten kult prawdziwym płomieniem Borona. To nie jest wojna, Serafine, to jest powstanie przeciwko naszej wierze, a my wiemy, kto za tym stoi. Jeśli potrzebujesz czegoś więcej: *Moja miłość jest dla wszystkiego, co potrafi kochać, lecz tych, którzy nie wiedzą, co zmiękcza serce, zdepczcie, gdyż ci są straceni nawet dla bogów, wszystkich, z wyjątkiem Jednego. Niech ten Jeden ma swą gadzinę, należy mu się ona, a zatem pošlijcie mu ją mieczem i płomieniem.* – Zaczerpnąłem oddechu. – Z ksiąg Astarte, o sądzie niebieskim, gdzie Astarte mówi o zmarłych i doradza łaskę. Łaskę dla każdego, kto jest do niej zdolny. Chcę każdego, kto przemawia w imieniu tego kultu, widzieć martwego w pyle u mych stóp!

– Nie wiedziałem, że potrafisz być tak zapamiętały – powiedziała markotnie Serafine.

– Nie jestem zapamiętały – zaprzeczyłem. – Wiem tylko, że czasami trzeba zwalczać ogień ogniem i że niektóre rzeczy trzeba zrobić, choć się nie chce. – Popatrzyłem na Varoscha, który stał zamyślony, nieruchomy, przygryzając wargę. Przeniosłem wzrok na Zokorę i Serafine.

– Podsuńcie mi coś innego albo lepszego, co mógłbym rozkazać, a to rozważę. Podobnie jak prawo wojenne, o którym mówiłaś. Lecz choć go nie znam, rozsądek podpowiada mi, że ono nie będzie się aż tak bardzo różnić od tego, co planuję. A słowa boga są czymś więcej niż suche rozkazy ze starej książki, potrafią o wiele lepiej napędzać żołnierza. A zatem – popatrzyłem na wszystkich ostro – macie dla mnie jakieś rady?

– Nie zapomnij o łasce – powiedziała cicho Serafine. – O więcej nie proszę.

– Przyłączam się do tej prośby – oznajmił Varosch. – Mój bóg ceni sobie tę cechę swojej siostry, a i Soltar ją zna. Zacytowałeś dzisiaj więcej ksiąg, niż kiedykolwiek

słyszałem z twoich ust, za to dam ci inne słowa mego boga: *Gdzie nie można znaleźć łaski, tam nie panuje sprawiedliwość.*

– Dlatego właśnie was potrzebuję – odparłem półgłosem. – Przeszkodźcie mi, gdybym błądził.

– Nie oczekuj tego ode mnie – rzekła Zokora. – Solante mówi: *Ci, którzy szerzą ciemność, niech otrzymają to, co sieją: poślijcie ich w noc!* – Ukazała białe, ostre zęby. – Uważam, że to sprawiedliwsze oraz krótsze. – Uśmiechnęła się w sposób, od którego włos zjeżył mi się na karku. – Wiecie, że nie rozumiem do końca łaski... dlatego pozostawiam to wam, żebyście mi ją pokazali.

40

PLAN BITWY

Świt zastał nas w mencie komendantury portowej. Żołnierze jedli śniadanie i obrzucali nas ciekawymi spojrzeniami. Było tam dość miejsca, aby zestawić cztery stoły i rozłożyć na nich osiem map, dzięki czemu mogliśmy spoglądać na miasto z perspektywy gryfa.

Tym razem nawet ja rozumiałem, co pokazują plany; były wyrysowane tak dokładnie, że na krawędziach można było założyć jeden na drugi, a kiedy Wendis wziął jeszcze z szuflady małe klocki i zaznaczył nimi bramy, wały, świątynie i ważne budynki, miasto objawiło mi się w zupełnie nowy sposób.

– Ćwiczymy w ten sposób bitwy morskie – wyjaśnił i uniósł model statku. – Gdzieś jeszcze muszą być cynowe figurki żołnierzy, ale ich nie znalazłem.

– To mi wystarczy – powiedziałem. – Skoro musimy tylko dotrzeć do zamku, to pójdziemy tędy przez most, a potem tą szeroką ulicą w górę...

Serafine chrząknęła, a Wendis okazał nagłe zainteresowanie parującym kafe.

– Havaldzie – odezwała się cicho Serafine – To jest mur miejski, a nie ulica.

– Hm... tu są zaznaczone schody...

– Prowadzą w górę na chodnik obronny.

Studiowałem mapę.

– Więc chodnik obronny to ta wąska podwójna linia?

– Na to wygląda.

Podążyłem wzrokiem wzdłuż podwójnej linii, po czym podniosłem wzrok na majora Wendisa.

– Czy to możliwe, że ten chodnik prowadzi przez wieże i nie jest niczym przerywany ani przegrodzony?

– Nie wydaje mi się – odparł major.

– A jednak tak jest – zawołał znany mi głos.

W człowieku w ubrudzonym sadzą ubraniu i z umorusaną twarzą ledwie rozpoznałem Kurtisa Blixa, nie mówiąc o kobiecie u jego boku. To musiała być Sanja Grenski, sierżant sztabowa Blixa. Oboje zrzucili z siebie brudną odzież, a spod łachmanów wyłoniły się zbroje Węży Morskich. Widok Byka w takim rynsztunku stanowił spore zaskoczenie.

– Któryś z królów wpadł na pomysł, żeby jeździć po wałach konno. Łączniki między nimi nie nadawały się do tego, a więc kazał porobić wyłomy w wieżach albo je skrócić do wysokości wałów – ciągnął Blix. – Podobno przejechał się raz konno po wałach, a potem, kierując się ku schodom, spadł z konia i złamał obie nogi. I zaprzestał przejażdżek. – Zasalutował mi i powitał resztę skinięciem głowy. – Nie widzę w porcie żadnego nowego statku, czyżby wasza czwórka przybyła na grzbiecie gryfa?

– Na pewno równie niespodziewanie – orzekła Zokora z wąskim uśmiechem i stoczyła pojedynek na spojrzenia z Grenski.

Blix rozpiął sprzączki brudnej zbroi i podał ją kadetowi, który oddalił się z nią prędko. Inny kadet podsunął mu kubek kafejki, który Blix przyjął z wdzięcznością. Ręka, która trzymała kubek, była zbyt mocno uwalana krwią jak na zwykłe zadrapanie, ale to raczej nie była jego krew.

– Wnioskuje z tego, że jednak w końcu coś z tym zrobimy – stwierdził ponuro.

– Możecie widzieć to tak, Blix – oświadczył kwaśno Wendis. – Generał zamierza „oczyścić” miasto.

– Major doniósł mi o waszych poczynaniach, mówi, że już nie ma żadnego porządku, a ludzie zachowują się jak zwierzęta, zaś wokół zamku zgromadziła się największa grupa hołoty i popada w obłąd.

– Tak rzeczywiście było. Teraz jednak jest inaczej. Nie znajdziecie zbyt wiele tego, co moglibyście „oczyścić”.

– Co macie na myśli? – spytał zaskoczony major.

– Sytuacja w ostatnich dniach uległa zmianie. Niemal już nie ma nikogo, kto by coś robił, obojętnie, czy po myśli Borona, czy nie.

– Wyjaśnijcie to.

– Pierwsze dni były straszne, ludzie rzucali się na siebie jak dzikie zwierzęta. Potem się uspokoiło, dlatego właśnie dziś sondowaliśmy położenie. To, co zastaliśmy, jest nie mniej przerażające. Na ulicach widać tylko pojedyncze osoby, a jeśli już, to błądzą bez celu albo kładą się, żeby umrzeć. Ci, którzy zdołali schronić się w domach, siedzą za zabarykadowanymi oknami i drzwiami, a gdy ich zagadnąc, tylko patrzą i ślinią się jak małe dzieci, niektórzy nawet fajdają pod siebie. Aldar stał się miastem, które czeka na śmierć.

Słowa majora wywoływały we mnie dreszcz zgrozy, ale nic, co kiedykolwiek przeżyłem, nie pasowało do jego doniesień.

– Więc wroga nie ma? – spytała cicho Serafine. – Tylko bezbronni ludzie, którzy postradali zmysły?

– W większości wypadków tak. Choć bywa, że gdy wydaje ci się, że nikt nie zwraca na ciebie uwagi, ktoś nagle rzuca się na ciebie i szczyrzy kły jak zwierzę. Grenski i ja

musieliśmy dziś zabić jednego, i klnę się na bogów, nie rozumiał, że umiera.

– Co z kaznodziejami? Czy oni też są przez to nawiedzeni?

– Widzieliśmy tylko jednego. Szedł ulicami, wydawał się jasny na umyśle, oglądał, co się wokół dzieje, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko przebiega zgodnie z życzeniem.

– A poza tym ulice są puste? – spytałem.

– Bynajmniej – odparł Blix ponuro. – Ludzi na ulicach jest sporo, leżą i konają albo już są martwi. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jak w jakimś sennym koszmarze, człowiek wędruje ulicami, na których powinni być przechodnie i dziecięcy śmiech. Ale zamiast tego wszędzie leżą konający ludzie, niektórzy jeszcze się trochę ruszają, a gdy chce się im pomóc, patrzą, jakby nie wiedzieli, czego się od nich chce.

Spojrzał na swoją uwalaną krwią rękę.

– Wybaczcie na chwilę. Chcielibyśmy się umyć, to nie potrwa długo.

– Tak. Oczywiście. Mamy jeszcze trochę czasu do wyruszenia.

– I tyle, jeśli chodzi o Biały Płomień – powiedział z goryczą Varosch. – Wygląda na to, że rozprzestrzenia się sam.

– Gdzie w tym sens? – spytał Wendis, nie rozumiejąc. – Jeśli jest tak, jak mówi Blix, to całe miasto wymrze na naszych oczach... kto miałby na tym skorzystać?

– Sens jest taki, że komuś zależy, aby działało się dokładnie to – odpowiedziałem. – Słyszałem niepotwierdzone pogłoski, że wojska Thalaku są już w kraju. Jeśli rzeczywiście są i idą tutaj, to ma to sens, bo będą mogły zająć miasto bez oporu.

– Ale co im po mieście pełnym trupów? – Wendis wypowiedział na głos to, nad czym sam się zastanawiałem.

– Może chcą, żeby Aldar przestał istnieć. – Pokręciłem głową. – Takie skutki za sprawą garstki ludzi? Po co armia, jeśli udaje się coś takiego? – Zwróciłem się do Zokory: – Wiesz, jaki rodzaj magii może działać w ten sposób?

– W małości kryje się wielkość – odpowiedziała spokojnie. – Tyle że aby pomieszać zmysły całemu miastu, potrzeba potężnej mocy. Gdyby cesarz nekromanta był zdolny do czegoś takiego za pomocą magii, nie potrzebowałby płaszcza martwego boga! – Pokręciła głową. – Nie, Havaldzie, rozwiązanie kryje się poza magią.

– Więc co to ma być? – spytał Wendis gniewnie.

Popatrzyła na niego ciemnymi oczami.

– Kiedy będę wiedzieć wszystko, co można wiedzieć, będziesz mógł przede mną uklęknąć i mnie o to zapytać. A póki co jestem tylko kapłanką, a nie boginią!

Westchnąłem i oparłem dłoń na mapie.

– Wygląda na to, że tym razem plan upadł, zanim w ogóle ruszyliśmy się z miejsca.

– Ciesz się z tego – powiedziała surowo Serafine. – Dzięki temu zostanie ci oszczędzone brzemie oczyszczenia Aldaru. Pójdźcie do boju w imię boga, z ogniem i mieczem, oddzielanie ziarna od plew zwykle jest niesprawiedliwe. To ci bez winy często zostają dotknięci ostrzem, podczas gdy winni pozostają w ukryciu.

– Wydawało się, że to właściwa droga – powiedziałem zmęczonym tonem.

– Teraz już nie jest. Ciesz się z tego. Wymyśl nowy plan. Od tego jesteś generałem. – W jej głosie pobrzmiwała sztuczna neutralność. Spojrzałem na nią, ale już się nie odezwała.

Nowy plan. Zwróciłem się z powrotem ku mapie i chodnikowi obronnemu.

– Jaką szerokość ma ten chodnik na blankach?

– W najwęższym miejscu mogą iść nim obok siebie czterej mężczyźni – objaśnił Paltus, porucznik stojący na czele Ósmej Lancy. To był pierwszy raz, kiedy się w ogóle odezwał. Był niski i krępy, o cichym sposobie bycia, tak niepozorny, że łatwo o nim zapomniano. Dotychczas tylko słuchał i przyglądał się wszystkiemu w milczeniu.

Przejechałem czubkiem sztyletu po szerokim łuku muru aż po wały miejskie, dalej wzdłuż nich i do fortyfikacji zamku. Tam zatrzymałem nóż, a potem powędrowałem nim kolejnym szerokim łukiem do północnej bramy. Tam docisnąłem mapę szpicą i popatrzyłem na linie.

– Major Blix mówi, że można po nim jechać konno.

– Co zamierzasz zrobić, Havaldzie? – spytał Varosch i popatrzył na mapę.

– Te wały prowadzą do wałów otaczających zamek, to jest jedyna droga, która przechodzi przez fosę. Jeśli budowniczy wykazali się sprytem, to ten chodnik ma tutaj zapadnię, która wskazuje atakującą drogę do fosy, ale jest drogą wejściową do zamku.

– I wyjściową – rzekła Serafine. – Tak można ominąć szaleńców.

– Macie uratować księcia, jak się domyślam – powiedział Blix, który właśnie wrócił. Sierżant nigdzie nie było widać. Był starannie umyty, jego krótkie jasne włosy mokre, a on sam przebrany w jako tako czysty mundur. Przynajmniej nie był już cały umazany krwią.

– Mam coś dla was – oznajmił. Wyjął z woreczka łańcuszek z wisiorkiem i położył go na mapie przed nami. Był to symbol Białego Płomienia.

– Odebraliśmy to jednemu z kaznodziejów – rzekł. – Może da się z tego wyczytać, jaki rodzaj magii w tym jest.

Zokora nachyliła się i dotknęła symbolu. Od razu pokręciła przecząco głową.

– W tym nie ma magii – poinformowała.

– Za każdym razem, gdy spotykałem siejącego zamęt kaznodzieję, trzymał w ręku ten symbol – odparł z niedowierzaniem Blix. – *Musi* być w tym magia.

– Ja się nie mylę – powiedziała chłodno Zokora. – To jest fokus, cel dla magii, ale nie sama magia – wyjaśniła. – On ułatwia działanie kapłanom, dlatego używają tych symboli.

– Wzbraniam się przed przyrównywaniem kaznodziejskiej hołoty do kapłanów – obwieścił jadowicie Blix.

– A jednak to ten sam rodzaj oddziaływania.

– Czyli do niczego nam się to nie przyda – uciałem i popatrzyłem na Blixa. – Ilu jest tych kaznodziejów?

– Niewiele więcej niż tuzin, podejrzewam. Większość z nich można znaleźć pod zamkiem, gdzie podjudzają tłuszcę... Szaleństwo jest już tak daleko posunięte, że niektórzy sami rozszarpują się na kawałki... Od wielu dni są bez jedzenia, za to tańczą do upadłego! – powiedział z goryczą Blix.

– Może to i obłąd, ale nie jest pozbawiony sensu – stwierdziła gorzko Zokora. – W dawnych przekazach to jest nazywane Mrocznym Świętem. Bydło spędza się w jedno miejsce i wprawia w ekstazę, by tańczyło i szalało aż do upadłego, do samej śmierci.

– Bydło? – zapytał Blix.

– Ludzi – wyjaśniła zdawkowo Zokora. – Celem tego jest wzmożenie mocy osoby, która odprawia rytuał, tam musi być jakiś mroczny kapłan, który zbiera siły do ataku.

– Atak nie miałby sensu – zaprzeczył Blix. – Tłuszcza nie ma żadnego tarana, nic z tych rzeczy, są też słabo uzbrojeni.

– Ilu ich tam tańczy pod bramą? – spytałem.

– Parę setek, jak sądzę, ale każdego dnia umiera ich więcej. Większość nic nie je ani nie pije od wielu dni. Zabija ich wycieńczenie.

– To jest ofiara dla ich mrocznego cesarza, a jednocześnie któryś z ich kapłanów odsysa moc dusz dla siebie. To nie potrwa długo i zamek padnie – orzekła beznamiętnie Zokora.

– Nie mają niczego, czym mogliby wyłamać bramy – sprzeciwił się znowu Blix.

– Po co taran, gdy wystarczy myśl? – zripostowała Zokora i spojrzała na mnie z żarem w oczach. – Z całą pewnością jest tam jakiś mroczny kapłan i moim obowiązkiem jest zdemaskować go i doprowadzić do jego mrocznego boga. Kapłan musi być jeszcze słaby, w czym nie ma nic dziwnego, skoro czci nekromantę, który w istocie rzeczy nie jest bogiem. Lecz dziś o północy, najpóźniej jutro, zakończy swój rytuał i wyłamie bramy; to, co wtedy zostanie jeszcze z jego stada, zagna do zamku... Łatwy łup.

– Stado? – powtórzył lodowatym tonem Blix. – Mówicie o mieszkańcach tego miasta.

– Stado, bydło, ludzie... dla mrocznego kapłana nie robi to różnicy. Ci ludzie pod zamkiem są już właściwie martwi. Zabicie ich stanowiłoby dla nich wyzwolenie. – Powiodła spojrzeniem po obecnych. – Co tak patrzycie? Mówię, jak jest. Złóżcie winę do stóp temu cesarzowi nekromancie, nie mnie.

– Jednego nadal nie rozumiem – powiedziałem. – W zamku są żołnierze, dlaczego nie przypuszczają ataku ze środka i nie przegonią tej tłuszczy? Jeśli gawiedź jest pogrążona w obłędzie, to chyba nie powinna stawiać oporu?

– Nie potrafię tego wyjaśnić – odparł Blix. – Posłałem tam już dwóch ludzi, ale jedyne, czego się dowiedzieliśmy, to że słychać bębny, a ludzie tańczą tak zapamiętale, że padają martwi. Kiedy wysłałem ich bliżej zamku, nie wrócili. – Popatrzył na mnie. – To, co wiemy, generale, to cenna wiedza, okupiona krwią.

Paltus podniósł wzrok.

– Kto to był? – spytał cicho.

– Anris i Melinus – odparł Blix.

– Dobrzy żołnierze – stwierdził Paltus, a major przytaknął.

Z mensy dobiegły głosy wstających od stołów żołnierzy. Wiele czasu już mi nie zostało na mój nowy plan, pół świecy zaledwie, może jeszcze mniej. Wbiłem wzrok w mapę.

– Ilu ludzi tu mieszka?

– Trochę ponad siedemdziesiąt tysięcy.

Duże miasto. Prawie trzy razy większe niż kiedyś Kelar.

– I nikt nic nie robi? Wszyscy siedzą w domach?

– I się ślinią – dorzucił twardo Blix. – Tylko ci pod zamkiem robią coś więcej. – Posłał pełne dezaprobaty spojrzenie Zokorze. – Stado. Tańczy. Jeśli chcecie ich wszystkich zaszlachtować, będziemy brodzić we krwi. A jeśli się zbiorą i rzucą na nas...

– To niebezpieczeństwo istnieje, Havaldzie – dała mi do myślenia Zokora. – Ktokolwiek odprawia tam ten rytuał, trzyma tych ludzi pod urokiem, może ich skierować na twoje oddziały jak dzikie stado. To, że nie wysadził bram, nie oznacza, że nie zebrał tam sił. To kapłan, który wierzy, że cesarz nekromanta nosi płaszcz martwego boga. Na pewno jest nekromantą i posiada przynajmniej część kapłańskich mocy. Bogowie powstają albo budzą się dzięki temu, że się w nich wierzy, Havaldzie.

Skinąłem głową i dostrzegłem wzrok Serafine.

– Wiem – powiedziałem zmęczonym głosem. – Łaska. Nie zapomniałem. Majorze, mówiliście o jakiejś księżce. Macie ją tutaj?

– Proszę. – Major wyjął ją zza pazuchy.

Wziąłem ją i przekartkowałem... oglądałem stronę po stronie z propozycjami, jak się zabezpieczyć, jak rozdzielać żywność... Oddałem mu ją z powrotem.

– Czytaliście ją?

– Tak. – Major uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem. – Czasami nie mogłem spać i zaprzętałem sobie głowę własnymi zaniedbaniami...

– Dobrze. Jeżeli to sensowne, postępujcie zgodnie z tymi zaleceniami, nawet jeśli to już nie jest cesarskie miasto. – Podniosłem wzrok. – Kto jeszcze tego nie wie: kult Białego Płomienia służy tylko cesarzowi nekromancie. W ten sposób wróg wyszukuje ludzi obdarzonych talentem, a nekromanci, pod pretekstem oczyszczania ich za pomocą morderczych stosów, rabują im dusze. Są doniesienia o wrogich wojskach w kraju, myślę, że będą chciały dotrzeć do Aldaru... Wszystko to układa się w sensowną całość tylko wtedy, jeśli ma komuś ułatwić zajęcie miasta. Nie dopuścimy do tego. – Spojrzałem na mapę i podjąłem decyzję.

– Pięćdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej zostanie tutaj w bazie, by ją chronić. Reszta pójdzie z nami. Dwie lance Byków i dwie lance Węży Morskich. Siłą Węży jest ich celność w strzelaniu z kuszy, siłą Byków ich walka wręcz. W zgraniu jednego z drugim leży nasze zwycięstwo. Zrobimy porządek w porcie, zbierzemy wszystkich, którzy tu jeszcze są. Temu, kto będzie nosić znak Białego Płomienia, zostanie on odebrany, podobnie jak wszystko, co może stanowić jakąś broń. Jeśli ten ktoś nie da spokoju i nadal będzie łamał przykazanie Borona, wówczas go zabijecie.

Potoczyłem wzrokiem po kamiennych twarzach.

– Najpierw oczyścimy port, potem, kiedy będziemy mieli wolne tyły, zaczniemy posuwać się dalej do placu Świątynnego. Obsadzimy bramy do innych dzielnic, zamkniemy je i oczyścimy plac, a potem rozbijemy krąg zaślepionych wokół świątyni Borona. Miasto jest podzielone wałami na sześć rejonów, z zamkiem i Górnym Miastem jest ich siedem. Blix, słyszałem, że wasi ludzie są pomysłowi i sprytni. Jak sądzicie, możecie dostać się przez chodniki na blankach do wież przy bramach, zamknąć bramy na placu Świątynnym i je utrzymać?

– Bez wątpienia – odparł Blix. – Większość nawet tego nie zauważy. Poza tym nie mają niczego, czym mogliby naprzeć na bramy. Wrota pochodzą jeszcze z czasów Starego Królestwa i są bardzo mocne. – Major popatrzył z namysłem na mapę. – Chcecie po kolei zająć poszczególne rejony i za każdym razem, zanim oczyścicie kolejny, odciąć go od pozostałych.

– Taki jest pomysł. Ale najpierw chcę zdobyć plac Świątynny i wyrobić sobie ogląd sytuacji. Potem zobaczymy. Jeśli wszystko się powiedzie, oczyścimy Dolne Miasto i zostanie tylko Górne Miasto i zamek. Potrzebujemy mieszkańców gotowych nam pomóc. Nie mamy wystarczająco dużo ludzi. Traktujcie tych, którzy nie zdradzają

oznak obłądu, z szacunkiem i grzecznością. Mówcie każdemu, kto chce czy nie chce słuchać, że działamy w misji Borona i że nie chodzi o to, by na nowo zawiesić tutaj cesarską flagę.

– O ile znajdziemy jeszcze kogoś, kto potrafi jasno myśleć – stwierdził ze zboląłą miną Wendis.

– Co z więźniami? – spytał Blix. – Czy nie powinniśmy spróbować schwycić jednego z tych kaznodziejów?

– Po co? – zdumiała się Zokora.

– Może dowiedzielibyśmy się czegoś o ich planach.

– To są fanatycy. Nie będą chcieli oddać się żywcem. Jeśli są wśród nich łowcy dusz, próba pojmania może cię drogo kosztować. – Pokręciła głową. – Zabijcie ich. Każdego. Solante wam za to pobłogosławi.

Blix popatrzył na mnie pytająco. Zawahałem się chwilę, potem skinąłem głową.

– Zabijcie ich. Na miejscu.

– Macie jeszcze jakieś rozkazy? – spytał porucznik Paltus, badawczo mierząc wzrokiem Zokorę.

Pokręciłem głową.

– Nie, to by było na tyle. Starajcie się utrzymywać własne straty na jak najniższym poziomie.

– Tak, w tym jesteśmy dobrzy – przyznał Paltus z lekkim uśmiechem. – Nie mają zbyt wiele, czym mogliby nam się przeciwstawić.

– Wystarczy jeden nekromanta, poruczniku – zapewniłem go. Powiodłem wzrokiem dokoła. – Wykorzystujcie, jak się da, kusze... i unikajcie walki w kontakcie. Resztę pozostawiam wam, jesteście cesarskimi oficerami i sami wiecie najlepiej, co należy robić.

– Jeszcze tylko jedno – dorzucił Varosch. – Wężę powinny zawsze działać w trójkach i celować do kaznodziejów jednocześnie... i to w głowę.

– Jest jakiś powód ku temu? – zainteresował się Blix.

– Tak. Przekłęta złapała wystrzelony przeze mnie bełt gołą ręką. Ale nawet oni mają tylko po dwie ręce.

– Zabiliście już nekromantę? – zdumiał się Blix. – Kiedy to było?

– To była pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy po przybyciu – powiedziała chłodno Zokora. – Można by rzec, że na nas czekała.

Tak. Tak to można określić. Wiedziałem tylko, że jej tak prędko nie zapomnę.

– Mam ćwiczyć słowa Borona z żołnierzami? – spytał Varosch. Pomyślałem chwilę i skinąłem głową.

– Ale z innych powodów – wyjaśniłem. – Jest nadzieja, że to im pomoże nie zatracić się w tym. Co nasuwa pytanie, dlaczego nie jesteśmy tak samo skażeni jak ludzie w mieście.

– Gdy się tego dowiemy, będziemy mieli rozwiązanie – stwierdziła Zokora. – Mogę jeszcze wszystkim poradzić, aby nie pić i nie jeść niczego, co można znaleźć w mieście.

– Dlaczego?

– To nie jest magia, a więc to coś innego – wytłumaczyła. – Nie ma tego tutaj, ale jest w mieście. To się układa w sensowną całość, a zatem głupotą byłoby postępować wbrew temu.

– W takim razie trzymajcie się tego. – Popatrzyłem na oficerów. – Słyszeliście, co powiedziała. Pełne racje dla żołnierzy i tylko one... Nie chcę, żebyśmy wszyscy zamienili się w zwierzęta i ogłupieli!

W oddali zadzwonił tylko jeden dzwon, ten w domu Borona. Jego dźwięk podziałał na mnie uspokajająco, bo oznaczał, że świątynia jeszcze nie była stracona. Tutaj w bazie czas odmierzał stary okrętowy dzwon. Stałem z Wendisem, Serafine, Varoschem i Zokorą na placu przed zbrojownią, w zbroi generała legendarnego Drugiego Legionu, i przyglądałem się, jak cztery cesarskie lance ustawiają się przede mną na baczność, by przyjąć ode mnie rozkazy. Biały Płomień był tylko zwiastunem wroga, może już niedługo staniemy przed wojskami Thalaku.

Kiedy oficerowie się zameldowali, a major Wendis wystąpił do przodu, żeby wyjaśnić rozkazy, udawałem, że jestem całkowicie pewien swego. W rzeczywistości byłem daleki od tego. Potem wystąpił Varosch i mówił chwilę o białym płomieniu Borona, przeciwiczył tekst z żołnierzami, z których całkiem spora część znała przynajmniej fragmenty, toteż wkrótce zakrzyknęli chórem słowa boga, wywołując mi na plecach zimny dreszcz.

– Za Borona, za Askir i za cesarza! – zabrzmiał bojowy okrzyk z ochrypłych gardeł, kiedy prawie dwustu Byków uderzyło bronią w tarcze. Huknęło jak grom. Tak czy owak... umieranie właśnie brało swój początek.

41

OWCE I WILKI

Kiedy żołnierze Byków równym krokiem maszerowali przez bramę, stukot podkutych butów był tak potężny, że wyczuwało się drgania kamiennego mola w porcie. Kroki wydawały mi się nieco przykrótkie, ale tak właśnie legion nauczył się maszerować, zawsze równym krokiem. Ponadto krótszy krok umożliwiał żołnierzom zachowanie lepszej równowagi. Przynajmniej tego nauczyłem się od Rellin.

Nie uszliśmy daleko, gdy zauważyłem, jak cesarscy oficerowie uzupełnili mój plan. Obok Ósmej Lancy, która tworzyła główny korpus, w szyku znalazły się także mieszane grupki po sześciu żołnierzy Węży i Byków, zdolne rozproszyć się na boki i zabezpieczać skrzydła. Ich część zaraz oderwała się od korpusu, żeby zabezpieczyć bramę portu.

Fałszywi kapłani już odpuścili port, może dlatego, że po powodzi flota Thalaku była na razie bezużyteczna. Ci, którzy jeszcze tutaj mieszkali, pokornie poddawali się naszym rozkazom, gdy spędziliśmy ich w jedno miejsce.

– Są jak owce – stwierdził zaniepokojony Wendis.

Tak było. Żaden się nie bronił, stali tam, gdzie jeszcze niedawno był targ, i wpatrywali się w nas wielkimi oczami.

– Jak się nazywasz?

– Altim.

– Dobrze, Tim, co tu robisz?

– Nie wiem.

– Co robiłeś, kiedy cię znaleziono?

– Szukałem czegoś.

– Czego?

– Nie wiem.

– Chce ci się pić albo jeść?

– Nie potrafię powiedzieć...

– Idź do tego mężczyzny i usiądź obok niego – polecił Varosch, a tamten odwrócił się posłusznie i zrobił, co mu kazano. Varosch poszedł za nim.

– Dlaczego tutaj siedzisz?

– Nie wiem.

W końcu Varosch odpuścił i spróbował szczęścia u kogoś innego, ale z podobnym skutkiem. Wrócił i pokręcił głową.

– Nie wiedzą nawet, czego chcą i czy jest coś, co powinni zrobić. Owca wie o sobie więcej niż ci ludzie.

– Owce mają jedną przewagę – powiedziała Zokora i zmarszczyła nos. – Wiedzą, jak się nie ufajdać!

Ponieważ nie było oporu, port rychło został oczyszczony. Tymczasem Zokora sprawdziła studnie. Większość była zanieczyszczona słoną wodą, przy jednej, która wydawała się czysta, zawahała się, w końcu dwukrotnie umoczyła w niej usta i pokręciła głową.

– Mam wrażenie, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafię rozpoznać co. Spuściłam światełko do studni, woda wygląda na klarowną, nic w niej nie pływa. Powinna być dobra, mimo to jej nie ufam.

Chochla, którą trzymała w ręku, była wypełniona przejrzystą, chłodną wodą... Miałem ochotę jej się napić, ale teraz nie wyglądała już tak zachęcająco.

Siedziało ich tu teraz ze trzy setki i zaledwie garstka nie okazywała żadnych oznak obłądu, wśród nich ci dwaj, którzy przedtem rzucali trupy na stos. Jednego przywołałem do siebie; niechętnie, ale posłuchał.

– Widziałem, jak paliliście ciała na stosie. Czy ktoś wydał wam takie polecenie?

– Nie, ser – padła odpowiedź. – Nie możemy przecież ich tak zostawić, puchną, a kiedy w końcu pękają, rozsiewają wokół zarazę. – Rzucił spojrzenie ku pozostałym, siedzącym spokojnie na miejscu. – Byłoby lepiej, gdybyśmy otrzymali trochę pomocy, ale żaden nie rozumie, co się do niego mówi. Modliliśmy się za każdego, którego wrzuciliśmy w płomienie!

– Dobrze zrobiliście – pochwalilem go. Nie wyglądał na zakażonego, a my potrzebowaliśmy ludzi zdolnych do sensownych czynów i do pomocy.

– Co nam innego pozostaje – powiedział ochryple. – Ktoś w końcu musi zrobić pierwszy krok!

Dało się z nim porozmawiać, stwierdziłem i obmyślałem następne pytanie, kiedy Zokora podeszła bliżej i zadała je zamiast mnie.

– Wiecie, dlaczego nie jesteście tacy jak oni? – zapytała, wskazując na „owce”. Mężczyzna popatrzył lękliwie na mroczną elfkę i cofnął się przed nią.

– W imieniu bogów, trzymaj się z daleka ode mnie z tymi czarami – zaklął i pospiesznie wykonał znak Borona.

– Ona nie jest czarownicą, to kapłanka Astarte, tylko o innym imieniu – próbowałem go uspokoić.

– Czyżby? – rzucił sceptycznie tamten. – I dlatego nosi zbroję i miecz? Bo każdemu chce dać swoją miłość?

Westchnąłem.

– Odpowiedzcie na jej pytanie, a sobie pójdzie.

– Nie jestem czarownicą – oznajmiła Zokora beznamiętnie.

– Dlaczego więc twoje oczy się żarzą i wyglądasz jak elfka? – zapytał ze złością mężczyzna i zwrócił się do mnie: – Wszystko jedno, kim albo czym jest, trzymajcie ją ode mnie z dala, błagam was!

Sapnąłem.

– Po prostu odpowiedzcie jej na pytanie!

– Dlaczego nie jesteśmy tacy jak oni? Skąd mam wiedzieć? Zapytajcie tę wiedźmę! – Zebrał ślinę i chciał opluć Zokorę, ale ona uniosła palec. Mężczyzna zamarł.

– Przełknij – rozkazała cicho, podchodząc bliżej jak kotka na łowach.

Przełknąłem.

– Zokoro... – zacząłem i obejrzałem się za siebie pospiesznie, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Wzrok, jakim mnie przeszyła, sprawił, że dobrze przemyślałem swoje słowa.

– Co jadłeś?

– Peklowane mięso z okrętu, który fala rzuciła na mój dom.

– Co piłeś?

– Piwo ze znalezionej beczki.

– Coś jeszcze?

– Nie.

– Dobrze. Widzisz, to wcale nie było trudne – powiedziała i opuściła palec. – Nadal chcesz mnie opluć? – spytała z uśmiechem przypominającym kota, który zamierza rzucić się na ofiarę.

W odpowiedzi posłał jej spojrzenie pełne trwogi i paniki, po czym odbiegł ile sił w nogach.

– Zokoro...

– Co? – fuknęła na mnie. – Chciał mnie opluć! Miałam go zabić?

– Nie, to nie, ale...

– Żyje, włos nie spadł mu z głowy, czego chcesz więcej? Poza tym mamy odpowiedź... to musi być coś w wodzie!

– Dlaczego w wodzie, a nie w jedzeniu?

– Bo jest tylko kilka studni, z których pije wiele osób, za to nie wszyscy jedzą to samo. – Westchnęła. – Czasami, Havaldzie, wydaje mi się, że nie potrafisz myśleć.

– Ale przecież sprawdziłaś studnie?

– I niczego nie znalazłam... co nie znaczy, że nie było tam tego wcześniej. Idź i pobaw się w generała, ale przestań we mnie wątpić!

Podążaliśmy w milczeniu za żelazną falangą Byków. Ośmiu z nich otoczyło nas, z tarczami w gotowości. Uświadomiłem sobie, że miałem tylko przeżyć i być gotowym do wydawania nowych rozkazów. Ale na razie ich nie potrzebowałem, a więc nie pozostawało nam nic innego, jak powoli sunąć za żołnierzami, którzy robili swoje.

– To zbyt łatwe – stwierdziła Serafine półgłosem, kiedy maszerowaliśmy za Ósmą Lancą przez bramę na plac Świątynny.

– Nie wywołuj wilka z lasu – odparłem równie cicho. Varosch sprawdził po raz setny swój bełt.

W przeważającej części było tak, jak mówił Blix. Niekiedy mieszkańcy miasta tylko stali i wystarczyło odsunąć ich łagodnie na bok, ale czasem nas atakowali. Po raz pierwszy nastąpiło to wtedy, kiedy przekraczaliśmy ostatnią ulicę przed placem Świątynnym.

Byki przed nami unieśli tarcze, co zasłoniło mi widok, a potem rozległy się krzyki i szorstkie rozkazy. Następnie jeden Byk zameldował, że grupa sześciu albo siedmiu mieszkańców rzuciła się jak szalona na cesarskich żołnierzy, podjudzana przez kaznodzieję, który przewidująco trzymał się na uboczu. Został trafiony nie jednym, a czterema bełtami i zginął u naszych stóp. Nie mieliśmy się z czego cieszyć, bo jego śmierć bynajmniej nie zakończyła szaleństwa, pogrążeni w obłędzie nie odpuścili, dopóki nie zostali wybici do ostatniego. Odchodząc, brodziliśmy we krwi; obrazem, który wrył mi się w pamięć, by powrócić w koszmarach, był widok wąskiej kobiecej dłoni miażdżonej ciężkimi wojskowymi buciorami.

– Mają to przeciwiczone, stąd ten ich krótki krok – rzuciła do mnie cicho Serafine. – Kiedy legiony maszerują, nigdy się nie zatrzymują. Pojedynczy legionista nic nie jest wart, każdy z żołnierzy potrzebuje obok siebie innego, choćby tylko dlatego ćwiczą marsz równym krokiem.

Skinąłem głową. Nic dziwnego, że Byki cieszyły się taką sławą, dla przeciwnika musieli stanowić przerażający widok. A jednak kiedy ciężkie trzewiki tupały po martwym ciele, myślałem o modlitwie. Tylko co miałem powiedzieć bogu? Że żałuję, że tutaj jestem? Dokonałem wyboru, takie były konsekwencje.

Jakby bogowie nie chcieli oglądać tej jatki, od morza nadciągnęły ciężkie chmury, niebo pociemniało, a grzmoty i błyskawice eskortowały nas, podczas gdy ciężkie krople deszczu zmywały z naszych zbroi pył i krew, którą musieliśmy przelać. Spływały czerwonymi strumykami.

Choć spotkało się to z protestem Wendisa, długo nie wytrzymałem za tarczami, za mało przez to widziałem i prędko się nużyłem.

Przedarłem się naprzód. Do pierwszego szeregu mnie nie wpuścili, mimo to mogłem teraz na własne oczy oglądać, jak wdrażano moje rozkazy.

Co innego było słuchać, że ludzie zachowują się jak zwierzęta, a co innego to zobaczyć. Jakiś młody mężczyzna z wybałuszonymi oczami próbował wgryźć się w okutą żelazem tarczę, warcząc niczym zdziczały pies, innym razem widziałem siedzącą na ulicy dziewczynkę, która wpatrywała się w nas pustym wzrokiem, gryząc własną rękę. Powoli rozumiałem, co chciała powiedzieć Zokora, mówiąc, że ma tych ludzi za straconych. Czasami, z rzadka, znajdowaliśmy kogoś, kto błędził przez miasto, nie zwracając na nas uwagi.

Królewskie miasto miało upodobanie do papyry i raportów, byłem pewien, że gdzieś jakieś Pióro starannie zapisywało, ilu ludzi zabiliśmy tego dnia; jednak obojętnie, jaka to była liczba, była za wysoka...

Jeden z kaznodziejów dał nam dowód, że są wśród nich nekromanci. Nie uciekł, tylko stanął nam na drodze i otworzył usta, posyłając ku nam ciemną chmurę. Tuzin bełtów wbiło się w niego i powaliło na ziemię. Ale żołnierz, który nie zdążył w porę ominąć chmury, stracił lewą stopę; wyschła jak kawałek drewna.

Z Rozpruwaczem w rękę podbiegłem do martwego kapłana i przeciąłem mu gardło bladym ostrzem, ale nic nie nastąpiło; był już martwy.

– To jak z twoim mieczem – oświeciła mnie Zokora, razem z Varoschem bacznie wodząc wzrokiem po dachach domów wokół nas. – Śmierć kosztuje jedno życie, a łowca dusz poświęca jedną duszę za to, by móc ozdrowieć. Jeśli nie zrabował ich dużo, ostatecznie umiera sam.

Po tym incydencie Paltus potraktował ostrzeżenie poważniej. Następny, który wydał nam się kaznodzieją, zginął w chmurze bełtów, zanim zdążył mrugnąć okiem.

Kiedy ujrzeliśmy przed sobą świątynie, zauważyłem większą grupę zaślepionych, liczącą dobre dwie setki ludzi. Zebrali się wokół domu Borona i wyli jak stado wilków. Kiedy nas zobaczyli, niewielka część rzuciła się do ucieczki, a reszta ruszyła na nas dzikim stadem. Tym razem, kiedy żołnierze zwarli przede mną szyki, a Wendis niemal siłą pociągnął mnie do tyłu, nie protestowałem.

Nazwanie tego bitwą byłoby przesadą, słowo „jatka” było trafniejsze. Straciliśmy kolejnego żołnierza, który został wyciągnięty z szeregu i powalony na ziemię. Kiedy go odciągnęliśmy z powrotem, było za późno; wbili mu przez przyłbicę drewniany kołek.

Ciemne chmury i deszcz, grzmoty, błyskawice i dogorywające tu i ówdzie ognie nadawały scenerii coś nierzeczywistego, tym bardziej że słyszałem jedynie krzyki, a nie widziałem walki, tylko zakrwawione miecze albo groty krótkich włóczni, z których skapywała krew.

Raz po raz recytowaliśmy słowa Borona, stały się naszą modlitwą, która coraz bardziej zyskiwała na żarliwości, im więcej krwi spływało na nasze trzewiki. Sam łapałem się na tym, że powtarzałem na głos jego słowa... ale stanowiły niewielką pociechę. Ci opętani szaleństwem ludzie nie byli wrogami, lecz jego ofiarami. Nie pomagało traktowanie ich śmierci jako boskiego dzieła.

Kiedy stalowa ściana Byków rozstąpiła się przede mną i ujrzałem stopnie schodów świątynnych, było tuż po trzecim dzwonie. Oczyszczenie placu Świątynnego trwało o wiele dłużej, niż myślałem.

Początkowo świątynię Borona opuszczały pojedyncze osoby, potem próg przekraczało coraz więcej ludzi i rozglądało się z niedowierzaniem. Na koniec wyszły z nich setki, śmiejąc się i płacząc albo tylko spoglądając w milczeniu i w szoku na to, co spowodowały ostatnie dni.

Znałem mężczyznę, który wyszedł na schody pierwszy. Nazywano go bratem Recardem, był najwyższym kapłanem w tej świątyni. Od ostatniego razu, kiedy widziałem go kilka tygodni temu, postarzał się o lata.

Dotarcie tutaj zajęło nam trzy świece, teraz też wszystko działo się dla mnie za wolno. Zbyt wiele było tu do zrobienia, plac Świątynny był sercem miasta, nie mogliśmy po prostu pójść dalej.

Mój plan oczyszczenia miasta nadal mógł się powieść, choć może nie dostatecznie szybko, żeby powstrzymać kolejne nieszczęście. Zokora poganiała mnie coraz bardziej, obawiała się, że kapłan wkrótce osiągnie wystarczającą moc, żeby wyłamać bramy zamku. Znowu potrzebny był nowy plan.

Jeszcze nie tak dawno nie sądziłem, aby tenet żołnierzy musiał pilnować tej świątyni, teraz stało tu w równych szeregach czterystu legionistów i pochylało głowy, kiedy brat Recard ze schodów dziękował i przekazywał błogosławieństwo Borona.

Rannych i żołnierza, któremu nekromanta ususzył nogę, zanieśliśmy do świątyni, gdzie się nimi zajęto.

Podczas gdy my omawialiśmy sytuację z bratem Recardem, uzbrojone patrole zaatakowały kolejnych szabrowników. Wśród nich był mężczyzna, który niósł zakrwawione szaty jednej z kapłanek Astarte i śmiał się jak szaleniec. Śmiał się jeszcze, kiedy ścięto mu głowę.

Na placu Świątynnym stały trzy z siedmiu spichlerzy zbożowych w mieście. Zastaliśmy je niemal nietknięte. Jeśli miałem rację i kaznodzieje mieli przygotować miasto do przejścia przez wroga, to miało to sens. Oprócz piekarni w świątyniach były jeszcze cztery inne, usytuowane przy placu. Ich budynki były bezpieczne i rozpalano już w piecach. Najpierw jednak sami splądrowaliśmy gospody.

Gdy chcieliśmy nabrać wody z dużej studni na placu, Zokora nas powstrzymała. Upiła łyk z zaczerpniętej wody i natychmiast wypluła.

– To jednak woda? – zapytałem ją.

– Tak jak przypuszczałam, obłąd nie pochodzi od magii – wyjaśniła i wypłukała usta mocnym winem. – Woda jest zatruta, nawet rozpoznałam w tej próbce rodzaj trucizny. – Splunęła i spojrzała na stertę trupów, ułożoną niedaleko świątyni Borona. Miał tam powstać kolejny stos, żeby spalić zwłoki. – To tłumaczy sporą część z tego, czego nie rozumieliśmy. Kto się napije tej wody, staje się umysłowo ociężały, zapomina, że posiada własną wolę. Gdy się mu powie, co ma robić, robi to, gdy nic mu się nie powie, siedzi i czeka.

– Nic dziwnego, że ludzie nadal siedzą w domach i nic nie robią – zauważył z odrazą Varosch.

– Tak. Ale gdy się jej spożyje zbyt dużo, całkowicie traci się kontrolę i podąża za zwierzęciem w sobie. Możliwe, że mimo wszystko będą zdolni powrócić do normalności, jeśli da im się czas, aby trucizna opuściła ciało. – Spojrzała na mnie. – Powinniśmy sprawdzić, czy kaznodzieje, których zabiliśmy, mają przy sobie jakieś trucizny albo proszki. Może jest na to odtrutka i da się uratować ofiary od obłądu.

Mieszkańcy tego miasta leżeli tam otruci, z pomieszаныmi zmysłami, a potem zabici przez nas, choć może była jeszcze dla nich nadzieja.

Święte źródło w świątyni Borona nie było zatrute, błogosławieństwo boga utrzymywało wodę w czystości, ale czy wystarczy jej dla wszystkich, nie można było się jeszcze powiedzieć. W tej chwili miałem poczucie, że nigdy nie piłem czegoś równie cennego.

Od Blixa dowiedziałem się, że kaznodzieje doskonale wiedzieli, co tu robiliśmy, ale nie podejmowali żadnych działań przeciwnych. Przy bramach widziano tylko mieszkańców o pomieszanych umysłach; walili we wrota pięściami albo głową, aż do krwi.

Dochodziłem coraz bardziej do przekonania, że te wojska Thalaku rzeczywiście istniały i ciągnęły na Aldar. Kiedy Blix doniósł, że jego zwiadowcy zastali bramy miejskie otwarte na oścież, zyskałem taką pewność, jaką tylko mogłem mieć bez zobaczenia oddziałów na własne oczy.

Wszystko tu trwało dla mnie za długo. Bramy na plac Świątynny pozamykano i w tej chwili wydawały się bezpieczne, ale reszta miasta nadal znajdowała się w ręku Białego Płomienia.

Tylko raz zdołaliśmy pojmać żywego kaznodzieję, ale nie na długo, bo choć był zakneblowany i związany, udało mu się połknąć własny język. Miał przy sobie

woreczek zawierający resztki szarawego proszku. Zokora spróbowała go ostrożnie, a potem kilkakrotnie wypłukała usta mocnym winem, po czym skinęła głową.

– Jest bardzo podobna do trucizny, którą znam. Działa powoli i długo. Zazwyczaj nie jest zabójcza, ale to potrwa dobre trzy noce, zanim jej działanie ustanie.

– Miał przy sobie odtrutkę?

Pokręciła głową.

Trzy noce.

– Więc Thalak nie chce miasta pełnego zmarłych, tylko miasta bezbronnego – stwierdziłem. I dobrze przypuszczałem: każdy, kogo zabiłszy, mógłby dalej żyć.

To nie była wojna, jaką znałem, w której na polu bitwy stawały naprzeciwko siebie armie. To był podstęp i zdrada!

– Nie mamy wystarczająco dużo żołnierzy, żeby spędzić szaleńców w jedno miejsce i trzymać ich pod dozorem tyle czasu – stwierdził z ponurą miną Wendis. – W dodatku, jak widzieliśmy, oni są w tym obłędzie niebezpieczni.

– Potrzebujemy mieszkańców – orzekłem. – Muszą pomóc, jest nas za mało.

Udałem się do brata Recarda i przedstawiłem sytuację. Był wstrząśnięty i obiecał, że wyśle kapłanów, żeby wezwali ludność do przywrócenia porządku i złagodzenia najgorszego kryzysu. Wręczyłem mu próbkę trucizny, ale nie dał mi zbyt wiele powodów do nadziei. Uważał, że modlitwą i łaską bogów niektórych mimo wszystko udało się uratować. Zaproponował, żeby sprowadzać do świątyni niewielkie grupki ogarniętych obłędem, tak aby mogła dotknąć ich łaska Borona, a bóg oczyścił ich w modlitwie i pokorze. I osądził tych, którzy dopuścili się przestępstw.

Varosch uśmiechnął się pod nosem, kiedy o tym usłyszał.

– W ten sposób brat Recard ściągnie do swojej świątyni nawet tych, którzy do tej pory starannie jej unikali.

Niech sobie bóg osądza tych, których uzna za winnych, najważniejsze, żeby uwolnił od obłędu mieszkańców, potrzebowaliśmy na gwałt pomocy.

Wziąłem majora Wendisa na stronę i wyjaśniłem mu, czego od niego oczekuję, przekazałem mu dowództwo nad oddziałami, z wyjątkiem Drugiej Lancy Trzecich Byków, która miała pójść ze mną, i poinstruowałem go, żeby szukał ochotników wśród mieszkańców Aldaru.

Przedtem jednak brat Recard wygłosił kazanie na schodach świątyni, wyjaśnił wolnym od obłędu ludziom, że wiemy o planach Białego Płomienia, a kaznodzieje byli na usługach cesarza nekromanty, i o tym, co się działo z duszami dzieci, rzekomo oczyszczanymi przez Białą Płomień. Ludzie początkowo nie chcieli wierzyć w te słowa, nawet jeśli padały z ust kapłana Borona... potem jednak zobaczyłem, jak

wzbiera w nich gniew sprawiedliwych. Kiedy opowiedział o truciźnie, sytuacja się odmieniła.

Najważniejszą cechą Aldańczyka była jego przerośnięta duma. Kiedy dowiedzieli się, że zostali okpieni, otruci i zaślepieni, zapalali gniewem niemal równie przerażającym jak sam obłąd. Jedno było pewne, teraz już mieliśmy ochotników, których potrzebowaliśmy. Teraz wszystko leżało w rękach majora Wendisa, żeby powstrzymać ludzi przed samowolnym przeczesywaniem ulic i zabijaniem kaznodziejów.

– Wszystko zależy od tego, czy i kiedy pojawią się tutaj te wojska – wyjaśniłem majorowi Blixowi, którego wzięłem na stronę następnego dnia. – Jeśli została tu jeszcze jakaś władza, znajdziemy ją na zamku. Musimy działać, zanim dopełni się rytuał. Ale nawet jeśli nam się to uda, nie będziemy mieli pewności, czy miasto będzie w stanie oprzeć się armii Thalaku. Przekazałem dowództwo majorowi Wendisowi, ma oczyścić miasto z szaleńców i kaznodziejów, teraz potrzebuję was i waszej lancy, aby dotrzeć do zamku i wywieźć księcia z miasta.

– O ile ta armia naprawdę istnieje.

– Tak – przyznałem i rozejrzałem się wokół, powiodłem wzrokiem po placu Świątynnym, gdzie nadal snuły się bezradnie pojedyncze osoby. – O ile ta armia istnieje. Tylko że ja nie mogę liczyć na pomyłkę. Musimy działać, jakby to było pewne.

– A więc chcecie zostawić miasto na pastwę losu?

– To jego własny los. Mury miejskie, jak słyszałem, są mocne i wysokie. Trzy noce, Blix, i ludzie przebudzą się z tego szaleństwa. Będą osłabieni, ale to minie. Pod dobrym przywództwem utrzymanie miasta będzie możliwe. Jednak gdyby wróg zjawił się pod bramami wcześniej, nie wiem, jak je obronić. Miejmy nadzieję, że mamy jeszcze te trzy noce. Jeśli miasto da odpór wystarczająco długo, wtedy niewykluczone, że będziemy mogli wysłać posiłki.

– Jak? – spytał Blix z niedowierzaniem. – Chcecie wysłać żołnierzy na grzbietach gryfów?

Myślałem raczej o portalu w zbrojowni. Nie było stamtąd powrotu, ale jednokierunkowo portal nadal spełniał swój cel.

– Może również i tak. Ale moje rozkazy są jednoznaczne... trzeba zabrać księcia w bezpieczne miejsce. – Wskazałem ręką na wały. – Pójdziemy tym chodnikiem obronnym i spróbujemy dotrzeć do zamku. To pierwszy krok, a potem się zobaczy.

– Dobrze – odparł Blix z przelotnym uśmiechem. – Zbiorę swoich ludzi, Grenski będzie rada słyszeć, że jest robota. Nudzi jej się, a to odbija się na mnie.

Popatrzyłem za nim skonsternowany.

– Musimy zdemaskować tego mrocznego kapłana pod zamkiem! – ponagliła mnie Zokora. – To jest pierwszy krok, nic innego!

– Tak, trzeba go zabić. Zobaczymy, czy go znajdziemy, a potem ustalimy, *jak* go zabić.

– To za długo trwa, Havaldzie – powiedziała z powagą. – Sama go poszukam i odeślę do jego mrocznego boga... a ty mi w tym nie przeszkodzisz.

– Ale mogę cię prosić, żebyś z tym zaczekała.

Popatrzyła na mnie oczami, w których widać był głęboki żar.

– Daję ci dwa dzwony, jeśli wtedy nie będzie martwy, sama pójde na polowanie.

– Niech tak będzie – zgodziłem się i rozejrzałem za Serafine, ale nigdzie nie było jej widać.

Znalazłem ją pogrążoną w rozmowie z najwyższą kapłanką Astarte, która trzymała w rękach Łaskę. U stóp Serafine stała porządnie zbita skrzynka, zawierająca szczątki Sowy.

Kiedy mnie ujrzała, pożegnała się z kapłanką, która w zadumie ważyła w dłoniach Ostrze Spójni i spoglądała w naszą stronę.

– Trudno ci było ją oddać? – zapytałem ją cicho, kiedy wyszliśmy ze świątyni.

– Nie. Mówiłam ci, że nie była dla mnie przeznaczona... tylko ją przechowałam, tak jak robiłam to z Rozpruwaczem. Łaska jest dla mnie zbyt naiwna, o ile można tak powiedzieć o mieczu. – Położyła dłoń na moim ramieniu. – Ale nie mówmy już o niej. Jak się czujesz? Co teraz robimy?

– Czuję się wystarczająco dobrze – odparłem. – A teraz zajmiemy się wypełnieniem naszej misji.

Major nie był zbyt uszczęśliwiony, że chciałem zabrać ze sobą Drugą Lancę.

– Jesteście generałem – orzekł z powagą Wendis. – Powinniście zostać tutaj pod świątynią, żeby ludzie mogli was widzieć.

– Dlaczego? Na co to komu? – zdziwiłem się.

– Żeby wszyscy zobaczyli, że jest ktoś, kto wie, co należy robić, i kto podejmuje decyzje.

Spojrzałem na schody świątyni. Były teraz puste, ale rozumiałem, co ma na myśli Wendis. Sam też byłbym rad, widząc tam kogoś, kto mi powie, co jest właściwe, a co nie.

– Trzymajcie się waszej książki – rzekłem w odpowiedzi. – Z tego, co widziałem, zawiera przemyślane rady.

– Ale ja jestem wyszkolony do wojny na morzu! – zaprotestowałem, spoglądając z takim smutkiem, że musiałem siłą powstrzymać się od uśmiechu.

Zanim odeszliśmy, chciałem się jeszcze dowiedzieć jednego. Pobiegłem na drugą stronę placu do świątyni Soltara, gdzie najwyższym kapłanem był chudy mężczyzna, który nie zwrócił na mnie uwagi. Stał tylko i przyglądał się, jak wynoszą ze świątyni ciała. Podszedłem do jednego ze zmarłych, wynoszonego przez dwóch uczniów. Nie miał widocznych ran.

– Wiecie, co się stało? – spytałem ucznia, który ciągnął trupa za nogi. Dla mnie to, że bóg pozwolił na plądrowanie jego świątyni, zanim interweniował, nie miało sensu.

– Najwyższy kapłan nam to wyjaśnił. Jeden z szabrowników ściągnął bogu kaptur z twarzy. Każdy, kto potem na niego popatrzył, natychmiast był wzywany do bram Soltara, aż kapłan poprawił szatę.

Boron prezentował swe oblicze niczym niezasłonięte, Astarte raz do roku pokazywała się wiernym w całej swej piękności, tylko u Soltara oglądanie twarzy boga było zabronione. Nigdy nie rozumiałem, że tak surowo to karał, dla mnie nie miało to żadnego sensu.

42

PRYZYMAKI

O czwartym dzwonie znowu zadźwięczały wszystkie świątynne dzwony. To musiało ostrzec Biały Płomień, ale na ulicach nadal nie wydarzyło się nic nowego, można było wręcz odnieść wrażenie, że po mieście snuje się już mniej obłąkanych.

Pożegnaliśmy się z Wendisem i Recardem i poszukaliśmy najbliższych schodów na chodnik obronny.

– Nic dziwnego, że stąd spadł – stwierdził Blix, oglądając szerokie, ale strome schody. – To nie są schody dla konia. Jaki jest wasz plan, generale?

Obejrzałem się na sierżant Grenski. Zaganiała żołnierzy Drugiej Lancy jak pies pasterski, z tą różnicą, że pies na pewno tak soczyście nie kłął. To, co przeżyłem u Rellin, stanowiło jedynie namiastkę; byłem naprawdę pod wrażeniem, z jaką lekkością Byki pokonywały strome stopnie.

– Idziemy chodnikiem aż do zamku, tam musi być jakieś połączenie. Jeśli jest drożne, uzyskamy dojscie do zamku. Potem zobaczymy dalej.

– Najpierw musimy znaleźć tego kapłana – upierała się Zokora. – Inaczej wszystko, co chcesz osiągnąć, będzie daremne.

– To tylko kapłan – próbowałem ją zbyć. Co było błędem, jak się okazało.

– On chce służyć Omagorowi i wszystkim, co robi, krok po kroku sprowadza tego boga na nasz świat! – odpyskowała. – Nie lekceważ go!

– Pokonałaś jednego z nich na Wyspach Ognistych – przypomniałem jej. – To chyba nie był wielki problem.

– Tamten nie więził w mrocznym tańcu stada przez wiele dni!

– Zokoro – zacząłem ostrożnie, kiedy dotarliśmy na szczyt chodnika i skierowaliśmy się na północ. – Obawiasz się, że ustępujemy mu pod względem siły?

Zawahala się ledwie dostrzegalnie.

– Nie – odparła mężnie. – Solante jest ze mną, mogę na niej polegać!

– Musisz to zrobić ty czy wystarczy, że on zginie?

– Musi umrzeć, to wszystko.

– To pozwól mi to zrobić – poprosiłem i popatrzyłem znacząco na jej wciąż płaski brzuch.

– To mój obowiązek – upierała się, ale tym razem do rozmowy wtrącił się Varosch.

– Masz też inne obowiązki, Zokoro – powiedział łagodnie i chociaż początkowo się wzbraniała, wziął ją w ramiona i przytulił. Odwróciliśmy wzrok i poszliśmy.

– Dlaczego ona się tak niepokoi? – spytał Blix cicho.

– Nie możemy lekceważyć tego kapłana. Ona ma rację, jest niebezpieczny.

– Jeśli istnieje.

– Majorze – powiedziałem równie cicho jak poprzednio; Zokora miała dobry słuch, a ja nie chciałem, żeby nas słyszała. – Nie znacie jej, inaczej wiedzielibyście, że nie ma w zwyczaju się mylić.

Chodnik był szerszy, niż myślałem, zwężał się tylko tam, gdzie były wieże. Znaleźliśmy na górze jednego czy dwa trupy, ale nadal było spokojnie i nie napotkaliśmy na żaden opór. Z wyżyn wału można było spoglądać na miasto. Deszcz ugasił większość pożarów, a teraz, gdy ciężkie chmury nieco się rozstały i dachówki błyszcząły jak świeżo umyte, dziwnie było oglądać je takim spokojnym. Z góry widać było pojedyncze zwłoki na ulicach, niemal nic się nie poruszało, a jeśli już, to tylko niekiedy jakiś pies. Za oknami migały czasem twarze, spoglądające trwoźnie, ale nikt nie odważył się wyjść.

Raz zobaczyliśmy na ulicy coś, co odebrało nam oddech. Dwaj mężczyźni jedli trupa kobiety, niczym psy, z zakrwawionymi ustami i warkotem, który słychać było aż tutaj.

Na mój znak Varosch podszedł do barierki, pobłogosławił bełt, oparł kuszę i powoli wypuścił z płuc powietrze.

Bełt wystrzelił z tąpnięciem. Na ten dźwięk jedna z ludzkich hien podniosła wzrok. Bełt wbił jej się między oczy. Mężczyzna przechylił się i zwałił na zwłoki, drugi zamarł na chwilę, po czym wgryzł się w rękę tamtego.

– Dobry strzał – stwierdziła beznamiętnie sierżant Grenski. – Mam nadzieję, że możecie go powtórzyć.

Varosch z kamienną twarzą ułożył na cięciwie drugi bełt i wystrzelił. Drugi z obłąkanych legł nieruchomo.

Poszliśmy dalej.

Kroki ciężko uzbrojonych żołnierzy brzmiały w moich uszach zbyt głośno, ale trudno tego było uniknąć... a ci, których widzieliśmy na ulicach, nie reagowali na nie.

W innym miejscu paru mieszkańców zebrało się na odwagę i wyszło z domów. Widzieliśmy, jak grupka otoczyła jednego obłąkanego, próbując go uspokoić, ale warczał jak zwierzę, tak głośno, że słyszeliśmy go aż tutaj, ale nikt nie spojrział w górę na blanki.

– Gdy już znajdziemy tego kapłana, jaki jest plan? – spytał Blix, kiedy dobiegł nas odgłos bębnow. Odpowiedziała mu Zokora:

– Gdzieś będzie stał mroczny kapłan z bębnami. To jego musimy zabić.

– Naturalnie! – zawołał Blix. – Zastanawiam się, czemu nie wpadłem na to wcześniej.

Uniosła brew.

– Pomyślałam dokładnie o tym samym.

Zignorowałam ich słowne przepychanki.

– Wasza lanca powinna się tu zatrzymać. Nie wiemy, jak działają te bębny, kaźcie więc ludziom zająć pozycje tutaj. Kiedy bębny umilkną, niech ruszą za nami do zamku, ale dopiero wtedy.

– Grenski... – Blix zwrócił się do swojej sierżant.

– Wiem, wy pójdziecie z generałem – rzekła. – A ja z wami. – Grenski przywołała do siebie mocno zbudowanego sierżanta miecza. – Avron – rzuciła. – Słyszeliście, co powiedział generał. Czekaćcie tutaj i ruszacie naprzód, kiedy umilkną bębny.

– Tak jest, sera sierżant – odparł Avron, ukazując w uśmiechu mocne zęby. – Odpoczywamy, aż przestaną bębnić. Myślę, że to ogarniemy.

– A my, jak to zrobimy z bębnami? – spytał Zokorę, kiedy powoli poszliśmy dalej.

– Jak to jak? Po prostu nie będziemy ich słuchać.

– Ale jak? – zapytał Blix. – Przysięgłam, czuję w kościach ich bębnienie!

Westchnęła i sięgnęła do pasa. Otworzyła torbę i wysypała na dłoń coś ze zwiniętej w rulonik papyiry. Podetknęła mi pod nos. Na jej ręce leżały małe, czarne obiekty. – Niech każdy weźmie do ust po jednej z łusek. Są pobłogosławione i opatrzone runami Solante. Dopóki będziecie je trzymać w ustach, nie będziecie słyszeć bębnów.

Nie tylko Blix spoglądał z powątpiewaniem na to, co leżało na jej dłoni. Łuski przypominały mi coś, czego nie chciałem pamiętać.

– Nie możemy po prostu wetknąć ich sobie w uszy?

– Bębny dotykają duszy, zatykanie uszu nic nie pomoże. Choć ludzie i tak są głusi z natury.

– Skoro tak mówicie – rzucił z galanterią Blix i zamarkował ukłon. – Przynajmniej zrozumiałem pierwszą część. Co to za skorupy?

– Pająki runiczne – odrzekła Zokora.

Bogowie, pomyślałem z odrazą, ona chyba nie mówi serio!

– Mniem – stwierdził ze śmiechem Blix. – Zawsze chciałem spróbować czegoś takiego!

– Wiem, że są smaczne i przyjemnie chrupią między zębami, ale nie możecie ich jeść, jeśli nie chcecie zasnąć – wyjaśniła poważnie Zokora. Nawet u Grenski zadrgały kąciki ust.

– Dobrze, że nam o tym przypominasz – rzucił Varosch, uśmiechając się pod nosem.

– Mogą też być kandyzowane – ciągnęła Zokora. – Ale mi się skończyły.

– Dziękuję – powiedziała uprzejmie Serafine. Ostrożnie dotknęła skorupy. Przynajmniej nie miała już nóżek. Pozostali nie mieli większych oporów, tylko ja stałem jeszcze i się ociągałem. Bogowie, jak ja nienawidziłem pająków!

– Havald? – zagadnęła Serafine. Nie wiem, jak mi się to udało, ale wzięłem łuskę do ust. Zamrowiła na języku – i przestałem słyszeć bębny.

– To nawet działa – wymamrotał zdumiony Blix.

– Naturalnie – rzekła Zokora. – Inaczej bym wam tego nie dawała.

Ostrożnie posuwaliśmy się dalej. Bębny były coraz bliżej i jęły szarpać mi umysł. Nie trzymały taktu, raz cichły, raz waliły głośniej, raz były szeptem, raz mocnym uderzeniem, które zdawało się wibrować we mnie w środku. Chyba doskwierał mi brak snu, bo ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. To, co próbowaliśmy osiągnąć, wydało mi się mało sensowne, niech bogowie kłóćą się między sobą i dadzą mi spać w spokoju.

Zokora, idąca przodem, uniosła rękę i wskazała coś w oddali. Niedaleko dojścia do zamku stał mężczyzna, obojętny na bębny, spoglądający na plac poniżej.

Nie miał na sobie zbroi ani munduru, tylko ciemną szatę, i jeszcze nas nie zauważył. Obok niego na ziemi leżało dwóch strażników. Nie spali; ciemne plamy rozlewały się pod ich głowami.

Na mój znak Varosch podszedł do balustrady, wymierzył i strzelił. Kaznodzieja runął na ziemię i znieruchomiał.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Varosch.

Ruszyliśmy dalej. W miejscu, gdzie wał miejski przechodził w chodnik obronny, stała szeroka, okrągła baszta o średnicy dwudziestu kroków. Na jej szczycie widniały dwie stare katapulty. Ich drewno było popękane, a rzemienie i liny zmurszałe.

– Co tu się stało? – spytałem.

– Mogę wam powiedzieć, generale – odpowiedział Blix z goryczą. – Przestali pielęgnować katapulty, nie wymienili na nowe, tylko je tu po prostu porzucili. Nigdy nie były potrzebne, więc po co o nie dbać? Uznali za sensowniejsze inwestować w wystawne gmachy albo nowe pałace, które tak tutaj kochają.

– Tak, jasne – odparłem ponuro. – Widać, jakie to sensowne!

Dotarliśmy do miejsca, gdzie chodnik przez most zwodzony łączył się z wałem obronnym zamku. Po drugiej stronie, w odległości dziesięciu kroków, wał kończył się

niedużym domem bramnym z podciągniętym mostem zwodzonym, wbudowanym w mur tak, że nie dawał żadnego punktu oparcia.

Po obu stronach miał nieduże balkониki. Na każdym z nich rozpoznałem po dwóch kuszników w barwach Aldańczyków. Leżeli oparci na poły na balustradzie, na poły na swej broni i spali jak dzieci.

Ziewnąłem. Najchętniej udałbym się w ich ślady. Zokora obróciła gwałtownie głowę w moją stronę.

– To nic – uspokoiłem ją. – Tylko jestem zmęczony.

– Nie widzę sposobu, jak moglibyśmy przedostać się na drugą stronę – stwierdził zmartwiony Varosch i podrapał się po głowie. – Ma ktoś może kotwiczkę? – Popatrzył pytająco, ale wszyscy pokręciliśmy głowami.

– Zawsze jest jakiś sposób – stwierdziła Zokora i przeskoczyła na zewnętrzną stronę blanków.

– Co zamierzasz zrobić? – spytałem. W pierwszej chwili nie zamierzała odpowiedzieć. Varosch wypowiedział cicho jej imię. Zamarła, obejrzała się na niego, a potem na nas.

Wskazała na stromy dach nad chodnikiem.

– Jeśli skoczę stamtąd, wydłużę lot.

– Ona jest szalona – stwierdził Blix. – Chyba jakoś ją lubię.

– Dach jest tak stromy, że nie dasz rady się rozpędzić – ostrzegła Serafine. – Jeden fałszywy krok i spadniesz!

– Nie zamierzam robić fałszywych kroków – rzekła Zokora i podciągnęła się na dach.

– Zaczekaj! – zawołałem. Chwyciła się czegoś, czego nie mogłem zobaczyć, podskoczyła do góry jak kotka i złapała jedną ręką za krawędź. Przytrzymałem się belki i wychyliłem na zewnątrz.

– Zokora! – zawołałem. – Musi być inny sposób.

– Na pewno jest – krzyknęła w odpowiedzi. – Ale nie mamy czasu! Patrz! – Wycelowała ręką w zachmurzone niebo. Nad zamkiem krążyły wiwerny, niektóre schodziły już do lądowania. – Podczas gdy my tu sobie gadamy, jeźdźcy wiwern zabijają kogo popadnie. – Przeszła kawałek i obróciła się do nas. – To tylko parę kroków – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie z góry. – Po prostu nie patrz.

– Tak! Dziesięć kroków! Żaden człowiek, nawet elfy nie skaczą tak daleko! A fosa w dole jest najeżona włóczniami! Ty... – Cokolwiek chciałem powiedzieć, zapomniałem języka w gębie, kiedy wyjęła spod kolczugi swój totem. Mógłbym przysiąc, że do mnie mrugnęła, zanim go pocałowała. Później nie wiedziałem już, czy mój wzrok mnie myli, ale przez chwilę wydawało mi się, że widzę nie Zokorę, lecz

wielkiego, widmowego kota o ciemnych ślepiach i białych zębach, który przyczaił się, wystrzelił naprzód – i skoczył!

– Bogowie! – zawołał Varosch, patrząc, jak niemożliwym łukiem przeleciała nad przepaścią. To nie kot leciał, tylko ludzka sylwetka. W chwili, gdy skoczyła, zmieniła z powrotem postać.

– Coś mi się wydaje, że ja ją nie tylko lubię, ale zaczynam kochać – stwierdził Blix, wywołując uniesienie brwi u Grenski i znaczące spojrzenie Varoscha.

Taki skok zwykle kończył się twardym lądowaniem. Kiedy Zokora wylądowała na balustradzie lewego balkonu, usłyszeliśmy jej głuchy jęk, kiedy tąpnięcie odebrało jej oddech. Przez dłuższą chwilę obawialiśmy się, że nie złapie się w porę, ale ona podciągnęła się po balustradzie i przeszła na czworakach – tym razem bez swej zwykłej gracji – nad jednym ze śpiących żołnierzy, po czym zniknęła w domu bramnym. Zaraz potem rozległ się brzęk spuszczanego mostu.

– Jak to zrobiłaś? – spytała wstrząśnięta Serafine, kiedy Zokora, uśmiechając się lekko, wyszła nam naprzeciw. Nie była nawet zdyszana.

– Chcecie podziwiać mnie dalej czy pomożecie mi w końcu zabić tego kapłana?

Ledwie przeszliśmy, pociągnęła nas dalej chodnikiem. Przeskoczyliśmy nad śpiącymi obrońcami, aż wreszcie zobaczyliśmy miejsce, skąd dochodziło bębnienie.

Była to platforma obronna nad bramą zamku, na której stał mroczny kapłan, ciemny elf w czarnym ornacie Omagora, niemy i nieruchomy, z wyciągniętym w stronę zamku czarnym kijem zwieńczonym trupią czaszką. Przed sobą miał kilka bębnow z czarnego drewna, na których widniały jarzące się słabo runy. Nie chciałem nawet wiedzieć, jaka istota poświęciła swoją skórę na bębny. Kapłan wcale w nie nie uderzał, pałki z białych kości same tańczyły po membranie, bez udziału jego rąk.

Zokora miała rację: nie przeszkadzało mu, że brama zamku nadal była zamknięta.

Za nim widniały blanki bramy, a jeszcze dalej fosa z wodą najeżona ostrymi włóczniami. Potem widziałem część placu paradnego, gdzie na ziemi leżały pokotem setki ludzi, niektórzy jeszcze się poruszali, ale większość była nieruchoma.

Pod kapłanem rozciągał się dziedziniec zamku, na którym siedziały cztery wiwerny, uczujące spokojnie na bojowych rumakach i dwóch gwardzistach. Z zaskakującą zwinnością zębiskami i szponami wydłubywały ciała ze zbroi, po czym wygryzały z nich kawałki mięsa. Fragmenty zbroi, kałuże krwi, samotna tylna noga zakończona kopytem i jedna ręka, wciąż trzymająca topór, wskazywały na to, że uczta trwała już od jakiegoś czasu.

Kiedy przyglądałem się czarnemu kapłanowi, znowu ogarnęło mnie potworne zmęczenie. Ziewnąłem i oparłem się o blanki, moment później poderwałem się

i spojrzałem prosto w żarzące się czerwienią oczy Zokory. Złapałem się za piekący z bólu policzek.

– Nie patrz na bębny – syknęła.

Blix osunął się obok mnie; zdążyłem go złapać, zanim rąbnął o ziemię. Varosch trzymał już sierżant Grenski. Strzeliłem Blixa mocno w twarz, otworzył na chwilę oczy i spał dalej.

Zokora odsunęła mnie, zajrzała mu do ust i pokręciła głową.

– Zjadł ją – powiedziała z pretensją. – Po co go ostrzegałam?

Miałem pewne wątpliwości, czy zjadł ją umyślnie. Grenski wypluła swoją łuskę, upadając.

– Masz więcej tych łupin? – spytałem.

– Jeszcze jedną. – Zokora spojrzała na leżącą u jej stóp parę i pokręciła głową. – Ale wolę ją zachować, są przydatne również do innych rzeczy.

– Możesz coś jeszcze dla nich zrobić?

– Położę ich tak, żeby się nie zadławili, niech śpią. Obudzą się, kiedy zabijemy kapłana. Po co szli z nami?

– Może byli ciekawi albo chcieli pomóc? – podsunął Varosch, kiedy Zokora układała oboje na boku.

– Byli niezbyt użyteczni – orzekła sucho Zokora, wstała i popatrzyła w stronę kapłana. – Dobrze. Jest w głębokim transie, inaczej by nas zauważył. Ale jeśli pójdziemy chodnikiem, odkryje nas. Musimy działać szybko i zdecydowanie, inaczej tego nie przeżyjemy.

– Dobrze – powiedziałem. – Jak to zrobimy?

– Stoi plecami do fosy – zauważyła Serafine. – Chyba wiem, jak go zaskoczyć.

– Zaskoczenie to nie wszystko – stwierdziła Zokora. – Musimy go odciąć od bębnow, inaczej skieruje ich moc przeciwko nam.

– Czy wystarczy, jeśli go przerzucę do nas? – spytała ponuro Serafine.

– Tak. – Zokora skinęła głową. – To powinno wystarczyć.

– Więc jaki jest plan? – chciałem wiedzieć.

– Varosch wbije mu bełt w czoło, Serafine pójdzie po niego, a my obłożymy go ciosami – rzekła Zokora. – Jeśli będziemy robić to wystarczająco długo, umrze.

– Pobłogosławiłem bełt – powiedział Varosch i wymierzył.

– Finna, jak chcesz go...

– No to już – poleciała Zokora i wyjęła swój czarny miecz. Zaświszczał bełt, ciągnąc za sobą jasną smugę oślepiającego blasku. Wbił się kapłanowi w skroń.

Twarz Serafine zastygła, a ona sama zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Woda w fosie pode mną uniosła się błyskawicznie, uformowała na kształt ręki i chwyciła kapłana.

Nie miał szans zareagować. Tak samo szybko, jak go chwyciła, wodna ręka cisnęła go u naszych stóp na chodnik z takim impetem, że usłyszałem trzask łamanych kości.

Leżał mokry, broczący krwią i pogruchotany, z bełtem, który przebijał mu czaszkę na wylot. Nie ruszał się. Popatrzyliśmy po sobie.

– Łatwo poszło – stwierdził z uśmiechem Varosch.

Najwyraźniej kapłan był innego zdania, bo uniósł głowę. Wokół niej zgęstniała ciemna chmura, gruba i nieprzenikniona niczym bagno. Nawet Rozpruwacz był zbyt wolny, by odrąbać głowę. Mało tego, kapłan bez problemu uchylił się przed moim ciosem. Niemal niedbałym gestem wyciągnął z głowy bełt, który rozzarzył się w jego rękę i odpłynął, sypiąc popiołem; został po nim tylko grot.

– Łatwo, mówicie? – zagaił gawędziarskim tonem i zaśmiał się.

Podmuch wiatru przewrócił całą naszą czwórkę, docisnął Varoscha i Zokorę do ściany, mnie omal nie zdmuchnął przez balustradę. W ostatniej chwili złapałem się i zobaczyłem ku swemu przerażeniu, jak Serafine spada w dół.

Wybór był prosty. Puściłem Rozpruwacza i wyciągnąłem rękę za Serafine, ale dorwałem tylko rąbek ubrania, który pękł mi w dłoni. Z rozwartymi ze strachu oczami spadała do fosy, gdzie czekały na nią tuziny ostrych włóczni.

Nie wydała najmniejszego dźwięku. Może rzuciłbym się za nią, ale twarde uderzenie obróciło mnie i oderwało od balustrady. Padłem na ziemię i wbiłem tępy wzrok w kapłana.

Stał się na poły kotłującym dymem, z którego wyzierały żarzące się ciemno oczy. Trzymał za szyję Zokorę. Oburącz wpijała się w dymną łapę. Straciła miecz, oczy wychodziły jej z orbit, jeszcze moment, a kapłan złamie jej kark. Jakby tego było mało, w miejscu, gdzie ją trzymał, jej ciemną skórę pokrywał szron. Z każdym mgnieniem oka była bliżej śmierci. Przeklęty kapłan zamachnął się drugą ręką, zasłoniłem się, ale cios trafił mnie z siłą końskiego kopyta i cisnął w tył. Jednocześnie rzucił Zokorą jak lalką, uderzyła twardo o balustradę, osunęła się i znieruchomiała. Szron i lód porastały jej ciało, więżąc ją w lodowej skorupie.

– Wcale nie! – ryknął kapłan i obnażył zęby. W jego prawej ręce zmaterializował się miecz z ciemności i dymu. Rzuciłem się w bok, o moment za późno, bo już jego pierwszy cios walnął w mój napierśnik, zostawiając na skórze pod nim zimny ślad.

Varosch czołgał się do swojej kuszy, ale nie mógł jej dosięgnąć. Jeden gest kapłana i poleciał w tył, pokrywając się szronem. Lecz przez tę krótką chwilę, gdy kapłan patrzył na adepta Borona, dał mi okazję, której potrzebowałem. Skoczyłem mu na plecy i spróbowałem podduścić, złamać mu kark lub coś innego... Ale był jak zwarta bryła lodu; moje palce ześlizgiwały się, nie wyrządzając mu szkody, jednocześnie

przenikało mnie na wskroś straszliwe zimno. Walnął mnie z tyłu, tak mocno, że usłyszałem trzask łamanych żeber. Odebrało mi oddech.

Tym razem omal nie przeciął mi gardła mieczem. Poczułem lodowaty ziąb, kiedy klinga przecięła powietrze tuż obok.

– Ujrzyjcie moc naszego boga, zbłąkani! – wykrzyknął mężczyzna i rozłożył ramiona. Wystrzeliły z niego ciemne smugi, formując się w coś, co w jakiś niepojęty sposób nosiło w sobie fałszywe życie i łaknęło mnie pożądliwie, coś, co zdawało się pochodzić z samego piekła Bezimiennego.

Jeszcze nie ukształtowało się do końca, a już przepełniło mnie niewypowiedzianą trwogą. Moje kończyny stały się ciężkie, lodowate. Strach pozbawiał mnie tchu i mącił myśli. Coś we mnie krzychało i szalało, błagało, bym zrobił *cokolwiek*, lecz ja tylko stałem i patrzyłem otępiały, jak dopełnia się mój los.

I wtedy dostrzegłem coś za jego plecami. Uśmiechnąłem się z ulgą. Do tej pory kapłan pozostawał obojętny na wszystko, cokolwiek byśmy zrobili, ale na widok mojego uśmiechu zastygł w bezruchu.

– Człowieku! – zaśmiał się. – Mam ci uwierzyć, że coś za mną jest? Ta sztuczka jest tak stara, że twoi przodkowie biegali jeszcze w skórach, kiedy... – zaczął, ale nie zdołał dokończyć. Ostrze Rozpruwacza przejechało mu po gardle. Jeszcze stał, kiedy ciemny dym między jego rękami jął się rozwiewać na wietrze. Przez jego szyję ciągnęła się cienka, czerwona linia. Powoli rozumiałem, co się stało.

Z wyrazem niedowierzania i przerażenia na twarzy chwycił się za szyję, ale było za późno. Wyciekała z niego istna rzeka dusz. Padł na ziemię, uderzając głową u stóp Zokory. Łód na jej ciele cofał się szybko i zaraz całkowicie zniknął.

Na balustradzie, przemoczona do suchej nitki i ociekająca wodą, ale żywa, stała Serafine, z zaciętą miną i Rozpruwaczem w dłoniach.

– No! – wyrzuciła z siebie z ponurą satysfakcją. – Zrobione. – I otworzyła szeroko oczy, kiedy wstąpił w nią dar Rozpruwacza. Pospiesznie dopadłem do niej, podtrzymałem i zdjąłem z balustrady. Drżała, wpijając się wolną ręką w moją zbroję. Błada poświata zabłysła wokół niej i zaraz zgasła, tak samo prędko, jak się pojawiła. Z jej twarzy i dłoni zniknęły małe zadrapania i rany. Było po wszystkim. Westchnęła, kiedy wziąłem Rozpruwacza z jej rąk. Miecz, wsuwając się do pochwy, wydawał się zadowolony.

– Czy zawsze jest *tak*? – spytała przepełniona uniesieniem.

– Wystarczająco często – potwierdziłem cicho. Wiedziałem, o czym mówi, sam przeżyłem to po tysiackroć. – Bogowie, myślałem, że cię straciłem!

– Havaldzie – powiedziała półgłosem i uśmiechnęła się leciutko. – Jeśli w grę wchodzi woda, nie musisz się o mnie martwić.

Varosch i Zokora, uwolnieni od lodu, zaczęli się poruszać. Uwolniliśmy się z uścisku i podszedłem do Zokory, podczas gdy Serafine zajęła się Varoschem. Zokora odrzuciła mnie pomoc i wstała sama, wyglądało na to, że nic jej nie było, tylko jej ręka zwisała dziwnie wykręcona. Spojrzała na mnie ciemnymi oczami, prawie z wyrzutem, a potem podbiegła do Varoscha.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją, wstając z wysiłkiem. – Tylko parę siniaków. Facet miał pięść mocniejszą niż kopnięcie muła! – Popatrzył na szczątki kapłana i pokręcił głową. – Nie mogę uwierzyć w to, co tu się stało. To sługa fałszywego boga, a to, że dana mu była tak wielka moc, odbieram jako wielką niesprawiedliwość.

– Nie masz racji, Varosch – powiedziała Zokora i chwyciła ociekającą krwią głowę kapłana za włosy, unosząc ją do góry, żeby jej się przyjrzeć. – To, co daje bóg, jest darem. Moc tego nieświętego została skradziona. Innym bogom i duszom, które zostały im obiecane. – Niedbałym gestem przerzuciła głowę przez balustradę do wody.

GWARDIA KSIĘCIA

– Przegapiłem coś? – spytał Blix. Podniósł się skołowany i podrapał po głowie.

– Tylko jednego przekłętego – odparła z chichotem Serafine.

– Musimy ruszać dalej – ponaglił Varosch, z odrazą spoglądając na bezgłowe ciało. Kapłan miał drobną budowę ciemnych elfów, aż trudno było uwierzyć, jaką miał siłę.

– Tak – zgodziła się Zokora. – Mamy sporo do zrobienia – dorzuciła i rąbnęła lewym ramieniem o mur, żeby nastawić sobie bark.

– Zbierzcie swoją lancę i pójdźcie za nami – poleciłem Blixowi i wyplułem łuskę. Nie wykluczałem, że nam pomogła, ale pająki naprawdę nie należały do moich ulubieńców, nawet jeśli stanowiły przysmak.

Serafine i Varosch szybkim krokiem poszli przodem, ja za nimi. Za murami rozległ się dźwięk rogu. Pospieszaliśmy do domu bramnego, tam zbiegliśmy po schodach i wypadliśmy na dziedziniec z wiwernami. Właśnie wzbijały się do lotu, wszystkie z wyjątkiem jednej, która przechyliła łeb w naszą stronę i rozwarła paszczę.

Już sam smród, jaki od niej buchnął, był straszny, ale w jej gardle z tyłu płonął jeszcze niewielki płomień...

– Chodu, z powrotem! – ryknąłem i chciałem zatrzaskać drzwi przed jęzorem ognia, ale pozostali wpadli na mnie i wiwerna przez kilka cennych chwil wpatrywała się we mnie z wytężoną miną... Z boku dobiegł stukot podkutych kopyt i bestia za późno zauważyła zagrożenie. Opancerzony jeździec pędził, mierząc w nią lancą. Nadział ją na grot w chwili, gdy buchnął pierwszy jęzor ognia.

Owionęło nas tylko gorące powietrze, ogień przykleił się obok nas do ściany i skapywał w dół. Wiwerną szarpnęło w tył, jeździec wypuścił włócznię i zręcznie przeskoczył koniem przez łuskowate ciało. Ściągnął cugle i zatrzymał wierzchowca. W oddali zabrzmiał kolejny róg i tuż za jeźdźcem spadła na ziemię kolejna wiwerna, trafiona tuzinem bełtów. Pierwsza z bestii drgnęła krótko i znieruchomiła, ale z jej paszczy wciąż kapał na bruk ogień.

Koń bojowy nerwowo tańczył w miejscu i podrywał przednie kopyta, rozdrażniony obecnością potworów i zapachem siarki, ale jeździec bez problemu trzymał go w ryzach, podnosząc przyłbicę i witając nas spojrzeniem niebieskich oczu i szerokim uśmiechem.

– Jestem Tamin. Domyślam się, że wy jesteście tym generałem, który miał mnie uratować?

– Przybywacie w samą porę – zawołał inny jeździec w czarnej zbroi, który osadził konia obok księcia. Przez otwartą przyłbicę rozpoznałem barona di Cortię, szczerzącego zęby w szerokim uśmiechu. – Piękna macie zbroję.

– Dziękuję – odparłem poirytowany. – Mogę spytać, dlaczego dosiadacie konia?

Odpowiedział mi książę:

– Przed chwilą otrzymaliśmy wiadomość, że wróg wkracza do miasta przez wschodnią bramę! Póki co zachowuje szyk, generale, lepszemu momentu już nie będzie, przysięgam, że przejedziemy po nich jak kosą po zbożu! Weźcie sobie szkapę z naszych stajni i jedźcie z nami, nie można przepuścić takiej okazji!

Dziedziniec zapełniał się ciężką kawalerią, aż w końcu trudno było znaleźć nawet miejsce do stania.

– Wasza wysokość – zwróciłem się do niego, przekrzykując hałas. – Jesteśmy tutaj, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo! Sądźcie, że to mądre...

– Później! – zawołał, dobył miecza i wskazał nim na most zwodzony. – Za Aldane i bogów! – wykrzyknął. Most opadł za nim z głośnym hurgotem.

– Tamin! – zawtórowali mu rycerze, spięli konie i pogalopowali za nim. Kopyta zatętniły ogłuszająco na grubych drewnianych belkach.

Popatrzyłem za nimi. Na niektórych pikach powiewały na wietrze proporce, a każda ze zbroi świeciła w słońcu jak świeżo wypolerowana. Wypadli jak huragan na plac parad, miażdżąc bębny i omijając leżące na ziemi ciała, po czym zniknęli z pola widzenia po drugiej stronie. Tylko tętent kopyt odbijał się jeszcze echem.

Serafine opierała się o nadwęglone drzwi domu bramnego, zasłaniając ręką usta. Jej ramiona dygotały.

– Oto pomyślna akcja ratunkowa, ser generale! – wydusiła z siebie.

Nawet Varosch zaśmiał się cicho, kręcąc głową. Po drugiej stronie dziedzińca z nieba spadła jeszcze jedna wiwerna.

– Weźmiemy konie, Havaldzie? – spytała Zokora. Też starała się ukryć uśmiech.

– Później – rzuciłem i wyciągnąłem fajkę. – Najpierw zaczekamy na lancę Blixa. – Poluzowałem jedną ze sprzączek. Ostatni cios kapłana wgiął mi napierśnik, uwierał mnie nieprzyjemnie w bok. Poza tym potrzebowałem chwili oddechu, czułem się jak zбитy pies. Varosch i Zokora wyglądali na pokiereszowanych, ale zachowywali się, jakby to był drobiazg.

– Przynajmniej nauczyliśmy się jednej rzeczy – zachichotała Serafine. Z nas wszystkich ona była w najlepszym stanie.

– Jakiej? – spytałem, wciągając ostro powietrze, kiedy zatrzeszczało jedno z mych żeber.

– Kiedy wiwerny zieją ogniem, potwornie boli je brzuch! – parsknęła. – Widzieliście minę tej bestii?

W pierwszej chwili udałem, że mnie to nie rusza, ale w końcu nie wytrzymałem i roześmiałem się, nie zważając na bolące zebro.

Nie upłynęło dużo czasu i Blix zbiegł po schodach, a za nim jego lanca. Zastanawiałem się, jak żołnierze Byków pokonali wąską balustradę przy zapadni.

– Ci Aldańczycy – poskarżył się sierżant miecza Avron i z wyraźnym zainteresowaniem przyjrzał się martwej wiwernie. – Niewiele brakowało, a broniliby zamku przed *nami*!

– W tej chwili ksiązę Tamin i jego gwardia walczą z żołnierzami Thalaku, którzy wkraczają do miasta przez wschodnią bramę – oświadczyłem zamiast powitania. – To nie jest daleko, nie więcej niż trzy czwarte mili... wesprzemy go tam.

– Tak jest, ser! – rzucił Blix i odwrócił się. Jego ludzie stali rozproszeni w beładzie, ale to jakoś mu nie przeszkadzało.

– Grenski! – zawołał. – Pogoń tę zgraję... biegiem marsz do wschodniej bramy!

– Tak jest, ser! – odkrzyknęła w odpowiedzi. – Dostyc już spaliście, leniwe kundle, zobaczmy, czy jeszcze umiecie się ruszać!

Tym razem po moście zadudniły podkute buty legionistów. Byki potrucztały miarowo, lecz tym razem znacznie szybciej.

Kiedy zbliżyliśmy się do wschodniej bramy i odgłosy walki stały się głośniejsze, zacząłem przeklinać księcia Tamina, gdyż dość prędko przekonałem się, jak się przedstawia sytuacja.

Ciężka kawaleria ma być jak młot spadający na żołnierzy piechoty. Opancerzone konie gwardii z łatwością przerywały szeregi wroga. Do tego właśnie miała służyć jazda. Piechur, widzący napierającego kawalerzystę, myśli, że oto nastąpi jego ostatnia świeca, i często rzeczywiście tak jest, linie zostają przerwane, bo upada morale... ale tylko wtedy, gdy piechota ma dokąd uciekać.

Jednak koń, opancerzony czy nie, nie jest tak głupi, jak można by sądzić, niechętnie pogalopuje na ścianę ostrych włóczni. Obojętnie, jak bardzo jeździec się stara, żeby wypłenić z niego tę mądrość, wysiłek ten nigdy nie skończy się pełnym sukcesem.

Wróg wysłał przeciwko nam pięć lanc. Nie, skorygowałem się w myślach, w czasach wojny lanca liczyła tysiąc, a tenet stu żołnierzy, a więc było tu pół lancy. Pięć razy pięciuset żołnierzy, w czarnych zbrojach ze skóry, każdy z mieczem, tarczą i długą włócznią. Tylko dwa pierwsze tenety zostały przerwane, trzystu żołnierzy nadal trzymało zwarty szyk i nacierało do przodu. Na tyłach, w pobliżu otwartej bramy,

zauważyłem trzech jeźdźców wroga, jeden z nich miał na sobie białą skórzaną zbroję dowódcy... i choć dzieliło nas prawie czterysta kroków, odniosłem wrażenie, że nasze spojrzenia się skrzyżowały.

Di Cortia w jednym miał rację: miejsce było niekorzystne dla wroga. Droga, wpadająca do miasta przez wschodnią bramę, przechodziła w szeroką ulicę, po obu stronach okoloną budynkami i niedającą wrogim wojskom zbyt wiele miejsca na manewry. Ciężka jazda wbiła się w gęsto upakowane szeregi żołnierzy niczym topór w drewniany kłoc. Jednak, zostając przy tym porównaniu, jeśli kawaleria była toporem, to utknął on w kłocu naszpikowanym włóczniami.

Dobry koń bojowy sam jest bronią, uczy się używać podkutych stałą kopyt, a nawet rogu na naczółku. Lecz jeśli nie ma przestrzeni do ruchu, to znalazł się w niewłaściwym miejscu... i właśnie tego byliśmy tutaj świadkiem.

Pierwsze natarcie wbiło jazdę głęboko w oddziały wroga, ale nie zdołało przerwać szyku. A kiedy straciło impet, wróg zrobił to, co się robi z kawalerią... przecina się ścięgna koniom i zwała jeźdźców z siodeł.

Kiedy wyjeżdżali z zamku, oszacowałem liczbę aldańskich kawalerzystów na trochę poniżej dwustu, teraz było ich już tylko nieco ponad setka, zaledwie dwa tuziny trzymały się jeszcze w siodłach, wśród nich książkę oraz chorąży Aldańczyków. Co gorsza, wróg ochłonął z zaskoczenia i właśnie okrążał kawalerię.

Blix równie błyskawicznie dokonał oceny sytuacji jak ja, nie czekał na moją komendę, tylko od razu wydał rozkaz do ataku, a to, co przed chwilą jeszcze było chaotyczną zbieraniną Byków, zwarło się w uporządkowaną formację. Żołnierze skrócili krok, rozpoczęła się walka.

Krótki krok legionistów był czymś, co od dawna mnie irytowało, teraz jednak przekonałem się, jaki miał efekt. Lanca Blixa posuwała się do przodu powoli, niemal leniwie, nie było słyhać dźwięków rogu ani okrzyków, żadnych powiewających chorągwi, tylko ten zdecydowany krok, odbijający się echem od ścian budynków.

Ujmowali broń mocniej, opuszczali przyłbice... a potem ruszyli na wroga, jakby go tam wcale nie było.

Zokora odstąpiła na bok i zniknęła w cieniu, Varosch zaś z ponurą miną wbiegł do jednego z domów, Serafine została przy mnie, ale nie wyjęła sztyletów, tylko skorzystała z mieczy dwóch poległych.

Wendis być może prosiłby mnie, abym zostałem w bezpiecznym miejscu, lecz Blix nawet o tym nie myślał, on i Grenski stali w pierwszym szeregu, to, co robił generał, w ogóle go nie interesowało.

Serafine dzierżyła miecze w obu rękach, pod jej szatą błyszczał napierśnik i płaszcz kolczy. Z zaciętą miną skinęła mi głową. Przez chwilę się ociągałem; a co, jeśli coś jej

się stanie?

Blix wybrał na atak formację tępego klina, ze szpicą złożoną z pięciu żołnierzy. Inaczej niż kawaleria, dał przeciwnikowi miejsce i czas na uniki, co kierowało ich na flanki jego oddziału i umożliwiała wniknięcie w szeregi wroga zwartą grupą. Podczas gdy szpic nieubłagane posuwała się naprzód, po jej bokach trwała jatka. Celem Blixa niewątpliwie był chorąży Aldańczyków, obok którego znajdował się również książę.

Lanca, truchtając równomiernie, wcinała się coraz głębiej we wroga. Niektórzy z wrogich żołnierzy po bokach uchodzili z życiem. Jedna grupka zauważyła mnie i Serafine i rzuciła się na nas.

Rozpruwacz wyrwał się z pochwy. Złożyłem nasze życie w ręce Soltara... i ruszyłem do ataku.

Serafine robiła, co należało, trzymała się za mną i osłaniała mi tyły, pomagała tam, gdzie nie dosięgał Rozpruwacz.

Upłynęło sporo czasu, odkąd brałem udział w podobnej walce... Nawet bitwa na przełęcz była inna, tam walczyliśmy w ukryciu, odpierając ataki wroga, tutaj sam atakowałem.

Rozpruwacz dawał mi cztery rzeczy, które sprawiały, że był straszliwą bronią: z każdym życiem, które odbierał, uzdrawiał moje rany. Do tego dochodził sposób, w jaki postrzegał świat, nie mogło mnie zaskoczyć nawet to, co działo się za moimi plecami. Ponadto miał nadzwyczajnie ostrą klingę, której nie były w stanie zatrzymać nawet stalowe zbroje. Tutaj trafiał tylko na utwardzoną skórę, a ją przecinał z łatwością. Ostatnim darem była jego szybkość; jeśli ja nie byłem dosyć prędkim, to przejmował pracę za moje mięśnie, i choć często je nadwyręzał, to jego błada stała zwykle wystarczającą, żeby odeprzeć cios, odciąć dłoń, nogę, ramię albo nawet i głowę.

Uzbrojonego w inny miecz łatwo mnie było pokonać, o czym niedawno boleśnie się przekonałem, lecz Rozpruwacz prowadził moją rękę inaczej. Jeśli tu stał wrogi żołnierz, a tam jego kamrat, to wyprowadzałem cios tak, by jego celem był kamrat, a pierwszego zmiatałem mimochodem.

Za każdym razem, gdy Rozpruwacz odbierał duszę, coś przeze mnie przebiegało, dawało nie tylko nowe siły i życie, ale coś więcej. Nie miałem czasu zastanawiać się, dlaczego tym razem było inaczej. Długo trwało, zanim pojąłem, że wróg wcale nie zamiera z przerażenia ani nie powolnieje z wycieńczenia. To ja poruszałem się coraz szybciej. Mijały mnie obrazy, wykrzywione twarze, zacięte oblicza, błyszczące od krwi miecze, spadające powoli ramię, którego właściciel jednocześnie tracił część głowy, aż w końcu przestałem myśleć, całkowicie oddałem się Rozpruwaczowi.

To był koszmar pełen krwi, obcych krzyków i przerażonych twarzy, i wciąż ta błada stała bezlitośnie tnąca ciała, narastający rausz, który żądał coraz to nowych żyć,

a jednocześnie rzeź wydawała się nie mieć końca, by wreszcie, setki lat później, ktoś zadał w róg, wzywając wrogie oddziały do odwrotu. Jeden z tamtych przebiegł za blisko mnie, Rozpruwacz wyrwał do przodu i było po wszystkim.

Ciężko dysząc, stałem i próbowałem zrozumieć, co widzę. Wrogowie, ci, którzy zostali, szukali uporządkowanej formacji, wymierzając w nas piki... ale my już nie atakowaliśmy. Lanca Blixa przemaszerowała obok mnie. Oparłem się o ścianę domu.

– Jesteś ranna? – spytałem Serafine cicho. Nie wyglądała, ale przy pokrywającej ją ilości krwi nie mogłem być pewien.

– Nie – odparła wyczerpana. – To tylko zadrapania... – Spojrzała na swoje miecze i upuściła je. – Mam dosyć walki i wojny – powiedziała cicho.

Skinąłem głową. W milczeniu przyglądaliśmy się, jak legionieści Blixa zamykają wschodnią bramę.

Podeszła do nas postać w bogato zdobionej czarnej zbroi z godłem Aldane. Pancierz nosił ślady twardej walki, a z naręczaka skapywała krew. Zza otwartej przyłbicy spoglądała na mnie para niebieskich oczu, ale tym razem bez uśmiechu.

– Nie wierzyłem w to, co o was opowiadają – powiedział ochrypłym głosem książę Tamin. – Teraz już wiem. – Potoczył wzrokiem po poboju, po trupach, po pojedynczych koniach, biegających tu i ówdzie, a potem tam, gdzie leżał chorąży. – Drogo okupione zwycięstwo. A gdyby nie wasza pomoc, nie byłoby zwycięstwem.

– Dlaczego byliście tacy głupi? – spytałem zmęczonym tonem.

Tamin popatrzył na mnie i lekko pokręcił głową.

– Już dawno nikt nie powiedział tego do mnie w tak bezpośredni sposób.

– To było głupie – powtórzyłem i spojrzałem po sobie. Moja zbroja była uwalana krwią i poobijana, czułem wilgoć posoki nawet na skórze. Serafine nie wyglądała lepiej, oboje przedstawialiśmy przerażający widok, lecz choć wyszła z tego bez większych obrażeń, pod całą tą warstwą obcej krwi wydawała mi się bardzo blada.

– Tak, było – przyznał książę. Przyglądał się, jak jeden z jego ludzi błądzi wokół skołowany, nie wiedząc, kim jest i dokąd iść. – Chcecie poznać prawdę, generale?

– Śmiało.

– Wydawało się to jedyną rzeczą, jaką mogliśmy jeszcze zrobić. Straciliśmy połowę gwardii za sprawą tego obłądu, zanim zdołaliśmy wycofać się do zamku. Moi poddani leżą otruci w domach, byłem władcą w mieście trupów. Kiedy się obudziliśmy, znaleźliśmy we własnych szeregach wrogów, którzy we śnie podrzynali nam gardła. Potem przyszedł meldunek, że wróg wkracza przez tę bramę... – Wzruszył ramionami. – Naradziliśmy się, co robić, i postanowiliśmy umrzeć w ten sposób, nie czekać, aż obłąd osiągnie i nas. Wydawało nam się, że dobra śmierć będzie miała sens. Patrząc od tej strony, to nie było wcale głupie.

– Patrząc od tej strony, nie – powiedziałem. – Powinniście tylko wiedzieć, wasza wysokość, że obłąd minie za dwie, trzy noce. Doznaliście bolesnych strat, ale reszta waszych poddanych wkrótce się ocknie. Będą osłabieni, może będą ich dręczyć koszmarne sny, ale będą żyć.

– Ci, których nie dotknął obłąd, zapominali troszczyć się o siebie. Mój medyk powiedział, że i oni umrą, jeśli nie na obłąd, to z głodu lub pragnienia. Twierdzicie, że się mylił?

– Wasza wysokość, to mogło z czasem nastąpić. Ale działanie trucizny słabnie, jeśli jej się nie przyjmuje stale.

– Dziękuję za to bogom – westchnął i powiódł wzrokiem po pobojowisku. – Przynajmniej to nie było na próżno.

– Czy w zamku też były ofiary obłądu? – zapytała Serafine.

Di Cortia przeżył walkę, choć i on, i jego zbroja ucierpiały bardziej niż ksiązę. Podszedł teraz do nas, ale nie odzywał się, tylko oparł wycieńczony o ścianę, z zakrwawionym mieczem w dłoni, i wypatrywał dalszych zagrożeń.

– Tak, ale niewiele – odpowiedział ksiązę, nie patrząc na Serafine. – Mamy głęboką studnię, która zaopatruje nas w wodę. Ale w odróżnieniu od studni w mieście nasza jest strzeżona. – Zdjął hełm i popatrzył na głębokie wgłębienie z boku. Odrzucił go niedbale. – Co teraz? – spytał.

– Każcie sprawdzić i wzmocnić pozostałe bramy. Potem będziemy musieli poczekać, aby przekonać się, ilu z waszych poddanych zbudzi się ze snu i tego obłądu.

– Już wydałem takie rozkazy. Północna brama nie powinna stanowić problemu – powiedział wyczerpany di Cortia. – Ale przez południową do miasta dostaje się wróg. Właśnie dostałem meldunek.

– Bogowie – zaklął ksiązę i schylił się, żeby podnieść wgięty hełm. – A więc to jeszcze nie koniec. Konia dla mnie, baronie – polecił.

Popatrzyłem po sobie i westchnąłem. Marzyłem tylko o tym, by zmyć z siebie krew.

– Macie parę koni dla nas? – spytałem.

– Weźcie sobie jakieś – powiedział z goryczą ksiązę. – Koni jest teraz więcej niż nas.

Kazałem Blixowi wrócić na plac Świątynny; jeśli wróg przedrze się przez południową bramę, chciałem, aby ludność na placu była bezpieczna. Jego lanca doznała zaskakująco niewielu strat, tylko dwóch odeszło do Soltara, a czterech było zbyt ciężko rannych, żeby walczyć dalej. Powoli rozumiałem, skąd się brała renoma Byków.

Potem wzięliśmy z Serafine po koniu i pojechaliśmy za księciem i resztą jego kawalerii. Konie to mądre zwierzęta, wiedziały, że zapach krwi nie zwiastuje nic

dobrego, a chociaż koń bojowy jest tak wytresowany, by go ignorować, miałem trudności przekonać go, żeby mnie zaakceptował na swoim grzbiecie.

Zokora i Varosch nie poszli z nami, zajęli się rannymi... byłem rad z tego powodu, bo mało kto dorównywał elfce zdolnościami uzdrawiającymi.

Kiedy z resztkami książęcej gwardii dotarliśmy do południowej bramy, było już po bitwie.

– Może byśmy ich pokonali – raportował major Wendis. – Ale za późno otrzymaliśmy ostrzeżenie, że tędy nadchodzą. Wysłałem naprzeciw im Ósmą. – Wskazał na pobojuwisko przed nami. – Paltus zajął tutaj pozycje, ponadto posłałem na dachy najlepszych strzelców... w nadziei, że nas zaatakują. I tak też się stało. Ósma się nie zachwiała, wróg stanął na wprost naszych szeregów tak ściśnięty, że niemal każdy bełt trafiał do celu. – Major otarł krew z czoła. – Nie byli tak głupi, żeby to dłużej znosić, wycofali się i zrobili to, czego się obawiałem: próbowali nas ominąć. Podzieliłem Ósmą, żeby zagrozić im drogę, ale do tego już nie doszło. Róg wezwał oddziały wroga do odwrotu... dlaczego, nie potrafię powiedzieć. Tyle tylko, że bramy są teraz zamknięte, a wróg wycofał się poza zasięg wzroku.

– Wycofał się? – zdumiał się książę. – Tak po prostu?

– Tak po prostu, wasza wysokość – odparł zmęczony Wendis. Wzrokiem przebiegł po trupach i rannych. – I jestem z tego rad.

44

PIÓRO

– Wróg jest potężny – stwierdził później Blix.

Byliśmy w zajeździe przy placu Świątynnym, który zajęliśmy dla naszych celów po tym, jak zastaliśmy go opuszczony i splądrowany. To, co zostało jeszcze z zapasów, powędrowało do brzuchów Byków. Żołnierz Piór skrupulatnie notował wszystko, co spożywaliśmy.

Blix siedział na krawędzi studni z gołą klatką piersiową, podczas gdy Grenski zszczywała mu paskudną ranę na plecach.

– Nie brak im determinacji ani woli walki, są bardzo dobrze wyszkoleni. Ich mocną i zarazem słabą stroną są skórzane pancerze, czynią ich szybszymi i zwinniejszymi, ale nie stanowią niemal żadnej ochrony przed bełtami i mieczami. – Popatrzył w moją stronę. Stałem prawie goły przy studni i zmywałem z siebie krew. Zokora twierdziła, że aby zawarta w wodzie trucizna w wodzie okazała działanie, należało ją wypić; miałem nadzieję, że rzeczywiście tak było. Czułem się rozbity i chciało mi się spać, ale zimna woda w połączeniu z rześkim wiatrem ożywiały moje ciało.

– Dali nam nieźle w kość – przypomniałem majorowi. – Tylko cudem nie doznaliśmy większych strat.

Serafine myła się w stajni. Kiedy wróciła, miała na sobie tylko koszulę i spodnie, zbroję zostawiła. Blix obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem, co zignorowała.

– Nie wolno wam zapominać o jednym, generale – powiedział Blix, kiedy Serafine podała mi świeży mundur. – Byki to najlepsza ciężka piechota, jaka istnieje na kuli świata. Wycofanie lancy było mądrym posunięciem ze strony wrogiego dowódcy. W walce kontaktowej jesteśmy niemal nie do pobicia.

Rozległ się daleki krzyk. Spojrzeliśmy w niebo, gdzie krążyły wiwerny.

Już na morzu przekonałem się, jaką przewagę dawały wrogowi te bestie: wiedział wszystko, co robiliśmy, podczas gdy my mogliśmy tylko odgadywać jego zamiary.

– Przeciwnik nadciągnął o wiele za wcześniej – orzekłem, zapinając kurtkę od munduru, rad, że pozbyłem się lepkiej krwi. – Mam tylko nadzieję, że to nie była tylko ich przednia straż.

– Tego na razie nie da się stwierdzić – odparł Blix. – Trzeba by przepytać jeńców. – Popatrzył na mnie. – Słyszeliście, co się stało z jeńcami?

Skinąłem głową. Doniesiono mi, że wielu odebrało sobie życie, zabijali się z modlitwą do fałszywego boga i cesarza nekromanty na ustach. Odtąd każdego pojmanego lub rannego wpierywano. Byłem pewien, że wkrótce dowiemy się więcej, gdyż Zokora zawsze była dobra w wydobywaniu odpowiedzi na swoje pytania.

– To była tylko forpoczta – powiadomiła nas Zokora nieco później, kiedy wyszła z piwnicy, gdzie przesłuchiwała jednego z jeńców.

– Dowiedziała się jeszcze więcej – rzekł z uśmiechem Varosch i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Oni na sam widok Zokory o mało nie umierają ze strachu!

Spojrzałem na zejście do piwnicy, gdzie dwóch żołnierzy Byków wynosiło na górę jeńca. Był związany, a więc zapewne jeszcze żył.

– Nawet go nie tknęłam – stwierdziła Zokora z lekkim rozbawieniem. – Nie było takiej potrzeby!

– Stąpała tylko dokoła jak kotka i mówiła coś w swoim języku – ciągnął Varosch, uśmiechając się pod nosem. – Przyznaję, brzmiało to groźnie. W każdym razie jeniec od razu poczuł się jak przeklęty i był niemal szczęśliwy, mogąc odpowiedzieć na nasze pytania, jeśli tylko ona zdejmie z niego to przekleństwo!

– Co takiego mu powiedziałaś? – zaciekałem się.

– Że go zabiję, jeśli nie odpowie zgodnie z prawdą na każde pytanie. – Wzruszyła ramionami. – Może rozumie mój język, kto wie.

– Należą do tego legionu, którego się spodziewamy? – wróciłem do rzeczy. – Czy jest ich więcej?

– Nie. Tylko ten jeden. Tak jak przypuszczaliśmy. Nadeszli przez Rangor.

– A więc król Kesler naprawdę im się oddał – stwierdziłem.

– Tak właśnie jest – potwierdziła Zokora. – Jeniec mówi, że mieli eskortę aż do granicy.

– Co mnie wcale nie dziwi – wtrąciła Serafine. – Wiemy, że ta napaść była przygotowywana od dawna. Aldane, a tym samym także i Askir stanowią główny cel. Poza tym Rangor prawie nie ma własnych wojsk, nigdy nie były potrzebne. – Wzruszyła ramionami. – Gdyby legion tam się wdarł, sama nie wiem, co miałyby zrobić król Kesler.

– Może nas ostrzec?

– Nie zrobił tego. Jest, jak jest, a pytanie „dlaczego” nie ma już teraz znaczenia.

Może. A może nie. Ziewnąłem.

– Ile oddziałów ma wróg? – zapytałem Zokorę.

– Mniej niż jedną pełną lancę... to, co zostało z przedniej straży. Spodziewają się tu reszty legionu za trzy dni.

– Wiesz, którą pójda?

– Żaden z jeńców nie mógł mi tego powiedzieć na pewno – odparła mroczna elfka. – Ale wyraźnie im się spieszy, a forpoczta przeszła przez Żelazną Przełęcz.

– Dlaczego nie zaczekali na legion?

– Sytuacja po powodzi wydawała się zbyt korzystna, by dłużej czekać. Ta lanca maszerowała dzień i noc, żeby dotrzeć tu jak najszybciej. Powiedziano im, że nie napotkają na niemal żaden opór.

Tak. Też tak myślałem.

A więc wrogiemu legionowi bardzo się spieszyło. Ponieważ forpoczta bez żadnych trudności przeszła przez Żelazną Przełęcz, dowódca legionu nie będzie miał powodów, by nie pójść tą drogą. Miałem tylko nadzieję, że mieliśmy jeszcze czas, aby popsuć im plany.

W końcu ruszyliśmy w drogę powrotną do bazy; byłem wycieńczony i marzyłem tylko o jednym: śnie. Wendis nalegał, żeby dać nam eskortę jednego tenetu Ósmej, ale po drodze było spokojnie. Marsz ulicami, gdzie niekiedy w oknie migąła czyjaś śliniąca się twarz, był przygnębiający. Zokora i Varosch nie poszli z nami, chcieli przesłuchać więcej jeńców.

Większą część drogi pokonywaliśmy w milczeniu. W końcu odezwała się Serafine:

– Skąd bierzesz tę pewność? – spytała cicho.

– Jaką pewność? – zdziwiłem się.

– Nigdy nie wątpisz, kiedy wydajesz rozkazy – wyjaśniła z powagą. – Tę pewność widzą również ci, którzy przyjmują rozkazy, a to ich napawa nadzieją, że odniesiemy sukces.

Wywołałem na twarzy udręczony uśmiech.

– Więc są ślepi. Sam ledwie potrafię zdecydować, czy mam zawiązać najpierw lewy, czy prawy but, nie popadając przy tym w zwątpienie. – Popatrzyłem na nią. – Dlatego tak często zasięgam rady u innych.

– To mądre – skwitowała i uśmiechnęła się pod nosem.

– Dobrze – rzuciłem i wskazałem na niebo, gdzie krążyła wiwerna. – Masz dla mnie jakąś radę, co zrobić z tymi bestiami?

– Niestety nie – odparła. – Ale prędzej czy później coś przyjdzie nam do głowy.

– Wolałbym prędzej. Denerwuję mnie!

Minął ledwie piąty dzwon, a było jeszcze sporo do zrobienia. Stałem przed wieżą semaforową i dziwiłem się, że jeszcze nie runęła. Fala powodziowa wyniosła jeden ze statków nad wodę i cisnęła nim o wieżę, wgniatając część parteru. To, że w ogóle jeszcze stała, zawdzięczała trzymającym ją napiętym linom, lecz choć w tej chwili wiał tylko lekki wietrzyk, widziałem, jak się chwieje.

Wendis zsunął z głowy hełm i popatrzył z powątpiewaniem na wieżę.

– Pióra powiedziały, że może runąć w każdej chwili. Ramiona semaforów są cięższe, niż wyglądają, jeśli je poruszymy, to obciążą wieżę. Możliwe, że nie uda nam się wysłać pełnej wiadomości.

– To nasza jedyna szansa – upierałem się. Zwróciłem się do stojącego obok nas młodego żołnierza Piór: – Rozumiecie, jak ważny jest ten meldunek?

– Tak jest, ser generale!

Wydawał mi się o wiele za młody, żeby być kapralem; szczupły, piegowaty młodzieniec o ognisto rudych włosach i czujnych szarych oczach.

Podniosłem wzrok wyżej, na długie ramiona semafora, kiwające się na słabym wietrze.

– To do roboty – poleciłem. Pióro zsalutował i pospieszył do wieży, żeby przedostać się do środka nad pękniętym dziobem okrętu. Potem zobaczyłem go, jak zwinnie niczym małpa wspina się po drabinach, coraz wyżej i wyżej, aż ledwie go widziałem.

– Spójrzcie – rzucił cicho Wendis i wskazał na parter wieży. Tam, po lewej stronie, gdzie stała tylko połowa ściany, wiatr wywiewał szary pył wydostający się przez szpary. Na moich oczach jeden z masywnych kamieni pękł z głośnym hukiem i kawałek narożnika osunął się jak wyłupany młotem.

– Ma brata, ale poza tym żadnej rodziny – wyjaśnił cicho Wendis. Młody Pióro pokonał ostatnią platformę i zniknął nam z oczu. – Zgłosił się na ochotnika. Pozostali wyszkoleni do tego mają żony i dzieci.

Długie ramiona semafora zaczęły się poruszać, na dole wzbijały się chmury szarego pyłu. Serafine dołączyła do nas i patrzyła w górę z niepokojem.

– Wieża zaczyna się obracać – stwierdziła półgłosem. – To się stanie lada moment. Powinniśmy się odsunąć. – Zmierzyła wzrokiem wysokość wieży. – Jeśli runie, może nas tu pogrzebać.

Niechętnie przyznałem jej w duchu rację, a gdy zgodził się z nią i Wendis, cofnęliśmy się i poszukaliśmy miejsca w pobliżu rogu zbrojowni. Jeśli ruiny wieży spadłyby aż tutaj, mielibyśmy dość czasu, żeby schronić się za węglem.

Kiedy w końcu runęła, nastąpiło to szybciej, niż myślałem. W górę buchnął szary pył, potem reszta ściany wyrzuciła się na zewnątrz, by mgnienie oka później pęknąć z hukiem. Wieża obróciła się odrobinę i przechyliła w bok, zwalając się jednocześnie na ziemię. Kiedy padała, jedno z ramion semafora nadal się poruszało.

Serafine miała rację, wieża była tak wysoka, że jej czubek spadł do basenu portowego, grzebiąc pod sobą jeden z wyrzuconych na keję okrętów.

Potężna fontanna wody wystrzeliła w górę, kawałki drewna i kamienie przeleciały obok nas. W ustach czułem szary pył.

Popatrzyłem na wzburzoną wodę i wbrew rozsądkowi liczyłem, że młodemu żołnierzowi udało się jakoś przeżyć. Serafine ścisnęła mnie za rękę, spojrzałem na nią; pokręciła lekko głową.

– Wyczuwam go pod wodą – szepnęła do mnie. – Leży przyciśnięty kamieniem.

Podszedł do mnie starszy żołnierz Piór. Był to ten sam człowiek, który pomógł mi ostatnim razem. Jego twarz pokrywała warstwa pyłu, zamieniając ją w kamienną maskę.

– Zdołał przesłać większą część wiadomości – powiadomił nas.

– Dziękuję – rzekłem. Długo przyglądał mi się, w końcu skinął głową, zasalutował i odwrócił się na obcasie.

– Jak się nazywał ten żołnierz? – spytałem majora.

– Aren, ser – odparł Wendis ochrypłym głosem. – Nazywał się Aren.

– Jeśli zdołamy pokonać Dwudziestą Pierwszą, to będzie jego zasługa.

– Tak, ser – zgodził się z goryczą Wendis i zasalutował. – Soltar powie mu to, kiedy Aren przed nim stanie.

Kiedy siedzieliśmy w mensie, spożywając kolację, dołączyli do nas Blix i Grenski. Gdybym nie wiedział, że został ranny, nie poznałbym tego po nim, major bynajmniej się nie oszczędzał.

Był już prawie szósty dzwon, dokuczało mi zmęczenie i byłem gotów zasnąć na stole, ale zmusiłem się, żeby się jakoś trzymać.

– Jest problem – oznajmił Blix i podniósł dwa palce, żeby zamówić dla siebie i Grenski dwa cienkie piwa. – Księżę życzy sobie zostać, dopóki nie będzie miał pewności, że miasto się zbudzi. – Pokręcił głową. – Uważa, że wszystko inne byłoby tchórzostwem.

– Ci Aldańczycy i ich honor – zakląłem cicho. – Teraz jest najlepsza okazja. Wrogi atak się nie powiodł, miasto już się budzi. Dowódca tamtej lancy to wie i zdaje sobie sprawę, że jego ludzie są zmęczeni. Rozbiją obóz i zaczekają na resztę legionu, zanim podejmą jakieś działania. Nie mogą obserwować wszystkich bram ani powstrzymać nas przed przedarciem się przez ich szyki.

– Właśnie dlatego księżę chce przypuścić atak na obóz wroga. Wysłał już zwiadowców, tamci właśnie się okopują, żeby osłonić się przed kawalerią. Mówi, że teraz jest najlepsza sposobność, żeby zaatakować wroga, i prosi o wsparcie.

– Bogowie! Z trudem przeżył jedną bitwę i już chce kolejnej? Co wy na to, majorze?

– Wrogowi zostało już tylko około siedmiuset żołnierzy – odparł z namysłem major. – Mają za sobą trudy marszu, ponadto obie bitwy nadszarpaneły ich siły, założę się, że nie nawykli do ucieczki.

– To był uporządkowany odwrót, Kurtis – odezwała się Grenski i wzięła oba piwa z tacy rekruta, który miał dyżur w mencie. – A nie ucieczka w popłochu.

– Niech będzie. W takim razie nie nawykli do odwrotu. Jeśli wszystko postawimy na jedną kartę, możemy posłać pięciuset żołnierzy – powiedział major.

– Ale miasto zostałoby bez ochrony – zauważyłem.

– Tak. Lecz książę uważa, że zdołaliśmy obronić miasto tylko dlatego, że plan wroga się nie powiódł. Nie chce dawać im więcej czasu, żeby wymyślili nowy, kto wie, jakimi siłami i magią jeszcze dysponują. Myśli, że jeśli ich tak zostawimy, miasto w końcu upadnie. Teraz, gdy są zmęczeni i nie spodziewają się ataku, byłby dogodny moment, żeby stawić im czoła.

Obawy Tamina były uzasadnione, mimo wszystko nie podobało mi się to.

– Co wiecie o tym obozowisku wroga pod miastem? – spytałem majora. Ten przywołał do siebie Pióro i poprosił o papyrę, pióro i węglowy patyczek.

Przyglądałem się z fascynacją, jak szybkimi, pewnymi ruchami naszkicował część wschodnich wałów, potem fosę, trakt handlowy prowadzący na wschód i niewielką osadę, a raczej zbiorowisko chałup, położone niedaleko wschodniej bramy przy trakcie.

– Wybrał najlepsze miejsce w całej okolicy i tam się zagnieździł – wyjaśnił major, rysując. – Tutaj znajdowała się dawniej jedna z naszych stanic obronnych, dlatego mają tam studnię. Wzgórze, na którym stoją te budynki, daje im tę przewagę, że są tam wyłącznie pola uprawne, a więc nic nie zasłania widoku.

Zmierzył rozcapierzonym kciukiem i małym palcem odległość.

– Nie wiem, czy wiedzą, że katapulty są bezużyteczne, w każdym razie rozbili obóz poza ich zasięgiem. Musielibyśmy zaryzykować wypad, żeby ich zaatakować, a oni będą nas widzieć z daleka. Okopują się tak szybko, jak mogą, pociągnęli rowy tutaj i tutaj, wzmacniają je naostrzonymi balami i rozpinają między nimi liny przeciwko kawalerii. Po opadach deszczu w ostatnich dniach pola po obu stronach traktu są rozmiękłe i błotniste, co spowolni jazdę. – Blix podniósł na mnie wzrok znad mapki. – Trzymają się podręcznika legionów. Jeśli ich tam zaatakujemy, zapłacimy za to wysoką cenę. W odróżnieniu od księcia nie uważam, że podejmą kolejną próbę zajęcia miasta. Powinniśmy pozwolić im tam obozować, doskonale widać, że zaszyli się tam, żeby poczekać na resztę legionu. Dopóki ten nie nadciągnie, nie musimy się niczego obawiać z ich strony. Poza tym oczywiście, że blokują nam trakt handlowy.

– A jeśli mimo wszystko ich zaatakujemy? Jak sądzicie, możemy ich pokonać?

Spojrzał na swój szkic i westchnął.

– Tak. Ale przy wysokich stratach. Stanowczo odradzam.

– Książę wbił to sobie do głowy.

– Właśnie. – Znowu popatrzył na mapkę, dorysował jeszcze jedną wieżę strażniczą i fosę. I pokręcił głową.

– To błąd. Lecz jeśli to naprawdę konieczne, to tylko pod wspólnym dowództwem. Nie chcę gonić moich żołnierzy za dzikimi kawalerzystami. Jazda powinna zrobić dla nas wyłom, po to ją wymyślono, ale jeśli już, to tak, abyśmy mogli go wykorzystać. Dziś w południe omal nie doszło do rzezi, a ta bitwa zapowiada się na kolejną! Tak nie wygrywa się wojen!

Skinąłem głową.

– Też jestem tego zdania.

– Cieszę się – skwitował Blix. – Nie ma sensu posyłać dobrych żołnierzy na pewną śmierć.

Przyglądałem się w zamyśleniu mapce, próbując dostrzec jej sens.

– Wspomnieliście o podręczniku legionów. Powiedzcie mi coś więcej. Czy obozowisko zawsze rozbija się w taki sposób?

– Tak, ser. To się sprawdzało od wieków jako obrona przed prawie każdym rodzajem ataku.

– Jeśli się tak okopali, to nie będą mieli odwrotu.

– Nie po to to zrobili.

– Hm – mruknąłem. – Obrona przed prawie każdym atakiem. A przed jakim nie?

– Machiny oblężnicze. Katapulty. Wtedy taki obóz byłby pułapką. Jeśli w grze są katapulty, należy okopywać się w rozproszeniu, żeby nie być dla pocisków skupionym celem. Lecz nawet gdybyśmy mogli użyć katapult, ziemia jest zbyt rozmiękła, a one zbyt ciężkie, żeby doprowadzić je na pozycje. Pomijając to, ustawienie ich potrwałoby kilka dni. Nie, generale, nasz wróg pomyślał i o tym. – Westchnął. – Nie mamy wyjścia, przypłacimy to krwią, jeśli zaatakujemy.

– Może jednak nie – powiedziałem z namysłem. – Poślijcie umyślnego do księcia i przekazcie mu, że poprzemy jego plan, ale tylko wtedy, jeśli jazda znajdzie się pod naszymi rozkazami. Możecie sobie darować dyplomację, książę wie, że był dziś nieostrożny, i musi to zaakceptować.

Blix spojrział na mnie z przerażeniem.

– Czy sami nie mówiliście, że to błąd?

– Owszem. Mimo to poważamy się na to. Ale tylko wtedy, jeśli on podda się pod nasze rozkazy.

– Tak jest, ser – wydusił Blix i stanął na baczność. Jego wzrok wyraźnie mówił, co o tym sądzi.

– A jeśli odmówi i przeprowadzi atak samotnie przy użyciu kawalerii? – spytała Grenski.

Przypomniałem sobie minę księcia po bitwie.

– Nie zrobi tego. Jest na to zbyt mądry.

– Szkoda – rzuciła Grenski, wstała i skinęła nam głową. – Pójdę i powiem ludziom, że dosyć tego lenistwa.

Blix popatrzył za nią, a potem posłał mi pełne wyrzutu spojrzenie.

– Moja lanca dokonała dziś rzeczy niemożliwych. Cenię was, generale, potrafię może nawet trochę zrozumieć, że to konieczne, ale wezmę wam za złe przelaną krew.

– To wszystko? – spytałem.

Skinął sztywno głową.

– W takim razie powiedzcie księciu Taminowi, że wyruszamy tuż przed świtem, świecę przed drugim dzwonem. Dopilnujcie, żeby zwiadowcy nadal obserwowali sytuację, nie chcę już żadnych niespodzianek. Wiecie, gdzie możemy znaleźć Wendisa?

– Był w świątyni Borona, żeby pomodlić się za Pióro. Teraz jest w zajezdzie, który zajęliśmy. Swoją drogą wiemy, kto jest jego właścicielem.

– Dopilnujcie, żeby otrzymał zapłatę.

– To będzie trudne – powiedział Blix, wstając od stołu. – Padł ofiarą obłędu, był jednym z tych, którzy napadli na kapłanki Astarte. Przeprowadziliśmy egzekucję, to on był tym obłąkańcem, który się śmiał. – Zasalutował. – Dobrej nocy, mam nadzieję, że będziecie mogli spać. – Przytyk w jego głosie był niemal niezauważalny.

Odprowadziłem go wzrokiem, a potem spojrzałem na Serafine, która przyglądała mi się w zamyśleniu.

W drodze do kwatery – zakładałem, że to będzie ta sama, którą zajmowałem wcześniej – drogę zatarasował mi dziób okrętu mieczowego. Zapewne minie jeszcze sporo czasu, zanim usuną go na bok. Popatrzyłem w górę, gdzie przez reling wystawała część dziobowej balisty. Był to, podobnie jak „Meteus” i „Śnieżny Ptak”, jeden z tych nowych statków wyposażonych w lekkie balisty z metalu. A więc jedną już mieliśmy.

Poszukałem zbrojmistra.

– Powiedzcie, znacie się na lekkich balistach okrętowych?

– Oczywiście, ser. Mam trzy na składzie – odpowiedział sierżant i przejechał dłonią po zmierzwionych włosach. Kiedy go obudziliśmy, spał na pryczy w magazynie.

– Dobrze – rzuciłem i zatarłem ręce. – To się naprawdę dobrze składa.

– Co zamierzasz, Havaldzie? – spytała Serafine nieufnie. – Nie podoba mi się twój uśmiech. Jest niemal podstępny.

– Zaczekaj do rana. Myślę, że ci się spodoba. – Zwróciłem się z powrotem do zbrojmistra: – Macie może też smoczy ogień?

– Cztery ładunki, składowane oddzielnie w oleju – odparł zbrojmistrz. Tym razem to on obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Zdajecie sobie sprawę, jakie to niebezpieczne?

– Owszem – rzekłem. – Właśnie tego potrzebujemy. Wiecie, kto go nam może zmieszać?

– Mam tu listę uprawnionych żołnierzy. Muszą być specjalnie przeszkoleni.

– Wiem. Macie wystarczająco duże wózki, żeby zamontować na nich jedną z tych balist?

– Coś się znajdzie. Co planujecie, generale?

– Chcę zrobić komuś niemiłą niespodziankę.

45

DZIEŃ NA ŚMIERĆ

Pukanie musiało trwać dłuższy czas, zanim przedarło się przez warstwy snu. Wytoczyłem się z łóżka, spojrzałem na Serafine, przykrytą tylko rozkopanym prześcieradłem, westchnąłem i podszedłem do drzwi. Sierżant przyszedł mnie obudzić. Pora na nas.

Za oknami panowała jeszcze głęboka noc. Z pewnym żalem zapaliłem świecę na stoliku nocnym i popatrzyłem na śpiącą Serafine.

Nie dała mi wyboru, oznajmiła, że nie chce spać sama... nic więcej.

Leandra była opętana tylko jedną myślą, nie było niemal chwili, żeby nie myślała o swojej misji, która zaprzętała ją dniem i nocą. Za to Serafine... nie mogłem jej zarzucić, że czyniła jakieś szczególne wysiłki, żeby mnie uwieść... po prostu była i to było dobre uczucie.

Dlaczego, na bogów, musiały trwać te wojny? Dlaczego nie można było po prostu zbudować domu, uprawiać pola i prowadzić dobrego, uczciwego życia? Ona je kiedyś miała, nie, nie dom z kawałkiem pola, ale dobre życie z mężczyzną, którego kochała. Do chwili, gdy oboje umarli, dany był im przynajmniej ten czas.

Nachyliłem się nad nią, żeby obudzić ją lekkim pocałunkiem, ale otworzyła nagle oczy.

– Już czas? – spytała cicho. Skinąłem głową i przyglądałem się, jak owinęła się prześcieradłem. – Zaraz będę gotowa – obiecała i wybiegła z pokoju.

Ja nie byłem.

– Dzień dobry, generale – przywitał mnie z uśmiechem książę. – Dobry na bitwę, nieprawdaż?

– Nie ma dobrego dnia, jeśli chodzi o umieranie – rzuciła sucho Zokora. – Każdy jest tak samo dobry.

Razem z Varoschem do późna w nocy przesłuchiwali jeńców, Pióro słuźbiście spisywał zeznania. Przed chwilą przekartkowałem pospiesznie jeden z protokołów; ważne, że nic nie wskazywało na to, żeby wróg miał ominąć Żelazną Przełęcz. Ale pewność mogliśmy mieć dopiero, jeśli rzeczywiście tam się znajdzie.

Książę, który do tej pory nie miał zbyt wiele do czynienia z Zokorą, rzucił jej zdumione spojrzenie, po czym zwrócił się do mnie:

– Myślałem, że elfy mrocznego rodzaju napawają się walką?
– Mój *rodzaj* w walce widzi rzemiosło, coś, co należy zrobić, jeśli nie można tego uniknąć. – Zokora obnażyła ostre zęby. – Jeśli walczymy, to tylko wtedy, gdy jesteśmy pewni zwycięstwa.

– Ja jestem przekonany co do naszego zwycięstwa.

– Musisz się jeszcze nauczyć, że przekonanie to zwykle za mało – poinformowała go.

Książę zamrugał i zwrócił się do mnie:

– Ona zawsze jest taka?

– Wasza wysokość, ona po prostu zwykle ma rację – powiedziałem obcesowo. Atak był okazją do wyrządzenia szkód wrogowi, lecz ja już zaczynałem żałować, że zgodziłem się na ten plan. Tak po prawdzie to miałem nadzieję, że książę się nie ugnie albo będzie się wzbraniał powierzyć swoją kawalerię naszym rozkazom.

Była ćwiartka świecy przed szóstym dzwonem, a my znajdowaliśmy się na jednej z wież obronnych po wschodniej stronie miasta. Tu również stały dwie bezużyteczne katapulty. Wprawdzie wróg rozbił obóz poza ich zasięgiem, lecz to niewiele zmieniało. To hańba, by pozwalać tak niszczyć broni.

– Dlaczego mówi do mnie na ty?

– Dlaczego sam mnie nie spytasz? – odpowiedziała za mnie Zokora. – Nie jesteś bogiem. To wszystko.

Książę Tamin roześmiał się.

– Dobre wyjaśnienie. Powiedźcie jej, że jest kobietą w moim guście!

– Nie jestem – odparła Zokora, nie odrywając spojrzenia od odległych ognisk. – Gdybyś mnie znał, umierałbyś ze strachu.

Dostrzegłem Varoscha, który stał trochę z boku i przygryzał wargę, usiłując zachować obojętną minę.

– Do rzeczy – przerwałem im, zanim książę pogrąży się jeszcze bardziej. Wyjąłem lunetę i skierowałem ją na wrogi obóz. – Przeciwnik rozłożył się wokół niewielkiej osady. Cztery domy, trzy stodoły i zajazd. W nim znajdziemy oficerów, lubią wygodę tak samo jak my. Jeśli dobrze się przyjrzeć, można dostrzec okopy, o których donosili zwiadowcy. Wzmocnione włócznie przeciwko waszej kawalerii.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy zaatakowali jeszcze w nocy – powiedział książę i uniósł własną lunetę. W jego słowach nie było pretensji, tylko stwierdzenie faktu.

– Postarali się z tymi okopami, rozpięli między włócznie mocne liny, co również im będzie przeszkadzać, choć nie tak bardzo jak nam – ciągnąłem.

– Wpadając na te włócznie, będziemy tracić ludzi – stwierdził książę. – Ale to chyba będzie konieczne.

Z trudem powściągnąłem przekleństwo. Nie mogłem znieść tej przeklętej dumy i fałszywej pewności siebie.

– Nie zamierzam posyłać nikogo na włócznie – stwierdziłem chłodno. – Co widzicie za okopem?

– Wroga?

– Porządnie rozstawione namioty. Pomiędzy nimi ścieżki... ale stoją za gęsto. Wróg oszczędzał miejsce, żeby szybciej ufortyfikować obozowisko. Są ściśnięci jak króliki w zagrodzie. Wasze zadanie, wasza wysokość, będzie polegało na tym, aby wraz z kawalerią okrążyć obóz i stratować kopytami każdego, kto zechce uciec. Jednocześnie ściągniecie na siebie ogień przeciwnika, podczas gdy nasze Węże Morskie zajmą się swoją robotą... powietrze będzie gęste od bełtów. Bardziej naszych niż ich, wróg raczej nie przepada za walką z dystansu. Jeśli przyjrzycie się obozowi, to stwierdzicie, że rozbili go wzdłuż drogi prowadzącej przez osadę. Jeśli odważą się na wypad, to wzdłuż niej.

– A dlaczego mieliby to robić? – spytał. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie opuszcza ufortyfikowanego miejsca.

– Albo miasta – wtrąciła Zokora, ale książę zignorował jej słowa.

– Nie pozostawimy im wyboru – powiedziałem. – Spójrzcie w dół na bramę.

Tam opuszczał się właśnie most zwodzony, rozwarły się ciężkie skrzydła wrót, co na pewno nie umknęło uwadze wroga. Cztery duże wozy zaprzężone w woły wytoczyły się powoli i przejechały z turkotem po moście.

– Teraz są ostrzeżeni – stwierdził kwaśno książę.

Skinąłem głową.

– Nie dało się tego uniknąć. Przekażcie rozkaz, wasza kawaleria musi się przygotować. Na znak mają okrążyć obóz i stratować wroga, jeśli będzie chciał uciekać.

– Nadal nie wiem, dlaczego mieliby uciekać.

– Bo inaczej spłoną. – Zwróciłem się do żołnierza Piór obok nas i skinąłem mu głową. Za naszymi plecami zadudnił miarowy krok legionistów, za nimi przemaszerowały cztery połówki lanc Węży Morskich. Każdy z żołnierzy piechoty morskiej niósł cztery kołczany z ciężkimi bełtami.

– Dajcie rozkaz, wasza wysokość – rzuciłem chrapliwym głosem. – Zaufajcie mi... to będzie kosztować nas mniej żyć, jeśli posłuchacie mej prośby!

Książę posłał mi ostatnie, badawcze spojrzenie i przekazał rozkaz posłańcowi. Ani on, ani ja nie mieliśmy brać udziału w tym ataku, istniało zbyt wielkie ryzyko. Nie wiedział jeszcze, że na dole stało dziesięć koni gotowych do wyruszenia; jeśli atak nie przebiegnie po mojej myśli, zamierzałem uprowadzić księcia.

Wozy powoli zajęły pozycje i stały w poprzek do fosy. Z pewnych względów ważne było, aby w pobliżu znajdowała się woda. Nad nami przeleciała wiewerna i skierowała się do obozu. Życzyłbym sobie, aby któryś z ich jeźdźców był na tyle głupi, by zniżyć się do zasięgu bełtów, ale żaden nie wyrządził mi tej przysługi. Ale i tak szkoda, że nie zaczekał, wówczas zobaczyłby, jaką niespodziankę im zgotowałem.

Ósma i Druga Lanca rozdzieliły się i w obozie wroga nastąpiło poruszenie.

– Balisty na pozycjach – zameldował Pióro.

– Dobrze. Niech mieszają smoczy ogień i trzymają go w gotowości.

Rozdzielone lance zboczyły na prawo i lewo i spokojnym, krótkim krokiem pomaszerowały na wrogi obóz. Każde ze skrzydeł osłaniała pięćdziesiątka żołnierzy piechoty morskiej.

Pod murami miasta z wozów ściągnięto plandeki. Aż tutaj dobiegało klekotanie przekładni, kiedy napinano okrętowe balisty. Poprosiłem o najlepsze załogi, a sądząc po tym, w jakim tempie ustawili balisty i naciągnęli cięciwy, rzeczywiście takie dostałem.

– Balisty okrętowe – stwierdził zaskoczony książę i pokręcił głową. – A więc to był wasz plan? Szkoda, że się nie powiedzie. Nie mają odpowiedniego zasięgu.

– Te mają – poinformowałem go ponuro i zwróciłem się do Pióra: – Na pozycje, ostrzał według własnego uznania! Cele są znane.

Dał sygnał latarniami. Balisty zadudniły głucho, kiedy ich ramiona uderzyły o podkładki. Cztery bełty poleciały płaskim łukiem, widoczne jako ciemne cienie, ale już w połowie dystansu ich groty zapaliły się oślepiającym, skapującym ogniem. Każdy z bełtów ciągnął za sobą ognisty ślad nad polami... i nad namiotami wroga. Uderzyły w zajazd. Uderzenie było słychać aż tutaj, każdy trafił dokładnie w cel. Z okien buchnęły pierwsze płomienie, wołałem nie wyobrażać sobie, co się teraz działo w środku.

– Dajcie znak do ataku – rozkazałem Pióru, choć to nie było konieczne. Blix i Paltus wiedzieli, co robić, Wendis również.

Obie lance zasłoniły się tarczami i ruszyły do przodu. Za nimi cały czas wlatywały w powietrze bełty zapalające i spadały na obóz. Nie były nasączone smoczym ogniem, ale wystarczyły, by podpalić płócienne plandeki namiotów. Znowu odpaliły balisty, tym razem nie jednocześnie, a w odstępach, niebo poznały pojedyncze smugi ognia. Tym razem poleciały bliżej, bełty wystrzeliły płasko i przeorały szeregi wroga. Załogi balist dobrze szacowały odległość i częstotliwość, co dwadzieścia oddechów na obóz leciał pocisk i rozorywał ziemię... a z nią żołnierzy wroga. Gdziekolwiek pryskał lub kapał smoczy ogień, płonął i nie dało się go ugasić.

– Ogień – wydusiła z siebie Serafine. – Pierwotny lęk, który trudno okiełznać.

– W rzeczy samej – przyznał cicho książę.

W obozie widać było poruszenie. Poszukałem lunetą Blixa. Znalazłem go w chwili, gdy dawał rozkaz wbicia w ziemię ciężkich tarcz i wycelowania włócznie. Od obozu dzieliło go zaledwie dwieście kroków. Osłaniające legionistów Węże Morskie strzelały tak szybko, jak tylko mogły. Tuziny, może setki bełtów ciągnęły za sobą ogniste ślady. Obóz był zbyt daleko, by precyzyjnie celować, ale nie o to teraz chodziło, wystarczyło, że bełty w ogóle w coś trafiały. O ile to coś dało się zapalić.

– Pora na waszą jazdę, wasza wysokość – odezwałem się, ale sam już to widział i wydał rozkaz.

– Dwie balisty powinny skierować się na drogę – rzuciłem do Pióra, potem usłyszałem dochodzące z ciemności krzyki. Jedna z balist zajęła się płomieniem smoczego ognia. Przypominająca pochodnie sylwetka desperacko rzuciła się do fosy, podczas gdy dwaj odważni żołnierze zepchnęli beczkę ze smoczym ogniem do wody, choć woda nie mogła go ugasić. Parę kroków dalej płonący żołnierz zatonął, bez oznak życia opadł na dno, gdzie dalej upiornie się palił.

Balista stała w ogniu, mimo to jeden z żołnierzy z brawurą podszedł do niej i nie mierząc, wystrzelił płonący bełt. Skutki wystrzału pozwoliły uwierzyć w przychylność bogów. Na tyłach obozu trzech oficerów wsiadało akurat na konie. Bełt poleciał nad naszymi szeregami tak nisko, że legioniści schylali głowy, ale trafił, przeszył naraz całą trójkę w momencie, gdy stanęli w jednym rzędzie. Jednego z nich widziałem już wczoraj: to był ich dowódca. Pomimo smoczego ognia wytrzymał dłużej od pozostałych, ale w końcu i on padł na ziemię.

– Dzięki ci, Soltarze – mruknąłem pod nosem. Ale to jeszcze nie był koniec.

Bełty zapalające niosły nie tylko ogień, ale wyrządzały też straty w ludziach, co stanowiło może nawet większe niebezpieczeństwo niż bełty z balist.

To zauważył również wróg. Przystąpił do ataku na kuszników, ale Węże Morskie miały instrukcje, żeby dalej strzelać wysokim łukiem i ufać w tarcze i zbroje Byków. To nie było prawdziwe natarcie, bo okopy i włócznie za bardzo przeszkadzały wrogowi, i zanim garstka wrogich żołnierzy dotarła do tarcz lancy Blixa, nadjechała kawaleria, jak kosą odcinając legiony od okopów wroga.

Na drodze prowadzącej od obozu w naszą stronę jakiś zdeterminowany oficer gromadził ludzi do ataku, lecz teraz bełty z balisty zaczęły trafiać płasko i tam odbijały się od ziemi jak ciśnięte pod kątem kamienie i trzebiły szeregi wroga. Porządek i dyscyplina stanowią szkielet każdej armii. Żołnierz, pozostawiony sam sobie, nie chce umierać, i tu przekonałem się, jak wielka dyscyplina panowała u wroga, trzykrotnie próbowali zebrać się na nowo do ataku, zanim ich morale ostatecznie się załamało.

Przełknąłem ślinę, widząc, co się dzieje z wrogiem. Blix miał rację, dobrze okopane pozycje stały się więzieniem, w którym żołnierze ledwie mogli się poruszać, cały obóz coraz bardziej przypominał płonącą śmiertelną pułapkę. Tych, którzy zdołali się wydostać z tego piekła, bezlitośnie tratowali Aldańczycy.

W powietrze raz po raz wznosiły się bełty zapalające, u naszych stóp grzmiały balisty... aż w końcu, po nieskończone długim czasie, w obozie wroga wszystko przestało się poruszać. Obóz rozbity wokół niewielkiej osady stał w płomieniach.

– Niech Węże osłaniają Byki i uważają na wiwerny. Naprzód – rozkazałem ochryple żołnierzowi Piór, który z niewzruszoną miną przekazał rozkaz dalej.

Tu i tam nadal widać było pojedyncze zarzewia oporu, przez lunetę obserwowałem walki na miecze.

W końcu przyszedł z meldunkiem Pióro.

– Major Blix melduje wykonanie rozkazu.

– Dziękuję – rzuciłem i złożyłem lunetę. Księżę stał obok w milczeniu, wpatrzony w powoli dogasający ogień.

– Macie wasze zwycięstwo, wasza wysokość – powiedziałem. – O trzecim dzwonie wyruszamy. Wydajcie do tego czasu rozporządzenia, kto będzie rządził w waszym imieniu, dopóki nie wrócicie z Rady Koronnej. Nie będziemy czekać ani dnia dłużej... niech wam się nie wydaje, że zdołamy to tak prędko powtórzyć. A na razie, wasza wysokość – zsalutowałem mu oszczędnym gestem – życzę wam miłego dnia.

– Teraz może i będzie miły – stwierdziła Zokora.

– Chwalebne zwycięstwo, generale – oznajmił z goryczą Blix, kiedy w zakrwawionej i osmalonej zbroi wszedł do mensy w bazie. Grenski, jak zwykle u jego boku, nie wyglądała lepiej i wyraźnie oszczędzała lewą ręką. – Czy naprawdę konieczne było pozbawić ich głów?

– Tak – odparłem twardo i pomyślałem o obrazach ze snu. – Uwierzcie mi, majorze, wróg zna taki widok. Choć jego ludzi spotyka to rzadziej. Jak wysokie są straty?

– Straciliśmy tylko jednego żołnierza, Ósma straciła dwóch. Pozwoliliśmy wykrwawiać się za nas Aldańczykom – poinformował. – Stracili dwudziestu żołnierzy. – Nikły uśmiech przemknął po jego ustach. – A więc biorę wam za złe tylko odrobinę. – Osunął się ciężko na ławkę naprzeciwko mnie i przejechał dłońmi po krótkich włosach. – Mimo wszystko jest nas tak niewielu, że każda strata uderza tym boleśniej.

Zastanawiałem się, czy księżę Tamin też tak to widział. Bez cesarskich lancy, a przede wszystkim bez bełtów naszych Węży krwawe żniwo byłoby znacznie większe. Miałem wątpliwości, czy Aldańczycy naprawdę tak chętnie ginęli w imię honoru.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiej jatki – wyrwał mnie z zamyślenia głos Blixa. W jego tonie niemal dało się wyczuć pretensje.

– Tak prędko nie przeżyjecie ponownie takiej walki. Wierzcie mi, wróg bardzo szybko pojmie tę lekcję.

Miejmy nadzieję, że nie nazbyt szybko. Pomyślałem o wiwernach, które pouciekały. Może wrogie dowództwo wiedziało już, co się stało z jego forpoczta. Przełącz aż się prosiła o zasadzkę, musieli to wiedzieć. Na pewno wysła wiwerny, żeby przepatrzyły przełącz, i prawdopodobnie obsadzą również obie opuszczone stacje. Przynajmniej ja bym tak zrobił. To mu musiało wystarczyć, by uznać, że będą bezpieczni, że nikt tam się na nich nie zasadził. Bogowie, pomyślałem z goryczą, chciałbym mieć choćby jednego jeźdźca gryfa do dyspozycji, tylko po to, by wiedzieć, czy wróg robi to, na co liczyłem!

Kapral Aren z Piór oddał życie za to, by komendant Keralos otrzymał moją ostatnią wiadomość. Jeśli to nie zmusi go do działania, to nic już nie pomoże. Jemu i nam.

– My też powinniśmy – powiedział Blix i poluzował sprzączki zbroi. – Wyciągnąć naukę z tego, co się stało – wyjaśnił, widząc moje pytające spojrzenie. – Węże Morskie uratowały ten dzień. Nawet w zbroi nie chciałbym przeżyć takiego zabójczego deszczu!

– Znajdowaliśmy poległych, przygwożdżonych do ziemi tuzinem bełtów – dorzuciła Grenski. Rzadko się odzywała.

– Tak – odparłem. – Taki był zamysł. Znaleźliście dowódcę?

– Znaleźliśmy. Nie byłem pewien, czy na pewno nie żył, musiałem ciąć cztery razy, żeby pozabawić go głowy. Ustawiliśmy szubienicę zgodnie z rozkazem, wypaliliśmy mu runę na głowie i położyliśmy pod szubienicą.

– Dobrze – rzuciłem. – Powiedzcie ludziom, żeby, jeśli to możliwe, poszukali spokoju i odpoczynku. Powiedzcie, że wykonali kawał dobrej roboty i że tego nigdy nie zapomnę.

– A wy?

– Wyruszamy o trzecim dzwonie.

– Dokąd?

– Do Askiru, majorze – powiedziałem zmęczonym głosem. – Wracamy do domu.

DUMA ALDARU

– Jeśli dobrze rozumiem, generale – powiedział książę trochę później – życzyście sobie, abyśmy pojechali z wami?

Oczywiście o trzecim dzwonie nie byli gotowi do wyjazdu. Kiedy pojechaliśmy po nich do zamku, poproszono nas grzecznie, ale stanowczo, abyśmy zameldowali księciu naszą wizytę.

Poprowadzono nas długimi, ciemnymi korytarzami, szerokimi schodami na górę i do wieży, w której znajdowała się kwatera księcia. Pomieszczenie, w którym teraz staliśmy, było umeblowane ciężkimi sprzętami i wyłożone gobelinami, które ocieplały komnatę. W każdym rogu tkwiły świeczniki. Przed nami, na potężnym stole przypominającym okręt wojenny, stały dwie napoczęte butelki wina. Książę rozdzielił między nas kubki, ostatni podał młodej blondynce o intensywnie niebieskich oczach, baronetcie Levin, która musiała być siostrą baroneta von Freise. Była ubrana w typową tutaj, zapiętą pod szyję, ale dopasowaną suknię i siedziała spokojnie na krześle, niedbale trzymając w ręku kubek i wszystko uważnie śledząc. Książę ani jej nie przedstawił, ani nie wyjaśnił jej obecności; zadziwiające, że w ogóle pozwolił jej tu być. Z drugiej jednak strony była córką regenta i kuzynką księcia. Choć zachowywała się cicho i skromnie, czułem, że nie należy jej lekceważyć.

Książę celowo pominął Serafine, tylko przy Zokorze zawahał się nieco dłużej, zanim przypomniał sobie, że w ogóle jej tu nie ma.

Dobrze, że chociaż zaoferował kielichy swoim „niewidzialnym” żeńskim gościom.

– W rzeczy samej – odparłem. – Wybierzcie osoby, które mają wam towarzyszyć. Nie przesadzajcie tylko ze świtą, ona może pojechać do Askiru konno. Powinniśmy się pospieszyć. Trzeci dzwon już minął.

– Tak – powiedział i przechylił lekko głowę. – Słyszałem, jak bije.

Co oznaczało tyle, że nie pozwalał sobie rozkazywać. Nie dziwiłem mu się, ale nie miałem ochoty dłużej się z nim cackać.

On i baronet von Freise mogliby być braćmi. Książę miał ten sam, ostro zarysowany nos i kanciasty podbródek, tylko jego oczy były ciemniejsze, przez co łatwiej było wytrzymać jego spojrzenie.

– Ponieważ tam, w stancy w Rangorze, znajduje się portal, który w jednej chwili przeniesie nas do Askiru? Co jest i powinno pozostać tajemnicą?

– Właśnie.

– Wy też przybyliście do Aldaru przez magiczny portal, ale ten jest zniszczony i nie prowadzi już z powrotem?

– Tak.

– I ja mam w to uwierzyć?

– Wasze miasto zostało zatrute, zostaliście zaatakowani, wprawieni dźwiękiem bębnów w magiczny sen, przyglądaliście się, jak wiwerny uczują na zwłokach waszych mieszkańców. Na waszych ulicach piętrzą się stosy trupów, na dziedzińcu leżą martwe skrzydlate węże, kapłani waszego miasta nawołują do modlitw w obliczu wojny bogów... – Upiłem łyk ciężkiego wina. – Na pewno nie obrażę was, mówiąc wam, w co macie wierzyć.

– Dobrze powiedziane – mruknął i posłał mi pełne przygany spojrzenie. – Po co ten pośpiech? Jest jeszcze kilka dni.

– Ciągnie na nas wrogii legion, już choćby z tego powodu powinniśmy się pospieszyć.

– Wrogii legion? – powtórzył z przestachem. – Chcecie powiedzieć, że to nie były główne siły?

Bogowie, pomyślałem. Czy on naprawdę o niczym nie miał pojęcia? Wymieniłem spojrzenia z Serafine, która lekko pokręciła głową. Ja też przecież nie pomyślałem o tym, żeby mu to przekazać, zakładałem, że jakoś się dowie. Udałem, że to nic ważnego, i wzruszyłem ramionami.

– Właśnie tak. To była tylko forpoczta. Reszta legionu dopiero nadejdzie. Rangor pozwolił im przejść bez przeszkód i nawet sprzedaje im żywność – powiedziałem.

– Jesteście pewni? – spytał ostro.

– Zaledwie kilka świec temu otrzymaliśmy potwierdzenie.

Tamin jął krążyć niespokojnie po pokoju. Stanął i obrzucił mnie twardym spojrzeniem.

– Ten legion maszeruje przez Rangor?

– Tak.

– Bogowie! – zaklął. – Kesler albo nie ma jaj, albo nie chce mu się ruszyć dupy, żeby coś z tym zrobić! Kesler. Król Rangoru – wyjaśnił. – Kesler Drugi. Już pierwszy był obibokiem, a jego syn myśli, że jest tak wyjątkowy, że sra złotymi monetami!

Powoli zaczynałem rozumieć, dlaczego w Aldane takie narady odbywały się bez dam. Gdy pomyślałem, że sam Tamin miał opinię lekkoducha, który woli uganiać się za spódnicami, zamiast robić coś sensownego, to całe to przeklinanie wydało mi się dziwne. Z drugiej strony potrafił bezbłędnie podziurawić wiwerny i dowiódł męstwa w walce. Może miał w sobie coś więcej.

– Rozpoczną oblężenie – stwierdził, miętosząc starannie przyciętą bródkę. – Kiedy tu będą?

Może nigdy tu nie dotrą, jeśli wszystko potoczy się po mojej myśli. Nie mówiąc o oblężeniu.

– Jeszcze trzy dni, może cztery, i staną pod murami miasta.

– Bogowie! Akurat wtedy, gdy będę musiał siedzieć plackiem na dupie na tej Radzie! – Obrócił się do di Cortii. – Ilu zostało nam kawalerzystów?

– Trzystu trzech. O ile przywiążemy do siodeł wszystkich, którzy jeszcze oddychają. Ale powinniśmy zostawić w mieście co najmniej dwustu, bo zamieszki jeszcze się nie skończyły – odparł baron.

– Co z ochotnikami? – spytał Tamin.

– Pojutrze powinniśmy mieć na wałach cztery tysiące – odpowiedział di Cortia. – Czwartego dnia trzy tysiące więcej. – Wzruszył ramionami. – Ochotników nam nie zabraknie, tyle że większość nadal snuje się po mieście, jakby spali z otwartymi oczami.

– Przynajmniej wróg nie zaskoczy nas bez gatek – mruknął książę.

– To pełen legion, czyli dziesięć tysięcy żołnierzy. Jeśli mają ze sobą kolumnę zaopatrzeniową, to parę tysięcy więcej – zauważyłem. – Od tego należy odjąć tę jedną rozbitą lancę. – Upiłem kolejny łyk. Wino było ciężkie i słodkie, lepiło się do zębów, ale w tej chwili znajdowałem w tym upodobanie. – Kiedy legion dotrze do Aldaru, trudno będzie stawić mu czoła. Paru konnych gwardzistów i grupa ochotników na wałach nie wystarczą. – Bawiłem się kielichem. – Nie, obawiam się, że gdy legion dotrze do miasta, będzie ono stracone.

– Bogowie, stoicie tutaj, mówicie coś takiego i oczekujecie, że z wami ucieknę? – zaklął, gromiąc mnie wzrokiem. – Nie, ucieczka nie wchodzi w grę! – zaciętrzewił się. – Zostanę, by stawić czoła wrogowi!

– I umrzeć – dorzuciłem.

– Tak – warknął. – Jeśli tak musi być, to również i umrzeć.

– Nie byłoby lepiej, gdyby wróg nie dotarł pod wasze mury, tylko zginął po drodze? – spytałem mimochodem.

– W rzeczy samej. – Książę zaśmiał się gorzko. – Powiedzcie mi tylko, jak to osiągnąć.

– Wróg musi przejść przez przełęcz. Można by zastawić tam na niego pułapkę. W ten sposób moglibyście zachować Aldar, koronę, a nawet życie.

– Zasadzka na przełęcz? Tam są dwie przełęcze – stwierdził. – Wiecie, którą wybiorą?

– Prawdopodobnie Żelazną. Przez nią droga jest krótsza. A wróg wie, że tamtejsze stacje nie są obsadzone. Myślę, że wkrótce sam je obsadzi. Rozumiecie zatem, dlaczego czas nagli.

– W jednej z tych stanic znajduje się portal, o którym mówiliście?

– Portal, który umożliwi przerzucenie żołnierzy z Askiru na Żelazną Przełęcz.

– To prawda – przyznał ponuro. – To naprawdę mogłoby być jakieś rozwiązanie.

– Tak – skinąłem głową. – Szkoda tylko, że nie jest możliwe. Podsunąłem tę propozycję komendantowi Keralosowi, ale on uważa, że traktat askirski nie pozwala nam, a wręcz zabrania posyłać askirskie legiony na obce terytorium. Może nawet komendant ma rację.

– Havaldzie! – syknęła Serafine. Spojrzałem na nią. Zdecydowanie pokręciła przecząco głową.

Księżę ją zignorował.

– Walczyliśmy ramię w ramię, a wy mówicie coś takiego? Chcecie się ze mną bawić?

– Nie.

– Więc wytłumaczcie się! – zażądał księżę, świdrując mnie wzrokiem.

Wzruszyłem ramionami.

– Do tej pory słyszałem, że Aldar nie potrzebuje Askiru. Nadarza się właśnie okazja, żeby tego dowieść.

Jego oczy się zwęziły.

– Generale... – zaczął.

– Taminie – przerwała mu cicho baronetta. – Nie zapominaj, że nam pomogli, kiedy potrzebowaliśmy pomocy. – Wstała i podeszła bliżej. – Generale. Powiedzcie, czego od nas chcecie.

I znowu wszyscy zachowali się tak, jakby jej nie było, ale księżę zamilkł w wyczekiwaniu. Ukryłem zaskoczenie i odpowiedziałem na jej pytanie:

– Ja? Niczego. Wiem tylko, że cesarstwo dawno temu powstało z Aldane, najbogatszego i najpotężniejszego z królestw. Pod rządami Smoka żadne inne nie było w stanie mu dorównać, a poszedłbym o zakład, że wtedy Aldar nie był tak bezbronny jak teraz! Lecz o polityce decyduje komendant. I wy, wasza wysokość. I wróg, który wkrótce stanie u waszych murów.

– Bogowie! – zaklął księżę. – Nawet nie zadajecie sobie trudu, żeby ująć wasze groźby w okrągłe słowa! To, co przed chwilą powiedzieliście, to było niemal prostackie!

– W którym miejscu wyczytaliście groźbę z moich słów? – spytałem niewinnie. – Mówię jedynie, co widzę. A Askir wam nie grozi, tylko nie wysyłamy naszych oddziałów tam, gdzie ich sobie nie życzą i gdzie nikt ich nie zaprosił. Chyba że udacie

się teraz ze mną i przekonacie komendanta, aby posłał cesarskie wojska na Żelazną Przełęcz.

– Jak? – burknął.

– A tak, że jeszcze zanim sojusz się rozpadnie, przysięgniecie Askirowi wierność i w ten sposób pozwolicie, aby cesarstwo powstało na nowo. Jeśli wtedy poprosilibyście o pomoc, komendant Keralos byłby zobowiązany wysłać wam wojska, nie sądzicie?

– Mam się podporządkować Askirowi?

– Spójrzcie na to od tej strony: ocalicie kraj, miasto, koronę i życie. Niewiele by się zmieniło, tyle że musielibyście przyrzec wierność koronie Askiru.

– Cesarzowi, którego nie ma – oznajmił z goryczą.

– Jest – zaproponowałem zdecydowanie. – Obojętne, czy siedzi na tronie w Askirze, czy nie.

Tamin wlepił we mnie wzrok.

– Nie przewracają się wam flaki, kiedy mówicie coś takiego? – warknął.

– Owszem, wasza wysokość, w rzeczy samej tak jest. Też nie chcę widzieć Aldane pod butem nekromanty. Chociaż... to nie byłby pierwszy raz.

Tamin zamrugnął. Di Cortii wyrwało się z ust przekleństwo.

– Król Rogamon – wyjaśniłem gawędziarskim tonem. – To on kryje się za imieniem Kolaron. Chce tylko zwrotu tego, co zabrał mu niegdyś Askannon. – Popatrzyłem niewinnym wzrokiem po zebranych. – Nie wiedzieliście o tym? Przybywa, żeby was wyzwolić spod jarzma Askannona. Może rzeczywiście lepiej byłoby po prostu serdecznie go powitać.

UCIECZKA Z ALDARU

– O, Havaldzie... – powiedziała później Serafine, kiedy masztalerz otwierał nam wrota stajni. – Niewiele brakowało, a by cię zabił.

– Tak – zawtórował jej Blix, posyłając mi pełne podziwu spojrzenie.

– Co teraz? – spytał Varosch.

– Tutaj skończyliśmy – odpowiedziała mu Zokora. – A w Askirze nadal czeka nekromanta. Jedziemy do tej stajni i przechodzimy przez portal do Askiru. Chcę tam być jeszcze dzisiaj i dokończyć książkę.

– A my wracamy do bazy – rzucił Blix. – Muszę przyznać, że było miło! Naprawdę chcecie potrzymać księcia w niepewności?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć.

– Nie – zaprzeczyła Zokora. – Dobry szantaż rozpoznaje się po tym, że ofiara wie, że nie ma wyjścia. Powinniśmy się pospieszyć, inaczej dogonią nas jeszcze w mieście. – Pokazała zęby. – Nie trzeba im zbyt łatwo ułatwiać sprawy.

– Mam tylko nadzieję, że znajdziemy dobre konie.

– Najlepsze, jakie mamy – oświadczył masztalerz lekko urażonym tonem. Stajnie znajdowały się w obrębie murów komendantury i przetrwały powódź bez większych uszczerbków.

– To jest Lot Kruka, ser generale. – Masztalerz pokazał mi wspaniałego czarnego ogiera. – Jest dobrze ułożony i będzie wiedział, że jesteście jego nowym panem, gdy mu to powiem. – Wcisnął mi cugle do ręki. Lot Kruka łytał na mnie nieufnie, kiedy masztalerz szeptał mu coś do ucha. – Znacie się na wierzchowcach bojowych, ser generale? – zapytał.

– Przynajmniej na tych w moim kraju – odparłem, podziwiając dumne zwierzę. – Jakoś się dotrzemy.

Koń Zokory nie dał się przekonać słowami, wyszczerzył zęby i chciał stanąć dęba, ale zanim zdążył to zrobić, elfka wetknęła mu w nozdrza dwa palce. Ogier zamarł i zaczął drżeć, kiedy Zokora szeptała coś do niego w swoim języku. Potem puściła go i cofnęła się o krok. Szlachetne zwierzę skłoniło przed nią głowę.

– Bogowie – wyrwało się masztalerzowi. Wpatrywał się w nią nierozumiejącym wzrokiem. – To jakieś czary? – Odsunął się nieco, wykonał pospiesznie znak Borona

i położył dłoń na rękojeści miecza.

– Nie – odparła Zokora. – Wytłumaczyłam Shirtanowi swoje zasady i czego od niego wymagam. Zaakceptował to.

– Nazywa się Kargen von Steierbach – sprostował masztalerz.

Popatrzyła na niego swymi ciemnymi oczami.

– To złe imię. Shirtan pasuje o wiele lepiej. Nie próbuj wyjaśniać mi koni. Znam je o wiele dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie.

– Jak się nazywa mój ogier? – zaciekałem się.

– Dla ciebie to Lot Kruka. Brakuje ci więzi z nim, żeby móc używać innego imienia.

– Jakiej więzi? – spytał Varosch, podając jabłko swojemu wierzchowcowi.

– Też mnie to interesuje – dorzuciła Serafine, z cugłami siwka w ręku.

– Wiąż między twórcą a stworzeniem. Dawniej one były nie większe od waszych psów. My uformowaliśmy je podług naszej woli i konie to wiedzą.

– Te zwierzęta stworzyły elfy? – spytał zdumiony masztalerz.

– Kto stwarza dom? – spytała Zokora w odpowiedzi. – Budowniczy obrabia kamień, ale to bogowie stworzyli góry. Wszyscy tworzymy z tego, co bogowie stworzyli dla nas. Kiedy przyjdzie bóg, koń prędzej posłucha jego niż mnie. Ale dopóki to nie nastąpi, słucha mnie. – Popatrzyła na mnie znacząco. – Stworzenie uznaje swojego stwórcę i pochyla się przed nim. Tak jest zawsze i tak zostanie. Wy, ludzie, również uformowaliście te konie tak, jak chcieliście, więc słuchają i was. Ale moje roszczenie do posłuszeństwa jest starsze.

– Czy to jest powód, dla którego nie zginasz głowy przed ludźmi? – spytałem cicho.

– Jesteśmy, przynajmniej po części, waszymi stwórcami, przyczyniliśmy się do tego, że staliście się tymi, którymi jesteście dziś. Podobnie jest z końmi. Bogowie was stworzyli, ale to my daliśmy wam język, ogień i wiedzę, z której większość zapomnieliście. – Popatrzyła na Shirtana i uśmiechnęła się. – Nasz błąd polegał na tym, że nie rozumieliśmy, że właśnie przez akt stworzenia ludzie noszą w sobie nasze dziedzictwo. Ale to nie wystarczy, żebyśmy pochylała głowę przed kimś, kogo przodka zaledwie wczoraj przyłapałam na tym, jak zjada zawartość swego nosa.

– To, co mówicie, sera – wyrwało się masztalerzowi – to świętokradztwo!

– Nie – odparła spokojnie Zokora. – To gorsze od świętokradztwa. To jest prawda. Moją panią jest Solante, aspekt bogini, którą wy znacie jako Astarte. W naszych księgach i snach Astarte jest elfką, nie człowiekiem, nawet jeśli nadal rozpoznaję ją w jej ludzkiej postaci. – Przeszyła spojrzeniem masztalerza. – Taki jest bieg rzeczy, człowieka. Bo jest jeszcze inna prawda. Kiedy Astarte po raz pierwszy chodziła po tej ziemi, nie była elfem. Bogowie przemieniają się w nas, a my w nich. – Uśmiechnęła się

niespodziewanie przyjaźnie. – Na tym koniec lekcji. Poszukaj kapłana twojego ludu i zapytaj go, on ci wyjaśni więcej.

Kiedy masztalerz odszedł, wąpiłem, by udał się na poszukiwania. Dla mnie wyglądało to tak, jakby uciekł.

Dogonili nas w połowie drogi, księżę, baronetta Levin i dziesięciu gwardzistów w ciężkich zbrojach. To było zaskakujące, spodziewałem się, że będzie ich więcej. Zatrzymaliśmy się i zaczekaliśmy, aż do nas dobiją.

– Trzymacie mi ostrze na gardle – powiedział z pretensją księżę, ledwie się zbliżyli. W podniesionej przyłbicy niewyraźnie ujrzałem jego oczy, ale już tylko to wystarczyło, by rozpoznać jego wzburzenie.

– Nie – odparłem spokojnie. – To nie jest moje ostrze. Ja tylko pokazuję wam drogę, jak możecie uwolnić wasze gardło. – Rozejrzałem się wokół. – Gdzie jest baron di Cortia?

– Przygotowuje miasto do oblężenia. Jeśli zdoła, dołączy do nas później. Moja świta jutro wyruszy do Askiru zwykłą drogą. Jestem ciekaw, ilu nagle będzie chciało znaleźć się ze mną w Askirze, kiedy stanie się jasne, że ciągnie na nas wroga armia!

Zmierzyłem wzrokiem baronettę. Miała na sobie lekki skórzany pancerz i siedziała spokojnie na karym koniu, który bez wątpienia wymagał doświadczonej ręki. Wciąż nie rozgryzłem, jak Aldańcyzy traktowali swoje kobiety, ale ich wpływy na pewno były większe, niż przyznawali.

– Możecie mi obiecać, że ten legion nie dotrze do Aldaru? – spytał księżę.

– Najpierw musicie przekonać komendanta – odparłem. – To nie do mnie należy decyzja.

– Powinniśmy jechać dalej – upomniała Zokora. – Do zmroku już tylko parę świec. – Spojrzała w niebo, gdzie wysoko nad nami krążyła wiwerna.

– Ona ma rację – rzuciłem. – Wszystko to możecie omówić z komendantem. Jeśli zechcecie, możecie potem wrócić do waszego pięknego miasta przez portal.

– Hm – mruknął i obrzucił mnie zimnym spojrzeniem. – Naprawdę sądzicie, że to Rogamon?

– Chętnie wam wyjaśnię, jak doszliśmy do tych wniosków – powiedziałem uprzejmie. – Ale jedźmy już.

Skinął głową, spojrzał w górę na wiwerne i spał konia.

– Nie przeszkadza wam, że nas obserwuje?

Wzruszyłem ramionami.

– Może wyczuwa, kim jesteśmy. Ale co nam może zrobić? Jesteśmy konno. Piechota nas nie dopadnie, a gdyby jednak mieli swoją konnicę, to czyż nie twierdziliście, że to najlepsze wierzchowce w Aldane?

– Ale ona wie, dokąd zmierzamy.

– Tak. Prosto na wroga. – Obejrzałem się za siebie, zlustrowałem wzrokiem gwardzistów, baronettę i moją drużynę. – Niespełna dwa tuziny jeźdźców... nie sądzę, by myślała, że stanowimy jakieś zagrożenie.

Kiedy zapadł zmrok, odpuściła, odbiła w bok i odleciała. Zdaniem Zokory noce były tu zbyt chłodne dla wiwern.

Trakt do Żelaznej Przełęczy był na tyle dobry, że nawet w ciemności szybko posuwaliśmy się naprzód. Szukaliśmy wzrokiem wroga, ale nie ujawniał się. Dopiero gdy trzeba było znaleźć drogę w górę do stanic, nieznacznie zwolniliśmy. Zokora jechała pierwsza, wystarczyło, że trzymaliśmy się blisko niej.

Kiedy ujrzelśmy stanicę, zakląłem cicho. Paliły się tam światła. Dobrze chociaż, że nie było ich wiele, prawdopodobnie był to tylko oddział zwiadowczy, który miał dopilnować, aby stacja nie stanowiła niebezpieczeństwa.

– Myślałem, że się tego spodziewaliście? – spytał mnie książę.

– Owszem. Ale wolałbym, by było inaczej.

– Co teraz robimy? Atakujemy ich?

– Wy zaczekacie tutaj – obwieściła Zokora, wetknęła mi do ręki swoje cugle, po czym zniknęła.

– Dokąd ona poszła? – zapytał książę i rozejrzał się niespokojnie. Jak na to, że zwykle był taki milczący, zadawał trochę za dużo pytań.

– Domyślam się, że poszła wy badać sytuację – poinformowałem go cierpliwie.

– Pozwalacie kobiecie chodzić na zwiady?

– Ona jest w tym najlepsza – powiedział Varosch, a choć było zbyt ciemno, by dostrzec jego twarz, trudno było nie wyczytać uśmiechu z jego głosu.

– Popełniacie błąd, lekceważąc kobiety – dorzuciła Serafine.

– On o tym wie – odezwała się niespodziewanie baronetta. – Tylko nie wolno mu tego powiedzieć.

Książę nie odpowiedział, ale odniosłem wrażenie, że się uśmiechnął.

Wyjąłem lunetę i skierowałem ją na odległą stanicę, akurat w chwili, gdy patrolujący na wałach strażnik nagle zniknął.

Nadal było spokojnie. Spoglądałem przez lunetę, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Zokora wyłoniła się z cienia tak niespodziewanie, że nawet ja się wystraszyłem. Zakląłem cicho i uspokoiłem konia, któremu też nie spodobało się, że z mroku wyskoczyła drobna elfka.

– Było ich tylko dwunastu – obwieściła, odbierając ode mnie cugle i dosiadając wierzchowca. – Patrol zwiadowczy, do tego jeden jeździec wiwerny. – Ruszyła przed siebie.

- Czyli wiemy już, że rzeczywiście chcą przejść przez tę przełęcz. Co z wiwerną?
 - Zamroczyłam ją, leży w stajni i śpi. Jeszcze nie wiem, co z nią zrobić. To uparte bestie, ale w nocy są dla mnie zbyt niemrawe. Wolałabym gryfa.
 - Zapytajcie ją, co ze strażą – rzucił księżę.
 - A co ma być? – odparła Zokora. – Nie żyją, inaczej chyba nie jechałabym otwarcie do stancy.
 - Nie żyją? – powtórzył księżę osłupiały. Varosch zasłonił dłonią usta, żeby nie parsknąć głośno śmiechem.
 - Tak – odparła Zokora i zwróciła się do mnie: – To chyba przez to, że jesteście ludźmi: macie słaby słuch! Tobie też ciągle się to zdarza.
- Z tyłu rozległ się chichot Serafine. A może i sery Levin.

Zokora starannie ułożyła ciała w jednym rzędzie. W stajni, blisko wiwerny.

- Są jak węże – powiedziała do mnie. – Jak się obeżrą, nie ruszają się całymi tygodniami. Nie mówiąc o tym, by latać.

Przyjrzałem się zwłokom.

- Nie mogłaś pozostawić ich przy życiu tak długo, byśmy mogli ich przepytąć?
- Przepytalam jednego. Tego tu – odparła Zokora, wskazując na mężczyznę w lekkiej zbroi jeźdźca wiwerny. – Wrogi legion przejdzie przez przełęcz już jutro. Późnym popołudniem, może w nocy.

Obejrzałem jeźdźca. Poza raną nad sercem nie miał żadnych obrażeń, ale nawet po śmierci wyglądał, jakby ta śmierć nie była lekka.

- A więc mamy jeszcze czas – stwierdziłem z ulgą. – Choć niezbyt dużo.
- Tak. Ale nie dlatego chciałam ci ich pokazać – ciągnęła Zokora. – Spójrz.

W jej dłoni pojawiło się niewielkie światełko i uniosło się nad trupem, co widząc, księżę zaklął cicho.

- Popatrz na jego buty.

Miał na sobie trzewiki ze śladami wielokrotnego łatania, a podeszwa w niektórych miejscach została zastąpiona sznurkiem. Światełko przeniosło się nad jego twarz. Mężczyzna był wychudzony do kości. Tylko jeden z całej dwunastki nie był wymizerowany: jeździec wiwerny.

- Jak daleko jest kraj, skąd przybywają? – spytał księżę, oglądając martwych.
- Będzie ze trzy tysiące mil – powiedziałem. – Przez pustynię, śnieg, lód, góry i krainy barbarzyńców.
- Bogowie! – zaklął. – Oni zamaszrowali się prawie na śmierć!

Zokora uklękła przy jednym z martwych żołnierzy i otworzyła jego usta. Brakowało połowy zębów, a pozostałe trudno było nazwać zdrowymi.

– Cesarz nekromanta nie dba o swoich żołnierzy – stwierdziła i wstała. Serafine tymczasem wyszła z głównego budynku stancy i oznajmiła, że znalazła portal.

– Ale to oznacza również, że każdy z nich to twardy weteran, nawykły do wyrzeczeń – odezwał się z namysłem książę. – Dać im jeść i pić, pozwolić odpocząć dzień, a będą walczyć jak demony!

– Czy jeździec wiwerny był nekromantą? – spytałem Zokorę. Pokręciła głową.

– Nie, on nie. – Spojrzała na mnie. – To rozczarowujące, że w Aldarze zabiliśmy dwóch, a żadnego nie mogłam złożyć bogini w ofierze!

– Spytaj Leandrę – podsunąłem sucho. – Może ci jednego odstąpi.

– Zabiliście już dwóch przeklętych? – zapytał z niedowierzaniem książę.

– Jeden czekał na nas przy bramie, drugi walił w bębny – wyjaśniła Zokora mimochodem. – A Havald obiecał mi jednego dla bogini!

Książę wykazał się mądrością i nie pytał już o nic więcej.

Przeprowadzenie koni przez portal okazało się trudne. Były niespokojne, co doskonale rozumiałem, ale ostatecznie nam się udało. Ja przeszedłem jako ostatni i dopilnowałem, żeby zamknąć drzwi. Były dobrze schowane na tyłach w ścianie między stajnią a kuźnią. My też musieliśmy ich dobrze poszukać, istniała zatem nadzieja, że wróg ich nie zauważy. Rozejrzałem się dokoła, nic więcej nie było do zrobienia. Upuściłem ostatni kamień.

Lepiej bym zrobił, gdybym trochę zaczekał, zanim podążyłem za resztą, gdyż jeden z koni zaparł się i nie chciał iść po rampie w górę. Utknął w portalu. Wierzgnął, wginając mi kopytem napierśnik, który bez większych szkód przetrwał nawet walkę z mrocznym kapłanem.

– Dobrze was widzieć – przywitała mnie Desina, kiedy luzowałem sprzączki, żeby złapać oddech.

– Nie mieliście być we Wschodnich Rubieżach? – spytałem. Santer w odpowiedzi pokręcił głową.

– Kiedy Sowa przesłała was przez portal, rozległ się głuchy łomot, zamigotały niebieskie światła i podmuch wiatru wepchnął nas do portalu. Było oczywiste, że coś poszło nie tak. Obawialiśmy się już najgorszego.

– Cóż, wróciliśmy – oświadczyłem i popatrzyłem na nich. – Który mamy dzwon?

– Dwie świece po pierwszym – poinformował Santer. – Podróż do Aldaru i z powrotem w niespełna dwa dni! – Zaśmiał się cicho.

– Muszę podziękować wam za coś innego – odezwała się Desina. – Asela przyszła do wieży Sów... Co już samo w sobie jest dowodem, że nie jest już przeklęta. Powiedziała, że przekonaliście ją, by mi pomogła. – Spuściła wzrok na dłonie. – To dziwne. Stałam naprzeciwko niej, walczyłam z nią i czułam w niej to zło, lecz teraz

jest zupełnie inaczej. Nie sposób nie zauważyć, jak bardzo zhardziała z upływem czasu, ale mimo to ją lubię. Zupełnie jakbym znała ją przez całe moje życie.

– Może o niej czytałyście – podsunąłem i spojrzałem na Serafine, która prowadziła swojego konia rampą w górę.

– Zazdroszczę Serafine. Ona znała ich wszystkich, zanim padli ofiarą przekleństwa Kolarona.

Rozejrzałem się wokół.

– Gdzie jest książę?

– Książę Tamin? On i sera ledwie zobaczyli, gdzie są, wskoczyli na konie i pogalopowali do cytadeli. – Sowa uśmiechnęła się pod nosem. – Mówił, że chce się widzieć z komendantem i że jest mu obojętne, czy ten jeszcze śpi.

– Macie jakiś trop do tego drugiego przeklętego? – spytałem, chwytając za cugle.

– Nie. Tivstirk zniknął, jakby nigdy nie istniał – odpowiedziała Desina.

– Gdyby tak było! – westchnął ponuro Santer. – Obawiam się, że jeszcze o nim usłyszymy.

Jadąc do cytadeli, obawiałem się, że wpadnę na Orikesa, ale nikt nas nie zatrzymywał. Rozstaliśmy się pod moją kwaterą. Nie dostałem od niej nic poza uśmiechem, wszedłem do środka, zrzuciłem zbroję i padłem do łóżka.

Miałem wrażenie, że ledwie zamknąłem oczy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zakląłem cicho i zwlokłem się z łóżka. Spojrzałem w stronę okna, jeszcze nawet nie świeciło. Na bogów, kiedy w końcu dadzą mi się wyspać?

Otworzyłem drzwi i ujrzałem Armina. Patrzył na mnie promiennie. Miał na sobie proste szaty i nie rzucałby się w oczy nawet w porcie. Już miałem się poskarżyć na wczesną porę, ale nie dał mi ku temu okazji.

– Esseri! – powitał mnie radośnie. – Stał się cud! Janas przewyciężył zarazę, a lud burzy się, gdyż zdemaskowano prawdziwego sprawcę! We wszystkich świątyniach ludzie modlą się, żeby Kolaron został pokarany, a dziś rano wróciła zbiegła służba i na znak skruchy kazała się wychłostać. A moje serce, Lwica, nosi głowę podniesioną dumnie. A wszystko to za sprawą waszej mądrości! Padam wam do nóg! – Co uczynił. Leżał jak długi w progu, podczas gdy strażę usilnie starały się tego nie zauważać. – Gdybyście nie postawili na swoim – wymamrotał w podłogę – nie przyszliby djinnis, aby okazać swą wdzięczność!

– Armin, wstań! – poleciłem ostrym tonem i podciągnąłem go w górę. – Myślałem, że już się tego oduczyłeś.

– Tak mnie jakoś naszło – przyznał ze wstydem, kiedy zamknąłem za nim drzwi. – Muszę wam się przyznać, że raz czy dwa powątpiewałem w waszą mądrość. O panie,

jestem tak szczęśliwy, że wreszcie widzę uśmiech na twarzy mej Lwicy, to wszystko tak ją trapiło.

– Nie jestem już twoim panem – postawiłem sprawę jasno.

– Tylko dlatego, że zawładnęła mną miłość, w przeciwnym razie nadal z radością bym wam służył! To prawda, co mówiliście o kapłanach na Wyspach Ognistych, ludzie opowiadają o tym w całym kraju, dlaczego nie wspomnieliście o tym wcześniej, przez to tylko zamartwialiśmy się i wątpiliśmy!

– Dlaczego tu jesteś? – spytałem i zakląłem cicho. Nieopatrznie stanąłem na kant nakolannika.

– Moja Lwica wydaje dziś wieczorem przyjęcie – obwieścił. – Musicie przyjść, inaczej będę zgubiony. Nie mogę wrócić do mego kwiatu i ją rozczarować! – Jął podrygiwać w miejscu. – Zawsze wiedziałem, że jest z was bohater, a dziś w nocy ponownie tego dowiedziacie: uratowaliście księcia Aldane, zabiliście tuzin przeklętych i rozbiliście wroga u jego murów, a wszystko to w dwa dni! – Ukłonił się tak nisko, że prawie dotknął czołem podłogi. – Muszę wracać, opowiedzieć memu kwiatu, że przyjdziecie. Ale się ucieszy!

Opromienił mnie wzrokiem i zniknął. Nadal gapiłem się na drzwi, kiedy ktoś zapukał ponownie. Tym razem była to Serafine.

– Czy to był Armin? – spytała, patrząc wzdłuż korytarza.

– Tak – westchnąłem. – To on. Co się dzieje?

– Komendant chce cię widzieć. A, Havaldzie? – dodała i uśmiechnęła się nieznacznie. – Załóż coś najpierw na siebie.

Spojrzałem po sobie. Byłem taki zmęczony, że zapomniałem owinąć się prześcieradłem. Pospiesznie zatrzasnąłem drzwi przed nosem Serafine. Dobiegł mnie jeszcze jej chichot.

Komendant stał przy oknie, spoglądał na miasto i kazał mi czekać. Miałem na sobie mundur i nawet się ogoliłem.

Upłynęła cała wieczność, zanim się odwrócił, omiótł mnie ostrym spojrzeniem i westchnął.

– Lubię proste rzeczy, generale. Kiedy rozkazuję wam, abyście przynieśli mi głowę nekromanty, to właśnie tego od was oczekuję.

– Tak jest, ser – odpowiedziałem, prostując się.

– Przed chwilą widziałem na placu Cytadeli niejaką serę Asełę pogrążoną w rozmowie z Desiną i Santerem. Skinęła mi uprzejmie głową, a Desina wyjaśniła mi jedynie, że przekonaliście przekłętą, aby jej pomogła. – Świdrował mnie wzrokiem. – Czy wasze usprawiedliwienie brzmiałoby, że została oczyszczona przez Soltara i już nie jest przekłętą?

– Tak jest, ser – odparłem.

– Tak myślałem. – Westchnął. – Jeśli wam rozkazuję, abyście udali się do Aldaru, by zdławić zamieszki i przywieźć na czas księcia Tamina, aby mógł wziąć udział w Radzie Koronnej, to nie oczekuję od was, byście wydawali księciu rozkazy, a następnie szantażowali go, by uklęknął przed nowym cesarzem!

– Tak jest, ser.

– Sądziłicie, że jeśli księżę Aldane osobiście *zażąda* ode mnie, abym przechwycił obcy legion na Żelaznej Przełęczy, gdyż inaczej Aldar upadnie, to zmienię swoje zdanie?

Nic nie powiedziałem. Czekał.

– Tak jest, ser.

Westchnął po raz kolejny.

– Jeszcze zanim przesłaliście mi ten ostatni meldunek z Aldaru, pułkownik Miran otrzymała niezbędne rozkazy. Podczas gdy my tu teraz rozmawiamy, każdy żołnierz, który jeszcze może chodzić, wysyłany jest przez portal na Żelazną Przełęcz. Gdybyście przybyli tam tylko pół świecy później, zastalibyście tam Trzeci Legion. Rangor nie będzie mógł się skarżyć, jeśli zniszczymy wroga, którego, zgodnie z jego słowami, nie ma!

– Tak jest, ser!

– Więcej nie macie do powiedzenia?

– Tylko tyle, że to była słuszna decyzja.

– Tak – rzekł ciężko. – Na tym właśnie polega mój problem z wami, generale. Nie słuchacie rozkazów, sami podejmujecie decyzje, które uważacie za słuszne. I oczekujecie, że zgodzę się z wami, kiedy okaże się, że mieliście rację!

Otworzyłem usta.

– Nie ważcie się powiedzieć znowu „tak jest, ser”, von Thurgau.

Tym razem poszedłem za jego radą.

– Dobrze – rzucił ponuro. – Przekonałem się, że mieliście rację. Powiedzcie mi, czy nigdy nie popełniacie błędów?

– O, owszem, ser – przyznałem cicho. – Codziennie na nowo.

– Dopóki tak jest, generale, będziecie się konsultować ze mną, *zanim* jakiś popełnicie! – Przyspilił mnie wzrokiem. – Czy tym razem się zrozumieliśmy?

Stanąłem na baczność i popatrzyłem przed siebie.

– Tak jest, ser!

Patrzył na mnie dłuższą chwilę, w końcu kiwnął głową.

– Mam nadzieję. A teraz, na litość bogów, przestańcie się tak gapić na ścianę i stańcie swobodnie! A teraz następny punkt – ciągnął, kiedy go posłuchałem. –

Rozmawiałem z Pertokiem w sprawie Rady Handlowej i przedłożyłem mu dowody. Nie było łatwo go nakłonić, żeby postąpił zgodnie z waszymi propozycjami. Jest zobligowany wobec Borona, a bóg nie robi interesów z przestępcami. Ostatecznie przekonałem go, że odprawia pokutę tam, gdzie ich zabolą najbardziej. Podejmię działania przeciwko nim.

– Dobrze to słyszeć.

– A zatem trzymacie się planu? – spytał. – Jeszcze możemy się wycofać.

Pokręciłem głową.

– Na dłuższą metę lepiej będzie, jeśli Askir będzie wiedział, kto tu rządzi.

– W takim razie wszystko uruchomimy. I coś jeszcze, generale.

– Tak, ser?

– Chociaż księżę Tamin zdaje się nieszczerze was lubić, nazwał was bohaterem.

– Nie jestem bohaterem.

– Tak – powiedział komendant i skierował wzrok za okno. – Jeśli w tej historii był jakiś bohater, to był nim ten kapral Piór, którego wysłaliście na wieżę. Możecie odejść, generale.

– Tak jest, ser.

Zasalutowałem i odszedłem.

Serafine czekała pod drzwiami. Obrzuciła mnie ciekawie wzrokiem, równając krok z moim.

– Szybko poszło. Czego od ciebie chciał?

– Wyraził swoje niezadowolenie z faktu, że poddałem go szantażowi, aby wysłał wojsko na Żelazną Przełęcz.

– Nie przekonał się, że miałaś rację?

– Właśnie dlatego był taki niezadowolony.

Zaśmiała się.

– Nigdy nie zostaniesz dyplomatą. Coś jeszcze?

– Tylko tyle, że mamy teraz wystarczająco dużo dowodów, aby podjąć działania przeciwko Radzie Handlowej.

– Bo Rada chciała cię oskarżyć? – spytała, kiedy schodziliśmy w dół szerokimi schodami.

– Chciała? Nadal chce. Ale nie o to chodzi.

– Więc o co?

– Większość członków rady jest zepsuta chciwością i nie wierzy, że osiągnie ich ręka prawa, sądzą raczej, że to oni stanowią prawo. W czasach pokoju można to zaakceptować, ale nie na wojnie. Nie zostało już wiele z ich sumień... Widziałem dowody, że jeden z nich dostarczył flocie zepsute mięso i *wiedział*, że jest zepsute. Coś

takiego może zabić całą załogę. Z początku, jak twierdzi Orikes, nie było aż tak źle, ale z biegiem lat te praktyki się nasiliły. Teraz jest już tak, że członkostwo w radzie jest dziedziczne! Nie tak miało być. Teraz komendant ledwie ośmiela się podejmować działania przeciwko radzie. Ale zdaje się, że znalazłem na to sposób.

– Jaki?

– Zastosuję ich własne metody. – Spojrzałem w górę na słońce, nie było jeszcze południa. – Kiedy ma się odbyć ta egzekucja?

– O piątym dzwonie.

– Zatem mamy jeszcze trochę czasu. Jest jeszcze sporo do zrobienia.

– Co planujesz?

– Nie planuję, przesuwam tylko kamienie tak, aby były tam, gdzie ich potrzebuję – wyjaśniłem.

– A więc dobrze. Jakie kamienie chcesz jeszcze przesunąć?

– Radę Handlową. Vrelde, która naprawdę powinna zostać królową. Pewną serę, która lubi kwiaty. Wtedy wszystko wprawi się w ruch. – Przystanąłem i chwyciłem ją za rękę. – Nie wiem, co się wydarzy podczas tej Rady Koronnej. Chcę być tylko przygotowany. Wkrótce będzie po wszystkim.

Popatrzyła na mnie.

– Albo wkrótce wszystko się zacznie na nowo.

– Tak – zgodziłem się. – Albo tak.

– Którą serę masz na myśli? Wszystkie lubimy kwiaty.

– Nie tak jak ona – odparłem. – Znajdźmy Ragnara. Wtedy zobaczysz, co mam na myśli.

– Słyszałam, że często bywa w Srebrnym Wężu. Wczoraj wynajął tam pokój.

– To wyjaśnia, dlaczego nie przeszkadza mi już jego chrapanie.

RAGNARSKRAG

– Wyglądacie, jakbyście się dobrze bawili – przywitał nas Ragnar, kiedy przysiedliśmy się do niego. – Co robiliście w Aldarze? Siłowaliście się z niedźwiedziami?

– Tak mniej więcej – uśmiechnęła się Serafine. – Havalld znowu zrujnował sobie zbroję.

– Słyszałem, że robi to regularnie – zaśmiał się i uniósł rękę, żeby zamówić dla nas piwo.

Rzeczywiście zastaliśmy go w Srebrnym Wężu, siedział w pustawej o tej porze izbie nad dobrym śniadaniem. Ale wyraźnie nie miał apetytu, za to jego oczy były zaczerwienione, wyglądał na przemęczonego.

– Ty też nie wyglądasz lepiej – stwierdziłem. – To przez piwo?

– Nie w tym problem – jęknął. – To ten miód. Zapomniałem, jak człowiek się po nim czuje na następny dzień. – Rozejrzał się wokół, po czym ciągnął dalej półgłosem: – Święto przebiegło niemal pokojowo. Erlaf i ja nie odzywaliśmy się do siebie i były tylko cztery bijatyki. W żadnej nie brałem udziału. Minęło trochę czasu, zanim udało mi się porozmawiać z Vreldą tak, żeby w pobliżu nie było żadnego długiego ucha. Havalddie – powiedział, mrużąc chmurnie oczy – Erlaf zemścił się na niej za swoją rękę. Vrelda nienawidzi go z taką mocą, że nawet mnie to przeraża. Ona nie zamierza pozwolić mu zostać królem. Planuje zamordować go w łóżu, jeśli uda mu się zmusić ją do małżeństwa.

– Uszłoby jej to na sucho? W końcu jest królową.

– Możliwe, że tak, choć to mało prawdopodobne. O Angusie już słyszała. Powiedziała, że jeśli o nią chodzi, to pojęłaby za męża nawet kozła. Więc woli Angusa.

– Nie przeszkadza jej, że jest wilkołakiem? – zaciekała się Serafine.

– Nie – rzucił Ragnar. – Choć istnieje niebezpieczeństwo, że jego dziecko zabije ją podczas porodu. Ale przynajmniej zapewni jej silne dzieci, które łatwiej przeżyją. – Spojrzał na nią. – To nie jest tak, że on co noc zamienia się w wilkołaka. To dar od bogów, a nie klątwa, jaką może być choroba.

– A Angus?

Westchnął.

– Nie był zachwycony wizją żelaznego tronu, lecz kiedy opisałem mu Vrelde, nie powiedział nie. Za to o tej Elgacie zdaje się, już prawie zapomniał. Bardzo się pali do tego, żeby zobaczyć Vrelde, i zganił mnie, że nie chciałem mu opisać jej piersi. – Dziabął w jedzeniu. – Kiedy powiedziałem, że jest podobna do matki, nagle bardzo się zainteresował. Jeszcze ją dobrze pamięta. – Westchnął. – Kocham Angusa jak brata... nawet bardziej, zważywszy, że trzech z nich chciało mnie zamordować, ale Angus... jeśli miałyby zostać królem, będzie potrzebował dobrej rady.

– Będziesz mógł go wspierać – powiedziałem. – Jeśli Vrelde jest mądra, to się uda.

– O, jest – zapewnił mnie Ragnar. – Nawet bez twojego planu nie mógłbym pozwolić teraz Erlafowi żyć, odkąd wiem, co jej uczynił. Jest gorszy od mojego ojca. Jest tylko jedno ale.

– Jakie?

– Vrelde chce nie tylko głowy Erlafa. Ma dwanaście nazwisk i domaga się, aby każda z tych głów znalazła się nadziana na włócznię...

– Co jej zrobili?

– Pozbawili czci. Za zgodą Erlafa i na jego oczach. Ona nie może i nie chce znieść, że są przy życiu i chełpią się, że leżeli z królową. Wśród nich są niektórzy wpływowi wojownicy. Kazała mi przysiąc, że zadbam o to, obojętnie, co się z nią stanie. – Popatrzył na mnie udęczonym wzrokiem. – Nie wiem, jak mam to wytłumaczyć Esire, ale Vrelde jest moją siostrą, a to wszystko stało się tylko dlatego, że ją zostawiłem.

Serafine położyła rękę na jego dłoni.

– Jestem pewna, że twoja Esire to zrozumie – rzekła. – Ja w każdym razie rozumiem.

– Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zwróć się do mnie – powiedziałem. – Bo ja również chcę cię prosić o przysługę. Musisz rozplątać świat dla jednej sery.

– Jak to mam rozumieć?

– Zobaczysz. Potrzebny będzie najpotężniejszy cios toporem od czasów, gdy po ziemi chodziły olbrzymy. Ludzie będą śpiewać o tym nawet tysiąc lat później.

Ragnar spojrział na mnie i się roześmiał.

– Teraz to już naprawdę obudziłeś moją ciekawość.

O jednym nie pomyślałem: kiedy dotarliśmy do domu Desiny, portal był w użyciu. Ulicą ciągnął się nieskończenie długi sznur legionistów, niemal każdy z nich był uzbrojony w kuszę i ładunek kołczanów, pod którym aż się ugiął. Widziałem oznakowania Trzeciego Legionu, ale i Pierwszego, i Czwartego, a także żołnierzy piechoty morskiej w zielonych skórzanych pancerzach. Najwyraźniej komendant zmobilizował każdego, kto jeszcze wiedział, jak trzymać broń. Upłynęło trochę czasu, zanim mogliśmy wejść. Tym razem nie zaprzętałem sobie głowy dochowaniem

tajności. Uznałem, że porucznik nie zwróci uwagi na kombinację naszych kamieni, tylko po prostu przywróci ustawienia stacji na przełęczy.

Tym razem łatwiej pokonaliśmy drogę przez ruiny świątyni w Kolariste. Ragnar jedną ręką odsuwał na bok głazy, co mnie zajęłoby parę świec.

Kiedy Ragnar i Serafine ujrzeli miasto, zapało im dech w piersiach.

– Bogowie – szepnęła. – Gdzie my jesteśmy, co to jest?

– Serce wroga – odparłem ochryple. – Żeby wygrać wojnę, musimy zdobyć tego potwora.

– Nawet sto legionów to za mało – wyszeptał wstrząśnięty Ragnar. – Jak to możliwe, by istniało takie miasto? Nie ma w nim nic naturalnego!

Też byłem tego zdania.

– Odkąd je zobaczyłem, często o tym myślałem. Przypomina mrowisko. O mrówkach mówią, że słuchają tylko jednego głosu, i chyba podobnie jest tutaj. Kolaron włada każdym umysłem w tym mieście i takie są tego skutki. Tak się dzieje, kiedy każdy mieszkaniec podąża za obcą wolą. On z nich wszystkich uczynił swoich niewolników.

– Jeśli przegramy... Chcesz powiedzieć, że tak będzie wyglądać nasza przyszłość? – spytała ledwie słyszalnie Serafine.

– Tak. Ale nie przegramy. Dlatego tutaj jesteśmy, przyszliśmy tu po pomoc.

– Któż może nam pomóc wobec czegoś tak potwornego? – spytał poblady Ragnar.

– Do tego przejdziemy za chwilę – powiedziałem. – Widzicie te kwiaty? Niech każde z nas zerwie po jednym, podarujemy je jej.

Wróciłeś i przyprowadziłeś przyjaciół, powiedziała. Ragnar i Serafine wciąż nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia. Teraz chcesz mnie uwolnić, chociaż mnie nie znasz. Ale to nie będzie możliwe. Nie jesteś aż tak silny.

Ragnar ochłonął i wysunął głowę do przodu.

– To tylko jeden łańcuch!

Nie. Jeśli chcesz mnie uwolnić, musisz zdjąć obejmę, która odbiera mi oddech i rabuje siły. Jest większa od ciebie i kiedy podsunę ci szyję, ledwie jej dosięgniesz... Och... Przechyliła głowę w moją stronę i popatrzyła na mnie wypalonymi oczodołami. Twój przyjaciel jest kimś więcej, niż zrazu myślałam.

– To prawda – potwierdziłem.

Więc proszę, aby nie chybił. Zakrawałoby na żart, gdybym po upływie tylu wieków straciła życie od jednego ciosu.

– Bez obawy – zapewnił Ragnar. – Potrafię toporem odrąbać skrzydła musze!

W takim razie kładę na szali twych słów swoje życie.

Smukła głowa pochyliła się z gracją ku ziemi i uzbrojona w pazury łapa poprawiła obejmę na szyi.

– To, co teraz oglądasz – szepnąłem do Serafine – to coś jedyne w tej epoce. Nikt nie widział czegoś takiego od czasów olbrzymów.

– Skąd wiedziałeś? – spytał Ragnar, trzymając mocniej topór.

– Sam mi to powiedziałeś. Pochodzisz od nich. A ja nie wierzyłem w twe słowa, dopóki sam nie wziętem do rąk Ragnarskraga – odparłem. – Bierz się do roboty, Ragnar, zanim cesarz nekromanta się spostrzeże, co tu się dzieje.

Popatrzył niepewnie.

– Po prostu to zrób. To jest sera, która potrzebuje twojej pomocy, chcesz kazać jej czekać?

Roześmiał się.

– No pewnie, że nie!

Uniósł topór i zszedł po zboczu.

– Bogowie! – szepnęła znowu Serafine.

Nie mogłem oderwać wzroku od Ragnara. Z każdym krokiem stawał się większy i większy, aż ziemia zaczęła drżeć pod jego stopami. Kiedy stanął obok sery, wznosił się niczym wieża, niemal dorównywał jej rozmiarem. Schylił się, podniósł kawał skały, większy niż dwa domy, i wsunął go pod obejmę, która trzymała smoczycę na uwięzi. Cofnął się, obejrzał się na nas, uśmiechnął od ucha do ucha i oburącz uniósł do ciosu potężny topór.

– *Hoar!* – ryknął tak głośno, że zadrżała ziemia, a ptaki rozpierzchły się w popłochu. Wywindował ciężkie ostrze topora po chmury. Spadło i rozszczępiło obejmę, kamień i podwaliny góry z łoskotem, który wstrząsnął światem.

Nawet smoczyca wyglądała na oszołomioną, lecz Ragnar nie wahał się ani chwili. Oburącz rozwarł obejmę. Mało tego: potężnymi dłońmi zerwał pozostałe kajdany, szpecące jej trzy pozostałe nogi.

Gdzieś wysoko rozległ się przeraźliwy krzyk. Zadarłem głowę i zobaczyłem, jak jeden z małych smoków pikuje w dół na Ragnara. Schwycił bestię niedbałym ruchem, zgniótł i odrzucił na bok. Potem odwrócił się i pobiegł w naszą stronę. Ziemia trzęsła się pod jego stopami, a za naszymi plecami zawaliły się ruiny.

Małał w biegu. Przeskakiwał przez rozpadliny jak zając, uśmiechając się szeroko. Za jego plecami połyskiwała smoczyca, z pokrytego bliznami kikuta wyrosła nowa noga, a jej okaleczone skrzydła rozpostarły się teraz w pełnej okazałości.

Zobaczmy się znowu, powiedziała sera i z potężnym zamachem skrzydeł wzniosła się w górę. Wzleciała tak szybko, że ledwie ją było już widać. *Przyjmijcie podziękowania za kwiaty.*

– Havaldzie! – zawołał Ragnar, rzucił się na mnie i odepchnął skałę, która ani chybi by mnie przygniotła. – Nie stój jak kołek! Musimy iść!

Puściliśmy się biegiem. Do schodów nie było daleko, ale i tutaj tworzyły się już rysy, a ze sklepienia spadały kamienie.

Wskoczyliśmy do portalu. Nawet tu sypały się z sufitu kamienie. Rzuciłem się na Serafine i przykryłem ją ciałem, czując twarde uderzenie w plecy. Prędko upuściłem ostatni kamień wrót i znalazłem się w portalu w Askirze. Obok przetoczył się po podłodze czarny odłamek skały.

Ragnar wyprostował się, otrzepał włosy i zaniósł się śmiechem. Wziął odłamek i odrzucił go niedbale na bok. Potem pomógł Serafine wstać.

– Jazda stąd! – wrzasnął porucznik i podniósł rękę, odliczając na palcach. – Szybko!

Portal mógł przeciąć człowieka na pół. Rzuciłem się w bok. Mgnienie oka później w ośmiokącie pojawiła się spętana łańcuchami wiwerna i wlepiła we mnie jadowity wzrok.

Ragnar i Serafine zdążyli wyskoczyć z portalu. Staliśmy z boku zdyszani i przyglądaliśmy się, jak sześciu silnych Byków dźwiga wiwernę na wózek.

– Dokąd zabieracie tę bestię? – spytałem żołnierza.

– Pióra chcą ją obejrzeć. Podobno te stwory można oswoić!

Niech ją sobie oglądają. Doskonale pamiętałem rozwartą paszczę, która na nas czekała, kiedy wypadliśmy w Aldarze z domu bramnego.

– Gdyby to bydlę nie patrzyło tak jadowicie, byłoby nawet ładne – stwierdził Ragnar i oparł się o topór. Spojrzał na mnie i rozpromienił się od ucha do ucha. – Esire nigdy mi nie wybaczy, że oglądałem serę piękniejszą od niej... Bogowie. Kim ona była?

– Myślałem, że wiem – powiedziałem cicho. – Ale się pomyliłem.

– Nieważne – stwierdził Ragnar. – Już choćby po to warto było żyć!

Poszliśmy za wiwerną na wózku po rampie w górę, a potem wróciliśmy do cytadeli.

– A myślałeś, że kim ona jest? – spytała Serafine tonem zdradzającym, że wciąż żyje widokiem smoczycy.

– Myślałem, że może być zaginioną cesarzową – wyjąłem półgłosem, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem obcych uszu. – Wydawało mi się, że wszystko pasuje. Kolaron ją uwięził, a ja wiedziałem, że pewien lud na dalekim południu czcił cesarzową jak boginię. Była okaleczona, ranna...

– I uważasz, że taki smok nie broniłby się, gdyby go zaatakowano? – spytała Serafine z niedowierzaniem.

– *Była* uwięziona, jakkolwiek do tego doszło. Może w swojej ludzkiej postaci nie jest tak silna.

– Havalddie – powiedziała Serafine, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

Wskazałem w górę na cytadelę, gdzie powiewała flaga Askiru. Ragnar i Serafine podążyli wzrokiem za moim palcem.

– Na brodzie Borona! – zaklął Ragnar. – Tuż pod naszymi nosami!

– Och... rozumiem – rzekła Serafine.

Złoty smok widniejący na sztandarze w każdym szczególe przypominał serę w ruinach świątyni.

– To wydawało się oczywiste – ciągnąłem cicho. – Przynajmniej tak myślałem. Ale gdyby to była cesarzowa... poszłaby z nami.

– Cóż – skwitował Ragnar. – Mogę powiedzieć ci dwie rzeczy. Po pierwsze: gdy będę stary i siwy, nadal będę wspominał ten dzień i naprzykrzał się mojej Esire opowieściami o nim. Po drugie... jedno jest pewne: ona nie jest przyjaciółką cesarza nekromanty. – Niemal czułym gestem pogładził swój topór. – Niech przeklęty tylko spróbuje zająć Coldenstatt! Zdziwi się! Takiego cudu jeszcze nie widział!

– To był cud, Ragnarze – powiedziała Serafine z podziwem w głosie. – I to jaki!

– Sam bym chciał się tak przemieniać, jak tylko zechcę – rozmarzył się Ragnar, a jego uśmiech przygasł. – Nie jestem olbrzymem, po prostu w moich żyłach płynie trochę ich krwi. To kosztowało dużo siły, nie tylko mnie, ale i Ragnarskraga. Topór osłabł przez to. Ale na bogów, opłaciło się. On naprawdę rozłupał świat!

A przynajmniej wprawił go w drzenie. Zastanawiałem się, co sobie pomyślał Kolaron, kiedy dowiedział się o jej ucieczce.

– Wiesz, co myślę? – zapytała Serafine, kiedy usiedliśmy w Srebrnym Węzu przy tym samym stole, co przedtem. Ragnar był zdania, że trzeba wznieść toast, a ja z całego serca go poparłem.

– Co?

– Że pochodzi z tego samego rodzaju, co bóg ojciec – powiedziała. – Miała w sobie ten sam majestat i godność, które wyczuwałam u niego.

– Wówczas naprawdę byłaby boginią – stwierdził Ragnar i wznosił kufel. – A zatem wypijmy za nią, za serę z kwiatami! – Trąciliśmy się kuflami, aż prysnęła piana.

– W jednym mnie oszukałeś, Havalddie – wyrzucił mi ze śmiechem Ragnar.

– Ja ciebie? Jak to?

– Nie będą o tym śpiewać. A jeśli już, to nikt w to nie uwierzy! – Upił wielki łyk. Trochę piany zostało na jego brodzie. – Wystarczy, że sam wiem, co zrobiłem. I choćby za to ci dziękuję, staruszk!

Chciałem sięgnąć lewą ręką po kufel, ale zamarłem w pół ruchu i zakląłem.

– Co się stało?

– Ten cholerny kawałek skały, który spadł z sufitu – zakląłem cicho, ostrożnie zmieniając pozycję – znowu złamał mi żebro!

Udałem się do medyka w cytadeli, który założył mi ciasny opatrunek i poradził, żebym się nie nadwyręzał, co omal nie wywołało u mnie ataku śmiechu. Ostry ból przekonał mnie, żeby stłumić śmiech.

– Co wy wyczyniacie, generale? – spytał medyk, kiedy wkładałem mundur. – Powinniście nauczyć się lepiej traktować swoje ciało!

W ostatnim czasie zarobiłem sporo sińców. Błyskawice Leandry zostawiły mi na skórze mnóstwo małych kropek i szpetnych blizn, rozsianych po całym ciele jak piegi. Rany i żebro złamane w walce uleczył Rozpruwacz, ale zostawił sińce i blizny. Pod tym względem Rozpruwacz kierował się swoim widzimisię. Obejrzałem się w lustrze i zapiąłem kurtkę. Po pierwsze, nie wyglądało to aż tak źle, jak myślałem, po drugie, człowiek do pewnych rzeczy się przyzwyczaja. Uznałem jednak za znamienne, że to Leandra naznaczyła mnie najbardziej. I że Rozpruwacz pozostawił jej ślady.

49

EGZEKUCJA

Serafine i Ragnar czekali na mnie w mojej kancelarii. Zastałem ich pograżonych w rozmowie, obecni byli też kapral ze zbrojowni oraz porucznik miecza Stofisk. Wszyscy zdawali się świetnie bawić.

– Co to jest właściwie za zbroja, którą nosi Santer? – zapytałem porucznika. – Jest przeznaczona tylko dla Sów?

– Nie – zaprzeczył. – Pierwotnie te pancerze były wykonywane dla nocnych jastrzębi, podobno chronią też przed magią.

– Myślałam, że już znalazłeś sobie zbroję? – zaśmiała się Serafine.

– A ty nie przymierzasz różnych sukni? Ale masz rację, zbroja jeźdźców smoków to coś, o czym zawsze marzyłem, gdyby nie ona, to mroczny kapłan pokieroszowałby mnie o wiele dotkliwiej. Nie podoba mi się tylko, że tak się świeci; w słońcu wróg zobaczy mnie z odległości kilku mil!

– To się da zmienić, generale – oznajmił zbrojmistrz. – Mogę kazać ją spatynować.

– Zróbcie to – poleciłem. – I naprawcie wgniecenia, trochę ucierpią.

Jego spojrzenie zdradzało, że nie jest zachwycony, ale skinął sztywno głową i odszedł.

– Jak było w Aldarze? – spytał porucznik Stofisk. – Chodzą różne słuchy.

– Mokro – odrzekła z uśmiechem Serafine. Odpowiedź nie zadowoliła porucznika, o mało nie pękał z ciekawości.

– Później opowiecie mu o waszych bohaterskich czynach – powiedział Ragnar. – Nie chcę przegapić egzekucji.

– Mogę wam towarzyszyć? – spytał podekscytowany Stofisk. – Chcę wiedzieć, jak się skończy!

– Chodźcie z nami! – rzucił Ragnar i klepnął porucznika po ramieniu tak, że tamten aż się zatoczył. – Możecie nieść piwo!

Na zewnątrz dołączył do nas tenet Byków pod dowództwem porucznika Torisa, który wyjaśnił mi, że w takich okolicznościach eskorta jest konieczna, choćby ze względu na tłum.

– Żeby was nie zaatakował w tłumie jakiś skrytobójca – dorzucił.

Przy bramie na plac Świątynny zrozumiałem, co miał na myśli, mówiąc „tłum”. Ludzie tłoczyli się przed bramą i wzdłuż całej ulicy i tylko donośny głos porucznika

Torisa w połączeniu z uniesionymi groźnie pałkami torował nam drogę.

– Z drogi, generał idzie! – pokrzykiwał. – Z drogi! Usunąć się!

Spodziewałem się, że ludzie będą to źle przyjmować, ale większość chętnie ustępowała z drogi, uśmiechając się życzliwie i odprowadzając ciekawymi spojrzzeniami. Niekiedy rodzice podnosili dzieci, żeby mnie lepiej widziały. I tak, choć powoli, posuwaliśmy się do przodu.

– Trzeba było wyruszyć wcześniej – odezwał się Stofisk. – W takich wypadkach opłaca się planować z zapasem.

– Byliśmy trochę zajęci, a potem potrzebowaliśmy małej przerwy – wyjaśniła Serafine porucznikowi.

– To będzie największa egzekucja od wieków. – Stofisk cały promieniał. – Ostatnia publiczna egzekucja przeklętego miała miejsce osiemset lat temu. Jak mogliście pomyśleć inaczej! Co było aż tak ważne? – chciał wiedzieć.

– Zanieśliśmy kwiaty pewnej serze – zaśmiał się Ragnar.

Przy bramie na plac zauważono nasze nadejście i przepędzono tłum na boki, żeby wytyczyć nam ścieżkę, ale za bramą było jeszcze gorzej. Plac Świątynny był jednym z największych placów w Askirze, ogromna, pusta przestrzeń, porządnie wyłożona brukiem. Cztery wielkie świątynie tworzyły czworobok, otoczone pomniejszymi budynkami, służącymi na różny sposób religii; były tam drukarnie, gdzie drukowano podręczniki, kwaciarnie, pracownie krawieckie czy świątynne szkoły.

Wszędzie porozstawiano niewielkie stragany, gdzie kramarze zdzierali głos, zachwalając wino, piwo, herbatę, wypieki i inne rzeczy albo niewielkie haftowane szmatki z sentencjami zaczerpniętymi z ksiąg bogów, które można było przypiąć do szaty.

Rybałci przekrzykiwali hałas, obnosząc tablice przedstawiające historie z dreszczykiem, akrobaci prezentowali swoje sztuczki, a wysoko nad głowami gapiów tańczyła na linie mała dziewczynka. Oglądałem roześmiane, pełne wyczekiwania twarze, a dwa razy nawet złodzieja, jak umiejętnie odcinał ofierze sakiewkę.

Stofisk miał rację, to był ludowy festyn, i wcale mi się nie podobał.

Tryskający humorem Ragnar miał odmienne zdanie, a Stofisk aż podrygiwał w oczekiwaniu wrażeń.

Bogowie również przyłożyli rękę; niebo było bezchmurne i błękitne. Ludzkie masy przypominały huczący ocean.

Upłynęła dobra chwila, zanim dotarliśmy na miejsce. Od Stofiska dowiedziałem się, że większość egzekucji odbywała się na dole w porcie, a tu platformę z ciężkich belek ustawiono specjalnie dla Joakina i Helgsa. Za nią, pod murem, wznosiła się trybuna, wypełniająca się honorowymi gośćmi. Wśród wielu flag widać było te z Aldane

i Besarajnu. Koronowane głowy przybyły na znak szacunku dla jurysdykcji Askiru. Nikomu nie przeszkadzało, że w ten sposób wstępem do Rady Koronnej stanie się okrutne widowisko.

Dotarłszy do platformy, nasza eskorta włączyła się do otaczającego ją w odległości dziesięciu kroków pierścienia Byków, który przy użyciu ciężkich powrozów odpierał tłum. Weszliśmy szerokimi schodami na górę i poszukaliśmy Leandry. Rozmawiała z komendantem. Każdy z monarchów miał gwardię przyboczną złożoną z czterech żołnierzy, lustrujących nieufnie zgromadzonych. Komendant nie był tu wyjątkiem: czterej żołnierze Byków, oparci o ciężkie tarcze, bacznie wypatrywali zagrożeń.

– Gawiedź nie zawsze zadowala się sprawiedliwością – powiedział Stofisk. – W tym wypadku jest inaczej. Gdybyśmy poprowadzili Joakina przez tłum, rozszarpałby go.

Przy Leandrze stali Zokora i Varosch. Ten ostatni znowu nosił szatę adepta, a obie sery miały na sobie zbroje; ta pierwsza pancierz z gryfem, ta druga swój czarny.

– Przychodzicie późno – odezwała się Leandra z przyganą w głosie, ale nie wyglądała na zagniewaną. Zrezygnowała z peruki, jej krótkie, białe włosy jaśniały w słońcu, konkurując z delikatnym diademem na czole. Było jej w nim wyjątkowo do twarzy, szczególnie w kontraście do przebogatej korony jednego z królów: miał na głowie istną wieżę ze złota i kamieni szlachetnych. Aż cud, że się pod nią nie zginał. Z herbu wnioskowałem, że był to król Sertiny Perdis, mężczyzna w średnim wieku o ciemnych oczach i ze szpicbródką. Lepiej by zrobił, zostawiając koronę w domu; przytłaczała go i zamieniała królewską godność w groteskę.

Obecni byli również książę Tamin i baronetta; kiedy mnie zobaczyli, skinęli mi lekko głowami. Obok księcia siedział na fotelu na kółkach baron von Freise, przy nim stała bardka w barwnej sukni, która, choć podkreślała figurę i była nieco bardziej wycięta, niż nakazywałyby przyzwoitość, w przyjemny sposób wyróżniała się we wszechobecnym przepychu. Taride zauważyła moje spojrzenie i mrugnęła do mnie. Baron von Freise podniósł wzrok, powiedziała coś do niego, na co się roześmiał. Wyglądał na jeszcze bardziej wycieńczonego chorobą niż ostatnim razem. Szkoda, lubiłem go.

– Jak się masz? – spytałem cicho Leandrę. Toczyła spojrzeniem po tłumie, który zaczął mrużyć niczym jakiś potwór, hałas docierał do nas falami i zmuszał do podniesienia głosu. – Co z Kamienną Chmurą?

– Jeszcze nie jest gotowa. Ale obiecano mi w najbliższych dniach sprowadzić ją do Twierdzy Gromów. Tak będzie lepiej, ludzkie zbiegowiska zawsze wprawiały ją w nerwowość.

Wziąwszy pod uwagę, jak dręczono tego gryfa dla uciechy gawiedzi, wcale mnie to nie dziwiło.

– Nie wiem, co mam myśleć – ciągnęła strapiona. – Walka to walka, ale egzekucja... robi mi się niedobrze!

– Zaproponowałam, że wykonam wyrok za nią – poinformowała mnie Zokora, przyglądając się szeroko otwartymi oczami ciżbie. Rzadko widywałem ją tak niespokojną. – Ale nie chciała! – Ciemna elfka podniosła na mnie wzrok. – Tak wielu ludzi, Havaldzie! – wydusiła stłumionym głosem. – Nigdy bym nie uwierzyła, że tyłu was jest! I wy się nas boicie?

– Nie tutaj – powiedział Varosch i przyciągnął ją do siebie. Pozwoliła mu na to i przytuliła się do niego.

– Poruczniku – rozległ się głos Serafine. – Gdzie wy patrzycie?

– Wybaczcie – odparł zmieszany Stofisk. – Jeszcze nigdy nie widziałem was z bliska. – Zgiął się w formalnym ukłonie przed Zokorą. – Jesteście przepiękną kobietą.

Serafine chrząknęła. Głośno. Zokora zaskoczyła nas jednak, przechyliła uprzejmie głowę i odrzekła:

– Dziękuję.

Popatrzyłem na Leandrę. Wzięła głęboki wdech i skinęła markotnie głową.

– Zrobię to, ale... nie, nie podoba mi się to! – Chwyciła za rękojeść swego Ostrza Spójni, wystającą znad jej ramienia. – W takich chwilach jestem rada, że mogę się oprzeć na Kamiennym Sercu.

Tak, pomyślałem z goryczą. W takich przypadkach Kamienne Serce było bardzo użyteczne. Rozejrzałem się po platformie i zauważyłem Serafine. Wzięła na stronę Stofiska i coś do niego mówiła. Komendant uniósł lekko rękę. Podeszedłem do niego. Wyglądał na nieporuszonego panującą tu atmosferą. Jego oblicze było poważne, a kiedy obserwował tłumy, wokół jego oczu tworzyły się zmarszczki.

– Nadal uważacie, że to taki dobry pomysł? – spytał mnie tak cicho, że ledwie go zrozumiałem. – Mamy tu zawodowego kata. – Wskazał kiwnięciem głowy na wysokiego, barczystego mężczyznę, stojącego nieco na uboczu. Był ubrany w spodnie i kamizelę z brązowej skóry, odsłaniającą potężne ramiona. Nie miał kaptura, ale u jego pasa wisiała maska z czarnej stali. Gdyby nie ona, mógłby uchodzić za miłego kompana, dobrotliwego miśka, spoglądającego uważnym wzrokiem. Miał dwóch pomocników, którzy miechami podsycali ogień pod żelaznym kociołkiem. Parowała w nim srebrzysta ciecz.

Nieco dalej, pośrodku platformy, cztery kroki od jej krawędzi, stał przypominający klatkę stelaż, osłonięty skórzanymi plandekami. W środku mógł się zmieścić człowiek, mógł nawet stać tam z rozstawionymi nogami i rozłożonymi rękami. Pod stelażem znajdowała się misa z metalu. Cztery kroki dalej był pień, z rodzaju takich, jakie

znano w każdym kraju, świeżo ociosany i pomalowany na czarno, z zagłębieniem na podbródek. Tu również była misa węglowa. Jeden z pomocników rozpałał w niej do czerwoności żelazo, na którym widniała runa, jaką znaczone nekromantów. Za misą widać było szubienicę w kształcie litery T, na której miał skończyć głową w dół Helgs. Tyle że jego głowa, z wypaloną na czole runą, zostanie złożona pod szubienicą.

– Jest gotowa to zrobić, ale zapytam ją jeszcze raz. Nie sądzę, by to było konieczne, ludzie w knajpach mówią o niej z podziwem. Stofisk uratował sytuację w brawurowy sposób.

Komendant skinął głową Pertokowi, który wraz z trzema innymi inkwizytorami, Desiną i Santerem stali po naszej prawej stronie.

– Pertok to doceni. Nie podoba mu się, że musi oddać w cudze ręce wykonanie wyroku. – Komendant westchnął cicho i popatrzył dokoła. Zawiesił wzrok na zaproszonych gościach i zmarszczył czoło. – Jeśli chodzi o Radę Koronną, to wszyscy oni są jak uparte osły, ale siedzą tutaj w zgodzie i przyjaźni. Nawet Rada Handlowa jest zadowolona. To dla niej dobry interes. Dla gildii złodziei też.

Co miałem powiedzieć? Śmierć zawsze budziła upiorną fascynację.

– Jak chcą doprowadzić skazańców? Na wozie przez tłum?

– Już tu są i pod platformą czekają, aż ich wyprowadzą na górę. To już nie potrwa długo, kapłani naszych bogów już nadchodzą. – Pokręcił głową. – Spójrzcie na to zbiegowisko. Przy jakich innych okazjach widać tylu znamienitych gości? Na koronacjach, weselach możnowładców albo w ostatnim orszaku monarchy. Powinniśmy po prostu zabić ich w jakimś podwórzu i zakopać! Ale Joakin tak bardzo oburzył lud swoimi zbrodniami, że nawet Pertok uznał za konieczne wykonać wyrok publicznie.

– Czym on w ogóle zawinił?

– To zabójca na zlecenie, wyjątkowo podstępny. Ani jedna z jego ofiar nie zginęła z jego ręki.

Popatrzyłem na niego zdumiony.

– Dobierał się do żon upatrzonych ofiar, podsuwał im jakiś specyfik, który miał uczynić ich mężów lepszymi kochankami, i w ten sposób sprawiał, że kobiety truły swych małżonków. Niestety, dwie z nich zostały skazane za morderstwo, zanim wyszło na jaw, że w rzeczywistości zbrodnię popełnił Joakin. Już tylko to wystarczyło, by rozjuszyc lud.

Istotnie, podła zbrodnia.

– Czy przesłuchanie Helgsa coś jeszcze przyniosło? – zapytałem komendanta.

Skinął głową.

– Zwróćcie się do Orikesa, ma protokół przesłuchania... parę drobiazgów, kilka nazwisk. Wiemy już, że uderzyliśmy za wcześnie. Helgs spodziewał się dalszych instrukcji, których jeszcze nie dostał. – Spojrzał na mnie. – Bredził coś o jakimś kruk i zamachu na was. Lepiej miejcie oczy otwarte.

– Zamach już miał miejsce – poinformowałem go. – Jak widzicie, nie powiódł się.

– Mimo to uważajcie na siebie – poprosił. – Wróg zaplanował coś na Radę Koronną. Spędza mi sen z powiek, że nie wiem, co to może być! Moje obawy budzi też to, że jest tu gdzieś jeszcze ten Tivstirk!

Skinąłem głową i rozglądałem się dalej. Jeśli Kolaron albo Tivstirk znaleźli sposób, żeby zaatakować tutaj, oznaczało to koniec wojny. Nic dziwnego, że to się nie podobało komendantowi.

Werbliści unieśli pałki, które zatańczyły na membranach, i tylnymi schodami ruszyła w górę procesja. Czterech zbrojnych Byków twardą ręką wyprowadziło młodego, pryszczatego mężczyznę o ujmującym uśmiechu. Był skuty kajdanami, odziany w odświętną szatę i związanymi rękoma rozdawał całusy ryczącej i buczonej gawiedzi.

– Jeszcze się napawa swoim występem – mruknął komendant. – Pewnie widzi się już na kartach kronik, ale przysięgam, że do tego nie dopuszczę.

Skinąłem głową i podszedłem do Leandry. Wielkimi oczami przyglądała się Joakinowi, który właśnie szurnął nogą przed koronowanymi głowami.

– Leandro – zagadnąłem. – Radzę ci, odpuść sobie. To będzie cię prześladować w snach, nie musisz tego robić.

– Wcześniej tego chciałeś – odparła równie cicho. Pertok tymczasem wystąpił naprzód, a tłum ucichł. Inkwizytor jął odczytywać listę zbrodni delikwenta.

– Cel został osiągnięty. Ludzie cię podziwiają, jesteś niewinną królową, z którą prowadzono niecną grę. Zostaw to katu, inaczej będziesz tego żałować.

– To jest przeklęty. Potrzeba Ostrza Spójni, żeby go wyzwolić. A Kamienne Serce, jak wiesz, nie oddaje się chętnie w obce ręce.

– Jest jeszcze Rozpruwacz Dusz. To nie byłby pierwszy raz. Odpuść, proszę cię.

Popatrzyła na mnie i skinęła głową.

Odetchnąłem z ulgą.

– To właściwa decyzja.

– W takim razie pozwól to zrobić mnie – poprosiła Zokora. – Chcę go ofiarować mojej bogini!

Skinąłem głową.

– Dam ci Rozpruwacza.

– I słusznie, w końcu jest też Strażnikiem Cieni. – Uśmiechnęła się, ukazując białe zęby. – Dobrze mi posłuży.

Pertok stanął na platformie i odczytał wyrok, potem wystąpił najwyższy kapłan Borona i mówił o tym, że po sądzie doczesnym mordercę czeka jeszcze sąd niebieski, po czym złamał przed twarzą skazańca patyczek. Po nim przysła kolej na brata Jona, który obwieścił, że każda zagubiona dusza może otrzymać nowe życie, jednak niektórzy muszą spłacić stare długi. Na koniec wystąpiła kapłanka Astarte i poprosiła bogów o wybaczenie – dla kata.

Nie widziałem twarzy Joakina, stał przodem do tłumu, ale zauważyłem, jak się spiał, kiedy podszedł do niego kat w czarnej masce. Pomocnicy chwycili skazańca pod ręce. Próbował jeszcze być dzielny, ale kiedy zdjęto mu kajdany, żeby przywiązać go do stelażu, zaczął się bronić. Na próżno. Siłą wepchnęli go do stelażu, następnie nasadzili na niego klatkę niczym hełm i przechylili głowę w tył, tak że jego krzyki wznosiły się ku niebu. Przez chwilę trzymali go tak, by tłum mógł go sobie obejrzeć, a potem zasłonili plandeki i widać było już tylko ręce mordercy. Głowę też zakryli. Podsunęto małą drabinkę, kat wszedł po niej, wziął do ręki długą na łokieć rurę, przyłożył do ust skazańca, po czym wcisnął mu ją do gardła. Ręce skazanego zadrżały w konwulsjach, cały stelaż się zachybotał, lecz kat wsuwał rurę coraz głębiej, aż z ust wystawał tylko jej kawałek. Podsunęli lejek, a pomocnik podał katu kanekę z wrzącym ołowiem. Egzekutor bez chwili wahania zaczął wlewać płynny ołów w mordercę.

Stelaż zadygotał, ręce wyprostowały się i zadrżały, dłonie zacisnęły w pięści. Tłum zastygł w takiej ciszy, że słychać było skrzypienie klatki i gulgotanie ołowiu, spływającego przez lejek, ale morderca nie wydał z siebie niemal ani jednego dźwięku, tylko stłumiony jęk.

Kat wlał w niego dobre dwie miarki ołowiu. Zszedł z drabiny i cofnął się. Znad lejka unosiła się para, stelaż chybotął się i skrzypiał, a potem zobaczyłem, jak coś w smugach pary skapuje do wanny. Za późno odwróciłem się na miękkich nogach, żołądek mi się wywrócił, poczułem mdłości. Przez tłum przeszło głośne westchnienie, a potem na nowo rozległy się ryki.

Leandra odwróciła wzrok, tylko Zokora i Varosch przyglądali się z nieporuszonymi minami. Serafine wznosiła szeptem modlitwę do Soltara.

Pomocnicy kata przenieśli stelaż na bok i przykryli go czarną płachtą. Następnie Pertok wystąpił naprzód i odczytał akt oskarżenia przeciwko kupcowi Helgsowi. Jak się okazało, przyznał się do większej liczby występków, lista była długa. A im dłuższa, tym spokojniejszy stawał się tłum, aż głos Pertoka zabrzmiał wyraźnie i poniósł się daleko.

Potem zabrał głos kapłan Borona, wyjaśnił, że nie było wątpliwości, iż przeklęty jest łowcą dusz, że sam wyczuwał w tym mężczyźnie ciemność, i wypowiedział najsurowszy z wyroków: żadnej łaski bogów dla tego człowieka.

Kapłani bogów jak jeden mąż odwrócili się plecami do pieńka.

Wprowadzono na platformę Helgsa. Wyglądał strasznie, ledwie się trzymał na nogach, ale wciąż był skrupowany potrójnymi więzami. W odróżnieniu od mordercy Helgs panikował od początku. Musiał wiedzieć, że nie może spodziewać się łaski przed sądem bogów, Mroczny miał otrzymać jego duszę.

Silne ręce docisnęły go do pieńka i przypięły. Nawet teraz nie zdjęli mu więzów.

Zokora wyszła z szeregu i wyciągnęła rękę. Dałem jej Rozpruwacza. Połyskiwał blado w słońcu.

Swobodnie podeszła bliżej krokiem pełnym gracji, przywodzącym na myśl kotkę, nie zwracając najmniejszej uwagi na tłum pod platformą. Patrzyła swymi ciemnymi oczami wyłącznie na przeklętego na pieńku.

– Solante – przemówiła półgłosem, ledwie słyszalnie, choć na placu zaległa głęboka cisza. – Weź jego duszę, aby ją osądzić!

Rozpruwacz Dusz podniósł się i opadł w dół niczym błyskawica, przeciął szyję i pieńek jednym ciosem. W niebo wzniosły się radośnie cztery dusze. Przez tłum przeszedł szmer. Niektórzy chcieli zobaczyć dusze, szyje wyciągały się w górę, setki spojrzeń śledziły niebo Soltara.

Przez Zokorę przebiegła poświata, kiedy Rozpruwacz Dusz dał jej to, co zostało z przeklętego. Potem cofnęła się i oddała mi miecz. Tłum nadal trwał w ciszy. Dopiero teraz wszyscy naraz odetchnęli i szeptali, wskazując na niebo.

– Możemy już iść? – spytała Leandra.

– Tak – odparłem. – Żałuję, że w ogóle tu byliśmy.

– Mam odmienne zdanie – powiedziała ponuro Zokora. – Solante jest światłem, ona rozprasza ciemność. Zanim Mroczny dostanie to, czego chce, Solante będzie jeszcze jakiś czas osądzać tę czarną duszę. Takie jest jej prawo i taka jej wola, że nie oddaje dusz Mrocznemu, gdyż każda ofiara jemu złożona daje mu nowe siły! – Popatrzyła na Leandrę. – Dobrze zrobiłaś, że oddałaś go mojej bogini.

Leandra uśmiechnęła się słabo.

– Jeśli o mnie chodzi, niech weźmie sobie ich wszystkich.

50

MOC SÓW

Chociaż nadal byliśmy czujni i nie ja jeden rozglądałem się na boki, nic więcej się nie wydarzyło. Cokolwiek zaplanował Tivstirk albo cesarz nekromanta, nie wykorzystał tej sposobności.

– Czy wy zawsze wlewacie płynny ołów w trucieli? – spytał Ragnar w drodze powrotnej do cytadeli. Jego nastrój trochę przygasł.

– Tak – odparła krótko Serafine.

– Często się tacy zdarzają w Askirze?

– Nie – odpowiedział mu tym razem Stofisk. – To raczej rzadkie.

– Tak myślałem – rzucił Ragnar. – Mimo to uważam, że u nas rozwiązaliśmy to lepiej. Daje się skazanemu miecz, żeby mógł się bronić.

– A jeśli morderca zwycięży? – zaciekał się Stofisk.

– To się zdarza. Ale prędzej czy później zostaje pokonany. Bo dopóki nie padnie, na ring wchodzi coraz to nowi wojownicy. Wielu przelało w ten sposób pierwszą krew. Ale powiedzcie, dlaczego stelaż był zakryty plandekami?

– Czasami trucieliem jest kobieta – wyjaśnił Stofisk. – Zasłaniając ją, chroni się jej cześć i przyzwoitość.

Ragnar popatrzył na niego w zdumieniu i pokręcił głową.

– Stwierdzam, że niektórych rzeczy nigdy nie zrozumie!

Zwrócił się do mnie.

– Havaldzie – powiedział cicho. – Szkoda, że nie przynieśliśmy kwiatów serze dopiero teraz. To byłoby przepiękne zakończenie.

Świeciło słońce, ale ciągle powracało do mnie wspomnienie egzekucji. Musiałem przyznać mu rację. Z oddali dobiegł nagle głuchy łoskot, odległy grzmot, ale kiedy wyciągnąłem szyję i rozejrzałem się po niebie, niczego nie zauważyłem.

– Słyszeliście to? – spytałem.

– Grzmot – powiedziała Zokora. – Ale też nie wiem, skąd dobiegł.

Czułem w sobie jakiś niepokój, który skłonił mnie do przyspieszenia kroku. Zanim dotarliśmy do cytadeli, nadbiegł żołnierz Piór.

– Niech błogosławieństwo bogów będzie z wami, królowo Leandro – wysapał i zgiął się w ukłonie. – I z wami, książę! – wydyszał i ukłonił się przed Ragnarem. – Kapłanko Sola...

- Mówże już! – fuknęła Zokora.
- Sowa Asela właśnie walczy z nekromantą!
- Gdzie?
- W pobliżu cytadeli, przy bramie do Tylnego Miasta! – Wskazał ręką kierunek, ale nie musiał, bo w tym samym momencie ziemią wstrząsnął kolejny głuchy łoskot i w niebo wystrzelił słup ognia.

Znaleźliśmy Aselę na ławce nieopodal bramy. Medyk Piór pomagał jej właśnie zdjąć szatę. Pierwszy raz widziałem ją tak odzianą. Miała mocno poparzony lewy bok; ciężki, metaliczny materiał jej sowej szaty częściowo wtopił się w skórę, teraz ostrożnie go odrywano. Zgarbiona i pokiereszowana, z twarzą wykrzywioną bólem i oczami pełnymi łez, wyglądała niezmiernie krucho.

Wokół roztaczał się obraz zniszczenia. Nie ona jedna potrzebowała pomocy. Żołnierze wynosili z domów rannych i martwych ludzi, z pobliskich domów zostały zgliszcza. Bruk ulicy był usiany wykrotami, kłęby dymu unosiły się w kilkunastu miejscach. Widywałem już pola bitew, które były mniej zniszczone. Dobre trzy tuziny ciał leżały nieruchome jak lalki, kobiety lamentowały głośno i wszędzie uwijali się legionieści, pomagając, jak się dało.

- Bogowie! – wyrwało mi się, kiedy podeszliśmy do Aseli. – Co tu się wydarzyło?
- Przeklęty – wydusiła z siebie z udręką. – Bogowie – zaklęła, kiedy medyk małą pęsetą wydłubał stopiony metal z jej poparzonego naskórka. – Ona odczuwa ból o wiele silniej niż ja!

Pozostali popatrzyli po sobie, nic nie rozumiejąc, tylko ja skinąłem głową.

– Jesteście Sowa Asela, prawda? – spytała Leandra, z zainteresowaniem mierząc ją wzrokiem.

– Ponieważ nie jestem Desiną, to zapewne tak jest, maestro – mruknęła w odpowiedzi Asela.

– Jak to się mogło stać? – spytała Leandra bezradnie. – Słyszałam o waszej wielkiej mocy. Jak on mógł was tak urządzić?

– Przysięga nakazuje mi chronić ludzi, maestro – wydusiła przez zęby Sowa. – Co byście zrobiły, gdyby przeklęty rozniecił pożogę? Miałam pozwolić ludziom umierać? Podpalił tuziny domów, nie pozostało mi nic innego, jak ściągnąć ogień na siebie.

– Bogowie! – wykrzyknąłem, rozumiejąc powoli, co tu zaszło. Osmalone fasady domów nabrały sensu. – Podpalił cały kwartał?

– Tak. Był demonicznie silny, a ja nie mogłam uratować wszystkich. To był mój błąd, nie uważałam!

– Co się stało, Aselo? – zapytała Serafine, klękając przy niej i kładąc jej rękę na kolanie. – Jak się czujesz? Wyjdiesz z tego?

– Dziękuję, Finna – powiedziała miękko Asela – że tak się o mnie troszczysz! Psiakrew! Dlaczego nie mogę powstrzymać łez? To się zdarza... to nie powód, żeby tak się mazać... – Ramiona jej zadrżały, kiedy Serafine objęła ją mocno.

Popatrzyłem na tę, która dawniej była Balthasarem, i przekonałem się, że się o nią martwię. Sowa zauważyła moje spojrzenie i wzięła się w garść.

– Ale go zniszczyłyście – stwierdziłem.

– Nie – odparła i uniosła poparzoną twarz. – Uwięziłam go w kamieniu, ale nie mogę go pokonać w ten sposób, jest zbyt potężny! Dlatego kazałam po was posłać. Potrzebujemy Ostrza Spójni, żeby go zniszczyć. – Podniosła drżącą rękę. – Tam, gdzie stoją żołnierze... Tam go znajdziecie.

Znaleźliśmy go – w stopionym kamieniu, ślepego i zwęglonego, ale wciąż żywego.

Asela przechodziła tędy, pogrążona w rozmowie z jednym z Piór, kiedy Tivstirk przypuścił na nią atak – włócznie z ognia i dymu, która na miejscu zabiła tuzin ludzi. Walka trwała długo, świadkowie nie potrafili jej opisać, była mowa o błyskawicach, ognistych kształtach, oślepiającym świetle i ciemnym dymie, o lodzie i błyszczących kulach, o srebrzystych odłamkach, które przenikały przez kamienne ściany domów, jakby były z jedwabiu. Asela bezlitośnie spychała nekromantę w tył, owijała go w połyskliwe ściany, potem zamknęła w kuli, aż na koniec Tivstirk wzniecił ławę ognia, która pochłonęła wszystko wokół, choć tylko na chwilę; pożar zgasł zaraz i strzelił w przekłętego włócznie z światła i ognia.

Łowca dusz tkwił na dnie szklistego zagłębienia, głębokiego na krok i szerokiego na osiem kroków. Był zanurzony po ramię w stopionej na szkło skale, która pod powierzchnią żarzyła się upiorną czerwienią. Tivstirk nadal żył.

Dobyłem Rozpruwacza, ale Zokora powstrzymała mnie, wzięła do ręki kawałek zwęglonego drewna i wbiła go w ziemię. Zanurzył się powoli, a kiedy go wyciągnęła z powrotem, ciągnął za sobą nitki.

– To płynne szkło, Havaldzie – ostrzegła. – Nawet ty tego nie przeżyjesz.

Nekromanta cierpiał katusze, a jednocześnie coraz więcej dusz uwalniało się z niego, by odejść do Soltara. Kiedy tak staliśmy, jego skóra zasklepiła się wciąż na nowo, by zaraz znów pękać od gorąca. Krzyczał z bólu i milknął, kiedy ukrop odbierał mu głos.

– Możemy poczekać, aż mu się skończą dusze – podsunąłem desperacko.

– Lepiej nie – powiedziała Asela, która, wpierając się o Serafine, podeszła, by patrzeć na przekłętego. – Użycie mi waszego miecza, generale? – spytała udreńczonym tonem. – Zanim zdoła się jakoś uwolnić?

– Tylko jeśli skorzystacie z daru Rozpruwacza – rzekłem cicho. – Wyglądacie strasznie.

– W takim razie nie odmówię – odparła i uśmiechnęła się osmalonymi sadzą wargami, które popękały, odsłaniając żywe mięso.

Wyciągnąłem Rozpruwacza i po raz drugi tego dnia użyczyłem go drugiej osobie.

Asela wzięła miecz, wykonała gest ręką i stanęła na szklistej powierzchni. Jej ciemne trzewiki zostawiały na niej ślady i dymią, ale ona sama zdawała się odporna na gorąco. Stanęła przed przeklętym i uklękła.

– Mam nadzieję, że cierpisz. Zaskoczyło cię, że nie była bezbronna? Kiedy jeszcze miała wolę, marzyła o tym, by tak się stało.

Z gardła łowcy duszy wydobył się bulgot.

– Tak, teraz wiem, kim jesteś i co jej zrobiłeś – ciągnęła chrapliwie. – Daruj sobie słowa. Ona ich nie słyszy, a mnie już nie mogą zranić.

Podniosła Rozpruwacza i przebiła czaszkę przeklętemu. Na moich oczach w górę popłynęły dusze, ku łasce Soltara, było ich tak wiele, płynęły tak gęstym strumieniem, że tworzyły połyskujący słup światła.

– To dla ciebie – wyszeptała Asela tak cicho, że ledwie ją słyszałem. Wstała. Cofnęła się o krok, podczas gdy przeklęty nadal wypluwał z siebie dusze. I nagle rozsypał się na proch.

Oślepiające światło roztoczyło się wokół Aseli, rozlało falą, otoczyło każdego z nas. Rozwarła usta i krzyczała, dygocząc, omal nie upuszczając Rozpruwacza. W końcu wszystko ustało. Zataczając się, dotarła do krawędzi szklanej powierzchni, gdzie ciężko dysząc, stanęła przed nami.

Z jej twarzy zniknęły ślady poparzeń. Spojrzała na mnie ze zdumieniem i uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że wiecie, co to za miecz – wyszeptała i zemdląła.

Nie, pomyślałem, biorąc do ręki Rozpruwacza, najwyraźniej nie wiedziałem. Nagle zewsząd jęły dobiegać pełne zdumienia i ulgi okrzyki. Ludzie zauważyli cud: większość ich obrażeń została uleczona. Tylko martwi nadal leżeli nieruchomo.

– Pomóżcie mi zanieść ją do wieży – poprosiła zaniepokojona Serafine. Skinąłem głową i podniosłem Sowę. Była tak drobna, że ważyła tyle, co piórko.

– Nie chcę wiedzieć, co jeszcze przyniesie ten dzień – powiedział z namysłem Ragnar, kiedy zostawiliśmy za sobą to miejsce śmierci, zniszczenia i cudu.

– A więc wasz miecz uzdrowił nie tylko ją – stwierdził Orikes, przypatrując się nieruchomej postaci. Asela leżała blada na łóżku, tylko jej cichy oddech wskazywał, że jeszcze nie odeszła do Soltara. Śpiąca, bez tej swojej żelaznej woli, wydawała mi się bardzo delikatna i krucha.

– Na to wygląda – powiedziałem. – Nie wiedziałem, że to potrafi.

– Co z nią? – spytała Serafine.

– Nie dba o siebie – stwierdził cicho Orikes. – Nie oszczędzała się, jest wychudzona i mocno wycieńczona. Ale teraz śpi, to dobry i zdrowy sen, nie omdlenie. – Spojrzał na Serafine. – Nic, czego nie można doprowadzić do porządku dobrym rosołem i snem. Cokolwiek jej dolegało, uzdrowił ją miecz generała. Co z przeklętym?

– Nie została po nim nawet czaszka, rozsypała się w proch. Musiał być bardzo stary – powiedziałem.

– Mówicie, że zniszczył tuziny domów?

– Aż po fundamenty, a wiele jest uszkodzonych.

– W takim razie jestem rad, że to nie Desina stanęła na jego drodze. Albo wy – dorzucił, patrząc na nas. – A może oparlibyście się takiej sile?

Przypomniałem sobie zniszczone domy, ogień, martwe ciała, nieckę ze stopionej skały i pokręciłem głową.

– Nie sądzę.

– Co teraz? – spytała Serafine, kiedy odchodziliśmy. Pogrążyłem się w zadumie, myślałem o niezwykłych ścieżkach bogów i o tym, jak największa z Sów po tylu wiekach odnalazła się tutaj.

Balthasar nie tylko o mało mnie nie zabił, ale i w okrutny sposób dręczył Natalię, traktował ją jak psa i upokarzał. Nie był już tamtym człowiekiem. Nigdy nie sądziłem, że można mu będzie przebaczyć, a jednak to zrobiłem.

– Powiedziałaś coś? – spytałem Serafine, maszerującą u mego boku.

– Że powinniśmy iść spać.

– Jeszcze nie ma szóstego dzwonu – zauważyłem.

– Wystarczy tego na dziś. Chodźmy do łóżka.

Zrozumiałem dopiero, kiedy weszła ze mną do mojej kwatery i zamknęła za sobą drzwi. Patrzyła na mnie swymi ciemnymi oczami i uśmiechała się.

– Już wystarczająco długo czekaliśmy – powiedziała cicho, odpinając mi guzik przy kołnierzu. – Wieki całe... Nadszedł czas.

Dużo później, na wpół wybudzony, stwierdziłem, że tym razem koszmar mnie oszczędził. Obróciłem się na bok, powąchałem jej włosy i zasnąłem ponownie.

Obudziła nas Leandra. Byłem zakłopotany, kiedy zobaczyłem ją pod drzwiami i spostrzegłem, że zezuje do środka. Za oknami było jasno, minął już drugi dzwon, a ja już dawno tak dobrze nie spałem – i przegapiłem święto Faihlyd i Armina.

– Mogę wejść? – spytała Leandra i uniosła dzbanek. – Przyniosłam kafe.

– Nie jesteś na nas zła? – spytałem, otwierając szerzej drzwi. W łóżku poruszyła się Serafine i podciągnęła prześcieradło pod brodę, rozczochrana, ale z uśmiechem na twarzy.

– Nie – odparła Leandra i postawiła dzbanek na stole. Posłała Serafine uśmiech na powitanie.

– Wyjaśniłyśmy to sobie – oznajmiła Serafine, odgarnęła kosmyk z twarzy i odwzajemniła uśmiech.

Taka dawka uśmiechów wprawiała mnie w nerwowość, ale próbowałem to ukryć.

– Byliśmy na przyjęciu u Faihlyd – powiedziała Leandra. – Usprawiedliwiłam was oboje, więc nie musicie patrzeć jak winowajcy. Przyszłam, żeby wam zdać relację, co jeszcze się wydarzyło.

– Jeszcze więcej? – spytała Serafine i ziewnęła. Z trudem oderwałem od niej wzrok, kiedy przeciągnęła się jak kotka. – Myślałam, że już dość się działo.

– Aż za dużo – odparła Leandra. – Wybuchł skandal. Książę Tamin obraził króla Keslera, używając odpowiednich słów. O mało nie doszło do pojedynku.

– Tylko o mało? – rzuciłem z rozczarowaniem i zapiąłem kurtkę.

– Przełożono to na dzień po Radzie Koronnej – odpowiedziała Leandra, uśmiechając się pod nosem. – Keslerowi nie było to w smak, aż się rwał, żeby zmierzyć się z Aldańczykiem. A potem przyszła pora na główną atrakcję wieczoru. Faihlyd przeszła samą siebie. Podała marszałkowi Hergrimmowi ze Wschodnich Rubieży głowę zdrajcy w galarecie.

Zakrztusiłem się kafej i poparzyłem sobie gardło.

– Co? – wykrzyknąłem, kaszląc.

Leandra odprężona wypła łyk.

– To był prezent. Powiedziała, że ten, który kiedyś był właścicielem głowy, obraził marszałka, rzekomo próbując zabić ją w jego imieniu. Ona zaś jakoby wiedziała, że skłamał. A więc wyświadczyła przysługę marszałkowi i poczęstowała go głową tego, który splamił jego honor. – Leandra uśmiechnęła się nieznacznie. – Eleganckie rozwiązanie, muszę przyznać, choć marszałek stracił apetyt i raz-dwa się pożegnał.

– Tylko czemu marszałek nastawał na życie Faihlyd? – zapytałem.

– To nie był skrytobójca, tylko szpieg – wyjaśniła Leandra. – Co nie przeszkodziło Faihlyd wykorzystać sytuacji.

Serafine zaśmiała się cicho.

– To stara sztuczka – powiedziała. – Ale wciąż skuteczna. Głównie dlatego, że druga strona nie może mieć pretensji, wszak wyświadczyło jej się przysługę i nie stawia zarzutów.

– Właśnie – przytaknęła Leandra. – Później, podczas występów tancerzy i żonglerów, słyszeliśmy, że u Varlandczyków też było święto. Królowa Vrela obwieściła, że wybrała króla. – Leandra popatrzyła na mnie. – Coś mi się wydaje, że

parę rzeczy trzymałeś przede mną w tajemnicy, Havaldzie. Wybrankiem jest Angus Wilczy Brat.

– Ragnar uważa go za odpowiedniego męża – powiedziałem tak niewinnie, jak tylko umiałem. – Co na to jarl Erlaf?

– Niewiele. Podobno Vrelde, zanim obwieściła swój wybór, kazała ustawić w hali Varlandczyków czternaście włóczni. Na jednej tkwiła głowa Erlafa. Podobno jego twarz miała wściekłą minę... Ale to jeszcze nie wszystko.

– Co jeszcze? – spytała Serafine.

– Książę Tamin oznajmił, że sojusznicze wojska pod dowództwem marszałka barona di Cortii natknęły się na granicy Aldane na legion wroga i rozbiły go. Trochę koloryzował, bo jak się później dowiedziałam od komendanta, w tamtym momencie walki jeszcze trwały, choć wiadomo już było, jak się rozstrzygnie bitwa. Była mowa o jakimś wąwozie, który zagrodzono po obu końcach lawiną kamieni. A dziś rano otrzymałam jeszcze jedną wiadomość.

– Jaką? – spytałem.

– Rada Handlowa wycofała oskarżenia przeciwko nam i wystawia cesarzowi nekromancie rachunek za straty spowodowane wybuchem wulkanu. Rada żąda od komendanta, żeby ten z najwyższą surowością wystąpił przeciwko przekłętemu.

– Bogowie! – zakląłem. – Nie taki był plan!

Leandra popatrzyła na mnie z niewinną miną, a Serafine otworzyła szerzej oczy.

– Planowałeś coś innego? – spytała Leandra. – Wolałbyś rozprawę? Jeśli tak, to ktoś cię zdradził.

– Tak – warknąłem. – I wiem już nawet kto.

– Mam nadzieję – powiedziałem później do porucznika Stofiska – że możecie mi to wytłumaczyć!

Porucznik stał sztywno przede mną. Najchętniej chwyciłbym go za tę jego chudą szyję i potrząsnął.

– Tak jest, ser! – wykrzyknął mężnie.

– No więc?

– To, czego chcieliście, ser, było niewłaściwe.

– Ach tak?

– Chcieliście wykorzystać rozprawę przeciwko wam, by aresztować całą Radę i zmusić ją, aby służyła koronie, a nie mamonie.

– A gdyby rzeczywiście tak było?

– To byłoby toporne rozwiązanie, generale – powiedział Stofisk i przełknął ślinę. Na czoło wystąpiły mu krople potu. – Zmusiłoby kupców do obrony i konieczności zachowania twarzy. Mieliby nóż na gardle, a na tym punkcie są szczególnie wrażliwi.

– Mogli spokojnie potrząść trochę gatkami – warknąłem. – Chętnie bym im przycisnął te pazerne gardła. Żołnierze już stoją w gotowości, żeby zarekwirować im dobra. Jeszcze nic straconego.

– Wiedzą o tym. Dlatego już podjęli działania. Poświęcili jedenastu spośród siebie. Właśnie przekazano dowody inkwizytorowi, ponadto każdy zobowiązał się wspierać wojnę przeciwko Thalakowi całym sercem, a właściwie całą sakiewką. Do Janasu wyruszył konwój ze zbożem i wszelką inną pomocą, zostaną obniżone ceny, aby sprawiedliwiej rozłożyć wydatki wojenne. – Popatrzył mi w oczy. – Dostaniecie więcej, niż mogliście żądać, i nikomu nie ujdzie to na sucho.

– Możliwe – powiedziałem chłodno. – Mimo to złamaliście słowo!

– Nie – zaprzeczył dzielnie Stofisk. – Wiedziałem, co chcecie zrobić, ale choć nie było mi łatwo, niczego nie zdradziłem, ani słówkiem. Zresztą nic nie musiałem robić, to mój ojciec nadał wszystkiemu bieg.

– Jak to?

– Mówi, że zobaczył to w księgach. I w waszych oczach. Sądzi, że podejmiecie walkę z samymi bogami, jeśli wam nadepną na odcisk. Przewodniczy teraz Radzie Handlowej i każdemu, komu przychodzą do głowy głupie myśli, grozi waszym gniewem.

– Czyżby?

– Tak jest – potwierdził porucznik. – Mówi o waszym gniewie, jakby to był koniec świata, i wezwał Radę do okazania skruchy. I wszyscy teraz krwawią złotem ze swoich serc. Mnóstwem złota. Skrzyniami złota. Wystarczy na sfinansowanie ze trzech wojen. – Przełknął ślinę. – Mój ojciec uważa, że jeśli nie wystarczy wam taki rodzaj skruchy, to czyńcie, co musicie, ale tak Rada jest więcej warta niż zamknięta w lochu albo na szubienicy.

Zaśmiałem się cicho.

– Czy chociaż skorzystał na tym wasz ojciec?

– O tak! – Rozpromienił się. – Teraz ojciec jest przewodniczącym Rady i właśnie przejmuje dwa kolejne banki. Matka poszerza flotę i dostanie trzy spichlerze. Zaraz, wy tak żartem?...

– Nie do końca – westchnąłem. – Przypuszczałem, że tak jest. Poruczniku, popatrzcie tutaj. – Wyjąłem z szuflady pudełeczko, otworzyłem je i pokazałem mu złote insygnia lancy. – Mogliście zamienić miecze na waszym kołnierzu na to. – Zamknąłem pudełeczko i schowałem do szuflady. – Teraz trochę na to poczekacie. A jeśli jeszcze raz zwątpię w waszą lojalność, zapłacicie za to głową, choćbym miał własnoręcznie skrócić wam kark. A teraz idźcie do rodziców i przekazcie im, że to samo dotyczy nich. Odmaszerować!

- Tak jest, ser! – wykrzyknął, zasalutował, obrócił się na obcasie i uciekł.
Popatrzyłem na Serafine, której podejrzenie drgały kąciki ust, i westchnąłem.
- Wierzysz mu? – spytała, uśmiechając się pod nosem.
- Nie do końca. Choć wierzę, że ma się za cwańszego od nas wszystkich. Widzę tylko jeden problem.
- Jaki?
- A co, jeśli naprawdę jest cwańszy?

PAN NAD KRÓLESTWAMI

Następnego ranka razem staliśmy na platformie w dziedzińcu cytadeli i salutowaliśmy monarchom przybyłym na Radę Koronną. Barwny pochód sztandarów, proporców, kosztownych szat, uprzejmych uśmiechów i wielkopańskich powitań.

Procesja brała początek na placu Świątynnym, gdzie kapłani udzielili władcom błogosławieństwa, by przejść zatłoczonymi ulicami do cytadeli. I znowu atmosfera była jak na festynie. Właściwie jeden festyn przeszedł w kolejny.

Leandra też kroczyła w procesji, z Zokorą i Varoschem u boku. W porównaniu z innymi wyglądała niemal niepozornie, ale tłum wiwatował i jej. Angus utykał trochę i miał błyszczące oczy. Między nim i Ragnarem szła rozpromieniona i uśmiechnięta Vrellda. Faihlyd wyglądała jak uosobienie spokoju, a i Armin sprawiał wrażenie, jakby to, co się tu odgrywało, nie było niczym szczególnym.

Książę Tamin szedł z baronettą Levin, która popychała wózek na kółkach von Freisego. Nie dało się nie zauważyć ich podobieństwa. Książę spojrział przelotnie w naszą stronę i ponuro skinął mi głową.

Poszliśmy do cytadeli za monarchami, gdzie ci odłączyli się od reszty orszaku, który, rozprawiając jak stado kolorowych gęsi, przystanął przed wejściem do sali tronowej. Kiedy ostatni z namaszczonych wszedł do środka, ciężkie wrota zamknęły się z głuchym łoskotem, od którego zadrżała ziemia.

– Co teraz? – spytała Serafine, kiedy odwróciliśmy się do odejścia.

– Nie wiem.

– Mam na myśli jak wygląda twój plan?

– Nie mam żadnego.

– Prawie wierzę, że to prawda – powiedziała powoli. – Odkąd przybyliśmy do Askiru, mącisz i kręcisz, a teraz mówisz, że nic więcej nie przewidziałeś?

– Postępuję zgodnie z prostą regułą: pozyskaj tylu przyjaciół, ilu zdołasz, wyposaż ich w to, co najlepsze, i licz na bogów. To prawda, naginałem i naciskałem, przekonałem nawet komendanta, ale nic więcej nie mogłem zrobić. Teraz wszystko zależy od naszych przyjaciół, sojuszników i bogów. To, co jest za tymi drzwiami – wskazałem na zamknięte wrota, gdzie potworzyły się barwne grupki posłańców

z różnych królestw – to wielka polityka, nie moja gra. Mam tylko nadzieję, że nadal jest tam miejsce dla rozsądku i wzajemnego zrozumienia.

– Co to za układ, do którego zmusiłeś komendanta? – spytała niemal szeptem. – I jak?

– Powiedziałem mu i pokazałem, co wiem o wrogu. Wspomniałem o moich obawach, jak mogą potoczyć się sprawy tutaj. Poprosiłem, by dał mi możliwości i środki, by nie dopuścić do najgorszego. Teraz jego ruch. Jeśli sojusz pięknie, poprowadzę armię Askiru na wojnę. Całą armię, nie tylko Drugi Legion.

– Całą?

– Tak.

Popatrzyła na mnie nieufnie.

– Jest coś jeszcze.

– Owszem – przyznałem, kiedy wyszliśmy z cytadeli. Skierowaliśmy się do cesarskiego ogrodu. Nie zamierzałem już dziś wertować akt, ten dzień chciałem spędzić z nią. – Liczę na cud.

– Jakiego rodzaju?

– Pomijając to, że bogowie ześlą grom i zabiją Kolarona?

– Pomijając to.

– Że cesarz ma plan, że wróci i trzeciego dnia Rady Koronnej wcieli go w życie. Wszystko wskazuje na to, że wiedział, iż ten dzień nadejdzie, zanim w ogóle spisał pierwsze słowa traktatu.

– Domyślasz się jaki?

Pokręciłem głową.

– Ani trochę.

Wrota pozostawały zamknięte już sześć świec. Siedzieliśmy z Serafine w ogrodzie. Furtka nadal była zamknięta, a my na oczach pełniących wartę Byków pokonaliśmy ją górą. Jeden pomógł nawet Serafine, podsadzając ją. Piliśmy herbatę i jedliśmy miodownik, który Leandra przyniosła z przyjęcia Faihlyd, rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o tym, co miało miejsce w cytadeli. Trochę później dołączyła do nas Asela. Miała na sobie szatę Sowy i w pierwszej chwili wziąłem ją za Desinę. Wyglądało na to, że odnalazła spokój, a kiedy się uśmiechała, widziałem ślady urody, z której słynęła.

Wziąłem fajkę i wędrowałem po ogrodzie, chłonąc spokój, podczas gdy Finna i Asela odświeżały dawną przyjaźń.

Jeśli chodzi o Radę Koronną, nie miałem dalszych planów, lecz jeżeli zakończy się tak, jak miałem nadzieję, było jeszcze sporo rzeczy do przemyślenia. Wróciłem do obu kobiet i zapytałem Aselę, czy istnieje portal do stolicy Illianu.

– Tak – powiedziała, ale jednocześnie pokręciła głową. – Lecz jest niedostępny, rzeka światów już tamtędy nie przepływa.

– Musimy ją tam przekierować – postanowiłem.

– To nie takie proste. Miejsce, w którym trzeba by dokonać przekierowania, znajduje się głęboko na terytorium wroga.

– Więc udamy się tam – orzekłem. Serafine westchnęła.

– Pokazałam ci ten ogród także po to, żebyś odnalazł spokój – powiedziała cicho. – Nie możesz choć na jedną chwilę zapomnieć o wojnie?

Obiecałem jej to i szczerze próbowałem. One dwie rozmawiały, ja paliłem fajkę. Nie udało mi się.

– To była katastrofa – powiedziała nam później Leandra. – Książę Tamin wyraźnie się hamował. Wie, że musi czekać do trzeciego dnia, zanim wysunie oskarżenie przeciwko Rangorowi. Ale przysięgam, że słyszałam jego zgrzytanie zębów.

– Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam w jednym miejscu tyle głupoty – oznajmiła Zokora, popijając herbatę i pozwalając Varoschowi masować sobie ramiona. – Dlaczego tylu ludzi jest próżnych, głupich, krótkowzrocznych, a do tego zaślepionych chciwością?

– To nie tak – wtrącił Varosch i delikatnie pogłaskał ją po krótkich włosach. – Masz tylko takie wrażenie.

– Większość z nich taka jest. Większości z nich nie chciałabym mieć nawet za niewolników!

– I tak chyba jest lepiej – zauważyła Serafine z uśmiechem. Ja też powstrzymałem śmiech.

– Co się wydarzyło? – zapytałem, wbijając rękojeścią noża kranik w antałek piwa, który przyniósł Ragnar. Nalałem sobie i przyjacielowi. Ragnar wziął ode mnie kufel, usiadł w rogu, upił trochę i zamknął oczy.

– Varosch – odezwała się Zokora. – Ty opowiedz. Ja nie mam na to ochoty.

– Po pierwsze – zaczął Varosch – trzeba stwierdzić, że słowem nie wspomniano ani o wojnie z Thalakiem, ani o ataku na Askir. Na wzmiankę nie zasłużył nawet obcy legion, pogrzebany na Żelaznej Przełęczy. Głos zabierał głównie marszałek Wschodnich Rubieży, Hergrimm. Mówił o atakach barbarzyńców, o stratach, ostrych szarżach na warownie i zażądał wsparcia od pozostałych królestw. Te narzekały, że obciążenie i tak jest już za duże i że posyłają już dość złota. Potem wybuchła kłótnia o posag, następnie kolejna o kopalnię, którą wykopano za głęboko. Po marszałku najwięcej domagał się książę Tamin, pytał, jaki w ogóle jest sens sojuszu, i został spławiony pięknymi słówkami. – Varosch uśmiechnął się pod nosem. – Wydaje się, że nie traktują go poważnie. Jeden wytknął mu, żeby lepiej pozostał przy spódnicach.

– I co? – zaciekała się Serafine.

– I nic – odpowiedziała z uśmiechem Leandra. – Książę podziękował za radę i usiadł, ale widać było, że w środku aż kipi. – Westchnęła. – My nie odzywaliśmy się ani słowem, komendant też się powstrzymywał. Hala jest przytłaczająca, słysząc każdy szmer, każde kasznięcie, a nad wszystkim wisi jakiś przygniatający ciężar.

– To święto próżności – dorzucił Varosch. – Zadufane w sobie fircyki, puszące się w pozach i zamykające oczy na świat. Zawarto tylko jedno porozumienie.

– Jakie?

– Zostanie wprowadzone cło na pawie pierze z Xiang.

– Och – mruknąłem. – I to tyle?

– Tak. I to zajęło im sześć świec! To doprawdy męczące.

Następnego dnia nie miałem czasu oglądać orszaku władców. Pół dnia spędziłem w zbrojowni, drugie pół w cesarskiej stoczni, gdzie taklowano kilka z tych ogromnych okrętów. Po raz pierwszy widziałem również parę jaszczurów, spore bestie, większe ode mnie. Przyglądały mi się równie ciekawie jak ja im.

W stoczni były ich tuziny, pomagały nosić ciężary albo wykonywać różne prace pod wodą. W kanale aż się od nich roiło, podpływały do wraku, z którego została już tylko połowa, chwytaly kamień albo belkę i wypływały z kanału... albo nurkowały, by wyrzucić bagaż przy ujściu kanału do zalewu portowego.

Natknąłem się na Rikin, która śledziła to wszystko ze zmarszczonym czołem, a później spotkałem Elgatę, która wyglądała na zadowoloną. Dostała dowództwo nad jednym z cesarskich okrętów wojennych i pilnowała, by został odpowiednio wyposażony. Nie wspomniała o Angusie, a ja nie dopytywałem.

– Jak dziś poszło? – spytałem później, kiedy zebraliśmy się w pokojach Zokory. Ktoś, pewnie Varosch, uprzątnął książki i ustawił je w stosach pod ścianą, tylko dwie leżały jeszcze na łóżku elfki.

– Podobnie – westchnęła Leandra. – Tyle że wreszcie przyznali, że Thalak i Kolaron jednak istnieją. Marszałek stwierdził, że ma dość zmartwień z barbarzyńcami, a pozostali zbagatelizowali zagrożenie. Rangor oświadczył, że nie ma powodów do niepokoju, dopóki granice się trzymają.

– Granice? – powtórzyłem. – Co on sobie myśli? Że tam są jakieś mury, których pilnuje wojsko?

– Sądzę – powiedziała Leandra – że on się boi. Jest nerwowy, bez przerwy zerka na księcia Tamina i komendanta.

– Co mówi?

– Niewiele. Co zrozumiałe. Książę zdał relację z ataku na Aldar, po czym dano mu do zrozumienia, że to prawdopodobnie byli tylko dezercerzy.

Mogłem tylko pokręcić głową z niedowierzeniem.

– Książę Tamin też patrzył takim wzrokiem – skwitowała Leandra. – Potem usiadł i nie powiedział już nic więcej.

– I co było potem?

– Potem zaczęło się robić ciekawie – opowiadał Varosch. – Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, o czym nie mówiono. Z wyjątkiem Aldane, Varlandu, Besarajnu i Askiru wszyscy mówią tylko o incydencie, nieporozumieniu, a ktoś zaproponował, żeby wysłać do Kolariste dyplomatów, którzy przekażą notę protestacyjną.

– Kto wymienił tę nazwę? – spytałem.

– Marszałek, zdaje się – odparł Varosch.

– Nie – zaprzeczyła Zokora i na chwilę wytknęła nos z książki. – To król Perdis wysunął tę propozycję. Tak się chyba nazywa stolica wroga.

– Tak – potwierdziłem. – Też już to ustaliłem. Zastanawia mnie tylko, skąd król to wie.

– Za kilka tygodni wypłynie na południe statek z tą notą – powiedziała Leandra i oparła się zmęczona. – Decyzja o tym zapadła dość prędko, w końcu trzeba jeszcze renegocjować cła na miedź. Rangor domaga się wyższych, inni niższych. – Popatrzyła na mnie. – Tym razem zabrałam głos. Opowiedziałam o zagrożeniu Illianu i stwierdziłam, że nota protestacyjna to nie jest właściwy środek. Wysłuchali mnie uprzejmie i pokiwali głowami, to wszystko.

Następnego ranka przechwycił mnie komendant.

– Powinniście nam dziś towarzyszyć – powiedział. – Będzie również obecna Asela i brat Jon, który będzie pilnował prawdy. – Zmierzył mnie twardym spojrzeniem. – To wy to wszystko uknuliście, więc powinniście przy tym być!

A zatem ostatniego ranka weszliśmy do środka razem z monarchami. Serafine, Desina i Santer również.

– Byliście tu wczoraj? – spytałem Santera, kiedy wkroczyliśmy do sali tronowej.

Pokręcił głową.

– Komendant zaprosił nas dopiero dzisiaj.

Kiedy zajęliśmy miejsca w łoży za tronem, zauważyłem, że skład innych łóż również się zmienił. Lecz gdy Serafine chciała usiąść koło mnie, komendant pokręcił głową.

– Tam – szepnął i wskazał na łożę, w której ze zdumieniem zauważyłem Taride. – Idźcie do elfów.

Serafine rozwarła szerzej oczy, ale skinęła głową i przeszła do drugiej łoży, gdzie Taride powitała ją uprzejmie. Inni tylko się na nią gapili.

Brat Jon nie był jedynym kapłanem w sali, obecny był również najwyższy kapłan Borona. Stał w łoży Aldańczyków. Kapłanka Astarte dołączyła do łoży Taride.

RADA KORONNA

Nie wiedziałem, jaki nastrój panował tu przedtem, ale dziś, gdy coraz więcej uczestników zaczynało pojmwować, co się tego dnia zmieniło, powietrze zdawało się iskrzyć. Większość spojrzeń wędrowała ku Taride i Serafine, ale i na nas zerkano z niepokojem. Jako ostatni do sali wkroczył król Kesler, z wahaniem, jak mi się wydało, i kiedy ciężkie wrota się zamykały, można było niemal odnieść wrażenie, że chcą wepchnąć go do środka. Zatrzasnęły się z odgłosem przypominającym dźwięk dzwonu i od razu poczułem ten nacisk, o którym mówiła Leandra, jakby przykryła mnie jakaś ciężka płachta.

– Niech błogosławieństwo bogów będzie z wami wszystkimi – zaczął komendant. – Zebraliśmy się dzisiaj, żeby odbyć ostatni dzień Rady Koronnej.

– Co on robi? – szepnął król Kesler, który chyba zapomniał, że wszyscy mogą go słyszeć. – Co z cłami na miedź?

– W tej chwili nie są ważne – odparł chłodno Keralos. – Bowiem dla cesarstwa istotna jest tylko jedna sprawa: wojna z Thalakiem i jego cesarzem Kolaronem.

– Nie chodzi tylko o cesarstwo – odezwał się marszałek. – Ale rozumiem, co czujecie. Wschodnie Rubieże już od dawna są w podobnej sytuacji.

– Nie jest przecież tak, że znajdujemy się w stanie wojny – wtrącił król Sertiny, jakby sam chciał się utwierdzić w tym mniemaniu. – To nie zostało uchwalone, jak na razie!

– Nie? – zahaczył komendant. – A co ze zmarłymi, których musieliśmy opłakiwać? Aldar i Askir zostały zaatakowane, miały miejsce zamachy, planowano inwazję. Siedem królestw łączy sojusz, a jednak nikt nie spieszy nam albo Aldane z pomocą.

– Jak możecie oczekiwać pomocy – wtrącił chłodno marszałek – jeśli sami pozwalacie się nam wykrwawiać? Kiedy to Rubieże otrzymały pomoc, jakiej potrzebują?

Kesler zdobył się na odwagę i poderwał się z miejsca.

– Powstrzymywaliście swoje legiony. Wschodnie kraje miały krwawić za was!

– I dlatego zmówiliście się z przeklętym? – spytał lodowano ksiązę Tamin.

– Nie ma dowodów, że Kolaron jest przeklętym – powiedział Kesler i wysunął zuchwale podbródek. – Nie wciągajcie nas w waszą wojnę.

– Brawo – rzucił uszczypliwie komendant. – Wreszcie ktoś mówi to głośno, choć jestem zaskoczony, że to akurat wy, Kesler. Nie podejrzewałem was o taką odwagę!

– On tylko mówi to, co wszyscy myślą – rzekł marszałek. – To jest wasza wojna, komendancie, zawsze była. Nie mamy z nią nic wspólnego!

– To dlatego wycofaliście swoje wojska znad wschodnich granic? – spytał Keralos. – Czy to aby nie zbyt śmiały krok, tak odsłaniać plecy przed barbarzyńcami?

– Śmiały? – rozsierdził się marszałek. – Już dość nacierpieliśmy się przez barbarzyńców! Jeśli pokój jest w zasięgu ręki, to korzystamy z okazji!

– Jest dużo bardziej żywiołowo niż wczoraj – usłyszałem głos Angusa.

– Zaczekaj, aż się rozkręcą – odparł Ragnar. Sięgnął po leżące w misce przed nim przekąski i rozparł się wygodnie.

– Pokój? – spytała szyderczo Faihlyd, wstając. – Chcecie powiedzieć, że zawarliście pokój z barbarzyńcami? Z każdym księciem plemienia z osobna? Ilu ich jest? Stu, więcej? Musicie przecież wiedzieć, że pokój z nimi negocjuje się pojedynczo i obowiązuje on, tylko póki książę żyje.

– Co dziecko może o tym wiedzieć? – zaszydził Hergrimm. – Siedzicie na tej swojej pustyni i smażycie się w słońcu. Co wy wiecie o codziennej wojnie? Barbarzyńcy przyłączyli się do cesarza i są teraz zjednoczeni.

– Którego? – spytał uprzejmie Keralos. – Mówicie o Askannonie czy o przeklętym?

– O Kolaronie – odpowiedział marszałek. – On dotrzymał słowa. Barbarzyńcy koczują pokojowo przy naszych granicach, a jego oddziały utrzymują porządek.

– Już od sześciu dni, prawda? – spytał komendant. – Kiedy chcieliście nam o tym powiedzieć? Po zakończeniu Rady?

– Nie – odparł spokojnie marszałek. – Zamierzałem wkrótce poruszyć tę kwestię, komendancie. Wbrew temu, co sądzicie, nie chcemy upadku Askiru. – Wzruszył ramionami. – W Rubieżach panuje pokój, po raz pierwszy od tysiąca lat, a moi żołnierze siedzą w warowniach i świętują. Tylko patrzeć, jak Rubieże rozkwitną. Wystarczająco długo się wykrwawialiśmy. Jak mówi król Kesler, to nie jest nasza wojna i nigdy nie była. Koniec cierpienia za Askir. Mimo to nie chcemy zaszkodzić Askirowi. Poddajemy jedynie próbie nasz sojusz.

– A więc pozwalacie na przemarsz wojsk cesarza nekromanty? – zapytał wstrząśnięty Tamin. – Po tylu wiekach poświęceń?

– To *my* się poświęcaliśmy! – zawołał wściekły marszałek. – *My* umieraliśmy, abyście wy obrastali tłuszczem i złotem. Aldane zawsze na nas żerowało!

– To nieprawda! – oburzył się książę Tamin. – Płaciliśmy swoją należność.

– Tak, w złocie, ale nie we krwi. Wiecie, dlaczego mieliście złoto? Bo w waszym zielonym kraju panował pokój, który Wschodnie Rubieże opłacały własną krwią.

Koniec z tym! – Wziął głęboki wdech i zwrócił się do komendanta: – Komendancie, wysłuchajcie mnie, proszę. To nie musi oznaczać, że będziemy teraz wrogami! Zbyt wiele nas łączy. Ale musicie zrozumieć, że to niesprawiedliwe, abyśmy my ginęli, podczas gdy wy na wybrzeżach zbijacie fortuny!

– To legiony cesarza chroniły Wschodnie Rubieże – zauważył spokojnie Keralos. – To pierwszy marszałek zażądał Rubieży jako lenna i otrzymał je jako wynagrodzenie za ochronę cesarstwa.

– To było kiedyś – powiedział Hergrimm i odetchnął głęboko. – Powtórzę to jeszcze raz, komendancie: nie chcemy mieć nic wspólnego z waszą wojną, ale nie jesteśmy waszym wrogiem.

– Co na to powiecie, Varelt? – Keralos zwrócił się do króla Ibsissu, który przez cały czas spokojnie siedział na swoim miejscu.

– Nic, jak zawsze – odpowiedział za niego marszałek. – Chce zachować dystans, ale o wszystkim wiedział.

– Możecie pozwolić mi mówić we własnym imieniu, Hergrimm – powiedział mężczyzna w podeszłym wieku, który nosił królewską godność Ibsissu. – Jesteśmy niewielkim krajem, podobnie jak Varland nawykłym do trudów życia i niedostatku. I wiecie również, dlaczego tak jest: bo najlepsze ziemie odstąpiliśmy Rubieżom. Moje wojska do dziś stoją na granicach, broniąc ich przed barbarzyńcami. Nie tylko wy bronicie Rubieży, Hergrimm.

– Nie przeszkadza wam, że Askir zostawia was w potrzebie? – spytał. – Nie czujecie satysfakcji, że z tym koniec?

– Przeszkadza mi konieczność umierania – powiedział spokojnie Varelt. – Choć było warto. Bez Askiru już dawno stracilibyśmy wolność.

– Skoro tak uważacie, to dlaczego tego nie poruszyliście? – spytał z goryczą marszałek.

– Bo miałem nadzieję, że to szaleństwo się skończy. I ostrzegałem was. Powiedziałem wam, że lekceważenie potęgi Askiru jest błędem.

– Jakiej potęgi? – spytał Hergrimm posępnie. – Chowali się za naszymi tarczami. Legion nie chciał brudzić sobie rąk, to my odwalaliśmy brudną robotę. Mają pięć legionów, pięć tysięcy żołnierzy. Ja mam dwadzieścia cztery tysiące. Teraz nie muszą już wyrzynać barbarzyńców.

– Od samego początku wiedziałem o waszej rebelii – powiedział Keralos. – Varelt przyszedł, żeby mnie ostrzec, a jednocześnie wstawił się za wami, nazwał was człowiekiem honoru. Miał nadzieję, że okażecie rozsądek i nie przystąpiacie do rebelii.

– To nie rebelia, komendancie – odparł Hergrimm, pocierając skronie. – Nie jesteśmy tu, żeby wam grozić. Jesteśmy czterema... nie – zerknął na Varelt – trzema

królestwami, które znalazły własny sojusz. Żaden z naszych żołnierzy nie podniesie broni na Askir. Gdybyście wczoraj zapewнили mi więcej wsparcia, kto wie, może sprawy nie zaszłyby tak daleko.

– Dlaczego mielibyśmy to robić, skoro wiemy, że bierzecie złoto od Thalaku? Zwrócilibyście je wtedy?

– Skąd o tym wiecie? – spytał zaskoczony Hergrimm.

– Dowiedział się ode mnie – odezwała się spokojnie Asela i wystąpiła naprzód. – W chwili, gdy wyzwoliłam się spod czaru Kolarona.

– To wy! – krzyknął Hergrimm. Był całkowicie zaskoczony, potrzebował dłuższej chwili, żeby ochłonąć. – Zdradziłyście waszego pana? Jeszcze kilka tygodni temu leżałyście ze mną, rozkładałyście nogi, żebym robił, czego żądałyście!

– Tylko w waszych snach – odparła spokojnie Asela. – Mogę was zapewnić, że dotykaliście jedynie iluzji... Chędożyliście poduszki jak świątynny uczeń, nic więcej.

– To jest największa żmija na waszej piersi – zapienił się Hergrimm, czerwieniejąc na twarzy. Wycelował oskarżycielsko palec w Aselę. – I myślicie, że wam służy? Jesteście doprawdy ślepi!

– Odkupiłam swoje grzechy – powiedziała zdawkowo Asela. – Lecz tu chodzi o waszą zdradę, nie moją.

– Tak po prostu jej wybaczyliście? – spytał z niedowierzaniem Hergrimm. – Nie wiecie, co zrobiła?

– O, owszem – odparł ochryłym głosem Keralos. – Znam każdy gorzki detal. Powiedzcie mi jedno, Hergrimm: jak możecie myśleć, że wasze czyny pozostaną bezkarne?

– Czyny? – nastroszył się marszałek. – Skorzystałem z okazji, by zawrzeć pokój. Na moim miejscu uczynilibyście to samo. Co chcecie zrobić? Zabronić nam odejść? Mam pod sobą dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy. Jeśli chcecie, żeby Wschodnie Rubieże zwróciły się także przeciwko wam, to proszę, będą was oblegać nie tylko wojska Thalaku. Przyszliśmy, żeby powiedzieć wam, że jesteście sami! To jest wasza wojna, Thalak chce tylko Askiru i Aldane!

– Ponawiam pytanie – Keralos zwrócił się do zebranych. – Kto stoi po naszej stronie przeciwko Thalakowi? Rangor?

Król Kesler rzucił spojrzenie na Hergrimma, zawahał się i pokręcił głową.

– Czy to ma oznaczać nie, Kesler? Chcę to usłyszeć.

– Nie. Rangor idzie własną drogą.

– Marszałku?

– Chcecie usłyszeć to jeszcze raz? Proszę bardzo: nie, Wschodnie Rubieże nie będą już walczyć za innych.

– Co na to Sertina?

– Ja... – zaczął król Perdis i przełknął ślinę. – Nie – powiedział cicho. – Nie mam wyboru.

– Dobrze. W takim razie decyzja zapadła – oznajmił pozornie beznamiętnie Keralos. – Sojusz przestaje obowiązywać. Wiecie, co to oznacza?

– To nic nie oznacza, poza tym, że teraz sami musicie za siebie walczyć – odparł Hergrimm. – A może chcecie nas straszyć dawnymi opowieściami?

– Zawierając traktat askirski, Askannon oddał korony królestwom, zaś Wschodnie Rubieże przeszły na pierwszego marszałka – oznajmił spokojnie Keralos. – Pod warunkiem że sojusz będzie trwał i będzie panował pokój. Jeśli sojusz się rozpadnie, korony wracają do cesarstwa.

– Tak – rzucił marszałek i zaśmiał się smętnie. – Też o tym słyszałem. Tyle że to już nie ma znaczenia. Nie możecie nam już grozić, komendancie. Jesteście zdani wyłącznie na siebie. – Skrzywił się szyderczo. – Co chcecie zrobić? Lepiej się cieszyć, że nie występujemy przeciwko wam. Macie już wojnę, nie wszczynajcie kolejnej przeciwko nam. Jeszcze panuje pokój między Sertiną, Rangorem, Rubieżami i Askirem. – Wychylił się do przodu. – Żaden z nas nie chce wojny z Askirem. Chcemy być tylko wolni od waszego jarzma.

– Ujmując to w taki sposób, wasze słowa brzmią niemal bohatersko – rzekł lodowatym tonem Keralos.

– Jestem człowiekiem honoru – powiedział z dumą marszałek. – Nie wbiję wam noża w plecy, nie chcemy sporu z wami.

– Zostaliście zaślepieni przez przeklętego – zabrała głos Asela.

– Jeśli tak, to z waszą pomocą, cóż więc znaczy wasze słowo? Czego właściwie chcecie? Barbarzyńcy są pod kontrolą, a więc wszystko jest po staremu. Tylko z Thalakiem musicie rozprawić się sami!

– Czy to wasze ostatnie słowo?

– Tak – wypluł z siebie marszałek. – Nigdy więcej nie chcę oglądać tej hali i tego pustego tronu, który ma być dla nas groźbą.

– Dobrze – rzucił komendant. – Idźcie zatem, jeśli uważacie, że możecie odwrócić się do cesarstwa plecami. Nie zatrzymuję was.

Marszałek popatrzył na komendanta podejrzliwie i skinął głową.

– Chodźcie! – zawołał do swoich sojuszników. – Zostawmy ich swojemu losowi!

Wstali. Ten i ów z wysłanników albo doradców ze wstydem kiwnął głową Keralosowi, a potem zaczęli wychodzić. Hergrimm stanął pod wrotami – ale nie otworzyły się. Zacisnął pięść i rąbnął o metalowe skrzydło. Uderzenia niemal nie było słychać.

Powoli się odwrócił.

– Co to za gra? – zawołał. – Powiedzieliście, że pozwalacie nam odejść, a więc otwórzcie drzwi.

– Z tym będzie problem – odpowiedział Keralos z twardym uśmiechem. – W razie złamania traktatu obowiązuje słowo cesarza. Tylko on może otworzyć wrota przed czasem. Zapomnieliście o tym? Są zamknięte magią.

– Mam uwierzyć w tę bajkę? – zapytał z niedowierzaniem marszałek. – Skąd magia może wiedzieć, co tu się dzieje? To komendant zawsze decydował, kiedy otwierają się wrota. Pociągnijcie za wajchę albo wypowiedzcie słowo. Powiedzieliście, że możemy odejść!

– To magia, Hergrimm. Przysięgam wam, że nie mogę rozkazać wrotom. – Keralos spojrzał na kapłana Borona. – Powiedzcie mu, czy kłamię.

– Mówi prawdę – orzekł spokojnie kapłan Borona. Podobnie jak pozostali kapłani śledził wszystko beznamiętnie. Wyglądali, jakby zupełnie nic ich nie mogło zaskoczyć.

– A skąd mogę wiedzieć, czy nie jesteście ze sobą w zмовie? – nasrożył się marszałek.

– To wasza wolna wola, by wątpić w słowo Borona. Jeśli to macie na myśli – odparł brat Portus.

Marszałek popatrzył na niego nieufnie i zwrócił się ponownie do komendanta:

– Dobrze. Co jest potrzebne, żeby otworzyć te wrota?

– Słowo cesarza – odpowiedział uprzejmie Keralos. – Jak już wspomniałem.

– I gdzie on jest?

– W tym problem – odparł komendant. – Tu go nie ma. Ale miejcie odrobinę cierpliwości. Za siedem lat wrota się otworzą.

53

CÓRKA SMOKA

– Bogowie! – zawołała Kesler. – Macie nas za durniów? Chyba nie zaryglowalibyście się tu sami!

– Cesarz nie żyje – powiedział marszałek. – A Kesler ma rację. Nie chcecie umrzeć tu z głodu.

– Wyjaśnijcie im to, generale – powiedział Keralos i skinął do mnie głową.

Wzięłem głęboki wdech i wystąpiłem do przodu.

– Obowiązuje słowo cesarza. I jego magia. Myślę, że ona jest jego uchem i okiem – rzekłem. – Będzie wiedział, co tu się dzieje. Określił, co ma nastąpić, jeśli traktat zostanie zerwany. Cesarstwo zażąda wówczas zwrotu koron. Zachowacie to, nad czym panujecie, jako lenno, wasze przywileje nie zostaną wam odebrane. Zanim królestwa otrzymały swoje korony, były wasalami i miały w Radzie po jednym głosie. Jeśli chcecie, aby wrota się otworzyły, musicie uklęknąć przed cesarzem i zaakceptować jego władzę.

– Przed pustym tronem? – spytał z niedowierzaniem Hergrimm.

– Dlaczego nie? – zapytałem. – Przez siedemset lat jakoś się dało. – Miałem nadzieję, modliłem się, wmawiałem albo wyobrażałem to sobie... Oczekiwałem, że w tej chwili cesarz się objawi, że powie, co robić...

– To bzdura – z wściekłością wyrzucił z siebie król Perdis. – Chcemy się uwolnić od jarzma, nie będziemy klękać przed pustym tronem! Gdybyśmy to zrobili, nasze położenie byłoby gorsze niż przedtem!

– Nie Rubieży – powiedziałem, trzymając nerwy na wodzy. – Marszałku, może po części macie rację ze swoimi oskarżeniami. Ale dawniej legiony chroniły cesarstwo. Wszyscy, jak tu stoicie, chcieliście, aby zredukować ich liczebność. I tak się stało. Jeśli cesarstwo powstanie na nowo, będą też istnieć legiony. Thalak nie pokona zjednoczonego cesarstwa.

– Nie możecie tego wiedzieć – odezwał się król Perdis. – Do tej pory nikt nie pokonał legionów Thalaku.

– To nie jest prawda. Jak na razie Thalak stracił trzy z nich. Prawdą za to jest to, że Drugi Legion nigdy nie został pokonany. I tak zostanie. – Objąłem spojrzeniem trzech władców i ich świtę. – Zaniesiemy wojnę do Thalaku i pokonamy przekłętę. Już raz

poczuł potęgę cesarstwa, może nawet więcej niż raz. Jest tchórzem, który każe innym walczyć za siebie.

– Myślicie, że wasze gadanie otworzy te wrota? – zapytał Hergrimm. Nie wyglądał nawet na wściekłego, był już tylko zmęczony. – Gdyby był cesarz, ugiąłbym przed nim kolano, bo wiedziałbym, że on może zwyciężyć nad Thalakiem. A tak nie pozostaje mi nic innego, jak szukać pokoju z Kolaronem. – Wskazał na Asełę. – Zapytajcie ją. Ona mi to wytłumaczyła. Iluzja czy nie, to nie tylko jej wdzięki skłoniły mnie do tej decyzji. Jestem naprawdę zmęczony wojną i wiem, że nie przeżyjemy. Nikt nie chce wojny, której nie może wygrać, więc wolę poszukać pokoju, dopóki mogę go dostać.

– To prawda – potwierdziła spokojnie Asela. – Poszłam do niego i powiedziałam, jaki ma wybór. Mógł uratować Rubieże albo zatonać. Zaoferowałam mu, że osłodzę mu to złotem i rozkoszą, ale to był jego wybór: pokój.

– Słyszycie? – rzucił Hergrimm i wskazał oskarżycielsko na Asełę. – Ta żmija sama to przyznaje!

– Ale to nie wszystko – ciągnęła Asela. – Nie powiedziałam, jakie Kolaron ma plany wobec was. Chce zniszczyć sojusz i zagrabic królestwa, każde z osobna. W rzeczywistości już oddaliście mu swój kraj. Pierwszy upadnie Rangor. Legiony Kolarona już stoją w obrębie jego granic, musi tylko zaatakować. Następny atak zostanie przeprowadzony nie tylko przy użyciu legionów i barbarzyńców, ale i ciemnej magii. Przygotowania idą pełną parą. Sertina jest już stracona. – Zwróciła się do kapłana Borona: – Bracie Portusie, czy to, co mówię, to prawda?

– Prawda – orzekł kapłan.

– Nazwaliście mnie fałszywą żmiją i w rzeczy samej nią byłam. Kiedy mówiłam wam to wszystko, to nie były moje słowa, lecz Kolarona, to on wkładał mi je w usta.

– Prawda – powtórzył brat Portus.

– Sprawdźcie również i to, co teraz powiem, bracie Portusie. Kolaron nie toleruje przy sobie nikogo, nie dotrzymuje obietnic ani umów, nie widzi w tym zdrady, lecz swoje prawo. Prawda?

– Prawda – potwierdził kapłan Borona.

Marszałek wpatrywał się w Asełę wstrząśnięty.

– Czy to rzeczywiście prawda, co ona mówi?

– Tak. Bóg jednoznacznie to potwierdza.

– A więc zostaliśmy sprzedani? – spytał z niedowierzaniem Kesler.

– A co myśleliście? – odparł zimno komendant. – Cesarz nekromanta podbił tuziny królestw. Sądzicie, że zatrzyma cię przed wami tylko dlatego, że liczycie na neutralność? Wszystko to zrobił, żeby wbić między nas klin. Żeby podzielić cesarstwo.

Ale mu się to nie uda, bo większość z nas ciągle jest zjednoczona i chce stawić czoła Thalakowi.

– Sertina, Rangor i Wschodnie Rubieże nie są centralnymi królestwami cesarstwa – rozległ się nagle głos Taride. – To był sojusz Askiru, Aldane, Besarajnu i Varlandu, to one stanowiły o potęgę cesarstwa. Wschodnie Rubieże były wówczas tylko lennem, Rangor i Sertina napadły na Aldane i zostały pokonane. Nie potrzebowaliśmy was wtedy i dziś też nie potrzebujemy. Ale wy potrzebujecie nas, jeśli chcecie przeżyć. Musicie tylko pokłonić głowy przed cesarzem.

– Którego nie ma – dorzucił z goryczą Hergrimm. – Nawet jeśli to wszystko prawda, co ona mówi, co tu jest jeszcze do ratowania?

– Wszystko – powiedziałem. – To będzie wiele kosztować, może królestwa zostaną zmiażdżone. Ale jeśli tak, to tylko z winy waszej fałszywej gry, marszałku. Przysięgam wam, że Thalak nie zwycięży. Kolaron upadnie.

– Skąd możecie to wiedzieć? – spytał Perdis.

– Bo tak postanowili bogowie – odezwał się kapłan Borona. – Moja siostra i mój brat słyszeli słowa swoich bogów, a my się z nimi zgadzamy. Kolaron zostanie pokonany.

– Mówisz, że gdyby cesarz tu był, pokłoniłbyś mu się, Hergrimm? – spytała Zokora.

– Tak. Zostałem ośmieszony jak osioł, ale mam swój honor – zagrzmiał marszałek. – Tylko co z tego, skoro go tu nie ma?

– Popęlniacie błąd, marszałku – powiedział cicho Perdis.

– Słyszeliście, co powiedział kapłan. Zostaliśmy zdradzeni w naszej własnej zdradzie!

– Dlaczego tak to sobie utrudniacie? – zapytała Zokora. – Przecież traktat wyraźnie mówi, co robić.

– Tak – powtórzył marszałek. – Jeśli sojusz zostanie zerwany, królestwa wracają do cesarza. Tylko do tego potrzeba cesarza!

– Potrzebujecie kogoś, kto *jest* cesarzem! – oświadczyła Zokora, a w jej głosie brzmiała irytacja. – Albo cesarzową! Kogoś, kto nosi koronę Askiru. Więcej nie potrzebujecie! Jeszcze nigdy nie studiowaliście tej części traktatu, w której on określił prawa cesarstwa? Tam jest wszystko zawarte.

– Co? – zapytał komendant. Sam wydawał się zaskoczony. Podobnie i ja.

– Jego wola odnośnie do kolejności dziedziczenia. To dotyczyło ksiąząt, to dotyczyło marszałka, ale i korony Askiru. Rodzony potomek albo wybory.

– Wybory? – powtórzył osłupiały marszałek. – Chciał, żeby *wybrano* cesarza? Dlaczego?

– Żeby panowała zgoda – odrzekła chłodno Zokora. – Lecz w głównej mierze chciał to uregulować tak, aby korona cesarska przypadła jego potomkom.

– Ale jak? – spytał Keralos bez tchu. Nie on jeden wpatrywał się w Zokorę jak urzeczony. – Cesarz nie miał dzieci!

– Ludzki władca tak potężny jak on? Był pruderyjny? – spytała Zokora. Spojrzała na Aselę. – Ty go znałaś. Był nieśmiały czy grał na flecie?

– Nie, z całą pewnością nie – powiedziała Asela i uśmiechnęła się. – Kochał kobiety, to pewne, ale był dyskretny.

– Powiedz, Aselo, czy miał syna? I córkę?

Asela zawahała się.

– To dawne czasy – naciskała na nią cicho Zokora. – Nikt nie dozna szkody, jeśli to ujawnisz.

– Skąd o tym wiecie? – spytała cicho Sowa. Wszyscy spijali ich słowa.

– Kazał ją ochrzcić w świątyni – powiedziała Zokora. – W jego wierze. Te księgi jeszcze istnieją, trzeba ich tylko poszukać. Ja znalazłam w nich imiona jego dzieci.

– Córka od dawna nie żyje – wydusiła z siebie Asela.

– Tak. Ale co z synem? – naciskała bezlitośnie Zokora. – Powiedz, kto to jest.

– To był Balthasar – obwieściła cicho Asela drżącym głosem. – Balthasar, który zdradził swojego ojca.

– Więc to stąd jego niewiarygodna moc – stwierdził półgłosem Santer. Desina przyłożyła rękę do ust. Przez salę przeszedł głośny pomruk.

– Bogowie! – wyrwało mi się. – Zokoro, to...

– Cicho – przerwała mi. – Jeszcze nie skończyłam!

Wszyscy zamarli.

– Balthasar nie żyje – oświadczyła Asela. – To w niczym nie pomoże.

– Nie żyje? – zapytała Zokora, unosząc brew. – No dobrze. Czy Balthasar miał dzieci?

Asela zawahała się.

– Córko, czy wiesz, czy miał dzieci? – zapytał łagodnie brat Jon.

Asela przełknęła ślinę.

– Tak.

– Kim one są?

– To Desina, córka Balthasara i Lysanne, córki mistrza gildii Oldina – odparła Asela tak cicho, że ledwie ją było słyhać, jednak w tej hali każde słowo docierało do wszystkich uszu. – Desina nie została primą wieży przypadkiem.

– Przeklęty pomiot – warknął Perdus. – A więc Feltor kłamał i ona żyje! – Zadarł głowę, aż zadrżała jego szpiczasta bródka. – Dostyc tej farsy – zagrzmiał i zrobił krok

do przodu. Jego sylwetka zamigotała i naszym oczom ukazał się przystojny młodzieniec o długich, jasnych lokach i obliczu, które ostatnio widziałem u księcia Celana. Lecz kim naprawdę był, pojąłem w chwili, gdy dręczący mnie od wydarzeń z Ordunem koszmar zamienił się w rzeczywistość: byłem niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, stałem jak przygożdżony i czułem, jak ogarnia mnie panika i trwoga.

– Nazywam się Kolaron i roszczę sobie prawo do płaszcza ciemności, moja wola jest prawem. Świat drży pod moimi krokami i układa się na nowo zgodnie z moją wolą! – zaintonował miękkim, klarownym jak dzwon głosem, ukazując równe zęby. – Wolno wam mnie czcić. Ukłęknijcie, a ja wam wybaczę. Kochajcie mnie, a wyniosę was na wyżyny. Sprzeciwcie mi się, a ciemność odnajdzie was, gdziekolwiek się schowacie!

– Ładnie to powiedział, co, Angus? – odezwał się Ragnar. – Angus? Wstań, psiamać! Nie tylko Angus padł na kolana, zrobiła to większość obecnych. Sam czułem impuls, by ukłęknąć, ale nie chciałem mu się poddać.

Obok mnie Asela wykonała gest, lecz przeklęty tylko się zaśmiał.

– Zapomniałaś, że dozwolona jest tutaj tylko magia cesarza? – Przeklęty uśmiechnął się i podszedł bliżej.

– Chodź, Aselo, ugnij kolana. Ty też będziesz się przede mną czołgać jak przedtem.

– Nie tym razem – przysięgła Asela, zaciskając zęby. – Nie tym razem!

– Jeszcze się przekonamy – oznajmił słodkim głosem mroczny cesarz. – Kto jeszcze stoi? – Uniósł finezyjnie zarysowaną brew. – A to niespodzianka – rzucił i ukłonił się lekko przed Arminem, który spoglądał na niego gniewnie. Oprócz niego stał jeszcze Ragnar, Leandra, Serafine i Desina, Santer i komendant, ponadto Varosch i trzech kapłani, których usta poruszały się w modlitwie. Zokora leżała zgięta na ziemi i dyszała, próbując oprzeć się naciskowi.

– Nie chcielibyście się na mnie rzucić? – spytał. – Śmiało, wściekajcie się. Lubię to, to mnie czyni silniejszym. Nienawidźcie mnie, jeśli chcecie, to też mnie żywi. Poddajcie się zwątpieniu, dajcie mi tę rozkosz!

– Prędzej cię zabiję – oświadczył Ragnar zdecydowanie i wysunął się powoli do przodu. Mięśnie mu drżały, pot wystąpił na czoło. – Mój topór został wykuty przez boga, zniszczy cię!

– Daje ci siłę olbrzymów, jak słyszałem. Ale i olbrzymi klękają.

Oczy Ragnara o mało nie wyszły mu z czaszki. Stawiał opór sile, która zmuszała go do padnięcia na kolana. Bezradnie przyglądaliśmy się, jak powoli osuwa się na ziemię, potem wypuszcza z rąk topór i pada z jękiem.

Kolaron niespieszenie podszedł do tronu cesarza, przyjrzał mu się z namysłem i usiadł na nim.

– Podejdźcie tu – poprosił przyjaźnie – niech was zobaczę.

Obca wola nakazała moim nogom przyłączyć się do innych. Stanęliśmy przed nim w szeregu.

– Jak to możliwe? – szepnęła Asela. – Wola cesarza hamuje magię w tym miejscu!

– Ale nie uczucia. Znasz to przecież, tyle razy wypróbowałem to na tobie. Strach, rozpacz, nadzieja, miłość i smutek, ale także zaufanie i radość. Co tylko chcecie – uśmiechnął się Kolaron – mogę wam to dać. – Zaśmiał się cicho. – A więc – ciągnął – skoro nie chcecie mnie kochać, to może spróbujemy ze strachem?

Trwoga zalała mnie falą, burząc wszelkie zapory, odsłaniając dawne lęki, rany i ból, wszystko, co kiedykolwiek wywoływało we mnie strach, spiętrzyło się w moim umyśle i w okamgnieniu przeżarło moją wolę jak zimny pająk. Kwiląc, padłem na ziemię.

– To był błąd – odezwała się chłodno Zokora i poderwała się na nogi. Kolaron obrócił błyskawicznie głowę, spojrzał na nią z niedowierzaniem, a ja poczułem, jak czar pęka. Chwyciłem za Rozpruwacza. Ciemny promień wystrzelił z dłoni Kolarona ku Zokorze. Trafiłby ją, gdyby Varosch nie zasłonił jej swoim ciałem.

Zokora prychnęła jak kotka, skoczyła szybciej, niż mógł nadążyć za nią wzrok, jej czarne ostrze pociągnęło za sobą ciemny ślad i głowa króla Perdisa spadła na podłogę u naszych stóp. W moich uszach zabrzmiał odległy krzyk.

– Bogowie – wydyszał komendant. – Co za potwór... – Spojrzał w dół na oblicze ze szpiczastą bródką, na którym malował się wyraz niebotycznego zdumienia. Podnosiliśmy się, niektórzy pośród jęków i przekleństw, inni w milczeniu, podłamani, i patrzyliśmy na to, co zostało z króla Perdisa.

– Jak? – zapytałem ochrypłym głosem Zokorę.

– Nie mam wprawy w miłości – odparła ściszym głosem. – To ona omal mnie nie pokonała. Ale strach... – Wzruszyła ramionami. – Kiedy wiesz w pajęczynie, a trzy razy większy od ciebie pająk składa jajka w twoim ciele, to wtedy masz powody do strachu – powiedziała i spojrzała na odrąbaną głowę. – Kolaron był zbyt wielkim tchórzem, żeby stanąć z nami twarzą w twarz.

– Na wszystkich bogów – wyrwało się marszałkowi. Był blady i chwiał się na nogach. – Kim wy jesteście?

– Służę Solante. Nie uginam się przed nikim, tylko przed bogami! – Uśmiechnęła się. – Desina? Możesz już otworzyć drzwi. – Powiodła wzrokiem wokół. – A może ktoś jeszcze wątpi, że potrzebujemy zjednoczonego cesarstwa, żeby oprzeć się ciemności? Varosch, chodź... my... Varosch?

Nigdy przedtem nie widziałem, by mahoń pobladł. Zrobiła się szara jak popiół. Z jękiem rzuciła się na Varoscha. Pospieszyłem ku niemu, podobnie jak inni. Od razu pojęliśmy, że było za późno.

W jej ramionach leżał starzec w szatach adepta Borona. Jego powieki drgały, spoglądał na nią, a jego pomarszczone usta ułożyły się w uśmiechu. I już się nie poruszył. Daleki, zimny wiatr przemknął przez halę, sprawiając, że zadrżałem z zimna.

Zokora trzymała go i kołysała się powoli w przód i w tył. Z jej ust wydobywał się cichy dźwięk, ledwie słyszalne skomlenie. Jej ramiona drżały, łzy płynęły jej z oczu, które ślepo wpatrywały się w ciało Varoscha.

– Idźcie – powiedziała cicho Desina. – Idźcie wszyscy i zostawcie ją samą z jej przyjaciółmi.

Drzwi otworzyły się niezauważenie i zebrani cicho, z pochylonymi głowami, posłuchali pierwszego rozkazu nowej cesarzowej. Asela stała chwilę, wahając się, w końcu też poszła.

Kapłani popatrzyli po sobie, dwóch odeszło, ale brat Jon podszedł i pochylił się nad mroczną elfką, dotykając lekko jej ramienia.

– Siostró – powiedział cicho. – On odszedł do swojego boga. Przeklęty go nie dostanie.

– Zokoro – zapytała cicho Leandra. – Co możemy...

Zokora przełknęła ślinę i podniosła głowę.

– Nie. Zostawcie mnie z nim samą. Ty też, kapłanie Soltara. Mam podporę w swojej bogini i sama udzielę mu ostatniej celebry. – Jej oczy jarzyły się tak czerwono jak nigdy dotąd. – Poszłam za twoją radą, Havaldzie, i nauczyłam się kochać ludzi. Kochałam go. Chcę cię za to nienawidzić i nie potrafię, bo to Ciemny mi go odebrał, nie ty. Ale nie chcę was teraz widzieć. Nie teraz.

– My też cię kochamy, Zokoro – powiedziała cicho Serafine. – To także nasza strata, bo Varosch znalazł miejsce w naszych sercach.

– Możliwe – odparła Zokora, a z jej gardła wydobył się głęboki pomruk. – Mimo to musicie iść. Moja wściekłość, mój gniew i mój ból chcą się ze mnie wydostać. Nie powinniście tego oglądać.

Coś w jej głosie sprawiło, że włosy stanęły mi dęba.

– Idziemy – poleciłem i pociągnąłem opierającą się Serafine do drzwi. – Wszyscy. Już!

– Ale...

– Zokora wie, co robi! – krzyknąłem. – Primo... wasza wysokość... wy też... *musicie iść!*

Popatrzyli na mnie pytająco, ale posłuchali. Wrota bez magii ciężko się zamykały, ale zaparłem się o nie ciałem... Ostatnim, co ujrzałem przez szczelinę, była Zokora, która oglądała się na mnie czerwonym spojrzaniem.

Drzwi zamknęły się głucho i chwilę później przez ciężkie metalowe skrzydła dobiegł mnie krzyk dzikiej kotki, pełen bólu, nienawiści i gniewu.

– Bogowie – wyrwało się Desinie, primie Sów i cesarzowej Askiru. – Co to było?

– Przyrzeczenie – powiedziała cicho Leandra i objęła się ramionami, jakby jej było zimno, a potem niemal delikatnym gestem powiodła palcami po rękojeści Kamiennego Serca. – To, którego wszyscy dotrzynamy.

54

OSTATNIA DROGA

Wędrowałem z Serafine ulicami Askiru. Upłynął już więcej niż jeden dzwon, odkąd zamknąłem drzwi sali tronowej, a Zokora wciąż nie wyszła. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Już teraz czułem, jak bardzo brakuje mi Varoscha. Tak często słuchał mnie cierpliwie, wspierał mądrą radą albo z przekonaniem wiary wszystkim nam dodawał sił. Bogowie, jak bardzo go będzie brakować. Nataliya, Varosch, kto jeszcze zginie?

– Bogowie go kochają, Havaldzie. Tak musi być – powiedziała cicho Serafine.

– Tak – przyznałem, ale to była słaba pociecha. Szliśmy przez chwilę w milczeniu, otoczeni gwarem miasta, które jeszcze nie wiedziało, jak bardzo wszystko się zmieniło.

– Wiedziałaś, że to Desina? – spytała cicho.

– Nie – odpowiedziałem, kręcąc głową. – Miałem nadzieję, że cesarz objawi się sam. Nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobił.

– Może rzeczywiście nie żyje.

Spojrzałem w górę na najbliższą flagę z symbolem smoka.

– Żyje. Wiem to. Dlaczego się nie pokazał?

Na ulicy panował straszny tłok, zaprzężony w woły wóz parł z naprzeciwka. Rozpoznałem mężczyznę na koźle, to był ten sam kupiec, który już raz kiedyś zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem. Ktoś wpadł na mnie, odsunąłem się na bok. Coś ukłuło mnie w szyję, ale to nie było żądło osy, lecz cienki czubek stali. Zamarłem. Plandeka na wozie uniosła się i zanim zdążyłem upaść, pochwyciły mnie twarde ręce, wciągnęły w lukę między skrzynkami, a potem plandeka opadła. Wóz nie zwolnił ani na chwilę.

– Havald? – usłyszałem głos Serafine... a potem już nic.

Kiedy się ocknąłem, leżałem nagi na zimnym kamieniu. Pochodnia w rękę mężczyzny oświetlała stare mury, pachniało stęchlizną, czymś zgniłym i portową wodą.

Dwóch mężczyzn przyglądało mi się uważnie. Jeden grzebał w mojej sakiewce. Zagwizdał cicho przez zęby.

– Opłaciło się. – Pokazał zepsute zęby w uśmiechu i podniósł dłoń pełną złotych monet. – Jeśli zatrzymamy sobie miecz, czeka na beztraska przyszłość, jest wart majątek!

– Nie tym razem, Harras, to nie jest dobry moment na chciwość – powiedział mężczyzna z pochodnią. Miał nos wygięty niczym ptasi dziób, a czarne, zmierzwiłone włosy nadawały mu wygląd kruka. – Zagroził nam czymś gorszym niż śmierć, jeśli nie dotrzemy poleceń.

Wciąż nie mogłem się ruszać, ale tamten chyba się zorientował, że odzyskałem przytomność. Nachylił się nade mną z uśmiechem. Śmierdział starym potem, zgnilizną i moczem.

– Szukamy cię od kilku dni – poinformował mnie. Z pochodni kapał na mnie łój. – Dwa razy zwałeś mi sprzed nosa! Już prawie sobie odpuściłem. Cztery moje wozy jeżdżą po mieście tylko z twojego powodu! I dobrze, w końcu cię dopadłem. Tamten powiedział, że trucizna cię nie zabije – wyjaśnił, pokazując czarny sztylet, na którego ostrzu połyskiwały blade runy. – Dlatego dał mi ten nóż. I tyle złota jak za generała. Nie wiedziałem tylko, że naprawdę będziesz generałem!

Wbił mi czarny nóż w pierś. Przeszyło mnie lodowate zimno. Wyjął ostrze i przeciągnął nim po moim gardle. Nie czułem nic poza zimnem.

– No. To załatwione. Dwa razy martwy, zgodnie z życzeniem – orzekł i schował nóż. – Teraz woda. Słyszałem, że nie umiesz pływać... A potem ryby. Trzy razy martwy, to powinno wystarczyć. Harras, pilnuj, żeby nie zbliżył się do miecza. Nie może go dotknąć!

Podczas gdy z rany wypływała mi krew, chwycili mnie za skute ciężkimi łańcuchami nogi i pociągnęli przez krzywe drzwi, po kamiennych płytach, przez krawędź i zepchnęli do wody.

Opadałem coraz głębiej i głębiej, moja krew barwiła wodę na czerwono. Widziałem gwiazdy i czułem, jak ogarnia mnie spokój. Trucizna ciągle trzymała mnie w bezruchu, to ułatwiało umieranie, czyniło zbędnym wszelki opór. Ostatnia, absurdałna myśl przemknęła mi przez głowę: że będzie mi brakowało żywych...

Mężczyzna, który wciągnął trupa z wody do starego czółna, był szczupły i żylasty, o płowych włosach i czujnym spojrzeniu.

– Psiakość – zaklął, kiedy zobaczył, że nowy kaftan spadł z ławki i leżał na mokrym dnie. – Znowu go zrujnowałem!

– Ukradnij sobie nowy – powiedziała wielka, czarna kobieta.

– Łatwo powiedzieć. Ten akurat kupiłem! – odpowiedział z pretensją w głosie mężczyzna. – To on? – spytał kobietę i z trudem przekręcił martwego na plecy. Facet ważył tyle, co trzech. Zobaczył ziejącą ranę na szyi i gwizdnął przez zęby. – A niech to, niewiele

brakowało, a szyję też by przecięli. W dodatku dźgnęli go w serce. Jest bardziej nieżywy niż mój kot tydzień temu. Po co ci on, Maerbelinae?

– Spójrz mu w oczy, Łasico, co widzisz?

Złodziej, którego wszyscy znali tu jako Łasicę, uniósł powieki zmarłego i cofnął się przestraszony.

– Bogowie! – zawołał i przeżegnał się znakiem Soltara. – Kto to jest?

– Łasica jeszcze się dowie. Nawet jeśli nie byłby tym, kim jest, Mama jest mu coś winna.

– Co masz na myśli? – zaniepokoił się Łasica.

Mama Maerbelinae zdawała się go nie słuchać. Patrzyła na zmarłego i ze smutkiem pokręciła głową.

– To będzie trudne, niewiele z niego zostało – stwierdziła. – Ale przyniósł kwiaty mojej siostrze...

W tym miejscu kończy się „Tajemnica Askiru” i zaczynają „Wojny bogów”.

W ASKIRZE

DRUŻYNA

Havald, Wędrowiec, generał lancy graf Roderic von Thurgau, w imieniu Soltara nosi Ostrze Spójni o imieniu Rozpruwacz Dusz, paladyn królowej Illianu.

Janos Ciemnoręki, kochanek Sieglinde, agent królowej, kapitan lub zbójca, lubi śmiechy i żarty.

Leandra de Girancourt, paladynka królowej Illianu, maestra sztuk magicznych, związana z Ostrzem Spójni i królewskim ostrzem Illianu o imieniu Kamienne Serce, półelfka, kochanka Havalda Przekłętego, jeźdźczyni Kamiennej Chmury, królewskiego gryfa.

Ragnar Hraldirsson, Coldenstatt, książę Varlandu, pochodzący z rodu olbrzymów, najstarszy (żyjący) przyjaciel Havalda i nosiciel topora o imieniu Ragnarskrag.

Serafine/Helis, dusza Helis, niegdyś córka cesarskiego gubernatora Gasalabadu, żona Jerbila Konaia i zarządczyni arsenału Drugiego Legionu.

Sieglinde, kochanka Janosa, córka Eberharda, karczmarza zajazdu Pod Głowomłotem, posiada dar wróżek, dała schronienie duszy Serafine i nosi Ostrze Spójni o imieniu Lodowy Pogromca.

Varosch, adept Borona, kochanek Zokory, lojalny przyjaciel i znakomity strzelec.

Zokora, mroczna elfka, kapłanka Solante, kochanka strzelca Varoscha.

CESARSCY ŻOŁNIERZE

Asela (Sowy), major sztabowa. Dawniej pod wpływem cesarza nekromanty, zdrajczyni Starego Królestwa; wyzwoliła się spod wpływu Malorbiana i jest teraz jego najzagorzalszym wrogiem. Jedna z dawnych Sów Askiru, doskonale wyszkolona w magicznych naukach i posiadająca legendarną moc i wiedzę. W świątyni Soltara oddała się łasce boga i została oczyszczona.

Desina (Sowy), prima Sów, pierwsza Sowa Askiru, maestra i przyrodnia siostra złodzieja Łasicy, uczona mająca dostęp do wieży Sów. Córka Lysanne, córki mistrza gildii Oldina.

Eldred (Byki), sierżant miecza, Piąty Legion, dokonał zamachu na Desinę.

Elgata (Węże Morskie), kapitan lancy, dawniej dowódczyni na „Śnieżnym Ptaku”, czeka na nowy przydział.

Helis (Byki), major sztabowa, adiutantka generała lancy von Thurgau, siostra Armina, zwana również Serafine.

Ilgar (Byki), sierżant miecza, Ósma Lanca, Piąty Legion, starszy brat ucznia Gerlona.
Kjarl (Byki), kapral, zbrojmistrz arsenału w cytadeli Askiru, przyjaciel Santera.
Lamert (Byki), sierżant, Pierwsza Lanca, Drugi Legion, podległy sierżant generalnej Kasale, służy w kancelarii generała Drugiego Legionu.
Miran, pułkownik lancy, dowódczyni Trzeciego Legionu.
Neder (Byki), porucznik sztabowy, chciał zaaresztować Leandrę i Havalda w imieniu Rady Handlowej.
Orikes, pułkownik sztabowy, dowódca Piór, uczony, wyznawca Borona i medyk. Mentor Desiny, Sowy z Askiru.
Rellin, sierżant generalna Trzeciego Legionu, podlegająca pułkownik Miran.
Remlin (Byki), porucznik sztabowy, oficer dyżurny.
Rikin (Węże Morskie), major sztabowa, dowódczyni straży portowej w Askirze.
Stofisk (Byki), porucznik miecza w sztabie generała lancy von Thurgau, znawca wyższych kręgów Askiru.

W ALDARZE

Anris, żołnierz, którego Blix wysłał na zwiady do zamku na mroczne święto i który nie wrócił.
Aren, młody Pióro, kapral, który poświęcił się na wieży semaforowej w porcie, by zdążyć wysłać wiadomość, zanim wieża runie.
Avron, sierżant miecza, Druga Lanca, Trzeci Legion, służy pod majorem miecza Blixem w Aldarze.
Blix, Kurtis, major miecza, dowódca Drugiej Lancy Trzeciego Legionu.
Haltar von Bergen, regent Aldane, ojciec Levin i Tarkana.
Levin, baronetta, córka Haltara, regenta Aldane, siostra Tarkana i przyjaciółka księcia Tamina.
Loska (Pióra), kapral, Druga Lanca, Trzeci Legion, podległy Blixowi.
Melinus (Byki), sierżant miecza, Druga Lanca, Trzeci Legion.
Paltus (Byki), porucznik lancy, dowodzi Ósmą Lancą Piątego Legionu.
Recard, brat, najwyższy kapłan świątyni Borona w Aldarze.
Tamin, księżę Aldane.
Wendis (Węże Morskie), major lancy, dowódca cesarskiej bazy piechoty morskiej w Aldarze.

BOGOWIE

Astarte, bogini przebaczenia, miłości i harmonii.
Boron, bóg sprawiedliwości, wierności w walce, powinności i prawdy.
Marendil, władczyni mórz.

Bezimienny, brat Soltara, Borona i Astarte, oznacza chaos, nikczemność i uosobienie zła.

Nerton, bóg ojciec, najstarszy z bogów. Kazał zamknąć swoją świątynię, żeby jego dzieci mogły zostać jego następcami. Dał ludziom nadzieję.

Omagor, bóg ciemności, niegdyś bóg mrocznych elfów, władca nocy, pokonany przez Soltara.

Soltar, bóg śmierci i życia, symbolizuje wieczny krąg śmierci i życia, obiecał ludziom, że w jego imieniu narodzą się ponownie. Pokonał Omagora, boga ciemności. Niegdyś bóg słońca, panuje teraz także i nad nocą, zdjął z nocy strach.

Zimowy Wilk, Stary Wilk, czczony przez barbarzyńców w południowych krainach. Symbolizował męstwo, spryt i był zwiastunem zimy.

KAPŁANI TRÓJCY

Ainde, siostra, najwyższa sługa Astarte, najwyższa kapłanka Astarte w Askirze.

Gerlon, brat, uczeń w świątyni Soltara w Askirze. Człowiek z wizją.

Jon, brat, najwyższy kapłan Soltara w świątyni w Askirze, który służy Soltarowi i kocha luksus.

Mircha, brat, kapłan Soltara, desygnowany następcą najwyższego kapłana Soltara, brata Jona.

Portus, brat, najwyższy kapłan Borona.

INNI

Afente, ser, brat Astarte z wyczuciem taktu.

Alfrede, macocha Ragnara, rodzona matka Vreldy, zabita przez Hraldira, kiedy chciał oddać Vreldę Erlafowi.

Altins, graf, ambasador Aldane w Askirze.

Angus, małżonek Vreldy, Norman, Wilczy Brat, wilkołak, król Varlandczyków, przywódca gwardii przybocznej księcia Ragnara, przyjaciel Havalda.

Anis, młoda Sowa, która oddała życie w walce przeciwko nieświętej.

Antonis, mistrz gildii zbożowej, członek Rady Handlowej w Askirze.

Armin, dawniej gadatliwy sługa Havalda, małżonek Faihlyd, emiry Gasalabadu, brat Helis.

Asala, gospodyni Havalda w Gasalabadzie; jej imię oznacza: córka bogów, przodków albo światła, w imperialu: Asela.

Askannon, wieczny władca, założyciel cesarskiego miasta, legendarny maestro, wróg cesarza nekromanty Kolarona Malorbiana.

Balthasar, nekromanta, ostatni primus Sów, zdradził cesarstwo i swego ojca, wiecznego władcę i maestra Askannona. Został zgładzony przez Havalda w rzece światów.

Breckert, mistrz krawiecki, szyje mundury dla elity.

Celan, wódz, nekromanta, dowódca wrogich wojsk na Wyspach Ognistych, zgładzony piorunem i mieczem przez Leandrę.

Devon, medyk okrętowy na „Śnieżnym Ptaku”, zginął w powodzi.

Di Cortia, baron, komendant gwardii książęcej, wiernie oddany księciu Taminowi.

Eberhard, mistrz, właściciel zajazdu Pod Głowomłotem, ojciec Sieglinde.

Eleonora, królowa Illianu, w dzieciństwie uczennica Havalda, uwielbiana przez poddanych za odwagę i mądrość.

Erinstor, uczeń Sów w Starym Królestwie, zhańbił Asełę i został za to skazany przez Askannona, z zemsty za to popełnił okrutne zbrodnie.

Erlaf, jarl, Varland, zaciekły wróg Ragnara, obiecano mu rękę Vreldy.

Ersin, baronowa Odenil, ciotka porucznika Stofiska, niezwykle wpływowa matrona, drapieżnik w wyższych sferach Askiru.

Eulfson, Hraldir, król Varlandu, ojciec Ragnara i Vreldy, człowiek porywczy.

Esire, żona Ragnara w Coldenstatt, matka jego siedmiorga dzieci.

Fahrd, legendarny kucharz, który prowadził zajazd i brał w niewolę gości.

Faihlyd, z domu Lwa, kalifa Besarajnu, emira Gasalabadu, wnuczka essery Falah, żona Armina.

Falah, essera, Lwica z Gasalabadu, babka Faihlyd, zmarła w Janasie na dżumę.

Fefre (Węże Morskie), kapral, najlepszy przyjaciel Santera, lubi jabłka, kiepskie dowcipy i lubi pomagać Bykom w myśleniu.

Feltor (Sowy), mąż Aseli. Owładnięty przez Malorbiana, zamordował matkę Desiny i dokonał ataku na Askir.

Freise von, Tarkan, kochanek Taride, kuzyn księcia Tamina, pomógł zniweczyć atak na Askir i odniósł groźne rany.

Haltar, diuk, regent Aldane, ojciec Tarkana i Levin, brat ostatniej królowej Aldane, wuj księcia Tamina.

Heroness, sera, Askir, najlepsza krawcowa w mieście, być jej klientem to zaszczyt.

Helgs, Askir, kupiec.

Hergrimm, marszałek Wschodnich Rubieży.

Istvan, Askir, przyrodni ojciec Łasicy, Desiny i Regaty, karczmarz w portowej tawernie Pod Złamanym Ostrzem.

Imra, Besarajn, książę elfów, brat Taride.

Jarana okt Talisan, Twierdza Gromów, nocny jastrząb, mroczna elfka, córka elfa Talisana, przyrodnia siostra Imry i Taride.

Jasen, graf, Ibsiss, ambasador Ibsissu, gruby mężczyzna cierpiący na epilepsję.

Jerbil Konai (Byki), Filar Honoru, sierżant generalny Drugiego Legionu, małżonek Serafine. Posiadał dawniej Ostrze Spójni imieniem Lodowy Pogromca. Zamordowany przez Balthasara.

Joakin, zabójca na zlecenie, stosujący szczególną metodę.

Kasale (Byki), Amaranis, Besarajn, sierżant generalna Drugiego Legionu.

Kennard, mistrz, Askir, uczonego, widywany często u Istvana.

Keralos, komendant Askiru, namiestnik cesarza, głównodowodzący wojskami cesarskimi.

Kesler Drugi, król Rangoru.

Kolaron Malorbian, Thalak, cesarz nekromanta, który dąży do posiadania płaszcza martwego boga Omagora.

Łasica, przyrodni brat Desiny, Sowy z Askiru, mężczyzna o pogodnym usposobieniu i zwinnych palcach.

Mama Maerbelinae, duża, czarna kobieta, która mieszka w dzielnicy portowej Askiru i lubi pijać herbatę prosto z czaszki zmarłych.

Marcus, zwany Krwawym, pirat, dawniej władca Wysp Ognistych, samozwańczy przyjaciel Leandry. Przewidujący człowiek.

Mendell (Węże Morskie), porucznik sztabowy, pierwszy oficer na „Śnieżnym Ptaku”, zaginął podczas powodzi.

Nataliya, Thalak, Trzecie Sukno Nocy, dawniej skrytobójczyni cesarza nekromanty Kolarona Malorbiana, później wierna towarzysza Havalda, oddała za niego życie.

Olif Skavonson, skutilvin, baron Varlandu.

Ordun, Besarajn. Potężny nekromanta w zajeździe Fahrda, który zrabował duszę siostry Armina Helis i bez trudu pokonał Havalda.

Perdis, król Sertiny.

Pesserion, radca w Radzie Handlowej Askiru.

Pertok, najwyższy inkwizytor Askiru, najwyższy sędzia i kat Askiru, zobligowany wobec cesarskiego miasta i Borona. Dobry znajomy Łasicy.

Rogamon, Aldane, dawny król Aldane i nekromanta, został pokonany i uwięziony przez Askannona.

Santer (Sowy), porucznik miecza, adiutant Desiny, Sowy z Askiru, dawniej służył w Wężach Morskich, najlepszy przyjaciel kaprała Fefre’a.

Sara La’Bat, uważana przez Havalda za maestrę, ponieważ Rozpruwacz dostrzega wokół niej silną aurę.

Strażnik wiedzy, Besarajn, kochanek essery Falah, dziadek Faihlyd.

Stofisk, baron, ojciec porucznika Stofiska, radca w Radzie Handlowej Askiru, człowiek o dobrych instynktach.

Talisan, elf i dawny przyjaciel cesarza, dowodził nocnymi jastrzębiami, pierwszy nosiciel Rozpruwacza Dusz, ojciec Taride i Imry, wielki wojownik i bard, nauczył Askannona podstaw magii.

Taride Srebrna Klinga, bardka i kochanka baroneta Tarkana von Freise.

Taruk, Gasalabad, ochmistrz Havalda, tajny szpieg Armina.

Thorson, Magnus, Varland, ambasador Varlandu w Besarajnie i wielbiciel Leandry, rzekomo jej kochanek.

Tivstirk, jarl, Varland, członek delegacji Varlandu, potężny łowca dusz na służbie u Kolarona, dawniej nauczyciel Orduna.

Urios, brat, kapłan Soltara w Kelasie, przekazał Rozpruwacza Dusz w ręce Havalda.

Varelt, król Ibsissu.

Vladir Podstępny, dawniej król Illianu, został omyłkowo pozbawiony głowy przez Kamienne Serce podczas koronacji.

Vreda Hraldirsdotter, przyszła królowa Varlandu, siostra Ragnara, obiecana jarlowi Erlafowi.

Wirten, baron, Rangor, mężczyzna bez wyczucia niebezpieczeństw.

Wittmar, graf, chodzi o kulach, ma prawie sto lat i jest znany z woli życia.

SIEDEM KRÓLESTW

Aldane, jedno z siedmiu królestw.

Besarajn, pustynne królestwo, kalifat, dawniej spichlerz cesarstwa. Jego portowe miasto Janas zostało niemal całkowicie zniszczone przez falę powodziową. Jedno z siedmiu królestw.

Ibsiss, jedno z siedmiu królestw.

Wschodnie Rubieże, tereny na wschodzie, gdzie ciągle trwają walki, jedno z siedmiu królestw.

Rangor, jedno z siedmiu królestw.

Sertina, jedno z siedmiu królestw.

Varland, jedno z siedmiu królestw.

POŁUDNIOWE KRAJE

Illian, królestwo, ojczyzna Leandry i królowej Eleonory.

Letasan, królestwo, ojczyzna Havalda.

Jasfar, królestwo.

MIEJSCA

Aldar, Aldane, zbudowany przez Askannona, stolica Aldane, ma duży port, zamek królewski.

Alderloft, Aldane, port przemytników.

Askir, stare cesarskie miasto, zbudowane przez Askannona, miasto-państwo, podobno żyje w nim więcej ludzi niż w południowych krajach.

Brandenau, Wschodnie Rubieże, miasto-twierdza, stara warownia, siedziba marszałka.

Coldenstatt, południowe kraje, najmłodsze miasto trzech królestw, założone przez osadników z południowych krajów.

Cytadela, potężna ośmiokątna warownia. Siedziba cesarza i Rady Koronnej Askiru.

Gasalabad, Besarajn, siedziba rządu kalifatu Besarajnu, największy emirat kalifatu.

Gromogóry, południowe kraje, potężny masyw górski na północy.

Janas, Besarajn, Dom Wieży. Dawniej najważniejsze miasto portowe kalifatu, zostało niemal całkowicie zniszczone przez trzęsienie ziemi, powódź i dżumę. Dom Orła rości sobie prawa do miasta.

Kalliste, opuszczone miasto w dżungli po drugiej stronie Morza Sztormów, żyją tam małe smoki.

Kelar, południowe kraje, dawniej bogate miasto portowe i miejsce urodzenia Havalda. Zostało zniszczone przez oddziały Thalaku.

Kolariste, Thalak, stolica cesarstwa Thalak. Straszne miejsce, w którym jest za dużo smoków, choć jeden z nich lubi kwiaty.

Krimstinlag, stolica Varlandu.

plac Arsenалу, Askir, ośrodek manufaktur płatnerskich.

Pod Głowomłotem, południowe kraje, gospoda pod Przełęczą Gromów.

Pod Złamanym Ostrzem, Askir, tawerna prowadzona przez Istvana w dzielnicy portowej Askiru. Desina, Łasica i Regata dorastały tutaj. Nie podlega jurysdykcji cesarstwa.

Przełęcz Gromów, południowe kraje, jedyna znana przełęcz przez Gromogóry, prowadzi do Coldenstatt.

Srebrny Wąż, od wieków ulubiona karczma żołnierzy w pobliżu cytadeli w Askirze.

Stara Kuźnia, Askir, dawna manufaktura arsenału, napędzana magicznym kołem.

Targ Twardy, Askir, targ w dzielnicy portowej, na którym handluje się towarami żelaznymi.

Twierdza Gromów, południowe kraje, położona na Przełęczu Gromów, ostatnia z wielkich warowni Starego Królestwa.

Xiang, odległy kraj, w którym ulice wybrukowane są złotem.

POJĘCIA

akolita, asystent, uczeń lub sługa świątynny.

Aldańcy, zabobonni mieszkańcy Aldane, obawiają się magii, wiodący w kwestiach mody i etykiety.

alta're'vita, „zmiana życia”, tortury pozostawiające uszczerbek na zdrowiu, sięgające po okaleczenie i śmierć.

Ar'in'faed, Ostrze Spójni, Strażnik Cieni, elfia nazwa miecza Soltara o imieniu Rozpruwacz Dusz.

Arendsteiner, szczep wina.

Ask, rzeka przepływająca przez Askir, od której pochodzi nazwa miasta.

Avincourt, przełęcz w południowych krajach, miejsce legendarnej bitwy.

barbarzyńcy, dawniej, zanim Askir skolonizował kraj, zamieszkiwali południowe kraje. Często Zimowego Wilka jako boga.

bessa, język handlowy kalifatu Besarajnu.

Byki, klan, potoczna nazwa legionów Askiru, symbolizuje niezłomność legionów, jeden z trzynastu dawnych klanów wojennych Starego Królestwa.

drewniany tron, tron jasnych elfów, wykonany rzekomo z żywego drewna Drzewa Życia.

Drzewo Życia, czczone jako początki elfów.

elfie krople, szlachetne białe wino, rzekomo wyrabiane przez elfy.

Gazar, potężna rzeka w Gasalabadzie.

Hala Gildii, miejsce obrad Rady Gildii w Askirze, miejsce wielu uroczystości.

imperial, cesarski język handlowy, używany we wszystkich siedmiu królestwach oraz południowych krajach, choć istnieją jego lokalne odmiany. Wywodzi się z aldańskiego.

Kamienna Chmura, królewski gryf, przyjaciółka Leandry.

Lodowy Pogromca, Ostrze Spójni, dawniej w posiadaniu Jerbila Konaia, wybrał sobie jako nosicielkę Sieglinde.

Lot Kruka, wierzchowiec Havalda.

Łaska Astarte, miecz, Ostrze Spójni poświęcone bogini Astarte.

łowca dusz, inaczej nekromanta.

maestra/maestro, uczony i znawca magii, który rozumie magię jako gałąź nauki.

magia krwi, potępiana forma magii, jako magia rytualna czerpie moc z siły życiowej i krwi ofiar. Dawno temu rozwinięta przez mroczne elfy, stanowi niewybaczalne bluźnierstwo przeciwko bogom Askiru. Tylko Bezimienny i Omagor, bóg ciemności, pozwalają swym wyznawcom tę formę magii.

mroczny bóg, Omagor, bóg ciemności.

mroczny dar, inne określenie na magię krwi i nekromancję.

niebiańskie żelazo, cenne żelazo, spadające z nieba, znakomicie nadające się do wyrobu mieczy.

ogniste serce, kwiat, rodzaj orchidei.

pająki tkające runy, smakołyk mrocznych elfów, mogą być kandyzowane.

pieczęć krwi/krąg krwi, rytuały magii krwi, związane z ofiarami z ludzi.

Pióro, skryba wojskowy cesarstwa.

Pogromca Strachu, Ostrze Spójni, poświęcone Soltarowi, tarcza przeciwko lękowi i zwątpieniu. Zaginiony przed wiekami.

Rada Handlowa, najważniejsze polityczne gremium w Askirze, opanowane przez potężne gildie miasta.

shah, gra planszowa.

Smoki, klan, służyły cesarzowi jako gwardia przyboczna, rekrutowana spośród najlepszych żołnierzy legionów. Jeden z trzynastu klanów wojennych Starego Królestwa.

Starsi, legendarne postaci mityczne, rzekomo starsze od tytanów.

„**Śnieżny Ptak**”, statek mieczowy cesarskiej marynarki, dowodzony przez kapitan lancy Elgatę, zatopiony podczas ucieczki z Wysp Ognistych.

„**Tancerz Burzy**”, statek cesarski, który uratował Havalda i jego drużynę z tonącego „Śnieżnego Ptaka”.

Targ Miękki, duży targ w dzielnicy portowej Askiru, gdzie handluje się żywnością, tkaninami i zwierzętami.

tchórzliwy bóg, określenie Zokory na Bezimienego.

topór Frolnira, inaczej Ragnarskrag.

trójca, triumwirat bogów: Astarte, Borona i Soltara.

Węże Morskie, żołnierze piechoty morskiej Askiru, jeden z trzynastu klanów wojennych Starego Królestwa.

wieża Sów, wieża maistrów Starego Królestwa, biała wieża, stojąca na dziedzińcu cytadeli, skrywająca magię i największe tajemnice cesarskiego miasta. Jest otwarta tylko dla tych, którzy posiadają magiczny talent i są wiernie oddani cesarstwu.

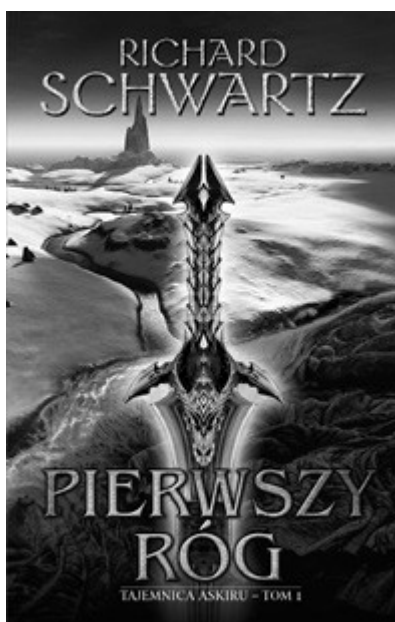
wieże semaforowe, wieże sygnałowe, służące do przekazywania wiadomości w siedmiu królestwach.

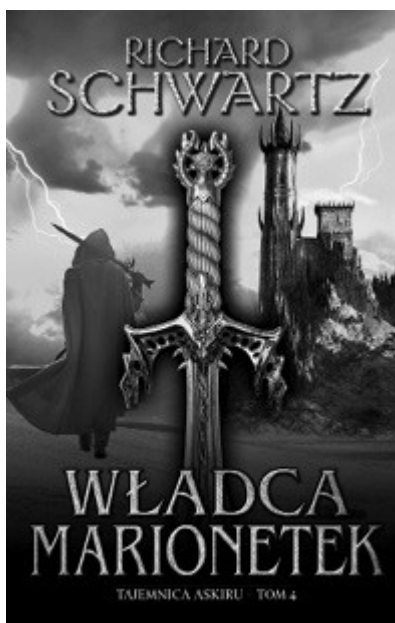
wiwerny, przypominające węże latające gady, zdolne do noszenia na grzbiecie jeźdźców.

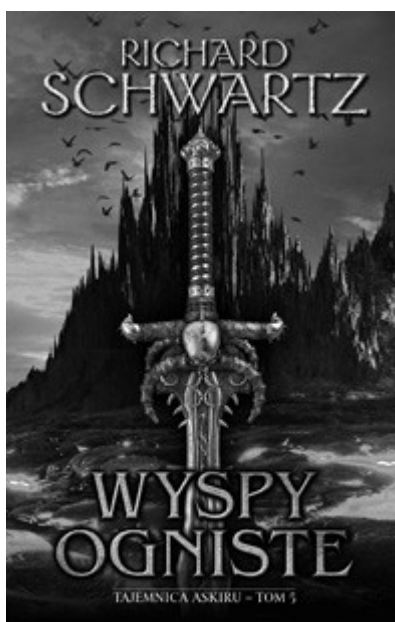
Wyspy Ogniste, dawna cesarska baza marynarki wojennej u wybrzeży Besarajnu, która została zniszczona podczas potężnej erupcji wulkanu.

Zakon Róży, zakon rycerski w południowych krajach, dawniej prowadzony przez grafa Roderica, odparł natarcie barbarzyńców na przełęczy w Avincourt, wszyscy

zgineli.







Wydanie I

ISBN 978-83-67545-59-4



www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium